

EWA ORNACKA

PIOTR PYTLAKOWSKI

NOWY

ALFABET

MAFII

Najnowsze losy polskiej
przestępczości zorganizowanej



Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

EWA ORNACKA
PIOTR PYTLAKOWSKI

NOWY ALFABET MAFII

Najnowsze losy polskiej
przestępczości zorganizowanej

DOM WYDAWNICZY REBIS



Spis treści

[Okładka](#)

[Strona tytułowa](#)

[Wstęp](#)

[I. Skąd się wzięła mafia?](#)

[II. O miłości, przyjaźni i nienawiści](#)

[III. Kto wziął zlecenie na wielkiego psa?](#)

[IV. Konie, ruletka i odzyskiwanie długów](#)

[V. Kto zabił Pershinga \(i generała policji\)?](#)

[VI. Teraz mówi Masa](#)

[VII. Teraz mówi Parasol](#)

[VIII. Dziadowskie sprawy](#)

[IX. Cmentarz wokół Dziada](#)

[X. „Wołomin” to fałszywa marka](#)

[XI. Srebrny Książę, czyli nieznana historia Śledzia](#)

[XII. O jeden most za daleko](#)

[XIII. Gang Oczki, czyli ferajna z ulicy Żabiej](#)

[XIV. Krakowiak po śląsku](#)

[XV. Kulawy ojciec chrzestny](#)

[XVI. Nikoś, Rympałek i \(prawie\) cała reszta](#)

[XVII. Marzenia o mafii](#)

[XVIII. „Nigdy nikogo nie sprzedałem”](#)

[Epilog. Ludzie mafii](#)

[Fotografie](#)

[Strona redakcyjna](#)

Wstęp

Książka *Alfabet mafii* powstawała w latach 2003–2004 równoległe z noszącym ten sam tytuł serialem telewizyjnym dla stacji TVN. Uczestniczyliśmy w realizacji tamtego pionierskiego dokumentu o przestępczości zorganizowanej w Polsce, przeprowadzając przed kamerą wywiady z gangsterami, ich rodzinami, ofiarami, prokuratorami i policjantami. Poznaliśmy wiele głęboko skrywanych tajemnic ludzi uważanych za kwiat polskiego przestępczego podziemia, ich życie prywatne, poglądy na świat, miłość i nienawiść. Naszą wiedzą podzieliliśmy się z czytelnikami.

Od tamtej pory wiele się zmieniło. Pozapadały wyroki skazujące lub uniewinniające. Niektóre z nich zakwestionowały to, czy tzw. mafia pruszkowska w ogóle istniała. Przebieg najgłośniejszego w Polsce śledztwa w sprawie zabójstwa byłego szefa policji zasiał (nie tylko w nas) poważne wątpliwości co do tego, czy kiedykolwiek poznamy prawdę. Kilku świadków koronnych – broń masowego rażenia organów ścigania w walce z przestępczością zorganizowaną – skompromitowało tę instytucję, bo będąc już pod ochroną państwa, popełniało przestępstwa – także najcięższe zbrodnie.

Niezależnie od zawirowań na salach sądowych i dyskusji wokół tematu, co jest mafią prawdziwą, a co trzepakową, staraliśmy się wnikliwie obserwować losy naszych bohaterów z pierwszej edycji *Alfabetu mafii*. Niektórzy odsiedzieli swoje wyroki, ale nie wyciągnęli wniosków z przeszłości. Próbowali odbudować dawną pozycję w półświatku, lekceważąc – jak np. Rympałek i Żaba z „Pruszkowa” – przeciwników i policję. Przeliczyli się, wrócili do celi. Inni, jak choćby synowie legendarnego Dziada, Mańka Klepaka z „Wołomina” czy Wańki z zarządu „Pruszkowa”, kontynuowali rodzinne tradycje, próbując pomnażać fortuny ojców. Przemycali narkotyki, ściągali haracze albo zakładali białe kołnierzyki i wkraczali na salony. W końcu i oni trafiali za kraty albo ginęli w gangsterskich egzekucjach.

Obserwowaliśmy, jak zmienia się polska przestępczość zorganizowana, jak strzela się do kobiet, by wymierzyć karę mężczyznom za ucieczkę z gangu lub współpracę z policją. Śledziliśmy losy ofiar mafijnych przestępstw i tajemnicze zaginięcia w półświatku. Prowadząc własne dziennikarskie śledztwa, trafiliśmy nawet do jasnowidza, który opowiedział nam o swojej – skrywanej przez wiele lat – przyjaźni z Pershingiem. Po egzekucji na liderze „Pruszkowa” obawiał się, że zabójcy przyjdą

także po niego. Ale nawet jasnowidz nie wiedział, co stało się z ciałem zastrzelonego Pershinga i dlaczego żadnej gazecie nie udało się zdobyć zdjęcia z jego pogrzebu. My dowiedzieliśmy się tego po latach.

Przez minione dziesięciolecie przyglądaliśmy się, jak oskarżeni o najcięższe zbrodnie gangsterzy po kolei wychodzą na wolność, chociaż ich procesy wciąż się toczyły. W takich momentach nasz dawny przewodnik po *Alfabecie mafii*, Jarosław S., ps. Masa, tracił wiarę w wymiar sprawiedliwości i chęć do dalszej współpracy z organami ścigania. Jako jedyni rozmawialiśmy z bohaterami głośnych mafijnych historii, którzy dotąd milczeli, m.in. z Leszkiem Danielakiem, czyli słynnym Wańką, i Ryszardem Boguckim, skazanym za zabójstwo Pershinga (obaj wyrazili zgodę na używanie ich danych osobowych), córką zamordowanego bossa i człowiekiem „młodego Pruszkowa”, który dla niej i dla jej ojca zrobiłby wszystko. Sprawdziliśmy, jak potoczyły się losy najmłodszego w policji majora, który na własnym życiu przetestował związki ze światem mafii. To on zwerbował do tajnej współpracy Masę. Za przyjaźń z przestępcą zapłacił wysoką cenę.

Pisaliśmy o tym wszystkim na łamach różnych gazet, opowiadaliśmy w telewizyjnych reportażach. Z czasem postanowiliśmy uzupełnić naszą książkę sprzed lat o te materiały i nową wiedzę. Tak powstało drugie, rozszerzone wydanie *Alfabetu mafii* – reporterski zapis wydarzeń przestępczej Polski, w którym nie oceniamy, kto mówi prawdę, a kto nie. Przedstawiamy w tej książce naszą subiektywną historię polskiej odmiany mafii, jaką znamy z ulicy, a nie tajnych archiwów.

Kiedy tworzyliśmy pierwsze wydanie *Alfabetu mafii*, mieliśmy złudne poczucie, że o przestępczym świecie wiemy prawie wszystko. Dzisiaj, po latach, pora się przyznać do grzechu pychy. Nie wiedzieliśmy wszystkiego wtedy, nie wiemy też teraz, a czasem mamy świadomość, że gubimy się w meandrach tego świata. Opisywani przez nas członkowie polskiej mafii żyją w mroku swoich tajemnic, obcy wara od prawdy. Walczą ze sobą, by po jakimś czasie zawierać nieoczekiwane sojusze – tego wymaga przecież interes nadrzędny, czyli zysk. Działają jak sprawnie zarządzana firma, która dla korzyści niszczy konkurencję albo się z nią sprzymierza. Omerta, wynalazek sycylijskiej mafii, istnieje też w polskiej wersji. Kto wykrada ośmiornicy jej tajne plany – ginie. Na wszelki wypadek zaznaczamy, że nie kradliśmy mafii jej tajemnic. Ujawniamy głównie te, które nam powierzono. No, czasem udawało się zdobyć wiedzę skrywaną, ale mamy nadzieję, że nasi bohaterowie nie okażą się małostkowi.

Alfabet mafii nie jest leksykonem grup przestępczych w Polsce. Nie zamierzaliśmy stworzyć – wzorowanego na policyjnych raportach – rejestru wszystkich gangów. Skupiliśmy się na organizacjach i postaciach, od których wszystko się zaczęło, na czasach, gdy po raz pierwszy mówiono o „polskiej mafii”. Kolejne gangi kopiowały wcześniej sprawdzone schematy, a nowi liderzy wzorowali się na słynnych poprzednikach. Niektórzy do tego stopnia, że nawet przyjmowali ich pseudonimy. Jeden z przywódców rozbitej w lipcu 2011 roku grupy porywaczy z Solca

Kujawskiego kazał tytułować się... Pershingiem.

To jasne, że bohaterowie kronik kryminalnych w rozmowach z nami nie powiedzieli wszystkiego. Przedstawili wyłącznie swój punkt widzenia, swoją prawdę. Uczynili to tylko po to, by pokazać się w innym, lepszym świetle, niż wynikałoby to z aktów oskarżenia. Uznaliśmy, że to cena, którą warto zapłacić za możliwość uzyskania jedynych w swoim rodzaju wywiadów – wielu bohaterów *Alfabetu mafii* nigdy nie wypowiedało się ani w prasie, ani przed kamerami. Tę ich prawdę skonfrontowaliśmy z wersjami wydarzeń prokuratorów, policjantów i ofiar mafijnych przestępstw. Czytelnik sam zdecyduje, komu wierzyć.

Autorzy

I. Skąd się wzięła mafia?

Nie będziemy się spierać o definicję słowa „mafia”. Wiele mądrych głów zajmowało się tym przed nami. Ta, o której opowiada nasza książka, wyszła z podziemia w chwili narodzin wolnej Polski, w 1989 roku. Wydostała się z zapyziałego pruszkowskiego Żbikowa, z podwarszawskich Ząbek, Wołomina, z ulicy Żabiej w Szczecinie, z miasteczka Zawidów pod Zgorzelcem. Wypłynęła z mrocznych zaułków, z otoczonych walącymi się kamienicami podwórek-studni, ze slumsów na przedmieściach. Pojawiła się nagle obok nas, od początku brutalna, żarłoczna i żądna krwi.

Pierwsze głośne strzały

Dwudziestego dziewiątego maja 1990 r. na szosie katowickiej w miejscowości Siostrzeń z pędzącego audi wyrzucono ciała dwóch zastrzelonych mężczyzn. Tak skończyli Lulek i Słoń, nieznani żołnierze armii pruszkowskiej. W samochodzie, w którym strzelono im w głowy, jechało jeszcze dwóch mężczyzn – Polak i Rosjanin. To oni wykonali wyrok. Policja wiedziała, kim byli, ale dysponowała tylko wiedzą operacyjną, dowodów procesowych nie zebrała. Przy szosie, nieopodal miejsca zdarzenia, parkowało wiele aut. Ustalono potem, że zasiadała w nich cała pruszkowska śmietanka, jeszcze wtedy nie za bogata, dlatego i maszyny były ubogie: małe fiaty, stare skody, polonezy i łady. Lulek i Słoń w imieniu oczekujących kolegów negocjowali z pasażerami audi wykupkę, czyli okup za samochód, który Polak i Rosjanin wcześniej ukradli i próbowali sprzedać chłopakom z grupy pruszkowskiej. Coś jednak w tych negocjacjach nie wyszło – stracili życie. Po latach w Hiszpanii zatrzymano Bogdana P., podejrzanego o zastrzelenie Lulka i Słonia. Deportowano go do Polski, w chwili, kiedy piszemy te słowa, czeka w areszcie na proces.

Lulek, czyli Lucjusz D., był charakternym członkiem pruszkowskiej bandy Barabasza, ale pochodził z Wołomina. Pewien warszawski adwokat z niejaką sympatią wspomina tę postać. Opowiada, że bandycka kariera Lulka zaczęła się w latach 80. w jednej z wołomińskich knajp. Młodziutki wtedy Lucjusz wypił trochę za dużo i wracając do domu, rzucił kamieniem w powszechnie znienawidzonego członka ORMÓ (Ochotnicza Rezerwa Milicji Obywatelskiej). Ormowca nie trafił, ale wybił szybę i

trafił za to do aresztu. Tam poznał chłopaków od Barabasza. Po wyjściu na wolność razem z nowymi kolegami rabował i napadał. Znów wpadł i tym razem kosztowało go to jedenaście lat odsiadki. Wyszedł już w nowej Polsce, wziął się do handlu walutami. Ale dorobić się już nie zdążył. Poległ wraz ze Słoniem w Siestrzeniu.

Policja strzela w plecy

Szóstego lipca 1990 r. w motelu George, także przy szosie Warszawa–Katowice, policja zorganizowała zasadzkę na sześciu pruszkowskich (tak w slangu nazywa się członków gangu, by odróżnić ich od zwyczajnych mieszkańców Pruszkowa – pruszkowiaków): Wojciecha B., ps. Budzik, Janusza P., ps. Parasol, Ryszarda P., ps. Krzyś, Kazimierza K., ps. Kazik, Czesława B., ps. Dziki, i nieszczęsnego Szaraka. Pierwszych pięciu zyskało później mołojecką sławę w całej Polsce jako groźni mafiosi. Szaraka ten splendor ominął. Poległ od policyjnej kuli na samym początku bandyckiej drogi. Pogrzebano go z honorami, w uroczystości żałobnej uczestniczyła cała gangsterska czołówka Warszawy i okolic. Do dzisiaj ten pogrzeb w niektórych kręgach wspominany jest z nostalgią.

Policyjna zasadzka w George’u miała być efektownym finałem akcji rozbijania raczkującego jeszcze wówczas gangu pruszkowskiego. Długo czekano na jakąś okazję, wreszcie się trafiła, co prawda lekko naciągana. Otóż pewien dawny kompan pruszkowskiej ferajny, teraz zamieszkały w Niemczech, wpadł na stare śmieci z krótką wizytą. Zapomniał, że miał z kolegami jakieś niezłałatwione do końca rozliczenia. Oni nie zapomnieli. Zarekwirowali mu mercedesa i obiecali, że zwrócą, jeżeli on odda im 15 tysięcy marek – na tyle oszacowali dług. Policja dowiedziała się o tym i sobie znanymi metodami przekonała Mirka (właściciela mercedesa) do współpracy.

Miejsce wymiany mercedesa na marki wyznaczono w motelu George, jednym z pierwszych prywatnych hoteli w okolicach Warszawy (powstał pod koniec lat 70.). Mirkowi towarzyszył policjant w cywilu, udający ochroniarza. Cały teren wokół obstawili antyterrorysty. W powietrzu krążył helikopter. Gangsterzy szybko zorientowali się, że coś nie gra. Według wersji policjantów, to pruszkowscy jako pierwsi zaatakowali tajniaka udającego ochroniarza, uderzając go nunczakiem w głowę. Ten, chociaż ranny, wyciągnął broń i zaczął strzelać. Śmiertelnie trafił Szaraka, a Parasola postrzelił w udo. Podczas późniejszego procesu wyszło jednak na jaw, że cios nunczakiem zadano policjantowi z tyłu, a za nim stał tylko Mirek. Prawdopodobnie uderzenie padło już po tym, jak policjant wyciągnął pistolet. Przy pruszkowskich broni palnej nie znaleziono. Na niekorzyść policji zinterpretowano też fakt, że Szarak dostał postrzał w plecy. Oznaczało to, że uciekał, a nie atakował. Wszystkie te wątpliwości, a dodatkowo posłużenie się przez policjantów prowokacją (ówczesne prawo jej nie dopuszczało), sprawiły, że całą piątkę oskarżonych: Budzika, Parasola, Kazika, Krzysia

i Dzikiego uniewinniono.

Parasol nie pamięta

Fragment rozmowy z Januszem P., ps. Parasol, skazanym na siedem lat za kierowanie gangiem pruszkowskim (sala widzeń więzienia w Wołowie):

– **Co się wydarzyło w 1990 r. w motelu George?**

– Tak myślę, że może ten George też miał jakiś wpływ na to, że ja się znalazłem akurat w tej sprawie. George to była normalna prowokacja policyjna, nieudolna, nieudana. Bez zgłoszenia o jakimkolwiek przestępstwie. Sami sobie po prostu wyreżyserowali wszystko: wjechali, pobili, skopali, dwie nogi mi przestrelili policjanci, obrabowali z biżuterii, ze wszystkiego. Szaraka, tego Andrzeja, zabili strzałem w plecy.

– **Sąd was uniewinnił?**

– Sąd nas uniewinnił. Mieliśmy w tym czasie jeden z najgorszych składów sędziowskich [składowi przewodniczyła sędzia Barbara Piwnik – przyp. aut.]. Ja tylko jestem zadowolony z tego uniewinnienia, bo wiem, że gdyby choć cień padał, że byliśmy winni, to byśmy dostali tam bardzo duże wyroki. Ja wiem o tym, bo ten skład w tamtym czasie wymierzał największe wyroki.

– **Pan znał Lulka i Słonia?**

– Lulka znałem bardzo dobrze. Był to mój bardzo dobry przyjaciel. Wychowałem się z nim od dziecka. Znałem również Słonia – to był kolega mój.

– **Można taką smutną wyliczankę zrobić, apel poległych: Lulek, Słoń, Szarak, Kielbasa, Pershing, Ceber, Dreszowie ojciec i syn, Klepakowie ojciec i syn, Lutek, Wariat. Czy to nie za wysoka cena za wasze przygody?**

– Kompletnie nie znam sprawy Lutka; nie mam na ten temat żadnej wiedzy i praktycznie znałem ich tylko z widzenia. Wariata w ogóle nie znałem; nawet go raz na oczy nie widziałem. Tak że ja nic na ten temat nie wiem.

Mit strasznego Barabasa

Dzięki ofierze, jaką ze swego życia złożyli wymienieni Lulek, Słoń i Szarak, nazwa „Pruszków” weszła do obiegu jako symbol polskiej mafii. Styl pruszkowski narzucił bandyta Barabasz (albo Barabas), postrach Żbikowa. Kradł i napadał już w latach 70. Przewodził bandzie, w której – jak

wspomina Andrzej Wielondek, były naczelnik wydziału kryminalnego Milicji Obywatelskiej w Pruszkowie – przestępczego fachu uczyli się Dzik, Parasol, Kajtek, Krzysiek, Grzyb, Śledź i Ali. Później dołączyli młodzi, czyli Kielbasa, Masa i Szarak. Dopiero po latach te pseudonimy stały się sławne. Do tego stopnia weszły do obiegu publicznego, że nazwiska gangsterów nic nikomu nie mówiły, ale ich ksywki kojarzono natychmiast. Media niektóre z tych przezwisk trochę poprzeraśniały i tak zamiast Dzikusa pojawił się Dzik, a zamiast Kielbachy Kielbasa. Często pseudonimy nadawali przestępcom policjanci, bo łatwiej rozpracowywało się Bola niż Zygmunta R. Dziad przez całe lata twierdził, że nadano mu pseudonim należący do jego brata, nazywanego tak we wczesnej młodości, a dopiero później ochrzczonego Wariatem. Najczęściej pseudonim bandyty miał związek z jego nazwiskiem, czasem z charakterem albo wyglądem (Masa to mężczyzna wielkiej postury, Oczko ma szklane oko, a Kulawy nie jest wprawdzie kulawy, lecz sparaliżowany od pasa w dół).

Barabasz wziął pseudonim od biblijnego zabójcy, był prymitywnym i bezwzględny człowiekiem, ale niektórzy przyznawali mu jedno – trzymał się grypserskich zasad, zgodnie z którymi w ferajnie obowiązywała swoista lojalność i sprawiedliwość. Główna zasada brzmiała: kto kapuje, ten nie żyje. Ale postać Barabasza przez lata obrosła nienależną mu legendą, w rzeczywistości był to dość podły typek, a do tego ponoć miał zwyczaj kapować na kumpli.

Banda Barabasza żyła przede wszystkim z włamań. Łupy dość regularnie przepijano w restauracji Urocza w centrum Pruszkowa. – Czasem, kiedy już wyprztykali się z gotówki, płacili biżuterią – mówi dawny bywalec tej knajpy. – Na własne oczy widziałem, jak Barabasz za rachunek zapłacił kawałkiem złotej obrączki. Po prostu klapczkami odciął część, bo wyliczył, że to wystarczy. Kelnerka nie protestowała.

W Uroczej bandyci Barabasza zajmowali połowę sali, drugą okupowali milicjanci po służbie. – W Pruszkowie nie było dużego wyboru lokali – tłumaczy Andrzej Wielondek. Początkowo obie grupy trzymały się oddzielnie, jak na weselu, kiedy rodziny pana młodego i panny młodej zachowują dystans. Ale po kilku półlitrówkach lody przełamywano i dochodziło do ogólnego zbratania, stoliki łączono i pito wspólnie – wyjaśnia Wielondek. To tłumaczy, dlaczego tak wielu pruszkowskich milicjantów było na ty z lokalnymi bandytami.

Barabasz zginął tragicznie w 1991 r. Pędził swoją ładą z Pruszkowa do Komorowa, nie wyrobił się na zakręcie i wpadł na drzewo. Pozostawił żonę i syna. W tym czasie jego banda już się wybiła na samodzielność, Barabasz nie był jej potrzebny. W Polsce właśnie zmienił się system, krajem rządził pierwszy powojenny niekomunistyczny premier, w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych trwały weryfikacje. I w takim gorącym politycznie okresie nagle i niespodziewanie dawna banda Barabasza odrodziła się w postaci nowoczesnego gangu.

Oplułem tego śmiecia!

Mit o pruszkowskim Barabaszu i jego nieugiętych współnikach zweryfikował w liście przysłanym z zakładu karnego Marek D.-B., dawny członek gangu pruszkowskiego:

„Kiedy zawiązywała się grupa wołomińsko-pruszkowska, a był to rok 1990 r., byłem na wolności. Ali, Kajtek to moi bardzo bliscy koledzy! Jacek Dresz to eks-wspólnik i kolega niemal od ławy szkolnej. Jego syn, o którym śmierdzący Dziad napisał, że to on zabił ojca, to mój chrześniak, a z jego matką to ja zapoznałem Jacka.

Jacek to był człowiek, którego panicznie się bali wszyscy przestępcy warszawscy. Szczególnie ci, którzy łamali zasady i wyciągali łapy po pieniądze kolegi. Jacek Dresz, odsiadując 10-letni wyrok, miał tzw. wafła, z którym dzielił się każdym kawałkiem chleba. Kiedy wyszedł na wolność, to temu koledze wysyłał paczki, pieniądze na wypiszę, aż przyszedł czas, że tamten wyszedł i przyjechał do Jacka. Trzeba trafu, że Jacek Dresz akurat musiał jechać w interesie i na czas swojej nieobecności polecił go swojemu bliskiemu koledze – by ten go ugościł, wziął gdzieś na balety, załatwił dziewczyny itp. Oczywiście na koszt Jacka. No i ten chłopak wziął go do dobrego lokalu, popili wódeczki. I co się okazuje? Ten, co wyszedł z więzienia, okradł chłopaka, któremu Jacek go polecił. I co zrobił Jacek? Szukał go po całej Warszawie, aż znalazł u kurwy, wyciągnął, wsadził w bagażnik i powiózł do Palmir, a tam oprócz zdrowego lania kołkiem wyjął z bagażnika siekiere i obciął mu rękę, mówiąc, że więcej kolegi nie okradnie.

Śmiesz mi, kiedy wspomina się tego śmiecia Barabasza. W roku 1978 ta już zdechła szmata sprzedała Parasola, Alego, Dzikusa, Liska, Sorka, Kajtka i wielu innych. Wtedy Parasol dwa lata leżał i nie mówił. Za to cała Warszawa mówiła o tym parchu Barabaszu, jak dziś o Masie. Później odwołał zeznania, ponowili sprawę, ale co odsiedzieli z jego ręki, to ich. Sam Barabasz to było grube bydlę mające 4 klasy szkoły podstawowej. Nawet pisać nie potrafił.

W roku 1990, kiedy tworzył się nowy układ, to wszyscy liczący się złodzieje w Warszawie spotykali się wieczorami w Olszynie Grochowskiej – to taka dyskoteka na Wiatracznej. Pojechałem tam, bo były akurat imieniny Jacka Dresza. Byli Ali, Kajtek i wielu innych (ok. 80 osób) i jakież było moje zdziwienie, kiedy zobaczyłem Barabasza tam na bramce. A że byłem na rauszu, to mówię: Kurwo, śmieciu, co ty tu w ogóle robisz! I go oplułem. Dopiero wtedy Ali i Dzikus zaczęli tłumaczyć, bym go zostawił, bo on odwołał zeznania, a oni mu wybaczyli. Tak mu wybaczyli, że odkręcili mu potem hamulce w aucie i się zabił”.

Kłótnia o mafię

Politycy jeszcze długo upierali się, że to nieprawda, w Polsce mafii nie ma, to za ledwie raczkująca forma przestępczości zorganizowanej. Prawdziwa mafia to Włochy, Sycylia, no, może jeszcze jej amerykańska odmiana. Spory o nazewnictwo spowodowały, że trochę zbagatelizowano rolę i znaczenie grup przestępczych. Dopiero kiedy ministrem spraw wewnętrznych został w rządzie Jerzego Buzka Marek Biernacki, uznano, że zagrożenie jest realne – w Polsce istnieje lokalna odmiana mafii.

Prawdziwa mafia to sycylijska organizacja, która walczyła w XIX wieku przeciwko najeźdźcom i tworzyła nieformalną strukturę zastępującą instytucje państwowe. Była jednocześnie wojskiem, policją, prokuraturą i sądem. Tworzyli ją *mafiosi* i *banditi*. Ci pierwsi to kadra kierownicza, ci drudzy wykonywali polecenia, byli żołnierzami. W XX wieku mafia narodowowyzwoleńcza przekształciła się w związek kryminalny. Wciąż używała starych metod, wydawała wyroki śmierci, ale teraz już przeciwko własnemu państwu, bo czuła się od niego niezależna. Jak pisze dr Zbigniew Rau (*Przestępczość zorganizowana w Polsce i jej zwalczanie*, Zakamycze, Kraków 2002), „nowa mafia” była strukturą niebezpieczną społecznie, bo próbowała wdzierać się do świata polityki i gospodarki. Docierała do osób pełniących najpoważniejsze funkcje w państwie.

Ryszard Rychlik (Zarys koncepcji walki z organizacjami mafijnymi, „Prokuratura i Prawo”, nr 6/1998) tak opisuje strukturę sycylijskiej organizacji mafijnej, którą później przeniesiono do USA (lata 30. XX wieku): podstawowa komórka to tzw. rodzina (niekoniecznie spokrewniona), trzy rodziny tworzą okręg podlegający prowincji. Rodziną, okręgiem i prowincją kierują przedstawiciele (*rappresentante*). Mają zastępców (*sottocapo*) i doradców (*consigliere*). Prowincja podlega regionowi, w którym decyzje zapadają w gronie tzw. ludzi honoru. To najwyższa półka, szczyt hierarchii. Człowiek honoru musi wywodzić się z „rodziny”, a charakteryzuje go „męstwo”. Mafijne znaczenie tej cechy nie ma wiele wspólnego z np. męstwem rycerskim. Męski jest ten, kto potrafi z zimną krwią dokonać najokrutniejszej zbrodni. Kandydaci na „ludzi honoru” praktykują u boku tzw. prowadzących. Są przez nich wyznaczani do popełniania przestępstw i bacznie obserwowani. Jeżeli spełnią kryteria, zostaną poddani rytuałowi inicjacji i zaprzysiężeni. Dopiero po złożeniu przysięgi wchodzi w skład władz *cosa nostry*.

Amerykańska odmiana mafii początkowo wiernie opierała się na wzorach sycylijskiej *cosa nostry*. Składała się z rodzin, na których czele stali ojcowie chrzestni. Rada ojców chrzestnych była czymś w rodzaju walnego zgromadzenia ludzi honoru. W czasach Ala Capone mafia w USA zdobyła siłę i bogactwo dzięki prohibicji. Przemyciała alkohol, prowadziła sieć nielegalnych punktów dystrybucji mocnych trunków. Wprowadziła system ściągania od właścicieli lokali gastronomicznych i sklepów opłat (*haraczy*) za tzw. opiekę. Wszystko działało się pod okiem i ochroną skorumpowanych gliniarzy. Państwo nie potrafiło sobie poradzić z tym zjawiskiem. Capone został w końcu skazany na 10 lat więzienia, ale nie za swoje zbrodnie i nawet nie za kierowanie alternatywnym rynkiem alkoholowym,

a za przestępstwa podatkowe. Po zniesieniu niezyciowych przepisów o prohibicji mafia opanowała rynek narkotykowy. Do dzisiaj funkcjonuje w Stanach Zjednoczonych, ale już pod nazwą organized crime – czyli przestępczości zorganizowanej.

Według kryminologów polska przestępczość zorganizowana działa na wzór amerykański. Polska odmiana mafii bez wątpienia zapatrzyła się na Amerykę i zamarzyło się jej, aby działać tak skutecznie jak mafiosi spod znaku rodziny Gambino i jak wielcy gangsterzy Capone czy Luciano.

Polska wersja ludzi honoru

Polska mafia ujawniła się na przełomie lat 80. i 90., ale istniała już wcześniej, w PRL. Działała w ukryciu, niewidoczna, bardziej tajemnicza. W tamtych czasach głośno było o słynnych bandytach (np. Zdanowicz, Maliszewski), seryjnych zabójcach (Kot), włamywaczach (Najmrodzki). To indywidualiści, samotne wilki. Milicja ich tropiła, dopadała i wtedy gazety donosiły o kolejnym sukcesie organów ścigania. Wspominano co prawda o przestępczości zorganizowanej, ale wyłącznie jako działalności malwersantów gospodarczych. W latach 60. I sekretarz KC PZPR Władysław Gomułka osobiście wydał wojnę tzw. aferzystom. I natychmiast opinia publiczna dowiedziała się o aferze skórzaney, gumowej i mięsnej. W tej ostatniej sędzia Roman Kryże skazał na śmierć Stanisława Wawrzeckiego, jednego z dyrektorów MHM (Miejski Handel Mięsem), i pod naciskiem najwyższych władz politycznych wyrok wykonano.

Tymczasem już wtedy, w głębokim cieniu, rozwijała się prawdziwa przestępczość zorganizowana – czarny rynek walutowy. Cinkciarze stali przed Peweksami (sklepy, w których sprzedawano towar za dolary) i hotelami. Skupowali – głównie od obcokrajowców – waluty, płacili ceny realne, a nie oficjalne, które były wielokrotnie niższe. Przykładowo w latach 70. państwowe banki płaciły za dolara zaledwie 30 zł, a cinkciarze – 140 zł. Sprzedawali je po 160 zł. Różnica między ceną skupu a sprzedaży dawała potężny zarobek. Dlaczego onnipotentne państwo przymykało oczy na konkurencję, która bezczelnie pozbawiała budżet wpływów?

Koników walutowych chroniła organizacja sterująca tym rynkiem. Cinkciarzy czasem zamykano, ale szybko wychodzili na wolność. Gazety pisały, że znów w sieci wpadły płotki, a prawdziwe rekiny dewizowej branży pozostają bezkarne. Dzisiaj nazwalibyśmy ludzi rekinów prywatnymi bankierami. Obracali wielkimi pieniędzmi, byli w stanie sfinansować każdą transakcję. Owe rekiny nigdy nie wyszły z ukrycia z prostego powodu. Chroniła ich potęga Służby Bezpieczeństwa Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. W zamian SB otrzymywała cenne informacje i, co może było jeszcze cenniejsze, nieformalnie opodatkowywała czarny rynek dewiz. Już dzisiaj wiadomo, że Służba Bezpieczeństwa korzystała z tzw. lewej kasy. Organizowano za nią operacje specjalne, ale też wysocy oficerowie

resortu spraw wewnętrznych zaspokajali z tych pieniędzy całkowicie prywatne potrzeby. Państwo nie miało nad SB praktycznie żadnej kontroli. To raczej ta służba kontrolowała państwo.

Gang z żelaza

W 1971 r. wybuchła pierwsza afera związana z SB. Nadano jej kryptonim „Zalew”. Funkcjonariusze MSW uczestniczyli w podziale zysków cinkciarzy i przemytników walut. W zamian kryli przestępców.

W 1984 r. ujawniono (ale wyłącznie wśród działaczy PZPR, opinii publicznej nie poinformowano) aferę „Żelazo” – specsłużby z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych na przełomie lat 60. i 70. patronowały bandytom dokonującym w Europie Zachodniej napadów rabunkowych (m.in. na sklepy jubilerskie). Do MSW zgłosił się wówczas mieszkaniec Bielska-Białej Mieczysław J. ze skargą na postanowienie prokuratora o tymczasowym aresztowaniu jego brata Kazimierza (zarzucano mu spekulację alkoholem). Mieczysław zagroził, że jeśli brata nie uwolnią, ujawni tajemnice współpracy swojej rodziny (Kazimierza, Jana, Józefa i Jerzego oraz siostry Ireny i jej męża) z departamentem wywiadu MSW. Rodzina J. pod egidą Służby Bezpieczeństwa stworzyła grupę operacyjną już w 1960 r. Braci J. wysłano wtedy za granicę. Początkowo podlegali kontrwywiadowi, w 1967 r. przeszli do wywiadu. Mieczysław J. użył wobec MSW szantażu, gdyż, jak twierdził, obawiał się, że jego bratu Kazimierzowi w areszcie grozi śmiertelne niebezpieczeństwo. Poprzednio w tajemniczych okolicznościach straciło życie dwóch innych braci J.: Jerzy, zamordowany przez nieznanego sprawcę w Austrii, oraz Józef, zmarły na skutek obrażeń poniesionych w katastrofie samochodowej w Polsce. Mieczysław J. twierdził, że jego bracia stali się ofiarami zemsty MSW.

Czesław Kiszczak, minister spraw wewnętrznych w latach 80., powołał specjalną komisję do wyjaśnienia kulis operacji „Żelazo”. Na jej czele stanął generał milicji Władysław Pożoga. Uznano, że „Żelazem” kierował były szef resortu spraw wewnętrznych Mirosław Milewski, wówczas członek Biura Politycznego KC PZPR. Oto fragment raportu Pożogi, który ujawnia metody stosowane w czasach PRL przez resort spraw wewnętrznych:

„J. za wiedzą Departamentu I utworzyli za granicą grupę bandycką, powiązaną z międzynarodowymi gangami działającymi na terenie RFN, Francji i niektórych innych państw zachodnich. J., a zwłaszcza Kazimierz i Jan, m.in. poprzez rabunki zdobyli duży majątek, z myślą o zainwestowaniu w jednorazową akcję mającą przynieść z wielokrotnie zyski. Faktycznym organizatorem grupy przestępczej był Kazimierz J. Zdecydowano, że Kazimierz w drodze różnych przestępczych zabiegów zgromadzi maksymalną ilość złota i z tym – przy pomocy MSW – powróci do Polski. Departament I za pomoc w przerzucie złota do Polski i jego zalegalizowaniu miał otrzymać 50 proc. „łupu”, natomiast

drugą połowę – Kazimierz i prawdopodobnie Mieczysław. Plan dojrzał do realizacji w połowie 1970 r. i uzyskał akceptację kierownictwa Departamentu I”.

Oszacowano, że J. zgromadzili majątek wartości ok. 2 mln marek niemieckich. Według sporządzonej przez oficerów MSW specyfikacji do Polski dotarło m.in. 10 kg złota w sztabkach, 10 kg złotych monet, biżuteria, złote zegarki, srebrne sztuce – w sumie przedmioty, które trafiły do departamentu finansowego MSW, ważyły ok. 30 kg. Tymczasem Kazimierz J. twierdził, że do Polski ściągnął 200 kilogramów złota i biżuterii, z czego zachował jedynie ok. 25 kg. Co się stało z brakującymi 145 kg złota – nie wiadomo. To znaczy, wiadomo, że znikły w centrali MSW, ale nigdy nie wskazano, w czyjej kieszeni.

Afera „Żelazo” wróciła na początku lat 90., już po zmianie ustroju w Polsce. MSW, kierowane przez Krzysztofa Kozłowskiego, nadzorowało śledztwo w sprawie dokonanej przez wysokich oficerów resortu kradzieży brakujących kilogramów złota i biżuterii. Do aresztu trafił nawet na kilka tygodni gen. Mirosław Milewski. Sprawę w końcu umorzono z powodu przedawnienia. Warto dodać, że aż do lat 90. gen. Milewski z rodziną mieszkał w willi skonfiskowanej niegdyś słynnemu przemytnikowi Mętlewiczowi, który specjalizował się w kontrabandzie złotych dwudziestodolarówek, zegarków i biżuterii. Mętlewicza skazano na wieloletnie więzienie, a jego willa przypadła resortowi spraw wewnętrznych, czyli towarzysowi Milewskiemu we własnej osobie.

Racja stanu PZPR

W październiku 1990 r. we włoskim „Il Messaggero” ukazał się wywiad z gen. Kiszczakiem. Oto fragmenty tego wywiadu:

– **Komu zostały przekazane wnioski z waszego śledztwa** [czyli raportu komisji Pożogi – przyp. aut.]?

– Biuru Politycznemu KC PZPR. Przedyskutowaliśmy ten przypadek i podjęliśmy wspólnie decyzję nieprzekazywania akt prokuraturze.

– **Generał Jaruzelski był wówczas członkiem BP?**

– Tak, oczywiście. Był wówczas I sekretarzem PZPR.

– **Jak można wyjaśnić fakt, że pan jako minister spraw wewnętrznych od 1981 roku, przez trzy lata, aż do 1984 r. nie wiedział nic o sprawie Milewskiego?**

– Wśród kierownictwa służb specjalnych byli jeszcze oficerowie zamieszani w tę sprawę.

– **Jakie były początki sprawy i jej główni uczestnicy?**

– Na początku chodziło o szpiegostwo. Później ta część służb specjalnych przekształciła się w

organizację kryminalną z zamiarem uzyskania wielkich dochodów, działając za granicą, również w państwach zachodnich.

– **General Milewski i jego wspólnicy zostali ukarani tylko przez partię. Szef UOP Milczanowski nie wyklucza ścigania tych wszystkich, którzy ich wtedy kryli.**

– Nikt z kierownictwa MSW, kto prowadził dochodzenie, i nikt z tych, którzy podjęli decyzję o nieprzekazywaniu sprawy do prokuratury, nie kierował się interesem osobistym. Wyłącznym motywem była racja stanu.

Były minister ujawnił, że sprawę rozstrzygnięto na poziomie odpowiedzialności partyjnej. Według dzisiejszych standardów uznano by, że ukęcąc sprawie łeb, popełniono przestępstwo. Wtedy jednak dla ludzi władzy prawo nie stanowiło wartości nadrzędnej.

„Żelazo” rozgrywało się prawie równoległe z aferą „Zalew”. Tam sprawcę wykryto i ukarano już w 1971 r., ale nikt nie miał wątpliwości, że wiceminister spraw wewnętrznych w latach 1969–1971 gen. Ryszard Matejewski, skazany jako winowajca, jest jedynie kozłem ofiarnym. Złożono go na ołtarzu walk frakcyjnych w MSW po to, aby ukryć prawdziwych bohaterów afery. I co ważne dla naszej opowieści, ujawnienie operacji „Zalew” i „Żelazo” nie przeszkodziło Służbie Bezpieczeństwa nadal współpracować z bandytami. Korzenie grup mafijnych z lat 90. sięgają właśnie tamtych czasów.

„Zalew” topi ministra

Ryszarda Matejewskiego za udział w „Zalewie” skazano na 12 lat więzienia. Wyszedł po sześciu latach. Do resortu już nie powrócił. Znalazł zatrudnienie w spółdzielni kaletniczej, wyrabiał paski do zegarków. W 1990 r. zgodził się opowiedzieć o kulisach swojej historii współautorowi tej książki.

Fragment opowieści Ryszarda Matejewskiego:

„Padłem ofiarą prowokacji ze strony Franciszka Szlachcica [w latach 1962–1971 wiceminister spraw wewnętrznych, od lutego do grudnia 1971 r. minister, następnie krótko był wicepremierem, po czym odstawiono go na polityczną emeryturę, jako prezesa Polskiego Komitetu Normalizacji Miar i Jakości – przyp. aut.]. Ja byłem w resorcie odpowiedzialny za Departament II – kontrwywiad, on nadzorował Departament I – wywiad. Między tymi służbami zawsze toczyła się rywalizacja. Zarówno Szlachcic, jak i ja byliśmy zaufanymi ludźmi Mieczysława Moczara [szef resortu spraw wewnętrznych w latach 1964–1968, przywódca grupy tzw. partyzantów, czyli działaczy PZPR rywalizujących z tzw. szarymi szynelami, którzy okupację hitlerowską przeczekali w ZSRR, współautor rozpetanej w marcu 1968 r. kampanii antysemitkiej – przyp. aut.]. Potem, jak przyszły kłopoty, Moczar wypiął się na mnie. A z kolei Szlachcic zdradził Moczara.

Zastępcą dyrektora Departamentu I był wówczas Mirosław Milewski, który potem awansował na

ministra i popadł w niełaskę z powodu odpowiedzialności za aferę »Żelazo«. Afera »Żelazo« miała miejsce równoległe z aferą »Zalew«. Ale takich afer był wówczas więcej, taka była wtedy normalna praktyka, resort specjalizował się w nieformalnych akcjach. Gromadzono w ten sposób środki specjalne na przeprowadzanie tajnych operacji. Wiem, że niektórzy koledzy korzystali z tej kasy, bogacili się. Ja nie, ja tylko raz dostałem w nagrodę złoty zegarek, o którym wiedziałem, że pochodzi z przemytu. No i mieliśmy w resorcie okazję nabywania po opłacalnym kursie walut dewizowych na udokumentowane potrzeby. Skorzystałem z tego dwukrotnie, kiedy wyjeżdżałem na urlopy do Austrii.

Nazwę »Zalew« nadano tej operacji dlatego, że część pochodzących z przestępstwa dewiz i złota oficerowie Departamentu II ukryli na swoich działkach nad Zalewem Zegrzyńskim. Zakopali je w słoikach pod ziemią, ale i tak łupy odkryto. To byli dwaj funkcjonariusze kontrwywiadu. Wymuszono na nich zeznania, w których podali, że to ja kierowałem całą akcją. To była oczywiście nieprawda. Nic nie wiedziałem, nie wydawałem poleceń. Do niczego się nie przyznałem. Stał za tym niewątpliwie Szlachcic, podobnie jak za »Żelazem«.

Mechanizm procederu był prosty. Ludzie z resortu obejmowali patronatem grupy handlarzy walutami. W zamian za opiekę zyski szły pół na pół. Potem włączono w to przemyt z Zachodu: złoto, biżuteria i waluty. Ale ja byłem czysty. Podczas rewizji nie znaleziono u mnie nawet centa. To Szlachcic mnie rzucił na żer. Z jednego tylko się cieszę, że niebawem jego też dopadnięto. I Milewskiego”.

Co łączyło Leppera z Dziadem

Wspomniany wyżej Mieczysław J., uczestnik operacji „Żelazo”, stał się sławny na całą Polskę, kiedy już jako biznesmen z Bielska-Białej w latach 90. kupił żwirowisko w Oświęcimiu i pomógł zorganizować tam antysemickie ekscesy. Później związał się z Samoobroną (nieżyjącego już) Andrzeja Leppera, kandydował nawet do Sejmu, ale bez powodzenia.

Przykład J. i Leppera pokazuje, jak dziwne nitki łączyły ludzi pozornie od siebie odległych. Jedną z książek o Lepperze, pełną kłamstw pochwalną biografię byłego wodza Samoobrony, napisał pod pseudonimem pewien dziennikarz z Zielonej Góry. Ten sam autor napisał dla Henryka N., znanego jako Dziad, czołowej postaci mafii wołomińskiej, autobiograficzną książkę *Świat według Dziada*. W tym dziele pełnym cierpkich słów pod adresem sędziów, prokuratorów, dziennikarzy, policjantów i polityków jedyną postacią godną szacunku jest Andrzej Lepper we własnej osobie. Brat Dziada, Wiesław N., ps. Wariat, w latach 80. w podejrzanych okolicznościach decyzją sądu został zwolniony z kryminału i wyjechał do Republiki Federalnej Niemiec, chociaż miał zakaz opuszczania kraju. W Niemczech prawdopodobnie uczestniczył w operacji „Żelazo”. Sugerował to sam Dziad, który

skonfliktował się wtedy z bratem. Poszło o złote dwudziestodolarówki, jakie Wariat zarobił w RFN i dał Dziadowi na przechowanie. Popełnił błąd, bo Dziad cenne monety spożytkował po swojemu.

Być może Wariat w latach 70. i 80. był chroniony przez SB. Ale nie tylko on. Dzisiaj już wiemy, że wielu zwykłych złodziei z czasów Polski Ludowej, członków bandyckich grup dokonujących włamań i napadów, dzięki opiece ludzi z peerelowskich służb specjalnych w III RP przemieniło się w opromienionych sławą mafiosów, liderów „Pruszkowa”, „Wołomina” i wielu innych przestępczych grup zorganizowanych.

Pod opieką SB

Jak to się stało, że lokalnej grupie przestępczej z Pruszkowa pozwolono stworzyć tak rozgałęzioną strukturę, z zarządem, księgowymi i żołnierzami od czarnej roboty? – Może trochę ich zlekceważyliśmy – przyznawali policjanci. – A może trafili na podatny grunt?

Grunt dla gangów był podatny, bo trafiły na czas chaosu. Milicja zmieniona w policję dopiero uczyła się nowych obowiązków. Wszelkimi siłami odcinano się od PRL, przy okazji spuszczać ze smyczy tzw. osobowe źródła informacji, czyli agentów milicji i SB w świecie przestępczym. Wielu znanych w latach 90. gangsterów we wcześniejszej dekadzie zajmowało się cinkciarstwem (uliczny handel walutami). Wśród waluciarzy SB miała mocną agenturę. Większość esbeków zweryfikowano negatywnie i role się odwróciły – wtedy to oni stali się agenturą świata przestępczego. Gangsterzy wykorzystywali ich kontakty i znajomości z milicjantami przemianowanymi na policjantów, z prokuratorami, a nawet z sędziami.

Wszyscy przestępcy znani dzisiaj jako ojcowie chrzestni mafijnych grup w latach 80. dziwnie łatwo wyjeżdżali do RFN na wielomiesięczne pobyty. Bez problemów dostawali paszporty w czasach, kiedy nie było to wcale takie proste. Mekką dla polskich złodziei były wtedy Hamburg i inne miasta nadmorskie. Bywali tam Nikoś, Pershing, Wariat, Oczko, Słowik, Kielbasa i Masa.

– Istniał dyskretny nadzór ze strony SB nad pruszkowską bandą Barabasza – twierdzi jeden z byłych policjantów z Komendy Rejonowej w Pruszkowie. – To była swego rodzaju opieka. Za czyny, jakie ludzie Barabasza popełniali w latach 80., można było trafić do ciupy na bardzo długo. A oni nie trafiali.

Nie jestem całkowicie legalny

Zygmunt R., ps. Bolo, skazany na siedem lat za założenie i kierowanie gangiem pruszkowskim, konsekwentnie twierdził przez lata, że on i koledzy z ławy oskarżonych padli ofiarą spisku. Nigdy nie był gangsterem, zajmował się biznesem.

Oto fragment rozmowy z Zygmuntem R., przeprowadzonej w sali widzeń oddziału dla niebezpiecznych Aresztu Śledczego w Radomiu:

– **Nigdy nie popełniał pan przestępstw?**

– Nie twierdzą, że jestem całkowicie legalny. Ale jeżeli kiedyś nawet popełniałem przestępstwa, to nie znaczy, jak chciał prokurator, że popełniałem je ciągle. Zawsze kombinowałem, jak tu nic nie robić i dużo zarobić.

– **Jakie przestępstwa?**

– My byliśmy wychowani, żeby kraść, i to najlepiej państwowe, a nie zabijać, chyba że w obronie własnej. Ja nigdy w życiu bym nawet z kijem na kogoś nie poszedł. U nas pewna moralność jest, pewnych rzeczy się nie robi. Zarabialiśmy na spirytusie. Masa, Kielbasa i Jacek D. napadali na tiry. My się tym nie zajmowaliśmy, kupowaliśmy spirytus z przemytu, to dawało dobry zarobek. Byliśmy biznesmenami.

– **Kto był biznesmenem?**

– Ja, Rysiek Sz. [ps. Kajtek – przyp. aut.], Słowik, Malizna, Parasol. Handlowaliśmy walutą. W kwietniu 1989 r., jak wprowadzono wolny handel dewizami, stanęliśmy pod kantorem na Wiatracznej. Różni z nami stali, także Ceber, ten od Dziada. Dziad też z nami handlował, aż do czasu, gdy pożyczył Zdziśkowi W. pieniądze, a ten je przegrał w kasynie. Wtedy Dziad potrącił sobie z naszej kasy i o to był konflikt. Ale wcześniej na Wiatracznej panowała zgoda i porządek. Dawaliśmy klientom lepsze ceny niż kantor, to woleli handlować z nami. Zarabialiśmy dziennie po tysiąc dolarów na głowę. Zabroniliśmy robić przewalki na tzw. wajchę [przy większych transakcjach oszuści zamiast paczek z pieniędzmi wręczali klientom pocięty papier – przyp. aut.]. Ale i tak milicja za nami jeździła, szukała dziury w całym. Potem, już za Suchockiej, kiedy była premierem, wydano specjalną instrukcję na nasz temat. Nazwano nas grupą Pięciu, a sprawie nadano kryptonim Elita. Inwigilowali nas, ale i tak niczego nie znaleźli.

– **Ale handel pod kantorami szybko się skończył.**

– Wtedy założyliśmy spółkę akcyjną Oldstar – ja, Słowik, ten Zdzisiek, który orznął Dziada, i pewien finansista, Jerzy K., on do tej pory w tej firmie działa. To było konsorcjum finansowo-handlowe, ale interesowała nas też produkcja. Kupowaliśmy tłuszcze z zakładów mięsnych w Sokołowie, a produkowaliśmy obrotnice na Targi Poznańskie. Potem to siadło, bo prasa nas atakowała i partnerzy nie chcieli z nami handlować. Mieliśmy kontrole jedna za drugą, ale nigdy nic nie znalazły. Siedziba firmy była na ul. Francuskiej, w lokalu dzierżawionym nam przez Wojtka P. [przedsiębiorca budowlany uważany za skarbnika Pruszkowa, na początku lat 90. typowany na

wiceministra budownictwa – przyp. aut.]. Ten Wojtek miał przez nas kłopoty, bo bez jego wiedzy wpisałem go do rady nadzorczej spółki i potem mówiono, że współpracuje z gangsterami.

– **Jakimi gangsterami, przecież twierdzi pan, że to tylko biznes?**

– Bo tak było, aż do czasu jak zaczął na nas polować brat Heńka zwanego Dziadem, czyli Wariat. Ubzdrał sobie, że będzie nas po kolei porywał dla okupu. Ryśka Sz. nawet zawinał, zwolnił go za 120 tysięcy dolarów. Kiedyś pod go-go przy hotelu Polonia zaczął do nas walić z kałacha. Chciał zabić Pershinga. No to zaczęliśmy się bronić.

Spirytus rusza do kraju

Początek lat 90. przyniósł zmiany w kodeksie karnym. – Przestał obowiązywać artykuł, który mówił o zorganizowanej działalności godzącej w interes państwa, i drugi o niegospodarności w zarządzaniu mieniem społecznym – mówi Marian Duda, emerytowany policjant, były naczelnik wydziału kryminalnego na Pradze-Południe. – To stworzyło próżnię, w którą natychmiast weszły gangi.

Na początku lat 90. w Polsce odbyła się międzynarodowa narada przedstawicieli resortów spraw wewnętrznych i sprawiedliwości. Delegaci z Europy Zachodniej dociekali, dlaczego Polska nie wprowadza sprawdzonych na świecie narzędzi do zwalczania procederu prania brudnych pieniędzy: prowokacji policyjnej i przesyłki kontrolowanej. Strona polska wyjaśniała, że w społeczeństwie, które właśnie uwolniło się z systemu totalitarnego, takie metody byłyby źle przyjęte. Na dobrą sprawę nie wiadomo, czy taka interpretacja była tylko naiwnością ówczesnych decydentów, czy też stanowiła parawan dla tych, którzy korzystali z braku odpowiednich narzędzi prawnych. Wprowadzono je (a także instytucję świadka koronnego) dopiero w 1997 r. Do tego czasu Polska była potężną pralnią nielegalnie zdobytych pieniędzy. Opłacało się obracać gotówką pochodzącą z nieudokumentowanych źródeł. Na przełomie lat 80. i 90. uchylono furtkę, dzięki której legalnie sprowadzono do Polski miliony litrów spirytusu z Europy Zachodniej. Powstały ogromne fortuny. Zjawisko nazwano aferą alkoholową. I chociaż furtkę zamknięto, transporty wypełnione alkoholem nadal przekraczały granice, teraz już jako kontrabanda. Dla gangów przemysł spirytusu i wprowadzanie go do obrotu w postaci fałszywej wódki stały się złotą żyłą. Gang z Pruszkowa jako pierwszy opatentował własny wynalazek. Po co ryzykować wpadkę na granicy, kiedy bezpieczniej po prostu okradać przemysłników? Zaczęto na masową skalę napadać na należące do różnych szemranych biznesmenów tiry z nielegalnym spirytusem. Poszkodowani swoich strat nigdzie nie zgłaszali.

Styl pruszkowski szybko podchwycili gangsterzy z innych części Polski. Przez prawie dziesięć lat trwała hossa świata przestępczego. Inaczej niż za PRL, przestępcy trafiali teraz na czołówki największych gazet, sponsorowali imprezy, bawili się w vipowskich salach najlepszych klubów,

zamieszkiwali w najdroższych apartamentowcach, obok polityków, znanych aktorów i biznesmenów. Odpoczywali na egzotycznych wysepkach, weszli do kultury masowej, powstały o nich dziesiątki filmów i artykułów. Mit twardych, bezlitosnych facetów, którzy niczego się nie boją, stał się atrakcyjny w wielu zaniedbanych społecznie środowiskach. Bycie gangsterem wręcz nobilitowało, wydawało się świetnym sposobem na łatwe, choć często krótkie życie. W czasie, kiedy status materialny stał się najistotniejszym wyznacznikiem sukcesu, wielkie pieniądze mafiosów przemawiały do wyobraźni.

Kapiszon ma broń

Styl pruszkowski stał się – dosłownie i w przenośni – modny. Dosłownie, bo każdy początkujący bandyta nosił się, jak kazała moda: dresik, adidasik, złote ozdoby. Dopiero po latach dresy zastąpiły skórzane kurtki i szykowne garnitury. Standardowe wyposażenie gangstera pierwszej połowy lat 90. to bmw albo mercedes, obowiązkowo z przyciemnianymi szybami. No i klasyczna sylwetka: gruby kark, mięśnie nadmuchane sterydami. Obowiązkowym atrybutem mafiosa była też broń. Dostęp do niej okazał się powszechny. Towar w postaci pistoletów, karabinów, a nawet granatów oferowano na każdym bazarze. Ceny niewygórowane. Bazarowy arsenał pochodził głównie z przemytu i z magazynów stacjonujących w Polsce jednostek armii radzieckiej. Soldaci postradzieccy w szaleńczym tempie wyprzedawali wszystko, co mieli na stanie, kiedy było już pewne, że niedługo opuszczą Polskę. Prezydent Wałęsa chlubi się do dziś, że to on wyprowadził z kraju armię radziecką, ale już przemilcza fakt, iż nie potrafiono wtedy kontrolować czarnego rynku broni. Wojsko wyjechało, karabiny przejęły gangi.

Niejaki Kapiszon z Targówka, który za zastrzelenie na początku lat 90. dwóch praskich bandytów (Szajby i Leona) trafił do kryminału, mówił nam, że kupił sobie pistolet Makarow na straganie przy Stadionie Dziesięciolecia. – Dałem Ruskiemu 600 dolarów – przekonywał. Kapiszon został skazany na 15 lat, wyrok przyjął z pokorą, ale twierdził, że zabił w obronie własnej. Gdyby nie sięgnął po broń, sam padłby ofiarą.

O Szajbie, Leonie i Kapiszonie szybko zapomniano, bo to nie byli gangsterzy z top listy, ale zaledwie podoficerowie w armii świata przestępczego. Przez kroniki kryminalne lat 90. przewinęły się tysiące takich funkcjonariuszy mafijnych średniego szczebla. Jedni w roli sprawców, inni jako ofiary. Ginęli jak muchy, i to przeważnie z ręki własnych kumpli, bo we wzajemnych sporach po broń sięgano równie szybko jak na Dzikim Zachodzie. Policja z ukrytych kamer filmowała ich pogrzeby. Kobiety lamentowały, mężczyźni dyskretnie ronili łzy. Ta rozpacz nie była udawana. Podczas pogrzebów silni ludzie przeżywali prawdziwe chwile refleksji. Ale poza murami cmentarza

wzruszenie przemijało, wszystko wracało do normy. I znów chwymano za broń i naciskano spusty.

Uważany za przywódcę grupy wołomińskiej Dziad, który wśród swoich rozlicznych biznesów miał też zakład kamieniarski, wyliczył kiedyś, że na zmarłych kamratkach dorobił się niezłej sumki, bo postawił bodajże siedemdziesiąt nagrobków. Mawiał, że wojna gangsterska w Warszawie to był mały Wietnam.

Kobiety na celowniku

„Mafia to męski świat, tutaj nie strzela się do kobiet”. Starej zasady *cosa nostry* nie udało się przeszczepić na polski grunt. Jedną z pierwszych w kraju śmiertelnych ofiar mafijnych porachunków była przyjaciółka złodzieja samochodów ze Szczecina, Waldemara S., ps. Gruby Janek. Miała na imię Agnieszka, kochała Grubego Janka i gangsterskie filmy, które oglądała nawet po kilka razy. Znała na pamięć scenę z sagi Sergia Leonego *Dawno temu w Ameryce*, w której od kuli ginie dziewczyna głównego bohatera, granego przez Roberta De Niro. Wzruszała się, bo ta piękna kobieta straciła życie przez miłość do mężczyzny uwikłanego w mafijne porachunki. Agnieszka miała 21 lat. Została zabita w październiku 1993 roku, w ten sam sposób jak dziewczyna z tamtego filmu. Razem z nią zginął Gruby Janek.

Zabójcy działali profesjonalnie, strzelali z przerobionego, gazowego walthera. To był szok dla służb kryminalnych w Polsce – wprawdzie egzekucje zdarzały się wcześniej, ale dochodziło do nich w lasach, hotelach, a nie w domowym zaciszu i z broni palnej. I nigdy dotąd w przestępczych rozrachunkach nie strzelano do kobiet.

Agnieszka pracowała w nocnym klubie jako kelnerka, przyciągała wzrok wielu mężczyzn, tracili dla niej głowę. Zbierała wysokie napiwki, ale nigdy nie flirtowała z gośćmi klubu. Wystawali pod lokalem, czekając, aż skończy pracę. Sprytnie się im wymykała, tłumacząc, że „pada z nóg” i że „wyleci z pracy, jeśli szef zobaczy”. Przez wiele lat, już po jej śmierci, w lokalu wisiąły na ścianach zdjęcia Agnieszki. Gruby Janek musiał się sporo natrudzić, zanim umówiła się z nim na pierwszą randkę. Był od niej o dziesięć lat starszy, miał nie najlepszą reputację, sporą nadwagę i żonę, prawniczkę. Wmówił Agnieszce, że pracuje w „zagranicznej spółce joint venture” w branży motoryzacyjnej. W rzeczywistości handlował kradzionymi w Niemczech autami, miał na to zielone światło od Nikosia z Gdańska – króla złodziei samochodów. W półświatku cieszył się szacunkiem, budził respekt.

Kiedy na początku lat 90. z jednego z urzędów wojewódzkich skradziono kilkaset paszportów, podejrzewano, że trafiły one w ręce Grubego Janka. Chciał je sprzedać wysoko postawionemu w gangsterskiej hierarchii przestępcy z Gorzowa Wielkopolskiego. Umówili się w

lesie na transakcję. Waldemar S. oszukał kontrahenta. Odjechał z paskami i kasą. Potem cały półświatek miał nielegalne paszporty z paskami od Grubego Janka.

Agnieszka szalała z niepokoju, bo Waldek zniknął na całe dni i noce, co rusz wynajmował nowe mieszkania, ukrywał się, i to nie przed organami ścigania. Prokuratura oskarżyła Waldemara S. o przestępstwa samochodowe, odpowiadał z wolnej stopy. Przed pierwszą rozprawą planował spotkanie ze swoim adwokatem, jednak nie przyszedł. – Wtedy zadzwoniła do mnie Agnieszka i powiedziała, że Waldek jest w Warszawie, ale o terminie rozprawy pamięta i z pewnością stawi się w sądzie – wspomina mecenas Andrzej Mataj. – Mówiła spokojnie, nie wyczuwałem w jej głosie strachu czy niepokoju. Ale on nie przyszedł na rozprawę. Poprosiłem sędziego o krótką przerwę. Chciałem skontaktować się z klientem i wyjaśnić przyczynę jego nieobecności. Telefon odebrał jakiś policjant, który powiedział, że Waldek nie przyjdzie do sądu. Pomyślałem, że go zatrzymali za jakąś inną sprawę, zatem od razu dodałem, że jestem jego obrońcą. „Teraz już mu żaden obrońca nie będzie potrzebny” – usłyszałem.

Gruby Janek musiał znać zabójców, bo obcych nigdy nie wpuściłby do domu. Po pierwszych strzałach próbował uciekać na klatkę schodową (na ścianach była jego krew), wołał o pomoc, ale nikt z sąsiadów nie otworzył drzwi. Agnieszka szukała schronienia w łazience, ale i ona była bez szans. Dostała prosto w głowę. Mordercy sporo wiedzieli o szczegółach prowadzonego śledztwa, grozili śmiercią policjantom przydzielonym do tej sprawy, znali ich nazwiska, adresy, imiona dzieci.

Rok po tamtym zabójstwie zastrzelono w Szczecinie 21-letnią Agnieszkę B. – barmankę z Royal Pubu, powiązaną z handlarzami narkotyków, potem 23-letnią Iwonę M., która zginęła ze swoim chłopakiem Rambo – jednym z bossów tamtejszego półświatka. Do dziś nie udało się ustalić, kto dokonał egzekucji. To nie koniec czarnej serii. 20 lipca 1999 roku w szwedzkiej miejscowości Malmö Jacek N., ps. Kato, z „Pruszkowa” zastrzelił Monikę H. Dziewczyna chciała ułożyć sobie życie z Piotrem R., gangsterem z grupy Oczi.

Wciąż widzę ją martwą

Z Piotrem R. spotkaliśmy się w więzieniu w Nowogardzie, gdzie odsiadywał wyrok za udział w zbrojnym gangu Marka M., ps. Oczi. Oto fragment tamtej rozmowy:

– **Jak pan i Monika znaleźliście się w Szwecji?**

– Monika mieszkała tam od ponad dziesięciu lat. Wyjechała z Polski z mamą, po rozwodzie rodziców. Miała swoje mieszkanie, pracowała w restauracji, zarabiała jako modelka. Robiła karierę, jej twarz pojawiała się na okładkach popularnych magazynów mody. Ja uciekłem z kraju przed policją, wiedziałem, że mam być zatrzymany, miałem fałszywy paszport. To Monika sprawiła, że

przestępcze interesy i zasady straciły sens. Chciałem żyć normalnie.

– **Wiedziała o pana przeszłości?**

– Nie wszystko. Postawiła mi twarde warunki: „Zrywasz z przeszłością albo odchodzę”.

– **Jaka była Monika?**

– Zjawiskowa, piękna, zgrabna. Miała 21 lat, długie, jasne włosy, czarujący uśmiech. Chciałbym pamiętać ją żywą, ale wciąż widzę ją martwą, jak na tych zdjęciach, które zrobiła policja. Zabójca strzelił trzy razy. Jedna z kul roztrzaskała jej czaszkę.

– **Pan też miał wtedy zginąć.**

– Miałem wiele szczęścia, właściwie to był cud. Jedna kula drasnęła mnie w skroń, druga przebiła plecy, na chwilę straciłem przytomność. Kiedy się ocknąłem, udawałem martwego, chyba tylko dlatego żyję. Widziałem, jak Kato strzela do Moniki. Uciekłem, kiedy wymieniał magazynek.

– **Kim jest Kato?**

– Był moim dobrym znajomym. Zналиśmy się z Warszawy, pracował tam dla grupy pruszkowskiej. Monika nie miała pojęcia, kim jest ten człowiek. Tamtego dnia, właściwie było to późno wieczorem, siedziała na kanapie, w dresach, miała na głowie ręcznik, suszyła włosy. Kiedy Kato nacisnął domofon, rzuciła mu z okna klucze, żeby otworzył sobie drzwi klatki. Zamykano je na noc.

– **Wpuściła mordercę...**

– Była ufna jak zawsze, pewnie nawet przez chwilę nie podejrzewała niebezpieczeństwa. Tymczasem on wyciągnął broń, powiedział: „No” i zaczął strzelać. Najpierw do mnie, potem do niej. Do końca życia będę żył ze świadomością, że ta piękna, dobra jak anioł dziewczyna zginęła przeze mnie. Jej rodzina nigdy mi tego nie wybaczy.

– **Po ekstradycji do Polski milczał pan prawie dwa lata.**

– ...

– **Prokurator oskarżający „Pruszków” pokazał panu zeznania, z których wynikało, że to dawni przyjaciele z gangu nasłali na pana zabójcę.**

– ...

– **Dopiero wtedy powiedział pan, kto strzelał, ale nigdy, nawet podczas procesu sądowego, nie ujawnił pan motywów, dla których dawni koledzy chcieli pana zlikwidować. Dlaczego?**

– Znałem zbyt wiele tajemnic gangu. Moi dawni kumple obawiali się, że zacznę sypać. Sam przecież miałem zostać killerem i tylko przypadek sprawił, że w Antwerpii, dokąd mnie wysłano na „mokrą robotę”, nie wykonałem egzekucji.

– **Jaki przypadek?**

– Na granicy wpadła broń, która miała być użyta do wyeliminowania bogatego Żyda, powiązanego interesami z moim szefem. Zabito go kilka tygodni później. Kiedy do moich kompanów doszły pogłoski, że chcę się wycofać z gangu, potraktowano mnie jak zdrajcę i wydano wyrok. Zabójca nie

mógł zostawić żywego świadka. Dlatego zamordował Monikę.

– **W procesie karnym mordercy Moniki wystąpił pan w podwójnej roli: kluczowego świadka i oskarżyciela posiłkowego.**

– Zażądałem dożywocia, tyle dostał. Od dnia jej śmierci wciąż zastanawiałem się, dlaczego Bóg pozostawił mnie przy życiu. Teraz to wiem: przeżyłem, aby Kato już nikogo nie zabił.

– **Jak przyjął wyrok?**

– Z kamienną twarzą.

– **A pan?**

– Chyba płakałem.

Kilka miesięcy po zabójstwie Moniki H. polska policja znalazła w lesie pod Chociwlem ciało 30-letniej Ewy M., dziewczyny kolejnego gangstera. W sylwestrową noc 2003 roku w pewnym mieszkaniu na Mokotowie znaleziono martwą Annę S. – dziewczynę warszawskiego przestępcy Piotra Sz. Zginęła wraz z ukochanym. Miała 27 lat.

Pięć lat później, 10 stycznia 2008 roku, nieznani sprawcy dokonali egzekucji na żonie Krzysztofa M. Bajbusa z grupy mokotowskiej. Anna miała 35 lat i dwójkę małych dzieci, zginęła od strzałów w plecy. Bajbus siedział wtedy w więzieniu. W półświatku mówiono, że układa się z prokuraturą na świadka koronnego. Egzekucja na Annie miała być ostrzeżeniem. Bajbus i tak zeznawał.

Wojna „Pruszkowa” z „Wołominem”

Grupy przestępcze swoje nazwy wzięły od miast okalających Warszawę. Lokalni złodzieje z przedmieść stolicy nagle przemienili się w gangsterów działających w związkach mafijnych nazywanych swojsko: „Otwock”, „Żyrardów”, „Wyszków”. Na tej samej zasadzie ochrzczone „Pruszków” i „Wołomin” – dwie największe organizacje przestępcze, które początkowo zgodnie ze sobą współpracowały. Niejaki Ceber, który wspólnie z Dziadem prowadził kantor i lombard w Ząbkach, jednocześnie pracował dla grupy pruszkowskiej. Inny wspólnik Dziada, Lutek, aż do dnia swojej śmierci w 1999 r. (zastrzelony w barze Gama na warszawskiej Woli) krążył między Wołominem a Pruszkowem. Sam Dziad też miał wspólne interesy z pruszkowskimi. W 1992 r. został nawet aresztowany razem ze Słowikiem i Oczkiem – przyłapano ich wraz z transportem nielegalnego spirytusu. Aż nagle na przełomie 1992 i 1993 r. zgoda się skończyła. Wybuchła krwawa wojna. Powód? Jak zawsze, pieniądze.

Stroną atakującą był przeważnie „Wołomin”, a właściwie Ząbki. W tym czasie bowiem gangi z

prawej strony Wisły podzieliły się na mniejsze struktury. „Wołominem” rządili Lutek i Klepak, osobno hasała grupa Kikira, a osobno ludzie Dziada. Do dzisiaj trwają spory, kto tak naprawdę rządził mafią: Dziad czy jego starszy brat, słynny Wariat. To Wariat porwał Ryśka Sz., ps. Kajtek, próbował porwać pruszkowskiego bossa Wańkę i zastrzelić Pershinga. Ksywkę Wariat nadano mu właśnie z powodu gwałtownego charakteru – decyzje podejmował raptownie i bez specjalnego namysłu. Kiedy zamiast Pershinga postrzelił jego kierowcę i ochroniarza Florka, miarka się przebrała. „Pruszków” szukał odwetu. Dopadli Wariata dopiero w 1998 r. – zginął od kul na ul. Płowieckiej, pod sklepem nocnym. Do dzisiaj jednak nie jest pewne, czy strzelali pruszkowscy, czy też ludzie z jego otoczenia, dawni kumple, którzy stali się wrogami. Zanim do tego doszło, przez Warszawę przetoczyła się fala wybuchów bomb podkładanych pod auta i knajpy, w ulicznych strzelaninach śmierć poniosło kilkadziesiąt osób. Dziad, który w tamtym wybuchowym okresie trafił za kraty, z jednej strony narzekał, że to kara za niewinność, ale refleksyjnie zauważał przy okazji, że być może dzięki pobytowi w kryminale uratował życie.

Tego szczęścia nie mieli bohaterowie „Pruszkowa”: Kielbasa, Pershing, Dreszowie (ojciec i syn), Junior, Książdz, Kciuk, Klajniak, Zwierzak i dziesiątki innych. Ginęli przeważnie z ręki własnych kamratów – tak ostro walczone o władzę. W Pruszkowie było zresztą o co walczyć, bo ta grupa podporządkowała sobie większość przestępczej Polski. Nie bez powodu Jarosław S., ps. Masa, późniejszy świadek koronny, nazywał gangsterską mapę kraju Polską pruszkowską.

Mapa Polski pruszkowskiej

Mafia rozpełzła się po kraju. Małe, lokalne grupy przestępcze kolejno przystępowały do większych struktur. Bossowie „Pruszkowa” mieli w zwyczaju wspólne wyprawy do innych miast. Wystarczyło, że pokazali się w Szczecinie, Zgorzelcu, Suwałkach czy Lublinie, a już miejscowi gangsterzy na wyścigi deklarowali poddaństwo. Za „Pruszkowem” szła bowiem legenda. – Bardzo pomogli nam dziennikarze – przyznaje Jarosław S., ps. Masa. – Pisali, jacy to jesteśmy groźni, jacy krwawi. Mieliśmy dobrą prasę.

W Polsce lat 90. funkcjonował twór, który można określić mianem międzymiastówki gangsterskiej. Cały krąg postaci z różnych części kraju pozostawał ze sobą w bliskich relacjach. Ludzie ci znali się, współpracowali ze sobą, razem organizowali różne przedsięwzięcia. W siatce wspólnych powiązań byli Pershing, Bolo, Malizna, Wańka czy Słowik ze strony „Pruszkowa”, Oczko ze Szczecina, Simon z Katowic, Dziad i Ceber z Ząbek, Lutek i Klepak z „Wołomina”, Nikoś z Gdańska, Carrington i Lelek ze Zgorzelca, Wiesław P. z Kurowa, a obok niego sam Bogusław B. (znany z afery Art-B), Orzech z Poznania, Uchal z Wyszkowa, Dziuniek z Lublina, Sandokan z Gliwic i dziesiątki innych,

drobniejszych przestępców z Suwałk, Bydgoszczy, Opola, Wrocławia, Krakowa i Częstochowy. Ludzie ci przyjaźnili się z tzw. uczciwymi biznesmenami, robili z nimi interesy, bywali u siebie nawzajem w domach, wyjeżdżali na wspólne wakacje. Pozostawali w bliskich związkach z wieloma politykami. Znane są kontakty, jakie z mafiosami utrzymywali wicepremier z czasów rządu Mieczysława Rakowskiego, a potem szef GUC i działacz SLD Ireneusz Sekuła i nieżyjący już poseł Tadeusz Kowalczyk z Radomia (BBWR). Z Pershingiem przyjaźnił się senator i biznesmen Aleksander G., który dostał wyrok za przestępstwa podatkowe. Podobny los spotkał współpracującego z „Pruszkowem” b. posła AWS Marka K.

W wyniku wojny między gangami stworzono nową mapę Polski. Ustalił się następujący podział: „Pruszków” rządził terenami na zachód, północ i południe od Warszawy; „Wołomin” nadzorował granicę wschodnią. Tej mapy już nie ma. Starzy pruszkowscy – jak nazywany jest zarząd gangu – dostali i odsiedzieli swoje wyroki, a większość starych wołomińskich jest już w grobach, m.in. Lutek, Klepakowie, Kikir, Wariat. Zginęli Simon i Nikoś. Dziad zmarł w kryminale, a jednego z jego synów zastrzelono pod Warszawą. Ale natura nie znosi próżni, miejsce starych zajmują młodzi, chociaż ich kariery nie są już tak błyskotliwe. Szybko zaczynają i szybko kończą. Nowi giną w wymianie ognia z innymi młodymi bandziorami albo trafiają za kraty, bo policja już nauczyła się skutecznie z nimi walczyć, choć mafia broni się wszelkimi sposobami.

II. O miłości, przyjaźni i nienawiści

Kiedyś istniały zasady. Wyznaczała je grypsera. Obowiązywał podział na ludzi, frajerów i cweli. Ludzie ludzi szanowali, frajerów olewali, a cweli upokarzali. W grupie pruszkowskiej świat zasad przestał istnieć, bo trzymanie się grypsery ograniczało zyski. Nie zajmowano się już gnojeniem frajerów i cweli, ludzie zaczęli zabijać ludzi.

Ali porządkuje skwerek

Kiedy po śmierci Barabasza przywódcą grupy pruszkowskiej został Ali, niektórzy zaczęli pomawiać go o współpracę z policją. Było to o tyle zabawne, że większość członków gangu była zblatowana ze „swoimi” gliniarzami. Prowadzili handel wymienny – informacja za informację. Według ówczesnego szefa wydziału kryminalnego Komendy Powiatowej w Pruszkowie Andrzeja Wielondka, tak naprawdę współpraca Alego, który był właścicielem sklepu monopolowego w centrum miasta, polegała na zaprowadzeniu porządku na skwerku obok sklepu. Gromadziły się tam lokalne męty, wybuchały awantury. Alego wezwano dyskretnie na komendę i zażądano, aby załatwił sprawę, bo inaczej utraci koncesję. I przy sklepie zaraz zapanował spokój, za to na Alego spadły kłopoty. Został publicznie poniżony przez Parasola i po tym incydencie usunął się w cień, odszedł z grupy. Podobno później prowadził hurtownie mebli gdzieś na Mazurach. Jego syn Ireneusz jest szwagrem Masy. Co ciekawe, obaj ożenili się z dwiema siostrami. Kiedy Ireneusz trafił za kraty, pogrzyżył go swymi zeznaniami świadek koronny Marek S., ps. Sikor. Masa, który wszelkimi siłami próbował chronić szwagra, zrezygnowany machnął ręką. – Jeśli Sikor coś wiedział o Irku, to miał obowiązek zeznać – oświadczył. – W końcu my, świadkowie koronni, jesteśmy od ujawniania prawdy, nawet jeżeli uderza w członków naszych rodzin.

Zakład Karny w Wołowie, fragment rozmowy z Parasolem (wówczas skazanym za założenie i kierowanie grupą pruszkowską):

- **Podobno między panem a Alim była awantura, nieźle go pan poharatał?**
- Gdzie tam awantura! Takie męskie, między nami... Po klapsie sobie daliśmy i to cała sprawa, jak

to na podwórku nieraz bywa.

– **Pan w dawnych czasach** [lata 80. – przyp. aut.] **nie był bez skazy. Miał pan wyroki, siedział w więzieniu.**

– Tak, siedziałem. Podłożył mnie Barabasza. Ja byłem młody chłopak, małaś, jak to się mówi. Pomówił mnie. Wtedy nie było świadków koronnych, ale był artykuł o nadzwyczajnym złagodzeniu kary. W zamian za obciążenie innych dostawało się mniejszą karę, zgodę na paczki, widzenia, przepustki, a Barabasza nawet wożono na widzenia z żoną do hotelu.

W zakamarkach Żbikowa

Parasol, Barabasza, Masa, Dziki – to postacie ze Żbikowa, pruszkowskiej dzielnicy zrujnowanych przedwojennych czynszówek i slumsów. Wieczorami mieszkańcy innych części miasta nie zapuszczali się w ten zakazany rejon. Nawet funkcjonariusze ZOMO, którzy stacjonowali w pobliskich koszarach, omijali ciemne żbikowskie uliczki, bo łatwo było tu dostać po łbie od nieznających lęku oprychów.

Żbików w czasach PRL był miejscem wstydlwym. Tu kryła się bieda. Dla Jarosława S., ps. Masa, właśnie bieda jest najbardziej dojmującym wspomnieniem z dzieciństwa. Pamięta stare meble w mieszkaniu rodziców i obciachowe spodnie z krempliny, w których kazała mu chodzić matka. I koszarne mikołajki w klasie w podstawówce: – Losowaliśmy nazwiska dzieciaków, którym robiło się prezenty – opowiada Masa. – Kiedy odpakowano moją paczkę, okazało się, że matka zapakowała w ozdobny papier stare książki. Nie miała pieniędzy, więc zawinęła, co miała pod ręką. Nauczycielka wygoniła mnie z klasy, a ja ze wstydu nie wiedziałem, co mam ze sobą zrobić.

Ojciec Masy był bokserem. Trenował w warszawskiej Legii, ale bez sukcesów. Kiedy Jarek miał dwa lata, tata porzucił mamę i odszedł. Mama pracowała w fabryce, ale zarabiała niewiele. Jarek wstydził się swoich marnych ubrań. – Jak kończyłem ósmą klasę, mama szarpnęła się i kupiła mi dzinsy Mastery – opowiada. – Chodziłem po Pruszkowie dumny jak paw. – I dlatego postanowił dojść w życiu do dużych pieniędzy. – Nadszedł czas, że już tylko to mnie interesowało – wyznaje. – Jak zarobić, jak wejść w posiadanie naprawdę dużej kwoty.

Pierwszy poważny zastrzyk gotówki przyniosło udane włamanie do fabryki Mery. Dokonał tego razem z Kielbasą. – Starczyło na brykę, markowe dzinsy i niezłe żarcie – mówi. Przed pruszkowskim Peweksem, gdzie handlowali walutą, zarabiali po milion starych złotych dziennie. – A pensja górnika nie przekraczała wtedy 50 tysięcy – porównuje. Ale prawdziwe eldorado zaczęło się w 90 r., kiedy wziął udział w kradzieży dwóch traków wypełnionych papierosami marki Prince. Dostał za to należną działkę – 125 tysięcy dolarów. Potem następne traki, legalizowanie kradzionych samochodów (szacuje, że było ich ok. 300), wreszcie udział w zyskach od grup podporządkowanych

„Pruszkowowi” (mówi, że w gangu był o szczebel niżej niż zarząd i zajmował się inkasowaniem taksy od innych grup przestępczych). Nie ujawnia wielkości majątku, jakiego dorobił się z przestępstw. Twierdzi, że to trudno wyliczyć, bo kiedy miał już pieniądze, inwestował je w legalne interesy. Posiadał dyskotekę, restaurację i udziały w kilku spółkach, dochody pochodziły więc także z uczciwych źródeł. Jeździł drogimi samochodami, wybudował wspaniały dom, w którym mieszkał wraz z żoną i dwójką dzieci. Rodzinę trzymał z daleka od gangsterskich spraw, nie zapraszał do willi kumpli od czarnych biznesów.

Teren prywatny – wstęp wzbroniony

W połowie lat 90. Masa kupił tysiąc metrów działki w Komorowie pod Warszawą. Postawił na niej dom swoich marzeń: na 440 metrach kwadratowych znalazły się m.in. cztery sypialnie, spory salon, basen i pokój kąpielowy wielkości średniego mieszkania. – W tamtych czasach koledzy wszystko przepijali, a ja budowałem. Miałem wizję i rozmach. *Dynastii* się naoglądałem.

Atrakcją domu było gigantyczne akwarium o pojemności 1700 litrów. Pływały w nim piranie i pielęgnice pawiookie z dorzecza Amazonki. Jarosław S. karmił je polędwicą. Jego dom wyróżniał się zielono-pomarańczową elewacją. We wnętrzach królowały pastele, na podłogach – marmury i granity. W holu stała siedmiometrowa fontanna. Można ją było podziwiać z każdej z trzech kondygnacji. Jego dom był otwarty dla koleżanek i kolegów jego syna i córki. Dzieciaki lubiły przychodzić na przyjęcia urodzinowe: na stole zawsze były lody, galaretką z bitą śmietaną i owoce południowe. Pewien mieszkaniec Pruszkowa, którego córka chodziła do jednej klasy z córką Masy, wspomina: – Kiedy dowiedziałem się, kim tak naprawdę jest ten pan zwany Masą, zabroniłem dziecku bywać u tej koleżanki. Protestowała gorąco, bo żal jej było.

Dumą gospodarza był barek. Trunki z jego kolekcji warte były jakieś 200 tysięcy złotych. Senator G., częsty gość w tamtych progach, zawsze prosił o koniaczek. Gospodarz preferował niebieskiego johnniego walkera.

Mieszkańcy Komorowa domyślali się, że mają sąsiada gangstera. Przed jego domem pojawiały się najdroższe w okolicy auta. Zatrzymywały się na wyłączonej z ruchu ulicy, z której Jarosław S. zrobił sobie prywatny parking. Z samochodów wysiadali rośli faceci z ogolonymi karkami. Elżbieta, żona Masy, nie życzyła sobie ich wizyt, dlatego interesy załatwiano na parkingu. Jarosław S. mieszkał w Komorowie zaledwie trzy lata. W 2000 roku został świadkiem koronnym. Od tamtej pory willa przez długi czas stała pusta. Bezskutecznie próbowało ją sprzedać kilka biur nieruchomości. Prawnik, który się tym zajmował, twierdzi, że nad tym domem ciążyło jakieś fatum. Pomimo atrakcyjnej ceny przez siedem lat nie można było znaleźć kupca. W 2006 roku Masa miał poważne problemy finansowe.

Fundusze od państwa starczały mu podobno wyłącznie na piętrzące się opłaty za dom, gdzie ukrywał się z rodziną, oraz utrzymanie posiadłości w Komorowie. Aby ograniczyć koszty, postanowił wrócić na stare śmieci. – Wystawisz siebie i swoich bliskich na pewną śmierć – ostrzegali policjanci z ochrony. Do przeprowadzki oczywiście nie doszło, a kilka miesięcy później wyceniony na 2,6 mln zł dom sprzedano za 1,4 mln zł.

Żona koronna

Rodzina zawsze była ważna dla Masy, to dla bezpieczeństwa żony i dzieci postanowił diametralnie zmienić swoje życie, zostając świadkiem koronnym. Jego żona Elżbieta nigdy nie trafiła na łamy gazet, nie brylowała po lokalach, nie rozrzucała pieniędzy w ekskluzywnych sklepach. – Nigdy nie była pazerna na pieniądze i nawet wtedy, gdy zarabiałem w gangu dziesiątki tysięcy dolarów, ona wciąż była skromna. Nie szalała z drogimi ciuchami i kosmetykami – podkreśla Masa.

Poznali się w Pruszkowie, gdzie oboje mieszkali. Ona miała czternaście lat, on szesnaście. Jarosław S. przyjaźnił się z jej bratem Koczisem, grali razem w hokeja i chodzili do tego samego technikum samochodowego. – Kiedy odwiedzałem go w domu, zawsze zerkąłem na jego młodszą siostrę. Zakochałem się w niej po uszy – wspomina.

Elżbieta pochodzi z katolickiej rodziny. Kiedy pod koniec lat 70. uczyła się w warszawskim technikum gastronomicznym (jest z wykształcenia technologiem żywienia), dobrze zbudowany Jarek już dorabiał na bramkach w dyskotekach. Mieszkał wtedy z matką w pruszkowskich slumsach bez kanalizacji. Kiedy Ela go poznała, był biedny jak mysz kościelna – chodził w jednych spodniach i jednym golfie.

Pobrali się w 1982 roku, po czterech latach znajomości. Przez sąd, bo narzeczony „wykombinował w mieście” zaświadczenie, że jego dziewczyna jest w ciąży. W rzeczywistości ciąży nie było, ale oni naprawdę chcieli być razem. Ojciec Elżbiety nie mógł się z tym pogodzić, doszło do awantury. Ale zakochani i tak postawili na swoim. Po ślubie zamieszkali w domu rodzinnym Elżbiety.

Po roku Jarosław S. wyjechał do Niemiec, żeby – jak mówi – zarobić na lepsze życie. Kiedy pakował swoje rzeczy, Elżbieta była w czwartym miesiącu ciąży. W Hamburgu Masa okradał sklepy z alkoholem, papierosami i skórzanymi kurtkami. Po roku wrócił do domu, do żony i syna. Mówi, że to były jego najpiękniejsze czasy. Po kilku latach na świat przyszła ich córka. – Moja żona jest wspaniałą matką. Całe swoje życie poświęciła dzieciom. Wychowała je na porządnym ludzi. Nigdy nie pogodziła się z moją gangsterską robotą, ani na wizyty moich kumpli w naszym domu, którego strzegła jak twierdzy. Zło musiało zostać za drzwiami – takie były reguły, których nie złamały nawet największe pieniądze. Nie potrafiła być wdzięczna za dostatnie życie, jakie jej zapewniłem. Zamiast

„dziękuję” słyszałem tylko wyzwiska, że jestem bandytą i chamem.

Nie raz wykrzyczała mu w oczy, że jak nie będzie żył jak człowiek, to od niego odejdzie. Jarosław S. był jednak przekonany, że ona nigdy nie wystąpi o rozwód, gdyż kłóciłoby się to z jej katolickim wychowaniem. Nie chciał awantur, więc kłamał, że pieniądze zarabia uczciwie, że jest biznesmenem.

Spotkaliśmy się kilka lat temu na molo w Orłowie. Żona Masy – podobnie jak Jarosław S. oraz ich dzieci – była już pod parasolem programu ochrony świadków. Szczupła, ubrana na sportowo, z włosami upiętymi w dziewczęcy kucyk, wyglądała jak nastolatka. Jest raczej małomówna, skromna i życzliwa. W niczym nie przypominała np. byłej żony Słowika w ekskluzywnych kreacjach, drogich futrach i nienagannym makijażu. Nigdy też nie brylowała w towarzystwie pruszkowskiego półświatka. Czasami pod presją męża wybierała się z nim na czyjeś urodziny lub imieniny, ale zawsze narzekała, że to strata czasu. Siedziała przy stole milcząca, jakby nieobecna. Miała za złe mężowi, że wyciąga ją z domu.

– To nie był mój świat – mówiła żona Masy. – Buntowałam się, gdy Jarek przekonywał: „Musimy być tam razem, bo tak wypada”. Robiłam to dla niego.

Kiedyś wydawało się jej, że największym zagrożeniem dla męża jest policja. Bała się aresztowania, długiej, więziennej rozłąki. Z czasem zrozumiała, że prawdziwym zagrożeniem są ludzie, z którymi Masa robił interesy.

– Bałam się, że go zastrzelą, tak jak Kiełbasę, którego znałam z dzieciństwa, lub Pershinga. Strach towarzyszył mi każdego dnia, każdej nocy. To był koszmar, nie życie. Kiedy usłyszałam od męża, że poszedł na współpracę z prokuraturą i zostanie świadkiem koronnym, czułam niepokój, ale po raz pierwszy od lat zasnęłam spokojnie. Zrozumiałam, że koszmar się skończył.

Zanim Masa podjął najważniejszą w życiu decyzję, Elżbieta opowiedziała mu, co się działo, gdy na przełomie 1999 i 2000 roku była sama, bo on siedział w celi aresztu w Wadowicach. Bandyci podjeżdżali pod jej dom po nocach, wykrzykiwali pod oknami, że cała rodzina Masy skończy w drewnianych garniturach (tzn. w trumnach). W ciągu dnia blokowali jej samochód, osaczali ją, straszili także trzynastoletniego wówczas syna, że „będzie leżał koło tatusia”.

Po szczerzej rozmowie z żoną Masa zatelefonował do Olafa, przyjaciela-prawnika. „Dzwoń do prokuratora Mierzewskiego” – powiedział. – Przekaż mu, że będę zeznawał”.

Po kilkunastu latach pobytu w programie ochrony świadka koronnego małżeństwo Elżbiety i Jarosława S. przeżywało poważny kryzys. O tym jednak pisać nie będziemy.

U nich najbezpieczniej

W przeciwieństwie do Masy Janusz P., ps. Parasol, od dziecka zaliczał się do żbikowskiej elity, bo

jego tata prowadził zakład elektryczny. – Miał produkcję spawarek transformatorowych, w miesiąc potrafił zrobić 6 sztuk, każda kosztowała 5–6 tysięcy, a ludzie zarabiali wtedy po tysiąc sześćset. Tak że my byliśmy zamożną rodziną – wspomina. Parasol twierdzi, że to jest prawdziwe źródło jego finansowego sukcesu, a nie jakieś napady i wymuszenia. Jego żona była współwłaścicielką delikatesów w Piastowie (już padły, bo w pobliżu powstały supermarkety). On sam wspólnie z Ryśkiem P., ps. Krzysiek, prowadził restaurację Kaskada w Brwinowie. Organizowali tam dyskoteki dla młodzieży. W lokalnej gazecie zamieszczali nawet reklamy. Na zdjęciu widać było szeroko uśmiechniętych Parasola i Krzyśka, a hasło brzmiało: „U nas najbezpieczniej”.

Na początku lat 90. media wykreowały obraz hermetycznej i lojalnej wobec siebie mafii pruszkowskiej. Obok siebie wymieniano, jako przyjaciół, Parasola i młodszego o kilka lat Masę. Dzisiaj Parasol i Masa są zaprzysięgłymi wrogami. Jarosław S. w zeznaniach przed sądem najbardziej obciążał właśnie Janusza P., ps. Parasol. – To taki sam troglodyta jak Barabasz – charakteryzuje dawnego współnika Masa. – Bezwzględny, wyzuty z uczuć. On mnie też nie lubi, bo jest zawistny. Bo mam za dużo pieniędzy, bo jestem za silny dla niego.

Parasol o Masie: – Nigdy nie był moim przyjacielem. No, muszę przyznać, że parę razy go schlastałem po jełopie, żeby tak brutalnie powiedzieć. On był silny, ćwiczył na sterydach, ale kompletne zero, jeśli chodzi o serce do walki.

W połowie lat 90. wielu domniemyanych liderów grupy pruszkowskiej miało zarzuty o dokonywanie gwałtów. Wśród nich Masa, Parasol i jego przyjaciel Krzysiek (Ryszard P.). Po mieście chodziła plotka, że wśród poszkodowanych dziewcząt była też studentka resocjalizacji Małgorzata R., skazana później na dożywocie za udział w zamordowaniu dwóch dealerów Ery. – Zgwałcili ją w Kaskadzie Krzysiek z Parasolem. Krzysiek siedział za to w areszcie, ale jakoś się wykipił – twierdzi Masa. – Ona była dziwna, kochała świat gangsterski, kręciła się przy nas. Kiedyś chciała mi dać kilkanaście tysięcy złotych za zabicie jakiegoś człowieka, który rzekomo czyhał na jej głowę. Oplułem ją i odszedłem. Tak skończyła się moja znajomość z tą R. Potem zaprzyjaźniła się z Krzyśkiem i Parasolem.

Masa jednak odgrzebuje z pamięci zdarzenie, które stawia Parasola w korzystnym świetle: – Kiedyś po pijanemu wykupił cały towar ze sklepu spożywczego na Żbikowie, ja mu pomagałem. I potem tę żywność rozdawaliśmy za darmo staruszkom. Każdy, kto przyszedł, dostawał od nas siatkę z wiktuałami.

Dzisiaj Masa przypisuje Parasolowi współudział w próbie zabójstwa Wariata (szefa „Wołomina”), a Parasol twierdzi, że to Masa zlecił zabójstwo Wojtka K., ps. Kiełbasa.

Przyjaciele

Kiełbasę zastrzelono w lutym 1996 r., w biały dzień, w centrum Pruszkowa. Typowano go na przyszłego bossa grupy. Inteligentny i sprytny, obdarzony charyzmą, potrafił zyskać posłuch. Od początku lat 80. kręcił się przy bandzie Barabasza. Dla policji jego śmierć była sygnałem, że w „Pruszkowie” zaczęła się krwawa walka o władzę.

Masa o Kiełbasie: – Był moim największym przyjacielem, więc może dlatego mogę go tylko chwalić, nie miał złych cech. Był taki, że jak ktoś mu drogę zajechał, to mu urwał ucho, a zaraz potem zatrzymywał auto z piskiem opon, aby staruszkę przez jezdnię przeprowadzić.

Zapamiętał też swoistą uczciwość gangstera Kiełbasy: – Kiedyś przez pomyłkę wypłacono mu za dużo forsy za jakąś robotę dla grupy, a mnie pominięto. Kiełbacha mógł forszę schować, a on oddał mi połowę. Taki to był człowiek.

W gangu akcje Kiełbasy szły w górę. Masa wdrapywał się przy jego boku, był przez pewien czas oficjalnym ochroniarzem Wojciecha K. Obaj ochraniali też związanego z „Pruszkowem” biznesmena Wojciecha P. (jako się rzekło, typowanego na początku lat 90. na wiceministra budownictwa). Według Zygmunta R. (numer jeden na liście oskarżonych w procesie tzw. zarządu „Pruszkowa”) Masa i Kiełbasa po prostu zastraszyli biznesmena i ściągali od niego haracz za rzekomą ochronę.

Kiełbasa pochodził z tzw. dobrego domu, jego mama to szanowana lekarka, specjalistka od medycyny pracy. Dlaczego nie potrafiła upilnować syna, dlaczego pozwoliła, aby wybrał złą drogę?

Helena K., matka Kiełbasy: – Każdy ma swoje życiowe progi, a one potem rzutują na dalszy bieg.

Życiowy próg Kiełbasy

Fragmety rozmowy z Heleną K., lekarką, matką Kiełbasy:

– **Jakim Wojtek był synem?**

– Jako o synu to ja nie mogę powiedzieć nic złego.

– **Nie chcemy, żeby pani mówiła cokolwiek złego, raczej o tym, jak go pani zapamiętała.**

– Jako syn, jako brat, jako kolega to on był bardzo dobry. Ooo, ale miał swoje wejście w życie dość przykre i później to...

– **...tak się potoczyło właśnie?**

– Tak. W kilku słowach to trudno mówić. Każdy ma swoje życiowe progi, a one potem rzutują na dalszy bieg.

– **Czyli on miał pecha, że trafił na taki próg, którego później nie przekroczył?**

– On miał takiego pecha, że miał bardzo „dobrego” ojca i uciekał z domu, żeby przyjść dopiero wtedy, kiedy ja będę. No i stąd kolegów miał różnych.

– **Ale chyba do pewnego momentu wszystko było w porządku, przecież on nawet zrobił maturę.**

– Doszło do tego momentu, że jak był w piątej klasie, już miał w szkole napady padaczki, które nieraz utrzymywały się 24 godziny, i ja musiałam nieraz jechać na neurologię, tam dawali mu zastrzyk i jakoś to mijало. Później było podejrzenie, ponieważ był pod opieką profesora, było podejrzenie guza mózgu, ponieważ to się nasilało. A profesor wyciągnął ze mnie niechcący, ponieważ ja już pękłam i zaczęłam mówić, co się w domu dzieje. I profesor powiedział wtedy, co myśli o mnie jako o fachowcu. To było w gestii lekarza i ja nim jestem.

– **Ale pani jest internistą?**

– Nie, ja jestem od chorób zawodowych. Zajmuję się medycyną pracy. Tak że profesor był zdziwiony, że ja pozwoliłam, żeby mnie i Wojtka, i córkę ktoś czwarty doprowadził do progu wytrzymałości. No i wysłaliśmy go do sanatorium, gdzie chodził do szkoły, i okazało się, ponieważ on miał wysokie IQ, to on bardzo szybko wyszedł z kłopotów w nauce, no i zresztą tam był spokój, odstawiono leki, nie było napadów padaczki.

– **Pani powiedziała, że przyczyną był dobry ojciec.**

– Ponieważ Wojtek był słaby, mały, on go bił od małego, jak tylko dzieciak zaczął mówić.

– **Za coś konkretnego czy po prostu bez powodu?**

– Bez żadnego powodu. On się urodził, poród był bardzo ciężki, on się urodził w zamartwicy, ja byłam o krok od śmierci. I on miał ileś mikrowylewów w mózgu. I to dawało takie ubytki funkcji. Na przykład miał tak duże drżenie rąk, że w żłobku zabawki nie utrzymał. Miał kłopoty z pisaniem, przez to właśnie dostawał pięścią po głowie. On miał jeszcze coś takiego, że jak widział, że ojciec się szykuje na niego, to miał zacisk krtani, oczy się rozszerzały, on był taki szary i w ogóle nie wydobywał głosu z siebie. A tamtego to do pasji szewskiej doprowadzało, że mały nie zebrze o życie.

– **A co się stało z tym dobrym ojcem?**

– Właśnie wtedy, kiedy profesor mnie tak obrugał, zgodziłam się na wysłanie jego do sanatorium, a moja dyrektor wojewódzka założyła w moim imieniu proces o rozwód. No bo i ja już się nie bardzo nadawałam do pracy.

– **Pani też była zastraszana przez tego człowieka?**

– To nie tylko chodziło o zastraszenie. Ja psychicznie nie wytrzymałam. Jeżeli wiedział, że ja się nie dam bić, to wtedy mnie psychicznie kończył. To też można zrobić bardzo gładko. Zresztą małżeństwo trwało 18 lat, to był czas na wszystko. I to samo było z córką. To było na takiej zasadzie, że jak kogoś zgnoił, to tańczył, śpiewał, skakał, był szczęśliwy, bo kogoś zgnoił. I zawsze ktoś któregoś wieczoru padał jego ofiarą.

– **Ale kiedy Wojtek dorastał, to męża już wtedy z wami nie było?**

- Nie, Wojtek już chodził do siódmej klasy, jak ten rozwód był przeprowadzony.
- **A czy Wojtek później, kiedy stał się dorosły, szukał zemsty na ojcu za to wszystko?**
- Nie, na ojcu nie.
- **Jak to się stało, że Wojtek związał się nie z tymi ludźmi, co powinien?**
- Bardzo prosto. Poszedł do parku posiedzieć na ławce, nie wiedział, że siedzi na czatach, że ci, co razem z nim siedzą na ławce, patrzą, jak inni włamują się do kawiarni czy jakiegoś kiosku. No i już mieli na niego haka. On nawet chciał z tego wyjść, przejść na współpracę, ale policja nie chciała.
- **Dlaczego?**
- Bo już Masa przeszedł.
- **Przecież Masa przeszedł dużo później.**
- On przeszedł w 1980 czy 81 roku.
- **Czy Wojtek się pani zwierzał ze swoich przygód?**
- Wojtek był taki, że się z niczego nie zwierzał. Ja wiem tylko to, co się przypadkowo dowiadywałam.
- **Kiedy Wojtek się zaprzyjaźnił z Jarkiem Masą?**
- On się nie zaprzyjaźnił. On sobie postanowił, że Jarka wyprowadzi na ludzi. A ten go z kolei wyprowadził. Jeździłam do pracy nieraz z Wojtkiem i jechał też z nami nieraz Jarek. Widziałam, że Jarek aż kipi, mówiąc do niego. I stale powtarzał, że Wojtek ma matkę i jest ustawiony, a on, Jarek, niczego nie ma. Nieraz mówił: Bo ja byłem w domu dziecka, a tobie matka wszystko... Z Jarkiem był ten problem, że jak on wypił, to nie panował nad sobą i chodziło o to, żeby go ktoś wtedy stonował. Tylko Wojtek miał jakiś wpływ na niego. Wojtek nie palił i nie pił, jego raził każdy, kto tak robił. Dlatego on tak to zwalczał u Jarka, tym bardziej że to dawało takie skutki.
- **Ale później Wojtek się zmienił i zaczął jednak używać alkoholu?**
- On niewiele używał. Wie pan, ja nie jestem zakonnica i ja nie piję, ale jak jestem w towarzystwie, które pije, to trudno jest odmówić.
- **Czy pani miała do Wojtka pretensje o przyjaźń z Jarkiem, czy pani to tolerowała?**
- Nigdy nie ingerowałam w znajomości żadnego z moich dzieci. Nigdy im nie dobieierałam znajomych ani nie sugerowałam sposobu życia.
- **Jarek bywał u was w domu?**
- Potem już nie. Był jakiś dziwny, zawsze kipiał jakąś taką zawiścią. Ja nie mogłam tego zrozumieć.
- **Czy później, kiedy już Wojtek stał się bogatym człowiekiem, bo to, co robił, przynosiło mu spore dochody, pomagał pani finansowo?**
- A jaki był bogaty? Miał kawalerkę, i to wszystko.
- **A dobre samochody?**

– Jakie samochody? Passata pierwszego dostał od mojego brata z USA, a później go sprzedał i kupił drugiego. Jaki tam był bogaty? Miał część segmentu na Warszawie i działkę na Mazurach. To wszystko. Niezabudowana zresztą. Ja jestem przyzwyczajona od 10 roku życia, że pracuję na ileś osób, a nikt na mnie.

– **A kiedy wyjeżdżał na wycieczki zagraniczne, do Turcji, na Dominikanę, czy proponował pani wspólne wakacje?**

– Jak on mieszkał oddzielnie, to ja już nie wiem, gdzie on jeździł. Jak jeździł, to ze swoimi dziewczynami, a nie z matką.

– **Poznała pani towarzystwo, które go otaczało?**

– Znałam chyba dwóch albo trzech. Znałam Jarka i tego, którego zabili w Warszawie, chyba Jacka D.

– **Kiedy już dotarło do pani, czym się syn zajmuje, czy próbowała go pani ratować z tego wszystkiego? Czy były takie możliwości?**

– Jakie możliwości? Nie było możliwości.

– **Kiedy powiadomiono panią o jego śmierci?**

– Jeden pan widział Wojtka leżącego koło tego sklepu i on mnie zawiadomił. Poszłam, stałam półtorej godziny, daleko od niego, na drugiej stronie ulicy, bo nie miałam zgody pana prokuratora, żeby podejść. Nie wiem, czego się pan prokurator obawiał. Wszyscy mogli podchodzić, tylko ja nie mogłam. Był mróz, luty, a ja stałam półtorej godziny daleko od mojego syna.

– **Czy pani się później próbowała dowiedzieć, kto to zrobił?**

– Były tutaj takie plotki, krążyły. Ale dla mnie była najważniejsza śmierć jego, a nie, kto to zrobił. Tutaj krążyły różne wersje, zresztą przychodzili różni ludzie i mówili różnie o przebiegu tego wszystkiego. No, ale ja nie jestem człowiekiem mocnym, żeby mi coś dały te wiadomości.

Jak podnieść swój prestiż

Krążyła wersja, że to Jarek S., Masa, pozbył się swojego przyjaciela. Według jednej z plotek wykonanie zamachu zlecił swojemu szwagrowi Irkowi K. Wiarygodności tym pogłoskom dodawał fakt, że miesiąc przed śmiercią Wojciecha K. (zastrzelono go z broni maszynowej w lutym 1996 r. w centrum Pruszkowa) ktoś zdetonował bombę przed domem Masy. W obieg puszczone wersję, że Kiełbasa chciał zabić Jarka i teraz ten się zemścił.

Masa początkowo nie zaprzeczał. – Ja się do tego nawet przyznawałem, bo to podnosiło mój prestiż – wyjaśnia. – A prawda jest taka, że Kiełbachę odwalili ludzie Rympałka, mieli z nim konflikt.

Fragment rozmowy z Jarosławem S. na temat śmierci Wojciecha K.:

– **Dlaczego zastrzelono Kielbasę?**

– W ostatnich dniach swego życia był bardzo niewygodny dla starych pruszkowskich. A poza tym się naraził Rympałkowi. Był złośliwy i nie ostrzegł Rympałka o planowanej akcji policyjnej, w której wpadł magazyn broni.

– **Kto mógł wydać na niego wyrok?**

– Tego nie jestem pewien, ale sądzę, że przy wyroku brali udział i starzy pruszkowscy, i Rympałek.

– **W procesie pruszkowskim adwokaci oskarżonych sugerowali, że ze śmiercią Wojtka K. pan miał jakiś związek.**

– Jest to bzdura! Wykorzystywali sytuację, że wśród kręgów niższych w grupie ja uchodziłem za egzekutora, za wykonawcę wyroku na Kielbasie. Kiedy zastrzelono Wojtka, na początku się do tego przyznawałem, że to ja Wojtka odpałem. Nawet starzy byli pewni, że to ja zrobiłem. Więc mój prestiż jak gdyby urósł, moje akcje poszły do góry. Trochę mi było ciężko z tym, jeśli chodzi na przykład o rodzinę, bo rodzina cały czas się pytała, była niespokojna. „Jak to, no, Jarek, no co ty?” Ja musiałem to tłumaczyć, że to jest dla dobra tego, żebym był mocny w mieście, żebym miał szacunek, żeby się mnie bali, żebym więcej zarabiał.

Wirtualna prawda Masy

Fragment rozmowy z Januszem P., ps. Parasol (sala widzeń więzienia w Wołowie):

– **Dlaczego Masa został świadkiem koronnym?**

– Żeby nie siedzieć i nie odpowiadać za swoje przestępstwa. Przecież ja wiem, co on tam ma na swoim koncie. Wiem o jednym jego bardzo poważnym przestępstwie: że zlecił zabójstwo Wojtka Kielbasy.

– **Kielbasa był jego przyjacielem?**

– Tak. Był jego przyjacielem, ale później się bardzo poróżnili. Zaczęło się od tego, jak Jacek D. zginął, taki ich kolega, który zdeponował u nich sporo pieniędzy i dużą ilość biżuterii. Jacek został zastrzelony i ten depozyt został u nich. I teraz od tamtej pory zaczęło się między Kielbasą i Masą psuć. To już było widać, bo po Pruszkowie chodziły takie rozmowy. I zaczął o te kosztowności upominać się Jacka syn – Czarek. Jak się upominał, tak sam też zginął.

– **Został zastrzelony?**

– Tak, też został zastrzelony! I teraz się zaczyna sprawa. Kielbasa cały czas ma zwarcia, są kłótnie. Rozstają się, schodzą. Kiedyś mi Kielbasa opowiadał, jak Masę zaczął wyzywać od pedałów. Klócili się o jakieś rozliczenia. No tak to krążyło. Nikt się w to nie wtrącał, bo to ich sprawy. Wreszcie doszło do tego, że Kielbasa zginął. Również na sprawie słyszałem, jak stanął Mirosław D., Malizna, i

oficjalnie powiedział, że Masa przyjechał do niego, bodajże do Zakopanego, i mówi: No, zrobiłem porządek z Kielbasą. Już nie ma Kielbasy na Pruszkowie. To powiedział przed sądem. Nie wiem, co prokuratura robi w tej sprawie, ale myślę, że dopóki nie dokończą tych wszystkich spraw, w których Masa jest tym zawodowym koronnym, to na razie będą go jakoś strzegli, bo to im by wszystko upadło, bo to jest główny filar tych oskarżeń.

– **Według Masy za śmiercią Wojtka stoi Rympałek.**

– Jest to wersja, którą kształtuje Masa. Wiadomo, że na siebie nie powie, tylko szuka winnego. Ja słyszałem, że w sądzie chyba mówił, coś w zeznaniach, że to coś z Rympałkiem. Ale ja uważam, że to jest kłamstwo. W sądzie on się przyznał, że mówił, że zlecił zabójstwo. Sędzia spytał: Dlaczego? On odpowiedział, że chciał prestiż swój podnieść. Ale jak inni opowiadali mu o jakimś zabójstwie, to już nie chcieli prestiżu swojego podnieść, tylko to dokonali. Najzabawniejsze w tym wszystkim jest, że do Masy wszyscy chodzili jak do biskupa. Nic nie znaczący kapitan Masa, a same szczy z samej góry – jak to on mówił – i starzy, i inni różni tam, jakieś Bysie, jakieś Bynki. Wszyscy chodzili do Jarosława S. i spowiadali mu się jak w konfesjonale. I to z czego? Z samych najcięższych przestępstw! Nie opowiadali mu, że na balecie byli, że coś sobie kupili, tylko same najcięższe przestępstwa! No i Masa wreszcie przed sądem stanął i mówi: Proszę sądu, ja z całych sił pomagałem policji, żeby z plotki prawdę zrobić! A jak chcieli, żebym ją rozrysował, tę mafię, to rozrysowałem im to wszystko na wzór mafii sycylijskiej. No to są takie zeznania Masy. Bardzo jest dziwne to, że nie było dopuszczonej prasy do tego, co on mówił, i telewizji, żeby przedstawić, o czym on mówi. On mówi o wirtualnych przestępstwach! Człowieku! Powiedz jakieś konkretne przestępstwo! Nie pamięta!

– **A może on chciał się ubezpieczyć. Nie chciał powiedzieć wszystkiego, bo chciał ratować życie.**

– Mnie się wydaje, że wszystkiego nie powiedział i być może jakichś ludzi ukrywa, tych faktycznych szefów czy tam jakichś innych... No bo nie nas! To jest możliwe! Może kogoś ukrywa.

Przedsiębiorstwo „Pruszków”

Struktura gangu, według aktu oskarżenia w procesie tzw. zarządu „Pruszkowa”, zbudowana była według następującego schematu. Na samej górze zarząd, czyli generalicja: Wańka, Malizna, Bolo, Parasol, Kajtek, Słowik, Krzyś (niedługo po procesie zmarł na raka), a wcześniej Pershing (zastrzelony w Zakopanem 5 grudnia 1999 r.). Poniżej kapitanowie, m.in. Masa, Bysio, Żaba, Bedzio. Następnie podoficerowie – szefowie poszczególnych grup i grupek. Na dole armia prostych żołnierzy od czarnej roboty – umięśnionych osobników od rozwiązań siłowych, złodziei, włamywaczy.

Obowiązywał podział na „starych” i „młodych”. Stary „Pruszków”, czyli dawni towarzysze broni Barabasa. Młodzi to ci, którzy dołączyli w latach 90. Jarosław S., ps. Masa, w swoich zeznaniach wymienił kilkaset nazwisk i pseudonimów osób powiązanych z gangiem pruszkowskim. „Pruszków” to jedynie hasło, tak naprawdę mafia opanowała Mazowsze, Wybrzeże i Pomorze, Śląsk, Małopolskę, Lubelszczyznę. Z „Pruszkowem” współpracowały grupy gangsterów rozsiane po całym kraju.

Głównym źródłem dochodów były haracze. Każdy każdego opodatkowywał. Ściągano pieniądze od właścicieli knajp, sklepów, autokomisów, agencji towarzyskich, ba, nawet od prywatnych gabinetów dentystrycznych. – Rąbaliśmy każdego, na kogo był hak – tłumaczy jeden z byłych żołnierzy pruszkowskich.

Hakiem był najczęściej strach. Łysi z potężnymi karkami wpadali do pubu, na dobry początek tłukli szkło, kufle, talerze, czasem szyby. Po nich zjawiał się szef i spokojnie, kulturalnie tłumaczył, że trzeba zapłacić, jeżeli w lokalu ma panować spokój. I płacono za spokój – miesięcznie od pięciuset do kilku tysięcy dolarów, w zależności od obrotów.

Wspomina były współwłaściciel klubu nocnego w centrum Warszawy: – Nasz lokal był elegancki, z nastawieniem na elitarnego klienta. W pobliżu liczne banki, siedziby dużych firm. Biznesmenom spodobało się w naszym klubie. Ale szybko pojawiło się tak zwane miasto. Przychodził Pershing, bywał Krakowiak (ale nie szef gangu ze Śląska, lecz gangster z Warszawy o takim samym pseudonimie). Towarzyszyli im żołnierze. To już był horror. Do ochrony zatrudniliśmy firmę znanego przed laty boksera. On znał tych facetów i zamiast zrobić porządek, płaszczył się przed nimi. Typowa scena: wpada Pershing z ludźmi, nasz szef ochrony staje przed nim na baczność, tamten klepie go po buzi jak dzieciaka i mówi: No, Grzesiu, no, uważaj. I Grześ zamieniał się w powietrze, był, a jakby go nie było. Zachowywali się jak w stajni, wulgarni, krzykliwi. Wszczynali awantury, dużo pili, ale rachunków nie płacili. Wkrótce naszych eleganckich gości wymiotło, już nie przychodzili. Staliśmy się zwykłą knajpą dla gangsterów. Tu się umawiali ze swoimi kompanami, tu załatwiali interesy. Od nas haraczu nie ściągali, wystarczyło, że codziennie kilkunastu chłopa musieliśmy karmić i poić za darmo. Zrezygnowałem z tego interesu. Moja współpracowniczka jeszcze jakiś czas walczyła, ale w końcu też się poddała, zlikwidowała klub.

„Pruszków” wprowadził haracze od złodziei. Praktycznie w latach 90. nie było możliwe, aby ktoś w świecie przestępczym pracował wyłącznie na własny rachunek. Gang pruszkowski najpierw podporządkował sobie przemytników alkoholu, potem grupy złodziei samochodów, a na końcu rynek narkotykowy. Im większe pieniądze wchodziły w grę, tym więcej emocji. Podkładanie bomb, skrytobójcze strzały. Polała się krew.

Jeden z byłych podoficerów „Pruszkowa” zgodził się opowiedzieć nam o tym, jak funkcjonowała grupa. Dzisiaj jest świadkiem koronnym i dlatego zastrzegł anonimowość. Na użytek tej książki ochrzcijmy go pseudonimem Zegar, w rzeczywistości nosi inną ksywkę, związaną z jego faktycznym

nazwiskiem.

Cięzka dola gangstera

Fragment rozmowy z Zegarem, świadkiem koronnym:

– **Dlaczego zdecydował się pan przyjąć status koronnego?**

– Przeanalizowałem to z żoną bardzo dokładnie. Groziło mi od sześciu do ośmiu lat więzienia. Mam czworo dzieci. Uznaliśmy, że moja odsiadka spowodowałaby dla rodziny spadek w kompletną nędzę. Nie mogłem do tego dopuścić. No i druga rzecz, miałem świadomość, że wszystko wisi na włosku, moje życie też. Dawni koledzy chcieli się mnie pozbyć.

– **Jak pozbyć, dlaczego?**

– To gra interesów, po prostu jeden mniej do podziału. Wyczułem, że decyzja zapadła. A potem naocznie się przekonałem, że tak jest. Chodziło za mną dwóch facetów. Kiedyś wyszedłem z domu, zbliżam się do samochodu, a oni nagle wybiegają z za rogu i do mnie. Sięgają za pazuchę. Już wiem po co, już się w duchu żegnam z życiem. Na szczęście pojawili się jacyś ludzie i ci goście zmienili kierunek, odeszli. Wiedziałem, że wrócą. To przeważało, zgłosiłem prokuratorowi, że mogę zeznawać.

– **Od kiedy działał pan w gangu pruszkowskim?**

– Od połowy lat 90. Miałem więc dużą wiedzę, głównie o tzw. młodym „Pruszkowie”. W grupie chodziłem cały czas przy Bysiu, on był moim kapitanem. Robiłem to co wszyscy, chociaż głównie specjalizowałem się w samochodach. Kradzież, dziupla, okup za zwrot albo rozbiórka na części.

– **Oplącało się?**

– Robota ciężka, niewdzięczna. A zarobki wcale nie rewelacyjne. Podział był taki: od każdego interesu dwadzieścia procent zysku przekazywałem Bysiowi. Ten połowę z tego dawał Jarkowi Masie, a połowę zatrzymywał. Masa dzielił się swoją częścią ze starymi. I tak to się kręciło.

– **Zostawało panu 80 procent, to chyba nie tak mało.**

– O tym, jakie to pieniądze, niech świadczy takie wyliczenie. Kiedy senator Gawronik zaproponował nam wejście do swojego biznesu [zwrot podatku tax free – przyp. aut.], przez półtora miesiąca oddawaliśmy po pięćdziesiąt procent zarobków na ten cel. W sumie zebraliśmy 50 tysięcy dolarów, a zrzucało się około 30 ludzi, chłopaki od Bysia, Bryndziaki i Mięśniaki.

– **No to policzmy. Trzydziestu ludzi zarobiło przez półtora miesiąca 100 tysięcy dolarów. Na głowę wypadło około 3300 dolarów. Czyli miesięcznie szeregowy gangster wyciągał mniej więcej 2200 dolarów. Po oddaniu dwudziestu procent na zarząd zostawało mu jakieś 1800 dolarów, czyli ponad 7 tysięcy złotych. Przywoita pensja.**

– Ale, jak to się mówi, koszty uzyskania też niemałe, a do tego ryzyko i stres. Starzy mieli lepiej. Nic nie musieli robić, a forsa sama spływała.

– **Pan pracował u Bysia. Kim byli owi Bryndziakowie i, jak pan ich nazwał, Mięśniaki?**

– Bryndziaki to grupa Marcina B. To on miał ksywkę Bryndziak. Chodzili u niego Jacek R., ps. Sankul, Damian K., ps. Kotlet, Matyś, Lisek i wielu innych. Podlegali najpierw bezpośrednio Jarkowi Masie, potem przeszli do Parasola. Bryndziak to chyba najniebezpieczniejszy facet, jakiego znałem. Prawdziwy tyfus. Groził, że odstrzeli Masę, a ten bał się go jak zarazy. W roku 2000, kiedy ruszyły aresztowania, a Jarek został koronnym, Bryndziakowi udało się schować. Ukrywał się cztery lata i cały czas było zagrożenie, że coś mu strzeli do łba, pojawi się, żeby zabić. Ja też się bałem. Podejrzewam, że to on załatwił chłopaka o ksywce Matyś, swojego żołnierza. Matyś któregoś dnia znikł całkowicie, do dzisiaj nie ma po nim śladu.

– **A Mięśniaki?**

– To grupa bandycka z Ochoty. Wszyscy napakowani, utuczeni sterydami. Ich szef miał właśnie ksywkę Mięśniak, liczyli się jeszcze Orzeł i Karaś.

– **No i pana grupa, ludzie od Dariusza B., Bysia.**

– Bysio miał łeb na karku. To on załatwił kiedyś wczasy w Łańsku, w rządowym ośrodku. Wybuchła z tego afera w prasie, ale nie odkryto prawdziwych przełożeń Bysia na świat polityków. On sam to może kiedyś ujawni. To ja ich pogrążyłem. Na procesie grupy Bysia na ławie oskarżonych siedziało prawie trzydziestu ludzi. Ja już byłem po drugiej stronie.

– **Kiedy patrzy pan z dzisiejszej perspektywy, żałuje pan podjęcia decyzji o zostaniu świadkiem koronnym?**

– Trochę tak. To straszne życie. Już trzy razy musieliśmy zmieniać miejsce zamieszkania. Dla mnie to drobiazg, ale żona i dzieciaki każdą przeprowadzkę silnie przeżywają. No i w ogóle biednie jest. Nie mam żadnego majątku, żyjemy wyłącznie z pieniędzy z programu świadka koronnego, a to naprawdę ledwo starcza na związanie końca z końcem. Bo ja wiem, czy dobrze wybrałem? Może lepiej było dać się zamknąć, odsiedzieć wyrok i zacząć wszystko od nowa.

Ostatnia droga Krzysia

O początkach i latach prosperity gangu pruszkowskiego próbowaliśmy – wiosną 2004 roku – porozmawiać z człowiekiem uchodzącym za legendę w tym środowisku, Ryszardem P., ps. Krzyś. Nie zdążyliśmy. W maju Krzyś zmarł na ciężką odmianę raka przełyku. Miał 51 lat. Wspominamy go, ponieważ dla wielu wciąż jest wzorem.

Ryszard P. pochodził z Pruszkowa. Przyjaźnił się z Januszem P., ps. Parasol. Był dwukrotnie żonaty,

miał dorosłego syna. W grupie pruszkowskiej był odpowiedzialny za haracze i wymuszenia. Szkolił do bandyckiej roboty młode pokolenie. W sierpniu 2000 roku, podczas policyjnej obławy na mafię pruszkowską, był z rodziną na wakacjach. Ukrywał się przez dwa lata, aż do 4 października 2002 r., kiedy sam zgłosił się do warszawskiej prokuratury. Postawiono mu zarzut udziału w zorganizowanej grupie przestępczej o charakterze zbrojnym i kierowania 28-osobowym gangiem (młodym „Pruszkowem”). Zwolniono go z aresztu we wrześniu 2003 roku z powodu nieuleczalnej choroby. Zmarł w szpitalu kolejowym w Pruszkowie.

Podczas zdjęć do *Alfabetu mafii* byliśmy o krok od spotkania z Ryszardem P. Wiedzieliśmy, że jest ciężko chory, że krąży od szpitala do szpitala. Nawet w domu podłączony był do kroplówki, z dnia na dzień tracił siły. Rozmowę przed kamerą uzależniliśmy od poprawy stanu jego zdrowia. Ten moment już nie nastąpił. – Musimy przełożyć zaplanowane spotkanie – zaalarmowała nas wczesnym rankiem w ustalonym wcześniej na spotkanie dniu Małgorzata, żona Ryszarda. – Wiozę męża do szpitala. Ma krwotok! – płakała do słuchawki.

Kilka dni później, kiedy wrócił do domu, rozmawialiśmy z nim telefonicznie. To zapis tej rozmowy:

– **Chcielibyśmy porozmawiać o pana kolegach z „Pruszkowa”, dowiedzieć się, jaka była pana rola w grupie, jakie były początki mafii pruszkowskiej.**

– To miło z waszej strony, że chcecie mnie o to spytać, a nie powtarzać jakieś plotki. – Jego głos był cichy, przerywany kaszlem. – Chętnie porozmawiam, ale nie teraz. Jestem w kiepskiej kondycji. Zaraz wróci moja żona. To anioł. Załatwia mi konsultacje u profesora. Ona wam wszystko opowie.

– **Ale chcielibyśmy to usłyszeć od pana. Nie mieszajmy w to pana żony.**

– Nie dam rady. Naprawdę. Ale powiedzcie w tym filmie prawdę.

– **Proszę nam pomóc tę prawdę ustalić.**

– Przecież sam zgłosiłem się do prokuratury. Niczego nie ukrywałem. Wyszedłbym z tego... (długie milczenie).

– **Nie żałuje pan tych miesięcy za kratami?**

– Niczego nie żałuję. Cieszę się z każdego dnia, który spędzam teraz z rodziną. Szkoda tylko, że tyle mają ze mną kłopotów. Do nikogo i o nic nie mam pretensji.

– **Do świadka koronnego Masy też? Przecież pana obciążył.**

– Jarek był świadkiem na moim ślubie. Naprawdę bardzo go lubiłem. Nieraz biesiadowaliśmy razem, gadaliśmy po męsku, robiliśmy dobre interesy. Potem zrobił, co zrobił... Co tu mówić. Życzę mu zdrowia. I szczęścia. Niech żyje w spokoju, ale jak najdalej ode mnie.

Ryszard P. zmarł 22 maja 2004 roku. – Strasznie walczył o życie – wspominała w rozmowie z nami Małgorzata, wdowa po Krzysiu. – Tamtego dnia byłam przy nim od siódmej rano. Pocieszał mnie: „Damy radę. To tylko zapalenie płuc”. Chciał, żeby go zoperowano, wycięto chore płuco. Ale

wszystko było w nim chore. O piętnastej nastąpiło pogorszenie, pluł krwią. Lekarz powiedział mi, że to koniec. Wieczorem mąż usnął, odłączono kroplówkę i respirator. Chwilę po 21 mocniej ścisnął mnie za rękę. Płakałam, a wszyscy wkoło mieli do mnie pretensję, że nie pozwalam mu odejść, bo nie zostawiam go w spokoju. Mówili, że on przeze mnie nie może umrzeć. Jak mogłam od niego odejść?!

Na pogrzebie Ryszarda P. były tłumy. Wśród żałobników zauważono samego Daniela Olbrychskiego. Dziennikarze indagowali go później, dlaczego tak manifestacyjnie uczestniczył w ostatniej drodze gangstera. Aktor wyjaśniał, że przyjaźnił się z tym człowiekiem, dlatego musiał go pożegnać. Kiedyś Olbrychskiemu ukradziono samochód. O pomoc zwrócił się właśnie do Ryszarda P. I następnego dnia auto stało pod domem artysty, umyte, z pełnym bakiem. Od tamtego wydarzenia trwała bliska znajomość szanowanego aktora z pruszkowskim bandytą.

Skarżył się grobowi

Na procesie tzw. zarządu „Pruszkowa” zabrakło jednej z najważniejszych postaci, Andrzeja Z., ps. Słowik. Wyfrunął do Hiszpanii. Wcześniej już siedział w klatce, w areszcie przy ul. Rakowieckiej w Warszawie, ale przytrafiła mu się bolesna przepuklina kręgosłupa lędźwiowego. Lekarze orzekli, że Słowika trzeba operować. Według Jarosława S., ps. Masa, cała ta choroba i późniejsza operacja były wielką mistyfikacją, a lekarz, który podjął się tego zadania, dostał w prezencie mieszkanie.

Słowika złapano w październiku 2001 roku na Półwyspie Iberyjskim. Po długiej procedurze ekstradycyjnej odesłano go do Polski, ale na tyle późno, że nie zdążył zająć należnego mu miejsca na ławie oskarżonych obok Parasola, braci D., Ryszarda Sz., Zygmunta R. i kilku innych postaci z czołówki pruszkowskiej.

Na szerokie wody wypłynął z rodzinnego Stargardu Szczecińskiego. Znany był wtedy, w latach 80., jako Banasiak, był złodziejem. Po ślubie przyjął nazwisko żony. Podczas odbywania jednego z wyroków zdobył w więzieniu fach – został fryzjerem. W 1993 r., kiedy ukrywał się po tzw. niepowrocie z przepustki do zakładu karnego, załatwił sobie ułaskawienie prezydenckie. Do dzisiaj okoliczności tego zdarzenia nie zostały wyjaśnione. Wiadomo, że kosztowało to Słowika 150 tys. dolarów, nie ma natomiast pewności, kto z pracowników kancelarii Lecha Wałęsy te pieniądze wziął.

Andrzej Z., wspólnie z Markiem M., ps. Oczko, przemycił spirytus i papierosy. Deklarował przynależność do „Pruszkowa”, co nie przeszkadzało mu w robieniu interesów na boku z Henrykiem N., pseudonim Dziad, szefem „Wołomina”. 22 września 1992 roku, w okolicach podwarszawskiego Nieporętu, policja namierzyła tira z zawartością kilkunastu tysięcy litrów pochodzącego z przemytu spirytusu oraz towarzyszący mu konwój. Ciężarówka zmierzała do dziupli, w której towar miał być rozładowany. Zatrzymano i aresztowano wówczas dziesięć osób, m.in. Dziada, Oczkę i Słowika,

posługującego się dowodem na nazwisko Marek Stępniewski. Obok zarekwirowanego przez policję tira leżała odrzucona przez przemytników broń. Słowik trafił do aresztu, ale mimo poważnych zarzutów (przemyt, nielegalne posiadanie broni i fałszywych dokumentów) szybko wyszedł na wolność. 16 października 1992 prokurator podpisał decyzję o uchyleniu wobec niego aresztu tymczasowego. Słowik chełpił się, że grupa pruszkowska wyłożyła na ten cel ok. 300 mln (starych) zł.

Kilka miesięcy po prezydenckim ułaskawieniu, w kwietniu 1994 r., Słowik został zatrzymany pod domem Wiesława N., brata Dziada, w towarzystwie kilku pruszkowskich żołnierzy – na widok bandy osiłków ktoś powiadomił policję, że może być gorąco. Andrzej Z. znów miał sporo szczęścia. Zdążył odrzucić broń (policja znalazła w krzakach pistolety oraz okazałą kolekcję granatów) i zaprzeczał, jakoby planował najazd na dom Wariata. Twierdził, że „wyszedł z kolegami na wieczorny spacer”.

Pod koniec lat 90. Andrzej Z. został współwłaścicielem wspomnianej wcześniej przez Zygmunta R. firmy Old Star. Prowadząc zalegalizowaną działalność gospodarczą, w maju 1998 roku Słowik wpada razem z Leszkiem D., ps. Wańka, na próbie wymuszenia 500 tys. dolarów, fikcyjnego długu, od współwłaściciela warszawskiego klubu Dekadent. Za podjęcie interwencji obaj żądali 100 tys. dolarów. Ciążył na nich także zarzut grożenia wspólnikowi innej firmy (Wodamex) „zamienieniem życia w koszmar”. Proces miał się rozpocząć na początku 1999, ale prokuratorowi nie udało się odczytać aktu oskarżenia. Właśnie wtedy Słowik zaczął cierpieć na dyskopatię. W rezultacie odnaleziono go aż w Hiszpanii.

Kiedy ukrywał się za granicą, w Polsce ukazała się drukiem jego autobiograficzna książka *Skarżyłem się grobowi*. Wynikało z niej, że Słowik jest człowiekiem szalenie religijnym, czemu daje wyraz, pielgrzymując do Ziemi Świętej. W podróżach do źródeł wiary, jak ujawnia, towarzyszyli mu znany m.in. z serialu *Złotopolscy* i *Człowieka z żelaza* ksiądz Kazimierz Orzechowski oraz aktor Krzysztof K. (dziś już nieżyjący), odtwarzający także role gangsterów. W rozmowie z nami aktor ten przyznał przed laty, że faktycznie brał udział w takiej eskapadzie, ale nie miał wtedy pojęcia, kim tak naprawdę jest Andrzej Z. – Dowiedziałem się potem, że ten miły, spokojny człowiek, to mafioso Słowik – powiedział. – Przyznam, że później w granych przez siebie rolach trochę inspirowałem się podpatrzonymi u niego zachowaniami.

Do Ziemi Świętej jeździła z Andrzejem Z. także jego małżonka Monika. Tam właśnie nagrano na kamerze wideo symboliczny ślub, jakiego udzielił im ksiądz Mieczysław O. Na temat wielkiej niegdyś miłości tych dwojga do dziś krążą barwne opowieści. Podobno byli dla siebie stworzeni, świata poza sobą nie widzieli.

Mój Słowik jest niewinny

Oto fragmenty rozmowy sprzed lat z Moniką Z., wówczas żoną Słowika:

– **Miała pani świadomość, że wychodzi za gangstera?**

– Nie wychodziłam za gangstera o pseudonimie Słowik, tylko za Andrzeja Banasika, normalnego faceta, którego pokochałam do szaleństwa. Miał za sobą wyrok za kradzież, a nie udział w mafii.

– **Nie czytała pani gazet, nie oglądała telewizji? Przecież głośno było o Słowiku.**

– Dla was, dziennikarzy, to gangster, bo pasował do filmowego wizerunku – żył i bawił się wystawnie, palił cygara i jeździł do Las Vegas.

– **Sporo zarabiał, to fakt.**

– Zawsze potrafił zarobić, lubił życie na wysokich obrotach, czasami ponad stan. Ale ja nie potrzebowałam jego pieniędzy. Pochodzę z zamożnej żydowskiej rodziny i zanim poznałam Andrzeja, miałam pierścionek z brylantem, mieszkanie i samochód. Dla mnie Andrzej to mężczyzna życia, ojciec naszego czteroletniego syna. Nosił mnie na rękach, obsypywał kwiatami. Zawsze troszczył się o mnie, był lojalny i szarmancki.

– **Inni nie mieli tyle szczęścia co pani.**

– Wiem, że Andrzej nikogo nie skrzywdził. Tymczasem skrzywdzono jego rodzinę. W 1993 roku, na Żoliborzu, w pobliżu bloku, gdzie mieszkałam, nieznani sprawcy zakopali w ziemi dwie bomby – trotyl z gwoździami dla większej siły rażenia. Jedna z nich, zdalnie odpalona, wybuchła zaraz potem, gdy Andrzej zaparkował swój samochód. Szłam właśnie z zakupami, trzymając za rękę pięcioletnią Sarę, córkę Andrzeja. W chwili wybuchu mąż przykrył nas swoim ciałem. Miał poranione plecy, szkło wbite w głowę. Małej, dzięki Bogu, nic się nie stało. Ja miałam pęknięty bębenek, od tamtej pory źle słyszę na jedno ucho.

– **Pani mąż wiedział, kto podłożył bomby, ale nigdy o tym nie powiedział ani policji, ani w prokuraturze. W swojej książce *Skarżyłem się grobowi* napisał jedynie: „Po jakimś czasie poznałem sprawców, ale to już całkiem inna historia”.**

– Dziś nawet nie chcę wiedzieć, kto to zrobił. Nie moją sprawą było szukanie sprawców. To był precedens: podniesiono rękę na kobietę i dziecko. Prokuratura śledztwo umorzyła.

– **Dlaczego pani mąż nie chce po latach ujawnić prawdy?**

– Kiedy samolot z Andrzejem na pokładzie przyleciał z Madrytu do Polski, mój Słowik, zakuty w kajdanki, poprzysiągł sobie, że będzie milczał. I tak zrobił: milczał w prokuraturze, milczał w sądzie i pewnie milczeć będzie do końca kary.

– **Widziała się z nim pani przed ekstradycją?**

– Tak, ale w Hiszpanii nie miałam odwagi, by wsiąść z nim do jednego samolotu, chociaż istniała taka możliwość. Wróciłam do Polski przez Amsterdam. Wiedziałam, że na lotnisku będą dziennikarze, kamery. Nie chciałam w tym uczestniczyć.

– **Bała się pani dziennikarzy?**

– Nie, ale bałam się spektaklu, nie chciałam robić za aktorkę. Kiedy pojawiłam się w sądzie na sprawie męża, jedna z gazet zamieściła następnego dnia moją fotografię. Zrobili odnośniki: torebka od Prady, drogocenny pierścionek, garsonka ze słynnego domu mody. Wyliczyli, ile co jest warte. Na wyrok poszłam w skromnej czarnej kurtce. Bez biżuterii i makijażu.

– **Co pani myśli o Jarosławie S., który zeznaniami pogrążył pani męża?**

– Bardzo go kiedyś lubiłam. To był świetny facet. Wybrał inne życie i ja tego nie chcę oceniać. Nie wiem, przed jakimi wyborami może mnie życie postawić. Nie osądzam go, ale mam do niego żal jako żona i matka. Nie mogę zrozumieć, dlaczego Jarek powiedział wam do kamery, że dla Słowika zabić to tyle co splunąć. Andrzej chciał go kiedyś zabrać na pielgrzymkę do Jerozolimy, kupił jego dzieciom Biblię.

– **W swojej książce pani mąż kreował się na człowieka głębokiej wiary, ale jednocześnie opluwał swoich wrogów. Nie żałuje tego dzisiaj?**

– Być może dziś napisałby ją inaczej. Przekonał się bowiem, że sam sobie zrobił krzywdę. W głęboką wiarę Andrzeja i tak nikt nie uwierzył, a wszystko inne obróciło się przeciwko niemu.

– **Dlaczego więc napisał tę książkę?**

– Nie mógł po prostu leżeć pod palmą i zażywać słońca na plaży, gdy jego koledzy siedzieli zakuci na Rakowieckiej. Chciał zmanifestować, że solidaryzuje się z nimi, nie zgadza się z tym, co zeznawał przeciwko nim Masa. Jarek był wtedy filarem oskarżenia, dlatego w niego uderzył. Chciał go zdyskredytować, ale napisał książkę w pośpiechu, w emocjach. Wyszło nie tak, chociaż i tak przełamwał znowę milczenia, tabu dotyczące świadka koronnego.

– **Po co oczerniał prokuratora? To tak, jakby szykował sobie gwóźdź do trumny.**

– Znam Andrzeja na wylot i wiem, że gdyby tego nie zrobił, męczyłoby go to do końca życia. Tylko on miał odwagę, by powiedzieć prawdę. Swoją prawdę. Wszyscy inni się bali, chowali głowę w piasek.

– **Dlaczego zatem nie powiedział tej swojej prawdy przed sądem? Miał okazję to zrobić podczas swojego procesu. Tymczasem bez sprzeciwu przyjął karę, której żądał dla niego prokurator.**

– Andrzej zawsze oceniał przeciwnika i swoje szanse powodzenia w starciu z nim. Widać tym razem uznał, że lepiej będzie milczeć, zgodzić się na wszystko. Kto by uwierzył w jego wersję?

– **A jaka jest jego wersja?**

– Nikomu w tym kraju nie zależy, żeby ją poznać. Andrzeja osądzono i skazano jeszcze przed wyrokiem.

– **My, dziennikarze, chcieliśmy poznać jego prawdę.**

– Andrzej przesyła wam z za krat pozdrowienia. Docenia, że chcieliście rozmawiać, ale nie mógł

przyjąć waszej propozycji. Nie dlatego, że ma coś do dziennikarzy, ale dlatego, że jest konsekwentny. Jeżeli nie rozmawiał z policją, prokuraturą, milczał w sądzie, to i z wami nie mógł rozmawiać. I tak nie uwierzylibyście w jego prawdę, bo nie pasowałaby wam ona do wizerunku Słowika-gangstera i opowieści o polskiej mafii.

– **Niewykluczone, że pani mąż spędzi za kratkami o wiele więcej, niż zasądzono w procesie. Toczą się nowe śledztwa, dojdą nowe zarzuty.**

– Nie mogę teraz o tym rozmawiać. Czas pokaże, co będzie. Jestem jego żoną i będę na niego czekać tak długo, jak będzie trzeba. Muszę wychować mu syna, muszę wierzyć, że kiedyś się to skończy.

– **W co pani wierzy?**

– Że któregoś dnia, może nie tak odległego, Andrzej będzie wolny i wyjedziemy z tego kraju. Nigdy tu już nie wrócimy.

– **Jaki naprawdę jest Andrzej Z., Słowik?**

– Andrzej ma skomplikowany charakter. Tak jak w każdym z nas jest w nim tyle samo dobra, ile zła. Ja zawsze będę wierzyć w jego niewinność, bo wiem, że mój mąż nie jest zdolny do tego, by zabić.

Monika i Vadim

Wielka miłość skończyła się szybciej, niż ktokolwiek by się spodziewał. Już wkrótce u boku Moniki pojawił się przystojniejszy i młodszy od Słowika Władisław S. z Ukrainy, znany jako Vadim. Dobiegał wtedy czterdziestki, w Polsce spędził połowę swojego życia. W półświatku mówiono o jego związkach z rosyjskimi służbami specjalnymi, a pewien niezależny dziennikarz napisał, że to niemal dwumetrowy osiłek. Policja była oszczędna w słowach, bo pewnie niewiele na jego temat wiedziała.

Vadim zaczynał od ściągania haraczy. Łupił rosyjskich handlarzy na Dworcu Wschodnim, co w 1994 roku – zdaniem niektórych policjantów z KGP – doprowadziło do zgrzytu politycznego między Polską a Rosją. W niejasnych dotąd okolicznościach do Vadima oddano dziesięć strzałów. Przeżył, chociaż jedna kula na stałe utknęła mu w płucach. Monice Z. widać nie przeszkadzała jego przeszłość. Lekceważyła pogłoski o jego związkach z rosyjską mafią i służbami specjalnymi. Wiedziała, że jako żona Słowika wciąż jest obserwowana i brana na języki, ale jakby niewiele sobie z tego robiła. Przez jakiś czas równolegle jeździła na widzenia do męża i odwiedzała – w innym więzieniu – nowego przyjaciela. Wkrótce przystojny Ukrainiec opuścił celę i oboje oficjalnie stali się parą. Ogłosili, że prowadzą uczciwy biznes, pośrednicząc w handlu nieruchomościami. Ale złośliwe miasto huczało, że to zwykła lipa i że oboje specjalizują się w wymuszeniach. Z ust do ust przekazywano wieści o Słowiku, który rzekomo nigdy nie wybaczy żonie zdrady, a Vadimowi tego, że ukradł mu żonę.

Kiedy ich związkiem zaczęła interesować się plotkarska prasa, Monika Z. i jej nowy partner w maju

2007 roku zdecydowali się na rozmowę z nami, ponieważ – jak mówili – nie chcieli w gazetach kłamstw na swój temat. Spotkaliśmy się w Żółtych Tarasach. Ukraińiec w niczym nie przypominał dwumetrowego osiłka, którym podobno miał być: wysportowana sylwetka (bez sterydowego karku), chłopięca fryzura i uśmiech od ucha do ucha. W oczy rzucała się za to jego fascynacja partnerką. Niemal przez cały czas oboje trzymali się za ręce. Monika Z. promieniała, wydawała się młodsza o dekadę.

„Nikogo się nie boję”

Fragment rozmowy z Vadimem S., nowym partnerem życiowym Moniki Z.:

- **Co pan robi w Polsce?**
- Zajmuję się nieruchomościami. Całkowicie legalny biznes.
- **Skąd ma pan pieniądze?**
- Miałem na starcie trochę oszczędności i dobry biznesplan, więc założyłem w Warszawie firmę budowlaną i dwa lokale gastronomiczne na Ursynowie. Planowałem studia w Wyższej Szkole Bankowości i Ubezpieczeń w Warszawie, ale jakoś to sobie odpuściłem.
- **A teraz jest pan zakochany.**
- Monika jest niezwykłą kobietą.
- **Jak to się zaczęło?**
- Po raz pierwszy zobaczyłem ją w telewizji i... dech mi zaparło. Zakochałem się bez pamięci. Wyciąłem z gazety jej fotografię. Miałem przed sobą długi wyrok, więc jakkolwiek związek był tylko marzeniem.
- **Trafił pan do aresztu za wymuszenia?**
- Prokuratura oskarżyła mnie o kierowanie zorganizowaną grupą przestępczą, dostałem dwanaście lat.
- **Wyszedł pan wcześniej?**
- Po siedmiu latach, bo Sąd Najwyższy uchylił wyrok, kierując sprawę do ponownego rozpatrzenia.
- **Co było dalej?**
- Przypadek sprawił, że Monika i ja się spotkaliśmy. Pewnego dnia telefonowałem do znajomego, który w tym czasie był obok niej i przekazał jej komórkę. Potem były listy i pierwsze spotkanie w zakładzie karnym w Radomiu, gdzie odsiadywałem wyrok. Zaiskrzyło między nami.
- **Nie ma pan wyrzutów sumienia, że odbił pan żonę słynnemu Słowikowi? Nie boi się pan?**
- Nikogo i niczego się nie boję. Nigdy nie poznałem Andrzeja, więc nie mam wyrzutów sumienia,

choć po męsku jest mi go żal. Życie jest banalne, ludzie się schodzą i rozchodzą. To nie mafia polsko-rosyjska, ale związek kobiety i mężczyzny. Będę dbał o Monikę. Zaufała mi, a to zobowiązuje.

Kilka dni później współautorka tej książki uprzedziła Vadima, że redakcja zamierza opatrzyć jej informację o ich związku innym tytułem, niż wcześniej ustalono – *Rusek odbił żonę Słowikowi*. Nowy partner Moniki Z. przyjął wówczas zupełnie inny ton rozmowy. – Słowo „Rusek” brzmi jak pogarda. To tak, jakby o kimś napisać Żydek. Niech pani przekaże swojemu szefowi z redakcji, że jeżeli taki tytuł da w gazecie, to stanie się moim osobistym wrogiem. I proszę mu wytłumaczyć, że na pewno by tego nie chciał.

Tytuł publikacji zmieniono.

„Mam dość!”

Fragment rozmowy z Moniką Z.:

– **Dlaczego w ten sposób odcina się pani od dawnego życia?**

– Psychicznie nie wytrzymałam pomówień o przejęcie interesów męża i pranie mafijnych pieniędzy.

– **Jak będzie wyglądać pani życie u boku Vadima?**

– Chcę żyć normalnie, z dala od zainteresowania mediów, policyjnej obserwacji i podsłuchów. Marzę o tym, by zacząć wszystko od nowa.

– **Co na to pani mąż?**

– Nadal mam do niego ogromny szacunek, wierzę w jego niewinność i nigdy nie stanę przeciwko niemu. Andrzejowi przekazano wiele plotek na mój temat. Komuś bardzo zależało, żeby nas poróżnić, złamać psychicznie.

– **Zażądał rozwodu?**

– Poprosił, żebym już więcej go nie odwiedzała...

– **Zadała się pani z ruską mafią?**

– Gdybym pojawiła się z Włochem, to mówiliby o włoskiej mafii, a gdybym związała się z jakimś biznesmenem, to gadaliby, że mam romans z białym kołnierzykiem od prania pieniędzy. Czuję się okradana z prywatności! Nie potrafię dłużej żyć pod presją. Mam tego dość! Muszę wychować syna.

– **U boku człowieka z kryminalną przeszłością?**

– Nikt nie dawałby mi szans nawet wtedy, gdybym związała się z pracownikiem Poczty Polskiej lub lekarzem.

Dwa miesiące po spotkaniu w Złoty Tarasach, w lipcu 2007 roku, Monika Z. została zatrzymana przez funkcjonariuszy CBA pod zarzutem korumpowania lekarza, dzięki któremu Słowik miał rzekomo wyjść przed laty na wolność. W grudniu 2008 roku znów została zatrzymana, tym razem przez policjantów z CBS, którzy wczesnym rankiem zapukali do drzwi jej mieszkania na Ursynowie. Kajdanki nałożono także Vadimowi. Napisano o nim w gazetach, że jest rezydentem wschodnich grup przestępczych w Warszawie. „Bez jego wiedzy mafiosi z Rosji czy Ukrainy nie mogli dopuścić się żadnego poważnego przekrętu” – cytowano agenta CBS.

Monice i Vadimowi zarzucono wyzysk i wymuszenie rozbójnicze na pewnym przedsiębiorcy. Z informacji zebranych w prokuraturze wynikało, że najpierw pożyczili mu 80 tys. zł, następnie zażądali prawie trzy razy tyle odsetek. Dłużnik w końcu spłacił, co miał do spłacenia, ale oni podobno chcieli więcej – próbowali przejąć jego nieruchomość wartą ponad milion złotych. Mieli wysłać do przedsiębiorcy kilku typów spod ciemnej gwiazdy, a ci zagrozili mu śmiercią. Mówili też, że podobny los spotka jego rodzinę. Vadim trafił na jakiś czas do aresztu, a wobec Moniki zastosowano dozór policyjny. Plany o normalnym życiu diabli wzięli. Tym bardziej, że w czasie, kiedy kończył się proces Słowika, Monika ponownie trafiła za kraty. Jej i Vadimowi zarzucono kierowanie zorganizowaną grupą przestępczą w latach 2001–2007.

Słowik i Monika rozwiedli się. Neurochirurg z tytułem profesorskim, który zdaniem śledczych miał za pieniądze organizować Andrzejowi Z. dokumentację medyczną, po latach został uniewinniony. O lekarzu było głośno, o Monice już nie. Prawomocny wyrok w tej sprawie zapadł w lutym 2012 roku przed Izbą Wojskową Sądu Najwyższego. Okazało się, że w roku 1998 profesor rzeczywiście wydał Andrzejowi Z. zaświadczenie (że Słowik był przez niego zbadany ambulatoryjnie), ale nie miało ono – według sądu – żadnego znaczenia dla losów postępowania karnego. Kiedy Słowik trafił do więziennego szpitala, ponieważ jego dolegliwości się nasiliły, neurochirurg uczestniczył w konsultacji medycznej. Orzekł wtedy, że pacjent ma dyskopatię kręgosłupa lędźwiowego, którą należy zoperować. Konsultacja odbyła się na prośbę Moniki Z. oraz lekarza więziennego, a zgodę na nią wydał komendant aresztu. Wszystko przebiegało oficjalnie. Diagnozę profesora potwierdziło potem kilku innych specjalistów. Po paru latach Słowik rzeczywiście przeszedł operację kręgosłupa.

Andrzej Z. dobrowolnie poddał się karze. W kwietniu 2004 roku za kierowanie „Pruszkowem” dostał sześć lat. Osiem lat później Sąd Okręgowy w Warszawie uniewinnił go od wszystkich zarzutów związanych z działalnością w gangu. W chwili, gdy oddajemy naszą książkę do druku, Słowik – po dwunastu latach za kratami – właśnie wyszedł na wolność. Był tymczasowo aresztowany do sprawy

zabójstwa generała Marka Papały. Spekulowano, że grozi mu nawet dożywocie, ale pod koniec lipca 2013 r. on i Ryszard Bogucki zostali uniewinnieni.

Próbowaliśmy namówić Andrzeja Z. na rozmowę. Bezskutecznie.

III. Kto wziął zlecenie na wielkiego psa?

Byłego komendanta głównego polskiej policji, generała Marka Pupałę, zastrzelono 25 czerwca 1998 roku, około godziny 22. Śledztwo, które wtedy rozpoczęto, trwa nadal (piszemy o tym w maju 2013 r.), a w sprawie nastąpiło już kilka nieoczekiwanych zwrotów.

Najpierw szukano na ślepo, nie znano motywów zbrodni, krąg sprawców zaś pozostawał we mgle. Potem przyjęto jedną hipotezę, popartą wyłącznie poszlakami, i za wszelką cenę próbowano udowodnić, że jest prawdziwa.

Sprawa jest zawiła. Uprzedzamy, że jej lektura wymaga skupienia. Jest tu sporo postaci, które ze względu na wymogi prawa prasowego i kodeksu cywilnego jesteśmy zmuszeni ukryć pod pierwszymi literami nazwisk. Warto jednak przyjrzeć się temu śledztwu. Nie można przecież pisać i mówić o polskiej mafii bez próby zrozumienia, dlaczego zabito byłego szefa policji.

Na miejsce zbrodni, czyli na warszawski Mokotów, a konkretnie parking przed domem, w którym mieszkał Pupała z żoną i córką, ściągnęły wtedy tłumy: politycy, dziennikarze, przygodni gapie i policjanci z kilku jednostek. Nikt nie panował nad odpowiednim zabezpieczeniem parkingu. Zadeptywano ślady. Później zaprzeczano: „Nie było bałaganu, panowaliśmy nad wszystkim”. Ale dziennikarze, którzy jako jedni z pierwszych dotarli na miejsce (m.in. Marcin Trzciniński z PAP), potwierdzali nam, że tamtego dnia procedury wymknęły się spod kontroli, że panowały chaos i panika. Sytuacja była przecież nadzwyczajna. Zabito najwyższego rangą policjanta, który jeszcze kilka miesięcy wcześniej był szefem komendy głównej.

Generała zastrzelono, kiedy wysiadał ze służbowego daewoo espero. Zginął na miejscu od jednego strzału w głowę. Odgłos wystrzału słyszała Małgorzata Pupała, żona generała. Czekwała na męża. Wyszła na spacer z psem. Widziała, że ktoś uciekał. Idąc w stronę samochodu męża, minęła parę: mężczyznę i kobietę. Szli od strony parkingu.

Wietnamczyk mieszkający w tym samym domu widział z okna na szóstym piętrze sylwetkę mężczyzny oddającego strzał. Było ciemno, nie potrafił opisać sprawcy. Twierdził, że był to jeden człowiek, współników nie dostrzegł. Sprawca oddalił się w kierunku ulicy Wyścigowej.

Powołano specjalną grupę śledczą pod kryptonimem „Generał”. Na jej czele stanął doświadczony prokurator Jerzy Mierzewski, a ze strony policji Małgorzata Wierchowicz. Grupa równolegle badała

kilkanaście scenariuszy zdarzenia. Przyjęto za możliwe najróżniejsze wersje motywów i ewentualnych sprawców. Od powodów natury osobistej (nieporozumienia rodzinne) po wyrok wydany i wykonany przez mafię. Nie będziemy tutaj przytaczać kolejnych wersji śledczych, niektóre były bulwersujące, szczególnie dla rodziny zabitego, bo dotyczyły jego życia intymnego. Grupa „Generał” po kilku latach śledztwa przyjęła wreszcie końcową wersję. Marka Pupałę zabił nieznany sprawca na zlecenie polonijnego biznesmena z Chicago Edwarda M.

Biznesmena M. zatrzymano, kiedy bawił w Polsce w interesach. Przesłuchano go i okazano ważnemu świadkowi. Edward M. nie przyznał się, chociaż świadek go rozpoznał. Potem okazało się, że czynność ta była obarczona, delikatnie mówiąc, błędem. Edwarda M. ubrano w czerwoną marynarkę, był wyrazistym celem do wskazania wśród innych okazywanych osób. Po naradzie na najwyższym szczeblu w Prokuraturze Krajowej zdecydowano, żeby nie stosować wobec biznesmena środka zabezpieczającego w postaci tymczasowego aresztowania. Zwolniono go, a ten natychmiast wsiadł w samolot. Poleciał do USA i już nigdy do Polski nie wrócił.

Świadkiem, który wskazał Edwarda M., był Artur Z., ps. Iwan, mieszkaniec Trójmiasta, członek grupy nazwanej przez media Klubem Płatnych Zabójców. Ciążyły na nim zarzuty udziału w kilku zbrodniach, Czekał go surowy wyrok. Być może ta perspektywa spowodowała, że na którymś z kolei przesłuchaniu pamięć Iwana nagle się odświeżyła. Artur Z. zaczął współpracować z grupą śledczą „Generał”, a w szczególności z panią podinspektor Wierchowicz. Obiecano mu, że skorzysta ze złagodzenia kary – tak się faktycznie stało, zamiast dożywocia dostał 15 lat więzienia. Wolności jednak nie doczekał. W styczniu 2010 roku, w wieku 38 lat, zmarł w więzieniu z powodu zatoru wywołanego przedawkowaniem leków.

Słowik knuje z Nikosiem (?)

Iwan opowiedział śledczym, że był uczestnikiem spotkania w gdańskim hotelu Marina. Brali w nim udział Nikodem S., ps. Nikoś, słynny na całą Polskę lider trójmiejskiego przestępczego świata, Andrzej Z., ps. Słowik, Edward M. i kilka mniej znaczących osób. Biznesmen z Chicago oferował 40 tys. dolarów za głowę, jak zeznał Iwan, „wielkiego psa” (potem Artur Z. domyślił się, że chodziło o Pupałę). Wykonawcą miał być właśnie on, Iwan, ale w końcu nie zdecydował się na ten zarobek. Poszukiwać wykonawcy miał też Słowik.

Śledczy dotarli do innego ważnego świadka, złodzieja samochodowego Igora Ł., ps. Patyk. Prokuratura w Katowicach nadała mu status świadka koronnego, bo chętnie obciążał innych złodziei i rzekomo skorumpowanych policjantów. Większość pomówionych przez Patyka funkcjonariuszy trafiła do aresztów, aby po wieloletnich śledztwach i procesach usłyszeć wyrok: niewinny. W ich

przypadkach zeznania Patyka były kłamstwami. Ale grupie „Generał” jego opowieść świetnie pasowała do układanki.

Patyk pośrednio obciążył Ryszarda Boguckiego, byłego biznesmena, potem przez szereg lat ściganego listami gończymi za przestępstwa gospodarcze, ukrywającego się najpierw na terenie Polski, później w Meksyku. Złodziej samochodów zeznał, że przypadkiem był w pobliżu parkingu, na którym zabito generała policji (mieszkał w pobliżu). Widział tam dwie osoby, które rozpoznał. Jedna to członek Klubu Płatnych Zabójców z Gdańska Siergiej S., a druga – zapaśnik, reprezentant Polski Krzysztof W.

Siergiej S. z Ukrainy, były żołnierz specnazu, osiadły w Polsce, także był uważany za członka Klubu Płatnych Zabójców. Podczas przesłuchania przyznał się do udziału w zabójstwie generała, nie wiadomo dlaczego. Potem zmienił zeznania. Po sprawdzeniu wykluczono jego pobyt w Warszawie. Prawdopodobnie przyznał się, by utrudnić inne śledztwo – był podejrzany o zastrzelenie w kwietniu 1998 r. Nikosia. Został skazany za inne zabójstwa na dożywocie, odpowiedzialności za śmierć Nikosia mu nie dowiedziono.

Krzysztof W. był przyjacielem Ryszarda Boguckiego. Dla śledczych to był jasny trop: jeżeli zapaśnika widziano na miejscu zbrodni, to w pobliżu powinien też być Bogucki. Wszystko się ząbowało, bo Ryszard Bogucki przyjaźnił się z Nikosiem, przez jakiś czas mieszkał nawet u niego, ukrywając się przed prokuraturą. Skoro więc Nikoś, według zeznań Iwana, był pośrednikiem między Edwardem M. a killerem, to taką samą rolę mógł pełnić Bogucki. Tym bardziej że, według Iwana, Bogucki był wtajemniczony przez Nikosia w sprawę planowanego zabójstwa generała policji.

Przesłuchiowano wszystkie osoby mające kontakt z Ryszardem Boguckim. Zbigniew G., gangster z południa Polski, zeznał, że Bogucki namawiał go do zabicia generała policji. W tym czasie Ryszarda Boguckiego poszukiwano już jako podejrzanego o zabójstwo Pershinga. Ukrywał się w Meksyku. Namierzono go tam i zatrzymano. Po przewiezieniu do Polski trafił do aresztu w Katowicach. W sąsiedniej celi siedział Piotr W., ps. Generał, świadek koronny w wielu sprawach. To on opowiedział śledczym, że Bogucki wyznał mu w areszcie, iż osobiście zastrzelił Marka Papałę. Strzelał z wykroku, jak komandos. Kółko się zamknęło, chociaż zeznania Piotra W. nawet nastawionym na sukces śledczym wydały się nieco na wyrost. Nie zdecydowali się oni na postawienie Boguckiemu zarzutu zabójstwa byłego komendanta głównego, a obciążyli go jedynie o współudział w zbrodni, obecność na miejscu zdarzenia i udzielenie pomocy nieznanemu wykonawcy. W domyśle był nim zapaśnik Krzysztof W., w tym czasie już nieżyjący, gdyż zginął w wypadku samochodowym.

Najważniejszym dowodem na obecność Boguckiego przed domem Papały był fakt, że rozpoznała go wdowa po komendancie. To on miał być mężczyzną idącym od strony parkingu z nieznaną kobietą, którego minęła żona generała, kiedy spacerowała z psem. Ale do czynności okazania jej podejrzanego, podobnie jak w przypadku takiej samej czynności wobec Edwarda M., można było

mieć poważne zastrzeżenia. Najpierw Małgorzacie Papale pokazano tablice ze zdjęciami Boguckiego – nie poznała go. Po kilku latach od zdarzenia okazano jej wśród tzw. figurantów Ryszarda Boguckiego – stwierdziła, że jest podobny do tamtego mężczyzny. Wydawało się dziwne, że po upływie długiego czasu rozpoznała twarz człowieka, którego widziała w ciemności przez zaledwie kilka sekund.

Konstrukcja była karkołomna – według prokuratury zlecenie wydał biznesmen Edward M., zabójcy szukał Andrzej Z., ps. Słowik, nie wiadomo, czy kogoś znalazł, ktoś jednak wyrok wykonał, a na miejscu zabójstwa pomagał mu Ryszard Bogucki. Był też drugi krąg podejrzanych, według prokuratury także współpracujących z Edwardem M. To osławiony Jeremiasz B., ps. Baranina, i jego cyngiel Rafał K., gangster z Warszawy. Obaj w czasie, kiedy wciągnięto ich na listę spiskujących przeciwko Papale, już nie żyli. Dowodów bezpośrednich nie znaleziono, jedynie poszlaki w postaci często niespójnych zeznań kilku świadków, głównie przestępców. Najsłabszy punkt dotyczył motywu.

Przyjaciel z Ameryki

Edward M. był uważany za przyjaciela Marka Papały. Obaj mieli wspólny krąg znajomych, głównie z kręgów biznesowo-politycznych. Ich wspólnymi znajomymi byli m.in. Roman Kurnik, były zastępca komendanta głównego policji, a także generał byłej Służby Bezpieczeństwa MSW (z czasów PRL) Józef S. Po wyborach 1997 r., kiedy zmieniła się ekipa rządząca z koalicji SLD–PSL na AWS, Marek Papała stracił stanowisko. Zaproponowano mu wyjazd do Brukseli, miał tam być oficerem łącznikowym polskiej policji, trochę boczny tor, ale za to z wysoką pensją i dietami. Szykował się do objęcia placówki. Intensywnie uczył się języka angielskiego. Edward M. zaprosił go do Chicago, tam miał mu na własny koszt załatwić szybki kurs językowy. Marek Papała najpierw przyjął ten prezent od przyjaciela, potem zaczął się wahać. Według śledczych właśnie dlatego zginął na parkingu przed swoim domem. Gdyby wyjechał do Chicago, tam straciłby życie, bo taki był plan Edwarda M. Śledczy nie byli w stanie wyjaśnić, dlaczego M. miał nastawać na życie Papały. Przyjęli, że generał policji posiadał jakąś wiedzę na temat Edwarda M., niebezpieczną dla biznesmena. Ale jaką, nie wiedzieli.

Za czasów rządów PiS Polska wystąpiła do USA o ekstradycję Edwarda M. Polonijnego biznesmena z podwójnym obywatelstwem, polskim i amerykańskim, aresztowano. Przesiedział kilka miesięcy, zanim doszło do rozprawy ekstradycyjnej. Amerykański sędzia orzekł, że strona polska nie przedstawiła wiarygodnych dowodów winy Edwarda M., i odmówił wydania go Polsce. Zeznania przestępcy Artura Z., ps. Iwan, były – według sędziego – niespójne i kłamliwe. Sędzia uznał, że Iwan miał osobisty interes, aby zeznawać to, co śledczy chcieli usłyszeć. Jednocześnie sędzia nie wziął pod

uwagę zeznań innych osób, na które powoływali się we wniosku ekstradycyjnym polscy prokuratorzy.

Warto w tym miejscu przytoczyć treść wniosku ekstradycyjnego. To istotny dokument – sprawia wrażenie rzetelnego résumé całego śledztwa. Jeżeli jednak przyjąć metodologię amerykańskiego sądu, wartość wniosku, a więc i całego śledztwa, była zerowa, bo oparta na kłamstwie Artura Z., Iwana. Ten już nie żyje. Nie odpowie na pytania i niczego do sprawy nie doda.

SĄD OKRĘGOWY USA NA OKRĘG PÓŁNOCNY STANU ILLINOIS
DZIAŁ WSCHODNI

W SPRAWIE EKSTRADYCJI EDWARDA M.

WNIOSEK
DO
ARLANDERA KEYSA
SĘDZIEGO MAGISTRACKIEGO USA

Ja, MITCHELL A. MARS, zaprzysiężony, zeznam i oświadczam, że jako federalny prokurator śledczy w Okręgu Północnym stanu Illinois reprezentuję Stany Zjednoczone w wypełnianiu zobowiązań traktatowych wobec Rządu Rzeczypospolitej Polski występującej w charakterze Państwa Wzywającego, zgodnie z Traktatem o Ekstradycji między Stanami Zjednoczonymi a Polską z roku 1996, który nabrał mocy prawnej 17 sierpnia 1999 roku, w sprawie EDWARDA M. (kopię Traktatu załączono do niniejszego Wniosku w tomie I materiałów dostarczonych niżej podpisanemu przez Państwo Wzywające¹).

Na podstawie rozdziału 18 paragraf 3184 Kodeksu USA, zgodnie z moją najlepszą wiedzą, oświadczam, co następuje:

1. Zarzut postawiony w Polsce. Dnia 1 lutego 2005 roku II Wydział Karny Sądu Rejonowego dla Warszawy Śródmieście pod przewodnictwem sędzi Joanny Zaremby wydał obowiązujący na terenie Państwa Wzywającego nakaz tymczasowego aresztowania EDWARDA M. w związku z zarzutem, że w kwietniu 1998 roku, działając w porozumieniu z osobą trzecią, nakłonił Artura Z. do zamordowania komendanta głównego policji Marka Papały, oferując mu za ten czyn kwotę czterdziestu tysięcy dolarów USA; przestępstwo to określa art. 18 paragraf 1 Kodeksu Karnego z roku 1969. Kopia nakazu tymczasowego aresztowania znajduje się w tomie III, dok. 26. Karą przewidzianą za to przestępstwo jest dożywotnie pozbawienie wolności lub 25 lat pozbawienia wolności. Zob. tom II, dok. 3. Zgodnie z art. 2 Traktatu o Ekstradycji zarzut popełnienia takiego przestępstwa stanowi podstawę do ekstradycji. Zob. tom I. Państwo Wzywające złożyło formalny wniosek o ekstradycję EDWARDA M., powołując się na wspomniany Traktat. Zob. tom I, dok. 1, i tom III, dok. 1.

2. Podstawy zarzutu postawionego przez stronę polską. Streszczenie przedstawionego przez Państwo Wzywające materiału dowodowego przeciw EDWARDOWI M. zostało dołączone do wniosku o tymczasowe aresztowanie i ekstradycję, złożonego przez wiceprokurator apelacyjną Ludwikę Tomaszewską, i znajduje się w tomie III, dok. 2. Zeznania świadków Artura Z., Andrzeja Z., Marcina P., Sławomira T. i innych znajdują się w tomach III i IV.

Zgodnie z przedstawionymi tu materiałami w kwietniu 1998 roku EDWARD M. nakłaniał do zabójstwa Marka Papały, byłego komendanta głównego policji w Warszawie. Podczas spotkania w Gdańsku M. namawiał do popełnienia tego zabójstwa Artura Z., a także Andrzeja Z. Obaj zostali aresztowani, zanim jeszcze doszło do zabójstwa. Inny uczestnik spisku, Rafał K., nakazał Marcinowi P. śledzenie okolic miejsca zamieszkania Papały, gdzie ostatecznie Papała został zamordowany. Marcin P. był świadkiem przynajmniej jednego spotkania Rafała K. z Edwardem M., które miało miejsce w roku 1998, w warszawskim hotelu.

a) W swoim zeznaniu Artur Z. podaje, że w marcu lub kwietniu 1998 roku spotkał się w gdańskim hotelu Marina z Nikodemem S. (zidentyfikowanym przez polskie władze jako przywódca zorganizowanej grupy przestępczej, działającej w Gdańsku i innych miejscach na terenie Polski), Tomkiem N., Jackiem H., Kazimierzem H. (skazanym w Niemczech i Szwecji za przemyt narkotyków) i innymi osobami. Podczas tego spotkania omawiano zabójstwo warszawskiego oficera policji. Ofiara planowanego morderstwa nie została wymieniona z nazwiska. Zob. tom III, dok. 3, 4, 5 i 7.

Artur Z. spotkał się następnie ze współnikiem o przezwisku „Siergiej”, który wcześniej mówił mu, że brał już udział w zabójstwach. Siergiej powiedział mu, że N. proponował mu zlecenie zabójstwa, którego ofiarą miał być oficer policji w randze „generała”. N. potwierdził później Arturowi Z., że proponował Siergiejowi wykonanie zabójstwa na zlecenie w Warszawie; powiedział też, że kwota zaoferowana za zlecenie na „generała” wynosiła 40 tysięcy dolarów i że Siergiej zgodził się dokonać zabójstwa. Zdaniem Artura Z. ofiara została wówczas wymieniona z nazwiska jako „Papała”. Zob. tom III, dok. 4.

Po rozmowach z N. i Siergiejem w kwietniu 1998 roku Artur Z., ps. Iwan, wziął udział w drugim spotkaniu w gdańskim hotelu Marina. Tuż przed tym spotkaniem spotkał się z Nikodemem S., Nikosiem, w jego mieszkaniu nieopodal hotelu. Nikoś potwierdził, że chodzi o morderstwo na zlecenie za 40 tysięcy dolarów, która to suma miała zostać przekazana po wykonaniu zabójstwa. Podczas spotkania z Nikodemem S. w mieszkaniu pojawił się Ryszard Bogucki; Nikoś powiedział Iwanowi, że mogą swobodnie rozmawiać, ponieważ Bogucki „zna sprawę”. Rozmowa potoczyła się dalej i Bogucki spytał Iwana, czy „cyngiel” jest dobry. Ten potwierdził. Zob. tom III, dok. 5 i 7.

Następnie Nikodem S. i Artur Z. udali się samochodem do hotelu Marina. Po drodze S. powiedział Z., że na spotkaniu pojawią się Słowik oraz biznesmen nazwiskiem M., którego imię, jak zeznał Z., brzmiało Ryszard albo Edward. W hotelu Marina Artur Z. spotkał się z Edwardem M. Ich rozmowa trwała około godziny i mówił głównie M. Powiedział, że interesowałoby go zabicie Papały, który „poważnie utrudnia dalsze prowadzenie interesów”; pokazał też wycięte z gazety zdjęcie Papały. Zob. tom III, dok. 3, 5, 7, 10 i 13.

Edward M. powiedział, że zabójstwo prawdopodobnie odbędzie się w Warszawie. Powiedział też Arturowi Z., że Papała jest już obserwowany w klubie o nazwie „Lotos” lub też innej podobnej (z prowadzonego przez Państwo Wzywające śledztwa wynika, że w okresie, w którym rozmowa ta miała miejsce, Marek Papała uczęszczał do warszawskiej szkoły języków obcych „Laris”, gdzie uczył się angielskiego w związku z planowanym wyjazdem do USA). Podczas spotkania stwierdzono, że zabójstwa trzeba dokonać, „zanim policjant wyjedzie z Polski”. Żeby pokazać, że Papała znajduje się pod obserwacją konspiratorów, M. lub Słowik wykonał w obecności Artura Z. telefon i spytał „Gdzie nasz człowiek?”. Po skończonej rozmowie powiedział, że Papała jest właśnie w klubie „Lotos” bądź też „Latis”. Zob. tom III, dok. 5, 7 i 15.

M. spytał, czy Z. posiada broń i czy „cyngiel” jest dobry. Na oba pytania Z. odpowiedział twierdząco. Z. lub S. uzgodnili z M., że cena zabójstwa ma wynieść 40 tysięcy dolarów. Nie wyznaczono daty zabójstwa, ale M. proponował, by „cyngiel” na dany sygnał udał się samolotem z Gdańska do Warszawy. M. i Z. ustalili, że szczegółów omówią w późniejszym terminie, korzystając z pośrednictwa Nikodema S. Podczas rozmowy w hotelu Marina Artur Z. dowiedział się, że konspiratorzy czekają na sygnał od kogoś z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, kto miał jakieś powiązania z Papałą. S. dodał, że za planem zabójstwa stoją też inne wysoko postawione osoby. Podczas tej rozmowy Edward M., Nikoś i Słowik rozmawiali też o przemyśle narkotyków. Zob. tom III, dok. 5 i 15.

Następnie Z. i S. udali się do Warszawy; S. twierdził, że ma tam umówione spotkanie w hotelu Marriott w związku ze „sprawami warszawskimi” – co, jak sądził Z., miało oznaczać zabójstwo Papały. Nikodem S. zatrzymał się na parkingu, gdzie Z. ujrzał trójkę mężczyzn. Jednym z nich był Edward M. Artur Z. nie uczestniczył w spotkaniu, ale przywitał się z mężczyznami, którzy przedstawili się jako Józef i Jacek. Później Nikoś wyjaśnił Iwanowi, że to współpracownicy biznesmena M. i że obaj mają na nazwisko „Susin” lub jakoś podobnie. Artur Z. słyszał tylko urywki rozmowy, która, jak się zdaje, dotyczyła przemytu narkotyków przez granicę wschodnią. Zob. tom III, dok. 5, 7 i 10.

Pod koniec roku 1997 Artur Z. spotkał się z mężczyzną, którego znał pod przezwiskiem „Baranina”. Poznali się przez Nikodema S. Później S. poprosił Z., by ten załatwił mu pewną sprawę u Baraniny w Wiedniu. Z. ostatecznie nie pojechał do Wiednia, a S. nie wyjaśnił, o jaką sprawę chodzi. (Baranina to jeszcze jeden uczestnik spisku morderców, zob. s. 6 – poniżej). Zob. tom III, dok. 8.

29 kwietnia 1998 roku Z. został aresztowany w związku z innymi zarzutami. Rozpoznał wówczas na zdjęciu EDWARDA M. i potwierdził, że to ten sam M., z którym widział się podczas drugiego spotkania w gdańskim hotelu Marina w kwietniu 1998 roku. Rozpoznał też na zdjęciach Andrzeja Z. jako „Słowika”, z którym widział się podczas tego samego spotkania, a także Józefa S. jako „Józefa”, którego poznał w Warszawie w towarzystwie Nikodema S. i Edwarda M. Stwierdził też, że widoczny na zdjęciu Jacek S. „to być może tamten Jacek”, którego spotkał w towarzystwie Józefa i M. Zob. tom III, dok. 6, 10, 11 i 13.

b) Andrzej Z. podaje w swoich zeznaniach, że mniej więcej na miesiąc przed pogrzebem Nikodema S. (został zamordowany pod koniec kwietnia 1998 roku, a jego pogrzeb miał miejsce 30 kwietnia) dowiedział się od mężczyzny nazwiskiem Zbigniew B., że jest okazja, by spotkać się z „Marcem” i M., oraz że M. może pomóc w uwolnieniu z więzienia Andrzeja K., zwanego też „Pershingiem”, który był najbliższym przyjacielem Słowika. B. polecił Słowikowi, by ten udał się do gdańskiego hotelu Marina, gdzie zastanie Marca lub M. oraz S. Zob. tom IV, dok. 3.

Zgodnie z poleceniem, Słowik udał się nazajutrz do hotelu Marina. Był tam już Nikoś, który przedstawił mu M. Ten powiedział, że może pomóc Pershingowi w uzyskaniu przedterminowego zwolnienia. Słowik odniósł wrażenie, że M. chciałby coś uzyskać w zamian za pomoc w tej sprawie. Podczas spotkania M. spytał Słowika, czy zna kogoś, kto przyjąłby zlecenie na zamordowanie Papyły; tym razem nie określili kwoty. Słowik nie kojarzył wówczas tego nazwiska, ale był pewien, że zostało ono wymienione przez M. Zastanawiał się, czy nie oszukać M., przyjmując zlecenie (a także dowolną kwotę, jaką by mu zaoferowano), ale nie wykonując go. W dniu pogrzebu Nikosia Słowik wspominał o propozycji Edwarda M. swojemu przyjacielowi Zygmuntowi R., kiedy razem nocowali w hotelu Gołębiwski w Mikołajkach. Dowiedziawszy się, że w spotkaniu brał udział Nikodem S., R. powiedział, by nie angażował się w tę sprawę. Zob. tom IV, dok. 3.

Zygmunt R. podaje w swoich zeznaniach, że jakiś czas po zamordowaniu Nikodema S., a przed aresztowaniem Andrzeja Z. (6 maja 1998 roku), przebywał w ośrodku wypoczynkowym w Mikołajkach. W dniu pogrzebu Nikosia lub też następnego dnia spotkał się z Z. w barze przy restauracji hotelu Gołębiwski. Z. powiedział mu, że brał udział w spotkaniu z Edwardem M., który szuka kogoś, kto zamordowałby komendanta głównego policji, generała Papyłę. Sądził, że na tym kontrakcie można by zarobić duże pieniądze. R. odradził Z. udział w tej sprawie; twierdził, że sprawa jest poważna, a do śledztwa zaangażowana zostanie cała policja. R. nakrzyczał na Z., powiedział mu, że pieniądze nie są tego warte, i nie chciał znać żadnych dalszych szczegółów. Zob. tom IV, dok. 1.

c) Marcin P. podaje w swoich zeznaniach, że zarządzał firmą Perfekt Taxi, należąca do niejakiego Rafała K. Około połowy roku 1998 K. kilkakrotnie kazał mu, by zawiózł go w pewien rejon Warszawy. Na pewnym etapie kazał się tam wozić dwa lub trzy razy dziennie. Z początku nie mówił Marcinowi P., dlaczego tam jeżdżą. Później powiedział mu, że szuka dwóch samochodów Espero, zielonego i czerwonego. P. bał się K. i nie wypytywał go o jego działalność. K. szereg razy mówił mu, że jeśli będzie mu się stawiał, zostanie zabity wraz z żoną i synem (późniejsze śledztwo prowadzone przez Państwo Wzywające wykazało, że rejon, po którym P. woził K., to okolica domu Marka Papyły, a zarazem miejsca jego zabójstwa. Papyła rzeczywiście korzystał z dwóch samochodów Espero, zielonego i czerwonego). Zob. tom III, dok. 2, 18 i 19.

Kiedy w styczniu 1998 roku zabity został mężczyzna znany Marcinowi P. pod przewiskiem „Junior”, Jeremiasz B. wyznaczył na jego miejsce Rafała K., który stał się odtąd jego prawą ręką. W połowie maja 1998 roku K. spotkał się w Austrii z Jeremiaszem B., Po spotkaniu w Austrii Rafał K. wyznaczył P. spotkanie w Niemczech. Zob. tom III, dok. 19.

W roku 1998 Marcin P. spotkał się raz z Rafałem K. w warszawskim hotelu Karat; K. rozmawiał z mężczyzną, którego P. rozpoznał później w policyjnym albumie fotograficznym jako EDWARDA M. Spotkanie to miało miejsce po powrocie Rafała K. z Niemiec. Marcin P. był zdania, że widział tego samego osobnika w obecności K. w hotelu Marina oraz w warszawskim Marriotcie. Zob. tom III, dok. 20, 21, 22 i 23; tom IV, dok. 7 i 8.

Kilka dni po zamordowaniu Papyły Marcin P. razem z Rafałem K. znajdowali się w siedzibie Perfekt Taxi. K. odebrał telefon; na podstawie jego zachowania P. przypuszczał, że dzwoni Jeremiasz B. Po skończonej rozmowie K. był zdenerwowany i kazał Marcinowi P. wyrzucić do Wisły pewną paczkę. Następnie K. opuścił biuro i wrócił z paczką o nieregularnym kształcie. Była ona owinięta w kilka warstw czarnej folii i taśmy klejącej. P. nie wiedział, co jest w środku, ale na podstawie dotyku sądził, że amunicja.

K. kazał mu natychmiast wrzucić paczkę do Wisły. P. zawiózł paczkę nad Wisłę, ale przeszkodziła mu policyjna łódź patrolowa. Zadzwoił do niego spanikowany K., pytając, czy paczka została już wrzucona do rzeki. P. odparł, że jeszcze nie, na co K. kazał mu pozbyć się jej natychmiast, co też P. zrobił. Kiedy wrócił do firmy, K. nawrzeszczał na niego, twierdząc, że w paczce znajdowały się „rzeczy Papąły” i że dlatego tak się denerwuje. Nie wyjaśnił dokładnie, co to za „rzeczy”, a P. bał się pytać. Tom III, dok. 19.

d) Sławomir T. podaje w swoich zeznaniach, że rozpoznał na zdjęciu EDWARDA M. jako człowieka, którego po swoim wyjściu z więzienia w roku 1997 widział w obecności Nikodema S. T. był zdania, że widział M. w towarzystwie Nikosia w warszawskim hotelu Marriott lub w gdańskim hotelu Marina, przy czym bardziej prawdopodobnym miejscem spotkania wydawała mu się Marina. Kiedy T. widział M. z Nikosiem, przy stole siedział ktoś jeszcze, ale T. nie mógł sobie przypomnieć, kto to był. Zob. tom III, dok. 25. T. rozpoznał też na zdjęciu Józefa S. jako człowieka, którego widział z Nikodemem S. w Marriocie. Zob. tom IV, dok. 11.

e) Zdjęcia z pogrzebu Nikodema S. 30 kwietnia 1998 roku, pozyskane przez Państwo Wzywające w związku z poszukiwaniem miejsca zamieszkania S., wykazują, że Ryszard Bogucki i Sławomir T. byli tam obecni. Zob. tom IV, dok. 14. W ramach tych samych poszukiwań pozyskano również notatnik z numerem telefonicznym Andrzeja Z. Tom IV, dok. 15.

f) Śledztwo policyjne w sprawie zamordowania Marka Papąły ustaliło, że Papąłę zamordowano 25 czerwca, około godziny 22, przed jego domem w Warszawie, kiedy wysiadał z samochodu. Został zabity jednym strzałem w głowę przez nieznanego zamachowca. W chwili, gdy padł strzał, żona Papąły Małgorzata wyprowadzała psa przed domem. Nie widziała twarzy strzelca, ale widziała, jak ucieka z miejsca zabójstwa. Zobaczyła również dwie inne osoby, mężczyznę i kobietę, spacerujących razem nieopodal domu Papąły. W mężczyźnie Małgorzata Papąła rozpoznała Ryszarda Boguckiego (osobnika, który był obecny w mieszkaniu Nikodema S., kiedy Nikoś i Artur Z. rozmawiali na temat zabójstwa Papąły, tuż przed rozmową z EDWARDEM M. na ten sam temat). Zob. tom IV, dok. 13; tom V, dok. 1.

Do stycznia 1998 roku Marek Papąła był komendantem głównym policji i w związku z tym stanowiskiem mówiono o nim „generał Papąła”. Od lutego 1998 do chwili śmierci uczył się angielskiego w warszawskiej szkole języków obcych „Laris”, gdzie uczęszczał przez pięć dni w tygodniu w godzinach 8.00–13.00. Śledztwo policyjne wykazało, że w dniu morderstwa Papąła spotkał się w godzinach wieczornych z EDWARDEM M. w mieszkaniu Józefa S., emerytowanego generała Służby Bezpieczeństwa. Papąła powiedział M., że z domu S. zamierza się udać na Dworzec Centralny w Warszawie, by odebrać krewnych, którzy mają przyjechać pociągiem. Pociąg spóźnił się znacznie i Papąła sam wrócił do domu, gdzie został zabity przy wysiadaniu z samochodu. Zob. tom IV, dok. 13, tom V, dok. 1.

W ZWIĄZKU Z POWYŻSZYM strona powodowa wnioskuje:

o wystawienie nakazu aresztowania EDWARDA M. na podstawie paragrafu 3184 rozdziału 18 Kodeksu USA;

o doprowadzenie EDWARDA M. do Sądu i zapoznanie się z dowodami przestępstwa;

w razie gdyby Sąd po zapoznaniu się z materiałami uznał je za wystarczające uzasadnienie zarzutów w myśl ustaleń Traktatu – o poświadczenie tego Sekretarzowi Stanu, aby zgodnie z Traktatem możliwe było przekazanie EDWARDA M. odpowiednim władzom Państwa Wzywającego;

o podjęcie przez Sąd wszelkich działań, jakie z punktu widzenia ustaleń Traktatu i przepisów prawnych USA mogą być konieczne do tego, aby USA wywiązały się ze swych zobowiązań traktatowych – w tym o zatrzymanie wszelkich przedmiotów bądź materiałów znajdujących się w posiadaniu EDWARDA M., które mogą mieć związek z zarzucanym mu przestępstwem lub też mogą zostać wykorzystane jako materiał dowodowy.

MITCHELL A. MARS
Federalny Prokurator Śledczy
South Dearborn Street, 219, V piętro
Chicago, stan Illinois 60604

Państwo Wzywające dostarczyło niżej podpisanemu szereg uwierzytelnionych dokumentów, których kopie przekazano Sądowi i dołączono do niniejszego wniosku, w tomach I–V. Znajdują się tam tłumaczenia tych dokumentów. Oryginały znajdują się w posiadaniu niżej podpisanego i będą udostępnione do wglądu, ilekroć Sąd stwierdzi taką potrzebę.

Pasjonująca lektura, ale trudno odeprzeć wrażenie, że prokuratorzy dość bezkrytycznie uznali zeznania przestępców jako prawdy objawione. Z wniosku ekstradycyjnego nie wynika, aby Edward M. miał jakikolwiek kontakt z Ryszardem Boguckim. Nie jest prawdą, że Słowik był w tym czasie przyjacielem Pershinga. Bez sensu jest wątek, w którym Edward M. miał w 1998 r. obiecywać Słowikowi załatwienie przedterminowego zwolnienia Pershinga z więzienia. Andrzejowi K. właśnie kończył się termin kary, na wolność wyszedł w normalnym trybie, po odbyciu 4-letniego wyroku.

Śledczy kontra śledczy

W 2010 r., po dwunastu latach od zabójstwa Marka Papały, przed warszawskim sądem ruszył proces Andrzeja Z., ps. Słowik, i Ryszarda Boguckiego – obu oskarżono o współudział. Nie przyznali się do winy. Świadek Zbigniew G., który w śledztwie obciążył Boguckiego, podczas zeznań w sądzie wycofał się z oskarżeń. Stwierdził, że policja zmanipulowała jego słowa, a Ryszard Bogucki nie zlecał mu zabójstwa.

W 2012 r. wybuchła sensacja, kiedy łódzka Prokuratura Apelacyjna ogłosiła, że zabójstwa Marka Papały dokonali Igor Ł., ps. Patyk, i Mariusz M., ps. Majek. Chcieli ukraść samochód generała, ten próbował im przeszkodzić, dlatego jeden z nich oddał śmiertelny strzał. Warszawski proces Boguckiego i Słowika zawieszono, a prokuratury łódzka i warszawska zaczęły toczyć spór. Sytuacja była bezprecedensowa, bo obie upierały się przy swoich wersjach. Wersja łódzka wykluczała warszawską i na odwrót.

Prokuratura Apelacyjna z Łodzi prowadziła śledztwo przeniesione z Warszawy głównie pod kątem błędów popełnionych przez grupę „Generał”. Podstawą była dla niej analiza materiałów całego postępowania przeprowadzona przez policyjnych analityków pod kierunkiem Marka S. (nie upoważnił nas do ujawnienia nazwiska). Wynikało z niej, że dotychczasowi śledczy nie sprawdzili prawdziwej roli Patyka w zdarzeniu przed domem generała policji. Nie przeanalizowali m.in. billingów i miejsc logowania telefonów używanych przez niego i członków grupy złodziei samochodowych, z którą współdziałał. W tej grupie byli bracia J., Mariusz M. i Robert P. Ich telefony komórkowe logowały się feralnego wieczoru w pobliżu parkingu przed domem Papały. Przesłuchany przez łódzką prokuraturę Robert P. opowiedział o nowej wersji zdarzenia. Według niego, on i bracia

J. siedzieli w samochodzie, a Patyk i Majek poszli ukraść daewoo espero. Po chwili padł strzał, Patyk i Majek przybiegli i cała grupa odjechała. Świadek nie widział momentu strzału i nie wiedział, kto strzelił. Na zeznaniach Roberta P., który tymczasem uzyskał status świadka koronnego, łódzka prokuratura oparła swoją wersję zdarzenia. Według niej Marek Pupała padł ofiarą nie spisku, ale zwykłego napadu rabunkowego. Złodzieje chcieli ukraść mu auto, próbował im przeszkodzić, wtedy padł śmiertelny strzał.

Zarzut zabójstwa postawiono Patykowi i Majkowi, chociaż tylko jeden z nich mógł nacisnąć spust. Wynika z tego, że łódzcy śledczy nadal (w czasie, kiedy piszemy tę książkę) nie wiedzą, kto strzelił.

„Patyk zrobił tragedię, odjechał generała policji”

Z Dariuszem K., zwanym Kramarem lub Bokserem, spotkaliśmy się dwa razy. Najpierw w więzieniu w Barczewie, potem w Areszcie Śledczym w Radomiu. Nie lubi pseudonimu Kramar, woli, jak zwą go Bokserem. Z zawodu jest cukiernikiem, na wolności prowadził pub i zajmował się małymi interesami. Odbywa wysoki wyrok za kradzieże samochodów. To były bokser stołecznej Gwardii. Podczas zatrzymania – chociaż nie był uzbrojony – został postrzelony przez policjantów ze specjalnej grupy „Gepard”. Od dawna chciał zeznawać w sprawie zabójstwa Marka Pupały.

Opowiada, że już w 2005 r. na sali sądowej krzyczał, że to Patyk jest zabójcą generała Pupały, ale nie dawano mu wiary. Uznano, że to taktyka – wszak to zeznania wtedy już świadka koronnego Patyka, czyli Igora Ł., obciążły właśnie Kramara. Sędzia upominała go, by nie pomawiał świadka koronnego. A może świadek koronny jest kosmitą, może z UFO tu przyleciał? – pytała. Pisał listy do prokuratury i polityków, ale nikt nie podjął tropu.

O zdarzeniu na parkingu przy ul. Rzymowskiego powiedział mu współnik Patyka, Robert J., jeden z dwóch braci, którym postawiono obecnie zarzuty w sprawie zabójstwa generała. To było kilka dni po śmierci Pupały, w restauracji Linda przy ul. Bartyckiej. Jak opowiada Kramar, Robert cały się trząsł. – Krzyczał, że Patyk zrobił tragedię, odjechał generała policji. Powtarzał: Co on zrobił, co on zrobił! Co będzie teraz?!

Sam Patyk przy Dariuszu K. chwalił się kiedyś, że zastrzelił generała. Nic mi nie zrobią, chełpił się. Był wtedy naćpany. Brał narkotyki i często działał pod ich wpływem – twierdzi Kramar. Ujawnia też, że Patyk kupował trotyl od policyjnych antyterrorystów. Co z nim robił, tego już nie wie.

Dariusz K. twierdzi, że wiedziało o tym kilka innych osób. Tomasz Ch., ps. Goding – ale ten powiesił się w areszcie. Wiedział też Artur Ś., ps. Śmiały, który mieszkał po sąsiedzku z Patykiem, przy ul. Bryły na Służewcu. Od Śmiałego musiał też wiedzieć o roli Patyka Artur P. Wszystkie nazwiska, fakty i okoliczności ujawni, jeżeli śledczy przyjadą do Barczewa. Wiemy, że Dariusz K. w

końcu został przesłuchany. Czy jednak śledczy skorzystają z jego zeznań, to inna sprawa. Wiemy też, że Robert J. zaprzecza, jakoby cokolwiek wiedział o udziale Patyka w zabójstwie. Twierdzi, że opowieść Boksera jest wyssana z palca. Podobnie ocenia zeznania Roberta P. Nie wiemy, czy jego wyjaśnienia są prawdziwe, czy też wynikają z linii obrony, jaką przyjął.

Analiza warszawskiej prokuratury

Kiedy pisaliśmy tę książkę, wznowiono zawieszony wcześniej proces Słowika i Boguckiego przed warszawskim sądem. Warszawska prokuratura nie poddawała się. Z jej wykonanej w 2008 r. analizy akt wynikało, że zleceniodawcą bez wątplenia był Edward M. Ta analiza nie jest znana opinii publicznej. Dotarliśmy do niej i ze względu na społeczną wagę tej zbrodni przytaczamy jej fragmenty.

„W początkowej fazie przesłuchań Artur Z., ps. Iwan, zaprzeczał posiadaniu jakichkolwiek informacji mogących mieć znaczenie w prowadzonym śledztwie. W okresie późniejszym zdecydował się złożyć zeznania na temat udziału Edwarda M. i innych osób. (...) **Wyjaśnił, że powodem przyjęcia przez niego takiej postawy była chęć skorzystania z dobrodziejstwa nadzwyczajnego złagodzenia kary w innym toczonym przeciwko niemu postępowaniu.** (...)

Artur Z. skontaktował się z Siergiejem S., którego zapytał, czy podejmie się dokonania zabójstwa oficera policji, nie precyzując, o jaką osobę chodzi. Siergiej S. wyraził na to zgodę, nie dopytując o żadne szczegóły. (...)

Marcin P. zeznał, że w kwietniu 1998 r. wraz z Rafałem K. na zlecenie Jeremiasza B., pseudonim Baranina, prowadził obserwację różnych miejsc w Warszawie. Rafał K. poinformował go, że w miejscach tych poszukuje dwóch samochodów marki Daewoo Espero w kolorze bordowym lub zielonym. Fakt przebywania Marcina P. w podanych przez niego miejscach i porach dnia potwierdzony został wydrukami stacji bazowych telefonii komórkowej.

Marcin P. na okazanych mu fotografiach rozpoznał Edwarda M. jako osobę, którą dwukrotnie widział na spotkaniach z Rafałem K. w hotelach w Warszawie.

Rafał K. nie został przesłuchany w tej sprawie, albowiem w dniu 30 września 1998 r. został zastrzelony przez nieustalonych sprawców. Jeremiasz B. w trakcie prowadzonego przeciwko niemu postępowania karnego przed sądem w Wiedniu popełnił samobójstwo w areszcie. (...)

Dowodami potwierdzającymi wiarygodność zeznań Artura Z. są zeznania:

- Beaty B., która rozpoznała Józefa S. (emerytowany generał byłej SB) jako mężczyznę, którego widziała w towarzystwie Nikodema S. w hotelu Marriott w Warszawie.
- Sławomira T., który wskazał Józefa S. jako mężczyznę, którego widział w towarzystwie Nikodema S., a także Ryszarda Boguckiego – jako osobę, którą po dokonaniu zabójstwa Marka Papyły

widział w towarzystwie Rafała K.

- Igora Ł., który wskazał Siergieja S. – jako osobę, którą widział w pobliżu bloku, w którym mieszkał Marek Pupała, na około godzinę przed jego zabójstwem.
- Zygmunta R., który zeznał, że w okresie pomiędzy pogrzebem Nikodema S. a tymczasowym aresztowaniem Andrzeja Z. (Słowika), w dniu 13 maja 1998 r., spotkał się z Andrzejem Z. w hotelu Gołębiowski w Mikołajkach. W czasie rozmowy Andrzej Z. poinformował go, że otrzymał od Edwarda M. propozycję dokonania zabójstwa Marka Pupały.
- Daniela Z. (osławiony gangster Zachar z Trójmiasta, zabity w 2011 r.), Alicji Z. i Mariusza Z., którzy zeznali, że w 2006 r. Edward M. skontaktował się telefonicznie z Danielem Z. (Zacharem), proponując mu złożenie zeznań dyskredytujących Artura Z. W związku z tym Alicja Z. i Mariusz Z. na prośbę Daniela Z. spotkali się w Chicago z Edwardem M., przekazując mu list Daniela Z. Kontakty te zostały przerwane na skutek aresztowania Edwarda M. w październiku 2006 r.

(...)

Edward M., przesłuchiwany jako świadek (dlatego te zeznania nie mogą być brane pod uwagę w śledztwie, w którym rola Edwarda M. zmieniła się ze świadka na podejrzanego), stanowczo zaprzeczył swojemu udziałowi w przestępstwie. Przedstawił się jako uczciwy amerykański biznesmen prowadzący na terenie Polski działalność gospodarczą.

Zeznał, że nigdy nie spotkał się z Nikodemem S., Andrzejem Z. (Słowikiem) i Arturem Z. Zeznał również, że w Trójmieście był tylko raz w celu kupienia mebli.

Na okazanych mu fotografiach rozpoznał jednak Artura Z. jako osobę, którą widział »gdzieś na lotnisku«.

Zeznał nadto, że z Markiem Pupałą utrzymywał kontakty towarzyskie, a także umożliwił mu wyjazd na kurs językowy do USA. Po raz ostatni spotkał go w dniu 25 czerwca 1998 r. (dzień śmierci generała) w mieszkaniu Józefa S. (emerytowany generał SB) w godzinach popołudniowych. Powodem tego spotkania była decyzja Marka Pupały o zmianie terminu wyjazdu do USA.

O zabójstwie Marka Pupały dowiedział się telefonicznie w kilka minut po jego dokonaniu w czasie, kiedy przebywał na spotkaniu towarzyskim u małżeństwa Sz. Stamtąd wraz ze Stanisławem S. udał się samochodem na miejsce zabójstwa, gdzie przebywał jakiś czas, a następnie został przewieziony do Komisariatu Policji przy ul. Malczewskiego w Warszawie. Tam po raz pierwszy został przesłuchany w charakterze świadka.

O niewiarygodności zeznań Edwarda M. świadczą przesłuchania świadków:

- Tadeusza S. (b. posła PSL), który zeznał, że w dniu zabójstwa Marka Pupały ok. godziny 22–23 Edward M. przyszedł do jego biura poselskiego przy ul. Krakowskie Przedmieście w Warszawie. Był zdenerwowany, poinformował go o zabójstwie Marka Pupały i po spożyciu pewnej ilości

alkoholu opuścił biuro.

- Krzysztofa B. (były wiceminister pracy z ramienia SLD), który zeznał, że na początku lat 90. wraz z Edwardem M. przebywał w Sopocie w hotelu Grand. W czasie tej wizyty Edward M. zaprosił go na spotkanie towarzyskie do znajomych w Gdyni. Do Gdyni i Sopotu Edward M. zawiózł Krzysztofa B. mercedesem i doskonale orientował się w układzie komunikacyjnym Gdyni i Sopotu.
- Grzegorza Ż. (b. szefa FOZZ), który opisał mechanizm niezgodnego z prawem wyprowadzania pieniędzy z Funduszu Obsługi Zadłużenia Zagranicznego, w czym uczestniczył Edward M. (miał dostać z FOZZ 1 mln dolarów).
- Adama i Zofii J., którzy zeznali, że już w połowie lat 70. spotykali się w Gdyni z Edwardem M.
- Mieczysława J. (niegdyś przestępcę z grupy pruszkowskiej, robiącego dziś rozległe interesy), który zeznał, że żona Andrzeja Z. (Słowika), Monika, opowiadała mu o znajomości jej i męża z Edwardem M.
- Mariana W. (posiadającego w USA nadany przez służbę ds. walki z narkotykami DEA status świadka koronnego), który opisał okoliczności swojej znajomości z Edwardem M. Zeznał również, że w latach 1994–95, przebywając w Warszawie, widywał Edwarda M. w towarzystwie Andrzeja Z., ps. Słowik, a także innych osób zajmujących się działalnością przestępczą. Według zeznań Mariana W. Edward M. poinformował go, że może ułatwić mu w Polsce obrót kokainą. Poinformował go, że procederem tym kieruje w Polsce emerytowany oficer służb specjalnych o nazwisku Susin lub Sasę (chodziło o generała Józefa S.). Marian W. zeznał także, że o tym samym człowieku i jego roli w przemyśle narkotyków opowiadał mu Nikodem S.”.

Uważny czytelnik z powyższej analizy wyciągnie kilka wniosków. Przede wszystkim wydaje się, że śledczy przynajmniej kilkakrotnie przyłapali Edwarda M. na znamienych kłamstwach. Twierdził on, że w swoim życiu był tylko raz w Trójmieście, w poszukiwaniu jakichś mebli, tymczasem szereg świadków ujawnił, że bywał tam częściej, znał dobrze topografię Gdyni i Sopotu. Po co kłamał, co chciał ukryć?

O znajomości Edwarda M. z Nikosiem, Rafałem K., Jeremiaszem B. i Słowikiem zeznało niezależnie od siebie kilku świadków – nie mieli interesu prawnego, by kłamać, poza Arturem Z. Tymczasem Edward M. gwałtownie tym znajomościom zaprzeczał. Wiedział, że taki krąg znajomych może go pogrzyźć?

Linia obrony Andrzeja Z., ps. Słowik, w toczącym się procesie polega na podkreślaniu faktu, że to nie on nakłaniał inne osoby do zabójstwa Marka Papiły, ale sam był nakłaniany. Z analizy wynika, że tak właśnie było – nie wiadomo więc, na jakiej podstawie postawiono mu zarzut udziału w spisku na

życie generała.

Śledczy przyjęli, że analizowane zeznania są wiarygodne. Dlaczego więc nie wszczęli przeciwko Edwardowi M. i Józefowi S. (emerytowanemu generałowi SB) postępowania w związku z podejrzeniem udziału w procederze przemytu i handlu narkotykami?

Niewątpliwie słabym asem w rękawie prokuratorów były zeznania b. posła PSL Tadeusza S. Twierdził on, że zaraz po zabójstwie Papały Edward M. przyszedł do jego biura poselskiego. Miał to być dowód na mataczenie M., który ten fakt ukrył. Tymczasem w czerwcu 1998 r. Tadeusz S. już od roku nie był posłem i nie miał biura poselskiego w Warszawie. Podane przez niego godziny (między 22 a 23), kiedy Edward M. miał go odwiedzić, nie pasują do ustalonych faktów. Zaraz po zabójstwie M. przebywał wraz z innymi gapiami w okolicy miejsca zbrodni, a zaraz potem trafił na komisariat, gdzie go przesłuchano. Po co więc w poważnej analizie prokuratorzy powołują się na zeznania b. posła i przedstawiają je jako wiarygodne? Prawdopodobnie po to, aby wyrzeć wrażenie, że wszystkie elementy układanki składają w jeden logiczny ciąg. Nie informują, że w czasie, kiedy Tadeusz S. składał zeznania, miał osobisty interes, by współpracować z prokuraturą. Postawiono mu zarzuty w sprawie o malwersacje finansowe. W 2008 r. został za to skazany na wyrok w zawieszeniu.

Podwójne śledztwo w sprawie zabójstwa Marka Papały przejdzie do annałów polskiej kryminalistyki. Proces w Warszawie dotyczył ustaleń jednej prokuratury, a w tym samym czasie druga prokuratura mozolnie zbierała dowody przeciwko innej grupie sprawców tego samego zabójstwa. Rzecz była ekwilibrystyczna, bo udział jednych wykluczał sprawstwo drugich – jeżeli na miejscu był Bogucki pilnujący swojego zabójcy, to nie mogło być Patyka z rewolwerem. Warszawski sąd nie bawił się w ekwilibrystykę. Uznał, że prokuratura nie przedstawiła wiarygodnych dowodów winy Słowika i Boguckiego. Obu uniewinniono.

Półtora roku po tajemniczym zabójstwie Marka Papały w Zakopanem zastrzelono jednego z najbardziej znanych polskich gangsterów, Andrzeja K., ps. Pershing. Obie sprawy, chociaż pozornie nie miały ze sobą nic wspólnego, wiązała, według prokuratorów, osoba Ryszarda Boguckiego (nazwisko konsekwentnie ujawniamy, bo takie jest życzenie samego zainteresowanego). W pierwszym zdarzeniu zarzucano mu współudział i przebywanie na miejscu zbrodni, w drugim bezpośrednio sprawstwo. Bogucki nie przyznaje się ani do przyczynienia się do śmierci generała, ani do udziału w morderstwie Pershinga. Rozmawialiśmy z nim jako pierwsi dziennikarze, wcześniej nie kontaktował się z mediami. W dalszej części książki zamieszczamy całą rozmowę z Ryszardem Boguckim, w której odnosi się zarówno do sprawy śmierci Marka Papały, jak i do zdarzenia w Zakopanem, gdzie życie stracił Pershing.

IV. Konie, ruletka i odzyskiwanie długów

Andrzej K., ps. Pershing, był do połowy lat 90. niekwestionowanym liderem gangu pruszkowskiego, wsławionym skutecznym „odzyskiwaniem długów” i umiejętnym praniem mafijnych pieniędzy w pierwszym w Warszawie, otwartym już w 1980 roku nielegalnym kasynie. Urodzony w 1954 roku w podwarszawskim Ołtarzewie, mieszkał w Ożarowie. Ksywkę Pershing zawdzięczał energii, z jaką żył – był szybki jak pocisk. Zanim stał się gangsterem, wykształcił się na mechanika samochodowego, pracował w ożarowskiej fabryce kabli, grał w okręgowej drużynie piłkarskiej i próbował sił w zapasach. W latach 70. stał się ulubieńcem Barabasza, dzięki niemu wyjechał do Niemiec, nawiązał szerokie kontakty w półświatku i zarobił pieniądze na własny interes. Autorytet zyskał podobno po pobiciu Janusza S., pseudonim Dzik, słynnego niegdyś bandyty (w połowie lat 90. Dzika zastrzelono w Otwocku).

Pershing mawiał o sobie, że ma w życiu trzy pasje: konie, ruletkę i odzyskiwanie długów. W interesach trzymał się żelaznej zasady: dług nie mógł być niższy niż 5 tysięcy dolarów, a jego stałe honorarium wynosiło 50 procent odzyskanej kwoty. Kiedy policja przeszukała rezydencję Andrzeja K. i natrafiła na zapiski z nazwiskami dłużników oraz kwot do odzyskania, ten przekonywał, że to notatki z gry w karty „moje-twoje”.

W czasach Polski Ludowej, kiedy rodziła się legenda Pershinga, bogaci tzw. prywaciarze (właściciele szklarni, rzemieślnicy, prywatni kupcy) oddawali się grze w ruletkę w nielegalnych kasynach. Urządzano je w prywatnych mieszkaniach, często w samym centrum Warszawy. Wchodziły wyłącznie osoby polecane, nikt przypadkowy nie zostałby wpuszczony. Był stół do ruletki, były stoliki karciane, krupierzy, kasa, no i świetnie zaopatrzone w trunki z Peweksu barek. Towarzystwa dotrzymywały piękne dziewczyny. Obrazki jak z filmu, nieznanne na co dzień mieszkańcom szarej w tamtych latach stolicy.

W ten egzotyczny świat wprowadził Pershinga słynny wówczas Marek M., ps. Gruby Marek, największy spec od hazardu, właściciel kilku nielegalnych kasyn. Po 1989 r. Marek M. zamarzył o własnym i całkowicie legalnym kasynie, chciał je zorganizować w hotelu Warszawa. Nawet zamówił wyposażenie w Londynie, czekało na możliwość sprowadzenia do Polski w przygotowanych paczkach. Ale zgody nie dostał, kasyno nie powstało. Zmarł w kwietniu 2013 r., miał kameralny

pogrzeb, w ostatniej drodze towarzyszyła mu rodzina i zaledwie kilku dawnych przyjaciół. Właśnie dzięki pomocy Grubego Marka Pershing otworzył w latach 80. własną, jak mówiono, jaskinię gry (wspólnie m.in. z Wańką). Jednym z bywalców tego przybytku był sam Wariat, Wiesław N., brat Dziada. Dopiero po latach został śmiertelnym wrogiem Pershinga, w czasach PRL ich relacje były poprawne. Własne kasyno przynosiło wysokie dochody, ale Pershingowi potrzebna była adrenalina. Chciał grać, obstawiać, ryzykować. Nie mógł tego robić na własnej rulecie, chodził więc wyładowywać emocje na wyścigi konne na warszawskim Służewcu. Wkrótce stał się największym, najbardziej znanym graczem. Grał grubo. Konrad B., ps. Gebels, były cinkciarz handlujący walutami przed warszawskim Domem Chłopa, potem żołnierz w gangu Jerzego W., ps. Żaba, bukmacher na Służewcu, wspominając Pershinga, przywołuje dzień, kiedy spodziewano się wielkiego fuksa i wszyscy stawiali wysoko. – Ja przyjmowałem stawkę najwyżej sto dolarów, bo inaczej nie byłbym w stanie zabezpieczyć wypłat – opowiada. – Pershing zagrał u mnie za sto zielonych, ale obstawił też u innych boków i w kasach. W sumie bodajże cztery tysiące dolarów. Wygrały jego typy, zgarnął dziesięć za jednego.

W środy, soboty i niedziele grano na wyścigach, a wieczorami towarzystwo przenosiło się do kasyna hotelu Marriott, na ruletę. – Andrzej grał ofensywnie – wspomina Gebels. – Kiedy przegrywał, rzucał resztkę żetonów na stół i krzyczał: „Przegrałem dzban złota”.

Na Służewcu Pershing miał „kupionych” dżokejów. To od nich wiedział, który koń wygra, ale też przy pomocy jeźdźców mógł sam ustawiać gonitwy. Kiedyś przekupiony dżokej nieumiejętnie wstrzymał konia. Jechał faworytem, który miał przegrać. Koń rwał na czele, dżokej za późno zaczął go wstrzymywać, wreszcie tak ściągnął wodze, że osadził rumaka niemalże w miejscu. Numer był zbyt nachalny, komisja wyścigowa unieważniła gonitwę, a Pershing był wściekły, bo stracił kupę grosza. Dżokeja dopadł w szatni. Najpierw zmusił go do zjedzenia biletów, potem trochę obił. Ale w końcu okazał się wielkoduszny, bo kiedy jeździec decyzją komisji został na kilka miesięcy zawieszony, wziął go na swoje utrzymanie.

Pershing niewątpliwie miał łeb do interesów. Wszystko, czego dotknął, zamieniało się w złoto. – Ten facet rzeczywiście miał niesamowitą rękę do hazardu – wspomina go Masa, z którym przez lata przyjaźnił się Pershing. – Na co by nie postawił, zawsze wygrywał. Starzy pruszkowscy chcieli, żeby wszystkim się z nimi dzielił. A niby z jakiej racji miał oddawać wygraną? Inwestował potem te pieniądze w różne interesy, które – tak jak karta – zawsze mu szły. Starym to nie pasowało, bo miał więcej od nich. I tego mu nie darowali.

Na początku lat 90. opromieniała go legenda człowieka, który wszystko potrafi załatwić. Był dobry i w negocjacjach, i w rozwiązaniach siłowych. Silna, wzbudzająca szacunek świata przestępczego osobowość. Trudno było nazwać go wtedy gangsterem, był raczej szemranym biznesmenem balansującym na granicy prawa. W Ożarowie, gdzie się osiedlił, cieszył się niebywałym respektem.

Przylgnęli do niego młodzi z Ożarowa, dalekiej Woli, Piastowa i kilku okolicznych miejscowości. W policyjnych kronikach zostali ochrzczeni mianem grupy ożarowskiej. Zajmowali się głównie, jak sami ten proceder nazywali, odzyskiwaniem długów. Często sami najpierw powstawanie długów prowokowali, aby potem nimi zarządzać. Tak było w przypadku właściciela pewnej hurtowni spod Mińska Mazowieckiego. Grupa ożarowska najechała tę firmę. Twierdzili później, że odzyskiwali dług, policja uznała, że było to typowe wymuszenie haraczu.

W 1994 r. nie było już osobnej grupy ożarowskiej, stanowiła ona ważny element gangu pruszkowskiego, a Pershing był uważany za jednego z głównych liderów podwarszawskiej mafii, równego Wańce, Maliźnie, Słowikowi i Parasolowi.

Wiesław P., ps. Wicek, z Kurowa pod Lublinem, biznesmen (nabył potem od Skarbu Państwa udziały w Zakładach Futrzarskich w Kurowie, był też prezesem klubu żużlowego Motor Lublin), opowiadał nam o okolicznościach, w jakich zaczęła się jego przyjaźń z Pershingiem. Przyjechał kiedyś do stolicy swoim nowiutkim mercedesem. Zaparkował w centrum, poszedł coś załatwić, a kiedy wrócił, samochodu już nie było. Podeszedł do policjanta i zgłosił kradzież. Ten oświadczył, że skoro ukradli, to nic się nie poradzi, policja nie pomoże, ale jest jedno wyjście. Pójdzie pan do Marriotta, tam w kasynie siedzi taki facet charakterystyczny, łyse czoło, okulary, koszula w kwiaty – tłumaczył. To pan Pershing, tylko on może panu odzyskać wózek. Wicek trafił do Pershinga. Samochód odzyskał w pół godziny.

Kilka lat później z tej znajomości wynikły kłopoty. Na Wiesława P. zorganizował napad rabunkowy radomski gang Karateków (nazwa od uprawianej przez nich dyscypliny sportu). Ten chciał odzyskać utracone dobra, poprosił o pomoc Pershinga i dwaj karatecy zostali uprowadzeni przez żołnierzy „Pruszkowa”. Jednemu z nich elektryczną wiertarką przewiercono kolano. Obecny przy tym Andrzej K. miał podobno okładać porwanych mężczyzn kijem baseballowym. Pershinga oskarżono potem o pastwienie się nad karatekami, ale na rozprawie pokrzywdzeni nie rozpoznali w nim swojego oprawcy. Pershing wyszedł z sądu oczyszczony z zarzutów. Dla Wiesława P. przyjaźń z bossem pruszkowskim okazała się owocna, gdyż dzięki niemu poznał Ireneusza Sekułę i Bogusława B. (tego od Art-B), którego uczynił potem prezesem swoich Zakładów Futrzarskich.

W innym procesie Pershinga oskarżono o paserstwo – zdaniem prokuratury Andrzej K. kupił w 1991 roku tira załadowanego kradzionymi papierosami (grupie napadającej na hurtownię miał zapłacić 240 tysięcy zł, czyli połowę czarnorynkowej wartości towaru). Sprawa utknęła w martwym punkcie, ponieważ warszawski sąd przez dwa lata nie mógł przesłuchać głównego świadka oskarżenia. Maciej D., który podczas śledztwa obciążył Pershinga zeznaniami, panicznie bał się sądowej konfrontacji z oskarżonym. Ukrywał się lub przysyłał zaświadczenia o stanach lękowo-depresyjnych. Kiedy w końcu sąd postanowił, by przesłuchać świadka poza salą sądową, Maciej D. zniknął.

W 1994 roku trzykrotnie organizowano (nieskuteczne) zamachy na życie Pershinga. W marcu w

pubie, gdzie przebywał, eksplodowała bomba, a dwa miesiące później konkurencja z „Wołomina” ostrzelała jego willę. Zginął wówczas jego ochroniarz. W lipcu w jego mercedesie zaparkowanym przed torami wyścigowymi na Służewcu zdetonowano ładunek wybuchowy. Pershing uszedł z życiem – chwilę przed eksplozją wysiadł z samochodu. Potem przekonywał policję, że żadnej bomby nie było, a samochód wyleciał w powietrze z powodu nieszczelnego przewodu paliwowego.

Kot śpi – myszy harczą

W marcu 1995 roku Andrzeja K. oskarżono o sprzedaż skradzionego w Paryżu auta, posługiwanie się fałszywymi dokumentami oraz wymuszenie spłaty długu na współwłaścicielu myjni samochodowej z Żoliborza. Obrony podjął się wówczas mecenas Tadeusz De Virion. Oskarżycielką była młoda prokuratorka Marzena Kowalska. – Lekceważył mnie – opowiada po latach w swoim gabinecie zastępcy prokuratora generalnego. – A po wyroku skazującym nie ukrywał rozczarowania i złości. Nigdy się nie przyznał do popełnienia przestępstw. Nie zgadzał się z wizerunkiem gangstera, twierdził, że to media go kreują.

Sąd wymierzył wtedy oskarżonemu karę 25 tys. zł grzywny i skazał go na cztery lata pozbawienia wolności. W procesie przeciwko Pershingowi zeznawał pierwszy w Polsce świadek incognito.

Za kratami Andrzeja K. traktowano z honorami. Jako jedyny miał w celi dywan. 10 sierpnia 1998 roku Andrzej K. opuścił mury więzienia w Białołęce. Przed bramą czekał na niego srebrzysty mercedes klasy S na białoruskich numerach, otoczony kilkoma innymi ekskluzywnymi samochodami. Ubranego w elegancki czerwony garnitur Pershinga witano jak ojca chrzestnego – kilku ogolonych osiłeków z szacunkiem ścisnęło mu rękę, chyląc nisko głowy. Spekulowano, że po czterech latach odsiadki Andrzej K. zechce sięgnąć po władzę. Jeszcze zaa krat w grypsie napisał przeciw do jednego ze swoich ludzi: „Dobrze, że pamiętają o mnie. Wiesz, jak to bywa: jak kot śpi, to myszy harczą”. Marzyła mu się jedna silna organizacja przestępcza, której byłby niepodzielnym szefem. Nie przyjmował do wiadomości, że jego miejsce zajęli inni. Kiedy on siedział w celi, „Pruszków” zdążył zalegalizować większość swoich interesów. Boss z takim rozgłosem był już nie na rękę. Odsuwany powoli od władzy Pershing zajął się własnymi interesami, sprawy pruszkowskie zaniedbał. Nadzorował kilka tysięcy automatów do gier losowych, z tego płynęły olbrzymie pieniądze. Zarząd gangu pruszkowskiego najpierw zazdrośnie spoglądał na sukcesy niedawnego sprzymierzeńca, a potem próbował przejąć od niego przynajmniej część lukratywnego biznesu.

Zakusy na majątek Pershinga miał też urząd skarbowy. Już w połowie lat 90. podczas wnikliwej kontroli jego majątku ustalono, że w latach 1990–1994 Andrzej K. wydał o ponad 2,5 mld ówczesnych zł więcej, niż zadeklarował w przychodach. Pershing-podatnik, który od 1983 roku

oficjalnie nigdzie nie pracował, musiał tłumaczyć, jak dorobił się okazałej willi z kortem tenisowym i basenem w Ożarowie Mazowieckim.

Dom Andrzeja K. w latach 80. naprawdę robił wrażenie. Pershing wybudował go z rozmachem i przepychem. Willę z basenem i kortami tenisowymi uważał za fundament luksusu. Lubił grube dywany, pozłacane klamki, mosiężne ozdoby i drogie meble. Mieszał style i epoki. Niektórzy twierdzą, że przesadzał z liczbą obrazów na ścianach – podobno zawieszał, co mu wpadło w ręce, a najchętniej w grubych ramach. Gości podejmował w przypominającym muzeum salonie, którego bogate wyposażenie przyprawiało o zawrót głowy. Kiedy inspektorzy skarbowi pytali Pershinga, skąd miał na to wszystko pieniądze, pruszkowski boss twierdził, że harował jak wół w RFN, a potem wygrywał w ruletkę. Przyznał też, że „niewielkie sumy” zarabiał u znajomych, którzy zlecali mu odzyskiwanie długów od nieuczciwych biznesmenów.

Podczas warszawskiego procesu, w którym oskarżono go m.in. o wymuszenie 40 tys. dolarów, denerwował się, że wszyscy czepiają się jego pieniędzy. „Ja nie jestem żaden gangster, tylko dobrze sytuowany mieszkaniec Ożarowa. Żyję z oszczędności – zawsze mam jakieś pół miliarda na czarną godzinę” – bronił się.

Pershing przyjaźnił się też z Andrzejem Gołotą, kibicował mu, jeździł na wszystkie jego walki bokserskie. Nieżyjący już Jerzy Kulej, niegdyś świetny bokser, dwukrotny złoty medalista olimpijski, podczas walki Gołoty z amerykańskim bokserem Michaeliem Grantem w Atlantic City w listopadzie 1999 r. założył się z Pershingiem o wynik. Kulej był tam sprawozdawcą telewizyjnym, Pershing, jak zwykle, kibicował przyjacielowi. – Zaproponował zakład o pięćset dolarów – opowiadał nam Kulej. – On postawił na Gołotę, więc ja musiałem obstawić jego porażkę. Robiłem to z ciężkim sercem, bo pięćset dolarów to kupa pieniędzy. Ale Gołota przegrał, więc forsy nie straciłem. Ale proszę sobie wyobrazić, że Pershing dodatkowo obstawił u bukmacherów osiemdziesiąt tysięcy dolarów. Po porażce Gołoty miał trochę kwaśną minę, ale i tak dał mu kwiaty i podziękował za wysiłek.

Z Atlantic City Pershing wrócił do kraju w kiepskim humorze. Kiedy jechał z lotniska do Ożarowa, zatrzymano go do kontroli i spisano, chociaż przepisów nie złamał. Według innego jego przyjaciela, mieszkańca Zakopanego, Wiesława L. (imię i inicjał zmienione na prośbę naszego rozmówcy), to był czas, kiedy za Andrzejem krok w krok chodził Urząd Ochrony Państwa. – Tam była kwestia olbrzymich pieniędzy z automatów do gry. On nosił tę forszę walizkami, szukał przestrzeni, aby pieniądze dobrze ulokować i wyprać przy okazji – opowiada nam Wiesław z Zakopanego. – Chciał kupować fabryki tekstylne i fonograficzne. Myślę, że był wtedy narzędziem w rękach innych ludzi. UOP go obserwował, ale nie przeszkadzał, może to z tej strony pociągano za sznurki?

Kopalnią wiedzy o legendarnym szefie gangu pruszkowskiego – ku naszemu zaskoczeniu – okazał się Krzysztof Jackowski z Człuchowa, najsłynniejszy polski jasnowidz. W szczerej rozmowie wyznał nam, że przez lata przyjaźnił się z Pershingiem, ale długo się wahał, zanim publicznie o tym

opowiedział.

„Spałem z Pershingiem”

Rozmowa z Krzysztofem Jackowskim, jasnowidzem z Człuchowa:

– Skąd ta znajomość z Pershingiem?

– Spotkaliśmy się na początku lat 90. Pershingowi polecił mnie pewien człowiek, którego ostrzegłem, że skradną mu nowe auto. I tak się stało. Andrzej K. miał podobny problem. Skradziono mu czarne bmw. Zrobiłem dla niego wizję: „Kradzież zorganizował człowiek, którego dobrze pan zna. Ma na dłoni tatuaż pająka”. Pershing zaklął. Wymienił rosyjskie imię. Później spotkałem tego mężczyznę z pająkiem. Pershing wybaczył mu to bmw.

– I tak zaczęła się wasza przyjaźń?

– Pershing wracał do mnie wiele razy po wizje. Któregoś razu pokazał mi zdjęcie młodej dziewczyny o imieniu Łada – Rosjanki z St. Petersburga. Zapytał, co o niej myślę. „Ta kobieta chce cię oszukać. Będzie twierdzić, że jest w ciąży, żeby wyciągnąć od ciebie pieniądze. Ale w ciąży nie będzie”. Pershing na to: „Jesteś genialny! Tak się właśnie dzieje! Napiszę do niej, że kasy nie dam, bo chcę to dziecko”. No i okazało się, że ciąży nie było.

– „Robił” pan za psychoterapeutę szefa mafii?

– On był naprawdę sympatycznym facetem! Tylko trochę zagubionym... no, w kwestii kobiet.

– Naprawdę?

– Otaczały go tłumy pięknych dziewcząt, ale on szukał prawdziwej miłości. Całe życie kochał swoją pierwszą żonę, z którą się rozszedł.

– Jak odwdzięczał się za pomoc?

– Postanowił przedstawić mnie swoim kumplom. Myślałem, że na imprezę w jego domu w Ożarowie Mazowieckim przyjdą znajomi biznesmeni, bo za takiego uważałem wtedy Pershinga, albo sąsiedzi. Grubo się pomyliłem! Przyszli najsłynniejsi gangsterzy z Pruszkowa. Prymitywni: jedni marudni, inni z bliznami. Nawijali o Platonie, a nie mieli pojęcia, kim był Platon! Byłem zmęczony, to nie moje klimaty – myślę. Wtedy pojawił się Andrzej Z., czyli Słowik. Malutki człowiek, niewysoki, ale elegancki, z manierami. Towarzyszyła mu atrakcyjna kobieta w czerwonej, krótkiej sukience. „Witam towarzystwo” – Ukłonił się nisko. „Oj, smętnie tu u was. Moja koleżanka robi wam zaraz atrakcję!” – Mrugnął do kobiety. Wtedy po raz pierwszy widziałem w życiu striptiz.

– Nie płacił panu za wizje?

– No właśnie i byłem na niego zły, bo przecież to moja praca. Któregoś razu czekałem na niego w jakimś mieszkaniu w Warszawie, ale on przepadł. Przenocowałem, budzę się i myślę: „Kawał chama

z tego Andrzeja. Idę na dworzec”. Już miałem wychodzić, ale w głowie pojawiły się obrazy: Pershing podjeżdża pod dom, w mojej wizji to był marzec, dwóch ludzi strzela do niego, Andrzej ginie.

– Opowiedział mu pan o tym?

– Ostrzegłem go i wyjechałem do Człuchowa, do domu. Od tamtej pory nie widziałem Pershinga przez kilka miesięcy. Aż do marca. Okazało się, że faktycznie zorganizowano zamach. Andrzej przeżył, bo był sprytny – od czasu mojej wizji, którą potraktował śmiertelnie poważnie, mieszkał w Warszawie, nie w Ożarowie. Do domu wysyłał ochroniarza, bardzo do siebie podobnego. To ten człowiek został postrzelony.

– Zginął od kul?

– Cudem przeżył. Zamachowcy byli pewni, że strzelają do Pershinga. Po tym zamachu spotkałem się z Andrzejem w motelu pod Warszawą. Był przerażony. Powiedział, że uratowałem mu życie. Twierdził, że strzelał jakiś gość z Gdańska i brat Dziada – Wiesiek N. Od tamtej pory Pershing szukał mojej rady w prywatnych sprawach.

– Rozmawialiście o mafii?

– Nigdy! Teraz wiem, że w ten sposób mnie chronił. Bał się o moje bezpieczeństwo. Kiedy pomogłem policji w odnalezieniu zwłok zamordowanej studentki z Zielonej Góry i wskazałem dwóch zabójców, Pershing wpadł w szal. Byliśmy wtedy w Sopocie. Andrzej przeczytał o tej sprawie w „Super Expressie” i darł się, że mordercy Ewy mnie odnajdą i zabiją. „Ja się nie będę z tobą zadawał, jak ty będziesz udzielał prasie takich wywiadów” – wrzeszczał.

– Podobno jeździliście razem po świecie.

– W listopadzie 1999 roku pojechałem z Andrzejem do Atlantic City, na walkę Gołoty. Po walce Pershing zaproponował: „Jedziemy poznać ministra”. Wtedy właśnie we włoskiej restauracji spotkałem nieżyjącego już byłego ministra sportu Jacka Dębskiego. Jego nazwisko nic mi wtedy nie mówiło. Razem z nim było dwóch wyglądających na biznesmenów Polaków i jakiś Włoch. Pershing twierdził, że to wysoko postawiony mafioso z cosa nostry. Kolejną osobą w tym zacnym gronie był młody, szczupły facet. „Krzychu, przyjrzyj się dobrze temu chudemu” – szepnął mi do ucha Pershing. „To wnuk Ala Capone”. Całe towarzystwo dobrze się znało, widać, że Włosi byli kumplami pana ministra.

– Jak się zachowywał Jacek Dębski?

– Jak król, wszystko wiedział najlepiej. Pershinga traktował z góry, jakby ten był nikim. Gbur i prostak – tak go oceniłem. Przy stoliku siedziały dwie panie – młode i zgrabne (nie chcę ich inaczej nazywać), które bardzo zainteresowały się tym, że jestem jasnowidzem. „Ciekawe, co by było, gdyby jasnowidz mnie dotknął” – zagaiła jedna z nich. „No jak to co?” – zaburczał Dębski. – Poczulały się dotknięta”. Wkurzał mnie ten facet, wyszedłem do toalety na papierosa, za mną Pershing. „Co to za osiłek? Bandzior wysokiej klasy?” – wypytywałem. Andrzej na to: „Krzychu, to jest bardzo

niebezpieczny człowiek. Nie możesz go obrażać, cokolwiek by ci powiedział”.

– A jak zachowywał się Pershing?

– Jak człowiek z klasą. Podczas pobytu w Stanach zaobserwowałem jego poranny rytuał. Zawsze po przebudzeniu sięgał po pieniądze. Miał przy sobie gruby plik dolarów, ściśnięty gumką. Same setki. Ledwie otworzył oczy – już je liczył. Spytałem kiedyś, dlaczego tak robi. „Stary, jak zaczniesz od rana liczyć kasę, to będziesz ją miał cały dzień”. Rachunki płacił jednak kartą. Platynową. Wściekał się, bo za każdym razem dokładnie mu tę kartę sprawdzano, ponieważ Polacy rzadko kiedy taką mają. Nie wiem, ile trzeba mieć na koncie, żeby ją dostać, ale z pewnością sporo.

– Kiedy Pershing bawił się w Stanach, ktoś planował na niego zamach.

– On coś czuł, widziałem, że stawał się niespokojny. Wciąż odbierał jakieś telefony. Radzono mu, żeby nie wracał do Polski. Zwierzył mi się, że traci wpływy, że się boi. Spaliśmy wtedy w jednym łóżku. Któregoś dnia zaraz po przebudzeniu zobaczyłem, że jest wyjątkowo podminowany. Ubrał się w elegancki garnitur i zszedł na dół. Prosił, żebym był w pobliżu. Spotkał się wtedy z dwoma urzędnikami. Rozmawiali kilka godzin. Pokazywali mu jakieś zdjęcia. Andrzej był skupiony. Jestem przekonany, że byli to pracownicy polskiego wywiadu.

– Wróciliście wtedy do kraju?

– Nie, z Atlantic City pojechaliśmy na trzy dni do Las Vegas. Pershing zagrał w ruletkę. Stawiał jak zwykle bardzo wysokie sumy. Przegrał 180 tys. dolarów. Generalnie nie pił alkoholu, ale wtedy sięgnął po butelkę piwa, żeby odreagować stratę. Nad ranem obudził się przerażony. „Słuchaj, miałem dziwny sen. Wyłumacz mi go. Śniłem, że jestem w domu, podjeżdżają bandziorki (tak nazywałem mafijną konkurencję), pełno ich dookoła domu. Mają fuzje i chcą mi się łądować do środka. Biegam po pokojach, szukam kałacha lub czegokolwiek, co wypali, a tu nic! Nie mogę znaleźć, chociaż zawsze mam wszystko pod ręką!” Powiedziałem mu, żeby się nie przejmował, że to tylko sen. Następnego dnia zaraz po przeliczeniu dolarów opowiedział mi drugi, podobny sen. „Tym razem byłem w lesie. Szukam broni, znów nie mogę znaleźć, a bandziorki dookoła. Dochodzą do mnie...”

– Wychodzi na to, że miał prorocze sny. Dwa tygodnie później zginął przecież od kul „bandziorków”.

– Po jego śmierci bardzo się bałem. Mordercy i zleceniodawcy tej zbrodni nie wiedzieli przecież, że Pershing nie wtajemniczał mnie w swoje zawodowe sprawy. Obawiałem się, że będą mnie szukali. Wyjechałem z całą rodziną do Żywca. Ukrywałem się kilka tygodni. Nie tylko przed mafią. Nie ufałem policji: wielokrotnie byłem świadkiem, gdy funkcjonariusze z Pruszkowa telefonowali do Andrzeja i przekazywali mu istotne informacje. Kiedy po śmierci Pershinga przyjechał do mnie jakiś ważny gliniarz z Gdańska i wypytywał o mafię, powiedziałem mu zgodnie z prawdą: „W piwnicy mam taki stary regał. Wystaje z niego długa deska. Jak robiłem porządki, to się uderzyłem o nią głową. No i wszystko zapomniałem”. Policjant popatrzył na mnie, pokiwał i odpowiedział:

„Właściwie to dobrze, żeś się pan w tę deskę walnął”.

– **Wspomina pan Pershinga z wielką sympatią.**

– Szanowałem go, bo był sentymentalnym gangsterem, z zasadami. Nie mścił się nawet za swoje krzywdy. Często o nim myślę, czasami zwyczajnie w świecie brakuje mi go. Tak, Pershing był moim przyjacielem.

– **Dlaczego przez lata nie przyznawał się pan do tej przyjaźni? Wstydził się pan? A może ze strachu?**

– Obawiałem się, że jego mordercy mogą dotrzeć także do mnie. Nawet teraz nie mówię o tym bez lęku. Pershing wielokrotnie wbijał mi w głowę: „Pamiętaj, gdyby coś mi się stało, wszystkie osoby, które przy mnie poznałeś, będą twoimi wrogami. Nigdy nie mów o naszej przyjaźni. Nic nie mów o wizjach. Nikomu nie ufaj”.

Zakazana miłość

Pershing zginął w Zakopanem, w niedzielę 5 grudnia 1999 roku, około godziny szesnastej. Zabójcy dopadli go, kiedy zjechał na nartach z Polany Szymoszkowej i pakował sprzęt do swojego mercedesa klasy S. Dostał kilka kul. Żył jeszcze, kiedy jakiś przygodny narciarz, jak się okazało lekarz, próbował go reanimować.

Wiesław L., który towarzyszył mu wtedy na Polanie Szymoszkowej, siedział w tym czasie wewnątrz mercedesa. Widział nadchodzących dwóch młodych mężczyzn, jednakowo ubranych, w czapkach i narciarskich goglach zasłaniających twarze. Szli i strzelali na postrach w powietrze. A potem jeden z nich wywalił magazynek w Andrzeja i zajrzał do wnętrza samochodu, gdzie zobaczył Wiesława. Zastukał w szybę i pogroził palcem, jakby chciał powiedzieć: pamiętaj, nic nie widziałeś!

Pershing przyjechał na Szymoszkową z dziewczyną o imieniu Patrycja, studentką ze Szczecina. W czasie zdarzenia oddawała narty w pobliskiej wypożyczalni. Kiedy zabójcy uciekli czarnym audi 80 (kradzionym, jak się okazało), podbiegła do leżącego Pershinga i przeszukała jego bezrękawnik. Znalazła telefon komórkowy, wyjęła z niego kartę i ją zniszczyła. Policji tłumaczyła, że zrobiła to bezwiednie, a ze śmiercią swojego przyjaciela nie miała nic wspólnego. Choć te tłumaczenia brzmiały naiwnie, nie postawiono jej zarzutu współudziału.

Pershing przed śmiercią próbował przejść z gangsterki w stronę legalności. Pod Gdańskiem założył wytwórnię płyt CD. Jego udziały przejęła córka, wtedy studentka. Paradoks polega na tym, że córkę Pershinga spotkali w warszawskim szpitalu policjanci, którzy zjawili się tam, aby zatrzymać niejakiego Bedzia. Mieli polecenie odstawić go do więzienia. Zapytana, co robi u człowieka, który – jak twierdzili funkcjonariusze – był powiązany z mordercami jej ojca, odrzekła, że po prostu przyszła

go odwiedzić: „Przecież to mój konkubent, chyba mam prawo odwiedzać swojego mężczyznę”. Policyjnym insynuacjom nie dała wiary.

Bedzio, czyli Robert B., to dziś jeden z liderów tzw. gangu ożarowskiego. To on odbierał z kostnicy podziurawione kulami zwłoki pruszkowskiego bossa. Niewysoki, ale silny i szybki, bez widocznych tatuaży, oszczędny w słowach, wzbudza respekt. Przypomina włoskiego przestępcę, dla którego najważniejszą zasadą w męskim świecie jest omerta, czyli milczenie. Karierę w grupie zaczął jako kierowca i ochroniarz Pershinga, z czasem stał się jego powiernikiem i przyjacielem, chociaż różnica wieku między nimi to ponad dwadzieścia lat. Po śmierci Andrzeja K. Bedzio wielokrotnie stawał przed sądem zarówno jako świadek w głośnych procesach gangsterskich, jak i jako oskarżony o kierowanie grupą. Nigdy nie poszedł na układ z prokuraturą, nikogo nie obciążał, nawet Ryszarda N. i Ryszarda Boguckiego, skazanych za zabójstwo pruszkowskiego bossa. Pytany o znajomość z Pershingiem, powtarzał wyuczony tekst: „Andrzeja K. znałem od dwudziestu lat, byliśmy przyjaciółmi, ale nie znałem dobrze jego interesów. Wiem tylko, że był hazardzistą, działał w firmie fonograficznej i pożyczał pieniądze na procent”.

Pod koniec lat 90. córkę Pershinga i Bedzia połączyło gorące uczucie. Oboje ukrywali swój romans przed Andrzejem K., który – chociaż kochał Bedzia jak syna – połamałby mu kości za uwodzenie jedynaczki. Miłość młodych nie przetrwała zawirowań w półświatku i rozłąki spowodowanej aresztowaniem Roberta B. za kierowanie grupą ożarowską. Ale do dziś tych dwoje łączy przyjaźń.

Jako ojciec Andrzej K. nie był zbyt wylewny, często traktował Magdę przedmiotowo, ale potrafił docenić jej inteligencję i wrażliwość. Był dumny z jej urody. I z tego, że nie biegała za chłopakami, że się szanuje. Byli jak ogień i woda: on hulał i błyszczał, ona zawsze skromna, bezpretensjonalna. Po śmierci ojca pojechała z jego zakrwawioną koszulką do jasnowidza. „Kto mu to zrobił?” – pytała.

Zdjęć z pogrzebu nie będzie

Fragment rozmowy z Robertem B., ps. Bedzio (podczas krótkiej przerwy w tymczasowym aresztowaniu):

- **Jak pan poznał Pershinga?**
- Przez przypadek. Prowadziłem kiedyś dobrze prosperujący, całkiem legalny biznes. Zaufałem mu i nie zawiodłem się.
- **Powierzył mu pan swoje pieniądze?**
- ...
- **Robiliście wspólne interesy?**
- ...

- **Co pana z nim łączyło?**
- Męska przyjaźń.
- **Co się stało ze zdjęciami nieżyjącego Pershinga? Dlaczego w gazetach nie było nawet migawek z pogrzebu?**
- Po zamachu przyrzekłem Magdzie, że żaden fotoreporter już nie zrobi nawet jednego zdjęcia jej ojcu, żaden dziennikarz nie dowie się o pogrzebie.
- **Dlaczego?**
- To oczywiste: nie mogłem pozwolić, żeby z jego śmierci robiono cyrk na pierwszych stronach gazet. Słowa dotrzymałem. Jediną fotografią z tamtych wydarzeń jest mercedes Andrzeja i krew na śniegu w Zakopanem.
- **Jak się panu udało powstrzymać fotoreporterów?**
- Niech to na zawsze pozostanie moją tajemnicą.
- **Widział pan Pershinga po śmierci?**
- Tak, byłem przy nim.
- **Sam?**
- Z Magdą. Oboje czuwaliśmy w kostnicy przy zwłokach.
- **Wciąż się pan o nią troszczy.**
- Magda przyjęła spadek po ojcu, jego willę w Ożarowie. Ma z tym same kłopoty. Nie wiedziała, że dom jest obciążony długami, że nie będzie mogła go sprzedać. Jeśli pani ma takie możliwości, to proszę jej pomóc.

„Wybaczyłam mordercy”

Fragment rozmowy z Magdaleną K., córką Pershinga:

- **Trochę jest pani podobna do ojca. Czy jakby te same...**
- (*uśmiech*) Naprawdę?
- **Mieliście dobre kontakty?**
- Właściwie nigdy nie pasowałam do jego świata. Żyliśmy zupełnie inaczej.
- **Czyli jak?**
- Jak żył mój ojciec, to chyba wszyscy wiedzą, przecież gazety bezustannie o tym pisały. Chciałabym wierzyć, że wiele opowieści jest dalekich od prawdy. Jestem osobą raczej skrytą, głęboko wierzącą, studiuje na katolickiej uczelni. Szukam wartości duchowych, nie materialnych. Pod tym względem raczej nie jestem do niego podobna, ale ludzie i tak surowo mnie oceniają. Jeżeli jestem jego córką, to muszę być zepsutą dziewczuchą – uważają w większości.

– **Mieszkaliście razem?**

– Po rozwodzie rodziców wychowywała mnie mama. W domu taty bywałam sporadycznie, nie znałam towarzystwa, w którym się obracał.

– **Dlaczego się rozwiedli?**

– Takie jest życie. Nie wyszło im, jednak to naprawdę była miłość. Mówiono, że ojciec miał wiele kobiet, ale moim zdaniem kochał tylko moją mamę.

– **Był dobrym ojcem?**

– Był przede wszystkim dobrym człowiekiem, chociaż pewnie nikt w to nie uwierzy. Rzuciłby mi do nóg najpiękniejsze zabawki świata, wszystko, czego bym zapragnęła, ale ja nigdy nie miałam wielkich wymagań.

– **Jak pani zareagowała na wiadomość o jego śmierci?**

– Wciąż trudno mi o tym mówić.

– **Był zmasakrowany? Miał zniekształconą twarz?**

– Właśnie, że nie, wyglądał, jakby spał... tylko ta strużka krwi z ucha... Kula przeszła przez głowę, na wysokości ucha. Nie uszkodziła twarzy.

– **Myślała pani o zemście?**

– Byłam zrozpaczona, przerażona, wściekła. Temu, który to zrobił, w pierwszej chwili życzyłam naprawdę źle. Ale potem zaczęłam się modlić. Modlitwa była moim ukojeniem, dodała mi sił. Z czasem znalazłam w sobie spokój. Kiedy zobaczyłam tego człowieka w sądzie, spojrzałam mu w oczy i wybaczyłam to, co zrobił.

– **Jak to?!**

– Tak, wybaczyłam mu.

Zdewastowana przez byłą konkubinę Pershinga posiadłość w Ożarowie Mazowieckim straciła dawny blask. Przeszła na własność córki Andrzeja K., nieświadomej ciężącego na spadku długu. Od kilkunastu już lat willa świeci pustkami, ponieważ spadkobierczyni wciąż toczy boje z komornikiem. Niedawno z posesji usunęła granitową płytę przypominającą nagrobek. I napis: „Nikogo nie ma w domu. Nie niszczyć. Pershing”.

V. Kto zabił Pershinga (i generała policji)?

Kiedy pracowaliśmy nad pierwszym wydaniem *Alfabetu mafii*, w Sądzie Okręgowym w Nowym Sączu toczył się proces Ryszarda Boguckiego i Mirosława D., ps. Malizna. Według aktu oskarżenia to Bogucki na zlecenie Malizny, członka tzw. zarządu gangu pruszkowskiego, miał zastrzelić Pershinga. Obaj konsekwentnie zaprzeczali: „Nie zabiłem, nie zlecałem”.

Chcieliśmy uzyskać zgodę na widzenie z Ryszardem Boguckim, ale chociaż on sam nie sprzeciwiał się, sąd nam odmówił. Oskarżono go na podstawie zeznań świadka koronnego Adama K., ps. Dziadek. Przyjrzyjmy się tej postaci.

Adam K. nie miał jeszcze 50 lat, a wyglądał znacznie starzej, niż wskazywałaby metryka. Stąd jego pseudonim. Alkohol i liczne wyroki odbiły się na jego zdrowiu. Prawdę mówiąc, ktoś taki jak on kompletnie nie pasował do okoliczności zbrodni na bossie pruszkowskim. Drobnym przestępcą, włamywaczem, raczej detalistą niż gangsterem. W więzieniu poznał Ryszarda N., ps. Rzeźnik. Na wolności Dziadek pomagał Rzeźnikowi w drobnych geszefach, ale do poważnych spraw nie był dopuszczany.

Ryszard N., ps. Rzeźnik, nie zasiadł w nowosądeckim procesie na ławie oskarżonych, bo wcześniej w spektakularny sposób uciekł z aresztu w Wadowicach. Ukrywał się w Niemczech, tam go po kilku latach schwytano. W Polsce miał osobny proces, już po wyroku na Boguckiego. Adam K., ps. Dziadek, na jego sprawie nie zeznawał. W dziwnych okolicznościach zmarł krótko wcześniej. Podano, że przyczyną zgonu była poważna choroba, ale inne źródła utrzymują, że przedawkował alkohol. W tym czasie przebywał pod stałą ochroną funkcjonariuszy CBS.

Z zeznań Dziadka, uznanych przez sądy za wiarygodne, wynikało, że wspólnie z Rzeźnikiem i Ryszardem Boguckim przyjechali do Zakopanego. Zatrzymali się w hotelu, gdzie podali fałszywe dane. Wykonać wyrok poszli tamci dwaj, on siedział w audi. Rzeźnik strzelał w powietrze, a Bogucki w Pershinga. Po śmierci Dziadka inną wersję wydarzeń przedstawił Rzeźnik. Twierdził, że to on siedział w samochodzie, a strzelali Adam K. i Bogucki. Sąd nie dał mu wiary, został skazany na 25 lat więzienia.

Podobny wyrok usłyszał Ryszard Bogucki. Malizna dostał 10 lat. Po odwołaniach wyroki utrzymano.

Kiedy na początku lat 90. Ryszard Bogucki, wtedy 21-latek, uroczyście otwierał salon sprzedaży

samochodów Ferrari, imprezę uświetniła słynna piosenkarka, a konferansjerkę prowadziła znana prezenterka telewizyjna. Lista gości była długa i skrzyła się od gwiazd świata rozrywki, sportu, biznesu i polityki.

Z zeznań Boguckiego: „Pod koniec lat 80. rozpocząłem prywatną działalność gospodarczą, byłem wtedy bardzo młodym człowiekiem i nie miałem żadnych doradców, a wszyscy, którzy mnie otaczali, utwierdzali mnie w słuszności moich poczynań”. Otworzył trzy salony samochodowe, miał sześć kantorów wymiany walut, kilka hurtowni, zakład budowlany i dwa hotele. Szybko dostrzeżono energicznego i pełnego pomysłów młodzieńca – nagrodzono go statuetką Asa Polskiego Biznesu i nie wiedzieć czemu wybrano prezydentem Polskiej Konfederacji Pracodawców i Producentów Rolnych.

Z niemiecką firmą Auto Becker Bogucki prowadził szereg interesów i – jak twierdził w zeznaniach – przyjaźnił się z jej szefem, szanowanym w Niemczech przedsiębiorcą, prezydentem poważnej organizacji biznesowej. Kiedyś przeprowadził skomplikowaną operację finansową – za niecałe 2 mln dolarów kupił większościowy pakiet udziałów w firmie Unitra Eltron. Po trzech miesiącach odsprzedał ten pakiet za 2,5 mln dolarów Niemcom z Auto Becker (twierdzi, że transakcja odbyła się wyłącznie na papierze, pieniędzy nie dostał). Dzięki temu pan Becker nabrał do niego zaufania. Najpierw sprzedał Boguckiemu za 1,5 mln dolarów luksusowe auta do sprzedaży w Polsce (w gruncie rzeczy Bogucki wziął auta w komis), a potem zgodził się firmować sieć salonów, jakie Bogucki zamierzał otworzyć w Polsce. „Jak wcześniej wspomniałem, byłem człowiekiem młodym, nie miałem doradców i z całą pewnością popełniłem wiele błędów, ale w swoim przeświadczeniu wydawało mi się, że postępuję w sposób właściwy” – mówił przed sądem Bogucki. Główny błąd polegał na tym, że nie przewidział, iż w chwili, kiedy do Polski będą wjeżdżały jego ferrari z Auto Becker, cła wzrosną o 102 proc. Przedsięwzięcie stało się całkowicie nieopłacalne. Na domiar złego do pana Beckera dotarły wieści, że Unitra Eltron jest pod okiem polskich organów ścigania, bo firma nie płaci długów wobec Skarbu Państwa. W postępowanie włączono Interpol i zaniepokojony zarząd Auto Becker podjął działania – zażądano od Boguckiego natychmiastowej zapłaty za samochody. „Ich propozycja nie uwzględniała poniesionych przeze mnie nakładów. Nie mogłem się na nią zgodzić” – tłumaczył Bogucki. Niemcy złożyli doniesienie do prokuratury (jednym z ich pełnomocników był mec. Ryszard Kalisz, dzisiaj poseł). Boguckiego aresztowano i zarekwirowano mu samochody, których nie zdążył sprzedać. Tym tłumaczył lawinę dalszych niepowodzeń – banki wypowiedziały mu umowy kredytowe, kontrahenci zażądali natychmiastowych spłat.

Cała gospodarcza potęga młodego asa biznesu rozsypała się z dnia na dzień. Przeszedł na drugą stronę – do świata przestępczego – bo „los tak chciał”. Zanim zaczął się proces o wyłudzenia kredytów i samochodów Ferrari, zwolniono go z aresztu. Początkowo karnie stawiał się na rozprawy, później nagle zniknął. Wszczęto poszukiwania. Tłumaczył przed sądem, że znów zawiniły okoliczności. Podczas meczu w koszykówkę uszkodził staw skokowy. Dlatego nie stawiał się na

rozprawę, ale dostarczył zwolnienie lekarskie. Sąd jednak tego nie uwzględnił i zarządził ponowny areszt. Wtedy zaczął się ukrywać.

Nie szukano go chyba za wszelką cenę, bo chociaż Ryszard Bogucki prowadził aktywne życie, nikt go nie niepokoił. Wciąż obracał się w sferach biznesowych. Wyliczał w zeznaniach swoje zasługi: pomagał znajomemu w sprzedaży makaronu oraz uzyskaniu koncesji dealerskich na sprzedaż samochodów Daewoo i Peugeot, pomagał poznańskiemu biznesmenowi Krzysztofowi Niezgodzie w restrukturyzacji sieci handlowej jego firm. „Ta działalność pozwalała mi na zarobkowanie w kwotach nieco wyższych od średniej krajowej”. O pomoc poprosił go też Wojciech K., właściciel towarzystwa ubezpieczeniowego Hestia i zarazem przyjaciel Nikodema S. (znanego jako Nikoś) „W ten sposób poznałem S. Poznałem go jako współwłaściciela Hestii” – wyznał Bogucki śledczym. Przez kilka miesięcy mieszkał w domu Nikosia, ale ten – jak twierdził Bogucki – nigdy nie wtajemniczał go w swoje sprawy. „Nie traktował mnie jako partnera jakiejś działalności niezgodnej z prawem, gdyż uważał mnie za biznesmena z przejściami prawnymi i życiowymi”.

Podczas ukrywania się przed wymiarem sprawiedliwości Ryszard Bogucki miał poznać wiele osób. Twierdzi, że taką nową znajomość nawiązał też z Ryszardem N., ps. Rzeźnik. Przedstawił ich sobie nawzajem w Juracie wspólny znajomy. Bogucki był przekonany, że Ryszard N. jest biznesmenem. Pożyczył mu nawet 30 tys. dolarów, bo tamten miał na oku zakup myjni samochodowej. Ze spłatą tego długu były potem same kłopoty. Rzeźnik wpadł w jakieś tarapaty, jego dłużnicy spóźniali się ze spłatami, a Bogucki, sam w potrzebie, postawił w końcu sprawę na ostrzu noża. Właśnie w sprawie tego długu pojechał w grudniu 1999 r. z Ryszardem N. do Zakopanego. Zameldował się w hotelu pod fałszywym nazwiskiem, bo zawsze w tantym czasie tak robił, przecież wciąż się ukrywał przed wymiarem sprawiedliwości. Akurat tak się złożyło, że wtedy zastrzelono Pershinga na parkingu przy stoku Polana Szymoszkowa.

Kiedy po zabójstwie byłego ministra sportu Jacka Dębskiego w warszawskim areszcie powiesił się jego zabójca Tadeusz M., ps. Sasza, a w wiedeńskim domniemany zleceniodawca tej zbrodni Jeremiasz B., ps. Baranina, Bogucki zasłynął złożonym na sądowej sali oświadczeniem: „Jestem zdrowy psychicznie, nie przeżywam załamania i nie mam zamiaru popełnić samobójstwa”.

Na podstawie zeznań świadka koronnego Piotra W. naszkicowano portret Boguckiego – cynicznego, pozbawionego skrupułów zabójcy do wynajęcia, zafascynowanego mafią do tego stopnia, że zamarzył, aby stanąć na jej czele. Z wyjaśnień samego Boguckiego składanych w śledztwie i podczas rozpraw w sądzie wyłania się inny portret. To swoista autobiografia, opowieść o człowieku przypadkowo uwikłanym w straszne wydarzenia.

To oczywiste, że Ryszard Bogucki nie może być we własnej sprawie obiektywnym kronikarzem. Ma prawo dla swojego dobra kłamać i kręcić i może czynić to bezkarnie. Przed nowosądeckim Sądem Okręgowym tak kończył swoje oświadczenie: „Mam prawo mieć przykre, negatywne doświadczenia

związane z wymiarem sprawiedliwości. Dlatego też zdecydowałem się w tym postępowaniu sądowym nie składać żadnych wyjaśnień i również nie odpowiadać na pytania. W taki sam sposób postępuję w postępowaniu związanym ze śmiercią generała Papyły, z którą, nawiasem mówiąc, nie mam nic wspólnego. Moja postawa wynika stąd, że wcześniej czy później prawda wyjdzie na jaw”.

Rozmowa z Ryszardem Boguckim

Z Ryszardem Boguckim, przebywającym w Areszcie Śledczym przy ul. Mikołowskiej w Katowicach, w 2012 roku spotykaliśmy się kilkakrotnie. Wywiad został, zgodnie z życzeniem rozmówcy, autoryzowany. Bogucki wprowadził liczne zmiany, m.in. przywrócił w pełnym brzmieniu wszystkie nazwiska świadków, podejrzanych i osób skazanych. Wymogi prawa prasowego spowodowały, że ponownie ukryliśmy je pod inicjałami. Gruntowną autoryzację Ryszard Bogucki uzasadnił następująco: „Aby moje stanowisko było przejrzyste i zrozumiałe, oświadczam, iż wyrażam zgodę na publikację wywiadu tylko w poniżej poprawionej wersji”.

– Dlaczego przed laty uciekł pan z Polski?

– Jestem pozbawiony wolności od niespełna 12 lat. Zostałem deportowany z Meksyku w 2001 roku, a w Areszcie Śledczym w Katowicach osadzono mnie 16 stycznia 2001 roku.

Będąc jeszcze w Meksyku, za sprawą przesyłanych mi tam artykułów prasowych zaczęły do mnie docierać informacje, że jestem łączony ze sprawą zabójstwa gen. Marka Papyły oraz Andrzeja K., ps. Pershing. To, że znalazłem się w Meksyku, nie było ucieczką, było to w pewnym sensie dziełem przypadku, mającym swój początek w połowie roku 2000, kiedy to nielegalnie przekroczyłem granicę Polski w Szklarskiej Porębie.

– Nie ucieka pan, ale nielegalnie przekracza granicę? Trudno się połapać.

– Zaraz to wyjaśnię. Od 1995 roku w Sądzie Okręgowym w Katowicach toczy się przeciwko mnie sprawa o charakterze karno-gospodarczym, która trwa już niespełna 20 lat. Moje problemy prawne zaczęły się właśnie od niej. W tej sprawie postawiono mi 9 zarzutów, przy czym od 6 z nich byłem już dwukrotnie uniewinniany, m.in. od zarzutu dotyczącego głównego wątku sprawy, tj. działania na szkodę niemieckiej firmy Auto Becker. W zakresie pozostałych 3 zarzutów, za które zostałem nieprawomocnie skazany kolejno na karę 4,5, a następnie 4 lat pozbawienia wolności, każdorazowo składałem apelację, w wyniku czego sprawa jest po raz trzeci w rozpoznaniu sądu. Jeśli wreszcie zapadnie prawomocny wyrok uniewinniający, po 20 latach sądowej batalii, będę miał poważne roszczenia odszkodowawcze w stosunku do Skarbu Państwa za działania Prokuratury Okręgowej w Katowicach w tej sprawie. Patrząc wstecz, sprawa ta odcisnęła piętno na całym moim dotychczasowym życiu. W 1996 roku Sąd Okręgowy w Katowicach podjął decyzję o moim

aresztowaniu. Zacząłem ukrywać się przed wymiarem sprawiedliwości, nie miałem paszportu. Po kilku latach udało mi się wyjechać z fałszywymi dokumentami tożsamości na wakacje do Włoch. To nie była ucieczka, ale wyjazd na odpoczynek. Zadzwoił do mnie pewien znajomy, aby umówić się na spotkanie w Tajlandii albo Meksyku. Stąd znalazłem się właśnie w Meksyku. Miałem wykupioną wycieczkę na 2 lub 3 tygodnie, po których miałem wrócić do kraju. Pod koniec pobytu zadzwoniono do mnie z Polski, że jestem poszukiwany listem gończym w związku ze sprawą zabójstwa Pershinga i spekulacjami na temat mojego udziału w zabójstwie gen. Marka Papąły. W ramach szeroko zakrojonej akcji medialnej wszędzie były publikowane listy gończe zawierające mój wizerunek. Z tego też powodu podjąłem decyzję, żeby w Meksyku zostać.

– Jak to się stało, że pan, dobrze rokujący biznesmen, nagle przechodzi na ciemną stronę mocy?

– Dosyć często jestem o to pytany. Geneza jest prosta. W 1992 roku została mi skradziona przez biznesmena Grzegorza Sz. [prowadził interesy w tzw. szarej strefie, wraz z Piotrem B., ps. Łapa, innym znajomym Ryszarda Boguckiego, przeprowadził pierwszą polską prywatyzację po 1989 roku, w 1998 r. został uprowadzony i zamordowany na Słowacji] część samochodów ze spornej puli pomiędzy mną a wspomnianą już firmą Auto Becker. Grzegorz Sz. przedstawił sfałszowane dokumenty, że samochody opuściły polski obszar celny, nadto, że zostały zakupione przez angielską firmę Winterton. Udało mi się jednak ustalić, że ukrył samochody na terenie Polski przy pomocy środowisk przestępczych. Aby je odnaleźć i polubownie rozwiązać sprawę z firmą Auto Becker, w 1996 roku poprzez Piotra B. nawiązałem kontakt z Nikodemem S. [pseudonim Nikoś, słynny szef gangu z Trójmiasta], który miał mi pomóc w tych poszukiwaniach.

– Czy może pan powiedzieć coś więcej na temat wspomnianej prywatyzacji?

– To była prywatyzacja firmy Unitra, która została podzielona na dwie: Unitra Eltron z siedzibą w Katowicach i Unitra Eltron II z siedzibą w Lublinie. Ideą tej prywatyzacji nie była chęć kontynuowania działalności elektronicznej, a wyłącznie chęć przejęcia majątku trwałego w postaci ok. 60 nieruchomości położonych w kluczowych, bardzo atrakcyjnych miejscach wszystkich głównych miast Polski. Niejednokrotnie były to budynki, których powierzchnia użytkowa sięgała 10 tysięcy m². Posiadałem i do tej pory posiadam udziały w obu spółkach. Jednak w czasie, kiedy byłem tymczasowo aresztowany po mojej deportacji z Meksyku, grupa ludzi, których utożsamiam z osobami kierującymi na mnie odium podejrzeń w najpoważniejszych sprawach, m.in. w sprawie zabójstwa gen. Marka Papąły, sfałszowała umowę nabycia ode mnie udziałów w firmie Unitra Eltron. Stanowi to obecnie przedmiot postępowania prokuratorskiego, w którym posiadam status pokrzywdzonego.

„Nie popełniłem zbrodni”

– Kiedy dowiedział się pan o ustaleniach łódzkiej prokuratury w sprawie zabójstwa Marka Papały, diametralnie różniących się od tez stawianych przez prokuraturę warszawską, nadzieja wróciła?

– Znając akta postępowania łódzkiego (poznałem 70–80 tomów akt w sprawie zabójstwa gen. Marka Papały), zrozumiałem całą różnicę między śledztwem prowadzonym w Łodzi a śledztwem prowadzonym wcześniej przez Prokuraturę Apelacyjną w Warszawie. Polega ona na tym, że ta druga przyjmowała jedynie dowody pod z góry założoną tezę, świadomie i celowo pomijając dowody na tezy przeciwne. Mało tego, nie podlegały one żadnej procesowej weryfikacji. Prokuratura Apelacyjna w Łodzi rzetelnie i w sposób drobiazgowy weryfikuje natomiast każdą z przyjętych hipotez śledczych, traktując wszystkie jako równouprawnione. Wykluczenie konkretnej tezy następuje dopiero po wnikliwej analizie zebranego materiału dowodowego. Procesowo jest to dla mnie niezwykle istotne, ponieważ ustalenia poczynione w łódzkim śledztwie pozwalają mieć nadzieję, że sprawa zabójstwa gen. Marka Papały zostanie wyjaśniona.

Jak już wspomniałem, taka metodyka prowadzenia śledztwa przez łódzką prokuraturę była obca prokuratorom prokuratury warszawskiej. Tam przez lata była uprawniona tylko jedna hipoteza śledcza: Edward M. – Bogucki – Słowik. Z tego też powodu Prokuratura Apelacyjna w Łodzi wszczęła także równoległe śledztwo w sprawie nieprawidłowości, które miały miejsce w postępowaniu przygotowawczym prowadzonym przez Prokuraturę Apelacyjną w Warszawie. Wracając jednak do sprawy zabójstwa gen. Marka Papały, jeżeli miałby on zginąć w wyniku przypadku, przy próbie udaremnienia kradzieży samochodu, powstaje pytanie: dlaczego właśnie na mnie, przez kogo i w jakim celu ukierunkowywane były podejrzenia w tej sprawie? Odpowiedź utożsamiam m.in. z działaniami grupy osób mających interes we wspomnianej sprawie Unitry. Moja teza nie jest bezpodstawna, albowiem dzisiaj na podstawie akt procesowych można stwierdzić, że istnieją powiązania pomiędzy grupą osób mających interesy ekonomiczne w tym, żeby to na mnie kierować podejrzenia, a tymi osobami, które faktycznie podejrzenia te kierowały.

– W sprawie Papały występuje pan jako osoba skazana za zabójstwo Pershinga. Nigdy pan do tej zbrodni się nie przyznał.

– Bo jej nie popełniłem. Zostałem skazany za zabójstwo Pershinga na podstawie zeznań świadka koronnego niejakiego Adama K., ps. Dziadek. Żadnego innego dowodu poza tymi zeznaniami nie było. Z tego też powodu w działaniach prokuratury powstała konieczność podparcia dowodu z tychże zeznań innymi dowodami. Pojawiły się więc takie osoby jak Piotr W. (ps. Generał, świadek koronny), Krzysztof Ł. czy Grzegorz Z., którzy „opowiedzieli” o tym, jak przez okna Aresztu Śledczego w Katowicach przyznałem się im do zabójstwa gen. Marka Papały oraz Pershinga. Te oczywiste dla

mnie kłamstwa próbowano przepchnąć procesowo przez Sąd Okręgowy w Warszawie w sprawie zabójstwa Papyły – udało się raz w sprawie Pershinga, dlaczego więc miałyby nie udać się drugi raz? Ci sami świadkowie, te same mechanizmy tworzenia przez nich fałszywych dowodów. Na dodatek Grzegorz Z., osadzony z Krzysztofem Ł. i Piotrem W., był członkiem działającej na Śląsku grupy przestępczej Igora Ł., ps. Patyk. W czasie, kiedy wszyscy oni składali obciążające mnie zeznania, robili to w interesie procesowym Patyka. On natomiast osadzony był w jednej celi Aresztu Śledczego w Bytomiu ze Zbigniewem G. Obaj posiadali telefon komórkowy i na bieżąco ustalali, co mają zeznawać na mój temat z Piotrem B., tym samym, który przewija się w sprawie bezprawnego przejęcia moich udziałów w firmie Unitra.

– Rewelacje łódzkie to jedno, a fakt, że wciąż jest pan oskarżony o udział w zabójstwie generała policji, to drugie.

– Liczę na to, że prokuratura łódzka dysponuje szeregiem innych dowodów natury materialnej, badaniami DNA, linii papilarnych. Nie wyobrażam sobie, żeby wydali takiej rangi komunikat, nie mając absolutnej pewności co do wyniku swoich ustaleń. Kończąc ten wątek, jeżeli prokuratura w Łodzi się nie myli, to nareszcie daje mi to sposobność do wykazania, czym w istocie były zeznania, na podstawie których to na mnie kierowano wszelkie podejrzenia.

– Jak pan tłumaczy fakt, że takie zeznania złożono?

– Tacy ludzie, jak wymienieni świadkowie W., Ł., i Z. oraz szereg innych, mając zielone światło od prokuratury, opowiadali różne rzeczy, bo było na to zapotrzebowanie. W zamian za to szli na przepustkę czy przerwę w odbywaniu kary. Teraz również wiele osób osadzonych może uznać, że dobrze by było uratować obie wersje dotyczące zabójstwa gen. Marka Papyły. Obawiam się, że jeżeli Prokuratura Generalna mówi, że jedna i druga wersja zawiera luki oraz że obie są równie prawdopodobne, jest to czytelny sygnał dla ludzi siedzących w więzieniach: „spróbujcie znaleźć jakąś koncepcję na powiązanie tych dwóch niedających się powiązać wersji, a w zamian coś dostaniecie – status świadka koronnego, tzw. małego świadka koronnego, przepustkę, a może przedterminowe zwolnienie”. Dyplomacja pana prokuratora Seremeta stanowi dla mnie zagrożenie natury procesowej, ponieważ lepiej nie mówić nic niż wydać komunikat, który będzie czytelnym sygnałem dla potencjalnych „świadków”, mających interes procesowy, żeby zeznawać zgodnie z oczekiwaniami prokuratury.

– Jakie wnioski wyniósł pan z lektury akt w sprawie zabójstwa Papyły?

– W 2009 roku zakończyło się śledztwo warszawskie i wówczas udostępniono mi po raz pierwszy jego akta. Czytając je, robiłem notatki i zadawałem pytania, które nasuwały się podczas ich lektury. Po przeczytaniu akt pierwszy raz złożyłem wyjaśnienia w sprawie zabójstwa gen. Marka Papyły. Równocześnie złożyłem wniosek o wyłączenie prokuratorów będących referentami w tej sprawie, do którego dołączyłem notatki z lektury akt. Równocześnie pracował zespół analityków powołany przez

Komendanta Głównego Policji, który podzielił moje wątpliwości. Ich raport okazał się być spójny z moimi notatkami, powzięli oni te same wątpliwości. Dopiero ta analiza policyjna pozwoliła na odebranie sprawy Prokuraturze Apelacyjnej w Warszawie i przekazanie jej do Łodzi. Jeżeli łódzcy prokuratorzy nie ulegną pokusie ratowania twarzy Prokuratury Apelacyjnej w Warszawie poprzez próbę jakiegoś połączenia wątków, które de facto nie dają się połączyć, to postępowanie to jest dla mnie nadzieją na rozwiązanie sprawy zabójstwa gen. Marka Papały, jak również na wznowienie procesu w sprawie zabójstwa Pershinga.

– **Czy znał pan na wolności Igora Ł., ps. Patyk?**

– Nigdy nie zetknąłem się z Patykiem, widziałem go jedynie, biorąc udział w czynnościach procesowych. Patyk w swoich zeznaniach, do których mamy dostęp, nigdzie nie mówi, że mnie widział czy rozpoznał. Wskazuje jedynie na osobę blisko ze mną związaną, na Krzysztofa W., wtedy młodego chłopaka, studenta AWF w Gorzowie Wielkopolskim i członka kadry narodowej w zapasach w stylu wolnym. Ja natomiast doskonale pamiętam, że w czasie, gdy zginął gen. Papała, Krzysztof przebywał ze mną w Łodzi. Punktem honoru jest dla mnie wyjaśnienie, że Krzysztof ze sprawą zabójstwa gen. Marka Papały nie ma nic wspólnego. Jako jego przyjaciel jestem mu to winien. Krzysztof zginął przypadkowo w wyniku wypadku samochodowego pod Poznaniem w pierwszej połowie 2000 roku.

– **To bardzo honorowe bronić dobrego imienia zmarłego kolegi, ale też trochę trąci naiwnością.**

– Być może, z tym tylko, że Krzysztof był moim przyjacielem, a nie kolegą, a fakt, że nie żyje, nie może powodować umniejszenia należnego mu szacunku.

„Lubiłem Nikosia”

– **Jakie są relacje między panem a Słowikiem, sąsiadem z ławy oskarżonych?**

– Między mną a Słowikiem jest dosyć istotny konflikt procesowy w sprawie zabójstwa gen. Marka Papały. Nie wynika on jednak z jakiegokolwiek odpowiedzialności Słowika za śmierć generała, a z rozbieżności interesów procesowych, które mają swój początek w sprawie zabójstwa Pershinga. W istocie Zygmunt R., Słowik, Parasol, Malizna czy Rysiek Sz. to moi znajomi, natomiast w ich interesie procesowym jest umniejszenie naszej znajomości, a nawet zaprzeczanie, że w ogóle mnie znali. W ich przekonaniu jest to jedyna możliwość uniknięcia łączenia ich ze sprawą śmierci Pershinga. Sytuacja, w której wszyscy zeznają fałszywie, rodzi jednak pole do interpretacji i tworzenia fałszywych dowodów, przed którymi nie jestem w stanie się bronić. W związku z tym ujawnienie rzeczywistego zakresu znajomości – czego dotyczyła, kiedy się zaczęła i jak przebiegała – jest dla mnie procesowo

zdecydowanie korzystniejsze niż ta sytuacja, w której różne osoby mogą mnie pomawiać o wszystko.

– **Kim był dla pana Nikoś? Kolegą? Wspólnikiem?**

– Lubiłem Nikosia, był moim znajomym. Nie jest dla nikogo tajemnicą, że znam szereg głównych postaci życia gospodarczego i politycznego początku lat 90. Nikoś zawsze przedstawiał mi swój wizerunek jako osoby, która również ma szerokie kontakty. W jego wypowiedziach nigdy nie pojawiała się jednak osoba Edwarda M., aczkolwiek pojawiały się inne osoby tego pokroju, czyli z kręgów biznesowych. Poznałem przez Nikodema również ludzi związanych z przestępczością zorganizowaną. W tym kontekście z jego relacji wynikało, że cała grupa pruszkowska to byli ludzie, z którymi jest skonfliktowany, którzy są w opozycji do niego. Jediną osobą, która moim zdaniem mogła stanowić przekaźnik czy ogniwo pośredniczące pomiędzy nim a „Pruszkowem”, był Krzysztof P., którego roli w moim przekonaniu do tej pory rzetelnie nie zbadano, zarówno w sprawie Nikodema S., jak i zabójstwa gen. Marka Papały.

– **A jaka to była rola?**

– Obserwowałem istotną rolę P. w życiu Nikodema S. Rok przed jego śmiercią P. był w moim przekonaniu osobą najbliższą Nikodemowi. Znając relacje łączące P. ze starym „Pruszkowem”, czyli mając tę wiedzę, którą posiadałem po roku 1998, uważam, że niemożliwym byłoby doprowadzenie do spotkania pomiędzy Nikodemem a Słowikiem bez pośrednictwa i obecności na nim Krzysztofa P.

– **W śledztwie obciążył pana Zbigniew G., miał go pan namawiać do zabójstwa Papały.**

– Należy postrzegać Zbigniewa G. poprzez to, co powiedział na sali sądowej, czyli że nigdy nie był nakłaniany przeze mnie do zabójstwa gen. Marka Papały. Na pytanie, co znaczą przeciwne treści zawarte w protokołach przesłuchań w trakcie postępowania przygotowawczego, stwierdził, że są efektem manipulacji osób go przesłuchujących. Sąd może uznać, że w prokuraturze składał on zeznania fałszywe, a w sądzie powiedział prawdę lub odwrotnie – teraz kłamie, a wcześniej mówił prawdę. To jest wolny wybór sądu. Zbigniew G. jest jedynie elementem, który miał służyć skierowaniu na mnie fałszywych podejrzeń w sprawie zabójstwa gen. Papały. Jest jednym z drobnych narzędzi, które zostały użyte w tym celu przez grupę osób, których działania utożsamiam ze wspomnianym wcześniej Piotrem B. i sprawą Uniry. Za tym, że nie jest to teza nieuzasadniona, przemawia chociażby treść zeznań samego Piotra B. przed sądem warszawskim. Twierdził tam, że zarówno G., jak i Tadeusz K., czyli świadek, który uprawdopodobnia zeznania G., to osoby, z którymi zna się od lat, z którymi przez wiele lat miał kontakt, które w czasie trwania procesu wielokrotnie się z nim kontaktowały i które mają poważny problem w sprawie zabójstwa gen. Marka Papały w związku z tymi zeznaniami złożonymi na etapie śledztwa prokuratury warszawskiej. W moim przekonaniu G. jest fałszywy zarówno w śledztwie, jak i przed sądem. Teza postawiona przez niego w ramach postępowania sądowego jest następująca: twierdzi, że w czasie, gdy składał zeznania, zażywał narkotyki, w związku z tym łatwo można było go zmanipulować i takiej manipulacji został

poddany przez osoby go przesłuchujące. Ja uważam, że twierdzenia te są fałszywe – G. absolutnie świadomie podejmował działania mające na celu stworzenie fałszywych dowodów w sprawie zabójstwa gen. Marka Papały, kierując na mnie podejrzenia. Twierdzę, że jego działania są dokładnie przemyślane zarówno w śledztwie, jak i przed sądem.

– **Dlaczego miałby być tak przewrotny?**

– Nie znam odpowiedzi na to pytanie. Proszę zapytać o to Piotra B. [nie było to możliwe, w czasie, kiedy pisaliśmy tę książkę, Piotr B. wraz z żoną zaginęli, według jednej z wersji uciekli z kraju w obawie przed grożącym im procesem o malwersacje gospodarcze].

Co widziała wdowa

– **Wróćmy do wieczoru, kiedy zginął Marek Papała. Pan twierdzi, że przebywał w tym czasie w Łodzi. Jak więc pan wyjaśni, że rozpoznał pana bezpośredni świadek, wdowa po generale?**

– Twierdziłem w ramach przewodu sądowego, że rozpoznała mnie fałszywie w sytuacji, w której zapowiedziano jej umorzenie śledztwa z powodu niewykrycia sprawców. Jedynym sposobem kontynuacji tego śledztwa było dokonanie w nim jakiegoś przełomu. W tym kontekście odbyło się okazanie pani Papale mojej osoby, na którym mnie rozpoznała. Twierdziła, że widziała, jak spacerowałem pod jej domem z jakąś kobietą. Pani Papała w wywiadzie dla „Polityki” twierdzi, że o wszystkim dowiadywała się z mediów. Można założyć, że także z mediów poznała mój wizerunek. Twierdziła, że widziany przez nią mężczyzna był blondynem niewiele wyższym od towarzyszącej mu kobiety. Kobieta miała bodajże 162 lub 164 cm wzrostu. Tego rysopisu w żaden sposób nie można dopasować do mnie. Zastrzeżenia co do okazania mieli prokuratorzy z nadzoru nad tą sprawą. Jeśli się nie mylę, prokuratorzy Morgała i Kassyk. Oni, generalnie rzecz biorąc, obniżyli wartość dowodową tego rozpoznania, twierdząc, iż odbyło się wadliwie, bo wcześniej pokazywano pani Papale tablice poglądowe z moim wizerunkiem. Notabene na tablicach tych mnie nie rozpoznała. Z akt procesowych zebranych w ramach postępowania sądowego wynika, iż Prokuratura Krajowa wydała formalny zakaz stawiania mi zarzutów w sprawie zabójstwa gen. Marka Papały, albowiem w ocenie nadzorujących to śledztwo zebrany materiał dowodowy nie dawał takich podstaw. Prokurator Mierzewski i Grześkiewicz złamali jednak ten zakaz. Było to przyczyną konfliktu trwającego przez lata pomiędzy prokuratorami referentami sprawy a tymi, którzy nad tą sprawą sprawowali nadzór służbowy.

– **Podpowiedziano jej, kogo ma rozpoznać?**

– Nie wiem, ale w sprawach przeciwko mnie pojawia się wiele manipulacji. Członkami grupy policyjnej „Generał” powołanej przez Komendanta Głównego Policji byli policjanci nie tylko z

Komendy Głównej z Warszawy, ale również dokooptowani z terenu, jak np. komisarz Wiesław G. z CBS w Katowicach, zwolniony później z Policji za przekazywanie informacji w sprawie mafii paliwowej, w sprawie dotyczącej pana gen. Mieczysława K. Z zeznań tego ostatniego wynika, że właśnie ten policjant przygotowywał Igora Ł., ps. Patyk, do roli świadka koronnego. Te same błędy w okazaniach i sporządzaniu tablic są powielane w jednej i drugiej sprawie. W tablicach poglądowych umieszczano moje zdjęcie paszportowe, które było publikowane w listach gończych.

– **Za zabójstwo Pershinga został pan prawomocnie skazany.**

– Nie zabiłem Pershinga. Byłem w Zakopanem, ale wyjechałem przed jego zabójstwem. Nigdy mnie i Ryszarda N., ps. Rzeźnik, nie łączyły takie relacje, jakie wynikają z doniesień mediów czy z opowieści świadka koronnego. Bzdurą jest to, że stanowiliśmy nierozłączną parę. Ryszard N. wpisał się procesowo w te ustalenia sądu, które zapadły wcześniej. Jego sprawa odbyła się po zakończeniu mojego procesu o zabójstwo Pershinga. Stawiana przeze mnie teza sprowadza się do tego, że jego obrońcy podpowiedzieli mu, że może coś ugrać jedynie w ten sposób, że zmieni rolę procesową i obsadzi siebie w roli Adama K., Dziadka, czyli świadka zdarzenia, który ma czyste ręce. Nigdy nie zbadano tego, co wynika z zeznań świadków naocznych występujących w procesie, którzy twierdzili, że z N. i Dziadkiem był niejaki Mariusz J. To z nim mieszkał Dziadek, z nim przyjaźnił się Rzeźnik. Mariusz J. w dziwnych okolicznościach, dotąd chyba niewyjaśnionych, w czasie gdy trwał proces o zabójstwo Pershinga, został zamordowany. Moim zdaniem na Mariusza J. wskazywali niemal wszyscy kluczowi świadkowie. Dla mnie takimi świadkami były osoby, które ukrywały sprawców zabójstwa Pershinga po strzelaninie. Był to niejaki Piotr Sz., którego deportowano ze Stanów dopiero po zakończeniu mojego procesu, oraz jego matka, która widziała w domu ukrywających się sprawców. Piotr Sz. w ramach swojego procesu, bo był współoskarżonym w procesie Ryszarda N., prezentował pogląd, że nigdy się ze mną nie zetknął, więc nie mogłem być osobą, którą ukrywał po zabójstwie Pershinga. To samo mówiła jego matka w ramach mojego procesu. Już w śledztwie wskazywała na tablicach poglądowych na Mariusza J. Mówiła, że wydaje jej się, że był osobą, która przyjechała z Rzeźnikiem i Dziadkiem po zabójstwie. Piotr Sz. był znajomym Rzeźnika, a nie moim, ja go nie znam.

– **Dużo tych śmierci. Nie żyje Mariusz J., nie żyje Artur Z., ps. Iwan, nie żyje Adam K., ps. Dziadek.**

– Wszystkim umyka pewna analogia, a więc to, co się stało z Arturem Z., i to, co się stało z Dziadkiem. Z akt sprawy wiemy, że Artur Z., z chwilą kiedy się dowiedział, że rusza proces w sprawie zabójstwa gen. Papyły, doszedł do wniosku, że może lepiej odzyskać wolność przed tym, jak przed sądem dojdzie do weryfikacji jego zeznań. Podjął więc działania zmierzające do ucieczki. W tym kontekście umyka wszystkim fakt, że Adam K., ps. Dziadek, dokładnie tydzień po zatrzymaniu Ryszarda N. w Niemczech, czyli w pierwszej możliwej sytuacji procesowej, która mogłaby podważyć jego zeznania składane w charakterze świadka koronnego, dziwnym zbiegiem okoliczności

zapił się na śmierć.

– **Co pan sugeruje?**

– Sugeruję, że mógł być poddany takiej presji, której po prostu nie wytrzymał. Sugeruję, że znalazł „ucieczkę” przed możliwą weryfikacją procesową jego zeznań wobec faktu zatrzymania Ryszarda N.

– **Pan też jest poddawany nieustannej presji? Ile lat można wytrzymać w takim stresie.**

– Nie wiem, ale muszę wytrzymać aż do momentu, kiedy procesowo wykażę, że nie byłem mordercą, i zaręczam, że nigdy w tym dążeniu nie ustnę.

VI. Teraz mówi Masa

Kiedy w 2003 roku powstawał serial *Alfabet mafii*, rozmowa z Masą była nie lada przedsięwzięciem logistycznym. Kluczeliśmy od miasta do miasta, zmienialiśmy miejsca i terminy spotkań. Reguły dyktował Jarosław S., musieliśmy się całkowicie podporządkować. Gra toczyła się przecież o życie najważniejszego w Polsce świadka koronnego i nie mogliśmy przez nierozważne zachowanie narażać go na niebezpieczeństwo. Dziś Masa uniki opanował do perfekcji, zatem zorganizowanie spotkania z nim przebiega znacznie sprawniej.

Wtedy spotkaliśmy się w Hamburgu i Berlinie. Przed kamerą *Alfabetu mafii* Masa czuł się swobodnie, ale podczas nagrań występował w kominiarce. Dodatkowy warunek – podczas montażu trzeba mu było zniekształcić głos.

Najpoważniejszym problemem organizacyjnym okazał się dla naszej ekipy wybór pokoju hotelowego w Hamburgu, gdzie rejestrowaliśmy jedną z rozmów. Masie wyjątkowo nie przypadł do gustu apartament, który mu zarezerwowaliśmy. Nie podobały mu się meble w stylu Ludwik XVI, a szczególnie zabytkowy zlew. – Taki zlew to miałem pod celą, a stare meble – w domu rodzinnym w Pruszkowie – komentował wyraźnie niezadowolony. – Nie chcę żadnych złotych klamek, tylko wygodny, nowoczesny apartament – pouczał. Humor wyraźnie mu się poprawił, gdy w przerwie pomiędzy nagraniami nadarzyła się możliwość wyskoczenia do miasta na szybkie zakupy. Jarosław S. kupował buty dla syna, a my – mimo że mieliśmy być w zasięgu jego wzroku – wymknęliśmy się na wyższe piętro domu towarowego. Tak się zdenerwował naszą niesubordynacją i wyłączonymi komórkami, że kupił buty dwóch różnych par. – Dzieciaki jesteście – zrugął nas, gdy już się odnaleźliśmy. – Mieliście robić za moją ochronę, a za fatalaszkami latacie – żartował po chwili udobruchany.

Oto obszernie fragmenty tamtych rozmów z Jarosławem S.:

Nie od razu o mafii

– Dlaczego spotykamy się w Hamburgu?

- Ze względów bezpieczeństwa.
- **Ale pan lubi to miasto, zdaje się?**
- Tak, bo kiedyś tu mieszkałem.
- **Czy to tutaj po raz pierwszy nałożono panu kajdanki?**
- Jeśli chodzi o zagranicę, to tak – za moje siłowe poparcie Polaków w pewnej bójce z Turkami.
- **Co pan robił w Hamburgu? Czym się pan wtedy zajmował?**
- W 1984 roku przyjechałem tu do pracy, okradałem niemieckie sklepy. Byli już tutaj moi koledzy z Pruszkowa, którzy też przyjechali do pracy, no i mnie wciągnęli. Tłumaczyli: „Kradnij i bierz sobie to odszkodowanie wojenne”. Kradłem alkohol, papierosy, skóry. Wszystko, co było fajne i miało dużą cenę. Po roku pojechałem do domu, ponieważ urodził mi się syn. Jak wyjeżdżałem z Polski, żona była w czwartym miesiącu ciąży i po prostu było mi ciężko tutaj żyć bez rodziny. Zwłaszcza nie widząc syna. Ja jestem bardzo rodzinną osobą i człowiekiem, który dba o rodzinę. W zasadzie można powiedzieć, że żyję dla rodziny.
- **Jak pan wychowuje swoje dzieci?**
- Jestem przekonany, że dobrze. Moje dzieci wychowują się jak inne, normalne dzieci. Swoją rodzinę zawsze trzymałem z dala od gangsterskich spraw.
- **Jest pan wobec nich wymagający, sprawdza zeszyty, kontroluje czas, kiedy wracają do domu po jakiejś imprezie?**
- Tak, oczywiście. Moje dzieci studiują. Tak że musiały być kontrolowane przeze mnie, jeżeli doszły tak wysoko.
- **Jakie studia wybrały?**
- To tajemnica.
- **Ma pan tremę przed naszą kamerą?**
- Nie. Nie mam tremy. Występowałem już przed taką kamerą. Konstruowaliśmy program *Queen of Polen* i nabyliśmy taką kamerę za 50 tysięcy dolarów z Wojciechem P. [przedsiębiorca budowlany uważany za człowieka „Pruszkowa”, podczas procesu tzw. zarządu gangu uniewinniony z braku dowodów – przyp. aut.]. Później daliśmy ją Jackowi Ż., który skonstruował program Top Canal.
- **Pan, zdaje się, też coś próbował z telewizją? Zielone bingo? Co to miał być za interes?**
- Pomysł przywiózł ze Szwecji wspomniany już Wojciech P. Tam telewizyjne bingo jest bardzo popularne, jest to konkurencja dla Lotto. Pomyśleliśmy, żeby wprowadzić to do Polski. P. pozyskał inwestorów na to przedsięwzięcie, którzy dysponowali sporą gotówką. Oczywiście był napisany cały biznesplan, kupione licencje. Zrobiliśmy w Katowicach koncert pod hasłem „Graj w zielone”, w Spodku, gdzie przyjechał DJ Bobo i inne sławne zespoły z top listy europejskiej. Ten koncert kosztował nas 13 miliardów starych złotych. Później zaczęliśmy już rozkręcać studio, w którym ta gra telewizyjna miała być prowadzona. Wtedy nogę nam podstawił UOP.

- **W jaki sposób podstawiono nogę?**
- Założono nam obserwację i torpedowano nasze poczynania. Takie osoby w zarządzie jak Masa z Kielbasą od razu dyskryminowały to przedsięwzięcie.
- **A czy nie pojawiało się tam jeszcze jedno nazwisko – jakiegoś reżysera?**
- W zarządzie – nie pamiętam, natomiast dobrze nam znany reżyser Tadeusz Tarkowski przyprowadził pana Ciciszwilego, który miał zająć się realizacją programu *Zielone bingo*.

Jak to z „Pruszkowem” było

- **Jak pan trafił do grupy pruszkowskiej: po znajomości czy w drodze naboru?**
- Byłem silny i sprawny. Wojtek K. Kielbasa wziął mnie jako swojego ochroniarza. Wcześniej trenowałem w siłowniach.
- **Kim pan był w gangu, jaka była pana rola w grupie?**
- Byłem szefem bojówki pruszkowskiej – zresztą najsilniejszej w Polsce. Bojówka to grupa ludzi, która siłowo załatwia różne problemy.
- **Ilu ludzi dla pana pracowało?**
- Paręset osób. Miałem od tak zwanego zarządu zielone światło na robienie różnych interesów, które wiązały się z pozyskiwaniem kasy dla grupy pruszkowskiej.
- **Znał pan starych gangsterów, takich jak Barabasz?**
- Ciężko było nie znać tych ludzi, mieszkając w Pruszkowie. To były legendy, bogaci faceci, którzy poruszali się dobrymi autami i mieli zawsze pieniądze. Stąd człowiek patrzył z zazdrością i z nadzieją, że kiedyś będzie taki sam.
- **Jaka była pana pierwsza gangsterska robota?**
- To była napaść na tira z kontrabandą. Pierwsze jakieś takie duże pieniądze zarobiłem w 1990 albo w 1991 roku – to było 960 tysięcy dolarów. Ukradliśmy wtedy z Kielbasą dwa traki prince'ów. Dostałem „działkę” 125 tysięcy dolarów.
- **Skąd wiedzieliście, że jedzie kontrabanda, a nie legalny towar?**
- Ja i Kielbasa mieliśmy dobrych informatorów, którzy dostawali „działkę” za wystawienie takiego transportu. Ludzie, którzy zajmowali się kontrabandą, mieli przecież swoich kolegów, którzy niekoniecznie mieli pieniądze na taką inwestycję, ponieważ trzeba było mieć ponad 100 tysięcy dolarów, żeby sprowadzić traka z papierosami. Ale dzielili się z nami takimi informacjami i mieli już potem na traka.
- **Co było po tirach?**
- Legalizowaliśmy kradzione samochody. Z tego, co pamiętam, było około 300–400 takich

samochodów. A potem były haracze, różnego rodzaju wymuszenia. Ja nie miałem prawa decydować o tym, co grupa ma robić. To Wojtek K. i starzy pruszkowscy mieli wtedy takie prawo.

– **Ile pan zarabiał dla grupy pruszkowskiej w ciągu miesiąca?**

– To były duże pieniądze, ale nie potrafię określić sumy.

– **W setkach tysięcy złotych czy...**

– W setkach tysięcy dolarów oczywiście, wyłączając lata 1998–99, gdzie zarobki były odpowiednio większe, ponieważ mieliśmy też zyski z maszyn do gry.

– **Jak dzielono potem te pieniądze? Ile pan dostawał?**

– Ja dostawałem połowę tego, co utargowali kapitanowie grup. Natomiast 50 procent mojej gaży dostawali starzy pruszkowscy, przy czym znaczna część dochodów szła na kampanię wyborczą i finansowanie pewnej partii.

– **Jakiej?**

– O to mnie nie pytajcie.

– **Kto to są starzy pruszkowscy?**

– Jest to zarząd „Pruszkowa”. W jego skład wchodzi dwóch braci D., czyli Malizna i Wańka, Andrzej Z. Słowik, Zygmunt R. Raźniaczek, Ryszard Sz. i Janusz P., pseudonim Parasol.

– **Skąd taka wysoka pozycja tych ludzi? Czym się zasłużyli? Zarząd to chyba mózg całej grupy?**

– Myślę, że ich zasług trzeba szukać w historii, w ich przeszłości. Nikt w świecie gangsterskim nie jest poważany, jeżeli nie siedział w więzieniu i nie ma kryminalnej przeszłości bądź nie jest jakiś wyjątkowo silny, bądź wyjątkowo inteligentny.

– **Nie powiedział pan o Pershingu. Czy on nie był szefem grupy pruszkowskiej?**

– Pershing zajmował się hazardem: trzymał ruletki, trzymał wyścigi konne i to już promowało go do tego, żeby doszedł do zarządu. Był osobą ważną, liczącą się w mieście i na tej zasadzie doszedł do zarządu.

– **Kiedy i jak doszło do stworzenia grupy pruszkowskiej?**

– Początek zawiązania grupy pruszkowskiej miał miejsce w 1989 roku, kiedy nastąpiło poluznienie systemu, wówczas jeszcze milicyjnego. Wtedy każdy gangster mógł pluć na policjanta. W więzieniach było jak w sanatorium. Stąd jeżeli pokazała się możliwość zarobkowania, była taka swoboda – od razu w tę możliwość weszła grupa pruszkowska. Wtedy w Warszawie liczył się „Pruszków”, więc do ludzi z „Pruszkowa” doszli ludzie z Warszawy. Stąd nazwa „grupa pruszkowska”.

– **Jak do tego doszło, że później o „Pruszkowie” głośno było w takich miastach jak Szczecin, Trójmiasto, Lublin? Przecież to daleko od Warszawy.**

– Tak. Ale byliśmy pierwsi, którzy zbudowali silną strukturę.

– **Jak wyglądała ta struktura?**

– Zarząd i kapitanowie, którzy byli szefami podgrup. Ci kapitanowie kontrolowali mniejsze grupy, którymi kierowali kapitanowie odpowiednio niższej rangi. Czyli struktura była taka: zarząd był na górze, ja byłem kapitanem pierwszej rangi, czyli szefem podgrupy, i w skład mojej podgrupy wchodził szefowie mniejszych podgrup... i tak dalej, i tak dalej w dół. To była struktura bardzo przypominająca strukturę wojskową.

– **Wzorowaliście się na włoskiej mafii?**

– Nie. To samo przyszło. Taki podział, taka struktura sama się wyrysowała.

– **W jaki sposób grupie pruszkowskiej udało się podporządkować lokalne gangi, np. w Szczecinie albo w Trójmieście? Zastraszaliście ich czy dawaliście premie?**

– Byliśmy silni. Bardzo pomogli nam dziennikarze, którzy pisali o nas. Mieliśmy dobrą prasę. W pewnym okresie doszło do takiej patologii, że każdy, kto prowadził jakiś biznes, jakąś firmę, mniejszą bądź większą, chciał mieć członka grupy pruszkowskiej w zarządzie bądź gdzieś koło siebie do dyspozycji. Przy różnych spotkaniach, rautach i ogniskach chwalono się związkami z mafią pruszkowską. To była moda – każdy chciał być podporządkowany pod grupę. Nikt nie chciał wojny. A ci, którzy już taką wojnę przeżyli, to nie chcieliby drugi raz tego przeżyć.

– **Te grupy z miast wojewódzkich przychodziły do was z prośbą, żebyście „wchłonęli” je do siebie, czy też wy do nich chodziliście?**

– To było różnie. Czasami przychodzili sami. Mówili, że chcą współpracować, zatem uprzedzali nasz... no, nie atak... ale nasze działania związane z przejęciem danego miasta. A były też sytuacje, kiedy jeździliśmy dużą grupą, czyli bojówką pruszkowską, i robiliśmy specjalnie taki „sztuczny dym”. Rozkręcaliśmy jakieś awantury i w konsekwencji naginaliśmy lokalnych szefów do współpracy z „Pruszkowem”.

– **Czy w grupie obowiązywał jakiś system nagród? Kiedy ktoś był bardzo skuteczny w swoich działaniach, przynosił dużo kasy, czy dostawał za to jakieś profity?**

– Nagrodą było zadowolenie starych. Natomiast każdemu, kto zrobił coś dla grupy, należała się działka jak psu kość.

– **Na czym „Pruszków” zarabiał największe pieniądze?**

– Na haraczach, wymuszeniach i narkotykach z Kolumbii.

– **Jak nawiązaliście kontakt z Kolumbią? Kraj odległy, jak by nie było.**

– Owszem, ale kontakty były. Nie chciałbym o tym opowiadać, bo to jest ciągle przedmiotem śledztwa i wiąże mnie obowiązkiem zachowania tajemnicy państwowej.

– **Ale czy grupa dała sobie sama radę, czy też musiała prosić o pomoc na przykład kogoś, kto się obracał w biznesie albo w polityce?**

– No właśnie, tu chodzi o świat polityki... i te kontakty były już wcześniej między grupą a politykami i ktoś za ten kontakt dostał spore pieniądze. A później ten kontakt się rozwinął!

– **Kto jeździł do Kolumbii po narkotyki?**

– Przeważnie Słowik. Przy pierwszej partii razem ze swoją żoną Moniką stanowili zastaw, byli zakładnikami. Gdyby towar wpadł z winy grupy pruszkowskiej – oboje zostaliby zabici. Ale chciałbym być takim zakładnikiem! To było spędzanie czasu w ekskluzywnym hotelu i zabawa.

– **Zakładnik, no, to brzmi groźnie.**

– Prawda jest taka, że nasi byli uczciwi wobec Kolumbijczyków, ponieważ śmiertelnie się ich bali. To był nowy rynek dla mafii kolumbijskiej i pierwszy transport przyszedł bez żadnych kłopotów i później już było na słowo.

– **No a wpadka *Juraty* [statek, na którym w 1993 r. próbowano przemycić do Polski 1200 kg kokainy – przyp. aut.]? W tamtym czasie też ktoś był w Kolumbii jako zakładnik?**

– Nie! Ale to było raz. Natomiast nikt nie liczy tego, ile razy prochy weszły do Polski. Mogli sobie na utratę takiej *Juraty* pozwolić.

– **Nie szukano winnego? Przecież stracono ponad tonę kokainy.**

– Miotali się trochę i Kolumbijczycy, i nasi, ponieważ to była bardzo duża kasa... No ale co? Pomiotali się i przeszli do codzienności.

– **Prasa wielokrotnie donosiła o tajemniczych zjazdach gangsterskich. Spotykaliście się podobno raz w Sopocie, raz w Międzyzdrojach, innym razem w Zakopanem. Dzieliliście Polskę na strefy?**

– Były to bardziej wyjaśniające spotkania niż dzielące na strefy. Tu nie było czego dzielić, bo Polska była pruszkowska.

– **A co sobie wyjaśnialiście?**

– Kwestie problematyczne w danych miastach, szczególnie wtedy, gdy dochodziło do konfliktu interesów grup lokalnych i „Pruszkowa”. Na przykład w Gdańsku starliśmy się z grupą Nikosia, ponieważ nie podobał nam się jego pomysł na gangsterkę. On chciał zarabiać, nie dzieląc się z nami. No i wtedy Słowik naubliżał Nikodemowi, ale zamiast rozwiązania problemu ściągaliśmy sobie na głowy policję. Posypały się aresztowania, między innymi Pershing trafił wtedy na cztery lata do więzienia. Z kolei w Lublinie zamiast rozmów przy „gangsterskim stole” doszło do strzelaniny z grupą cygańską, która próbowała rządzić tym miastem.

– **Czy na tych zjazdach bywali ludzie z „Wołomina”? Ludzie od Dziada?**

– Ludzie z „Wołomina” bywali. Natomiast ludzie od Dziada – nie.

– **A jaka jest różnica między „Wołominem” a Dziadem? Czy to nie był lider tamtej grupy?**

– Nie. Dziad to Dziad. Do niego należały Ząbki i Dziad się bronił przed „Pruszkowem”. Natomiast „Wołomin” współpracował wcześniej z Dziadem, a później z „Pruszkowem”. To był taki pakt o nieagresji, jeśli chodzi o grupy przestępcze. „Wołominem” kierowali wtedy Lutek A. i Maniek K.

– **Czy Dziad przypadkiem nie robił kiedyś interesów z „Pruszkowem”?**

– Robił i dlatego, że nie spisał się przy tych interesach, „Pruszków” go zaatakował.

– **I co on na to?**

– No, historia pokazała! Bronił się. Dosyć skutecznie, bo żyje do dzisiaj [Dziad zmarł w 2007 r. w więzieniu w Piotrkowie Trybunalskim – przyp. aut.]. Natomiast nie można tego powiedzieć o jego bracie, który poległ, nie uważał na bezpieczeństwo.

– **A czy to nie było przypadkiem tak, że wojna poszła o pana i o Kielbasę, bo łupiliście kontrabandę, która należała do hamburskich przemytników, i o to, że właśnie ci z Hamburga powiedzieli: „Damy kasę, po to, żeby odpalić Masę z Kielbasą”?**

– No, macie dobre wiadomości. Tylko że my działaliśmy w określonych strukturach i napadaliśmy w grupach i za to był odpowiedzialny cały „Pruszków”. Natomiast to się zbiegło w czasie: wyjście z niemieckiego aresztu Wieśka N., czyli brata Dziada, z oszustwem Dziada w stosunku do grupy pruszkowskiej. Nieporozumienie było tego typu, że wjechały traki z alkoholem do Dziada, a za nimi policja. Dziad potem twierdził, że „ogon” przyciągnęła grupa pruszkowska, ponieważ to ona kradła te traki i mu sprzedawała. Grupa pruszkowska twierdziła, że „dziupła” Dziada już była na tak zwanym policyjnym podglądzie. No i o to poszła pierwsza fala nienawiści do Dziada.

– **Prasa pisała o wzajemnej nienawiści Pershinga do Dziada.**

– Tak samo się nienawidził Wańka z Dziadem, Ryszard Sz. z Dziadem. O Pershingu się pisało, bo to był człowiek medialny.

– **Wańka to jest chyba jakaś znacząca postać. Może mało medialna swego czasu, przed procesem pruszkowskim.**

– To bardzo inteligentny facet, który stał z boku, ale robił swoje.

– **Był od wydawania rozkazów?**

– Rozkazów raczej nie wydawał, ale w pewnym momencie dołączył do tak zwanego zarządu „Pruszkowa”, ponieważ wiedział, że jak nie dołączy, to zginie. To był solista, indywidualista, a wtedy nie było już miejsca dla takich. Interesy robiło się tylko w grupie. Gdyby się nie podporządkował, to starzy pruszkowscy by go zaatakowali. Tak jak zresztą wszystkich.

– **A jego brat Malizna?**

– A jego brat, w odróżnieniu od Wańki, trzymał z „Pruszkowem” już dużo wcześniej. Okradał z pruszkowskimi fabryki srebra, urzędy wojewódzkie z kartek benzynowych. To przynosiło krociowe zyski.

– **A Ryszard Sz.? Jak do nich dołączył?**

– To facet z tej samej bajki o srebrze i kartkach benzynowych.

– **Żaba też był kimś ważnym?**

– Żaba odsiadywał jakieś wyroki za kradzieże. W więzieniu poznał się ze starymi pruszkowskimi. Ja go znam z libacji alkoholowych z początku lat 80. Później brał udział w interesach mafii rosyjskiej.

Nie należał do ludzi, którzy kierowali grupą, ale miał duży szacunek i duże poważanie. Od 1995 r. był mocno związany z Rympałkiem, już miał swoją grupę w Aninie i był barwną postacią gangsterską. Po aresztowaniu Rympałka Żaba był moją prawą ręką.

– **Kto był najbardziej bezwzględny?**

– Dopóki nie wyszedł Parasol, to tam nie było okrutników. Nie mieli chęci się zabijać. Dopiero z biegiem czasu narastała taka agresja, nienawiść do innych ludzi, do konkurencji.

– **Kto był mózgiem gangu? Taką osobą najważniejszą, której się wszyscy słuchali, której się bali?**

– Wszystkie polecenia były wydawane kolektywnie przez zarząd, ale niekwestionowanymi mózgami byli jednak Zygmunt R., pseudonim Raźniaczek, i Słowik.

– **Jak to się stało, że Słowik, fryzjer ze Stargardu Szczecińskiego, znalazł się na samym szczycie, czyli w zarządzie?**

– Słowik dużo siedział w więzieniu i tam poznał Zygmunta R. Przyjechał później do Warszawy i razem robili interesy i włamania. Słowik wszedł do grupy właśnie dzięki Raźniaczkowi. Bardzo podobnie jak ja przy Kielbasie. Z tym że on dużo szybciej awansował, bo należał do tak zwanych okrutników. Chodził z pistoletem i szybko strzelał. Dla niego zabić człowieka to jak splunąć. Bezwzględny, wyrachowany i wredny. To on właśnie umożliwił grupie pruszkowskiej zabicie Pershinga, ponieważ jego była narzeczona „wystawiła” Pershinga. To on był egzekutorem w gołębniku, gdzie zginęło trzech ludzi od Dziada. Zabił też Poldka, czyli ochroniarza Wieśka N. Wariata. Ten człowiek ma wiele krwi na rękach [to wersja Masy niepotwierdzona w ustaleniach śledczych i procesowych – przyp. aut.].

– **Czy ludzie się bali starych pruszkowskich?**

– Panicznie! To są żywe legendy. Na przykład w Pruszkowie panicznie się bano bandy Barabasza. Do tej bandy należał Parasol. Była opinia, że to jest twardziel na niespotykaną skalę. Chodziła taka pogłoska, że przez 3 lata głodował w więzieniu. Ze 120 kilogramów schudł do 48 kilo. Nosili go nawet w kocu na spacer. Natomiast przypominam, że to był okres, kiedy męczono takich ludzi w więzieniu. Administracja więzienna kazała wpłynąć na to, żeby on dał w końcu głos, żeby przemówił, ponieważ milczał, udając chorego psychicznie. Były takie sytuacje, że współwięźniowie gasili na nim papierosy, bili go członkami po twarzy. On to wszystko przetrwał i był twardzielem, chociaż każdy w jego sytuacji byłby już wówczas „cwelem” wyrzuconym poza nawias subkultury.

– **Czy tak Przez lata psamo potem traktował swoich ludzi? Poniewierał? Znieważał? Upokarzał?**

– Tak. To był despota.

– **Czy ktoś ze starych pruszkowskich kopał pod panem dołki?**

– Poza Parasolem – nie. To byli fajni ludzie. Dobrzy koledzy.

– **No, ale wychodzi na to, że głupi. Bo jeżeli przynosił pan im kasę, i to wcale nie małą, a oni się słuchają jednego Parasola, który pana nie lubi, i odstawiają pana od żłobu.**

– Bliższa koszula ciału. Jeżeli Parasol był w zarządzie, to oczywiście był bliżej nich niż ja. I pruszkowscy chcieli przejąć moje interesy. Stałem się niepotrzebny, bo drażniłem Parasola. To było wystarczającym powodem, żeby mnie wyeliminować. Tak jak Pershinga.

– **A nie próbowano na przykład pozyskać pana do zarządu, żeby stał się pan jednym ze starych pruszkowskich?**

– Mamiono mnie tą obietnicą, z tym że – tak jak powiedziałem – miałem zacieklego wroga Parasola, który przyjmował z uśmiechem pieniądze, ale jak się upił, to mi wymawiał różne rzeczy. I był wściekły na to, że w ogóle jestem, żyję, egzystuję.

– **Czy ktoś, kto próbował wyłamać się z grupy i nie szedł na pasku starych pruszkowskich, był w jakiś sposób karany?**

– Nie było takiej możliwości, żeby się wyłamał. Chyba że skończył definitywnie z przestępstwem, przeprowadził się do innego miasta, zszedł w ogóle z pola widzenia. Ale wyższych rangą, np. kapitanów, jeśli chodzi o szefów podgrup i niższego stopnia szefów, to już starzy nie dopuszczali do tego, żeby tak swobodnie sobie zostawiali swoją pracę, swoją działkę, i odchodzili.

O zabawie i zabijaniu

– **Podobno odzyskaliście dla kogoś kolekcję znaczków, ale nie tę, o którą chodziło?**

– No, owszem. Na początku lat 90. pracowaliśmy z Wojtkiem K. dla pewnego Japończyka, mającego biuro w Metropolu. On wynajął mieszkanie na Żoliborzu i zule z Żoliborza ukradli mu klaser znacznej wartości. Wysłaliśmy tam Barabasa i niejakiego Kwiatka, aby odzyskali ten klaser. Jakiś dziadek otworzył drzwi. Od razu Barabasz łupnął go pięścią w czoło. Dziadek w szlafroku wykonał fikołka. Potem jeszcze wytarmosili babcię. Wnuczek cały roztrzęsiony zorientował się, że chodzi o jakiś klaser, i przyniósł swój. Jak my daliśmy ten klaser skośnemu, Japończyk oszalał z wściekłości. Mówi: „Kurwa, co to jest?”. A tam statki, motylki, małpki. Wszystko w seriach. Okazało się, że Barabasz pomylił numery bloków, pomylił adresy i napadli na Bogu ducha winnego dziadka.

– **Jak bawiliście się we własnym gronie? Gdzie hulaliście?**

– Najczęściej to było Zakopane, Międzyzdroje, hotel Gołębiwski w Mikołajkach. Pamiętam taką imprezę w Gołębiwskim, kiedy pruszkowscy przyjechali w kilka samochodów, kazali sobie stółk ustawić nad basenem, bo normalnie w restauracji nie mogli zjeść, bo tam plebs jadał! A bossowie muszą nad basenem. Potem kazali sobie przyprowadzić jakieś dziewczyny lekkich obyczajów. Poszli z tymi dziewczętami do pokoju. Oczywiście zaprosili dużo więcej dziewcząt, niż mogli „przerobić”.

Rano oczywiście też zaczęło się od alkoholu. Malizna kazał zrobić jajecznicę ze stu jajek. No i przynieśli mu tę jajecznicę ze stu jajek. Po czym Malizna wstał, powąchał i mówi: „Jedno śmierdzi”. Po prostu to było rozrzucanie pieniędzy.

– **Ile jednorazowo potrafili tak rozrzucić?**

– Ciężko było policzyć, ale wtedy wydali dwie walizki pieniędzy.

– **Co takiego działo się w Dolinie Chochołowskiej, że w górach huczało o „Pruszkowie”?**

– Była to również zabawa z fantazją. Wszystkie sanie w Dolinie Chochołowskiej przyjeżdżały po nas pod hotel, pochodnie, wódka się łała strumieniami w saniach. Z ułańską fantazją były wydawane pieniądze i jechaliśmy do Doliny Chochołowskiej. Tam było przygotowane ognisko, polane po lufie i z powrotem do hotelu.

– **Nie żałuje pan tamtych czasów?**

– Nie, nie żałuję. Ja już przeżyłem to, co było wesołe.

– **Dlaczego w latach dziewięćdziesiątych zaczęliście do siebie strzelać?**

– A to była już taka bezwzględna eliminacja tak zwanych czarnych owiec przez starych pruszkowskich. Starali się wybić te czarne owce, wybić ludzi, którzy mogli źle wpływać na ich podporządkowanie całej Polski gangsterskiej.

– **Proszę opowiedzieć o swojej przyjaźni z Pershingiem.**

– Pershing miał do mnie sentyment już na początku lat 90. Uważał mnie za charakternego faceta. On znał się na ludziach.

– **Jakim był człowiekiem? Towarzysko, przy stole, przy wódeczce...**

– To był bardzo prawy facet. Media wykreowały go na jakiegoś bandziora, gangstera. Tak, oczywiście, gangsterem był, ale nie bandziorem, bo to był człowiek, który nie chciał ludzkiej krzywdy. Kiedy uciekłem od starych pruszkowskich do Pershinga, mógł mnie nie przyjąć, żeby nie stawiać się starym, bo ja byłem wtedy dla nich solą w oku. A on wysłuchał moich racji i wysłuchał ich racji. I opowiedział się za tym, że sprawiedliwie jest tak, że bym ja odszedł i nie oddawał starym pieniędzy.

– **Dlaczego go zabito?**

– Całe lata dziewięćdziesiąte trwała walka zarządu pruszkowskiego o władzę w gangsterskiej Polsce. Stąd najróżniejsze zgony, morderstwa gangsterów w całym kraju. Kiedy już wyczyścili teren ze wszystkich i byli niekwestionowanymi przywódcami świata przestępczego w Polsce – wyszedł z więzienia Pershing. Oczywiście był z nimi, grał w tym samym kierunku co oni, ale przeszkadzał, bo starzy nie mogli być jednymi władcami. On szybko się rozrastał. To był charakterny chłopak i młodzież ze świata przestępczego łączyła się do niego.

O świecie biznesu i polityki

– Jacy ludzie zabiegali o kontakty z pruszkowskimi? Kto się chwalił wizytówkami, numerami telefonów do gangsterów? Jacy to ludzie?

– Ze świata biznesu.

– I polityki?

– Również.

– Jak wyglądały te kontakty gangsterskie z biznesmenami albo politykami? Klepali się po ramionach? Pili razem wódkę?

– Tak, oczywiście. Ja w wielu takich sytuacjach uczestniczyłem, ponieważ dzięki dziennikarzom również byłem osobą medialną, podobnie jak Pershing, o którym wiele pisano. Wtedy, kiedy byłem na tak zwanej tapecie, każdy zabiegał o znajomości ze mną i stąd mnóstwo pieniędzy, które zarobiłem. Każdy właściciel „grubej” firmy chciał mieć mnie w swoim zarządzie bądź gdzieś w pobliżu. Oczywiście w dobrej znajomości, w dobrej komitywie z nim. No i stąd lądowałem na różnego rodzaju ogniskach, rautach, bankietach organizowanych właśnie przez świat finansjery. Różnej klasy polityków można było tam spotkać, byłem im przedstawiany. Stąd znajomości z tego świata i tak każdy, kto był na jakimś wysokim szczeblu w grupach przestępczych, był zapraszany przez różnego rodzaju ludzi, którzy mogą później oferować za to jakieś profity. Oczywiście ja brałem bardzo potężne pieniądze za to, że mogli się ze mną kolegować.

– To jakaś taksa była?

– Nie, nie, to nie tak, bo by się obrazili. Ja po prostu byłem wynagradzany za to, że jestem w radzie nadzorczej bądź sprawuję nieformalną ochronę nad firmą, o! To była taka fajna bajka, bo „Masa ma tu swoje pieniądze zainwestowane”.

– Na przyjęciach u pana redaktora Jerzego Urbana też pan bywał?

– Też.

– Jak pan się tam czuł?

– Jak ryba w wodzie... Wolałbym nie zagłębiać się w szczegóły.

– Czy inni goście wiedzieli, kim pan jest?

– Naturalnie. Przecież byłem flagowym gangsterem.

– Na przyjęcia z udziałem polityków i biznesmenów z pierwszych stron gazet też byliście zapraszani, czy raczej był to świat, do którego nie mieliście dostępu?

– Zależy, o jaki świat polityki chodzi. Jeżeli ten najwyższej półki, to nie, bo wiedzieliśmy, że jesteśmy persona non grata w takim towarzystwie. Natomiast jeśli chodzi o tą mniejszą politykę, to tak.

– Pan senator G. swego czasu należał do pierwszej ligi politycznej, a jednak związki z grupą

miął.

– To był wyjątek.

– **Proszę o tym wyjątku opowiedzieć.**

– Pan G. przyszedł do grupy pruszkowskiej, bo chciał zrobić „dobry interes”. Chodziło o zwrot podatku VAT i szmugiel papierosów, co się wiązało oczywiście z działaniami grupy pruszkowskiej bądź innych grup nadgranicznych. Interes, który próbował rozkręcić pan senator, powodował krociowe zyski pod warunkiem, że „Pruszków” obejmie patronat nad tym i zastraszy wszystkie grupy, żeby nie napadały, żeby nie handlowały, ponieważ byłyby to już od tej chwili działka „Pruszkowa”. No i spotkałem się z panem G. na stacji benzynowej, na polecenie Pershinga, ponieważ Pershing nie bardzo chciał rozmawiać z nim. Pan senator streścił mi krótko, na czym by miało to wszystko polegać. Ja streściłem Pershingowi. Pershing wyraził zgodę, żebym prowadził ten interes, i tak się zawiązała spółka Italmarka.

– **Skąd u pana wówczas takie przekonanie, że interes z senatorem wypali?**

– Gwarantem tego były osoby zaangażowane w to przedsięwzięcie. W firmie miał być były wicepremier, prawo było specjalnie napisane pod ten interes przez wysokiego urzędnika resortu finansów, ochroną mieli się zająć dwaj generałowie. Wszyscy ci ludzie, których wymieniam, byli przesłuchani w procesie i potwierdzili swój udział. Z tym że mówili, że zostali wprowadzeni w błąd przez pana senatora, bo nie wiedzieli, jaki charakter będzie miało to przedsięwzięcie.

– **A dużo pan na tym zarobił?**

– No, powiem tylko, że dostaliśmy jako firma Italmarka kredyt w wysokości 50 milionów nowych złotych.

– **Dobrze pan zarabiał z panem G., a jednak swoimi zeznaniami pan go „utopił”. Dlaczego?**

– Ponieważ zdecydowałem się być świadkiem koronnym, a to był przestępca. W efekcie protokołu, do którego zeznałem, zamknięto 52 osoby. No i rozwiązała się cała sprawa Italmarki.

– **A Ireneusz Sekuła? Jakie interesy łączyły „Pruszków” z tym politykiem?**

– Żadne interesy. Po prostu był winny B., temu od Art-B, pieniądze, o które się później upomnieli starzy pruszkowscy. Starzy pruszkowscy po zamordowaniu Pershinga przejęli wszystkie jego interesy, łącznie z listą osób winnych pieniądze Bogusławowi B. Oczywiście B. by nie dostał żadnych pieniędzy od starych pruszkowskich, bo oni chcieli te pieniądze pozyskać dla siebie. Stąd pan Sekuła postrzelił się dwa czy trzy razy w brzuch. Po mieście chodziła wersja, że się postrzelił, a w świecie gangsterskim – że strzelał Słowik.

– **Podobno grupa pruszkowska szykowała sobie w resorcie budownictwa swojego człowieka – Wojciecha P.**

– To był biznesmen, który miał bardzo rozległe kontakty biznesowo-polityczne, i grupa mogła tylko zyskać na tym, że on będzie wiceministrem budownictwa.

- **Jak go pozyskano do współpracy?**
- To był człowiek, który kochał mafię, strasznie imponował mu świat przestępczy. Stąd jego zbliżenie do grupy, bardzo zażyłe kontakty z Kiełbasą i ze mną, no i w konsekwencji – współpraca z grupą pruszkowską. Potem, pod presją starych, pomagał im w interesach.
- **Jakie mogliście mieć profity z obecności P. w ministerstwie budownictwa?**
- Inwestowaliśmy w jego przedsięwzięcia nasze pieniądze i powielaliśmy te kwoty.
- **Kto wykreował Jacka Dębskiego na ministra?**
- Wykreowała go grupa inwestorów powiązanych ze światem gangsterskim. Chodziło o inwestycję. Bardzo dużą inwestycję – wyremontowanie dużego polskiego stadionu. Wytypowali Dębskiego na ministra i przedłożyli taki projekt Krzaklewskiemu. Natomiast Krzaklewski w pierwszej wersji nie zgodził się na Dębskiego. Coś mu przeszkadzało. Ale po reprimendzie, jaką dostał od pewnego biskupa, pan Dębski został ministrem sportu i ta inwestycja poszła.
- **Jakie cechy musi mieć polityk, żeby był przydatny gangsterom?**
- Musi być przydatnym w zarabianiu pieniędzy. Być elastycznym. Współpracować z ludźmi, którzy go popierają. Ludzie mu robią lobbing, a on się odwdzięcza interesami.
- **Jacek Dębski był elastyczny?**
- Był.
- **To dlaczego go zabito?**
- Dlatego, że nie oddał Baraninie pieniędzy! Chciał go wykiwać. Może był za elastyczny.
- **Jacy politycy przychodzili do mafii pruszkowskiej po pożyczki, finansowe wsparcie?**
- Generalnie mam zasadę, że o politykach w ogóle nie rozmawiam. Tyle jest do zrobienia jeszcze w świecie gangsterskim, że skoncentrujemy się na tym.

O „lewych” kwitach i usługowych prawnikach

- **Porozmawiajmy zatem o Słowiku i jego słynnych chorobach. Czy rzeczywiście jego kręgosłup szwankował? Czy po prostu Słowik miał świetnych adwokatów i lekarzy, którzy pomogli mu wyjść z więzienia?**
- Jego kręgosłup szwankował w warunkach więziennych. Natomiast kiedy został zwolniony, nie przeszkadzało mu to nosić skrzynek z alkoholem, bo akurat były chrzciny jego dziecka.
- **Jak to się dzieje, że gangster, który siedzi w więzieniu, dostaje nagle papiery, że jest tak strasznie chory?**
- To jest kwestia doboru adwokatów.

– Czy wiedzieliście, do kogo iść i kto ewentualnie złamie zasady etyki obowiązującej prawników?

– O jakiej etyce mowa? Przecież nie ma takiej etyki! Nasi adwokaci, którzy się zajmują kryminalnymi sprawami w grupie pruszkowskiej, to – jak sama grupa podczas różnych libacji alkoholowych mówiła – „ prostytutki prawnicze”. Bez żadnej moralności. Za pieniądze zrobią wszystko, co grupa każe. Chyba to nie jest dziwną rzeczą, że adwokaci nosili fałszywe zaświadczenia, fałszywe diagnozy lekarskie.

– Czy to była jakaś wąska grupa adwokatów, czy kancelarie adwokackie? Jak trafialiście do tych ludzi?

– To jest bardzo szeroka grupa adwokatów. Oczywiście ja tutaj nie mówię o wszystkich adwokatach, ponieważ znam szereg ludzi zajmujących się prawem, którzy są w porządku. Ale są i „czarne owce”. Zresztą ujawniły się w procesie pruszkowskim.

– Adwokat Pershinga, który bardzo chciał mu dogodzić i przyniósł mu nawet dywan perski do więzienia... To był jeden z tych adwokatów, o których rozmawiamy w tej chwili?

– To są wszyscy adwokaci broniący mafii pruszkowskiej, bo chyba nie sądzicie, że adwokat nie wie, kogo broni.

– Czy grupa korumpowała policjantów, prokuratorów, polityków?

– Oni się sami korumpowali! Po prostu chcieli zarabiać pieniądze, no a grupa dysponowała potężną kasą. My, jeżeli robiliśmy interesy, a nie kręciło się około 100 tysięcy dolarów, to w ogóle nie podchodziliśmy do tego!

– Co znaczy: „sami się korumpowali”?

– Dam przykład z dyskoteką Planeta. To kosztowało paręset tysięcy, żeby taką dyskotekę rozkręcić, ale po kilka procent dostali ludzie, którzy pomagali nam w tym – notable miejscy. Mówię tutaj o ratuszu właśnie.

– Jakie pieniądze wchodziły wtedy w grę?

– Parędziesiąt tysięcy złotych. Dla mnie to są nieduże pieniądze. Natomiast dla tych ludzi to była wielokrotność ich wypłaty miesięcznej. To już było coś.

– Inwestowaliście też w nieruchomości. Czyli przetargi były fingowane?

– No oczywiście! Przecież to jest nasze życie codzienne. To się do tej pory dzieje!

– Czy bezkarność grupy pruszkowskiej – właściwie przez całe lata dziewięćdziesiąte – wynikała też z korumpowania ludzi, którzy byli odpowiedzialni za porządek?

– W momencie zagrożenia używano różnych sprytnych metod na wychodzenie z kłopotów. Miało się układ w policji, w prokuraturze, z dobrymi prawnikami, także z sędziami. Mecenas Słowika raz przyszedł z panią prokurator z okręgówki, raz przyszedł z panią sędzią... Takie kolorowe, ciekawe postacie. No i jeżeli była jakaś sprawa do załatwienia, to jak uważacie, jak to się załatwiało?

– Gdzie z nimi przychodził?

– Do dyskoteki – do mnie, do Planety. I, o zgrozo, ci ludzie byli zafascynowani tym światem. Naszym światem. Ale to się mogło podobać, bo to było bogactwo. Wystawiałem butelki najlepszego alkoholu, za który nie kasowałem pieniędzy.

– Jak oni się potem odwdzięczali za taką hojność?

– Po prostu byli elastyczni, jeżeli była prośba o coś. Na przykład wyjście z aresztu Słowika, gdzie w ogóle nie powinien wyjść. A my już wiedzieliśmy wcześniej, że najpierw wyjdzie Słowik, potem wyjdzie Wańka. Można mnożyć takie przykłady, ale to nie ma sensu.

– Czy grupa ujmowała się za ludźmi, którzy mieli kłopoty? Istniał fundusz specjalny na wykupywanie?

– Nie trzeba było mieć takiego funduszu, bo każdy miał dużo pieniędzy i w każdej chwili: tyle kosztowało i jest składka... i nie ma problemu.

– Adwokaci, którzy bronili członków grupy – jakie są ich honoraria, że są gotowi do takich poświęceń, że korumpują prokuratorów, sędziów?

– To są potężne honoraria. W tej chwili stała grupa adwokatów bazuje na zorganizowanych grupach przestępczych. Wyciągają potworne pieniądze. Wiem na przykład, że pan K., który bronił do pewnego czasu Ryszarda P., zażądał chyba na drugą, trzecią czy czwartą ratę czterdzieści tysięcy dolarów.

O „kretach”, koronnym i przyszłości

– Jak pan został agentem policyjnym?

– W 1994 roku pozyskał mnie człowiek, bez którego byłoby niemożliwe zlikwidowanie grup przestępczych. To był pan Piotr W. Był znakomitym fachowcem i bardzo go poważam jako policjanta.

– Ale złożył pan zeznania, które go obciążąły.

– Zresztą prawdziwe. Zrobił pod koniec swojej działalności w policji parę dziwnych kroków. Nadużywał alkoholu. Generalnie uważam go za dobrego policjanta i żałuję, że tak się stało, że musiałem złożyć zeznania. Ja absolutnie nie byłem tym człowiekiem, który chciał te zeznania składać. Pan W. chyba komuś zaszkodził.

– Kiedy Piotr W. był u pana w domu w Komorowie, prywatnie, po alkoholu, czy prawdą jest, że pan wtedy telefonował do senatora G. z prośbą o pomoc?

– Kiedy już wyszedł. Senator przyjechał z jakimś dziennikarzem telewizyjnym, który nakręcił to zdarzenie, za co wziął dziesięć tysięcy złotych. Za fatygę.

– Jak pan ocenia tę przysługę zrobioną przez tego dziennikarza? Telewizyjnego, jak pan powiedział...

- No, przysługa jak przysługa. Jest przysługa, grosiki dostał, no i w porządku wszystko!
- **Jak współpraca z policją przekładała się na pana relacje ze starymi pruszkowskimi? Czy oni nie podejrzewali, że mają przy boku „kreta”?**
- Nie. Nie, ponieważ pan W., będąc później w zażyłych, mocno zażyłych kontaktach ze mną, też nie opowiadał mi, kto jeszcze w grupie jest „kretem”.
- **A byli inni?**
- Oczywiście! Każdy wysoko postawiony w grupie musiał mieć oficera prowadzącego. Bez tego siedziałby w areszcie.
- **Upada mit o mafii. Grupa konfidentów?**
- Taka jest prawda.
- **Co takiego się stało, że mając właściwie wysoką pozycję w grupie i tylu ludzi na swoich usługach, zdecydował się pan zostać „kretem”, a potem świadkiem koronnym?**
- W 1994 roku grupa pruszkowska przybrała zbyt agresywny charakter. Nie liczonego się z życiem ludzkim. Nie podobało mi się to. Kielbasie też nie. Ani ja, ani Wojtek K. nigdy nie przekroczyliśmy pewnej bariery, pewnej granicy.
- **Ale broń mieliście?**
- Tak, oczywiście.
- **Jak się ma broń, to zawsze łatwo jej użyć.**
- Niekoniecznie do strzelania w głowę. My bardzo dobrze strzelaliśmy. Zresztą uczył nas pan major Wojska Polskiego – szef strzelectwa w Polsce.
- **Gdzie pobieraliście lekcje?**
- A to różnie. Na strzelnicach wojskowych: w Rembertowie, na WAT. To było fajne, bo żołnierze nam salutowali, potem łuski zbierali, po piwo latali.
- **Wracając do powodów, przez które odwrócił się pan od kolegów.**
- Zaczął się już wtedy rozpad grupy pruszkowskiej. Zostałem aresztowany i na dziewięć miesięcy straciłem z oczu świątek przestępczy. Kiedy wyszedłem, Kielbasa już był w konflikcie ze starymi, a za chwilę w konflikcie również z Rympałkiem.
- **Bał się pan o swoje życie, czy po prostu nie podobało się panu to, że giną ludzie?**
- Po prostu bałem się, żeby nie wymknęło się to spod kontroli policyjnej, a policja już deptała grupie po piętach. Z tym że to jeszcze była w tych latach głupia policja, takie dreptanie w miejscu. Postanowiłem pomóc im w pracy. Stąd moja współpraca z policją.
- **Może zaczął pan sypać, bo zabito Pershinga i pan miał być następny w kolejce?**
- Strzelając do Pershinga, złamano pewne zasady. No i stąd też może delikatnie wpłynęło to na moją decyzję, żeby zostać świadkiem koronnym. Mogłem się zdecydować na wojnę ze starym „Pruszkowem” – mogłem ją wygrać lub przegrać. Ale mogłem załatwić to w inny sposób i ten drugi

sposób wybrałem. Generalnie na moją decyzję wpłynęło to, że zostałem zaatakowany przez grupę pruszkowską, chciano zabić moją rodzinę, krzyczano za moimi dziećmi, że jestem konfidentem. A całą tą wrogą robotę wobec mnie zrobił Parasol, który cierpiał na jakąś manię wielkości, i dla niego zawsze było przeszkodą, że byłem silniejszy, że byłem sprawniejszy, że byłem inteligentniejszy od niego.

– **Jak rodzina przyjęła wiadomość, że został pan koronnym?**

– Myślę, że z ulgą. Żonie przeszkadzało to, że byłem gangsterem. Moja żona była z daleka od tego. Mój dom to był azyl. Ja tam nie robiłem żadnych przyjęć gangsterskich. Nawet ochroniarze starali się jak najmniej wchodzić do mojego domu; tylko czekali pod bramą na mnie. Domofonem dawali znać, że są, a ja, że schodzę.

– **Musielście teraz opuścić swój ekskluzywny, wygodny dom.**

– Dla żony i dla mojej rodziny ten dom nie stanowił takiej wartości. Wartością jest to, że jesteśmy rodziną, że ja zajmuję się normalnym biznesem, że nie jestem gangsterem, że nikt nie wpadnie do domu, nikt nie obudzi mnie kałasznikowem.

– **A czy dzieci wiedziały, czym się pan wcześniej zajmował?**

– No, tak. Były dziećmi nastoletnimi. Poza tym były nagabywane w szkole, że mają ojca gangstera. Rówieśnicy im dokuczali.

– **Prosimy o skomentowanie wyroków, jakie zapadły po procesie pruszkowskim.**

– Chcecie mnie rozdrażnić?

– **Pana pierwsza reakcja po ogłoszeniu wyroku.**

– No byłem wściekły! Byłem wściekły, że tak się dzieje. Bo to jest tak: sąd daje mi wiarę, ale nie wierzy w rzeczy, które zrobili przestępcy. No to jest takie trochę paranoiczne.

– **Jak traktowali pana w sądzie dawni koledzy?**

– Śmiechem. Minami. Ja byłem cały czas związany z tym światem przestępczym. Całe życie. Ja się trochę źle czułem, bo nie można w trzy lata całkowicie się zmienić. W tej chwili uważam się za zupełnie innego człowieka niż na początku procesu, ale całe życie byłem gangsterem i przeszkadzało mi to, że jestem dla nich frajerem. W tej chwili nie robię sobie z tego nic, bo nie ma to żadnego znaczenia dla mnie: czy oni uważają, że jestem frajerem czy gitem, czy fajnym facetem.

– **Poza szacunkiem ze strony starych pruszkowskich, co pan stracił w związku z tym, że zeznawał jako koronny?**

– Co straciłem? Majątek, potężne dochody. Dużo straciłem, ale nie żałuję tego.

– **A co pan zyskał?**

– Spokój i szacunek rodziny. I szacunek ludzi, z którymi pracuję.

– **Co będzie z panem dalej, po zakończeniu tych śledztw, które jeszcze się toczą w prokuraturze?**

– Będę sobie żył gdzieś. Życie pokazało, że w biznesie poruszam się bardzo swobodnie. Wychodzi mi biznes. Natomiast chcecie na pewno spytać, czy będę się czuł bezpieczny. No, ja będę miał już ochronę do końca życia, a celując we mnie, to jest tak, jakby zabili funkcjonariusza w tej chwili. Jestem na tyle głośną osobą, medialną osobą, że to by się szerokim echem odbiło i na pewno moi wrogowie muszą o tym wiedzieć. I dobrze się zastanowię, czy warto zaryzykować „dożywkę” lub 25 lat za mnie.

– **Czy są w ogóle jacyś ludzie, którzy mogą panu jeszcze zagrażać? Starzy siedzą. Przez jakiś czas nie wyjdą.**

– W tej chwili jest bardzo duże zagrożenie, ponieważ struktura pruszkowska się odbudowała, a ja tutaj mówiłem, że nie boję się osób wyrachowanych. Natomiast jest sporo takich „młodych wariatków”, którzy po narkotykach chcą pokazać, prawda, jakimi są kowbojami. Ja myślę, że jednak ten wyścig między gangsterką a policją wygra policja i że w końcu obezwładni ten świat przestępczy. Ale póki co „Pruszkowa” się jeszcze nie dobiło. Jeżeli ja zeznam o ponad tysiącu osobach, a jest aresztowanych 50 osób, no to jak uważacie: gdzie reszta? Dalej te struktury działają! I to nie jest żadna młodzież. To jest w dalszym ciągu grupa pruszkowska. Za szybko sobie przypięto te gwiazdki i wężyki generalskie.

– **Słyszał pan, jaka kwota „chodzi” za pana głowę?**

– Tak. Najpierw milion dolarów, potem dwa miliony dolarów, ale nie wierzę, żeby ktoś wyłożył takie pieniądze. Może wcześniej, kiedy jeszcze nie zeznawałem, ale teraz już po zeznaniach, jakie ja zagrożenie stanowią dla nich?

Historia tajnej współpracy

Masa przez lata prowadził podwójną grę, był przecież szefem najsilniejszej bojówki „Pruszkowa” i jednocześnie policyjnym agentem o kryptonimie Książę. Piotr W. z Centralnego Biura Śledczego, który go odwrócił, to najmłodszy major w historii polskiej policji. Nominację otrzymał w wieku 34 lat. Obaj ryzykowali życie, to ich do siebie zbliżyło. Historia tajnej współpracy Piotra W. z Księciem miała nieoczekiwany finał. Kiedy policjant i gangster byli o krok od męskiej przyjaźni, sytuacja wymknęła się spod kontroli. Obaj powiedzieli sobie o kilka słów za dużo. W tamtym starciu Masa był górą: zaraz został świadkiem koronnym, zaczął zeznawać przeciwko mafii oraz... Piotrowi W.

Policjant zapłacił wysoką cenę. Nielubiany przez niektórych przełożonych, oskarżony przez swojego agenta o próbę wymuszenia łapówki, trafił na sześć miesięcy do więzienia. Jedna z gazet napisała, że był wtyczką „Pruszkowa”, że przez lata pracował dla gangu. Piotr W. jest przekonany, że właśnie to uratowało mu życie. Jako „dobry policjant” nie przeżyłby w kryminale pierwszej kąpieli pod

prysznicem.

Jego proces karny toczył się wiele lat i był tak tajny, że media nie znały nawet terminów kolejnych rozpraw. W 2010 roku zakończył się prawie pełnym oczyszczeniem z zarzutów (jeden wątek skierowano do ponownego rozpatrzenia), ale policyjna kariera młodego majora legła w gruzach.

Dziś przed sądem toczy się jeszcze kilka spraw, w których Piotr W. występuje jako świadek. Na korytarzach sądowych mija się z wieloma „pruszkowskimi”, których kiedyś ścigał. Nie ma w nich wrogości, niektórzy nawet okazują mu sympatię. W końcu przysłowiowy nóż w plecy wbił im ten sam człowiek.

„Nie chciałbym wrócić do policji”

Rozmowa z byłym majorem policji Piotrem W.:

– **Podinspektor Paweł Sikora w serialu *Odwróćni to pan?***

– Nie jestem tak przystojny jak Artur Żmijewski, który go gra (*śmiech*). Pewna młoda pani adwokat zarzuciła mi ostatnio, że nawet nie jestem do niego podobny. Ale to nie przeszkadza moim kolegom, żeby wołali na mnie Sikora.

– **Widzi pan siebie w tej postaci?**

– Podobieństw jest mnóstwo. Właśnie tak wyglądała moja praca w policji, relacje z przełożonymi i pozyskanie Masy na agenta. Wiele filmowych epizodów naprawdę się zdarzyło. Ale widzę też różnice – w walce z gangami byliśmy zdecydowanie bardziej zdeterminowani niż filmowe „psy”.

– **Przez lata polskie gangi były lepiej zorganizowane niż policja.**

– Do połowy lat 90. skupialiśmy się jedynie na pojedynczych zdarzeniach kryminalnych. Nie ogarnialiśmy całości, czyli tego, że pozornie oderwane od siebie zabójstwa, napady i przemyty są dziełem tych samych ludzi, działających w ramach coraz lepiej zorganizowanych grup. Na wnikliwe analizy nie mieliśmy czasu. Nie było rozpoznania, więc nie było sukcesów.

– **Kiedy przejrzelście na oczy?**

– W 1994 roku, kiedy z inicjatywy generała Adama Rapackiego powstały w policji pierwsze wydziały do walki z przestępczością zorganizowaną. Wtedy na dobre wzięliśmy się do gangów. Wkrótce powstały też grupy do zadań specjalnych – policjanci pod przykryciem, czyli odgrywający przestępców, zaczęli przenikać do mafijnych struktur.

– **Udało się im przeniknąć do „Pruszkowa”?**

– Pruszkowscy byli wyjątkowo hermetyczną grupą. Wnikliwie sprawdzano każdego nowego. Telefonicznie rozpytywano, czy ktoś zaufany może potwierdzić, że zna gościa, że z nim pracował. Finał był zawsze jeden: „Nie masz, człowieku, legendy. Do lasu z tobą”. Nikt przy zdrowych

zmysłach nie chciał ryzykować.

– **„Wołomin” też był ostrożny?**

– Wołomińskich można było zakręcić. Nie byli tak dobrze zorganizowani jak „Pruszków”. Odnosiło się wrażenie, że przestępczością zajmują się przy okazji, a nie zawodowo jak konkurencja. Z czasem jednak i oni stali się groźnym przeciwnikiem.

– **Przestaliście się wreszcie dawać wodzić za nos?**

– Musieliśmy pokazać siłę. Nasze pierwsze akcje z udziałem antyterrorystów były dla nich szokiem. Wpadamy kiedyś do drukarni, w której produkowano fałszywki. „Policja, na ziemię!” – krzyczymy od drzwi. Goście leżą już z rączkami na głowie, a tu jeden próbuje negocjować: „Panowie, jakim prawem...”. My na to, że prawem kaduka.

– **Staliście się bardziej skuteczni?**

– Coraz lepiej ich poznawaliśmy. Wiedzieliśmy, kto jest kim, czym się zajmuje, jaka jest jego pozycja w gangu. Wreszcie rozpoczęliśmy działania ofensywne, stopniowo odcinając przestępców od źródeł sporych pieniędzy. No i sialiśmy ferment w grupach, bo gdy celnie uderzyliśmy, wszyscy głowili się, kto zdradził.

– **Gangi miały swoich ludzi w policji?**

– Rympałek miał w służbach kryminalnych swojego policjanta, na pensji, który pomógł mu przy napadzie stulecia. Zrabowano wtedy ponad milion złotych. Kolejny skorumpowany policjant skierował wtedy śledztwo na niewłaściwe tory. Inni też mieli swoje źródła.

– **A wy mieliście w gangach swoich agentów?**

– Nie od razu, ale z czasem coraz więcej. Czekaliśmy cierpliwie, aby przestali się bać – w końcu współpracując z nami, ryzykowali życie.

– **Jak udało się pozyskać do współpracy Masę?**

– W moim odczuciu on czekał na to. Miał już powoli wszystkiego dosyć, chciał zmienić swoje życie. Żona Jarka nie tolerowała gangsterskich występów męża, tamtego środowiska. Miała coraz silniejsze poczucie zagrożenia. Masa powoli dorastał do decyzji, która zmieniała jego życie. Któregoś dnia się spotkaliśmy...

– **W jakich okolicznościach?**

– Obchodzono imieniny Zygmunta R. – jednego z najważniejszych ludzi w „Pruszkowie”. Elita gangu jechała z restauracji do jego domu na Ostrobramskiej, aby tam dokończyć imprezę. Czekaliśmy na nich pod blokiem. Grzecznie odrzucili broń. Pełna kapitulacja. W komendzie na Grenadierów, gdzie ich przesłuchiwaaliśmy, Masa trafił do mnie. Wtedy trwała w Warszawie prawdziwa wojna pomiędzy „Pruszkowem” i „Wołominem”. Wybuchwały bomby, płonęły lokale.

– **Jak wyglądała wasza rozmowa?**

– Działąłem trochę po omacku, na zasadzie „a nuż się uda”. Widziałem, że Jarek się bał. W końcu

wykrztusił, że właściwie może mi pomóc w wyjaśnieniu tła tamtych wybuchów. Mądra decyzja – powiedziałem. Obciążając wołomińskich, osłabiał konkurencję.

– **Na swoich też zeznawał?**

– Podczas pierwszych spotkań wielokrotnie podkreślał, że na kolegów nic złego nie powie. Ale i to się zmieniło.

– **Jak? Dlaczego?**

– Zaufał mi. Poza tym grupa niezbyt go lubiła. Szczególnie wtedy, gdy Masa zbliżył się do Pershinga, z którym zaczął robić legalne interesy. Pozostali chcieli, aby dopuszczono ich do nowego źródła pieniędzy. Na Masę i Pershinga nałożono wysoką karę pieniężną za to, że nie dzielili się dochodami ze spółki z politykami. Wykorzystałem dogodny moment.

– **Ryzykując własne bezpieczeństwo?**

– Także życie, bo przecież gdyby pruszkowscy chcieli „odpalić” Masę, na przykład za zdradę, to nie przeszkadzałoby im, że przy okazji także mnie ustrzelą. Najważniejsze było jednak jego bezpieczeństwo.

– **Gdzie się spotykaliście?**

– Z dala od wścibskich oczu. Na przykład przed warszawskim Okęciem, w pobliżu magazynów koło przejazdu kolejowego. Śmiesznie to wyglądało: pełno krzaków, a obok „wypasiony” mercedes, którym Masa lubił jeździć, no i mój wiśniowy, służbowy polonez.auta stały dzióbkami do siebie. Spotykaliśmy się też przy warszawskim zoo, z tyłu, na parkingu.

– **Nikt się wami nie interesował?**

– Raz wylegitymowała nas policja. Masa przyjechał na spotkanie złotym leksusem – jedynym wówczas takim autem w Warszawie. Tłumaczył, że przesiadł się z mercedesa, żeby „mniej rzucać się w oczy”. No i tak się zakamuflował, że wypatrzył nas radiowóz.

– **Pruszkowscy domyślali się, że Masa to „kret”?**

– Część z nich z pewnością tak. Któregoś razu Jarek stracił czujność i zobaczyli nas razem jego koledzy. Wtedy właśnie powstała legenda, że jestem jego „psem”, że on mnie kupił. Musiał się szybko uwiarygodnić, ale nie mogłem mu dać żadnego przecieku. Bardzo chciał, ale uznałem, że to jego problem.

– **Roztoczono nad nim parasol ochronny?**

– Były takie plotki, ale to nieprawda. Kiedy popełnił przestępstwo – trafiał za kratki i musiał radzić sobie sam. Jego odwrócenie było długim procesem, nie stał się uczciwym człowiekiem w ciągu jednej chwili. Do dziś część policyjnego środowiska uważa, że Masa mógł mieć związek z zabójstwem swojego przyjaciela – Wojtka K. W jednym z wywiadów prasowych Jarek przyznał się jedynie do przekazania zabójcy broni, z której strzelano. Są jednak tacy, którzy twierdzą, że przekazał także polecenie od zarządu, by Kielbasę zabito.

– Czy Masa był w niebezpieczeństwie?

– Raz próbowano go zabić. W pobliżu jego bloku wybuchł samochód pułapka. Masa ocalał tylko dlatego, że tamtego dnia kierowca nie zaparkował jak zwykle pod samą klatką, bo dojazd był oblodzony. Jarek zabrał reklamówki z zakupami i szedł do domu, gdy nastąpił przedwczesny wybuch. Kiedy opadł dym, zobaczono go osmolonego. Z reklamówek pozostały tylko uchwyty.

– To prawda, że miał zginąć zaraz po Pershingu?

– Byłem pierwszym, który mu to w oczy powiedział. Potem nasze drogi rozeszły się na zawsze: on został świadkiem koronnym, a mnie oskarżono o poważne przestępstwa. Przez swojego agenta Masę pół roku spędziłem w więzieniu. Do dziś trudno mi zrozumieć, dlaczego Jarek wywrócił do góry nogami całe moje życie.

– Masa uważa, że pan go zdradził.

– On to tak odczuwał, ponieważ po pięciu latach naszej współpracy był przekonany, że jesteśmy przyjaciółmi, że będę go krył niezależnie od sytuacji. Tymczasem byłem przede wszystkim policjantem, a on moim agentem. Nie mogłem przemykać oczu na przestępstwa, które popełniał. W grudniu 1999 roku przyjechałem do jego domu, do Komorowa, żeby go zatrzymać. Według Jarka to była zdrada. Wyjaśnijmy to wreszcie po latach – o czym niejednokrotnie zeznawałem w różnych sprawach – był on tylko narzędziem policji, tak samo jak inne narzędzia pracy operacyjnej. To, że byliśmy „przyjaciółmi”, to jest jego subiektywne odczucie. Z ostatnich jego wypowiedzi medialnych odnoszę wrażenie, że prawda wreszcie do niego dotarła.

Co do przestępstw popełnianych przez Masę, to w CBS przesłuchaliśmy mężczyznę z półświatka, pokrzywdzonego przez niego. Masa pożyczył mu sporą kwotę na rozwój firmy. Potem normalnie go haraczował, żądając wielokrotnie więcej, niż mu pożyczył. Kiedy ten odmówił – Masa wysłał do niego pruszkowskich i bandę z Mokotowa, która strasznie go obijała. W tym czasie, gdy prokurator słuchał jego zeznań, ja pojechałem zatrzymać Masę.

– Nie mógł tego zrobić ktoś inny?

– Chciałem to zrobić osobiście, bez udziału antyterrorystów. Sądziłem, że tak będzie uczciwiej wobec niego, że to mu się należało. W końcu dla mnie pracował. Uważam po latach, że był to błąd, za który do dzisiaj płacę. Nie chcę rozwijać tego wątku. Powinien to realizować ktoś inny, inna jednostka PZ Komendy Głównej Policji.

– Nie próbował pan go ostrzec przed planowanymi ruchami policji?

– Ostrzegałem go jedynie przed pruszkowskimi, którzy chcieli go zabić. To było kilka godzin po śmierci Andrzeja K. Pershinga. Nigdy nie widziałem Masy tak przerażonego, chodził w kamizelce kuloodpornej. Powiedziałem: „Teraz ty jesteś pierwszy na liście. Trzeba zrobić wszystko, żebyś przeżył”.

– To zabójstwo było gwoździem do trumny „Pruszkowa”?

– Jarek był tak zdesperowany, że poszedł na całość. Wkrótce został koronnym, pogrążając wszystkich, z którymi pracował.

– **Pana także.**

– To był dla mnie cios poniżej pasa! Dowiedziałem się później, że do takich zeznań namówili go moi dwaj przełożeni. Do czasu procesu nie mogłem się z tego otrząsnąć. Po wieloletnim – kilkunastoletnim już – procesie mam na ten temat nowe spojrzenie. Po zapoznaniu się z aktami sprawy przeciwko mnie, a także zeznaniami świadków wiem, że to, jakoby mieli pogrążyć mnie moi przełożeni, to jest następna bajka świadka koronnego Jarosława S. Jak zwykle Masa obarcza odpowiedzialnością innych, tym razem moich przełożonych, a sam nie jest w stanie przyznać się do swoich decyzji. W świetle materiałów zebranych w sprawie, jak i zeznań tych rzekomo pogrążających mnie dawnych przełożonych, stwierdzenia Jarosława S. są w moim odczuciu mało wiarygodne.

– **Co zrobiła prowadząca śledztwo prokuratura?**

– Postawiła mi szereg zarzutów, z których najpoważniejszy to usiłowanie żądania korzyści finansowej od Masy w zamian za przekazanie ostrzeżenia o planowanym zatrzymaniu go przez policję. Rzekomo chciałem od niego 10 tysięcy dolarów.

– **Jak było naprawdę?**

– Moja sprawa karna przed sądem wciąż trwa, dlatego nie mogę mówić o szczegółach. Nie chcę narazić się na zarzut, że – poprzez media – próbuję wpływać na wymiar sprawiedliwości. Cierpliwie czekam na wyrok. Wierzę, że sprawiedliwy. W tej kwestii nadal nie mogę się wypowiadać. Sprawa nadal jest w toku.

– **Jak zachowali się w śledztwie pana przełożeni?**

– Jeden z nich zeznał, że mafia pruszkowska kupiła mi zielonego poloneza i odkurzaczy Rainbow. To już była wyjątkowa perfidia – przełożony doskonale wiedział, że to jego znajomy, a nie mafia pruszkowska, namówił mnie na zakup odkurzacza, który spłacałem bankowi przez dwa lata. Ten przełożony, wykazujący się absolutną perfidią wynikającą z zazdrości, nigdy nie był w gronie przełożonych, o których zeznawał świadek koronny.

– **Major policji trafił do więzienia...**

– Na całe sześć miesięcy. Stopniem służbowym byłem równy dyrektorowi aresztu, więc nie musieliśmy sobie salutować (śmiech). Ale było, minęło. Do dzisiaj zastanawiam się, czego tak naprawdę obawiał się były gangster, a obecny świadek koronny Jarosław S. – gdyż wiem – a życie to potwierdziło, że izolacji obawiał się najbardziej w życiu.

– **Mało śmieszna historia.**

– Cały mój świat wywalił się do góry nogami. Nie zapomnę chwili, gdy zamknęła się za mną więzienna brama. Po prostu szok. Miałem pod celą takie towarzystwo, jakie przez lata wysyłałem za kratki.

– **Więźniowie wiedzieli, że obok w celi siedzi „pies”, który mocno kąsał?**

– Na moje szczęście jedna z lokalnych gazet napisała, że będąc policjantem, pracowałem dla Pruszkowa, że byłem członkiem grupy. Dzięki temu recydywiści zostawili mnie w spokoju, niektórzy nawet okazywali szacunek. Ogoliłem głowę, założyłem drelich. Służba więzienna nie wiedziała, co ze mną zrobić, więc najpierw – dla własnego bezpieczeństwa – trafiłem do pojedynczej celi dla niebezpiecznych przestępców.

– **Doszło do konfrontacji z Masą?**

– Widzieliśmy się dwukrotnie, w prokuraturze. Najpierw podtrzymywał swoje zeznania, które mnie obciążały, ale następnym razem mówił zupełnie co innego.

– **Że żądania łapówki nie było?**

– Generalnie zasłaniał się niepamięcią, tłumacząc, że jako świadek koronny zeznaje w wielu poważnych śledztwach i procesach karnych, a ta moja sprawa jest naprawdę mało istotna. Wyraził zdziwienie, że postawiono mi zarzuty, wsadzono do celi, bo – jak to określił – cała ta historia powinna się skończyć jedynie postępowaniem wyjaśniającym w policji.

– **Na co liczył, na przebaczenie?**

– Tego nie wiem. Ale wtedy, podczas tej drugiej konfrontacji, pomiędzy nami zapanowała taka atmosfera jak kiedyś, gdy musieliśmy chować się po krzakach. Prosiłem go, żeby na siebie uważał. Wielokrotnie słyszałem w „kryminale”, że za odpalenie Jarka pruszkowscy są gotowi wyłożyć milion dolarów.

– **Mijają lata, żal do Masy pozostał?**

– O te sześć miesięcy w areszcie – tak. Trudno coś takiego wybaczyć. Ale przeżyłem, oprzytomniałem, nie dałem się złamać. Moja rodzina nie była tak silna psychicznie, szczególnie żona i dwóch synów. Przeżyli koszmar.

– **Dziś nie jest pan już policjantem.**

– Odszedłem po piętnastu latach służby, której byłem wierny jak pies. Wprawdzie nikt mnie nie wyrzucił, ale wyraźnie dawano mi do zrozumienia, że sam powinienem odejść.

– **Znalazł pan pracę?**

– Na początku było trudno. Pobyt za kratkami to dla policjanta wilczy bilet. Nikt nie chciał mi zaufać. Dziś pracuję. Zarabiam. Z dala od gangów.

– **Coraz mniej o nich słyhać.**

– Ale one wciąż działają, bo pieniądze leżą na ulicy i ktoś musi je podnosić. Dzisiejsze gangi są lepiej zakamuflowane niż „Pruszków”, który lubił błyszczeć.

– **Wróci pan do pracy w policji?**

– Nie, nigdy więcej. Przez te kilkanaście lat poznałem ciekawych ludzi spoza środowisk wzajemnie się zwalczających, czyli policyjno-przestępczych. Spełniam się zawodowo w nowych wyzwaniach,

jestem zadowolony. Mam o wiele mniej ryzykowną pracę, w której za wyniki jestem lepiej doceniany zarówno finansowo, jak i w hierarchii korporacji, w których pracowałem lub obecnie pracuję. Po odejściu z policji życie zaczęło się dla mnie na nowo. Wykorzystałem możliwości dalszego rozwoju, z czego bardzo skrzętnie korzystam. Aczkolwiek doświadczenie zawodowe, a przede wszystkim życiowe, jakie zdobyłem przez 15 lat pracy w policji, pozwala mi ukierunkować swoje działania na właściwe tory.

VII. Teraz mówi Parasol

O Januszu P., ps. Parasol, przez całe lata 90. prasa pisała jako o mocnym człowieku „Pruszkowa”. Było o nim głośno już w czasach Barabasha, a kiedy policjant postrzelił go podczas zasadzki w motelu George, zyskał dodatkowy splendor w oczach kumpli. Nieugięty bojownik splamiony krwią. W George’u była to jego własna krew, ale krążyły opowieści o tym, jak potrafił bezwzględnie traktować swoich wrogów. Bił, a krew tryskała na boki. Potężny, szeroki w barach, wielka łysiejąca głowa – przypominał mongolskiego wojownika.

Do połowy lat 90. dzierżawił wraz z Ryszardem P., ps. Krzyś, knajpę Kaskada w Brwinowie. Całymi miesiącami lokal bywał zamknięty na głucho, a mimo to wykazywał obroty. Według policji Kaskada była typową pralnią brudnych pieniędzy. Czasem drzwi do knajpy jednak otwierano. W takich rzadkich okresach aktywności Parasol z Krzysiem organizowali dyskoteki dla młodzieży. W lokalnej gazecie „ABC” ukazywały się reklamy zachęcające brwinowską młodzież do zabawy w Kaskadzie. Działy się tam dziwne rzeczy. Obu właścicielom postawiono nawet kiedyś zarzut dokonania gwałtu na dziewczynie. Jakoś się z tego wykpiłi.

Janusza P. aresztowano w sierpniu 2000 r. Odnaleźliśmy go w Zakładzie Karnym w Wołowie, pod Wrocławiem. Nie przypominał już dzielnego Dżyngis-chana – stracił sylwetkę, resztkę włosów posiwiała. Był w tym czasie (luty 2004 r.) najważniejszym osadzonym na oddziale dla niebezpiecznych tego więzienia. Właśnie zapadł pierwszy, jeszcze nieprawomocny wyrok w sprawie tzw. zarządu grupy pruszkowskiej. Parasol był, według prokuratora, po Zygmuncie R. oraz braciach D. czwartym w hierarchii gangu.

Bracia D. odmówili zgody na rozmowę z nami. Zygmunt R. zgodził się na krótkie spotkanie, ale bez obecności kamery. Obawialiśmy się reakcji Parasola. Na listy wysyłane do więzienia nie odpowiadał. Według śledczych i funkcjonariuszy służby więziennej to straszny twardziel, człowiek nieprzejednany, trzymający się swoich zasad.

Wstępną rozmowę odbyliśmy na stojąco, my w drzwiach celi, on za kratą, dodatkowo oddzielającą celę od korytarza. Początkowo odmawiał. Szczególnie drażnił go pomysł rozmowy na temat zagrożenia mafią w Polsce. – Nie mam nic z mafią wspólnego, więc jak mam o niej rozmawiać? – pytał. Ale wystarczyło hasło „świadek koronny”. Parasol natychmiast zareagował. – Tak, o Masie

chętnie wam opowiem. O fałszywych świadkach koronnych wiem dużo – zapalił się do pomysłu. W trakcie późniejszej rozmowy nie przeszkadzały mu kamery, nie tremował mikrofon. Wylewał z siebie żale, oceniał Masę i innych koronnych – na ich temat mógłby przemawiać nawet kilkanaście godzin bez przerwy.

Mamy świadomość, że cytowany niżej zapis z tej rozmowy to wyłącznie linia obrony Janusza P. Nie komentujemy jego ocen i nie weryfikujemy faktów, jakie podaje. Istotne jest, że to pierwszy tak obszerny wywiad, jakiego udzielił dziennikarzom. I jak to w podobnych wywiadach bywa, podawana jest wyłącznie jedna prawda. W tym przypadku prawda Parasola.

Wyważyć stalowe drzwi

Rozmowa z Januszem P., pseudonim Parasol, sala widzeń więzienia w Wołowie, luty 2004 rok:

– **Za co pana umieścili za tą kratą?**

– Zostałem oskarżony, aresztowany za przynależność i kierowanie grupą o charakterze zbrojnym, tzw. gangiem pruszkowskim. Jestem na grupie tzw. niebezpiecznych. Siedzę już trzy i pół roku, a dostałem siedem lat.

– **W tej słynnej sprawie tzw. zarządu „Pruszkowa”, gdzie pan był na ławie oskarżonych, właściwie najważniejszą rolę pełniły zeznania świadków koronnych. Czy te zeznania były wiarygodne? Dlaczego sąd dał im wiarę?**

– Tylko zeznania świadków koronnych. Bo zeznawało tam chyba ponad stu świadków i nie było tam takiego, który w czymś by mnie pomówił. Wręcz przeciwnie. Który by mnie znał? Nawet oskarżony Ryszard Sz. wstał i powiedział, że jeśli będzie jakiś świadek, który powie, że on popełnił przestępstwo, to on dobrowolnie podda się karze i potrafi to z podniesioną głową zrobić i odbyć tę karę. Nie było takich świadków. Zostaliśmy pomówieni jedynie na podstawie zeznań świadków koronnych. A wielokrotnie słyszeliśmy wypowiedzi i polityków, i prawników, że zeznania świadków koronnych nie mogą być jedynym dowodem w sprawie, że muszą być inne dowody. Tego u nas nie było. Tylko na podstawie zeznań świadków koronnych zostaliśmy oskarżeni i skazani.

– **Ponieważ tych świadków było kilku, sąd postanowił, że te zeznania się wzajemnie uzupełniają i stanowią niezależne od siebie dowody.**

– Tak sąd uznał. Ja uważam, że wyrok nasz zapadł gdzie indziej, a w sądzie tylko został odczytany. Nawet zauważyłem, że pan sędzia Walczak nawet nie był praktycznie przygotowany za bardzo, gdyż po prostu potwierdził tylko słowa prokuratorskie. Założyli, kierowali, w ten sposób egzekwowali i tak dalej, i tak dalej. Możemy po prostu porozmawiać na temat każdego z kolei świadka koronnego. Chciałbym, żeby było wiadomo, jak doszło do aresztowania mnie i osadzenia, i odbywania tej kary, i

trzymania mnie tyle czasu w więzieniu. Po prostu brutalnie wywalono mi drzwi do domu, nawet krzychałem, że ja otworzę, bo robili to tak nieudolnie ci antyterrorysty. Mam stalowe drzwi, dwie pary stalowych drzwi, które się otwierają jedne na zewnątrz. A więc lepiej byłoby je podważyć i wyważyć, a nie wciskać do środka. W gruncie rzeczy ja sam musiałem je wypychać od środka. Zachowali się brutalnie, wsadzili mi worek na głowę, bez żadnego przedstawienia zarzutów czy cokolwiek, zawieziono mnie na komendę. Czy przyznaję się do winy? Ja mówię: Do jakiej? No, że kierowałem grupą. Ja mówię: Do niczego się nie przyznaję. Tak to się odbyło. Wszystko szło jak z płatka. Wszystko już przygotowane. Tam nie było żadnego rozpatrywania, przedstawiania świadków, dowodów i tak dalej, konfrontacji. Nic. Po prostu to było już z góry zaplanowane.

Za ile lat wyjdzie prawda

– **No to opowiedzmy o świadkach. Kim jest Igor Ł., ps. Patyk?**

– Ja Patyka w ogóle nie znam. Nigdy go w życiu na oczy nie widziałem. Opowiadał o jakimś zdarzeniu, że my niby ze Słowikiem mieliśmy przyjechać i zadecydować: czy będzie ukradziony samochód...

– **...i wydać zgodę na pobicie Dariusza U., pseudonim Kuzyn.**

– No i wydać tam jakąś zgodę. No, oczywiście, zaprzeczył ten Kuzyn. I powiedział, że w ogóle nie został pobity. Tak że ja tego Patyka nie znam, na oczy nie widziałem. No on opowiadał o takim zdarzeniu, co jest kompletną nieprawdą. Po prostu: to jest na tej zasadzie, że jest świadkiem koronnym, jest potrzeba świadka w sprawie Papały, to on mówi, że w tym czasie kradł tam samochód i widział sprawców. I najbardziej ciekawe jest to, że wymienia chyba sto pięćdziesiąt samochodów, podaje kolor, markę, skąd ukradł, jakie fanty były. Chociaż jest daltonistą, co stwierdzono, a podaje wszystkie kolory, wszyścusięńko dokładnie. Oczywiście w śledztwie, bo na sprawie nie podał nawet jednego. Nie potrafił określić jednego samochodu, jaki ukradł!

– **Stracił pamięć?**

– No, nagle stracił pamięć! A w prokuraturze – pewnie przy pomocy pana prokuratora i być może jakiegoś agenta z CBS – wszystko świetnie pamięta. Tak jak znamy tę sprawę ze świadkiem koronnym z Wołomina, który siedział pół roku w Poznaniu w hotelu i był uczony. Okazywane mu były taśmy, materiały, wszystko. I był uczony, co ma mówić! Na tej zasadzie są u nas świadkowie koronni.

– **A świadek Józef B., który mówił, że was wszystkich od trzydziestu lat zna?**

– No, mówił, że nie nas wszystkich. On mówił, że u jakiegoś kolegi widział mnie, jak pralkę pomagałem wynosić. Ja go nie pamiętam w ogóle. On tam o mnie praktycznie nic nie mówił, ale samo to, że mnie widział. Może gdzieś mnie widział. W każdym razie ja go nie znam. On się w ogóle

skompromitował! W oczach sądu oczywiście, no, bo trudno jest powiedzieć, czy kłamał i kiedy kłamał. Czy kłamał w prokuraturze, czy w sądzie?

– **Dużo mówił o produkcji narkotyków.**

– Tak. Dużo mówił, ale wycofał się z tego i zmienił zeznania. Nie dostał wiary, bo zmienił zeznania: i wyszło, że jednak kłamał w stosunku do Wańki, że to nie jest prawda, że policjanci na nim wymusili, że dali mu do podpisywania te zeznania, których on w ogóle nie czytał.

– **Zeznawali też przeciwko panu dwaj koronni z Lublina.**

– Według aktu oskarżenia ja miałem nadzorować Lublin. A jaka jest wiedza świadków koronnych lubelskich? Pochodzi stąd, że jeden z nich siedział w więzieniu z niejakim Dziuniem i ten Dziuniek mu coś naopowiadał, kto rządzi w Warszawie. A na sprawie Dziuniek mówi: Ja tego człowieka prawie nie znam. Cała wiedza tych koronnych świadków to jest z przekazów innych osób. Ale te osoby wypierają się, mówią, że to kłamstwo i nic takiego nie było. Tak jak większość wiedzy Masy pochodzi z plotek z miasta albo od ludzi już nieżyjących! Wiedział to albo od Dresza, albo od Kielbasy, albo od Nikodema, albo od innych. Masa wręcz powiedział: „Nikodema to my zleciliśmy zabójstwo!”. I słyszał, jak żeśmy się umawiali, jaka kwota padała: dwieście, dwieście pięćdziesiąt tysięcy, nie ma znaczenia. On to wszystko słyszał przez telefon. No jak, jeszcze niezrobione i tak dalej. Miało to bodajże miejsce w Holidayu. I co się dzieje? Trzeba było trzech lat, żeby wyszło na jaw, kto faktycznie zlecił i zabił Nikodema. No, obecnie jest sprawa w Łodzi o to. Zleceniodawcy są, zabójcy [podejrzewano wtedy, że zabójstwa Nikosia dokonał łódzki gang „Ośmiornica”, ostatecznie ta hipoteza nie została potwierdzona – przyp. aut.]. Ja mówię: Proszę sądu, ile trzeba, może jeszcze trzech, a może pięć, a może dziesięć lat? Żeby wyszli inni prawdziwi sprawcy.

Zdrada Barabasa

– **Pan w tamtych czasach nie był człowiekiem bez skazy. Miał pan wyroki, siedział pan w więzieniu. Ile razy?**

– Tak, siedziałem. Między innymi za podobną sprawę. Podłożył mnie Barabasz. Ja byłem młody chłopak wtedy; małolat – jak to się mówi. Między innymi, że tam kilkadziesiąt włamań miałem dokonać na terenie Pruszkowa i w okolicy w roku 1977.

– **Razem z nim?**

– Tak. Z nim i z Ryśkiem P. Wymieniał tam kilka osób. I pomówił mnie, jak później udowodniłem, bo nawet policja i sąd nie zadali sobie trudu, żeby sprawdzić alibi. A ja cały 1977 r. przebywałem w zakładzie karnym w Barczewie.

– **Też za niewinność?**

– Nie. To taki mój młodzięczy wybryk. Okradłem sklep z kolegą. Nabraliśmy bilonu i tam troszeczkę alkoholu.

– **Ile pan miał lat wtedy?**

– Dwadzieścia dwa. Jestem rocznik pięćdziesiąty piąty.

– **Jaki cel miał Barabasz, żeby pana pomawiać? Mówiło się, że to człowiek charakteru?**

– Cel był taki, podobny do obecnego. Wtedy nie było świadków koronnych, ale był ten artykuł o nadzwyczajnym złagodzeniu kary. No i w zamian za to, że dostanie mniejszą karę, w zamian za to, że dostawał paczki, że wożono go na widzenie, brano do domu, a nawet wożono do hotelu z żoną na widzenia.

– **Im bardziej obciążające zeznania złożysz, tym bardziej skorzysta na tym?**

– Tak, jak najbardziej. Cel jest zawsze ten sam. Jakieś korzyści są. Tak jest i teraz, identycznie.

Krótką lista znajomych

– **Pan znał Nikosia?**

– Nie. Osobiście bynajmniej go sobie nie przypominam. Może gdzieś tam się z nim spotkałem, może gdzieś, ale go nie kojarzę w ogóle. Nie mówię, że mogłem się gdzieś z nim nie spotkać. Mogłem! Bo byłem gdzieś na wybrzeżach, byłem na różnych wczasach, spotykałem się z różnymi chłopakami, było dużo towarzystwa, którego nie znałem! Tak że się mogłem spotkać z nim, ale wtedy nie wiedziałem, że to Nikodem i tak dalej.

– **Czy znał pan Krakowiaka?**

– W ogóle nie znałem. Tylko z mediów, co słyszałem, a tak nie znałem żadnego Krakowiaka.

– **Znał pan Marka M., ps. Oczko?**

– Marka Oczko znałem. W Warszawie się gdzieś z nim zetknąłem w jakimś lokalu. To tyle, co ja Marka znam.

– **On był bliższym znajomym Słowika, zdaje się.**

– Możliwe, że był bliższym, ja tego tak nie znałem. On tam się gdzieś urodził. Być może oni się znali z tej wolności, ale to nie był żaden mój kolega, nic mnie z nim nie łączyło, żadnych z nim znajomości ja nie miałem.

– **A w jakich relacjach był pan z Rympalkiem? Z Markiem Cz.?**

– Żadnych. Kompletnie żadnych. Rympalka to kojarzyłem, kto to mniej więcej może być. Praktycznie to nawet jak on przyjechał na sprawę, to jak go zobaczyłem, to zupełnie inaczej go sobie wyobrażałem.

– **Ci ludzie, którzy siedzieli razem z panem na ławie oskarżonych teraz – jakie były pana**

relacje z tymi osobami? Z braćmi D.? Z Ryszardem Sz.? Z Kazimierzem K.?

– Moje relacje z braćmi Mirkiem i Leszkiem D. to były takie, że Leszka to, ja nie wiem, w 93 czy w 94 roku, jakoś przez Mirka poznałem, jak byłem u Mirka w hurtowni. Tam dowiedziałem się, że on z bratem prowadzi tę hurtownię pomarańczy, owoców południowych i warzyw. Nigdy nie byliśmy jakimiś zażyłymi kolegami. Cześć, cześć. Ja go widziałem, jak przyjeżdżał, żeby się spotkać z Mirkiem. Z Mirkiem się przyjaźniłem. Były to typowo luźne, towarzyskie spotkania. Konkretnie gdzie się poznaliśmy, tego nie wiem. Wydaje mi się, że w go-go w Polonii. To był okres taki, tych lat 90., że wchodziły te tańce tych dziewczynek na rurkach i tak dalej, wchodziło to wszystko, było nowością. Więc chodziliśmy po tych klubach, ale najczęściej w Polonii, i tam najwięcej tych ludzi przychodziło. Tam przychodził – można powiedzieć – cały przekrój społeczeństwa: bo i z góry, i z dołu, różni ludzie przychodzili. Tak że tam bardzo dużo ludzi znałem. Cześć, cześć, tylko z niektórymi. I tam Mirka poznałem.

– Jaki był Mirek?

– Mirek to jest bardzo łagodny i spokojny człowiek. Wyrozumiały, wesoły, uśmiechnięty, z poczuciem humoru, człowiek bardzo zabawny, charakterny, słowny człowiek. Takiego go znam. Wiem, że był dyrektorem jakiejś firmy budowlanej. Znam jego żonę – Małgorzatę. Bardzo dobra, elegancka kobieta. Miła, towarzyska. Co ja mogę powiedzieć.

– A jego brat – Wańka?

– Leszka mniej znałem, bo to bardziej taki skryty chłopak. Ja z nim nie rozmawiałem. Nie byliśmy w takich stosunkach jak z Mirkiem. Z Mirkiem się kolegowałem, przyjaźniłem, a Leszek – to wiedziałem, że jest jego brat, i wiedziałem, że ma jeszcze jednego brata, Heńka, którego nie znam w ogóle. Tak że takie relacje były...

– **Największym pana przyjacielem był Ryszard P., pseudonim Krzysiek. Zawsze razem was widywano.**

– No, wychowaliśmy się w Pruszkowie, od dzieciaków się znamy, podobnie jak z Kazikiem K. – jest ojcem chrzestnym mojego syna, znali się nasi rodzice, nasi ojcowie. Mój ojciec prowadził warsztat elektryczny na Żbikowie. Tak że bardzo dużo rzemieślników do niego przychodziło, między innymi przychodził Kazia tata. Przyjaźnił się z moim ojcem. Znali się nasi rodzice i my się przyjaźniliśmy: z moim bratem się Kaziu przyjaźnił i ja się z nim przyjaźniłem. Nawet do tego stopnia, że został chrzestnym mojego syna, tak jak wcześniej powiedziałem. Z Ryszardem też się przyjaźniłem. Znam go od dzieciaczka, znamy się od takich kajtków. Znalazł się w strasznej sytuacji: jest chory na raka [kilka tygodni po tej rozmowie Ryszard P. zmarł – przyp. aut.]. Dzwoniłem, rozmawiałem z nim. Teraz obecnie mu się stan pogorszył. Co mogę powiedzieć? Siedział na Mokotowie, zgłaszał, że jest chory. Prawdopodobnie już wiedzieli, ale ukryli to. Dopiero żona zaczęła z wolności głośno mówić o tym i domagać się badań wolnościowych lekarzy i dopiero zbadano go, można powiedzieć, na jej

interwencję.

Konkurencja niszczy interesy

– **Zawsze się mówiło o panu i Ryśku, że byliście parą takich twardych, charakternych postaci. On się nigdy do niczego nie przyznał. Pan próbował kiedyś w zakładzie karnym podjąć jakąś straszną głodówkę, która trwała długo, i schudł pan kilkadziesiąt kilogramów.**

– Było takie coś. Byłem chory wtedy. Głodówka toby była, jakby świadomie ją człowiek sam założył. Tutaj była związana z chorobą. Oczywiście wtedy siedziałem siedem lat i jedenaście miesięcy bez wyroku.

– **Kiedy to było i za co?**

– No to właśnie ta sprawa Barabasza, co mówiłem.

– **Te włamania?**

– Włamania. I tam byłem pomówiony do trzech napadów, ale z dwóch uniewinniony, i z tego jednego dla dobra sprawy dali mi osiem lat. W 1986 wyszedłem.

– **Odслужиł pan wojsko?**

– Nie, kategoria D.

– **Z powodów?**

– Psychiatrycznych.

– **Jakieś sporty pan uprawiał?**

– No, uprawiałem: i boks troszeczkę, i siłowe, i kulturystykę. Siłownię, notabene, miałem własną, gdzie też sobie troszeczkę ćwiczyłem dla zdrowia – jak to się mówi.

– **Potem prowadził pan razem z Ryśkiem P. restaurację Kaskada w Brwinowie. Dyskoteki tam były.**

– Zgadza się.

– **A jakie inne biznesy pan próbował prowadzić?**

– Biznesy? To moja siostra z moją żoną prowadziły sklep, delikatesy w Piastowie, gdzie ja pomagałem tam. No, dopóki nie otworzyli tam supermarketu, to szło to bardzo dobrze.

– **Konkurencja wykończyła?**

– No konkurencja! Tak jak mniejsze sklepy. Większość tych sklepów to pada ze względu na konkurencję. Tak to wygląda. Ale może wrócimy jeszcze do sprawy. Może poruszylibyśmy troszeczkę wątek polityczny, bo może to nie jest, jak to się mówi, polityczna sprawa, ale o mocnym zabarwieniu.

Rozpalili ognisko „Pruszkowa”

– Co polityka ma z tym wspólnego?

– No na przykład czas, kiedy to się zaczęło, jak to się zaczęło, bez żadnych dowodów. Przecież skądś się to wszystko wzięło! Ten „Pruszków” to mafia jest. Powstało to słowo tu niedawno. Przedtem to jakiś gang. Grupa, bo wiadomo, o co chodzi policji! Przecież to trzeba zrozumieć. Przecież oni muszą swoje zrobić. Muszą mieć jakieś wyniki, jakieś rezultaty. Coś za to muszą mieć. Tak właśnie powstała cała ta mafia pruszkowska. Przede wszystkim trzeba zacząć: w jakim to się czasie działo? Działo się to, wiemy, i w kryzysie politycznym, i gospodarczym kraju. A jak jest kryzys, nie ma żadnych jakichś sukcesów w gospodarce, w rolnictwie, w przemyśle czy tam w służbie zdrowia, wszędzie jest źle, to się wytwarza takie sztuczne zagrożenie przestępczością.

– Czyli straszak w postaci „Pruszkowa” miał odwrócić uwagę opinii publicznej?

– No jak najbardziej! Wtedy akurat do kampanii startował Krzaklewski. Ministrem był Biernacki. Te Cebeesy pozakładali. Wzięli Kaczyńskiego na ministra sprawiedliwości. Dlaczego Kaczyński wydał decyzję, żeby świadkiem koronnym był Masa? Przecież decyzję dał sam Kaczyński! Od kiedy to minister daje taką decyzję? Przecież są prokuratorzy do danej sprawy i oni występują do sądu, żeby zrobić Masę świadkiem koronnym. Bo byli tacy ludzie, co nie chcieli, bo wiedzą, co to za ptaszek z tego Masy! No, ale sukces jest ważniejszy i cel uświęca środki. Tak to się, niestety, stało, że rozpalili to ognisko „Pruszkowa” – tak jak mówiłem – Krzaklewski z Biernackim, bo tak się z tym wszystkim spieszyli, że nie poczekali z tymi aresztowaniami, aż się skończą wakacje... Tylko już w sierpniu, bo kampania prezydencka musi ruszyć! Przecież cały ten materiał operacyjny naszej sprawy został wykorzystany w klipach wyborczych Krzaklewskiego! Cała sprawa się przez te wybory przewijała z „Pruszkowem”, jaki to wielki sukces. Bo przecież całe to wielkie zło, które w Polsce wtedy było, to wina tych pruszkowiaków! Tak to zostało skręcone. Zostało potężne ognisko pruszkowskie rozpalone i teraz każdy przy tym ognisku jakąś tam pieczeń swoją chciał upiec. Z tego, co teraz widzimy, to największą upiekł Kaczyński. Kaczyńscy piekli największą, bo tamci poodpadali, poszli w cień, do lamusa, a on otworzył sobie partię i wywindował na tym! Na tym karaniu, na tym wszystkim! Zapełnił więzienia i się cieszy! A co dalej z tego będzie, zobaczymy.

– Ma pan jakąś wiedzę o politykach współpracujących z gangiem?

– A niby jaką? Dwa lata siedziałem w śledztwie, zanim akta poszły do sądu. Nawet razu nie przyszedł do mnie prokurator czy nie wezwał mnie śledczy jakiś w sprawie moich zarzutów. Nawet razu! Ale przychodzili, pytali się kilka razy o Wałęsę, o Falandysza, o Wachowskiego, na jakich ja tam byłem bankietach. O Kalisza, Gawronika, o Millera.

– I co im pan powiedział?

– A najbardziej o Millera brata, bo miałem straszne mieć z nim układy i kontakty. Ja mówię: A co to

ma wspólnego z tą sprawą? Jaki to ma związek? Przecież ja za co innego w ogóle siedzę. „O te pierdoły to się pan, panie Janku, nie martwi...”

– **Pan znał tych ludzi, o których pytali?**

– A skąd? Ja nawet polityków z Pruszkowa nie znam, a co mówić z Warszawy czy tam z górnej półki! „Jak tu się dogadamy, to jesteś pan w domu...”

– **Kto pana tak pytał?**

– Nie znam tego człowieka. Szczupły taki przyjechał.

Jasnowidz Pershinga nie ostrzegł

– **Wyliczono panu długą listę grzechów na procesie.**

– Przecież to jest śmieszne! Jeżeli się mówi o przestępstwach, jeżeli ja bym mówił, że ktoś popełniał przestępstwa w pierwszej połowie lat 90., to, to, tiry-śmiry, złoto, srebro, coś tam jeszcze. No i kiedy to miało być? Fabryka ze srebra okradziona? Nie było tam żadnej fabryki, wyszło na sprawie. O jakichś tirach papierosów? Ani zgłoszenia, ani nic! Jakie tiry z papierosami czy ze spirytusem? Skąd te miliony dolarów miały być? Gdzie te pieniądze? Kto tę fortunę ma? Niech zobaczą, jakie mamy majątki!

– **Znaleziono gdzieś u pana jakiś ukryty majątek?**

– Jaki majątek! Mieszkanie mam tylko sto trzydzieści metrów kupione już z dziesięć lat temu, i to cały mój majątek. I działka. To cały mój majątek. Majątek to miał Masa. My to jesteśmy alibi dla niego. Masa z nas sobie zrobił alibi!

– **Może jest tak, jak pan mówi: nie było mafii, wszystko wykreowano. Pana w to wszystko wrobił Masa. Ale co się takiego stało w czerwcu 1999 r., że ktoś do pana strzelał? Dwukrotnie, w klatkę piersiową. Cudem pan przeżył wtedy.**

– No tak. Nie wiem. Podejrzewam Masę, że to było na jego zlecenie.

– **Osobiście Masa? W Pruszkowie, w centrum miasta, rano? Przecież to by było trochę dziwne.**

– Wyszedłem na parking po samochód. W czerwcu to było, szóstego czerwca, jeśli się nie mylę. Jechałem, bo ojciec mnie prosił do niego na działkę, taki letni domek sobie stawiał. A że to człowiek siedemdziesięcioparoletni, więc, można powiedzieć, wysługiwał się mną.

– **Widział pan napastników?**

– O to chodzi, że nie widziałem. Ja to mówię oficjalnie: moje podejrzenie jest, że to wystawił mnie Masa. On dał zlecenie na mnie, bo ja nie widzę, żeby ktoś mógł inny do mnie strzelać oprócz niego! Ja nie widzę! Wyszedłem z domu, to była dziewiąta albo dziesiąta rano, miałem być u ojca na działce.

No i szedłem po auto na parking.

– **Trzymał pan na strzeżonym?**

– Tak, na strzeżonym parkingu. Tak było gorąco: ja byłem w samych spodniach, w koszulce, i szedłem z drugiej strony, tak za tymi pawilonami, że cień padał. Tu był taki trawnik, drzewa, nikogo nie widziałem. Trzy czwarte drogi przeszedłem do parkingu, nagle poczułem takie uderzenie tłumiące, tak jakby załopotała flaga, podobnie jak mnie w George’u postrzelili: od razu wiedziałem, że jest to strzelanie, bo już to przeżyłem.

– **Poczuł pan jakiś ból?**

– Praktycznie nic nie czułem. Nic nie czułem. Odwróciłem się tylko: zakapturzony, wymierzony, strzelał cały czas. Ja zacząłem uciekać.

– **Jeden człowiek?**

– Jeden człowiek. Ja uciekałem, on strzelał. Jakie miałem wyjście? Nie miałem innego wyjścia.

– **Nie krzyczał, nie mówił nic?**

– Ja krzyczałem, że bandzior strzela i tak dalej, żeby szumu narobić, żeby go spłoszyć w jakiś sposób, bo nie miałem innej możliwości, żeby uniknąć tego. No i na szczęście była taka przecinka między budynkami, gdzie wpadłem, skręciłem w nią. On jeszcze oddał parę strzałów. Jeszcze na zakręcie przestrzelił mi tutaj rękę, plecy miałem poprzestrzelane, płuca, uszkodzoną wątrobę miałem. No, parę tych sztuk dostałem. Jeszcze jedną mam w sobie kulę.

– **Policji pan nie powiedział wtedy, kogo pan podejrzewa?**

– Praktycznie to nie powiedziałem, bo co by to dało? To nic by nie dało praktycznie. Czy ja podejrzewam tego czy tamtego. Zresztą mnie się nie pytali, kogo podejrzewam.

– **Potem na własną rękę nie próbował się pan dowiedzieć, kto i dlaczego?**

– Ja to powiem w ten sposób: że przyszedł do mnie do szpitala Andrzej K., czyli Pershing, i mówi: „Jasiu, daj mi zdjęcie i koszulkę”, bo jakiegoś jasnovidza miał. Często jeździł podobno do niego. Mówi: „Ja się rozejrzę, pójde do tego jasnovidza i on to przejrzy...”. No i tak się stało. Dałem mu koszulkę, czy to żona mu dała, już nie pamiętam, i zdjęcia, ja jeszcze w szpitalu byłem. No i taka jest prawda, że on przyszedł chyba po dwóch dniach do mnie i on konkretnie powiedział, że to Masa.

– **Że ten jasnovidz tak mu powiedział?**

– Tak. Jemu jasnovidz wskazał takie informacje, że on wie, że to jest Masa. Tyle mi powiedział.

– **Ten jasnovidz nie uprzedził go, że za pół roku on sam stanie się ofiarą napadu?**

– Tego to ja nie wiem, czy go ostrzegł czy nie. Trudno jest mi powiedzieć.

– **A kto zastrzelił w takim razie Pershinga?**

– Tego to ja kompletnie nie wiem, kto zastrzelił, ale jak zaznaczyłem w sądzie, oświadczenie takie złożyłem, że, na co w ogóle nie zwraca policja i prokuratura uwagi, że kto się zada z Masą, to ginie. A Masa rośnie w siłę i w majątek. No, Dreszowie, Kiełbasa, Nikodem. A ja tylko tych paru wymieniam,

a ilu tam jeszcze po drodze mogło być, to ja nie wiem. I w ogóle to oni jakoś tego nie wiążą! Po policji, prokuraturze to spływa. I tak głęboko weszli w tą sprawę z tym Masą, że oni chyba nie wiedzą teraz, jak z tego wybrnąć! Tyle spraw rozpoczęli na podstawie jego zeznań, on jest, można powiedzieć, takim „filarem nośnym” tych procesów, że jak oni by mu teraz zdjęli świadka koronnego, postawili zarzut, to on by powiedział: „A wy? To ja wam powiem teraz tak! Wy żeście mnie do tego namawiali, nakłaniali”. I on z nimi by pojechał! Oni są – można powiedzieć – w szachu przez Masę trzymani!

Naplułbym mu w twarz

– Gdyby pan wyszedł teraz z więzienia i spotkał na ulicy Masę? To co by pan zrobił w takiej sytuacji?

– Nie wiem. Powiem szczerze: nie wiem. No trudno jest powiedzieć, jaka moja reakcja by była. Na pewno hamowałbym się w jakiś sposób. Na pewno bym mu w twarz napluł. To bym zrobił na pewno!

– Dziad z „Wołomina” też pana pomawiał, chociaż nie został koronnym.

– Nie wiem, czym się kierował! Ja go nie znam! Nic do niego nie miałem. Faktycznie może go widziałem gdzieś na Pradze, bo na bazar jeździłem. Może go widziałem, ale nic z nim wspólnego nie miałem! A tego drugiego, Wariata, to nigdy na oczy nie widziałem! Cały ten materiał dowodowy to został wzięty z Okrzei. To był materiał operacyjny. To były wszystkie plotki z miasta. I na tą okoliczność, zastrzelenia tego Wariata, to wzywali różnych ludzi. Między innymi i mnie wzywali: Co ja wiem o tej i o tamtej sprawie? Kapitan taki rudy, nie pamiętam... I była taka tęga policjantka. No tak rozmawialiśmy na luzie. I ten rudy mówi: Ale, panie Janku, żeś pan walił z tego kałacha do tego Dziada i się panu zaciął. Ja się śmieję i mówię: Z jakiego kałacha? To kompletna bzdura. A on mówi: No już teraz wiemy, bo mamy taką wersję, że sam sobie ostrzelał samochód, żeby mieć naszą ochronę. Tak postrzelał, żeby go za bardzo nie uszkodzić, a żeby mieć naszą ochronę. I tak była skwitowana cała ta rozmowa.

– Pana wersja jest jasna. Niewinny, przez wszystkich pomawiany. Jedno tylko zastanawia. Dlaczego akurat pana i pańskich niewinnych kolegów wybrano na tych kozłów ofiarnych? Dlaczego z was zrobiono grupę przestępczą? W Pruszkowie mieszka pięćdziesiąt tysięcy ludzi.

– Dlaczego z nas? Co by nie powiedzieć, znany byłem w Pruszkowie. Jakimś cieszyłem się w tym środowisku autorytetem. Po prostu: nie dawałem sobie w kaszę dmuchać. Znali mnie bardziej z pięści. Bali się i czuli respekt. Tacy ludzie są znani po prostu! I tak, po prostu wybiórczo, pasowaliśmy im do scenariusza: kiedyś George, teraz to mafia. I wszystko pasuje, łatwo to wszystko ułożyć.

Od wąglika do mafii

– Czy, według pana, w Polsce nie ma w ogóle zjawiska przestępczości zorganizowanej? Nie grozi Polsce w ogóle tego rodzaju przestępczość?

– Ja nie wiem. Jak to ujawnia się w innych krajach, to i tak samo może się i tu ujawnić. Nie moją rzeczą jest to oceniać, bo ja nie jestem fachowiec w tych sprawach.

– **Ale jest pan człowiekiem myślącym, śledzi pan wydarzenia, analizuje. Jakież wnioski z tego płyną.**

– Może być zagrożenie, jak najbardziej! Ale ja tu się wypowiadam konkretnie do swojej sprawy, a nie generalnie. Zagrożenie? Zagrożenie różne może być: i terroryzmem, i zagrożenie AIDS, może być zagrożenie wąglikiem, może być i przestępczością zorganizowaną. Wszystkim! Wiadomo, co jeszcze może być? I jakimś nalotem nuklearnym też może być zagrożenie.

– **To prawda, ale ludzie bardziej się boją tego, co ich bezpośrednio dotyczy. I na przykład, jeżeli ktoś strzela pod ich oknem, jeżeli padają trupy na sąsiedniej ulicy, to człowiek się bardziej wtedy boi.**

– Jak najbardziej, zgadzam się z tym wszystkim. Ale jest to wszystko tak rozdmuchiwane na potrzeby danej sytuacji. No przecież wiadomo, za naszą sprawę: premie, gwiazdki, wężyki generalskie – bo to przecież wszystko za tym idzie! Korzyści polityczne. Przecież był taki okres nagonki, że ludzie bali się powiedzieć, że ktoś jest niewinny, bo od razu byłaby to dla niego śmierć polityczna. Przecież takiego polityka by zakrzyczeli od razu! Powiedzieliby, że mafię broni! Ludzie się bali nawet bronić niewinnych ludzi, odwracali się od nich, bo – przypuśćmy – Lech Kaczyński powiedział, że to jest przestępca. Mimo tego, że ten człowiek mógłby być czysty jak łąza, i woleli się odwrócić albo: tak, trzeba karać jak najbardziej. Ja przyjmę każdą karę, ale uczciwą. Jeżeli jestem winny – tak, ale ja jestem niewinnie skazany bez żadnych dowodów. Sędzia wziął sobie wybiórczo materiał, nie ocenił tego bezstronnie. Ja uważam, że wyrok w mojej sprawie zapadł w ogóle gdzieś indziej. Sędzia go tylko odczytał. Nawet odniosłem takie wrażenie przy uzasadnieniu ustnym, co sędzia uzasadniał. Po prostu powtórzył słowa prokuratorskie, jeżeli chodzi w tej części o kierowanie. Nie przedstawił żadnego większego dowodu, że ja kierowałem. Sędzia, co chciał, to zrobił, i nawet tego dobrze nie uzasadnił. Później dopiero starał się jakoś to naprawić w uzasadnieniu piśmiennym.

Wielki proces, wielka klapa

W 2005 r. Prokuratura Apelacyjna w Warszawie skierowała do sądu akt oskarżenia przeciwko tzw. młodemu „Pruszkowowi”. Prokuratorzy Małgorzata Kozłowska i Waldemar Tyl po ponad dwóch latach śledztwa ułożyli potężną konstrukcję: 211 stron opisu 110 przestępstw popełnionych przez 57 oskarżonych (potem do listy dołączono jeszcze Andrzeja Z., ps. Słowik). W sumie prawie 240 zarzutów. Akt oskarżenia robił wrażenie, przekonywał, że oto mamy do czynienia z największym mafijnym procesem w Polsce.

Na ławie oskarżonych – Janusz P., ps. Parasol, Zygmunt R. Bolo, Ryszard Sz., ps. Kajtek, i pruszkowska młodość: Fabian, Bryndziak, Kotlet, Burzyn, Kucharz, młody Simon oraz kilkadziesiąt innych. Parasolowi postawiono cztery zarzuty: napaść na kasjerkę Związku Nauczycielstwa Polskiego (aby zrabować jej 63 tys. zł, a miała jedynie 30 zł), napad na konwój z pieniędzmi (zrabowano 200 tys. zł), handel bronią (pistolet maszynowy wzór 63 Skorpion) i nakłanianie do zabójstwa niejakiego Dariusza P. Miał do tego namawiać m.in. Jacka R., ps. Sankul, który podczas procesu składał zeznania jako świadek koronny.

Parasol kończył właśnie odsiadanie pierwszego wyroku, czyli za udział w tzw. zarządzie gangu pruszkowskiego, a tu nowe zarzuty, nowy areszt i nowy proces. Podobnie musiał czuć się Zygmunt R. Usłyszał jeden zarzut: udział w napadzie na konwój razem z Parasolem. To wystarczyło, by nie poczuć wolności. Być może tęsknota za świeżym powietrzem i żoną Ludmiłą spowodowała, że poszedł na układ z prokuraturą. Tego oczywiście nikt oficjalnie nie potwierdził, ale podobno (wiemy to z kilku źródeł) w zamian za zeznania obciążające Słowika skorzystał z nadzwyczajnego złagodzenia i wyszedł na wolność, zanim proces dobiegł końca. Zeznał, że podczas pobytu w Mikołajkach Słowik, jego najbliższy przyjaciel, opowiedział mu, że był nakłaniany do znalezienia killera, który zastrzeliłby gen. Papałę. To wystarczyło, aby dla grupy „Generał” zajmującej się zabójstwem byłego komendanta głównego stał się cennym świadkiem.

Według prokuratury najwięcej na sumieniu miał Marcin B., ps. Bryndziak, szef podgrupy zwanej Bryndziakami. Początkowo podlegał w przestępczej hierarchii Masie, potem Parasolowi. Zarzucono mu 35 przestępstw, m.in. udział w pobiciach, napadach przy użyciu noża, wymuszania haraczy, kradzieże tirów, handel narkotykami i uprowadzenie dla okupu.

Osiemnastu oskarżonych dobrowolnie poddało się karze – zapadły wyroki w zawieszeniu. Pozostałych sądzono długo i mozolnie. Zeznawało kilku świadków koronnych, w tym Masa i Sankul. Udział tego drugiego jako koronnego był sporym zaskoczeniem, gdyż podczas śledztwa sporo miejsca w swoich zeznaniach poświęcił mu Masa. Wtedy byli po przeciwnych stronach barykady, nagle znaleźli się po jednej. Oczekiwano, że skruszony Sankul odegra się w jakiś sposób na Masie za to, że ten go wcześniej pogryzał.

W swoich utajnionych przed publicznością zeznaniach Sankul wziął rewanż: powiedział, że

Jarosław S. zwierzył mi się kiedyś, jakoby broń, z której zastrzelono Kiełbasę, wrzucono do jednej z glinianek. – W sytuacji, kiedy od lat mówi się o uwikłaniu Masy w zabójstwo jego przyjaciela, jeżeli Sankul mówił prawdę, byłby to ważny dowód – twierdzi zeznający w tej sprawie policjant.

Przypomnijmy, że o udziale Masy w tym zabójstwie mówiło się od samego początku. On sam najpierw nie dementował plotek, tłumaczył nam, że to wzmacniało jego pozycję w gangu. Twierdził, że Kiełbasę zabili ludzie z grupy Rympałka. W czasie, kiedy piszemy te słowa (maj 2013 r.), pojawiły się nowe plotki o pozyskaniu przez prokuraturę ważnego tzw. małego świadka koronnego (zeznaje w zamian za nadzwyczajne złagodzenie kary). Chodzi o Jacka S., ps. Falconetti, byłego prominentnego członka grupy Rympałka. Ponoć ma on zeznawać o okolicznościach zabójstwa Kiełbasy. Przeciwnicy Masy już zacierają ręce, że Falconetti pogrąży najbardziej znanego świadka koronnego, przypisze mu udział w zbrodni. – Ze śmiercią Wojtka nie mam nic wspólnego – uparcie powtarza Masa. – Zginął, bo starym nie spodobała się jego komitywa z Miśkiem z Nadarzyna, który trzymał z wołomińskimi.

Proces przeciągał się w nieskończoność. Masa żalił się, że sędziowie (składowi przewodziła sędzia Danuta Najar, a w składzie był m.in. słynny z wyroku w sprawie dr. Mirosława G. Igor Tuleya) są zbyt ulegli wobec oskarżonych. Prym wśród nich miał wieść Bryndziak, który w nadmiarze korzystał z prawa do zadawania pytań. – Nie wiem, dlaczego sąd nie odrzucał jego pytań dotyczących mojej rodziny, żony i dzieci – mówił nam Masa. – Pozwalano mu drażnić sprawę mojej współpracy z policją, chociaż nie miało to nic wspólnego z istotą procesu.

Nerwy Masy

W czerwcu 2008 roku sąd uchylił Parasolowi i innym areszt, nie obawiając się matactwa ani zastraszania świadków (w uzasadnieniu tej decyzji podniesiono argument o „długotrwałym tymczasowym aresztowaniu”, które nie może trwać w nieskończoność, a Parasol wpłacił 200 tys. zł kaucji). Na wolności był już Zygmunt R., ps. Bolo, z zarządu „Pruszkowa”. Bolo miał za sobą cały siedmioletni wyrok za kierowanie gangiem i nienaganną opinię z zakładu karnego. – Zachowywał się bez zarzutów – usłyszeliśmy od Luizy Sałapy z Centralnego Zarządu Służby Więziennej. Masa nie wierzył, że wyrok zmienił Bolo. Dziwił się – zresztą nie tylko on – że Zygmunt R. wyszedł na wolność, ponieważ w tym czasie miał już, tak jak Parasol, areszt do nowej sprawy karnej. Dzisiaj już wiemy, że był to efekt układu, jaki zawarł z prokuratorami zajmującymi się zabójstwem Marka Papały.

Jarosław S. podupał wtedy na zdrowiu, zaczął mieć problemy z sercem. Powiedział nam o swoich obawach, że mafia pruszkowska będzie chciała teraz wyrównać z nim rachunki: – Odbieram głuche telefony. Po raz pierwszy od lat naprawdę się boję. Ostrzeżono mnie, że Bolo rozpoczął polowanie na

mnie. Jestem jedynym świadkiem, który go obciąża w sprawie o napad, dlatego zrobi wszystko, abym nie złożył zeznań. Już zaczął ustalać miejsce mojego pobytu – mówił wyraźnie przestraszony.

Policja uspokajała, że jeżeli Jarosław S. sam nie złamie zasad ochrony, to ze strony starych pruszkowskich nic mu nie grozi. „Już raz mieliśmy sygnały, że szukają go ludzie Słowika, zatem zagrożenie jego życia nie zmienia się od lat” – komentował oficer odpowiedzialny za ochronę świadków koronnych.

Mniej więcej w tym samym czasie areszt uchylono również znenawidzonemu przez Masę Marcinowi B., ps. Bryndziak. I wtedy Jarosławowi S. nerwy puściły na dobre.

– Kończę walkę z polską mafią. Jestem wypalony. Odpuszczam sobie – zapowiedział w rozmowie z nami. – Bryndziak to jeden z najokrutniejszych ludzi, jakich poznałem. Kiedy inni już przestawali bić, on dopiero się rozkręcał. Jak mam zeznawać przeciwko niemu, skoro już raz groził śmiercią mojej rodzinie? Nie będzie miał skrupułów, by ponownie dotrzeć do moich bliskich, nieobjętych policyjną ochroną.

Masa twierdzi, że Bryndziak dał się we znaki jego rodzinie na przełomie 1999 i 2000 roku. Jarosław S. siedział wówczas w celi aresztu śledczego w Wadowicach za wymuszenie. Centralne Biuro Śledcze szykowało go na świadka koronnego. W tym czasie Elżbieta, żona Masy, była sama z dziećmi w Komorowie. W środku nocy pod ich dom podjeżdżały samochody z „Pruszkowa”. Marcin B., organizator tych najazdów, oraz jego żołnierze wykrzykiwali pod oknami, że cała rodzina S. skończy w trumnach, osaczali żonę Masy, zastraszali syna, że „będzie leżał koło tatusia”. Nie zdążyli z realizacją gróźb, bo Jarosław S. został koronnym. Jego żonie i dzieciom zapewniono ochronę. Ale nie dalszej rodzinie.

– Bryndziak i jego ludzie dopadli mojego szwagra. Okaleczyli go siekierą. Zmasakrowali mojego przyjaciela, który podczas mojej nieobecności opiekował się domem w Komorowie – wyliczał Masa.

Marcin B. długo wymykał się policji. Specjalna grupa ścigała go przez trzy lata (do celi trafił w grudniu 2003 roku). Policjanci nadziwić się nie mogli, że sędzia wypuściła go z aresztu, bo „przesiedział już cztery lata”. Tymczasem groziło mu dużo więcej, choćby za zbrojny napad na konwój z pieniędzmi, w którym brał udział – w 1996 roku na Bemowie – razem z Masą, Słowikiem i Parasolem. Zrabowano wówczas 150 tys. dolarów. Jarosław S. miał opowiedzieć przed sądem o szczegółach tego skoku, podobnie jak o wielu innych przestępstwach z udziałem Bryndziaka. Kiedy jednak ten wyszedł z aresztu, rozżalony Masa rozważał, czy stając przed sądem, nie powinien zasłonić się niepamięcią. – Nie mogę ryzykować życiem moich bliskich. Jeżeli sądom nie zależy na sprawiedliwym rozliczeniu polskiej mafii, to dlaczego ja mam robić za Don Kichota? Nie tak miało być. Widać czas powiedzieć: dziękuję, pasuję – mówił.

„Nie jestem bandytą”

Z Marcinem B. mieliśmy okazję spotkać się na sali sądowej. On w charakterze powoda, a jedno z nas (Piotr Pytlakowski) jako pozwany. Sprawa toczyła się przed sądem cywilnym, a dotyczyła naruszenia dóbr osobistych Bryndziaka, który poczuł się urażony, że w artykule o sprawie strzelaniny przed hipermarketem Makro przy Alejach Jerozolimskich w Warszawie został nazwany gangsterem i pośrednio bandytą. Incydent pod Makro zdarzył się w 1996 r., w złotym okresie panowania gangu pruszkowskiego. Przypomnijmy to zdarzenie.

W biały dzień, 27 czerwca o godz. 15, na parkingu przed Makro doszło do wymiany ognia. Kule sypały się gęsto, tylko cudem nie postrzelono osób postronnych. Podczas walki rany od kul odniosło według oficjalnej wersji dwóch młodych mężczyzn. Jednego z nich sprawcy uprowadzili – trabantem kombi.

Kilkadziesiąt minut później policjanci z drogówki zatrzymali pod Ożarowem Mazowieckim do kontroli trabanta. Wysiedli z niego mężczyźni z pistoletami. Rozbroili funkcjonariuszy i skuli ich kajdankami. Wysadzili z pojazdu ранego mężczyznę i odjechali.

W strzelaninie rany odnieśli znani pruszkowscy gangsterzy. Jacek M., ps. Matyś, i Damian K., ps. Kotlet, a na miejscu był też Marcin B., ps. Bryndziak. Sprawcami, jak ustaliło śledztwo, byli Zbigniew R. (niegdyś milicyjny antyterrorysta), kilkakrotnie karany za czyny kryminalne, oraz Andrzej B., dotychczas niekarany. W procesie, który ruszył w końcu 1998 r., zostali uznani za głównych winnych i skazani: R. na 12 lat, a B. na 15. Kilka innych osób dostało niskie wyroki.

Według aktu oskarżenia ofiarami napadu przed hurtownią Makro byli członkowie gangu pruszkowskiego. Na procesie zeznawali wyłącznie jako poszkodowani. Dla obserwatorów było jednak jasne, że przestępcy z „Pruszkowa” odegrali w tej historii trochę inne role niż tylko ofiar.

Powodem zajścia był fakt, że tego samego dnia w godzinach południowych został porwany przez gang pruszkowski niejaki Sławomir B., biznesmen związany z grupą wołomińską. Porywacze zażądali za jego uwolnienie 20 tys. dolarów i dodatkowo 1 kg amfetaminy. Według prokuratury na negocjacje w sprawie uwolnienia porwanego pojechało dwóch jego kolegów asekurowanych przez uzbrojonych Zbigniewa R. i Andrzeja B. Na miejscu doszło najpierw do szarpaniny, potem, według aktu oskarżenia, ci dwaj wyciągnęli broń i zaczęli strzelać do swoich przeciwników.

Na ławie oskarżonych zasiedli jedynie ci, którzy chcieli uwolnić porwanego kolegę. Sprawa samego porwania w ogóle nie była przedmiotem śledztwa. Nikomu nie postawiono zarzutów za uprowadzenie. Prokuratura bez wątplenia nie była konsekwentna w dochodzeniu do prawdy.

Andrzej B. zeznał przed sądem, że nie brał udziału w wydarzeniach pod Makro Cash. Podawał nawet alibi. W czasie, kiedy doszło do strzelaniny, był wraz z rodzicami i synem na lotnisku w

odległej o 100 km wsi Drachalica. Mieszkańcy tej wsi potwierdzili, że przebywał tam w czerwcu i lipcu 1996 r. Sąd uznał jednak, że alibi jest za słabe.

Zbigniew R. nie wypierał się swojej obecności pod Makro Cash, twierdził jednak, że Andrzeja B. tam nie było. Strzelało faktycznie dwóch ludzi, jeden z nich to czynny antyterrorysta policyjny, kolega R. – Nie podam jego nazwiska – zarzekał się, kiedy rozmawialiśmy w więzieniu na Białołęce. Twierdził, że tamten strzelał w stanie wyższej konieczności, zagrożone bowiem było życie porwanego i ludzi, którzy przyjechali negocjować jego uwolnienie. Pruszkowscy mieli broń i też strzelali. Wszystkie zarejestrowały kamery przemysłowe umieszczone na parkingu, ale z nieznanymi powodów kasety z nagraniami zaginęły. – Wiem na pewno, że cała ta sprawa była przewalona. „Pruszków” zadziałał, żeby policja i prokuratura nie podjęły wątku porwania Sławomira B. i żeby w śledztwie ukryto fakt, że pod hurtownią to pruszkowiaci pierwsi zaczęli strzelać – oświadczył. Był przekonany, że w wyniku wymiany ognia rany odniosło nie dwóch, ale przynajmniej pięciu gangsterów z „Pruszkowa”. Dwóch ciężiej rannych trafiło do szpitala w Pruszkowie, a ci lżej postrzeleni zostali opatrzeni przez lekarzy z prywatnej kliniki w jednej z podwarszawskich miejscowości. Policja ukryła ten fakt, bo jeżeli wyszłoby na jaw, że pruszkowiaków było więcej i że też strzelali, trzeba by zmienić kwalifikację prawną czynów i na ławie oskarżonych posadzić znacznie więcej osób.

Zbigniew R. w areszcie siedział w celi z Dariuszem Sz., ps. Fokus, członkiem gangu pruszkowskiego. Ten opowiedział mu (przy świadkach), że też był pod Makro, że było tam nie trzech bezbronnych, ale trzydziestu uzbrojonych po zęby pruszkowiaków, że obstawiali ich policjanci z komisariatu z Ochoty, którzy pozbierali łuski i porzuconą przez pruszkowskich broń. I że za puszczenie sprawy na ślepy tor „Pruszków” zapłacił pieniądze. Policjanci podmienili kasety nagrane przez kamery zainstalowane przy Makro (faktycznie podczas rozprawy okazało się, że na kasetach nie ma nagrań zajścia, chociaż wszystko działo się w zasięgu kamer).

W styczniu 2002 r. Jerzy K., który w tamtym procesie dostał 4 lata więzienia, już po wyjściu na wolność złożył w Sądzie Rejonowym w Grójcu (na zlecenie Sądu Najwyższego) zeznanie, w którym wyjaśnił powody, dla których w śledztwie obciążał Andrzeja B. „To, że złożyłem te zeznania obciążające Andrzeja, jest moją osobistą tragedią. Zostałem psychicznie wykończony przez prokuratora i inspektora K. Przez cały ten czas Prokuratura i Policja dawały mi do zrozumienia, że jak odwołam zeznania obciążające Andrzeja B., to mało tego, że »pruszkowiaki« wykończą mnie, to wykończą też moją rodzinę. Andrzeja B. nie było pod Makro. To człowiek o gołębim sercu. Co z tego, że on mi wybaczył, jak ja nie mogę z tym żyć”.

Jerzy K. już na procesie zeznawał w tym samym duchu, dlatego Sąd Najwyższy uznał, że jego najnowsze zeznania nie wnoszą do sprawy żadnych nowych okoliczności, a tylko pojawienie się nowych wątków mogłoby spowodować decyzję o wznowieniu procesu.

Nowe wątki jednak się pojawiały. Inny uczestnik wydarzeń pod Makro Cash, Dariusz S., złożył

oświadczenie na piśmie. Stwierdził, że Andrzeja B. nie znał, nie widział go na miejscu zdarzenia. Był namawiany przez oficerów policji i prokuratorów do obciążania go, ale nie uczynił tego. Napisał też: „Wiem, że porwania Sławomira B. dokonała mafia pruszkowska, lecz prokuratura nie dopuściła do rozpoznania tego tematu przez Sąd”.

Były członek gangu pruszkowskiego Mirosław L., ps. Lisek, napisał oświadczenie, że Jacek M., występujący na procesie w roli poszkodowanego, powiedział mu, że ta sprawa to jakaś lipa: „Pamiętam, jak śmiejąc się, mówił, że chcą na siłę ugotować jakichś łosi. Mówiąc to, miał na myśli, że nie tych oskarżają, którzy do niego strzelali, i że tych, którzy siedzieli na ławie oskarżonych, widział pierwszy raz w życiu”.

Bryndziak w swoim pozwie przeciwko dziennikarzowi podnosił też, że w czasie, kiedy powstał artykuł, nie miał zarzutów w sprawie tej strzelaniny. Był poszukiwany listem gończym, ale do innych spraw. Zarzuty dostał dopiero po publikacji. W akcie oskarżenia tzw. młodego „Pruszkowa” zapisano, że w czerwcu 1996 r. wraz z innymi pozbawił wolności Sławomira B., postępował wobec niego z okrucieństwem i za uwolnienie go żądał 20 tysięcy dolarów.

Sprawę prowadziła pani sędzia w wieku przedemerytalnym, specjalizująca się zapewne w sprawach rozwodowych. Kiedy na salę wprowadzono powoda w pomarańczowym stroju niebezpiecznego więźnia (w tym czasie siedział w areszcie), skutego i w otoczeniu antyterrorystów, sędzia zbladła. A kiedy na salę wkroczył w kominiarce i także strzeżony przez funkcjonariuszy z bronią gotową do strzału świadek koronny Masa, realna stała się obawa, że do białej jak papier pani sędzi trzeba będzie wzywać pogotowie. Na szczęście sprawa potoczyła się szybko. Na pytanie, kim jest Marcin B., świadek koronny odpowiedział dobitnie: „Jak to kim?! To gangster i groźny bandyta”. Pozew został oddalony.

„Pruszków” wolny

Zwolnienie z aresztu oskarżonych w procesie młodego „Pruszkowa” było zaskakujące. Media krytkowały tę decyzję. Także policjanci nie kryli frustracji, a Jarosław S. Masa niemalże wpadł w histerię. Nie domyślano się wtedy, że zmiana środka zapobiegawczego była spowodowana nie tylko względami humanitarnymi, ale być może głównie wynikała z oceny materiału dowodowego. Linia prokuratorska sypała się jak kostki domina. Zeznania świadków koronnych nie były poparte dowodami materialnymi. Trudno zresztą o takie dowody kilkanaście lat po dokonanych przestępstwach.

Generał Adam Rapacki, człowiek, który rozbijał „Pruszków”, nie krył rozczarowania postawą warszawskiego sądu: „Wszyscy wiedzieliśmy, że któregoś dnia szefowie tego gangu wyjdą na

wolność, bo odsiedzą wyroki. Tutaj jednak sytuacja jest zupełnie inna – groźnych gangsterów wypuszcza się z aresztu przed ogłoszeniem wyroków. Zdumiewa mnie przewlekłość postępowania sądowego, dająca obrońcom argument, że »areszt nie może trwać wiecznie«. Ze swojej strony zapewniam: wzmocniamy w policji ochronę świadków. Bierzymy pod lupę wszystkich ludzi »Pruszkowa« wypuszczanych z aresztu» – przekonywał generał. Prokuratura nie zamierzała składać broni i zapowiedziała, że złoży zażalenie na postanowienie sądu, ale i tak pruszkowscy bossowie nie wrócili za kraty.

Reakcja Masy była – na szczęście – objawem chwilowego rozstroju nerwowego. Z czasem Jarosław S. nabrał dystansu do postanowień Temidy.

– Pomogłem Bryndziakowi w znalezieniu uczciwej pracy – oznajmił niedługo potem. – Oczywiście z daleka, dyskretnie, bez osobistych kontaktów. Marcin B. ociepła budynki w Pruszkowie. Rekomendowałem go do tej roboty, w ten sposób przyłożyłem się do jego resocjalizacji.

Ale podobno Marcin B. wcale nie czuł się zresocjalizowany przez Masę. Na salach sądowych i poza nimi wykorzystywał każdą okazję, by podważać jego wiarygodność.

We wrześniu 2012 roku, w tzw. drugim procesie „Pruszkowa”, Parasol dostał wyrok półtora roku więzienia, a Bryndziak – ośmiu. Słowik, podobnie jak trzynaście innych osób, został uniewinniony. 24 oskarżonych skazano symbolicznie. Po wyroku prawie wszyscy wyszli na wolność.

Tamtego dnia widzieliśmy się z Jarosławem S. Nagrywaliśmy jego wypowiedź do reportażu telewizyjnego o mafii na giełdzie. Masa był wyraźnie poruszony uniewinnieniem Słowika i pozostałych. – Tragedia. Ten wyrok jest po prostu niesprawiedliwy. Jeżeli oni dostali takie wyroki, to reszta siedząca w tej chwili w więzieniach powinna wyjść. Życzyłbym pani sędzi, która sądziła tę sprawę, aby grupa pruszkowska się odrodziła i zajęła jej rodziną. Wtedy może by zrozumiała, co to była grupa pruszkowska – powiedział nam Masa do kamery.

Telewizja mocno ocenzurowała jego wypowiedź.

Janusza P., ps. Parasol, pod koniec maja 2013 r. spotkaliśmy w gmachu warszawskiego sądu przy ul. Kocjana. Przyszedł, jako widz, oglądać nowy proces swoich przyjaciół – Zygmunta R., ps. Bolo, i Ryszarda Sz. Aresztowano ich krótko po wyjściu na wolność po odbyciu poprzednich wyroków, na podstawie zeznań wspomnianego wcześniej Jacka S., ps. Falconetti, członka grupy Rympałka. Zarzuty dotyczyły handlu narkotykami na dużą skalę. Ale dla obserwatorów rewelacje Jacka S. wydawały się mało wiarygodne. Zygmunt R. w swoim życiu zajmował się różnymi sprawami: bójki, napady na tiry, kontrabanda spirytusowa, handel walutami, ale nigdy nie tykał narkotyków, znany był z tego. Dlaczego miał nagle zmienić zasady? Powody finansowe nie istniały, R. miał środki do życia, niedawno sprzedał za kilka milionów złotych działkę na Grochowie. Poza zeznaniami Falconettiego prokuratura nie przedstawiła mocnych dowodów.

Na sądowym korytarzu obok przechadzającego się Parasola pojawił się Mietek M., ps. Oława,

swego czasu bohater prasowych opowieści o wrocławskiej odnodze gangu pruszkowskiego. Zapanowało małe poruszenie, kiedy Oława pochwalił się, że dostał oświadczenie na piśmie samego Masy. Świadek koronny, który pogrzyzył m.in. Zygmunta R. i Ryśka Sz., teraz stanął w ich obronie. Napisał, że Falconetti kontaktował się z nim i namawiał, aby zeznał nieprawdę o rzekomym uwikłaniu chłopaków w handel narkotykami. Falconetti musiał bowiem czuć, że jego opowieści są za słabe, potrzebował wsparcia ze strony Masy. Ten jednak nie chciał w tej sprawie kłamać.

Tak oto byliśmy świadkami, jak powikłanymi ścieżkami toczą się losy bohaterów naszej książki. Masa demaskuje knowania innego świadka oskarżenia i staje w obronie swoich wrogów. A oni z radością przyjmują jego gest jako symbol pokoju. Ostatni raz widzieliśmy Zygmunta R. i Parasola dziewięć lat temu. Dzisiaj to już starsi panowie, z twarzami przeoranymi doświadczeniami wyniesionymi z licznych przygód i życiowych zakrętów. Siwi, z brzuskami, przygarbieni. Tyle lat minęło, a tu znów trzeba tłumaczyć się przed sądem. – Czy było warto? – zapytaliśmy Mietka Oławę. – Nie. Dzisiaj to już wiem na pewno, nie było warto – odrzekł.

VIII. Dziadowskie sprawy

„Wołomin” pojawił się na mafijnej mapie Polski z powodu wygodnictwa policjantów. Żeby sobie ułatwić pracę, podzielili Warszawę na dwie strefy wpływów: pruszkowską i wołomińską. I słowo ciałem się stało: gangsterzy uwierzyli w ten podział.

Na początku był chaos. W Pruszkowie panoszyli się włamywacze z bandy Barabasza, a na Pradze, w okolicach Brzeskiej, Żąbkowskiej i bazaru Różyckiego, rządzą złodzieje i organizatorzy gry w trzy karty. Praga, Targówek, Bródno, Szmulowizna, Pelcowizna, Żąbki, wreszcie Wołomin – tu wszędzie rozciągało się złodziejskie terytorium.

Wołomińska szkoła kieszonkowców słynna była już przed wojną. Ulica Brzeska z kolei cieszyła się w całej Warszawie zasłużoną sławą jako najpewniejsza meta z wódką. Taksówkarze zwozili tu klientów o każdej porze dnia i nocy. Ulica sprawiała wrażenie opustoszałej, ale wystarczyło, że taksówka na moment przystanęła, a już z bram wybiegali na wyścigi handlarze. Klient nie musiał nawet wysiadać z samochodu, zresztą nie powinien tego robić, chyba że opilstwo odbierało mu rozum. Piesza wędrówka Brzeską to był sport dla szukających mocnych przygód. Kończyło się, jeśli kandydat na bohatera miał szczęście, stratą portfela, ale można też było stracić życie. Milicja Obywatelska Brzeską omijała na odległość, bo po co nadmiernie ryzykować? W tych okolicach zdobywał życiowe doświadczenia urodzony na Targówku, a potem handlujący na Różycu (jak nazywano bazar przy Targowej) Henryk N., znany wszystkim pod pseudonimem Dziad.

Kwiaciarnia dla sędziego

Dziad na bazarze sprzedawał gorące pyzy i flaki. Wszedł w ten interes prosto z ulicy. Handlarki mające do tamtej pory monopol na pyzy podobno protestowały, ale Dziad wygryźć się nie dał. Uśmierzył bunty jakąś tajemniczą metodą. Wtajemniczeni twierdzą, że użył do tego autorytetu swojego starszego brata Wieśka.

Wiesław N., słynny Wariat, już w latach 70. był ostrym zawodnikiem. Zawodowo zajmował się okradaniem fabrycznych magazynów, gdzie składowano srebro. Kierował własnym gangiem, w

którego skład wchodził także milicjanci. Tę samą specjalizację obrały chłopaki od Barabasza, obie grupy trochę ze sobą rywalizowały, a trochę wymieniały się doświadczeniami i informacjami. Robota „w srebrze” przez bliskie związki z gliniarzami była w miarę bezpieczna i bardzo dochodowa. Niestety, tylko do czasu, bo w końcu władza ludowa postanowiła proceder ukrócić. Według Dziada, jego brat wykpił się z kłopotów w miarę tanio. Pewna sędzina wydała nakaz zwolnienia go z aresztu, Wariat natychmiast zawiązał się do Niemiec. Sędzina w nagrodę dostała na własność kwaciarnię w warszawskim Śródmieściu.

Jakim cudem Wiesław N. opuścił wtedy Polskę, pozostanie jego świętą tajemnicą, ale najprawdopodobniej wyjechał za zgodą Służby Bezpieczeństwa. Wędrował trochę po świecie, z Niemiec pojechał do Kanady, znów wrócił do RFN. Tam wpadł w kłopoty, groziło mu aresztowanie, więc wrócił do Polski. Był początek lat 90., dla podziemia przestępczego zaczął się właśnie okres prosperity.

Czy Dziad to Wariat?

Być może to przykład ulicy Brzeskiej, gdzie tak skutecznie łamano monopol państwa na handel spirytualiami, podsunął Dziadowi pomysł na biznes. Wziął się mianowicie do rozlewnictwa i dystrybucji spirytusu wlewającego się w tym czasie do Polski. Transporty wjeżdżały całkowicie legalnie, bo ostatni rząd PRL uchylił furtkę, dzięki której można było importować spirytus bez koncesji. W latach 1989–1990 do Polski wwieziono, według ostrożnych szacunków, ok. 30 mln litrów czystego spirytusu. NIK obliczył, że straty skarbu państwa wyniosły ok. 1,7 bln starych złotych. W 1997 r. Trybunał Stanu uznał za winnych tych strat Dominika Jastrzębskiego, ministra współpracy gospodarczej z zagranicą, oraz Jerzego Cwieka, szefa Głównego Urzędu Ceł. Na tym sprawa się zakończyła, obaj ponieśli jedynie odpowiedzialność konstytucyjną, a nie karną – utracili na pięć lat bierne prawo wyborcze. Szybko okazało się, że Jastrzębski po odejściu z rządu stał się niesłychanie bogatym człowiekiem. Wziął się do biznesu, posiadał własne zakłady mięsne, a potem kupił kilka tysięcy hektarów ziemi w Bieszczadach.

Niewątpliwie sukcesy biznesowe Dziada miały swój początek w czasie, gdy kilkaset osób w Polsce błyskawicznie dorabiało się, przywożąc hektolitry spirytusu marki Royal. Henryk N. z pełną świadomością przyznawał się po latach do faktu, że łamał wówczas prawo, bo wprowadzał ten spirytus do obrotu już jako podrobioną wódkę. Upierał się, że to jedyna nielegalna działalność, jaką miał się zajmować. Ta szczerość była nawet zrozumiała, gdyż czyny, jakie popełnił, były już objęte przedawnieniem, nic mu nie groziło. – Zarobiłem cztery miliony dolarów, dla niektórych to mało, ale dla mnie dużo – snuł rozważania nad wartością kapitału. Czasu na przemyślenia miał pod dostatkiem.

Kiedy przygotowywaliśmy materiał do naszej książki, Dziad odbywał siedmioletni wyrok w więzieniu w Piotrkowie Trybunalskim. Potem czekały go jeszcze dodatkowe dwa lata za obrazę prokuratora podczas procesu w Białymstoku. Dziad upierał się, że skazano go za niewinność. Sąd uznał go winnym dwóch przestępstw: nakłaniania do napadu rabunkowego na małżeństwo R. w Warszawie oraz zlecenia zabójstwa Leszka D., ps. Wańka. Został uniewinniony z najpoważniejszego zarzutu, czyli kierowania grupą przestępczą o charakterze zbrojnym.

Dla sądu decydujące znaczenie w tej kwestii miały niejasności związane z prawdziwym pseudonimem Henryka. Otóż obrona umiejętnie podważyła wiarygodność pseudonimu „Dziad”. Oskarżony zeznał, że Dziadem nazywano przed laty jego starszego brata Wiesława, on sam zaś miał ksywkę Garbus. W latach 90. to policja i prasa ochrzciły go pseudonimem brata, a Wiesława z kolei nazwano Wariatem, z powodu nieobliczalnego charakteru. Wersja Henryka jest prosta – to jego brat był Dziadem i to on kierował gangiem. Nieoczekiwana zmiana pseudonimów szalenie jednak komplikuje narrację, dlatego nadal będziemy Henryka nazywać Dziadem, a Wiesława – Wariatem.

Wojna z powodu spirytusu

Imperium Dziada miało swoją stolicę na ulicy Klamrowej w Ząbkach, w dość wysłużonym domu jednorodzinnym. Tuż przed aresztowaniem w 1999 r. zdążył kupić – jak mówił – za 150 tys. dolarów hotel Vegas w Częstochowie. Stan posiadania wzbogacały: dom wielkości pałacu (1200 m²) we wsi Prace Duże pod Piasecznem, 87 hektarów ziemi w Miłkach na Mazurach, zakład kamieniarski w Ząbkach, kilka placów budowlanych (m.in. na osiedlu vipowskim w Chotomowie) oraz coś, co Dziad zawsze kochał najbardziej – gołębniki ze stadem liczącym kilkaset ptaków, same cenne okazy. Dziad od dziecka był zapalonym hodowcą gołębi, to była jego szczerą pasją. Kilka lat temu szacowano majątek Henryka N. na ok. 16 mln zł. Jakim cudem ten były sprzedawca pyz, a potem handlarz węglem, dorobił się takich pieniędzy?

Dziad sprawiał raczej wrażenie osobnika prymitywnego, prostackiego w obejściu, ale był niewątpliwie graczem przebiegłym. Małe, chytne oczka, nos po bokierskich przejściach – typowy praski cwaniak. Nabył podstawową umiejętność takiego lawirowania w światku przestępczym, aby z każdej opresji wyjść cało. Z jego opowieści wynikało, że choć nigdy nie kierował żadną gangsterską grupą, tak się dziwnie złożyło, że wszyscy czołowi stołeczni bandyci spowiadali mu się ze swoich kłopotów i życiowych planów. Traktowali go jak księdza w konfesjonale albo niczym ojca chrzestnego. Dziad zaś dobrotliwie doradzał im, jak wygrzebać się z problemów, ostrzegał przed nierozważnymi posunięciami. A na dodatek umiejętnie obracał ich gotówką. Do tego stopnia, że przez

pewien czas śmiertelnie skłócił się z rodzonym bratem Wiesławem, który podejrzewał, że Dziad po prostu ukradł mu oddany na przechowanie zbiór złotych monet.

W 1992 r. policja zatrzymała transport nielegalnego spirytusu i trzech mężczyzn. Byli to Dziad, Oczko i Słowik. Dwaj ostatni zyskali później sławę jako bossowie gangu pruszkowskiego (Oczko miał być szczecińskim rezydentem tej grupy). Cała trójka wygrzebała się z kłopotów do tego stopnia, że do dzisiaj w tamtej sprawie nie zapadł wyrok.

To zdarzenie dowodziło, że na początku lat 90. nie istniał podział na „Pruszków” i „Wołomin” – funkcjonowała jedna przestępcza organizacja. Wspólne interesy spirytusowe i wspólny wróg – policja. Ale już rok później wybuchły pierwsze nieporozumienia. Po wpadce transportu z alkoholem pruszkowscy zarzucili, że to przez niedbalstwo Dziada. Potem doszło do sporu o pieniądze. Dziad był winien pruszkowskiemu 100 tys. dolarów. Część długu oddał Zdzisławowi W., uważanemu wtedy za postać z pierwszego gangsterskiego szeregu. Zdzisiek miał jednak słaby charakter, bo podobnie jak Pershing uwielbiał hazard. Zamiast oddać kolegom odzyskane od Dziada 40 tys. dolarów, przegrał je w kasynie. „Pruszków” nadal więc domagał się od Heńka całej sumy, a ten rozzłoszczony oświadczył, że za karę nie odda ani grosza. Na dodatek we wszystko wmieszał się jego brat. A to już oznaczało prawdziwą wojnę.

Wariat strzela i do niego strzelają

Wiesław N., ps. Wariat, za wroga numer jeden uznał słynnego Pershinga. Postanowił go zabić, ale przez pomyłkę ostrzelał i zranił niejakiego Florka, ochroniarza Pershinga. Nie udało mu się także kolejny zamach na lidera grupy pruszkowskiej – bomba podłożona pod parkującym na wyścigach konnych mercedesem Pershinga wybuchła za wcześnie. Policja ogłosiła, że trwa wymiana ognia między dwiema grupami gangsterskimi – „Pruszkowem” a „Wołominem”. W rzeczywistości wojnę z „Pruszkowem” toczył osobiście Wariat. Udało mu się pozyskać poparcie Gdańska. – Wiesiek przyjechał do Nikosia i poprosił go o wsparcie – opowiada przyjaciel nieżyjącego już Nikodema S., niekwestionowanego lidera trójmiejskiego półświatka. – Nikoś miał na swoim terenie silną ekipę przestępców ściganych listami gończymi. Za namową Wariata, z którym łączyły go interesy i męska przyjaźń, wysłał ich na wojnę z „Pruszkowem”. Wiesiek wmówił Nikosiowi, że pruszkowscy się go boją i wszystko pójdzie gładko. On w to uwierzył i przez to zginął.

– Wiesław N. naprawdę zwariował – oceniał po latach Zygmunt R. z zarządu „Pruszkowa”. – Uznał, że my jesteśmy bogatymi biznesmenami i że warto nas porwać dla okupu. Lubiliśmy w tym czasie bawić się w hotelu Polonia. Kiedyś stoimy przed hotelem, na Jerozolimskich, a tu podjeżdża Wariat i grzeje do nas z karabinu maszynowego. No, kompletny debil.

Do legendy przeszła próba porwania Leszka D., ps. Wańka. Wariat znał go przed laty, zanim jeszcze uciekł z Polski do Niemiec, ale Wańka trochę się przez ten czas zmienił. Wariat dostał cynk, że Leszek D. pojawił się w hotelu Warszawa. Pojechał tam ze swoimi chłopakami i ambitnym planem, aby go zawiązać (w slangu gangsterskim: porwać). Stał w holu i rozglądał się nerwowo, kiedy podszedł jakiś człowiek i zapytał, co słychać. Wydawał się Wariatowi znajomy, dlatego zamienił z nim parę zdawkowych zdań, po czym oświadczył, że nie ma dłużej czasu na pogawędkę, bo przyjechał tu w pewnej niecierpiącej zwłoki sprawie. Znajomy odszedł, a do Wariata podbiegli jego ludzie. Wydawali się zdezorientowani, bo skoro przyjechali tu zawiązać Wańkę, to dlaczego ich szef z tymże Wańką tak przyjaźnie rozmawiał, a potem dał mu spokojnie zniknąć. Wariat próbował jeszcze naprawić swój błąd, ruszył pod Polonię, słusznie podejrzewając, że spotka tam Wańkę, ale „Pruszków” był już ostrzeżony i czekał z bronią w ręku. Doszło wtedy do ulicznej pogoni i strzelaniny. Na szczęście nikomu nic się nie stało.

Szczęście miał też wspomniany już Zygmunt R., kiedy przed drzwiami do jego mieszkania w bloku na ul. Ostrobramskiej w biały dzień wypalił potężny ładunek wybuchowy. Biegli stwierdzili później naruszenie konstrukcji budynku, bo w ścianie domu powstała wielka na dwa piętra dziura. Zygmunt R. odniósł niegroźne w sumie obrażenia. O zamach, zapewne nie bez racji, podejrzewano Wariata, ale policja nie umiała tego udowodnić.

Po kilku latach wzajemnych ciosów – wybuchy w należących do „Pruszkowa” knajpach Multipub i Eskada, w rewanżu dwa zamachy na Dziada i przynajmniej dwa na Wariata – w lutym 1998 r. zakończyła się ognista kariera Wiesława N. Zastrzelono go przed nocnym sklepem na ul. Płowieckiej. O zorganizowanie zamachu podejrzewano jednego z liderów „Pruszkowa”, Ryszarda Sz., ps. Kajtek, a wśród wykonawców mieli być Zbigniew W., ps. Zbynek, i Michał P. Tylko ten ostatni trafił do aresztu, ale po jakimś czasie został zwolniony. Długo już nie pożył. Zastrzelono go nad ranem, pod dyskoteką. Dostał kilkanaście kul.

Ale to nie wojna między „Pruszkowem” a „Wołominem” spowodowała największe spustoszenie wśród bandytów spod Dziadowskiego znaku. Większość ofiar padła z ręki własnych kumpli. Tak naprawdę bowiem „Wołomin” składał się z kilkunastu różnych grup, które na przemian albo ze sobą współpracowały, albo do siebie strzelały.

Śmierć w gołębniku

Słynny Dziad w strzelaninach udziału nie brał, a przynajmniej nigdy nie postawiono mu takiego zarzutu. Policja podejrzewała co prawda, że maczał palce w zagadkowym potrójnym morderstwie w pewnym gołębniku w podwarszawskim Rembertowie, ale to były jedynie wątpliwe poszlaki. Zastrzelono

tam 14 kwietnia 1995 r. dwóch hodowców gołębi: Wiesława Sz. i Bogdana C. oraz mężczyznę pracującego jako stróż w gołębniku. Wiesław Sz. był związany z gangiem Dziada, Bogdan C. – jego sąsiadem. Ponoć zginął przypadkowo, bo usłyszał strzały i przybiegł ze swojego gołębnika, gdzie akurat puszczał gołębie. Prawdopodobnie rozpoznał sprawców, dlatego go zastrzelili. Co ciekawe, w tym czasie poszukiwano go listem gończym. Dziwne to były poszukiwania, skoro Bogdan C. wcale się nie ukrywał.

Jedna z wersji śledztwa całkiem poważnie brała pod uwagę gołębie jako motyw zbrodni – rozważano, czy doszło do krwawych rozliczeń między hodowcami. Było powszechnie wiadome, że Dziad na punkcie tych ptaków ma kompletnego bzika i byłby zdolny do wszystkiego, gdyby ktoś ukraść mu cenny okaz albo sam miałby ochotę na wyznawca czy blajwindra z cudzej hodowli. Dodatkowego smaczku dodawał całej sprawie fakt, że to Dziad osobiście znalazł ofiary i wezwał policję.

Rozpatrywano też dwa inne powody, dla których to Henryk N. mógłby stać za morderstwem. Po pierwsze, panięskie nazwisko matki jednego z zastrzelonych było takie samo jak nazwisko uważanego za lidera gangu wołomińskiego Zygmunta R., ps. Bolo. W tym czasie grupie wołomińskiej przytrafiały się liczne wpadki, ktoś przekazywał informacje konkurencyjnemu „Pruszkowowi”. Szukano kreta. Policjanci jako jedną z roboczych wersji przyjęli więc, że zastrzelony w gołębniku mężczyzna współpracował z „Pruszkowem” i dlatego zginął. Mógł być też inny powód – właściciel gołębnika Wiesław Sz. miał z Dziadem nieuregulowane sprawy finansowe. Żadna z wersji nie została jednak potwierdzona. Po latach o tę zbrodnię zaczęto podejrzewać Słowika, który – rzekomo – chciał uwikłać w zabójstwa zniechęconego Dziada. Świadek koronny Jarosław S. zeznał, że egzekucję w gołębniku zlecił starzy pruszkowscy.

Morderstwo w rembertowskim gołębniku zdarzyło się w gorącym czasie. Wybuchy bomb, strzelaniny – w Warszawie panowała atmosfera wojenna. Policja w komunikatach dla prasy sugerowała, że wymiana ognia toczy się między „Pruszkowem” a „Wołominem”.

Porwanie syna Cebera

Był rok 1994 – do redakcji „Życia Warszawy” przyjechali osobiście Dziad i Czesław K., ps. Ceber. Obaj na sportowo: w dresach i adidasach, i raczej w kiepskich humorach. Dziad protestował przeciwko określaniu go szefem mafii wołomińskiej. – Ja jedynie chronię moich sąsiadów z Ząbek przeciwko pruszkowiakom ściągającym haracze – oznajmił. Ceber wszystkiemu przytakiwał i w ogóle wydawał się człowiekiem bezgranicznie Dziadowi oddanym.

Po około dwóch miesiącach ten sam Czesław K., ps. Ceber, zaprosił kilku dziennikarzy na nadzwyczajną konferencję prasową. Odbывała się w należącym do Dziada kantorze wymiany walut

w Ząbkach. Zrozpaczeni państwo K. – Czesław i Czesława – poinformowali, że porwano ich niespełna 22-letniego syna Darka. Podejrzewali, że stoi za tym „Pruszków” i osobiście Pershing. Ale dzisiaj już wiadomo, że porwania dokonali ludzie Mariana K., ps. Klepak (nazywanego też Mańkiem). Wywieźli Darka do domu letniskowego w Załubicach Nowych koło Radzymina, należącego do Klepaka. Stamtąd telefonowali do Cebera, negocjując okup. Żądali trzystu tysięcy dolarów, potem opuścili o połowę, w końcu wzięli niecałe sto tysięcy, bo Ceber więcej nie miał. Próbował nawet pożyczyć od Dziada, ale ten odmówił, co być może uzmysłowiło Ceberowi, że prawdziwych przyjaciół poznaje się w biedzie.

Klepak był bardzo ważną postacią w hierarchii wołomińskiej (pochodził zresztą z samego Wołomina). W tamtym czasie zajmował się m.in. przemysłem spirytusu i nielegalnymi rozlewniami, ale także ściąganiem haraczy i porywaniem ludzi dla okupu. Z Ceberem żył w przyjaźni do czasu, kiedy „Pruszków” zagrabił dwa tiry alkoholu należące do Klepaka i innego wołomińskiego lidera Ludwika A., ps. Lutek. Okazało się wtedy, że Ceber maczał w tym palce, bo był związany wspólnymi interesami z „Pruszkowem”. Klepak z Lutkiem domagali się zwrotu tirów, a Ceber gardłował, żeby nie oddawać.

Takiej zniewagi – tym bardziej, że chodziło o grubą kasę – Klepak nie mógł darować. Postanowił odrobić straty, porywając syna Cebera.

Chłopak przeżył straszne chwile, grożono mu śmiercią. Policja, która podsłuchiwała telefon jego ojca, zarejestrowała dramatyczną rozmowę Cebera z synem. Darek błagał, aby ojciec wpłacił pieniądze, bo oni go zabiją. Kim byli owi „oni”, Czesław K. dowiedział się już po uwolnieniu chłopaka.

Prawdopodobnie Ceber szantażował Klepaka. Groził, że cały „Wołomin” dowie się, kto porwał Darka. Próbowano go uciszyć. Najpierw wysłano delikatny, jak na gangsterskie obyczaje, sygnał. W lutym 1995 r. w ładzie zaparkowanej obok auta Cebera wybuchła zdalnie odpalona bomba. Nikomu nic się nie stało. Ceber chyba nie zrozumiał ostrzeżenia, bo dalej domagał się zwrotu okupu, jaki zapłacił za syna. 13 marca w willi Cebera w podwarszawskich Markach (przejął tę posesję od swojego dłużnika) wybuchła kolejna bomba. Czesław K. zginął na miejscu. Śmierć poniósł także jego gość, słynny przestępca z czasów PRL Jerzy Maliszewski, który w 1979 r. przy Domach Centrum w Warszawie postrzelił milicjanta.

Przygody Mańka Klepaka

Marian K., pseudonimy Klepak i Maniek (rocznik 1947, z zawodu tokarz, ojciec trojga dzieci), był współwłaścicielem kantoru i lombardu. Uważano go za bezwzględnego bandytę. W sierpniu 1994 r.

ludzie Klepaka zastraszała restauratorów z warszawskiej Starówki, domagając się haraczy za tzw. ochronę. Wybuchł skandal, bo właściciele staromiejskich lokali, aby wymusić na policji działania, ogłosili strajk i zamknęli swoje knajpy. Był środek sezonu, przez Starówkę wędrowało wielu zagranicznych turystów dopytujących się o przyczyny całego zamieszania. Władze miasta zmobilizowały policję i bandziom dano odpór. Klepak wyszedł z tej awantury bez szwanku.

W styczniu 1995 r. zatrzymano go aż w Szczecinie, wraz z Januszem K., ps. Malarz. Zarzucano im wymuszenia rozbójnicze, ale szybko wyszli na wolność. Klepaka ponownie aresztowano w czerwcu 1995 r. Tym razem zarzuty brzmiały poważnie: trzy porwania dla okupu. Jedno dotyczyło Darka K., syna Cebera, drugie Tadeusza K., a trzecie Andrzeja S. – wszystkich przetrzymywał w swojej dacy we wsi Załubice. Akt oskarżenia trafił do sądu, ale sprawa się przeciągała, tymczasem zmarło dwóch ławników, proces kilkakrotnie zaczynano od nowa. Jakimś sposobem Klepaka zwolniono z aresztu, miał odpowiadać z wolnej stopy.

Wyrok w tej sprawie jednak nie zapadł i już nigdy nie zapadnie. Wspólnik Klepaka i Ludwika A., Janusz K., ps. Malarz, został zastrzelony 11 grudnia 1997 r. przed swoim domem w Międzylesiu. Sam Marian K., ps. Klepak, poległ 31 marca 1999 r. w barze Gama (dawniej znanym pod nazwą Dorotka) na Woli. Wraz z nim śmierć ponieśli Lutek, Oskar, Kurczak i Łysy. Do dzisiaj nie schwytano sprawców tej masowej egzekucji. Podejrzewano, że za zbrodnią może stać mafia rosyjska, z którą Lutek wszedł w konflikt, a Klepak i pozostali zginęli, bo mieli pecha – byli w niewłaściwym miejscu o niewłaściwej porze i z niewłaściwym człowiekiem. Według drugiej wersji, bardziej prawdopodobnej, celem zamachu był Klepak, a pecha miał Lutek. Na Klepaka polował były żołnierz z jego grupy, Karol S. Chciał odstrzelić swojego do niedawna szefa, bo dobrze wiedział, że Klepak zamierza go zlikwidować. Sprawy między nimi doszły bowiem do punktu, w którym porozumienie już nie było możliwe.

Karol S. osaczał Klepaka, strzelając do jego ludzi. Na jego konto wpisano w styczniu 1999 r. zabicie w Aninie niejakiego Baniaka. To była pomyłka, bo Karol S. zasadzał się na Piotra W., ps. Kajtek. Szybko błąd sprostował, bo już w marcu tego samego roku pod restauracją T.G.I. Friday's w centrum Warszawy Karol ze swoimi bandytami zastrzelili Kajtkę. Śmiertelnie zranili też przypadkowego przechodnia, pracownika Teatru Wielkiego.

Masowego mordy w Gamie dokonano kilkanaście dni później. Karol S. został już osądzony prawomocnym wyrokiem. Za trzy zabójstwa (Gamy mu nie udowodniono) skazano go na dożywocie z możliwością ubiegania się o warunkowe zwolnienie najwcześniej po trzydziestu latach. Kilkakrotnie staraliśmy się o zgodę na widzenie z nim w Areszcie Śledczym w Radomiu. Wysłaliśmy stosowny list i dowiedzieliśmy się, że S. wyraża zgodę. Ale w przeddzień wyjazdu ekipy do Radomia funkcjonariusze służby więziennej poinformowali nas, że skazany zgodę na odbycie z nami rozmowy uzależnia od załatwienia mu pewnej drażliwej sprawy. Chciał mianowicie, abyśmy swoimi

wpływami spowodowali, że dyrekcja aresztu zgodzi się na odbycie przez niego tzw. miękkiego widzenia z żoną. To niestety przekraczało nasze możliwości i do spotkania nie doszło. Podczas ponownej próby, po kilku latach, Karol S. zażądał, za pośrednictwem więziennej administracji, laptopa i wszystkich tekstów, jakie pisaliśmy o nim – do spotkania ponownie nie doszło.

Lutek – specjalista od spirytusu

Zastrzelony w barze Gama razem z Klepakiem Ludwik A., ps. Lutek, oficjalnie był właścicielem pralni na warszawskim Żoliborzu. Prawdziwe interesy robił jednak na handlu przemyconym spirytusem. Uważano go za człowieka numer 2 w strukturze wołomińskiej, zaraz po Henryku N. W rzeczywistości Lutek nie był powiązany z jedną grupą. Miał opinię zdolnego biznesmena, potrafił inwestować i pomnażać pieniądze, dlatego cieszył się wysokimi notowaniami w gangu pruszkowskim, ale interesy robił też z gangami z innych rejonów Polski. Współpracował m.in. ze słynnym Carringtonem, nazywanym „królem spirytusu” ze Zgorzelca. Carrington przemycił alkohol z Francji i Włoch właśnie dla Lutka. Ten odbierał transporty już na terenie Polski i wiozł spirytus do swoich rozlewni.

Ludwik A. był w bliskiej przyjaźni ze Zbigniewem B., ps. Orzech, szefem przestępczej grupy w Poznaniu. Orzech miał to samo hobby co Dziad, hodował gołębie. Dobrze go znano w środowiskach sportowych – miał bowiem własną stajnię bokserów zawodowych: czterech Polaków i dwóch Ukraińców. Jego firma Banc-Boks Promotion handlowała z polskimi stacjami telewizyjnymi prawami do transmisji walk bokserskich. To właśnie Orzech sprzedał prawa do dwóch walk Gołoty – w Chinach i Las Vegas.

21 lipca 1997 r. zastrzelono w Poznaniu Rosjanina Andrieja Issajewa i jego ochroniarza Roberta S. Issajew z powodu licznych tatuaży na ciele nosił pseudonim Malowany. Był członkiem moskiewskiej mafii. O zlecenie zabójstwa podejrzewano Orzecha. Znał Rosjanina, robili wspólne interesy, ale doszło między nimi do poważnych nieporozumień. Malowany przestrzelił kolano jednemu z ludzi Orzecha. Ten rzecz jasna umywał od całej sprawy ręce. – To ja zaprosiłem Issajewa do Poznania – przyznawał kilka lat temu. – Mamy takie samo hobby, on też hoduje gołębie. Ale to nie ja go zabiłem.

Według prokuratury Zbigniew B., ps. Orzech, ściągnął do Poznania swoich wołomińskich przyjaciół, Ludwika A., ps. Lutek, i jego ludzi. To oni mieli zastrzelić Malowanego. Aresztowano Lutka i kilku jego chłopaków (m.in. Jacka K. i Cezarego L.), ale przedstawili niezbite alibi i szybko ich wypuszczono. Cezary (zwany Czarkiem-Oczko) podobno dał się złamać – zgodził się zeznawać przeciwko pozostałym jako świadek incognito. Niebawem został zastrzelony. Podobnie jak inny potencjalny świadek w tej sprawie, Andrzej G., ps. Junior, którego kule dopadły w 1998 r. w

przejściu podziemnym pod warszawskim hotelem Marriott. Lutek, jak wiemy, zginął w Gamie. Zbigniew B., ps. Orzech, w lutym 2004 r. za kierowanie grupą przestępczą i sprawę zabójstwa Malowanego został skazany na 12 lat więzienia.

Kikir umiera w bieli

W organizacji przestępczej zwanej „Wołominem” działały liczne grupy, które czasem ze sobą współpracowały, a czasem do siebie strzelały. Do najgroźniejszych należał gang markowski Andrzeja C. Kikira. Kikir nie chylił karku nawet przed samym Dziadem. We wrześniu 2000 roku w miejscowości Emilianów na trasie pomiędzy Warszawą a Wyszkowem z broni maszynowej ostrzelano samochód, którym jechał z żoną. Kikir miał przestrzeloną tętnicę, dostał też w ramię. Umieszczono go w szpitalu wojskowym przy Szaserów, przeszedł operację ręki i trafił na rehabilitację. Ale do zdrowia już nie wrócił. Miesiąc po zamachu do jego sali na drugim piętrze szpitala wszedł mężczyzna przebrany za księdza, z bronią ukrytą pod sutanną. Władował w Kikira cały magazynek. Strzały były śmiertelne.

Wynajęty do mokrej roboty za 100 tys. zł zabójca z Ukrainy Albert P., ps. Alik, wykonywał zadanie powierzone mu przez buntowników z gangu Kikira. Na ich czele stał Jerzy B., ps. Mutant (Jurij) – człowiek, który od jakiegoś czasu jawnie przeciwstawiał się rozkazom szefa. Poczł się na tyle silny, że utworzył swoją grupę, nazwaną od jego pseudonimu „Mutantami” (podobnie nazywała się grupa ze Świnoujścia, która łupiła handlowców na Wybrzeżu – byli tak napuchnięci od sterydów, że jakby zmutowani). Ludzie Jerzego B. żyli z porwań, handlu narkotykami, napadów na tiry oraz kradzieży samochodów, które następnie oferowano właścicielom w ramach „wykupki”.

Tamtej nocy, gdy Alik włożył sutannę, pod szpitalem stało kilku Mutantów. Jeden z nich, Robert C., miał powiedzieć: „Idźcie sprawdzić, czy ten chuj jest już sam, to się go w końcu odjebie”. Twarz killera ujrzała pielęgniarka roznosząca leki. Odepchnął ją i zaklął siarczyście. Alik zginął kilka miesięcy później, też od kul. Nie wiadomo, kto wydał na niego wyrok. W półświatku Mutanci budzili respekt, bo nie wahali się strzelać do konkurencji. Wiązano ich co najmniej z kilkoma zabójstwami, m.in. pewnego nastolatka, którego pomylili ze swoim wrogiem. Bandycki rozgłos zyskali 23 marca 2002 roku, kiedy wdali się w strzelaninę z policją. Doszło do niej w Parolach, na terenie posesji pewnego pasera. Policja namierzyła tira ze zrabowanymi telewizorami za milion złotych i kiedy robiła ich ewidencję, nadjechały trzy auta z uzbrojonymi po zęby Mutantami. Od kul z broni maszynowej zginął naczelnik sekcji kryminalnej policji w Piasecznie Mirosław Żak. Szef Mutantów przyjechał na odsiecz kumplom. Otworzył ogień do funkcjonariuszy, umożliwiając przestępcom ucieczkę (m.in. Robertowi C., który rok później zginął podczas akcji antyterrorystów w

podwarszawskiej Magdalence). Z ustaleń w śledztwie wynikało, że rannego naczelnika kryminalnych z Piaseczna dobił Jerzy B.

Po strzelaniu w Parolach Jerzy B. ukrywał się przez dwa lata. Kiedy wreszcie stanął przed sądem, usłyszał szereg zarzutów, w tym najcięższy – zabójstwa policjanta. Ale sprawiedliwość chadza własnymi ścieżkami, w maju 2008 roku sąd wymierzył mu karę 15 lat więzienia. Obrona wykazała, że oskarżony nie wiedział, do kogo strzela, a prokuratura nie znalazła dowodu, że to właśnie z broni Jerzego B. padły śmiertelne strzały.

Dopiero pod koniec 2009 roku śledczym udało się ustalić skład grupy buntowników, która wydała wyrok na Kikira. Spośród żyjących są to, poza Jerzym B., Marek K., ps. Muł, Krzysztof B., ps. Koziół (z tzw. gangu obcinaczy palców), Adam S., Wojciech Ć., ps. Ćwiara, oraz Rafał T., ps. Tołdi. Właśnie Tołdi wyjaśnił śledczym, dlaczego wysłano do szpitala „księdza”. W tle zlecenia na Kikira było głośne w mediach porwanie 17-letniego Kamila, syna biznesmena z Wyszkowa. Uprawdzili go buntownicy od Kikira, za uwolnienie chłopaka zażądali miliona złotych okupu. Kikir chciał wiedzieć, kto za tym stał. Buntownicy twierdzili, że nie mają pojęcia. Ale wyszło na jaw, że to oni. Kikir był wściekły. „Albo on nas zabije, albo my jego” – tłumaczyli między sobą decyzję o zgładzeniu szefa.

IX. Cmentarz wokół Dziada

Wywiad z Henrykiem N., ps. Dziad, którego fragmenty znalazły się w serialu *Alfabet mafii*, przeprowadziliśmy w więzieniu w Piotrkowie Trybunalskim. Wprawdzie Henryk N. od lat upierał się, że przypisywany mu pseudonim należy do nieżyjącego już brata Wiesława, ale swoją książkę zatytułował *Świat według Dziada*. Opowiedział w niej o sprawach prywatnych i kulisach pruszkowsko-wołomińskich konfliktów. W dwóch egzemplarzach, które nam zadedykował, napisał: „Henryk N. ps. Dziad – więzień polityczny III RP”.

W swojej biografii „więzień polityczny” dowodził, że za kratami znalazł się w wyniku spisku świadka koronnego, prokuratorów, sędziów i polityków. Podpytywaliśmy funkcjonariuszy więziennych, jak się sprawuje za kratami owa ofiara spisku. Przeważały opinie, że „ostry język to on ma, ale nie czepia się bez powodu”. Odgrażał się kilku strażnikom, że przeczytają o sobie w jego nowej książce.

Dziad łagodniał jak baranek, gdy z odwiedzinami przyjeżdżała do niego żona Jolanta. Podobno aż przyjemnie było patrzeć, jaka była z nich zgodna i kochająca się para. – Szczęście to jest mieć taką żonę jak moja Jola – mówił o niej Henryk N. – Mądra i piękna kobieta. Dzieci odchowała, wnukami się zajmuje, dom prowadzi. I zwierzęta kocha. Pościągła tego co niemiara: i psy, i koty, i papugę, i ptaka, co gada. Nawet małpę małą miała, ale to ladaco było i chałupę całą do góry nogami powywracało. Sami możecie to wszystko zobaczyć, bo żona do domu was wpuści. Tylko krzywdy mi jej żadnej nie zróbcie, nie wypytujcie, nie filmujcie, bo ona życie ciężkie miała. O mnie to sobie piszcie, co chcecie, ale Joli mojej spokój dajcie.

Jolanta N. rzeczywiście wpuściła do domu naszą ekipę, ale najpierw musiała się upewnić, że cały sprzęt nagrywający zostawiamy w samochodzie. Kiedy zza firanki w kuchni zobaczyła, że odpinamy wszystkie kabelki, wyciągamy z kieszeni dyktafony, demontujemy ukryte kamery – przywitała nas z uśmiechem na twarzy. Zaprosiła do kuchennego stołu (przy którym toczyło się rodzinne życie), zaparzyła kawę, podała ciastka, pokazała nam zdjęcia całej rodziny. Te z nieżyjącym szwagrem wypożyczyła nam nawet do *Alfabetu mafii*. – Narwany to on był – wspominała z nostalgią. – Trudny miał charakter, dobrych rad nie słuchał. – Na kilku zdjęciach obaj bracia siedzieli przy jednym stole, świętowali wraz z żonami (Jolanta, żona Henryka, oraz Ewa, wdowa po Wiesławie, są siostrami).

Ale takich zdjęć było niewiele, bo przez długi czas bracia byli poróżnieni.

Jolanta N. powiedziała nam wtedy, że książki męża nie przeczytała, bo taka literatura ją denerwuje. Wolała nie wiedzieć o ciemnych sprawkach Henryka. Przyznała, że kartony z niesprzedanymi egzemplarzami *Świata według Dziada* poupychała na strychu, żeby nie patrzeć na nie. Dziwiła się, po co Henryk takie głupoty powypisywał (Dziad twierdził, że książkę wycofano z księgarni w całym kraju, bo była niewygodna dla policji i polityków).

Dziad został skazany na siedem lat pozbawienia wolności i dodatkowo na dwa lata za obrazę prokuratora. Nie wydawał się być człowiekiem przegranym, liczył na majątek wielkiej wartości. Pod jego nieobecność skarbami zarządzała żona, a także dwaj synowie. Dziad miał z nimi jednak pewien kłopot, bo obaj wchodzili za młodu w poważne kolizje z prawem. Zdaje się, że nazbyt uwierzyli w legendę ojca i stryjka, wzięli ją sobie do serca i na starcie dorosłego życia ruszyli tą samą drogą.

Za swój największy sukces Dziad uważał sprawę sprowadzonego z Niemiec papieru, z którego zamierzano wyprodukować fałszywe ruble. Przez lata chętnie wspominał tę historię. Podawał ją jako przykład własnego sprytu i nieudolności policji. Aby czytelnik nie był zdany wyłącznie na jego relację, w naszej książce przytoczymy też fragment rozmowy z generałem policji Adamem Rapackim, z którym Dziad prowadził kiedyś negocjacje w kwestii zwrotu papieru rublowego.

Więzienie mnie uratowało

Fragment rozmowy z Henrykiem N., ps. Dziad:

– **Dlaczego znalazł się pan w więzieniu?**

– Bo komuś widocznie to pasowało. Komuś, to znaczy nie jakimś tam pruszkowiakom, tylko ja myślę, że to polityczna sprawa była. Wrobili mnie. I siedzę po prostu.

– **Jak to jest z tym pseudonimem? Kto był Dziadem? Pan czy pana brat?**

– Nawet to, że ja nie byłem nigdy Dziadem, już nie chodzi o sprawy majątkowe, ja nigdy nie miałem takiego pseudonimu, tylko mój brat. To już nawet sąd w Białymstoku uznał, że świadek koronny, kiedy mówił Dziad, to Dziadem określał mojego brata. I sąd to nawet podkreślił w uzasadnieniu wyroku, ja nigdy nie miałem żadnego pseudonimu. Kiedyś tam, jak byłem młody dzieciak, zabiedzony, to mówili na mnie Garbus. Potem pseudonim znikł, jak się przeprowadziłem na Pragę. Od siedemnastu lat dokładnie. I nigdy w życiu żadnego pseudonimu nie miałem. Mój brat miał całe życie pseudonim Dziad. No, miał tam sprawy nie w porządku. Wyjechał do Niemiec. Tam też miał nie w porządku, wyjechał do Kanady. I tak trochę zapomniano o nim. No, wrócił po jakimś tam czasie. I akurat w tym momencie jakieś tam spirytusowe afery były i tak dalej. Wrócił trochę zgołaszony, że tak można powiedzieć, tam potracił pieniądze, na narkotykach, na różnych tam samochodach, i przyjechał tutaj

bez pieniędzy. Ale musiał uciekać, bo po prostu tam znowu miał wyrok do odsiadki. Wpłacił kaucję, którą tam zostawił, bo wybrał wolność. Ja też na jego miejscu to samo bym zrobił. No i zorganizował tam przerzut w Niemczech papieru, legalnego papieru na ruble, i po prostu ja się w to wmieszałem. Ale po prostu, niechcący, można powiedzieć, wmieszałem się w to. Nie wiedziałem na początku, że on mnie oszukał. Że to grupa z Rosji czeka, żeby ten papier przejąć, ja nie wiedziałem, że to na ruble ten papier. Brat powiedział, że duże pieniądze można zarobić albo kulkę w łeb. A ja to uznałem za żart. No i po prostu ukradłem panu Rapackiemu pięć ton papieru, którego pilnowali jak oka w głowie.

– **A czemu pan mówi, że to Rapackiemu pan ukradł?**

– Bo Rapacki był odpowiedzialny za ten papier razem z Niemcami. Od granicy jeździli za ciężarówką, ale myśmy tam wjazdy pozostawiali, samochód niby się zepsuł, w lesie stanął, drugi z papierem pojechał, miał taki sam, identyczny kolor, niebieski maz. No i po prostu zrobiliśmy ich.

– **Gdzie ukryliście ten papier?**

– Tu 300 kilo, tu 200, tu 500, tu 200, bo to w ryzach było. I u chłopaków pochowane było, pod łózkami. Ja nie wiem, bo każdy brał na swoją odpowiedzialność. No i po prostu patrzę któregoś dnia: telefon jest, i przedstawia mi się w słuchawce: Jestem z komendy głównej, Rapacki, jeszcze nie był generałem wtedy. Czy mógłbym się z panem spotkać? Ja mówię: Dlaczego nie? No i pojechałem, ale nie na komendzie się spotkaliśmy, tylko koło komendy. Czy ja zwrócę ten papier, ten tego? Ja mówię: Jak pan zwróci pieniądze, tam koszta były. No, nie ma sprawy, zwrócimy, bo wie pan, co to by było, no, zniszczyliby nas, mówi. Wie pan, bo gdyby to jakieś dolary były, to pał to lichy, panie, mówi. Ja bym z panem nie chciał rozmawiać, mówi. Ale to papier na ruble, wie pan, co to znaczy? Ruskie pieniądze, oni nas zniszczą, mówi.

Porozmawiałem z takimi chłopakami, co to rozsądne. Chłopaki mówią: Słuchaj, ale gdzie to wyrzucić? Ja mówię: Nie wiem, gdzie chcecie... Dla mnie to i pod domem może być. Za jakąś godzinę przyjeżdżam, patrzę, pełno papieru u mnie pod furtką. Ale nie pod moją posesją, bo mam kilka posesji na tej ulicy. Szybko za telefon i dzwonię, żeby przyjechali posprzątać. Radiowóz przyjechał, ciężarówka, i zabrali.

– **To heca była z tym papierem, ale chyba nic pan nie zarobił?**

– Ja? Dołożyłem! Przyznaję szczerze, że dołożyłem. Brat obiecał z tego milion. Bo my zostawiliśmy 1300 kilo tego papieru, no, bo jak taka kicha wyszła, a z tego po prostu, co wiem, to brat nie chciał nawet zamawiać w Niemczech więcej niż 1300 kilo. Tylko Niemcy nie zgodzili się na 1300 kilo, bo mówili, że produkcja będzie za mała. Że 5 ton mogą zrobić najmniej. No i tak wyszło. I brat zostawił te 1300 kilo, no i narobił tych rubli. Narobił. Tak że był rynek zarzucony i tak dalej... Tak że po prostu wyszło. Im nie wyszło, a nam wyszło. Tyle że ja na tym straciłem.

– **A na spirytusie pan zarobił?**

– Ooo! Ogromne pieniądze! Ogromne. Zależy jednak, dla kogo ogromne. Ja nie mówię, że dla Kulczyka, który tam zarobił dzięki jakimś tam swoim znajomościom. Ja nie mam znajomości. Ja na spirytusie zarobiłem. Ale bardzo duże pieniądze.

– **Szacował pan kiedyś ile?**

– No, jakby to wszystko z tym wszystkim? Ze 4 miliony dolarów. Dla mnie to są duże pieniądze. Dla kogoś mogą być małe, a dla mnie są duże.

– **Jak to się zaczęło z tym spirytusem?**

– Chłopaki z Pragi przyjechali, którzy się zajmowali tym. No, zajmowali się, wiadomo, że nie brali od jakichś tam kolegów, tylko z rządu, czyli, załóżmy, od S. brali [Ireneusz S. – były wicepremier w rządzie Mieczysława Rakowskiego, w latach 1993–1995 szef GUC, w 1999 r. zmarł w wyniku postrzału, oficjalnie stwierdzono samobójstwo, ale okoliczności były nietypowe, bo rzadko który samobójca strzela do siebie trzy razy, i to w brzuch, a nie w głowę – przyp. aut.]. Bo S. u mnie pod domem był z nimi. Chował się tam, czapką przykrywał, żeby go ludzie nie rozpoznali. Przyjeżdżał i proponował mi różne spirytusy, na kredyt. Ruskie też się tym zajmowali. Ja w tym czasie akurat zostawiłem węgiel, na którym też naprawdę spore pieniądze zarobiłem, ale w tym czasie węgiel już się kończył. No i wziąłem się za to. No i weszliśmy w spółkę, i zaczęliśmy wódkę robić po prostu.

– **Jaka przebitka była? Ile litr kosztował?**

– Spirytusu? To było różnie wtedy. Spirytus kosztował, dolar był wtedy po 10 000, 9,700 powiedzmy, to żeśmy kupowali po 32 000 za litr spirytusu, czyli po niecałe 4 dolary kupowaliśmy. Nieraz całego tira sprzedaliśmy i zarobiliśmy 10 000 dolarów. A nieraz tylko pół godziny, beczki się kopło, spadły i zarobiło się 40 000 dolarów. Jednego dnia. No, różnie było.

– **Ale raz chyba panu nie wyszło, prawda?**

– Nie. Nigdy nie miałem wpadki.

– **A ta historia z Oczkiem i Słowikiem?**

– A, to nie był mój spirytus. To był Słowika spirytus i Oczka spirytus.

– **Jak to się stało, że pan wpadł razem z nimi?**

– Oni przyjechali do mnie, nie wiedzieli, gdzie magazyn jest tego gościa, od którego brali ten spirytus. Po wódcę wtedy byłem. No i pojechałem pokazać im ten magazyn. No i wyczuliśmy, że tam jest policja. Bo tam tak za cicho było, tam nic się nie działo, to w lesie. I chcieliśmy zakręcić. Patrzmy, a tam reflektory na nas. Na ziemię nas rzucili, przy nich broń znaleźli i tak dalej. A ja z tej sprawy zostałem oczyszczony. Dziesięć lat minęło.

– **Z kim robił pan najlepsze interesy?**

– Nazwiska to nie mogę wymienić. Ale tak jak powiedziałem przed chwilą, z politykiem S. Bo on po prostu dawał w komis. On się nie martwił o pieniądze. Ile tirów? Trzy, pięć? Dobra, brać! Im chodziło o to, żeby gdzieś upchnąć towar. Jak wzięli i pobrali, to musieli gdzieś to upchnąć, nie?

– Czy prawdą jest to, co mówią ludzie ze strony „Pruszkowa”, że ta pierwsza krwawa wojna między wami a pruszkowskimi poszła o wódkę? Że Masa i Kielbasa rabowali transporty przemytników z Hamburga? I Hamburg dał pieniądze, żeby ich odpalić?

– Tak. Dokładnie. To jest prawda. Masa i Kielbasa nie sprowadzali spirytusu. Oni tylko zabierali. No, taka jest prawda.

– Duża wtedy kasa poszła za głowę jednego i drugiego?

– Dokładnie to ja nie powiem, czy dużo, czy niedużo. Bo to ja bym musiał brać z tej kasy. A ja nie byłem przy tym. Ale z tego, co wiem, to na pewno, bo mnie Lutek mówił. Mnie Lutek wszystko przekazywał, bo on był z Mańkiem Klepakiem w „Wołominie” i on mi wszystko przekazywał.

– Wydaje się, że pana wiedza musiała być ogromna w tamtych czasach, bo kilka razy pana też próbowali sprzątnąć...

– No, oczywiście. Strzelali do mnie, bomby podkładali. Raz na halę do mnie przyszedł, tam, gdzie moja żona ma zakład kamieniarski. Wszedł w biały dzień, wyjął pistolet i strzelił. No, że nie trafił, to nie trafił, ale w betonie do dziś kulka jest.

– A bomby skąd były?

– Bomby to z „Pruszkowa”. Pruszkowiaki płacili takiemu chłopakowi i to on mi podkładał. Trzy bomby mi podłożył. Jedna pod samochód 5 kilo, czy wpierw pod śmietnik? Już nie pamiętam. A trzecia bomba na kantor, pięciokilowa. Policja zdjęła tą z kantoru.

– Czy to bracia D. na pana polowali?

– Ja w ogóle Wańki nie znałem. Ja jego brata trochę znałem, Maliznę. Siedzi tutaj. Jest tutaj obok w celi.

– Widujecie się?

– No nie, nie widujemy się. Ale wszystko wiem, bo Wańka listy pisze. Po tym, jak oskarżyli mnie [miał zarzut zlecenia zabójstwa Leszka D., ps. Wańka – przyp. aut.], to napisałem do niego list i wytłumaczyłem po prostu, jak było. I on mi wytłumaczył, jak było. Mówił, że z góry wiedział, że to jest lipa. Że prokurator mówił takie głupoty. Za co miałbyś chcieć zabić, pisał, jak my nie mieliśmy najmniejszego ze sobą kontaktu. Ty nie miałeś motywów, pisał, żeby na mnie jakieś tam zlecenie dawać. Za co? Bo żeby to było na jego brata Maliznę – to rozumiem. Bo z tego, co wiem, to jego samochód miał być pod mojego brata domem. I on tam miał brać udział w zamachu na brata, ale ja nie mówię, że on tam był, bo nikt nie widział, że on tam był. Niby mówią, że tam Słowik był, nie? Tak wszyscy mówią. I wtedy, gdybym ja zlecił na tego Maliznę, to jeszcze by miało jakiś sens. Ale nie na Leszka.

– Wyjaśniliście to sobie po latach?

– No tak. Ja napisałem do niego, on do mnie i tak wyjaśniliśmy sobie. I piszemy do siebie więcej nawet w tej chwili.

– **Proszę opowiedzieć, jak to było między panem a Pershingiem? Mieliście jakieś zatargi?**

– Ja Pershinga nie znałem, powiem prawdę. Ja poznałem go u siebie w domu, przez dziennikarzy jakiejś gazety. Jego przywieźli do mnie do domu te dziennikarze i my sobie porozmawialiśmy. I on mówił, że my się w ogóle nie znamy, nie widzieliśmy się. I to była taka prawda. Ja Pershinga nie znałem. Później do mnie przyjechał, sam, porozmawialiśmy, wyjaśnialiśmy sobie kilka spraw. Mój brat, oczywiście, chciał go zabić, ale mój brat go nie znał. Brat go w ogóle nie znał.

– **To skąd miał do niego takie uprzedzenie?**

– Skąd? No bo wiedział, że Pershing wszystkimi rządzi, to chciał od góry zaczynać. I według mnie miał dużo racji, że od góry zaczynał. Jak ja bym miał nasz rząd sprzątnąć, to wiadomo, że od Millera bym zaczął.

– **Ostrzegał pan brata, czym to się może skończyć?**

– Oczywiście. Mówiłem mu: Słuchaj, mieszkaj u mnie, bo wiem, że za tobą jeżdżą. Jeżdżą na sto procent. On mówi, że wie i że był u wróżki, a ona mu powiedziała, że w łóżku umrze, jak będzie miał siedemdziesiąt trzy lata. A skoro tak mu powiedziała, to mogą sobie strzelać. No i faktycznie strzelali do niego. Raz maszynowe im się zacięły, drugi raz cały samochód postrzelali, kul pełno w drzwiach, a on przeżył. Po prostu uwierzył we wróżkę, że w czepku urodzony. No i niestety, tak wyszło, jak wyszło.

– **Szukał pan sprawiedliwości za śmierć brata?**

– Nie. Bo taki, który zabił, to dostałby góra do pięciu lat wyrok. Jak ja bym był sędzią sprawiedliwym, dałbym góra pięć lat.

– **Dlaczego zginął pana kolega, Ceber?**

– Z Ceberem trzymaliśmy gołębie, w kantorze mieliśmy gołębniki. Jak mu tego Darka porwali, syna, to on zaczął szukać dziury w całym. Od każdego pieniędzy chciał, od każdego szukał, wymuszał. Zaraz potem Ceberowi bombę podłożyli pod samochód. On przechodził z żoną i jakiś samochód tam stał. I wybuch był. On do mnie zadzwonił i mówi: Co ty tego, mi bombę podkładasz?! Ja mówię, ty świnió, daj sobie spokój, zacząłem go wyzywać od różnych takich. I tak dalej. I Ceber zaczął sobie drugi kantor otwierać w Ząbkach. I on mówi – to oddaj mi pieniądze. No to ja mu oddałem, załóżmy, w środę, a on w piątek zginął. I ja mu te dolary zaniósłem, rozliczyliśmy się, on podziękował, rozstaliśmy się. I powiedział jeszcze, że wie, kto mu Darka porwał, ale nie chciał powiedzieć kto. Na sto procent wiedział.

– **A pan się domyślał, kto?**

– Ja od razu wiedziałem. To Lutek mu porwał i Klepak. Wiadomo, że to nie oni sami zrobili, tylko chłopaki, a oni sygnał dali.

– **Jak zginął Ceber i kto stał za jego śmiercią?**

– Zginął, według mnie, bo odkrył, kto mu porwał syna. W taki sposób odkrył, że syn, jak go

wypuścili, po jakiejś tam orientacji w końcu dotarł na działkę, gdzie go trzymali, a ta działka była własnością Klepaka. Ceber policji powiedział, że wie gdzie i że on tylko chce swoje pieniądze, 120 tysięcy dolarów, żeby mu Klepak z Lutkiem zwrócili. Żeby policja im odebrała, żeby ich aresztowała albo żeby oddali dobrowolnie. I żeby z tych pieniędzy trzydzieści tysięcy policja sobie wzięła. I tak policja odkryła, kto syna Cebera porwał i że na tej działce jeszcze jeden był przetrzymywany, koszulę znaleźli. Klepak za to siedział, za te porwania. No i moim zdaniem – moim zdaniem, bo ja nie mówię, że tak było na pewno – Lutek miał zapłacić 150 tysięcy dolarów chłopakom. Sam to raczej nie, bo Lutek nie był według mnie do takich rzeczy zdolny. Lutek mógł tylko zapłacić. Zapłacił i podłożyli bombę Ceberowi, no i Ceber zginął. I ten drugi, Maliszyszczak Jurek też.

– **Jak pan to ocenia: czy to jest w porządku? Przecież Ceber to był pana człowiek.**

– Już w tym czasie to nie był mój człowiek.

– **Ale to jest tak honorowo podkładać bombę?**

– No to jest tak, że pieniądze przemówiły, 150 tysięcy dolarów. Bo byłaby opinia, że to Lutek porwał, że Klepak, może to o opinię chodziło bardziej niż o pieniądze. Tego nie wiem, bo mi Lutek akurat o tym nie mówił.

– **Lutek wszystko panu mówił?**

– Nie wszystko, ale o Czarku-Oczko mi mówił. Lutek się dowiedział od policjanta, że Czarek, taki Oczko z Wołomina, chciał być świadkiem incognito w sprawie poznańskiej, tego Malowanego, co zarzucali Lutkowi, że go zastrzelił. Bo Czarek-Oczko tam był przy tym, bo Lutek go wziął. I ten Czarek z policją zaczął współpracować i Lutek się dowiedział i zaraz go zakopał dwa metry pod ziemią. O tym to mnie Lutek mówił. A w tej sprawie Cebera to różnie, różnie, ale to są moje domysły, ale to po prostu moja wersja, która wydaje mi się jak najbardziej logiczna, ale pewności nie mam żadnej. O Czarku to mi powiedział, o tych mi mówił, a o tym mi nie powiedział, nie rozmawialiśmy na ten temat.

– **Dlaczego zginął Czarek D., pana bliski znajomy?**

– No, Czarek ojca miał takiego nie do zniesienia, że po prostu od małego go katował, bił, na smyczy na spacer prowadzał. No, kat, można powiedzieć, stary kat, bandzior i tak dalej. I to nie tylko moja opinia, ale wszystkich chłopaków. On siedział ileś tam lat w więzieniu, no, debil był po prostu, ten Jacek D., wszyscy się go bali, nie tylko Czarek, tylko cały „Pruszków” się go bał po prostu. On należał do „Pruszkowa”, w tym czasie okradał tiry. Czarka wziął do tego, tylko że Czarkowi nie dawał pieniędzy, a działki były ogromne, miliony dolarów do podziału na wszystkich, a było ich ze trzydziestu, z tego, co wiem. Napadali na tych z Gdańska, co spirytus tam tego, no, wszystkich zawijali do lasu, a mieli tam jakieś miejsce pod Pruszkowem, gdzie ich wozili, lali, wymuszali i tak dalej. I Czarkowi nie dawał pieniędzy. Czarek od niego pieniądze pożyczył na samochód, musiał mu zwrócić, bo jak nie, to do lasu miał pojechać. No, on się panicznie bał tego ojca. No, a Czarek zginął,

według mnie, bo pruszkowiaki zabili go za Jacka, który wcześniej zginął.

– **Najpierw ojciec, potem syn?**

– Tak. Za ojca mieli go zabić. No i zginął. Z automatycznych pistoletów rozwalili go, podziurawili go po prostu. No i mówią, że to pruszkowiaki, ale pruszkowiaki to jest duże pojęcie, bo niejeden na przykład jest z Pragi, a mówili na niego pruszkowiak. Ja tam ich nie znałem po nazwisku, do szkoły z nimi nie chodziłem. To tyle mogę powiedzieć na temat Czarka, że zginął – tak jak mówią – z rąk pruszkowiaków.

– **Ci z „Pruszkowa” nie mieli pretensji, że Czarek D. od nich do pana przeszedł?**

– No, mieli. I to okropną. Największą miał Masa. Czarek mnie lepiej szanował, niż gdybym był jego ojcem. Spotykał się z Masą i z Kielbasą, bo oni wtedy jeszcze byli razem, spotykał się vis-à-vis sądu, w jakiejś kawiarni, nie wiem. I oni mówili mu, że mają pretensje do niego. Oni winni byli mu 90 tysięcy dolarów, co od Jacka, jego ojca pożyczyci. Spłacali mu po 10 tysięcy, raz czy dwa razy. No i nie spłacili, bo Czarka zastrzelono.

– **Czarek przeszedł do pana, a czy zdarzyło się coś takiego w drugą stronę, żeby pana ludzie przeszli na pruszkowską stronę?**

– Ludzie?! Ja nie miałem ludzi, ja miałem tylko znajomych. To jest mit po prostu! O jakich ludziach mowa? No, mój brat miał ludzi! Ja nie miałem żadnych ludzi. Ja poznałem tylko kilku kolegów.

– **Ale to do pana wszyscy przychodzili po radę, panu się żalili.**

– No, oczywiście, wszystko wiedziałem! Każdy z najmniejszą sprawą przychodził do mnie. Kolejki się ustawiały. Tak było!

– **Czyli to brat był szefem, a pan raczej konfesjonałem?**

– Żadnym szefem! Ja z bratem się kłóciłem. Ja z bratem bardzo źle żyłem.

– **To kto właściwie był szefem „Wołomina”?**

– Lutek i Maniek. Z „Wołominem” nie mieliśmy nic wspólnego. To w ogóle jest mit! Ja – „Wołomin”, szef „Wołomina” i tak dalej. Lutek i Maniek byli szefami „Wołomina”, oczywiście! I młody Klepak, syn starego Klepaka Mańka. Trzymał tych młodych, a stary starych trzymał. Oni umieli zarobić, oni umieli ludzi trzymać, oni płacili ludziom, zarabiali, dawali ludziom różne rzeczy do handlu, różne rzeczy tam z tirów, handlowali i każdy zarabiał. A „Pruszków” nie umiał zarabiać i tylko zabierać umiał.

– **Czy słuszny jest podział na mafię wołomińską i pruszkowską?**

– Niesłuszny. Z tego, co ja wiem, mafia to jest w rządzie. Okradli społeczeństwo, to jest mafia, a „Pruszków” i „Wołomin” to jest taka po prostu legenda. „Pruszków” – tak jak mówię – to zabierał spirytus, to nie była żadna mafia, to była grupa zorganizowana. Klepak przy jednym stole z Lutkiem, z Pershingiem razem jedli, kradli. Żadnej nie było mafii wołomińskiej. Wojna „Pruszków”–„Wołomin”, jak ją nazywali, to była wojna mojego brata z „Pruszkowem”. Do brata przychodzili różni na skargę.

Chłopaki nie mieli wyjścia, za broń złapali, no i z bratem byli razem. Ale to żadnej mafii nie było. Mafia to jest w rządzie, tak jak mówię.

– **To po co te wszystkie zamachy, egzekucje, strzelanie jeden do drugiego?**

– Tylko o kasę szło. Te wszystkie morderstwa to są nawet nie setki, ale ludzi zginęło znacznie więcej. I nadal giną. Nawet Bartek, co był z Mokotowa i był u Masy, też w tej chwili zaginął i został zakopany.

– **Tamci ginęli, a pan żyje. Czy to dlatego, że pan jest takim szczęściarzem?**

– Wiedziałem, że mnie nie zabiją, bo miałem po prostu informacje. Wiedziałem, że dopóki brata nie zabiją, to i mnie nie zabiją. A ja nikomu nic nie zabierałem, nikogo nie zabijałem, ale może więzienie mi życie uratowało. Bo może jakbym tu nie był, tobym nie żył. Też tak może być. Nie wiem. Naprawdę. Może farciarzem jestem.

Mogli obalić bank rosyjski

Fragmety rozmowy z gen. Adamem Rapackim:

– **Dla Dziada epizodem, o którym najchętniej opowiada, jest sprawa tzw. papieru rublowego?**

– Rzeczywiście taka sprawa była, grupa wołomińska sprowadziła papier niemal identyczny jak papier, na którym można było produkować ruble. Sprowadzili tego, jeżeli dobrze pamiętam, około półtorej tony i zamierzali wyprodukować z tego ruble. Mieli kontakty z gangsterami rosyjskimi, którzy zamierzali to wprowadzić do obiegu na terenie wielkiej Rosji.

– **Dziad twierdzi, że was wyprowadził w pole.**

– Policja monitorowała wszystko, co się działo w tej sprawie. W sumie doprowadziliśmy do aresztowania kilkudziesięciu przestępców, zlikwidowaliśmy drukarnię, w której uruchomiono produkcję fałszywych rubli. Zatrzymaliśmy kilkudziesięciu dystrybutorów, na terenie Rosji również zatrzymano całe grupy przestępcze, które rozprowadzały te ruble. Odzyskano zdecydowaną większość papieru.

– **Zapadły wyroki?**

– Tak, zapadały wyroki w stosunku do drukarzy i dystrybutorów, to było kilkadziesiąt spraw prowadzonych w różnych częściach kraju i również poza granicami, ponieważ część dystrybucji odbywała się na terenie Rosji i tam też były zatrzymania i realizacje. A same drukarnie były tutaj organizowane przez ludzi związanych z „Wołominem”.

– **Według Dziada cały ten interes wymyślił jego brat Wariat. Obaj nie trafili za ten numer na ławę oskarżenia.**

– Za samo sprowadzenie tego papieru faktycznie nie zostali oskarżeni.

- **Przecież Wariat ten towar zamówił, zapłacił i sprowadził do Polski.**
- Działał cały zespół ludzi, między innymi Dziad, między innymi Wariat, było kilku gangsterów rosyjskich, którzy współpracowali tutaj z nimi w tej sprawie. Zdecydowana większość z nich odpowiadała przed sądem i otrzymała wyroki skazujące.
- **Według Dziada to pan prowadził z nim negocjacje w sprawie zwrotu tego papieru policji, a on właściwie zachował się po obywatelsku, bo kilka partii papieru podobno dostarczył.**
- On nie miał wyjścia. Rzeczywiście były prowadzone takie negocjacje, bo w pewnym momencie działania gangsterów wymknęły się spod naszej kontroli. Mieli wprost powiedziane, że rzucimy ogromne siły policyjne i całą tą strukturę wołomińską wsadzimy do zakładów karnych i udowodnimy im działalność przestępczą. Zostali zmuszeni, by ten papier zwrócić, a nasze działania doprowadziły do miejsca, gdzie był przechowywany ten papier i gdzie była uruchomiona produkcja fałszywych rubli.
- **Dziad twierdzi, że sam dzwonił na policję, aby zawiadomić, że pod jego posesją stoi samochód z papierem.**
- Część tego papieru właśnie w ten sposób oddawano. Poszczególni członkowie grupy ukrywali ten papier w różnych miejscach i w taki sposób oddawali policji, by mieć spokój, ale to był tylko pozorny spokój, bo za swoją działalność przestępczą musieli odpowiedzieć i odpowiedzieli.
- **Czy cały papier odzyskano?**
- Z niewielkiej części uruchomili produkcję fałszywych rubli, dlatego też zostali zatrzymani dystrybutorzy, ustalono kanały przerzutu tych rubli wyprodukowanych w Polsce i ustalono drukarnie, w których produkowano fałszywe ruble.
- **Ta sprawa z rublami świadczy, że doszło do zbratania naszych grup przestępczych z grupami zza wschodniej granicy. Chyba wietrzyli w tym sposobność zrobienia świetnego interesu?**
- Tak, to mógłby być znakomity interes, gdyby im tak do końca wyszedł. Wyprodukowanie fałszywych rubli z takich ilości papieru mogłoby obalić bank rosyjski, sprawa była bardzo poważna.
- **Były naciski na politycznych szczeblach, by sprawę szybko załatwić?**
- Może nie aż naciski na politycznych szczeblach, ale sprawa była na tyle duża, że groziła skandalem.

Ostatni wywiad Dziada

Od tamtej rozmowy wiele się zmieniło. Kiedy Henrykowi N. pozostało do końca kary kilkanaście miesięcy, spotkała go największa tragedia, jaka może dotknąć ojca – śmierć syna. Paweł N., nazywany w półświatku Mrówą, zginął od kul w gangsterskiej egzekucji, podobnie jak przed laty brat

Henryka, Wiesław. Dziad już nie podźwignął się po śmierci dziecka. Wkrótce zmarł w więzieniu. Jego pogrzeb niemal zbiegł się w czasie z narodzinami pierwszej dziewczynki w rodzinie – na świat przyszła upragniona wnuczka Henryka i Jolanty N. Urodziła ją wdowa po Pawle.

W pewnym sensie byliśmy blisko tamtych wydarzeń. Po emisji serialu *Alfabet mafii* mieliśmy okazję jeszcze raz spotkać się z Dziadem, obserwowaliśmy bacznie, jak bliscy i przyjaciele szykują się do jego powrotu do domu. Z tamtych spotkań zachowaliśmy nie tylko wspomnienia, ale też taśmy z nagraniami i notatki, a wśród nich – ostatni wywiad prasowy w życiu Henryka N.

Spotkanie z Dziadem odbyło się w lipcu 2007 roku, w ZK w Czarnem, gdzie nasz rozmówca zajmował celę numer 240. Dobiegał sześćdziesiątki i wyglądał znakomicie: był pełen wigoru, uśmiechnięty, zrelaksowany, ogolony. Przywitaliśmy się niemal jak starzy znajomi, długo rozmawialiśmy przy stoliku w sali widzeń. Dziad mówił, że jest szczęśliwy, bo dzień wcześniej urodził mu się kolejny wnuk. Odliczał dni, które pozostały mu do końca kary, podsumował, że to jeszcze 14 miesięcy, ale miał nadzieję, że wyjdzie wcześniej. Był rozmowny jak nigdy dotąd, opowiadał o swoich planach na przyszłość, mówił, że chce wydać dwie książki, wybudować nowy dom, zająć się ogrodem i wnukami.

Był dumny ze swoich dwóch synów. Twierdził, że obaj świetnie radzą sobie w interesach, zarabiają miliony i nie muszą kraść, jak ich ojciec za młodu. Po wyjściu na wolność Dziad chciał się ustatkować, przejść na gangsterską emeryturę. Skarżył się jedynie na nie najlepsze zdrowie i służbę więzienną, która rzekomo nie chciała pozwolić mu na leczenie.

Oto zapis tamtej rozmowy:

– **Nieźle pan wygląda, panie Henryku.**

– Może i nieźle, ale chory jestem.

– **Co panu dolega?**

– Tętniaka mam. Od dawna. Nie nadaje się do operacji.

– **Brzmi groźnie.**

– No właśnie, to tętniak jest groźny, a nie ja. A mnie tu wmawiają, że symulant jestem, niebezpieczny dla otoczenia. Leczyć się muszę, ale tu nie będę. Konowałam więziennym nie dam się dotykać.

– **Nie boi się pan, że pęknie?**

– Jakbym się tak ciągle bał, to dawno bym umarł. Mój adwokat wywalczył, że jeśli rezonans magnetyczny potwierdzi u mnie tętniaka, to będą musieli mnie wypuścić.

– **Nie potwierdził?**

– Potwierdził, ale zaraz potem aresztowano mojego adwokata, że niby przekupił jakiegoś policjanta sądowego, a mnie wywieziono jak najdalej od rodziny. Woleliby zwolnić sześć tysięcy więźniów, tylko nie mnie!

- **Rząd jest twardy, chce bandytów rozliczyć.**
- Mnie jakoś nikt nie rozliczał. Tyle lat minęło i nic. Nawet się dziwiłem: nie chcą czy boją się?
- **Mówi pan o finansach?**
- No o pieniądzach przecież. Zarobiłem w życiu, to prawda. Dałem milion złotych synowi – moje prawo, moje pieniądze. Nieważne, czy ukradłem, czy zarobiłem. I nikt nie pyta.
- **Niedługo kara się kończy. Co dalej?**
- Wybieram się na gangsterską emeryturę (śmiech). Wnuczków mam. Gołębi naokoło, psów sobie kupię parę, kotów. Zrobię sobie piękny ogród i tak dalej. Zarobiłem już swoje, więcej mi nie potrzeba. A to, co zainwestowałem, to rośnie stale.
- **W co pan zainwestował?**
- Działki kupiłem, bardzo atrakcyjna lokalizacja. Ceny działek poszły w górę, więc zarobiłem duże pieniądze przez ten czas, co tu siedzę. Mój syn Paweł buduje na tych gruntach ekskluzywne osiedla.
- **Słysząc dumę w pana głosie.**
- Bo jestem z niego dumny!
- **W młodości Paweł trochę rozrabiał.**
- Ale ustatkował się, założył rodzinę i pieniądze zaczął zarabiać. Legalnie, bez krętactwa! Miliony same wchodzi mu do kieszeni za te domy, które buduje. W gazetach wypisują, że to wszystko lewizna, że „dzieci mafii” przejmują interesy ojców.
- **Jak jest naprawdę?**
- Szkoda mi język strzępić.
- **Co się dzieje z wdową po pana bracie? Spotka się pan z nią po odbyciu kary?**
- Ja z taką żoną w ogóle znać się nie chcę! Ani na nią patrzeć, ani o niej słyszeć!
- **Ale w grupie razem byliście.**
- No, byliśmy, taka prawda. Wszyscy to wiedzą. Przeczyta o niej pani w mojej drugiej książce, co ją w więzieniu napisałem.
- **Co to za książka?**
- Dla rodziny, dla wnuczków. Żeby coś po mnie zostało.
- **Co w niej jest: kulisy wojny z „Pruszkowem” czy więzienne życie Dziada?**
- Wszystko. Ciekawe sprawy, także kulisy wielu zabójstw. Nikogo nie obciążam, nawet wrogów, ale ujawniam, co wiem. Szczegółów nie zdradzę, bo książka musi się sprzedać.
- **Podobno miała ją wydać żona Słowika, pana śmiertelnego wroga. Jak to możliwe?**
- Zgadza się. Z Władkiem siedziałem, z którym ona teraz żyje. Opowiadał mi trochę o Monice, że jej ciężko i to tamto. Ja się bałem piratów, co to na internecie zaraz by moją książkę sprzedali, więc Władek mi zaproponował, że z nią pogada. Wszystko już było dogadane, umowa spisana.
- **To dlaczego książki nie wydano?**

– Wydawca, jakiś tam Kwaśniewski, przysłał mi list, że bardzo mu się to wszystko podoba, ale on po sądach nie chce chodzić. Ja na to: Nie pasuje panu, dziękuję bardzo. Sam się tym zajmę, jak stąd wyjdę. Trzecią książkę też napisałem. O gołębiach. Też ją wydaj.

– **Jak dziś, po latach, ocenia pan to, co zrobił Masa?**

– Mądrze zrobił, że został świadkiem koronnym. Broń Boże, go nie pochwalam, bo to świnia, ale trzeba przyznać – dla siebie i dla rodziny zrobił rozsądnie. Inaczej dziś kwiatki od spodu by wachał.

– **Szefowie „Pruszkowa” wybaczą mu zdradę?**

– Nigdy mu nie wybaczą. To żywy trup. Jedyne przedłużył sobie życie o jakieś 10–15 lat. Zresztą Masa ma wielu wrogów.

– **Jakich?**

– W politykach ma wrogów, bo na nich zeznawał. Sama policja go kiedyś odstrzeli, kiedy już nie będzie im potrzebny. Zresztą jaki z niego świadek koronny? To był zwykły tchórz, mam opinię o nim od chłopaków, którzy z nim chodzili. On nigdy do niczego się nie nadawał. Jak była jakaś robotka, to go brzuch bolał.

– **Możemy prosić pana o szczerą?**

– ?

– **Jak to w końcu jest z tym pseudonimem?**

– No przecież na mnie też tak mówili. Ale nie mogłem powiedzieć przed sądem, że jestem Dziadem, skoro pan prokurator uważał, że to Dziad stał na czele jakiejś grupy. Teraz to już wszystko jest inaczej. Jak byłem biedny, to może i to do mnie pasowało, ale nie teraz. Jaki ze mnie Dziad? Dziadek to tak, to rozumiem.

– **Co pan robi, jeśli któregoś dnia przyjdą do pana młodzi gangsterzy, żeby się pan z nimi podzielił pieniędzmi odłożonymi na emeryturę?**

– Wszystko jest możliwe. Jak przyjdą, to się z nimi podzielę – wezmę trzy kulki: im dwie, sobie jedną zostawię. Ale wydaje mi się, że zasługuję na szacunek, a nie żeby mnie tego.

Śmierć przychodzi dwa razy

Policjanci, którzy od lat przyglądali się interesom Dziada, nie wróżyli mu spokojnej emerytury. „Dziad jest niepokorny. Nie zniesie najmniejszej zniewagi, podważania autorytetu. Jeśli mokotowscy przyjdą do niego, a taki scenariusz zakładamy, posypią się więcej niż trzy kulki” – spekulował oficer CBS.

Życie napisało zupełnie inny scenariusz.

Miesiąc po tej rozmowie, w sierpniu 2007 roku, zorganizowano zamach na syna Henryka N., Pawła, ps. Mrówa. Zabójca zaczął się na niego na warszawskim Targówku, gdzie firma JM Developer, w której większość udziałów miała żona Dziada, stawiała kameralne osiedle. Paweł N. wychodził właśnie ze swojego mercedesa, zaparkował przy placu budowy. Zabójca strzelił kilka razy, potem uciekł. Mrówa dostał w plecy i udo, ale nie stracił przytomności, sam zadzwonił na policję. W szpitalu przeszedł operację, ale rany postrzałowe okazały się śmiertelne. Paweł N. miał 33 lata.

Egzekucja na Targówku oburzyła nawet starych gangsterów z „Pruszkowa”, którzy nigdy nie przepadali za Dziadem i jego rodziną. Sugerowali nam, że nowe porządki w Warszawie, których efektem była śmierć Pawła N., wprowadza ekipa skupiona wokół Rympałka oraz następcy aresztowanego Daxa z Mokotowa – Szkatuły, czyli Rafała Sz. Żołnierzami tego duetu mieli być, według naszych informatorów, znani w półświatku egzekutorzy: niejaki Należyty i Wojtas z Mokotowa, którzy uprowadzonym ofiarom obcinali palce. „W tym środowisku trzeba szukać zabójcy” – podpowiadali po śmierci syna Dziada starzy bandyci z „Pruszkowa”.

Od śmierci syna Henryk N. w niczym nie przypominał silnego i twardego człowieka, za jakiego zawsze uchodził. Nie przyjechał na pogrzeb, podobno powiedział, że nie chce pojawiać się nad grobem syna w kajdankach i w asyście policyjnego konwoju. Serce starego gangstera nie wytrzymało takiej straty. Dziad zmarł pod koniec października 2007 roku w radomskim areszcie. Śmierć nastąpiła nagle, podczas porannych zajęć w świetlicy. Tu i ówdzie szeptano, że go otruto albo podano mu jakiś lek, który spowodował wylew krwi do mózgu.

Ale wyniki sekcji zwłok wykazały, że śmierć była naturalna, spowodowana pęknięciem tętniaka.

Kobieta pomiędzy grobami

Kiedy media prześcigały się w sensacyjnych doniesieniach o przyczynach śmierci Dziada, kompletnie zdruzgotana wdowa w ogóle nie czytała gazet.

Oto fragment rozmowy telefonicznej z Jolantą N.:

– **Nie chce pani wiedzieć, dlaczego umarł pani mąż?**

– Po co mi ta wiedza, skoro i tak nikt mi go żywego nie wróci? W telewizji usłyszałam, że Henryk nie chciał się leczyć. To nieprawda! Sama przywoziłam mu leki, ale w więzieniu nie chcieli się na nie zgodzić. Dlatego uważam, że to oni wykończyli mojego męża.

– **Oni, czyli kto?**

– Służba więzienna, która odmawiała mu przerwy w karze. Był chory, chciał się leczyć. Ale nie chcieli mu darować ani dnia.

– **Może się bali, że będzie się mścił za śmierć syna?**

– Po śmierci Pawła był człowiekiem kompletnie złamanym. Kiedy go zobaczyłam, wyglądał strasznie. Wszyscy, którzy go znali, wiedzą, że nigdy nie był mściwy. Pohuczał trochę, pokrzyczał, ale zawsze odpuszczał. Chciał normalnie żyć, cieszyć się wnukami, zadbać o zdrowie.

– **Mógł się leczyć w więzieniu.**

– Nikt mu nie wierzył, że jest chory. Mówili, że symuluje, że nie potrzebuje operacji. Wiedzieli, że stawał do warunkowego, że miała być sprawa w Strasburgu, którą im wytoczył. No to go wykończyli.

– **Jak wygląda teraz pani życie?**

– Trzy razy dziennie jestem na cmentarzu. Żyję pomiędzy grobami moich najbliższych. To cała moja praca. Do niczego się nie nadaję. Wciąż jestem na lekach.

– **Nikt pani nie groził, nie straszył rodziny?**

– Boję się o mojego syna Roberta, chociaż nikt mu nie groził. Sama z siebie się boję. Intuicyjnie. To przecież teraz moje jedyne dziecko. Muszę go chronić.

– **Dlaczego strzelano do Pawła?**

– O tym też nikt ze mną nie rozmawia, o nic nie wypytuje. Raz tu u mnie byli z policji czy z prokuratury, ale zobaczyli, że ja naprawdę do niczego się nie nadaję.

– **Tylko śmierć panią otacza?**

– Wczoraj moja synowa Marta urodziła zdrową córeczkę! Byłam przy porodzie, mała jest cudowna. To pierwsza dziewczynka w naszej rodzinie. Tato Paweł i dziadek Henryk bardzo na nią czekali...

X. „Wołomin” to fałszywa marka

Mimo wielu ofiar, aresztowań i wyroków „Wołomin” w połowie pierwszej dekady XXI wieku wciąż był, według śledczych, nieśmiertelny. Wymieniano jako szczególnie niebezpiecznych Jacka K., ps. Młody Klepak, Jarosława Cz., ps. Długi, Roberta R., ps. Rudy, Jacka K., ps. Citek, Henryka J., ps. Jaszczurek oraz Dariusza B., ps. Kunta vel Jogi (swego czasu właściciel agencji ochroniarskiej, oferującej swoje „usługi” kupcom na warszawskiej Starówce), który bywał na wspólnych imprezach z wołomińskimi policjantami. W Niemczech udzielał się niejaki Miras, a na Śląsk wysłano kilku rezydentów w garniturach, którzy udając biznesmenów, okradali spółki węglowe. Za pieniądze zarobione w ten sposób „Wołomin” miał kupować broń, materiały wybuchowe i opłacać zabójców pracujących na zlecenie. Jedną z grup śląskich rezydentów udało się rozszyfrować katowickiej prokuraturze – gangsterzy w garniturach stanęli przed sądem za wyłudzenie od spółek węglowych blisko 8 mln złotych.

Z dzisiejszej perspektywy już wiemy, że nie było jednej organizacji przestępczej, którą media, ale też prokuratura i policja, ochrzciły mianem „Wołomina”. O ile w przypadku gangu pruszkowskiego, kierowanego przez kolektywny zarząd, podzielonego na sprawne podgrupy specjalizujące się w rozwiązaniach siłowych, w wymuszeniach haraczów, narkotykach, kradzieżach samochodów i napadach na tiry, a wreszcie monopolizującego automaty do gry, można mówić o przestępczym kartelu, to gang wołomiński był tworem wirtualnym. Dziad nie był ojcem chrzestnym, a raczej rozjemcą w sporach poszczególnych gangów. Jego brat Wariat działał na własną rękę, prowokował innych i jak ćma do płomienia kontynuował lot do śmierci. Klepak i Lutek tworzyli mocną grupę, ale nie kierowali całym życiem przestępczym w prawobrzeżnej Warszawie. Zginęli w strzelaninie w restauracji Gama najprawdopodobniej z ręki dawnych wspólników.

Urodzony, by rządzić mafią

Po śmierci Wariata, a zaraz potem Lutka i Klepaka schedę próbował przejąć syn tego ostatniego, Jacek, czyli Młody Klepak. Mawiał o sobie, że „jest namaszczony”, że urodził się po to, by rządzić

mafią. Miał o sobie najlepsze zdanie i pewnie dlatego ostro wszedł w rynek narkotykowy, nie uznając spółek i kompromisów. W 2002 roku poszukiwano go listem gończym za kierowanie zorganizowaną grupą przestępczą, wyłudzenie 6 mln zł i próbę zorganizowania napadu na warszawski bank w Domu pod Orłami na Jasnej.

Wieczorem 17 sierpnia 2002 roku Jacek K. oraz dwaj złodzieje samochodowi, znani jako Kermit i Bielek, miło spędzali czas w tawernie Okoń w Mikołajkach. Klepak siedział twarzą do jeziora, Kermit i Bielek po przeciwnej stronie stolika. Obaj musieli więc widzieć trzech facetów, którzy od wejścia szli szybkim krokiem w stronę ich stolika. Padły strzały.

Klepak dostał sześć kul, zginął na miejscu. Miał 32 lata. Killerzy bez specjalnego pośpiechu wyszli z tawerny. Zmierzali do samochodu zaparkowanego na innej ulicy. Jeden z przechodniów zaalarmował przejeżdżający radiowóz. Sierżant Marek Cekała z Olsztyna pobiegł za oddalającymi się zabójcami. Prawdopodobnie wiedział jedynie, że dokonali jakiegoś napadu, ale nie zdążyło przekazać mu, że strzelali i mają broń. Dlatego nie wyjął swojej. Jeden z bandytów odwrócił się i z zimną krwią dwa albo trzy razy strzelił do policjanta. Ten zginął na miejscu. Miał 33 lata.

Kermit i Bielek wyszli cało z wydarzeń w Mikołajkach. W czasie strzelaniny żaden z nich nie został nawet draśnięty. Po zdarzeniu uciekli. Policja podejrzewała, że to oni wystawili Klepaka, ponieważ jedynie kilka osób z najbliższego otoczenia Jacka K. wiedziało, że ten przebywa w Mikołajkach. Początkowo spekulowano, że zabójcami mogą być jacyś przybysze z za wschodniej granicy, bo Klepak wszedł w konflikt z jednym z moskiewskich gangów. Inna wersja (zresztą w pewnej mierze później potwierdzona) mówiła, że padł ofiarą zemsty własnych kompanów z „Wołomina”. Ludzie z gangu mieli pretensje, że Młody Klepak nie wdał się w ojca, działa egoistycznie, nie daje innym zarobić.

Policjanci z CBS podejrzewali, że zleceniodawcą wyroku był niejaki Łucek, też powiązany z mafią wołomińską. Łucek nienawidził Klepaka z powodów całkowicie osobistych. Uraza wywodziła się sprzed lat. Klepak publicznie go poniżył, Łucek obiecał, że się zemści. Owocami tej zemsty nie zdążył się jednak nacieszyć. Podobno nagle i niespodziewanie umarł we własnej wannie.

Śledztwo było skomplikowane. Dzisiaj już wiadomo, że wyrok na Klepaku wykonał niejaki Artur S. – jeden z najmłodszych żołnierzy gangu (ok. 20-letni), spokrewniony z Karolem S., tym samym, który polował na Klepaka-ojca. Aresztowano go wiosną 2005 roku, a trzy lata później skazano na 25 lat więzienia. Pogrążyły go mikroślady na broni porzuconej niedaleko miejsca zbrodni. Wskazywały na niego. Artura S. uniewinniono natomiast od zarzutu zabójstwa policjanta.

Podejrzewano, że zabójcą policjanta Marka Cekały był Andrzej T., znany jako Tybur albo Tyburek. To weteran mafii wołomińskiej. W 1994 roku wymuszał haracze na warszawskiej Starówce, potem przerzucił się na kradzieże limuzyn. Rozpisano za nim list gończy, ale na długie dziesięć lat poszukiwania utkwily w martwym punkcie. W półświatku mówiono, że Tybur jest mistrzem kamuflażu, ma dziesiątki peruk i dryg do charakteryzacji rodem z teatru. Mówiono też, że był jednym z

wykonawców egzekucji w Gamie, gdzie zginął m.in. Marian K., czyli Klepak-ojciec.

W pogłoskach z półświatka często jest wiele prawdy. Kiedy w końcu w listopadzie 2009 roku policja dopadła Tyburka, okazało się, że przez te dziesięć lat Andrzej T. zmienił się nie do poznania. Usunął nawet tatuaże, które niegdyś chętnie eksponował. Zatrzymano go na trasie pod Poznaniem, jechał do Niemiec, gdzie od lat mieszkał. To nie była przypadkowa kontrola, ale efekt koronkowej pracy operacyjnej.

Policjanci z CBS twierdzili wówczas, że Tyburek był jednym z najskuteczniejszych zabójców działających na zlecenie i że może mieć na sumieniu nawet 10 egzekucji. Z ich ustaleń wynikało, że 6 stycznia 1999 roku mafijny cyngiel zastrzelił Krzysztofa K., ps. Baniak, i ranił Piotra W., ps. Kajtek, z gangu wołomińskiego. Dwa miesiące później Tyburek znów miał strzelać do Kajtka, tym razem celnie. Przed restauracją Friday's zginął wtedy od kul przypadkowy przechodzień. Andrzej T. miał również strzelać w Gamie do starego Klepaka, Lutka i żołnierzy „Wołomina”, a trzy lata później – do Młodego Klepaka i policjanta. We wszystkich zbrodniach poza ostatnią miał działać przy współpracy albo na zlecenie Karola S., którego skazano za współudział. Zbiorowego mordu w Gamie nie rozliczono, w 2013 roku śledztwo umorzono. Trzy lata wcześniej umorzono również śledztwo w sprawie zabójstwa policjanta w Mikołajkach. Udziału Tyburka w tej strzelaninie nie udowodniono.

Młody Klepak nie zdążył wybić się na szefa całej mafii. Czy w ogóle był ktoś, kogo można uznać za ojca chrzestnego grup związanych z Wołominem?

Misiek stawia na Dębicę

W sierpniu 2012 r. dostaliśmy list z więzienia. Autor Mirosław D. napisał: „Dla ułatwienia, iż posiadam dużą wiedzę, właśnie ja jestem »Misiek z Nadarzyna«”. W latach 90. Misiek z Nadarzyna był znaną postacią w półświatku. Blisko współpracował z grupami wołomińskimi. Według Masy Misiek pośrednio przyczynił się do wyroku śmierci wydanego na Wojciecha K., ps. Kielbasa. Zaczęli razem się prowadzić, robili jakieś biznesy, wspólnie też popijali i wciągali kreski. To nie mogło ująć uwagi starych pruszkowskich. Uznali, że Kielbasa zdradził, przeszedł do konkurencji.

Po latach milczenia Misiek napisał do nas list, aby opowiedzieć o, według niego, prawdziwym, a nieznanym bossie wołomińskim.

Fragmety listu Mirosława D.: „Roman D., ps. Dębica, był założycielem grupy wołomińskiej i prawą ręką Dariusza B., ps. Jogi lub Kunta. To dzięki jego pomysłom grupa rosła w siłę. Mawiał, że do dziś wołomińscy chodziliby w podartych butach i kradli gołębie. Niektórzy myślą, że to Maniek (Marian K., ps. Klepak) czy Lutek (Ludwik A.) byli założycielami grupy, ale w rzeczywistości było inaczej.

Chociaż Dębica w latach 90. odgrywał główną rolę, to nigdy nie został zatrzymany ani skazany. Inni dostawali wysokie wyroki, na przykład Jogi, ale jego nie sprzedali. Romuś dorobił się na porwaniach, oszustwach i malwersacjach wielomilionowego majątku i gdy teraz noga mu się lekko powinęła, zaczął mówić i otrzymał art. 60 (nadzwyczajne złagodzenie kary w zamian za zeznania). Głównie chodzi o to, że w swoich zeznaniach obciąża posłów RP, że wręczył im łapówki za koncesje i pomoc w oszustwach. Mnie też zamieszał w różne przestępstwa. W 2009 r. złożyłem zawiadomienie o przestępczej działalności Romana D., ale to śledztwo przejęła Prokuratura Apelacyjna w Katowicach i nic nie zrobiła. Zlecał zabójstwo Władysława Sz. i chwalił się, że nikt mu nic nie zrobi, bo ma w kieszeni prokuratora z Katowic i policjantów z CBS. Na okoliczność zlecenia zabójstwa wysłałem kserokopię oświadczenia w języku rosyjskim. Proszę sobie wyobrazić, że od trzech lat nikt mnie przesłuchał na okoliczność zlecenia zabójstwa”.

Do listu dołączono kopię oświadczenia podpisanego przez trzech Białorusinów (są tam ich pełne dane i adresy). Opisałi okoliczności, w jakich w 2001 r. Roman D. zlecił im zabójstwo swojego biznesowego wspólnika Władysława Sz. Obiecał im za usługę 20 tys. dolarów i dał zaliczkę w wysokości 2 tys. dolarów. Do zabójstwa obiecał użyczyć kradziony samochód marki Audi a6 i broń do wyboru. Zlecenia nie wykonali, bo, jak piszą, w ogóle nie mieli zamiaru zabijać człowieka. Wyjechali na Białoruś. Oświadczenie sporządzili, aby dać świadectwo prawdzie.

Od innych osób powiązanych z grupami wołomińskimi dostaliśmy potwierdzenie, że Roman D., ps. Dębica (używa też innych ksywek), był ważną postacią w tym środowisku, zarobił na przestępstwach fortunę, dzisiaj jest biznesmenem. Nie wiadomo tylko jednego – dlaczego jego postać i zarzucane mu czyny, m.in. zlecenie zabójstwa, nie interesują prokuratorów. Być może dlatego, że – jak pisze Misiek z Nadarzyna – Roman D. ma w kieszeni, kogo trzeba.

Adam siedzi za Pryszczatego

Przestępstwami popełnianymi przez tzw. „Wołomin” zajmowało się wiele prokuratur, ale większość spraw prowadzili prokuratorzy i policjanci z CBS w Białymstoku. Dzięki odnoszonym sukcesom dostawali nagrody i awanse. W środowisku wołomińskim mieli niezłe rozeznanie, pracowali dla nich liczni kapusie. W zamian korzystali z wyjątkowo łaskawego traktowania przez śledczych.

Adam Ch., ps. Pryszczaty, handlarz narkotyków, i bliski współpracownik Jacka K., Młodego Klepaka, był policyjnym informatorem typowanym na świadka koronnego. Procedura przeciągała się, a Pryszczaty popełniał przestępstwa, na które przymykano oczy. Uczestniczył w porwaniu mieszkańca Zambrowa Franciszka T. w 2000 r. Za ten czyn skazano m.in. Roberta R., ps. Rudy, a Pryszczatemu nawet nie postawiono zarzutów. Handlował narkotykami, nakładał haracze na agencje towarzyskie –

wszystko bezkarnie.

W lipcu 1999 r. został zabity mieszkaniec miejscowości Wiartel na Mazurach, ochroniarz agencji towarzyskiej o pseudonimie Kozyr. W zdarzeniu brała udział grupa z Łomży. Śmiertelny strzał miał oddać człowiek zwany Adamem z Warszawy. Głównym świadkiem w tej sprawie został Sławomir R., ps. Woźny, również współsprawca zabójstwa. W czasie, kiedy zaczął zeznawać, siedział w areszcie pod zarzutem gwałtu i próby zabójstwa swojej pięcioletniej siostrzenicy, współosadzeni traktowali go jak pedofila, czuł się w areszcie nieustannie zagrożony. Był w złym stanie psychicznym, pewnie podpisałby pakt nawet z diabłem, aby tylko uzyskać gwarancję bezpieczeństwa. Przyznał się do udziału w zbrodni i obciążył innych. Adama z Warszawy, jak twierdził, nie znał wcześniej. Opisał jego wygląd: niewysoki, bez znaków szczególnych, podkreślał, że nie był typem pakera.

Policjanci z białostockiego CBS wytypowali kilku Adamów z Warszawy, a w końcu wybrali jednego – Adama Dudałę. Padło na niego prawdopodobnie dlatego, że był bliskim znajomym słynnego Pershinga, a od dziecka spędzał wakacje właśnie w Wiartlu. Nieoficjalnie wiadomo, że białostocki CBS miał ambicje, aby nie ograniczać się do „Wołomina”, a rozszerzyć swoje śledztwa także na grupę pruszkowską. Potrzebowali w tym środowisku informatorów. Adama Dudałę zatrzymano, w rozmowie proponowano mu, że wyjdzie, jeżeli zgodzi się donosić na kolegów. Odmówił, wtedy okazano go Woźnemu. Ten wskazał go bez wahania. Śledczych nie zdziwiło, chociaż powinno, że Woźny rozpoznał jako Adama z Warszawy człowieka niepasującego do opisu, który wcześniej sam podyktował na protokół. Adam Dudała był wysokim, łysym i potężnym mężczyzną. Od lat ćwiczył na siłowni. Na twarzy miał charakterystyczne znaki szczególne: dużą myszkę i wytatuowane kropki przy oczach. Nikt inny z uczestników zajścia w Wiartlu, a także przypadkowych świadków go nie rozpoznał.

Zeznania Woźnego okazały się skuteczne, Adama Dudałę skazano na 25 lat więzienia za zbrodnię, której nie popełnił.

Prawdziwym sprawcą był bowiem Adam Ch., ps. Pryszczaty. Kiedy w sierpniu 2004 r. został zamordowany, innym rozwiązały się języki. Wskazano go jako rzeczywistego sprawcę zabójstwa w Wiartlu. Dlaczego wcześniej to ukrywano? – Bałem się o rodzinę, Pryszczaty przyjeżdżał do moich rodziców, do mojej żony i groził – mówi nam kilka lat później Jarosław K. z Łomży, jeden ze skazanych za udział w zabójstwie Kozyra. Dziś już wiadomo, że Pryszczaty bywał w Łomży, znał miejscowych przestępców, w tej sprawie opłacał adwokatów swoim łomżyńskim kolegą, wysyłał na widzenia z nimi konkubinę Agnieszkę R., która była zarejestrowana w białostockim areszcie pod fałszywym nazwiskiem i korzystała z dowodu osobistego znajomej – wszystko, aby nie znalezione śladów wskazujących na związek z osadzonymi Pryszczatego. Wyszło też na jaw, że Adam Ch. wpłacał na rzecz Woźnego pieniądze i przysyłał mu kartki z pozdrowieniami.

Policjanci z białostockiego CBS musieli wiedzieć o prawdziwej roli odegranej przez Pryszczatego,

ale ukryli to. Najpierw dlatego, że go chronili, bo korzystali z jego współpracy, potem zapewne po to, aby ta komitywa nie wyszła na jaw. Świadomie uczestniczyli w prokuratorsko-sądowej dintojrze na niewinnym człowieku. To nie jedyny przypadek manipulacji, jakich się dopuszczali.

Citek szuka prawdy

Z Jackiem K., ps. Citek, przestępcą związanym z „Wołominem”, rozmawialiśmy w 2012 r. w areszcie przy ul. Rakowieckiej w Warszawie. Przed sądem toczyły się właśnie jego dwa procesy: jeden o zlecenie zabójstwa Pryszczatego (ten sam zarzut miał też Robert R., ps. Rudy) i drugi o udział w zabójstwie Piotra K., drobnego przestępcy z Wołomina. Z pierwszego zarzutu został uniewinniony, w drugim procesie uznano go winnym i skazano na 25 lat. Sąd odrzucił jego wyjaśnienia, że zbrodni na Tomaszu K. dokonał Młody Klepak, a on pomagał mu jedynie ukryć zwłoki. W śledztwie Citek obciążał Roberta R., ps. Rudy, za zabójstwo Piotra K. Podczas procesu wycofał się z tego i opowiedział, jakimi metodami śledczy fałszowali zeznania. Sąd uznał, że prawdziwe są jego wyjaśnienia składane w śledztwie, a nie na sali sądowej. Rudego skazano na dożywocie, a Citka na 25 lat więzienia. Wyrok jest nieprawomocny.

Rozmowa z Jackiem K., ps. Citek:

– **Jak pan trafił do aresztu w tej sprawie?**

– To jest bardzo duża historia, temat rzeka. CBS Białystok zatrzymał mnie 12 stycznia 2005 roku, śledztwo nadzorował Wiesław Szłoński, prokurator z Łomży. Przedstawili mi zarzut zlecenia zabójstwa Pryszczatego, udział w grupie, później kierowania grupą.

– **To musiały być mocne dowody?**

– To były wyłącznie wyjaśnienia konkubiny Pryszczatego, Agnieszki R., ona mnie obciążyła, że w 1997 roku przychodziłem do sklepu i z jej Adamem handlowałem narkotykami, przypisała mnie do porwania Franciszka T. z 2000 roku w Zambrowie, opisała dokładnie mój udział, cytowała moje słowa, które miałem rzekomo przekazywać żonie Rudego przez telefon. Tylko sytuacja była taka, że oni zabezpieczyli u Rudego w domu przy zatrzymaniu w 2003 roku taśmę z Tajlandii z wakacji i oni mnie pomylili z Henrykiem J. [pseudonim Jaszczur]. To są moje domniemania, że mnie pomylili, bo była taka sytuacja, że byłem dowożony do sądu i po drodze funkcjonariusz CBS zapytał mnie, jak było w Tajlandii. Mnie to zaciekało, bo ja od 1996 do 2001 roku przebywałem w więzieniu. Tajlandia była albo w 1999 albo w 2000, nie pamiętam. Oni mi zaczęli stawiać zarzuty za 2000 rok, czyli porwanie Franciszka T.

– **Nie sprawdzili, że wtedy siedział pan w więzieniu?**

– Przy pierwszym przesłuchaniu w prokuraturze, jak mi stawiali zarzuty, podałem do protokołu, że od 1996 do 2001 przebywałem w zakładzie karnym, oni nawet tego nie sprawdzali, zanieśli to wszystko do sądu, sąd zastosował mi areszt, później zorientowali się, że przebywałem w pudle. Wtedy konkubina Pryszczatego zmieniła swoje zeznania, twierdząc, że mnie pomyliła z innym podejrzanym. Następnie te zarzuty zmieniały się co chwilę i dalej mi stawiali zarzuty z 2000 roku. Stawiałem wiele wniosków o przedstawienie mi dowodów na poparcie tego wszystkiego. Oni oddalali wszystkie moje wnioski, mówiąc, że czynią to dla dobra śledztwa.

– **Kiedy pan zaczął iść śledczym na rękę?**

– W listopadzie 2005 roku przyjechało dwóch z białostockiego CBS do aresztu i zawieźli mnie na Okrzei [siedziba warszawskiego zarządu CBS] – to było 6 godzin rozmowy i wtedy zaczął się ten targ.

– **Przesłuchiowano pana 6 godzin?**

– To nie było przesłuchanie, jest protokół z tego spotkania, zapisane jest jedynie około 1,5 godziny, a spędziliśmy tam 6 godzin, zaczął się handel tym wszystkim. Wiedzę, którą ja posiadałem o różnych przestępstwach, zaczęli przelewać na Rudego. Zaczęły się układania, przekazywanie wiedzy. To trwało 6 godzin. Po tej rozmowie powiedzieli, że za 2 tygodnie przewiozą mnie do Białegostoku.

– **To robili funkcjonariusze CBS?**

– Ja nie widzę ich jako funkcjonariuszy, tylko jako osoby, które fałszują dowody.

– **Białostockie gazety pisały wtedy, że prokurator Szłoński z Łomży dokonał rzeczy prawie że niemożliwej, przekonał Jacka K., ps. Citek, jednego z trzech zarządców mafii wołomińskiej, by przerwał zмовę milczenia. I Citek zaczął sypać.**

– To nie Szłoński mnie przekonał, ale policjanci z CBS. Było tak: My ci powiemy, jak to wszystko się robi, jak się ułożyć, załatwimy ci w zamian sześćdziesiątkę [art. 60 – nadzwyczajne złagodzenie kary] i wyjdiesz do domu. Pierwszym celem śledztwa byłem ja, Rudy i jego żona Edyta. Natomiast kiedy ja się już z nimi dogadałem, że tak będziemy robić, ja już dla nich byłem dobry, wtedy wszystko przerzucili na Rudego. Po 2 tygodniach przewieźli mnie do Białegostoku, to był czwartek 24 listopada 2005 roku. Rano w piątek już o godzinie ósmej byli u mnie w areszcie, dogadaliśmy pewne szczegóły, dopytywali, czy mam wszystko przygotowane i tak dalej. Zawieźli mnie do Łomży. Wszystko, co ułożyłem z nimi na Okrzei, spisałem sobie, miałem obciążać Rudego w zakresie zabójstwa Pryszczatego, Piotra K. i dwóch zabójstw w Wesołej.

– **Ja to się technicznie odbywało? Zeznawał pan z głowy?**

– Na takich kartkach formatu A-4 pod celą w ciągu dwóch tygodni wszystko sobie spisałem, ułożyłem, przygotowałem. Potem z tych kartek przeczytałem, a protokolantka wpisywała to wszystko do komputera. Na Okrzei oni przekazywali mi wiedzę odnośnie zlecenia zabójstwa tego Pryszczatego, natomiast ja wiedzę, jaką posiadałem od Młodego Klepaka o jego przestępstwach, przełożyłem na

Rudego. Klepak nie żył i nie byli już nim zainteresowani.

Wątek, który ja ułożyłem odnośnie zabójstwa Piotra K., prokurator Szłoński wyłączył do odrębnego postępowania i nadał odrębną sygnaturę. Doszło do sytuacji, że w pokoju byłem ja, byli dwaj funkcjonariusze CBS i ich dwaj szefowie z zarządu CBS w Białymstoku. Powiedzieli do mnie, żebym napisał taką prośbę do prokuratury apelacyjnej w Białymstoku, żeby przejęła śledztwo od Łomży, to śledztwo, które Szłoński sobie wyłączył. Ja odmówiłem. Napisali tę prośbę dyrektorzy CBS.

– **Dlaczego im zależało na przeniesieniu tej sprawy?**

Jeden z nich powiedział, że nie będzie na ch... pracował, tak powiedział na Szłońskiego. No i sprawę przejął prokurator Masłowski i nagle z tej sprawy zrobił tajemnicę, przez bodajże półtora roku wszystkie materiały były niedostępne dla nikogo, ani adwokaci, ani nikt, nie mieli dostępu. Do 2007 roku do kwietnia oni przyjeżdżali do mnie praktycznie codziennie, potrafili mnie stąd wziąć, na 2–3 dni przewieźć do Białegostoku, coś przepisywali, abym ja się podpisał, i z powrotem mnie odwozić. I tak to trwało 5 lat.

– **I pan się na to zgadzał?**

– Ja byłem w takiej sytuacji, jak mnie zamknęli, urodził mi się bardzo chory syn, dla mnie przedstawienie tych zarzutów było szokiem, ja chciałem jak najszybciej wrócić do domu, do syna, był wtedy po czterech operacjach, urodził się z wadami genetycznymi. I oni to wiedzieli, a ja wiedziałem, że z nimi nie wygram, i po prostu na to się zgodziłem. Postawili mi zarzut zabójstwa Piotra K., później mi postawili zarzut zabójstwa tych w Wesołej, później mi zarzuty zdjęli, później znów postawili. Cały czas prowokowali mnie tym, psychicznie byłem nieźle zdołowany. Moim adwokatem był wtedy Robert D. z Warszawy, ja pisałem do niego listy, chciałem się z nim skontaktować, żeby porozmawiać. Dostawałem zwrotne listy, że takiej kancelarii pod tym adresem już nie ma [mecenas D. nie płacił wtedy czynszu i stracił lokal]. Byłem całkiem osamotniony, bo przecież ci, na których zacząłem zeznawać, już nie byli moimi kolegami, nawet przeciwnie.

– **W jakich okolicznościach zmienił pan front?**

– Byłem tak zablokowany, to tak zaczęło narastać, że już tego nie wytrzymałem. W sądzie 28 maja 2007 roku wstałem i zacząłem to wszystko ujawniać. To samo zeznałem na innych sprawach, gdzie mnie słuchano jako świadka, między innymi w obecności pani sędzi Barbary Piwnik. Moje zeznania zostały przesłane do zastępcy prokuratora krajowego pana Marka Staszaka w celu podjęcia działań w sprawie manipulacji zeznaniami przez śledczych z Białegostoku. Z tego, co wiem, jedna kopia poszła do prokuratora Masłowskiego z Białegostoku, a druga kopia poszła do Łomży, do prokuratora Szłońskiego. Łomża moje zeznania potraktowała w charakterze skargi. Wszczęto śledztwo w prokuraturze w Suwałkach przeciwko Masłowskiemu z artykułu 231, na pewnym etapie miałem nawet status pokrzywdzonego, byłem przesłuchany w Warszawie w ramach pomocy prawnej.

– **I czym się to śledztwo skończyło?**

- A czym mogło się skończyć? Umorzeniem. Prokuratorzy nie oskarżą przecież swoich kolegów.
- **Czy to prawda, że namawiano pana do obciążenia sędzi Barbary Piwnik?**
- To prawda.
- **Mam przed sobą notatkę: „Jacek K. (Citek) informuje, że prok. Masłowski namawiał go do odwołania zeznań, w treści których ujawnił, iż policjanci namawiali go, aby pogrążył Barbarę Piwnik o przyjęcie łapówki od braci K. za wypuszczenie ich do sprawy, w zamian za powyższe prokurator Masłowski zgodnie z oświadczeniem pisemnym Jacka K. z dnia 29 kwietnia 2008 miał zaoferować mu umorzenie zarzutu zabójstwa Piotra K.”.**
- Tak było.
- **Odwołał się pan od decyzji o umorzeniu przez suwalską prokuraturę?**
- Tak. Zażądałem też akt tej prokuratury z Suwałk, chciałem przejrzeć, jakich czynności dokonano. Oni powiedzieli, że umorzyli, bo nie są w stanie ustalić okoliczności. Jak wziąłem akta, to jedyna czynność, która jest tam wykonana, to prośba do prokuratury białostockiej o przesłanie jakichś akt do prokuratury w Suwałkach, jakichś protokołów. Masłowski występuje tam jako prokurator, który przesyła protokół przesłuchania podejrzanego Jacka K., czyli mnie.
- **Jak odbywało się namawianie pana do obciążania sędzi Piwnik?**
- W pewnym momencie Ł. z L. [funkcjonariusze CBS] wyszli z taką inicjatywą, żeby napisać na panią Piwnikową zeznania, że wzięła łapówkę od braci K. za uniewinnienie.
- **Dlaczego do pana? Pan znał braci K. i okoliczności ich uniewinnienia?**
- Ani nie znałem ich, ani okoliczności. Nic o tym nie wiedziałem. Dzisiaj za to wiem, że zanim do mnie wyszli z tą propozycją, mieli zeznania na ten temat świadka koronnego Piotra O., ps. Żółw. To jest tak, jeżeli ktoś jeden mówi, to nie jest dowód, chodziło o potwierdzenie. Podobną prowokację szykowali na nieżyjącego już dzisiaj sędziego Jankowskiego. On i pani Piwnik orzekali w Sądzie Okręgowym dla Warszawy-Pragi.
- **Dlaczego szukali na tych sędziów haków?**
- Chcieli ich skompromitować i cały warszawski sąd, aby sprawy, w których oskarżali, przeniesiono do Białegostoku, tam byłoby im łatwiej wszystko przeprowadzić, nawet bez mocnych dowodów. Byłoby łatwiej zrobić wielki proces groźnej grupie wołomińskiej, stworzyć z nas potężną organizację przestępczą i zdobyć rozgłos jako pogromcy mafii. Mieliśmy być w grupie pod przewodnictwem Jarosława Cz. [pseudonim Długi]. On jest z Zielonki, pokazywano w telewizji akcję wylądowania nad morzem helikopterów i zatrzymania Cz., zatrzymano też wtedy funkcjonariusza policji z KGP Dariusza K. W mojej obecności szefowie białostockiego CBS i ich podwładni prowadzili rozmowy na temat awansów po zakończeniu sprawy. Jeden chciał iść na emeryturę, a drugi na zastępcę komendanta wojewódzkiego. I tak się potem stało. Poszedł nawet wyżej.
- **Co pan wie o rozpracowaniu pod kryptonimem „Restauratorka”?**

– Chcieli, abym zeznał, że pani G. [właścicielka znanych restauracji w Warszawie] współpracowała z Grzegorzem K. [przestępca wołomiński o pseudonimie Małpa], wyłudzając kredyty. W rzeczywistości nie znałem tej G. i nic nie wiedziałem ani o kredytach, ani o jej komitywie z Małpą, z tego, co wiem, nic takiego nie miało miejsca. Ale poszedłem im na rękę i zeznałem na protokół. Zmusili mnie też, żebym obciążył dziennikarza z Warszawy, Rafała P., że za pieniądze przekazuje informacje mafii, pomaga skompromitować świadka koronnego Janusza Cz. To wszystko było ułożone, nie znałem tego dziennikarza ani jego spraw. Mówiłem, co chcieli.

– **Postawili im na tej podstawie zarzuty.**

– Chcieli, ale nie zdążyli. Podczas czynności śledczych prokurator z Białegostoku spytał mnie nawet, czy już pora, aby zatrzymać tego dziennikarza. Nie wiedziałem, co odpowiedzieć. Jak wszystko ujawniłem w sądzie, układanka im padła. Moje wrażenie jest takie, że po 28 maja 2007 roku, kiedy ja zaczynam ujawniać, nagle zaczynają zacierać po sobie ślady, rozbijają śledztwa, chowają materiały, żeby nie można było mnie potwierdzić, żebym nie mógł się uwiarygodnić.

– **Obciążył pan też policjantów z komendy powiatowej w Wołominie.**

– Była taka sytuacja, że pod koniec 2006 roku przewieźli mnie do CBS, policjant H. przechodził do innego pokoju i wracał, i do protokołu przepisywał na tych policjantów, że wzięli łapówkę. Przepisywał zeznania świadka koronnego Żółwia do mojego protokołu. Potem ja te zeznania podpisałem jako własne. Kiedy zacząłem to wszystko ujawniać, napisałem pismo do komendy powiatowej w Wołominie, że zeznania są fałszywe. Moje pismo przesłano do policyjnego Biura Spraw Wewnętrznych w Warszawie. I co zrobiło BSW? Przesłało to wszystko do prokuratora Masłowskiego do Białegostoku. Moim zdaniem BSW nie powinno wysłać do Masłowskiego, tylko wszcząć sprawę.

– **Co miało być ceną za złożenie przez pana tych zeznań?**

– Miał być mój wyrok utargowany.

– **Ujawniając te kłamstwa i metody, podpisał pan na siebie wyrok.**

– Zrobiłem to, mam świadomość, ale ja po prostu nie mogłem w te kłamstwa brnąć dalej. Przecież tymi metodami każdego można było załatwić. Nie tylko przestępców, ale i sędziów, dziennikarzy, każdego.

Relację Jacka K., ps. Citek, potwierdzają zeznania, jakie składał na kilku procesach w Warszawie. Sędzia Barbara Piwnik uznała je za wiarygodne. Skierowała w tej sprawie pismo do Prokuratury Krajowej. Do dzisiaj nie dostała odpowiedzi, czy sprawie nadano bieg.

Strzał w Stopę

Janusz Cz., ps. Stopa, miał być dla „Wołomina” tym, kim dla „Pruszkowa” Masa. Wpadł podczas nieudanego skoku na bank. Poszedł na współpracę z prokuraturą i został objęty programem ochrony. Ale okazał się największą kompromitacją instytucji świadka koronnego w Polsce.

Był koniec 2001 roku. Stopa zeznawał w prokuraturze przeciwko hermetycznej grupie wołomińskiej. Mówił o wielomilionowych wyłudzeniach z banków i firm leasingowych, zdradzał powiązania półświatka z legalnym biznesem. Wzorowy świadek – można by rzec. Rzeczowy i świetnie poinformowany. Ale w małym, zadymionym pokoju na końcu korytarza w Komendzie Głównej Policji, centrum dowodzenia programem ochrony świadków koronnych, Janusz Cz. zachowywał się dziwnie. Policjantów, od których zależało jego bezpieczeństwo, traktował jak powietrze. Oni mówili o szczegółach ustawy i o tym, jak teraz wyglądać będzie jego życie, a on wyraźnie się nudził. Dłubał w zębach i beznamyślnie wpatrywał się w sufit. Ożywił się dopiero po kilku godzinach, gdy oficerowie przeszli do szczegółów programu ochrony. „Jaką ksywkę ma funkcjonariusz, który będzie przy mnie? Skąd on jest, ma rodzinę? Czym będziemy jeździć na zeznania?” – dociekał Stopa. „Dziwny facet, będą z nim problemy” – komentował dyskretnie jeden z policjantów.

Stopa, jak się z czasem okazało, od początku grał na dwa fronty. Był bandycką „wtyczką” w programie ochrony świadków. Nie tylko ostrzegł członków gangu przed planowanymi przez CBS zatrzymaniami, ale przekazał im wiedzę o tym, jak się chroni koronnych. Zdemoralizowany i wyrachowany, ukrywał podwójne zabójstwo. W 2000 r. w Wólce Radzymińskiej w obecności dwóch kompanów z zimną krwią zastrzelił narzeczoną współnika, z którym wyłudził z banku 300 tys. zł. Wspólnik również zginął od kul, tłem zbrodni stały się rozliczenia.

Janusz Cz. stanął przed sądem za zabójstwo oraz szereg przestępstw kryminalnych, których mógł uniknąć jako świadek koronny. W kwietniu 2006 roku skazano go na dożywocie. – Korzystając z ochrony i pomocy państwa, z premedytacją oszukiwał ludzi, którzy w razie zagrożenia zasłoniliby go swoim ciałem, bo taki mają obowiązek – komentuje naczelnik Zarządu Ochrony Świadców Koronnych CBS KGP.

Stopa do dziś twierdzi, że jest niewinny.

Koronne wpadki

Świadkowie koronni, cenny oręż w walce z mafią, w miarę upływu lat od wprowadzenia w życie dotyczącej ich ustawy z 1998 roku zaczęli sprawiać coraz więcej problemów: trafiali do cel m.in. za porwania dla okupu, kradzieże aut, wymuszenia i oszustwa, także za kierowanie gangami. W 2010

roku podliczono, że statystycznie co trzeci świadek koronny powracał do przestępstw, z premedytacją oszukując państwo, które go chroniło i utrzymywało. Oto kilka niechlubnych przykładów.

Zarzut współudziału w dwóch zbrodniach zamierzała postawić prokuratura byłemu świadkowi koronnemu Andrzejowi L., ps. Rygus. Nie zdążyła, gdyż w październiku 2009 roku Rygus powiesił się w celi warszawskiego aresztu. Andrzej L. brał niegdyś udział w porwaniu dziecka przedsiębiorcy z Józefowa. Jako świadek koronny zeznawał przeciwko Januszowi G., ps. Graf, z grupy pruszkowskiej, oskarżonemu o zabójstwo w 2005 roku inwestora giełdowego Piotra Głowali. Stracił przywileje za rażące łamanie warunków ochrony: ukrywał się przed prokuratorem, nie stawiał się na jego wezwania i na rozprawy, w których miał zeznawać.

Uczciwe życie okazało się zbyt nudne dla Jarosława R., złodzieja samochodowego. Sam zrezygnował z tego statusu (!), ponieważ... założył grupę kradnącą limuzyny. Trafił do aresztu, przyznał się do kradzieży czterech samochodów, ma za to sprawę w sądzie. Kolejnym skruszonym, który nie może przystosować się do nowego życia, jest Mirosław K., ps. Miron, ustanowiony koronnym w 2006 roku na wniosek Prokuratury Apelacyjnej w Warszawie. Miron miał za sobą wyrok za porwanie dla okupu. Mimo umowy ze śledczymi Mirosław K. wciąż spotykał się ze swoim kompanem z przeszłości, żył jak dawniej. W końcu trafił do aresztu za wymuszenie kilkudziesięciu tysięcy złotych. Przed sądem rozpatrującym wniosek prokuratury o zastosowanie wobec niego aresztu przyznał się do wszystkiego, wyraził skruchę, obiecał poprawę. Po wpłaceniu kaucji Miron wyszedł na wolność, utwierdzając półświatek i pokrzywdzonych w przekonaniu, że świadkowie koronni są nietykalni.

Funkcjonariusze CBS do dziś wspominają pewnego skruszonego, który od początku udziału w programie ochrony w ogóle nie przejmował się tym, jak będzie teraz wyglądać jego życie. Nie zadał ani jednego pytania, które zawsze stawiają nowi koronni: „Co z żoną i dziećmi?”, „Gdzie będziemy mieszkać?”, „Czy policja będzie ze mną przez cały czas?”, za to po kilku godzinach rozmowy zaproponował funkcjonariuszom... wspólny biznes. „Ja otworzę agencję ochrony, a wy będziecie u mnie pracować” – oznajmił. Policjanci zorientowali się, że mężczyzna nie do końca rozumie, co się wokół niego dzieje. Prokurator miał inne zdanie. Skruszony nie przyniósł chwały instytucji świadka koronnego.

Każdy przestępca współpracujący z wymiarem sprawiedliwości chce ugrać coś dla siebie (intencje koronnych badał dwukrotnie, bo w 2001 i 2009 roku, za pomocą ankiety, dr Zbigniew Rau). Jednym chodzi o zemstę, innym o ucieczkę z mafijnych struktur, jeszcze inni chcą ocalić życie, bo wydano na nich wyrok. Dla wszystkich dobrem samym w sobie jest abolicja, a dla połowy – tak zwane „inne okoliczności”. Sprowadzają się one do chęci normalnego życia, bez strachu i przemocy. Utrapieniem policji i prokuratury są ci, którzy mają wprawdzie dobre chęci, ale nie do końca potrafią odnaleźć się w nowej roli. Przykładem jest Maciej B., ps. Gruby, podopieczny Prokuratury Apelacyjnej w

Katowicach. Za wycofanie swoich zeznań Gruby usiłował wyłudzić 100 tys. dolarów od trzech mężczyzn oskarżonych o produkcję amfetaminy. Wpadł w styczniu 2005 roku, gdy na stacji benzynowej w Pniewach pod Poznaniem odbierał worek z pieniędzmi. Zasadzkę zorganizowali detektywi wynajęci przez żony szantażowanych mężczyzn. Świadek koronny stanął przed sądem, dostał siedem lat więzienia za oszustwo i utrudnianie śledztwa. – Skazanie nie wyłącza jego statusu świadka koronnego. Na bazie zeznań Macieja B. zapadły prawomocne już wyroki wobec kilkunastu oskarżonych – powiedział nam prokurator Leszek Goławski z Prokuratury Apelacyjnej w Katowicach.

Od wprowadzenia w życie w 1998 roku ustawy o świadku koronnym programem ochrony objęto ponad stu skruszonych przestępców oraz ich rodziny. Do roku 2006, gdy przepisy były łagodniejsze, ten nadzwyczajny status przyznano aż 81 świadkom. Nowelizacja ustawy zaostrzyła kryteria. Zgodę na wniosek prowadzącego śledztwo prokuratora o powołanie świadka koronnego musi zatwierdzić prokurator krajowy. Wcześniej odbywało się to na niższym szczeblu. Początkową euforię zastąpił rozsądek. Sądy powołują teraz 6–7 takich świadków rocznie. – Wcześniejsze statystyki, gdy zdarzało się ich ponad dwudziestu, były po prostu niedopuszczalne – komentuje dr Zbigniew Rau. Prokuratorzy prowadzący sprawę z udziałem świadka koronnego, zdaniem naszego rozmówcy, niekiedy bywają subiektywni w ocenach, ponieważ jeśli utraci on swój status, oni tracą cenne źródło dowodowe, a to w konsekwencji podważa cały akt oskarżenia. – Byłoby rzeczą bardzo złą, gdyby prokuratorzy rozpatrujący nowe przestępstwa świadków koronnych stosowali wobec nich taryfę ulgową – mówi ekspert.

Praktycy z CBS i eksperci tworzący przepisy o świadku koronnym wciąż głowią się, w jaki sposób uchronić wymiar sprawiedliwości przed naborem cwaniaków traktujących program ochrony wyłącznie jako sposób na życie na koszt państwa. Kandydata można wprawdzie podłączyć do wariografu, ale ten nie demaskuje intencji badanego. Wyniki testu na prawdomówność nie są w stu procentach miarodajne, ponieważ maszynę można oszukać. Predyspozycje psychiczne potencjalnego koronnego mógłby ewentualnie zbadać psycholog lub psychiatra, w praktyce jednak jest to niemożliwe. Na etapie kandydackim wszystkie procedury są ściśle tajne, w tym dane świadka, zatem nie można powołać biegłego. Można jedynie zawierzyć intuicji, ale prokuratorska i policyjna w tym względzie rzadko się pokrywają. Pierwszym chodzi o utarg, czyli materiał do aktu oskarżenia, drugim – o sprawny przebieg ochrony świadka.

Jak to w ogóle możliwe, że osoba objęta programem ochrony działa w gangu, bierze udział w uprowadzeniach dla okupu lub wymusza haracze? Szef Zarządu Ochrony Świadców Koronnych CBS, którego o to zapytaliśmy, tłumaczy: – Policyjna ochrona nie jest równoznaczna ze stałą obecnością funkcjonariusza w pobliżu świadka. Jeśli zatem ktoś chce popełnić przestępstwo, to znajdzie nawet najmniejszą szczelinę w całym systemie ochrony i wykorzysta ją do tego.

Doktor Jerzy Pobocha, psychiatra i biegły sądowy związany z więziennictwem od ponad 30 lat, uważa, że wchodzący w program ochrony przestępcy powinni zostać objęci także profesjonalnym programem resocjalizacji, zmieniającym ich dotychczasowe nawyki. Bez tego, zdaniem psychiatry, będą powracać do kradzieży i rozbojów, ponieważ wielu z nich po prostu nie potrafi żyć uczciwie. – Pamiętajmy, że ci ludzie przez lata funkcjonowali w świecie mocnych wrażeń i dużych pieniędzy. W jednej chwili zamienili to na życie w ukryciu, gdzie jedynym ich zajęciem jest składanie zeznań – mówi psychiatra.

„Dotychczasowa praktyka wskazuje, że jedną z trudności w aklimatyzacji świadków koronnych do normalnego życia poza programem ochrony jest długość jego trwania. Wynika to z przewlekłości procesów karnych, w których występują świadkowie koronni. (...) Procesy karne w Polsce z ich udziałem trwają najdłużej w Europie” – czytamy w opracowaniu pt. Świadek koronny – 10 lat tradycji inspektora Leszka Kardaszyńskiego, byłego szefa Zarządu Ochrony Świadców Koronnych CBS.

Trzeba zatem poszukiwać skutecznych metod trzymania ich w ryzach. Ustawa przewiduje, by przestępców w koronie karać nie tylko więzieniem i utratą statusu, ale też finansowo, poprzez zwrot równowartości wszystkich świadczeń otrzymywanych od państwa w ramach programu ochrony i pomocy (kwoty są tajne, jedynie nieoficjalnie wiadomo, że może to być nawet kilka tysięcy złotych miesięcznie). Z naszych ustaleń wynika, że co najmniej przez dwanaście lat ten przepis jest martwy, nigdy go nie zastosowano. Ważne jest też, by nie powielać dotychczasowych błędów, takich jak typowanie na koronnych ekstremalnie zdemoralizowanych przestępców, jak np. Stopa. Do tego grona zaliczał się Jacek P., ps. Parol, z grupy pruszkowskiej, znany w półświatku z brawurowych napadów na tiry. Ustanowiony koronnym, następnie przyłapany przez policję na kolejnych rozbojach, trafił do aresztu, gdzie w 2001 roku popełnił samobójstwo. W kwietniu 2008 roku powiesił się świadek koronny Andrzej Ł. – złodziej samochodowy. Zeznawał przeciwko skorumpowanym urzędnikom i policjantom, dzięki którym tacy jak on byli bezkarni przez długie lata. Chociaż nosił koronę – wciąż kradł. Został zdekonspirowany przez policjantów z tego samego wydziału, który go chronił. Groziła mu utrata statusu.

W samobójstwach zdegradowanych świadków koronnych próżno dopatrywać się mafijnej wendety. Nie tylko stracili oni szansę na uczciwe życie, ale odpowiadaliby za wszystkie kryminalne grzechy swego życia. Także te, do których sami się przyznali, zanim zostali świadkami koronnymi. To cena, jaką się płaci za zerwanie układu z prokuraturą (wniosek o cofnięcie ochrony i pomocy finansowej kieruje do prokuratora komendant główny policji lub dyrektor generalny służby więziennej). Podczas procesu karnego strażnika z białostockiego aresztu, oskarżonego o nieumyślne spowodowanie śmierci Andrzeja Ł. (bo nie obserwował celi koronnego), okazało się, że więzień zegnał się w listach z bliskimi. Tłumaczył, że boi się zemsty byłych kompanów. – Znał więzienne życie na wskroś i

wiedział, że los byłych świadków koronnych za kratkami jest przesądzony – sugeruje dr Jerzy Pobocho.

Świadkowie koronni na całym świecie zaliczają niechlubne wpadki (w Stanach Zjednoczonych pokrzywdzeni przez nich obywatele wytaczają procesy rządowi). Nawet jeśli nie tracą korony, to kończą się ich przywileje, czyli ochrona i pieniądze od państwa. W Polsce utraciło te przywileje – czasowo lub całkowicie – kilkunastu świadków koronnych.

O spojrzenie na problem z tzw. drugiej strony poprosiliśmy świadka koronnego Marka S., ps. Sikor, niegdyś groźnego przestępcę grupy pruszkowskiej. Oto zapis naszej rozmowy.

„Psychika w końcu szwankuje”

Fragment rozmowy z Markiem S., ps. Sikor, świadkiem koronnym:

– **Co pan myśli o koronnych, którzy nadal popełniają przestępstwa?**

– To kretyni, tak o nich myślę. Szukają furtek w programie ochrony, żeby sobie pożyczyć po staremu. Tak naprawdę od początku nie zamierzali żyć według nowych zasad.

– **To po co w ogóle wchodzili w program?**

– Zaliczyli wpadkę, ktoś im to zaproponował, więc skorzystali z okazji: „OK, przyjmuję ich warunki, ale nadal będę robił swoje. Czerpię przy tym profity, bo mam od nich parę złotych i jestem pod ochroną”. Właśnie tak to działa.

– **Jak to możliwe, że przestępcy na wolności w ogóle kontaktują się ze zdrajcą, bo tak chyba traktowani są świadkowie koronni?**

– Ci najgroźniejsi tak uważają, ale plotki myślą inaczej. Są wdzięczni koronnemu, że ich nie sypnął.

– **Jak powstrzymać oszustów, którzy – jako koronni – chcą wyłącznie naciągnąć państwo na wikt i opierunek?**

– Sprawa jest zbyt łagodnie potraktowana w ustawie. Status koronnego traci osoba, o której można powiedzieć „przestępca”, więc ktoś taki musi zostać prawomocnie skazany. A wiadomo przecież, ile to w Polsce trwa. Przez ten cały czas, gdy sprawy się toczą, gość wciąż jest koronnym i czerpie korzyści z bycia w programie ochrony. No i „pożycza” sobie auta w całej Polsce, żeby dojechać do dziewczyny.

– **Co trzeba zmienić?**

– Granice powinny być jasno wytyczone. Status koronnego powinien być odbierany za sam fakt popełnienia przestępstwa.

– **Myśli pan, że to wystarczy, aby zdyscyplinować świadków koronnych?**

– Nie wiem, ale trzeba spróbować. Ale błędy popełniają też ci „na górze”, przez których zbyt długo

czekamy na nowe dokumenty. Całe lata żyjemy pod starym nazwiskiem, a ono ma przecież swoją kartotekę. Człowiekowi nie robi różnicy kolejne przestępstwo. Myśli sobie, że jeszcze jeden numer nie zaszkodzi.

– **Nowe nazwisko pomaga zmienić stare przyzwyczajenia?**

– Nowe dokumenty to nowe życie. Czyste konto. To działa tak: „Dostałeś, człowieku, nową szansę, jeśli chcesz ją zniszczyć – twoja sprawa”. W takiej sytuacji łatwiej o opamiętanie.

– **No tak, ale żeby dostać nową tożsamość, wszystkie sprawy z udziałem koronnego muszą być pokończone.**

– Właśnie tu zaczyna się koszmar. Od dziesięciu lat jestem świadkiem koronnym [rozmowa z 2010 roku – przyp. aut.] i wciąż siedzę w programie. Gdybym na starcie wiedział, ile to wszystko będzie trwać, to poważnie zastanowiłbym się, czy w ogóle warto w to wchodzić. Po tak długim czasie życia w zawieszeniu psychika po prostu szwankuje. Pewnie dlatego niektórzy nie wyrabiają.

Marek S., ps. Sikor, był w „Pruszkowie” prawą ręką Dariusza B., ps. Bysiu (Bysio) – jednego z kapitanów gangu. Kiedy w 2001 roku policjanci z „Enigmy” zatrzymali Bysia, Sikor szykowany był na świadka koronnego. Gdyby nie zdobył statusu, znalazłby się na ławie oskarżonych w drugim procesie „Pruszkowa”. Sikor uzupełnił zeznania Masy.

XI. Srebrny Książę, czyli nieznana historia Śledzia

Telefon od Pawła M., ps. Małolat, zupełnie nas zaskoczył. Nazywany niegdyś przez media asystentem Pershinga, raczej nie przepadał za dziennikarzami. To u niego podczas rewizji w latach 90. odkryto mały skład broni, w tym ponoć ręczną wyrzutnię pocisków typu bazooka. Policja twierdziła, że Małolat planował przy jej pomocy zaatakować twierdzę Dziada przy ul. Klamrowej w Ząbkach. On sam śmiał się z tego, upierał się, że bazooka była atrapą niezdatną do oddania strzału. Małolat zyskał sławę, kiedy wybuchła polityczna awantura – SLD zaalarmowało, że świeżo powołane Centralne Biuro Śledcze inwigiluje tę partię, a w szczególności jej festyn zorganizowany na strzelnicy w Rembertowie. Faktycznie funkcjonariusze CBS robili zdjęcia i kręcili film z tego festynu. Później wyjaśniło się, że nie śledzili działaczy partyjnych, ale Małolata, bo dostali cynk, że ten bliski współpracownik Pershinga ma się pojawić na strzelnicy.

Cynk był prawdopodobny, gdyż Paweł M. formalnie był członkiem SLD, a nawet założycielem jednego z najliczniejszych kół tej partii, na stołecznym Bemowie. Na festynie się nie pojawił. Owszem, udał się na strzelnicę, ale nie w Rembertowie, a na Bemowie – ktoś pomylił obiekty. Po tym zdarzeniu bemowskie koło SLD rozwiązano, by uciąć dywagacje o związkach pruszkowskiego gangstera z politykami lewicy.

Małolat trafił do aresztu przy ul. Rakowieckiej, zarzucano mu kilkanaście przestępstw, w tym udział w porwaniach dla okupu. Proces trwał, on się nie przyznawał, a jego koledzy z ławy oskarżonych głośno wyrażali zdziwienie, że w takiej roli zasiadają w sądzie: „My nie jesteśmy żadną mafią, a jedynie wesołą ferajną”. Spotkaliśmy się wtedy z Małolatem, podczas rozmowy w sali widzeń aresztu nie ujawnił, po co potrzebna mu była przynależność do SLD. Według policji, działalność partyjna była przykrywką mającą przysłonić niezbyt czyste interesy prowadzone przez Małolata we władzach pewnej fundacji, w której zasiadał, a która, jak twierdzili śledczy, była zwykłą pralnią pieniędzy. Jak było naprawdę, tego nie wiemy, ale jedno jest pewne: Małolat był człowiekiem z bogatą wyobraźnią i działał, łamiąc schematy.

Skazano go na 12 lat więzienia, odwołał się od wyroku. Kolejna instancja z części poważniejszych zarzutów go uniewinniła i wkrótce wyszedł na wolność. Właśnie wtedy zatelefonował.

Zapytał, czy może dać nasze namiary swojemu przyjacielowi, uczciwemu i zacnemu człowiekowi, który ma problemy i chce o nich opowiedzieć dziennikarzom. Zgodziliśmy się, wkrótce przyjaciel Małolata sam zatelefonował. Spotkaliśmy się. Tak poznaliśmy Ryszarda W., zwanego Śledziem. Okazało się, że mamy do czynienia z legendarnym Srebrnym Księciem – pionierem w odzyskiwaniu srebra z klisz rentgenowskich, czyli patentu, który przyniósł fortunę liderom tzw. polskiej mafii.

Miejsce tego spotkania było niecodzienne. Rzadko się zdarza, a prawdę mówiąc, nigdy nie słyszeliśmy o podobnym przypadku, by człowiek powiązany ze światem przestępczym mieszkał w domu opieki społecznej. Dom stał pod Warszawą, był prywatny, a więc dla pensjonariuszy raczej zasobnych. Ryszard W., 58-latek, miał pojedynczy pokój, leżał na specjalnym łóżku sterowanym elektrycznie. Był sparaliżowany od pasa w dół. To efekt stwardnienia rozsianego, taką chorobę u niego zdiagnozowano. Nie zgadzał się z metodami leczenia, twierdził, że lekarze błędzą, stosując wyłącznie leki, które opóźniają rozwój choroby, ale jej nie leczą. Przy całym współczuciu, jakie poczuliśmy dla dotkniętego tak bezlitosną przypadłością, trochę dziwnie w ustach człowieka związanego z polską odmianą mafii brzmiała opinia, że „za wszystkim stoi mafia koncernów farmaceutycznych i skorumpowanych neurologów”. Ryszard W. domagał się leczenia operacyjnego. Zgłębił całą dostępną literaturę na temat swojej choroby i doszedł do wniosku, że jej przyczyną są deformacje żyłne. Twierdził, że wystarczy zoperować żyły zatokowe, by wrócić do sprawności. Ale nikt nie chciał się podjąć tej operacji, bo NFZ wykluczał ją jako metodę skutecznego leczenia. Dlatego Ryszard W. chciał z nami rozmawiać, by nagłośnić problem. Zarzekał się, że nie chodzi mu o jego indywidualną sprawę, ale o dobro wszystkich chorych.

Był aktywny w internecie, założył własną stronę adresowaną do chorych na stwardnienie rozsiane, utrzymywał kontakt z zagranicznymi profesorami medycyny, którzy stosowali nowatorskie sposoby leczenia tej choroby. Długo rozmawialiśmy ze Śledziem o stanie jego zdrowia, aż zesłaliśmy na temat przeszłości. Interesowało nas, czym się zajmował przed rokiem 2003, zanim zachorował. Kiedy opowiadał o swoim życiu, wyraźnie wróciła mu werwa. W jego oczach pojawił się błysk. Dowiedzieliśmy się o początkach gangsterskich przygód wielu postaci, które później zyskały złą sławę jako liderzy gangów otwockiego, pruszkowskiego i przede wszystkim wołomińskiego.

Oto relacja Ryszarda W., Śledzia.

Patent na srebro

„Wieśka [Wiesław N., ps. Wariat, w latach 90. jeden z liderów gangu wołomińskiego, brat słynnego

Dziada – zastrzelony w 1998 r.] poznałem w latach 80. Wszyscy myślą pseudonimy, w tamtym czasie to Wieśka nazywano Dziadem, jego brat Heniek był znany jako Garbus.

Wiesiek, jak pił w swojej ulubionej knajpie Kasandra, płacił z gestem. Rachunek wynosił 200–300 złotych, obojętnie ile, to dawał tysiąc. Pod ścianą zawsze siedziały tam cieniasy, bez grosza, ale spragnione. Kiedy kelner przynosił resztę, Wiesiek rzucał te pieniądze tym cieniasom i mówił: A to dla dziada. I od tego został Dziadem.

Heńka nazywano Garbusem, on jeździł na węglówce i był trochę zgarbiony. Heniek był bardzo inteligentny, był prosty, ale miał wrodzoną inteligencję i przebiegłość.

Potem te ksywki się pomieszały. Na ulicy Okrzei był tzw. punkt, gdzie stał w bramie Wiesiek, miał tam wynajęte mieszkanie. I jak ktoś mówił, że jedzie do Dziada, to jechał tam, gdzie stał Wiesiek. Dopiero jak Wiesiek wyjechał, to miejsce zajął Heniek. Wtedy na niego zaczęli mówić Dziad. Jedziemy do Dziada, ale nie mówili tak o człowieku, ale o miejscu. Wieśka zaczęto nazywać Wariatem w latach 90., bo mu odbiło, nie zachowywał się racjonalnie. Bomby podkładał, szalał – zupełny wariat.

Poznałem go w ten sposób, że ten słynny Dzik [Jan S. – szef tzw. grupy otwockiej], który po latach został zastrzelony w Otwocku, wystawił Wieśka do oskubania. Wystawił go mnie.

Handlowałem wtedy srebrem, a Wiesiek skupował na dużą skalę właśnie srebro. Dzik poznał mnie z jakimś Simką, który kupował srebro dla Wieśka. Miałem tego dużo, srebro było oryginalne, odzyskiwane z klisz rentgenowskich. Sam odzyskiwałem srebro z klisz, byłem w tym pionierem. Dzikowi mówiłem, że mam fałszywe srebro, po pierwsze, nie chciałem mu zdradzać mojego patentu, a po drugie, bałem się, że mnie okradnie.

Przeczytałem kiedyś artykuł w gazecie, że w Austrii ukradli klisze rentgenowskie, żeby z nich srebro odzyskiwać. Zacząłem myśleć, jak ze starej kliszy srebro wydusić. Kombinowałem i tak, i tak. Nawet przepuszczałem klisze przez pralkę Frania, ale to nic nie dawało. Wreszcie metodą prób i błędów wymyśliłem patent. Wiedziałem, że srebro jest w emulsji. Doszedłem do tego, że klisze trzeba umiejętnie palić. Robiłem to w wysokiej beczce, zanim klisza spadała na dno, już była spalona, a do beczki opadało srebro – to tak w skrócie, żeby nie wchodzić w szczegóły. W tonie klisz było dwadzieścia dwa kilo srebra. Wtedy kilogram srebra kosztował w RFN tysiąc marek, zatem to była prawdziwa góra złota.

Tony tego przerabiałem. Zajeżdżałem do szpitala i mówiłem, że chcę kupić zużyte klisze, dawali nam za darmo, leżały na śmietniku. To był odpad, oni byli zadowoleni, że im opróżniam śmietniki. A w tej kliszy było całe dwa procent srebra! Kosztowali mnie tylko ludzie do roboty, trzeba było dwóch ludzi do jednej beczki. Z czterech ton klisz miałem 80 kilo srebra – to było 80 tys. marek na Zachodzie, ale w Polsce dostawało się mniej, bo zarabiali przemysłowcy i handlarze.

Inni zaczęli mnie kopiować, wiadomo – ludzie mają długie ozory, rzecz się rozniosła. Na początku

klisze były za darmo, ale jak się pojawiła konkurencja, to za kliszę chcieli w szpitalach po 100 złotych za kilo. W Ostrowcu Świętokrzyskim podstawiłem swojej konkurencji taksówkarza, woził ich i jak jechali, to rozmawiali ze sobą i on wiedział, w którym archiwum oni będą dawali zadatek i kiedy będą odbierali towar. Ten taksówkarz z Woli (miał pseudonim Kawka) donosił mi, że na przykład w czwartek mają być klisze na rano przygotowane. To ja w nocy przyjeżdżałem ze swoimi ludźmi i zabierałem te klisze. Białe fartuch miałem, łomem wyważaliśmy te drzwi, braliśmy klisze. Udawaliśmy pracowników szpitala. To już były kradzieże i włamania.

Zaraz potem państwowe zakłady zaczęły odzyskiwać srebro z kliszy, stało się to za moją sprawą. Było tak, że jeden mój człowiek umarł przy beczkach do odzyskiwania srebra, przyjechała milicja i zaczęła się interesować, co w tych beczkach jest, zobaczyli, że srebro. I tak państwo postanowiło przejąć monopol na odzysk. Byłem dla nich nielegalną konkurencją, zaczęli za mną biegać.

Wariat strofuje Dzika

Wtedy właśnie poznałem Janka, ksywka Dzik. Był z Józefowa, ale w Warszawie rządził, bali się go wszyscy. Poznał nas ze sobą były milicjant w stopniu oficerskim, który za oszustwo dostał wiele lat więzienia. Jak wyszedł, nie miał powrotu do milicji, ale znał tych wszystkich hochsztaplerów.

Dzikowi powiedziałem, że mam fałszywe srebro, ale nie ma szansy, żeby ktoś to rozpoznał. Nie chciałem mu mówić, że srebro jest autentyczne, bo by mnie okradł, taki człowiek... Dzik umówił mnie z Wojtkiem Simką, który pracował dla Wieśka Wariata. Simka mnie pyta, ile mam srebra, i mówi, że wzięliby, ile mam. Umówiliśmy się wieczorem na Pradze w knajpie Kasandra i on przyjechał z Wieśkiem.

Powiedziałem im, że robimy transakcję u mnie w domu. Zapytałem tylko, czy mają pieniądze. Pokazali, że tak. Podjechaliśmy pod blok, wcześniej go wypatrzyłem, klatki obszedłem, poznałem topografię. Powiedziałem im, że wejdę do domu, powiem matce, żeby wyszła, bo będę robił interes. Wróciłem i powiedziałem, że matka ma gości i nie wypędzę wszystkich, więc robimy transakcję pod blokiem. Pokazałem im sztabę srebra, piękną z meniskiem wklęsłym na wierzchu i po bokach, taki menisk ma tylko odlane srebro i to jest nie do podrobienia. Sam te sztabki odlewałem, miałem formy. Wiesiek pod dyżurką jakiejś fabryki, gdzie paliło się światło, nadpiłował sztabkę i polał dwuchromianem bromu. Stwierdził, że srebro jest prawdziwe, chciał, żebym przyniósł więcej. Odparłem, że jak da kasę, to przyniosę. Dał pieniądze, nawet więcej, niż to było warte. Ale to z mojej strony była pułapka, bo wcale tam nie mieszkalem, wchodziłem do bloku, gdzie były tylne drzwi, a tam w samochodzie czekali moi wspólnicy: dwóch zomowców z komendy na Cyryla i Metodego i były milicjant.

Kiedy odszedłem po więcej srebra, moi współnicy podjechali do samochodu Wieśka. Mówią, że milicja, pokazują legitymacje, i że on musi jechać z nimi, żeby coś wyjaśnić. Zabrali jego i Simkę na komendę. Ja w tym czasie zabrałem swoje srebro z ich malucha, zabrałem też srebro, które Wiesiek kupił wcześniej. No i pieniądze.

Po tym wszystkim Wiesiek porwał Dziką. Trzymał go w kontenerze na Targówku, na działce. Powiedział do Dziką: »Do tej pory będziesz siedzieć, aż dasz mi tego blondyna, co mnie walnął« i Dzik się zgodził, bo nie miał innego wyjścia. Wiesiek wypuścił Dziką, ale zażądał zastawu. Wtedy cała Warszawa składała się na kaucję dla Dziką.

Dzik spotkał się ze mną. Miał ze sobą Maćka, byłego mistrza Polski w zapasach w wadze ciężkiej. Zaprosili mnie do bmw. Wsiadam, a ten zapaśnik mnie łapie, naciska na żyłę, ja tracę przytomność i mnie porywają. Zawieźli do takiego chlewika, gdzieś na wsi. Chcą, żebym powiedział, gdzie mam srebro. Ja mówię: »Ty mnie po to porwał, żeby oddać Wieśkowi. Nie mogę pojechać z pustymi łapami, bo mnie zabije«. Kombinerkami złamał mi pół zęba. Z ich rozmów słyszałem, że mają odwieźć mnie do Dziada, tak nazywali Wieśka.

Dzik mnie przyciska, leje mnie, byłem spuchnięty, pobity, zmasakrowany. Powiesili mnie na haku na belce i męczyli mnie, ale mieli termin i musieli oddać mnie do Wieśka. Worek na głowę, do bagażnika i powieźli mnie na spotkanie z Wieśkiem. Potem przerzucili mnie do innego bagażnika, czuję, że auto ma automat, czyli wiem, że jestem u Wieśka, bo on miał mercedesa z automatyczną skrzynią.

Jak otworzył się bagażnik, widno trochę się zrobiło przez ten worek, to ja mówię: »Co, Wiesiu, spotkaliśmy się«. Wyjęli mnie z tego bagażnika, worka nie zdejmują i Wiesiek mówi: »A skąd wiesz, że u mnie jesteś?« Ja na to: »Wiem, bo Dzik mnie porwał, aby oddać tobie«. Jak zdjęli mi ten worek, to jego ochroniarz Marek od razu mnie uderzył, wywróciłem się, a Wiesiek mówi: »Zostaw go, zobacz, jak on wygląda, on jest zmasakrowany, ty jeszcze chcesz go dobić?!«.

Mówię: »Wiesiu porwał mnie, wiem, że chodzi ci o to, żeby odzyskać swoje, ja to mam«. On mówi, że gdybym miał srebro, to już dawno oddałbym Dzikowi. Nie wierzył mi. Wy tłumaczyłem mu wreszcie, że Dzikowi nie udało się nic ze mnie wyciągnąć. Oddam srebro jemu, Wieśkowi, ale tylko tyle, ile na tym numerze zarobiłem, bo reszta kasy została podzielona. Dzik i jego chłopaki dostali swoje działki. A potem Wiesiu powiedział Dzikowi, że jest przegrany, bo porwał i pobił współnika, czyli mnie.

Wariat i Dzik żywili do siebie nienawiść po tych zdarzeniach. Później Wiesiek zastrzelił Dziką, to znaczy zlecił zabójstwo. To był 1993 rok, w knajpie w Otwocku podszedł Rosjanin i z cezetki wyładował mu dziesięć kul. Dzik jeszcze chciał się zasłonić barmanką, to ten Rosjanin podszedł, strzelił mu z bliska w głowę, Dzik upadł, a tamten ostatnią kulą dobił go, jak leżał. Ale to było długo później. W pierwszej połowie lat 80. Dzik miał się dobrze. To był niezły drań.

Podpuszczony Wańka

Waniek [Leszek D., znany też jako Wańka, jeden z liderów gangu pruszkowskiego], jak się dowiedział, że Dzik mnie zmalretował, to pojechał do niego. Wtedy Dzik mu powiedział, żeby się nie wtrącał, bo ja chciałem go, czyli Wańka, też walnąć. A to była nieprawda, Dzik lubił skłócać ludzi, intrygować. Mnie na przykład powiedział, że chłopaka aresztowanego kiedyś pod Peweksem sprzedał Waniek. Dzik miał wtedy cel, namawiał mnie, żebym oskubał Wańka na fałszywe srebro. Powiedziałem, że jeżeli Waniek jest konfidentem, to nie będę miał żadnych skrępułów, ale chcę na to kwity.

Pojechałem kiedyś z Wańkiem na Wybrzeże robić interesy z ludźmi Nikosia. Oni chcieli mnie oszukać, ale ja oczywiście byłem szybszy. Walnąłem ich tak grubo, że potem z Gdańska przyjechało do Warszawy pięć samochodów. Tydzień jeździli po mieście i mnie szukali. A ja mieszałem w hotelu Warszawa, z góry widziałem, jak pod Domem Chłopa krążą. Dzik coś tam usłyszał o sprawie i to wykorzystał, napuszczając Wańka na mnie. Powiedział, że chciałem wystawić Wańka Nikosiowym, a wtedy tamci by go zatłukli. Dzik wykorzystał podle tę sytuację, żeby mnie przed nim oczernić. W tym momencie się pokłóciłem z Leszkiem D., pojechałem do niego do domu, aby to wyjaśnić, ale się nie udało. Do dziś nie ma zgody między nami.

Oszukać uczciwego gliniarza

Milicjantów, którzy pracowali dla mnie, miałem, jak już mówiłem, z komendy z Cyryla i Metodego. Później była głośna afera, bo jeden był synem pułkownika z biura kryminalnego MSWiA. Ten pułkownik miał na 22 lipca być mianowany generałem. O mnie już było wtedy głośno, szukała mnie milicja, akcja miała kryptonim »Srebrny Książę«. Tak mnie nazwali. Kiszczak powiedział pułkownikowi, że będzie generałem, jak schwyta Srebrnego Księcia. Ten ponoć przysięgał: Panie ministrze, oficerskie słowo honoru, że będzie pan go miał, ale mnie nie złapał.

Byłem dla nich ważny, bo znałem ludzi, którzy kręcili srebrem. U jednego z nich, w noc sylwestrową, dopadła mnie milicja. Na »dzień dobry« dostałem w oko. Na komendzie trzeba było podać imię, nazwisko i datę urodzenia. Przedstawiłem się jako Jan Rudziński – to był mój były wspólnik, podałem jego adres. Powiedziałem, że dokumenty straciłem przy awanturze. Ten milicjant Wiesław O. to był jedyny uczciwy gość w milicji i szkoda mi, że trafił na takiego jak ja, on z natury nie był przekupny.

Wiedziałem od Rudzińskiego, że przesłuchiwali go w mojej sprawie latem, więc kiedy milicjant Wiesław O. zapytał mnie, kiedy byłem ostatnio w Pałacu Mostowskich, powiedziałem, że pół roku temu. A on mówi: »Brodę mógł pan zgolić, włosy mógł pan rozjaśnić, ale czy pan podrósł przez te pół roku? Ja Rudzińskiego pół roku temu na Pałacu przesłuchiwałem«. Ja na to: »Panie kapitanie, jak pan wie, że ja jestem Marek Tomaszewski, to po co mnie pan pół godziny magluje jako Rudzińskiego?«. Tomaszewskiego też znałem, mieszkalem u niego. Kapitan dał się na to złapać, sześć godzin mnie maglował, w końcu powiedział: »Jak nie powiesz, gdzie jest ten Rysiek, to będziesz siedzieć« – rzecz jasna, mówił o mnie.

Ja na to: »Panie kapitanie, łap pan rekina, ja jestem umówiony z piękną dziewczyną. Ona chce sobie ze mną ułożyć życie i teraz jak ją wystawię w sylwestra, to ona mnie zostawi«. I go podpuszczam, że znam dyplomatów, co na immunitet przewożą za granicę po 200–300 kilo srebra. On od razu zobaczył u siebie awans, pyta, czy mu ich wystawię. Oczywiście nie znałem żadnych dyplomatów. Moja dziewczyna pracowała u głównego księgowego ambasady Nigerii, na ulicy Mickiewicza. Tam zawsze stało kilka bmw albo mercedesów. Myślę, tam go powiozę i niech sobie patrzy. On mówi: »Biorę radiowóz i jedziemy«. Ja na to, że za dużo ludzi mnie zna, żebym jeździł radiowozem, i że jedziemy taksówką. Dzwoni, ale w sylwestra ciężko było o taksówkę. Zaproponował, żebyśmy poszli na postój na piechotę. Doszliśmy do rotundy, wsiedliśmy do taksówki i pojechaliśmy na Mickiewicza. Tam stało kilka samochodów, on je spisał, a ja się oddaliłem. Jak wrócił na komendę, tam już trwała awantura. Zorientowali się, że to ja byłem tym Ryśkiem, Srebrnym Księciem, którego tak szukali.

Wiesław N. robi za Araba

W 1985 roku poszukiwano mnie w całej Polsce. Wieśka też. Wyznaczyli nagrodę, rozpisali listy gończe, zdjęcia w gazetach. Postanowiliśmy wyjechać z kraju. Bajerowali nas wszyscy, bo wiedzieli, że mamy kasę, że wszystko mamy, żeby tylko wyjechać. Cały czas musieliśmy się ukrywać. W Międzyzlesiu wynajęliśmy willę, ale ja zawsze miałem w odwodzie dwa mieszkania. Jakby był przypał, to zawsze miałem takie mieszkanie, w którym nigdy nie byłem.

Wieśka zawinęła w Gdyni, ale jakoś sobie załatwił wypuszczenie za kaucją. Przestał się meldować i momentalnie wystawili za nim kolejny list gończy. Za jego żoną Ewką postawili ogon, obserwowali ją. Wiesiek chciał się z nią zabawić w restauracji, ale nie wiedział, jak to zorganizować. Poradziłem mu, żeby zrobił sobie na głowie fryzurę afro, nikt go nie pozna. I faktycznie, rodzona córka nie poznała, wyglądał jak Arab. Jechał z Ewką taksówką do modnej knajpy Kamieniołomy, milicja pilnowała Ewkę. Zatrzymali taksówkę do kontroli, Wiesiek siedzi z Ewką, ma afro i jest w białym kozuchu. Milicjant mówi do Ewki: »No, gdyby się Wiesiek dowiedział, że ty z Arabem«.

Paszporty załatwiliśmy w następujący sposób. Miałem takiego podpułkownika z SB, powiedział, że załatwi paszport za pół miliona. Kupiłem od znajomego dowód osobisty, przełożyłem zdjęcie, pułkownik uznał spreparowany przeze mnie dowód za oryginalny. Poszedł z tym dowodem na Żytnią. Baba w okienku mówi: »Panie, to nie tego pana dokument«, a on legitymację SB pokazuje i mówi: »Tak, ale to mój człowiek i proszę pilnie mu załatwić paszport«. Napisała: Ankietę zdał pułkownik taki i taki. Zrobiła się z tego chryja. Pułkownika, zdaje się, wyrzucili na zbity ryj z roboty. Pomagał mi jeszcze taki gość z wydziału kadr KC [Komitet Centralny Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej]. Też za pieniądze. Sporo nas z Wieskiem ten wyjazd kosztował, ale się opłaciło.

W 1985 r. byliśmy już w RFN. Zacząłem tam nowe życie, a Wiesiek wyjechał do Ameryki. Chciał tam zostać. Taki był napalony, że nawet wziął z Ewką rozwód i tam się fikcyjnie ożenił, ale i tak mu nie dali obywatelstwa. Wrócił do Niemiec.

Dlaczego Nikoś dał w długą

Mieszkałem w Hamburgu. Prowadziłem sklep w takiej dzielnicy, gdzie była masa sklepów polskich. Po sąsiedzku miał swój sklep Nikoś, a nieco dalej taki Stasiak M. z Trójmiasta, który potem w Polsce robił interesy. Handlowaliśmy wszystkim, kontenerami papierosów bez akcyzy, szamponami, samochodami.

Nikoś elegancki był. Nie miał do mnie pretensji, że oszukałem jego chłopaków na to srebro. Powiedział: »Ty nie mnie walnąłeś, tylko walnąłeś przydupasów, niech oni cię szukają«. Miał kłopoty, dostał półtora roku za kradzieże samochodów. Mógł odsiedzieć, ale uciekł z więzienia, przyszedł do niego na widzenie brat i się zamienili, brat został jako Nikoś, a on wyszedł za bramę. Potem już szukaj wiatru w polu. Uciekł, bo wcześniej przyszedł do niego prokurator niemiecki i obiecał, że po odsiedzeniu półtora roku nie wyjdzie. Zaczął mu wyliczać: »Ja jeszcze mam na ciebie audi v8, mercedesa i bmw i dam te trzy samochody i za nie dostaniesz ze 3–4 lata. Jak odsiedzisz te 3–4 lata, to dam ci jeszcze inne, mam już przygotowane, wszystko ci porozdzielam, żeby ci nie robili łącznego wyroku. Będziesz tu gnił latami«.

No i dlatego Nikoś dał w długą.

Kiedyś mnie przesłuchiwali do jego śledztwa. Powiedziałem im, żeby nie robili z Nikosia wielkiego mafiosa, że to on wszystkim kieruje. Musiałby co sekundę kraść samochód, żebyście go mogli zrobić głównym złodziejem. A kiedy Nikoś śpi?

Hamburg z Pershingiem

W Hamburgu bywał też Andrzej, czyli Pershing. Znaliśmy się, tolerowaliśmy, złego słowa na niego nie powiem.

Pershing był kiedyś u Nikosia. Grali w karty na wytrzymanie. Dwa dni bez przerwy grali w pokera, kto pierwszy padnie. Obaj dobrze grali. Pershing jeździł z obstawą. Kiedy on grał z Nikosiem, jego chłopaki zabawiali się. Trafiał się tam jeden mój znajomy, który do mnie przyjechał z Polski. Coś go podkuśliło i ukraść tym ochroniarzom audi v8. Po prostu ich zbajerował: »Dajcie kluczyki, przejadę się tym audi«. Wsiadł, odjechał i nie wrócił. A potem ja tych samych ochroniarzy zmusiłem, żeby oddali pieniądze – dwadzieścia tysięcy dolarów, które wisieli Wieśkowi. Siłą ich zmusiłem. Mieli więc przynajmniej dwa powody, żeby się na mnie odegrać. Czekali tylko na moment.

Postanowili Pershinga rękoma wyjąć kasztany z ognia. Powiedzieli mu, że gość, który im ukraść audi, jest u Ryśka, żeby jechać i załatwić sprawę. A Pershing nie w ciemną bitę, dopytuje: »U jakiego Ryśka? U Śledzia? Tak? No to siadać«. Usiedli, a on mówi: »Jedźcie sami do niego, tylko nałóżcie kamizelki kuloodporne, bo będzie gorąco«.

Wystraszył ich i nie przyjechali.

O śmierci Pershinga dowiedziałem się, jak już byłem z powrotem w Polsce. Wróciłem w 1995 r., jego zastrzelono cztery lata później. Kto go zabił, w to nie chciałbym się w ogóle wtrącać. Znam troszeczkę więcej, niż państwo możecie sobie wyobrazić. Wszystkiego nie mogę mówić, co wiem. Po prostu. Wiem, zapomniałem i nie interesuje mnie to.

Ostatnie życzenia

A Wariat? Zawsze mówię, że zginął za 10 tys. dolarów. Pojechałem do jego baru na Inżynierską, miał tam taki lokal pod nazwą Stop, żeby złożyć mu życzenia noworoczne. Zapraszał mnie na sylwestra do Rusalki, to też była jego knajpa, ale nie pojechałem. Nie miałem zamiaru być wciągany w jakieś układy mafijne, bo oni wywołali wojnę i pomyślałem, na co mi gnój, jak ja pola nie mam. Wcześniej mnie pytał, czy trzymam z nim, czy z Wańkiem. A ja już z nikim nie trzymałem, stałem z boku, robiłem legalne interesy. Dlatego nie miałem zamiaru być na tym sylwestrze. Oczywiście, że Wiesiek tam wziął tych wszystkich swoich mafiosów, gangsterów, sfinansował zabawę. Ja nie miałem zamiaru tam w ogóle być finansowany. Niezależny byłem.

Pojechałem w styczniu złożyć mu życzenia, to on do mnie mówił tak: »No, Rysiu, to są ostatnie życzenia, co mi składasz«. Pytam: Jak ostatnie? Odpowiedział: »Bo już ile im się może nie udawać,

żeby mnie sprzątnąć».

Było kilka zamachów na jego życie. Nawet mi mówił, kto do niego strzelał, kiedy jechał swoim pontiakiem do domu. To było w miejscowości Zakręt przy trasie na Lublin. Tam był taki spad i jak on tym pontiakiem był na tym spadzie, to padły strzały. Widział strzelca. Nie powiem, kto to był, nie chcę się w to wtrącać. Nie będę mówić, ta sprawa śmierdzi po prostu ziemią. Nie wiem, kto go później zabił, ale atak poszedł z tej samej strony. Jeszcze wcześniej podłożyli mu bombę w samochodzie. Obok była jednostka wojskowa, miała silne radiostacje. I przy nich widocznie pilot nie odpalił. Przycisnęli przyciski, żeby go wysadzić, i nie zadziało ze względu na radiostację. Ta bomba spadła z koła. Wiesiek tą bombę wziął, kilo semteksu. Wyleciałby wyżej jak ten budynek.

Składałem mu te ostatnie życzenia, on mi opowiada o tych zamachach, więc wziąłem telefon i zadzwoniłem do kolegi do Włoch, bo on miał dojścia do pocztowych furgonów pancernych do przewożenia pieniędzy. Takiego z pancerafausta nie rozwalisz. Po dwóch latach je wycofywali, wymieniali na nowe. Kolega z Włoch mówi, że można kupić taki wóz za dziesięć tysięcy dolarów. Wiesiek powiedział, że musi przemyśleć. Jemu było szkoda dziesięć tysięcy papierów, dlatego zginął. Zostawił po sobie olbrzymi majątek. Wszędzie miał działki: w Jankach, od Legionowa do Nowego Dworu, wszędzie jego ziemia.

Wiesiek miał córkę Kaśkę i syna Marka. Kasia została spadkobierczynią, jest pewnie miliarderką, a Marka wydziedziczył. Dlaczego? To głupia sprawa. Kupił Markowi opla kolibrę, takie sportowe auto. I po trzech tygodniach przyjechał ten Marek tą kolibrą poobijaną jak ulegalka. I Wiesiek mówi: »Co ty myślisz, że ja na to lekko pracuję? Ja narażam życie«. I go wydziedziczył za to, że on nie szanuje jego pieniędzy.

Na pogrzebie Wieśka nie byłem, ja nie jestem idiota, żeby iść na pogrzeb i dawać się fotografować i filmować. Wiedziałem, kiedy pogrzeb, to sobie po tym pogrzebie poszedłem, ale spotkałem się z nimi, jak oni szli już z pogrzebu. Spotkałem Ewkę, żonę, ona mnie nie lubiła, ale złożyłem jej kondolencje. Wyglądała jak żywy trup. Poszedłem na grób i położyłem tam kwiaty, i wszystko”.

XII. O jeden most za daleko

Rok 1998 uznano za najbardziej krwawy w krótkiej, acz burzliwej historii polskiej przestępczości zorganizowanej. W lutym zginął Wariat z Wołomina, w kwietniu Nikoś z Gdańska. Ale wszystko przyćmiły wydarzenia określane mianem wojny zgorzeleckiej. Walczyli dawni wspólnicy: Jacek B., ps. Lelek, i Zbigniew M., ps. Carrington. W Zgorzelcu i okolicach od maja do września 1998 r. zginęło 13 osób, a kilkanaście innych odniosło rany. Do dzisiaj nie jest jasne, o co im poszło. Najbardziej prawdopodobna wersja mówi, że wykopali topór wojenny z powodu mostu technicznego w Sękowicach pod Gubinem.

Wojna zgorzelecka

Most w gruncie rzeczy był wąską i tymczasową konstrukcją – służył jako pomocniczy do budowy właściwej przeprawy przez Nysę. Dzisiaj działa już tam nowoczesny terminal graniczny pod nazwą Gubinek. Wtedy, w drugiej połowie lat 90., trwały wytężone prace, obok mostu technicznego zlokalizowano magazyny budowlane i zaplecze inwestycji. W dzień roiło się od robotników. W nocy na moście opuszczano szlaban i zamykano go na kłódkę. Na warcie zostawał stróż pilnujący magazynów. Całe Sękowice wiedziały, że nocami most wcale nie śpi. Ciężarówkami gna do Polski kontrabanda. Ale Sękowice milczały, bo ludzie się bali.

Most techniczny zbudowano na początku 1997 r. Natychmiast wpadł w oko Dariuszowi P., ps. Płomyk, specjalizującemu się w kradzieżach i przemyśle do Polski luksusowych samochodów z Niemiec. Był związany z Lelkiem, lokalnym watażką gangsterskim. To właśnie Płomyk – za zgodą Lelka – przywiózł do Gubina Zbigniewa M., ps. Carrington. Pokazał mu most i zaproponował wspólny interes. Płomyk w aporcie wnosił most i kontakt z odbiorcami spirytusu, a Carrington miał zorganizować grupę, zająć się logistyką przedsięwzięcia i zapewnić środki techniczne.

Carry – jak pieszczotliwie zdrabniano pseudonim Zbigniewa M. – działał perfekcyjnie. Już wcześniej miał zarejestrowane w Zgorzelcu dwie firmy transportowe, Transport Samochodowy i Mega Trans, i na stanie kilka wziętych w leasing tirów. Oficjalnie woził nimi meble, ale tak naprawdę

szmuglował do Niemiec papierosy. Teraz skrzyknął ludzi i rozdzielił role.

Każdy miał jasno określony zakres obowiązków. Jedni byli kierowcami, drudzy obstawiali drogi i śledzili policję, jeszcze inni za pomocą specjalnych skanerów podsłuchiwali niemieckie służby graniczne (znali język niemiecki). Do grupy skaperowano też kilku pograniczników i dwóch stróży pilnujących mostu w Sękowicach. Nawiązano kontakt z mieszkańcem Wrocławia Arkadiuszem K., ps. Gargamel, który robił interesy z grupą pruszkowską. Gargamel zajął się wykupem spirytusu z wytwórni na terenie Włoch i Francji, załatwił też odbiorcę towaru. Był nim Ludwik A., ps. Lutek, gangster działający raz po stronie „Pruszkowa”, raz „Wołomina” (ten sam, który zginął w 1999 r. w zamachu w restauracji Gama na warszawskiej Woli).

W sierpniu 1997 r. przez most w Sękowicach ruszył przemyt na olbrzymią skalę. Nocami przemykały ciężarówki wypełnione spirytusem. W ekwilibrystyczny sposób pokonywały wąską kładkę zwaną mostem technicznym, a potem wędrowały wałem przeciwpowodziowym nad Nysą i chowały się w lesie. Na leśnych polanach czekały inne ciężarówki, na które przeładowywano beczki ze spirytusem. Dalsza podróż była już bezpieczna – alkohol rozjeżdżał się po całej Polsce.

W lutym 1998 r. Carrington pokłócił się z Płomykiem, bo ten dopuścił się prywaty. Na własny rachunek, bez uzgodnienia z szefem, puścił mostem w Sękowicach transport z kontrabandą. Niewprawny kierowca uszkodził dźwig budowlany stojący przy wjeździe na most. To obudziło czujność straży granicznej. Przez kilka następnych miesięcy prowadzono wzmożony nadzór nad mostem, szlak przestał być dla przemytników użyteczny.

Carrington był cierpliwy. Odczekał, aż dodatkowe straże zostaną zdjęte, skrzyknął nową grupę zadaniową, już bez Płomyka i jego ludzi, i w czerwcu 1998 r. wznowił przemyt. Ta faza trwała już tylko do 26 września 1998 r. Tego bowiem dnia (a właściwie nocą) powiadomiono policję, że mostem technicznym na Nysie wdarły się do Polski cztery tiry. Nieznani sprawcy mieli sterroryzować patrol straży granicznej. Na drogach pojawiły się liczne radiowozy, ale tirów nie znaleziono. Zatrzymano natomiast dwóch mężczyzn podróżujących samochodem osobowym. Jednym z nich był sam Carry. Początkowo udawał, że to jakieś nieporozumienie, on tylko sobie podróżuje, o przemycie nic nie wie. Ale w tym momencie odezwał się leżący w samochodzie radiotelefon. Ktoś zameldował, że tiry z alkoholem są już daleko i można akcję kończyć, wszystko się udało.

A jednak się nie udało. Carrington niespodziewanie łatwo się przyznał. Wskazał innych. Jak po łańcuszku docierano do kolejnych członków bandy. Także do żołnierzy Straży Granicznej, których rzekomo przemytnicy sterroryzowali. Okazało się, że sami sfingowali napad na siebie, bo dowiedzieli się, że ktoś niepowołany był świadkiem przejazdu kolumny tirów przez most techniczny. Na wszelki wypadek udali więc, że są ofiarami złoczyńców, ale szybko wykryto rzeczywistą rolę, jaką odegrali. W sumie na ławie oskarżonych umieszczono w tej sprawie 27 osób.

Prokuratura oszacowała, że w latach 1997–1998 Carrington, kierując dwoma grupami

przestępczymi, sprowadził do Polski minimum 80 transportów wypełnionych ponad 2 mln litrów spirytusu. Wyliczono, że straty z powodu nieuiszczenia cła, akcyzy i podatku VAT wyniosły ponad 154 mln zł.

„Nie doczekałem podwyżki”

Rozmowa z Romualdem L., ps. Rekin, członkiem grupy Carringtona:

– **Skąd masz ten pseudonim – Rekin?**

– Ktoś kiedyś powiedział, że pływam jak rekin, i tak zostało.

– **A jak to się stało, że wziąłeś się za taką działalność?**

– Ściślej za przemyt. Początkowo to miało wyglądać na przemyt papierosów. A że nie jest to przemyt papierosów, to dowiedziałem się po „drugim rzucie”. To już było za późno, żeby się wycofać.

– **Potrzebowałeś kasy?**

– Powiedziałbym nawet, że bardzo. Już wówczas małżonka zaczęła mi chorować. Jak się potem okazało, był to rak złośliwy. Czworko dzieci. Małżonka chora. Skąd wziąć pieniądze? Wszystko, co zarobiłem, szło na chorobę. Skończyło się tak, jak się skończyło. Trzy lata temu zmarła.

– **Jak trafiłeś do Carringtona?**

– Któregoś wieczora, obaj mieszkaliśmy w Zawidowie, zatrzymał się autem, poprosił mnie na stronę. Powiedział, że jest, krótko mówiąc, robota. Zgodziłem się. No i się zaczęło.

– **Jaka była twoja rola w tym przedsięwzięciu?**

– Początkowo „stać na czujce” w lasku, obserwować Straż Graniczną, meldować przez walkie-talkie.

– **A obawa, że was też mogą podsłuchiwać?**

– No, raczej nie, bo mieliśmy skaner. Jeden z naszych kolegów umiał perfektnie po niemiecku, stał na skanerze i to raczej myśmy podsłuchiwali Niemców. Zaufani pogranicznicy sprzedawali nam informacje: o patrolach, o godzinach dyżurów, szczególnie jeśli chodziło o most i okolice. Byłem najpierw od przemytu, a potem – od przekupstwa.

– **Kogo przekupywałeś?**

– Przekupiłem! Bo to chodzi o jednego człowieka, dowódcę strażnicy w Sękowicach.

– **Był drogi?**

– Wziął 50 tysięcy marek zachodnich. Na pierwszym spotkaniu był małomówny. Z tego, co mi później relacjonował, to uważał mnie za podstawionego człowieka przez policję lub z Urzędu Ochrony Państwa. Ale po kilku dniach zmiękł. I przyjął! No i robota ruszyła. Mieliśmy też

przekupionych kilku jego podwładnych. Ale nie mieliśmy nikogo z niemieckiej strony. I z tego wynikała wpadka, bo Niemcy nas namierzali. To było zbyt pazernie robione. Tej ostatniej nocy szło aż osiem zestawów ciężarowych.

– **Cztery przeszły, zdaje się.**

– Cztery przeszły. Jakimś tam cudem nie zostały nakryte, natomiast cztery zostały po niemieckiej stronie.

– **Przy ilu przerzutach alkoholu pracowałeś?**

– Było ich bodajże sześć lub siedem. W tym czasie, w którym ja byłem w grupie.

– **Pierwszy jej skład się rozpadł?**

– Po prostu jakieś tam nieporozumienia powstały między Carringtonem a Lelkiem. Poszło o jakieś przekręty. Wcześniej oni razem pracowali. To Lelek wpadł na pomysł przemytu w tych okolicach. Przyjacielem Lelka był Płomyk. Poróżnili się z Carringtonem przez to, że zaczął tam jakiś spirytus ginać Carry'emu w Niemczech. Podejrzenia padły właśnie na nich, a szczególnie na Lelka.

– **To w sumie jest stąpanie po cienkiej linii, taka działalność. Człowiek, zupełnie niespodziewanie dla siebie, może nagle stać się celem.**

– Wówczas wydawało mi się, że to jest zwykły prozaiczny przemyt. No, ale po kilku razach człowiek zaczął myśleć, że to się różnie też może skończyć. Jakoś to szczęście miałem, że ominęły mnie te wojny. Może i dlatego, że zapowiedziałem Carringtonowi, że w niczym takim nie będę nigdy uczestniczył. Owszem, w przemycie tak, bo są mi pieniądze potrzebne, ale nic poza tym.

– **Jak to się stało, że grupa wpadła? Co się zepsuło w tym mechanizmie?**

– Carry miał chwiejny charakter i na bossa to on się nie nadawał. Byli ludzie w grupie mądrzejsi od niego, którzy powinni kierować w zasadzie całym tym przemytem, i wówczas być może by się też skończyło, tak jak się skończyło, ale by to trwało może dłużej.

– **A jakie błędy popełniał? Dlaczego się nie nadawał? Nie słuchał rad?**

– Wręcz nienawidził rad! To nie był człowiek stworzony do przywództwa. No, ale ze względu na to, że miał jak na ówczesne czasy duże pieniądze, to rządził. Tak to się odbywało.

– **Był lojalny wobec ludzi?**

– Raczej nie. Do czasu, kiedy ktoś był mu potrzebny, to tak. Ale w momencie, kiedy się człowiek kończył z tych czy innych względów, to po prostu olewał go. Bodajże jako pierwszy w ogóle przyznał się do przemytu. A potem poobciążał wszystkich. Dużo bajek tam zeznał, zaszkodził wielu ludziom. Między innymi także i mnie. W pewnym okresie prokurator podejrzewał mnie, że chyba byłem wyżej od Carringtona, co było totalną bzdurą. No, ale jak było mu wygodniej, tak zeznawał.

– **Ciebie prokuratura najdłużej poszukiwała. Zdaje się, jako ostatniego cię znaleźli?**

– Pieniązki się skończyły. Zdałem sobie sprawę, że praktycznie nie ma się co ukrywać, i się nie ukrywałem, bo siedziałem u siebie w mieszkaniu.

– **Tak cię szukali, że nie znaleźli.**

– No! Wiedziałem o tym, że był za mną list gończy. Ale mówię: Sam się nie zgłoszę, jak zapukają do drzwi, no to im otworzę. I tak zrobiłem.

– **Możesz oszacować, ile zarobiłeś na tej pracy u Carry’ego?**

– W sumie przez ten okres miałem odłożoną pewną sumę, gdzieś w granicach dwudziestu paru tysięcy marek. Byli ludzie, którzy zarabiali więcej ode mnie.

– **Nie miałeś poczucia krzywdy, że za mało ci płacono?**

– Powiedziałem mu kiedyś, że moja rola polega na czymś więcej niż tylko na przemyśle, bo trzeba pamiętać o przekupstwie. To odpowiedział mi, że pomyśli nad tym. No, ale nie zdążył pomyśleć, bo się wszystko posypało. Nie doczekałem się tak zwanej podwyżki!

Zapalony sportowiec

Dlaczego Zbigniew M. tak łatwo przyznał się do zorganizowania przemytu? Prawdopodobnie wybrał mniejsze zło. W czasie, kiedy doszło do granicznej wpadki, w Zgorzelcu trwała wojna gangów. Polowano na Carringtona i on też polował na swoich wrogów. Z prostej kalkulacji wynikało, że znacznie bezpieczniej będzie przetrwać za kratami. Tym bardziej, że za przemyt groził mu wyrok najwyżej 8 lat więzienia.

Większość członków grupy postąpiła podobnie. Gangsterzy masowo przyznawali się do udziału w szmuglu, a następnie wnioskowali o zgodę na dobrowolne poddanie się karze. Sąd i prokurator chętnie na to przystali. Zapadły niskie wyroki w zawieszeniu i niewygórowane grzywny. Do osobnego postępowania wyłączono akta Carringtona i uznawanego za personę nr 2 w gangu, Jana M., ps. Gruby Janek. Ale proces z ich udziałem nie odbył się. Gruby Janek odsiedział inny wyrok (8 lat) za kierowanie własną grupą przestępczą i przemyt narkotyków. Carringtona po przyznaniu się do zarzutów zwolniono z aresztu za kaucją w wysokości 200 tys. zł.

Niedługo potem do sądu dotarły dokumenty, z których wynikało, że proces w najbliższych latach nie będzie możliwy, a być może nawet już nigdy do niego nie dojdzie. Opisy medyczne zawierały liczne obrażenia, jakich doznał oskarżony Zbigniew M., ps. Carrington. Miał uszkodzony mózg, przeszedł kilka trudnych operacji, a jego stan określono mianem inwalidztwa. Miał to być efekt wypadku rowerowego, jakiemu uległ podczas przejażdżki.

Policjant z oddziału CBS w Zielonej Górze, który rozpracowywał działalność gangu, powątpiewał:
– Nie wierzę w takie przypadki. Carrington to szczwany lis, może po prostu symuluje.

Mecenas Krzysztof Szymański, zielonogórski obrońca Carringtona, nie widział swojego klienta od czasu, kiedy wyszedł z aresztu, ale uważał, że diagnoza musi być prawidłowa. – Rozmawiałem z jego

żoną, panią Elżbietą – mówił nam. – Opisywała mi stan rzeczy, wynika z tego, że on faktycznie jest inwalidą.

Elżbieta M., rudowłosa, efektowna kobieta, właścicielka zgorzeleckiego lombardu, twierdziła, że jej mąż był i jest bardzo dobrym człowiekiem. Kalekiemu dziecku dawał na leczenie. – Chciał ludziom pomagać finansowo – tłumaczyła Elżbieta. – Nie dawać im pieniądze do ręki, ale pozwalać zarobić. Demonizowali, że taki jest groźny. A on łagodny był, nie pił, nie palił. Zapalony sportowiec. Ćwiczył kulturystykę. No i uwielbiał jeździć na rowerze.

Nazywano go gangsterem, ale – w opinii Elżbiety – to nieprawda. Faktycznie, zajmował się przemytem, ale od tego do gangsterki daleka droga. Przewisko Carrington też nie jest ksywką bandycką. – Tak go nazwał kiedyś pewien glazurnik, który remontował nam łazienkę – opowiada. – Zbyszek był wielkim estetą, a to takie kafelki, a to takie. Aż się ten glazurnik roześmiał: Ma pan wymagania jak Carrington z *Dynastii*.

Ogląda same mercedesy

Rozmowa z Elżbietą M., żoną Carringtona:

– **Dlaczego na pani męża organizowano zamachy?**

– To była błahostka. To wygłupy chłopców głupich. Zresztą ja ich nie widziałam. Po prostu to było coś takiego, że może za dużo alkoholu i chcieli pokazać, że się nie boją.

– **A w jakim celu te wygłupy były? To był jakiś sygnał dla męża? Czy mieli jakieś szczególne pretensje?**

– Tego to nie wiem, bo mąż mi zawsze mówił, że im mniej wiem, tym lepiej śpię.

– **Nigdy nie chciał się pani zwierzyć, że boi się czegoś, że ktoś mu zagraża?**

– Nie. On w sumie nie odczuwał żadnego zagrożenia ze strony innych ludzi. Ci, którzy go znali, byli zdania, że to był, i jest nadal, dobry człowiek. Za bardzo wierzył ludziom i to go zgubiło.

– **Otaczał się złymi ludźmi, którzy w rzeczywistości byli przeciwko niemu?**

– Może nie tyle przeciwko niemu, tylko każdy dbał w sumie o siebie. Zbyszek chciał im w jakiś sposób pomóc finansowo, dawał zarobić. A oni bagatelizowali go. Dużo rzeczy było takich, które wynikały z ich winy, że coś nie tak zrobili, a Zbyszek nie był w stanie skontrolować tego wszystkiego. I oni to wiedzieli, wykorzystywali to i zawalali mu całą sprawę. Było też tak, że oni wchodzili do knajp, powoływali się, że pracują dla Carringtona. Mówili: „Ja jestem od Carringtona i on przyjedzie i zrobi ci krzywdę”. Gdzieś tam w pubie któryś z chłopaków podniósł stół bilardowy do góry i rzucił, i nogi się tam rozwaliły. Za jakiś czas przyjeżdża Zbyszek, no i ten właściciel mówi, czy mógłby mu pomóc, bo tutaj Carrington przyjeżdża i rozwała mu sprzęt. Zbyszek mówi: „To mnie

nazywają Carrington, ale pan mnie przecież widzi pierwszy raz”.

– **Nie był znany w tutejszych lokalach?**

– To jest domator, który oddałby wszystko za dzieci i za mnie. On był cichym, spokojnym człowiekiem, który nigdy nie pił alkoholu, nie wie, jak smakuje szampan, w co nikt nie może uwierzyć, nie pali papierosów.

– **A w domu czym się zajmował, co lubił robić?**

– Telewizja przede wszystkim. Najchętniej oglądał filmy na podstawie „Trylogii” Sienkiewicza. Kazał sobie nagrać wszystkie części. Nawet po wypadku non stop ogląda *Potop*. On to uwielbia. Teraz mu jeszcze gazetę kupuję z mercedesami, ogląda sobie mercedesy.

– **Jak się poznaliście?**

– Na dyskotece. Uratował mi życie. Do tej pory mi to wypomina.

– **Ktoś inny tam panią podrywał?**

– Nie. Wychodziłam z dyskoteki i akurat dwóch mężczyzn się biło. I na chwilę odeszli od siebie, ja akurat wychodziłam i weszłam między nich w momencie, kiedy znów na siebie ruszyli. I wtedy pojawił się Zbyszek i mnie odciągnął. Gdyby tego nie zrobił, dostałabym z dwóch stron. Dlatego do tej pory twierdzi, że uratował mi życie.

– **Wiedziała pani wówczas, czym zajmuje się Zbyszek?**

– Niczym takim się nie zajmował. Ja pracowałam w banku, a on budował domy, był murarzem, chociaż z wykształcenia jest mechanikiem samochodowym.

– **Jak to się stało, że wszedł w te interesy graniczne? Tak gwałtownie zapragnął dużej forsy?**

– Na pewno zobaczył szansę na zarobienie pieniędzy, nie okłamujmy się. Przecież każdy myśli o tym, aby jak najlepiej finansowo się odkuć, żeby rodzinie niczego nie brakowało. A Zbyszek dodatkowo był bardzo zdyscyplinowany. To mnie urzekło w nim, że z niczego potrafił zrobić coś. To był taki podział, że on się zajmuje utrzymaniem domu, a ja się zajmuję domem. Zresztą żadnego takiego straszego majątku nie mamy, do Carringtonów nam daleko.

– **Znała pani ludzi z jego gangu?**

– Zwykli przemytnicy, nic więcej. Trzeba rozróżnić tych mafioso, o których pisze prasa, od zwykłych przemytników. On był przemytnikiem, a nie jakimś Al Capone.

Rozmowa z Carringtonem

Carringtona spotkaliśmy przed murem Zakładu Karnego w Wołowie. Przyjechał z matką w odwiedziny do młodszego brata Ryszarda, nazywanego przez policję Małym Azją. Ryszard odsiadywał tam wyrok za napady.

Carrington miał na twarzy wryte pod skórę czarne grudki – ślady po wybuchu bomby podłożonej przed drzwiami do jego klatki schodowej. Na głowie – blizny po kraksie rowerowej. Używał tylko dwóch słów: „no” i „nie” – oba miały znaczenie uniwersalne: czasem były potwierdzeniem, czasem zaprzeczeniem. Podobno rozumiał wszystko, co się do niego mówiło, ale jego zrozumieć było nie sposób. Pomagał sobie, gestykulując.

– **Chcielibyśmy się podowiaływać od pana o pewnych rzeczach. Może pan rozmawiać?**

Carrington coś pokazał na palcach, dotknął szwu na głowie, pozostałości po trepanacji czaszki. Mówił:

– No, no, nie, no, no.

Matka tłumaczyła:

– Mówi, że tyle leżał w szpitalu nieprzytomny. Nic nie pamięta. Jeden cud się stał, że żyje, drugi może się cud stać, że zacznie mówić. Tak lekarze mówią.

– **Jechał pan na rowerze? To był wypadek na rowerze?**

Carrington potakiwał:

– No, no... nie, no, no, nie...

– **Przeszedł pan operację?**

Uśmiechnął się, kiwnął głową, że tak, po czym wypowiedział swoje sakramentalne:

– No, nie, no.

– **I w tej chwili czuje się pan lepiej, porusza się samodzielnie.**

– Niiieee... – zgodził się chętnie.

Spotkanie z nim nie pozostawiało wątpliwości. Carrington naprawdę był inwalidą. Uniknął wyroku sądowego, ale los dopadł go okrutnie i ukarał surowo.

Po Zgorzelcu krążyły plotki, że wypadek, jakiemu Carry uległ, nie był wcale przypadkowy. Ludzie szeptali, że to mógł być kolejny zamach. Złośliwi pomawiali nawet żonę Carringtona. – Gdyby zginął, Elżbieta dostałaby prawie 140 tys. odszkodowania, bo na taką sumę był ubezpieczony – uważał jeden z kolegów Zbigniewa M.

Goły i wesoly

Rozmowa z Heleną L. (dane zmienione), matką Carringtona:

– **Co się stało w pani domu, że jeden syn, Ryszard, siedzi w więzieniu, a drugi, Zbigniew, został szefem gangu znanego na cały kraj?**

– Potracili wszyscy pracę, a mieli na utrzymaniu rodziny. No i się stało. To wina systemu naszego, bo za komuny była praca, a dzisiaj nie ma pracy. Dzisiaj w ogóle nie mamy pracy.

– **Czym się państwo zajmowali, pani i mąż?**

– Pracowaliśmy oboje w pegeerach. Ja pracowałam w oborze, jako dojarka, a mąż pracował w polu, krowy pasł. Był starszy dużo ode mnie. Potem poszłam na rentę i pracowałam jako stróż przez 17 lat na pół etatu.

– **Synowie od dziecka zapowiadali się, że będą łobuzami?**

– Mój syn Zbyszek to był najspokojniejszy człowiek, że go nawet na wiosce nie znali. Jak nieraz szłam z nim, to mnie się pytali, czyje to dziecko.

– **Nie pił, nie palił w ogóle?**

– Nigdy nie zapalił i nigdy nie napił się alkoholu żadnego. To było naprawdę dobre dziecko. Uprawiał sport. A co się później stało? No, założył rodzinę, nie miał z czego utrzymać.

– **Synowie pracowali kiedyś?**

– No, pracowali. Rysiek, jak wrócił z wojska, to pracował w łączności, jako kierowca. Zbyszek jako 17-letni chłopak skończył szkołę i pracował. Tu na Ujeździe takie trumny robił, bo nie był jeszcze pełnoletni. I pracował. Dobre chłopaki byli. A co się potem z nimi stało? Później ja nie miałam wpływu. Oni wszystko przede mną ukrywali.

– **A kiedy prasa zaczęła o nim pisać jako o Carringtonie, groźnym gangsterze, to co pani wtedy myślała?**

– Bałam się o niego, bałam się. Nie chciałam, żeby pisali, żeby tak było. Nie chciałam. Ale co ja? Nic nie miałam do powiedzenia.

– **Czy rozmawiała z nim pani wtedy, próbowała go jakoś przywołać do porządku, ratować?**

– Chciałam, żeby się z tego wycofał. Mówił, że jest już za późno, że teraz on sam się już boi. Był już za bardzo uwikłany.

– **Przyznano już pani opiekę nad synem?**

– Tak, mam przyznaną, sądownie.

– **Sama pani złożyła wniosek o ubezwłasnowolnienie Zbigniewa. Napisała pani, że od dnia doznanego urazu czaszkowo-mózgowego jest pozbawiony właściwej opieki i że wnioskuje pani, iż wspólne zamieszkiwanie syna z żoną jest niemożliwe, bowiem jej działania zagrażają jego życiu.**

– No, ale co miałam napisać. Przecież jak on ze Zgorzelca, ze szpitala, wrócił, to on całe zdania mówił. A teraz jak jest z synową, to co mówi? Dwa słowa.

– **Czy wypadek, jakiemu uległ, był zwykłą kraksą czy próbą zamachu na syna?**

– Nie mogę udowodnić, ale prawdopodobnie to nie była taka zwykła kraksa rowerowa, bo by był obdarty. Jak się spada z roweru, to się zawsze coś obetrze, mam rację?

– **Ktoś z nim jechał na tę wycieczkę rowerową?**

– Jeszcze dwóch jechało, ale w dwóch zeznają, że on tylko spadł z roweru, przewrócił się. A on tak

mocno spadł, że stracił kawałek czaszki, ma teraz dostawiony z przodu jakiś sztuczny. O Jezus kochany! On tak leżał, nieprzytomny. I jak mu tę czaszkę rozcięli, to on tam miał zrosty i rozszczep błony mózgowej. Ile ten człowiek przeszedł. On piekło przeszedł.

– **A on sam nie pamięta okoliczności, nic na ten temat nie wie?**

– Oni mu wmówili, że z roweru spadł, i on w to wierzy. On jej, żonie, we wszystko wierzy. Widział kto takiego durnia?

– **No wie pani, miłość nie wybiera. Tym bardziej, że wspólnie z żoną mają pewnie duży majątek. Z tego przemytu spirytusu sporo kasy przecież napłynęło.**

– Jak pragnę, żeby on był zdrowy, nie ma nic! Wszystko się rozeszło. On jest teraz goły i wesoły.

– **A odszkodowanie za wypadek, jaka to suma?**

– 138 tysięcy. Ale komorników ma na 30 milionów. O rentę mu się starałam. Już byłam na komisji we Wrocławiu. Nie ma przez ostatnie 3 lata pracy, no i nie dali mu. Musieliśmy pisać odwołanie.

Zamachy przez pomyłkę

Wokół dobrego człowieka zwanego Carringtonem w 1998 r. rozegrała się czarna seria wydarzeń. 8 marca – w centrum Lubania ostrzelano samochód Jacka B., ps. Lelek (bez ofiar). 26 maja – Zgorzelec, ul. Zamiejsko-Lubańska, atak na grupę ośmiu Białorusinów (dwa trupy). 5 czerwca – cztery trupy we wsi Modrzewie pod Wleniem (w tym Płomyk). Noc z 7 na 8 września – pięciu młodych mężczyzn zastrzelonych na drodze między Leśną a Bożkowicami. Policjanci byli pewni – to wojna między Carrym a Lelkiem. Powód? Carrington zawłaszczył most w Sękowicach i wyrzucił z interesu Płomyka. Płomyk był człowiekiem Lelka. Lelek poczuł się upokorzony, tym bardziej że to on, a nie Carry, był namaszczony przez „Pruszków” do zadań specjalnych. Ale kiedy doszło do wymiany ognia, „Pruszków” pozostawił gangsterów ze Zgorzelca samych sobie. Myśl był prosta – niech załatwią to między sobą, poczekamy, kto wygra, i z tym nawiążemy współpracę.

Zamachu na Białorusinów dokonano przez pomyłkę. Ludzie Lelka myśleli, że to killerzy wynajęci przez Carringtona. Wykonali więc atak uprzedzający. Okazało się, że przybysze ze Wschodu byli handlarzami samochodów. Prokuratura uznała, że zamachu dokonali Płomyk z Jarosławem J., ps. Jakubek. Ale Płomyka nie można było postawić przed sądem, bo został zabity pod Wleniem. Zginął, gdyż porwał jednego z ludzi Carringtona, niejakiego Grzywę. Chciał za niego okup. Ale zamiast transportu z pieniędzmi do domu, gdzie trzymano porwanego, dotarli wynajęci i uzbrojeni ludzie (podobno aż z Płońska). Rozstrzelali czterech porywaczy.

Grzywa, o którego uwolnienie stoczono wtedy krwawy bój we wsi Modrzewie, oświadczył policji, że niczego nie widział: ani sprawców porwania, ani tych, którzy ich zastrzelili. Dzisiaj prowadzi

kawiarenkę internetową w jednym z dolnośląskich miasteczek. Nie chce rozmawiać o przeszłości. Mówi, że szkoda czasu, bo Polska weszła do Europy i wszystko się zmieniło. Teraz trzeba robić biznes europejski, a nie opowiadać o starych strzelaninach.

Według policji, piąty sprawca porwania Grzywy przeżył dzięki temu, że w porę uciekł z miejsca zdarzenia. Podejrzewano, że kupił sobie życie za zdradę – miał ujawnić miejsce, gdzie przetrzymywano Grzywę, i wystawić mordercom Dariusza P., ps. Płomyk. Tym, który cudownie ocalał, był wspomniany już Jakubek, który za zabicie dwóch Białorusinów odsiaduje dzisiaj wyrok 25 lat więzienia. Do niczego się nie przyznał, nikogo nie zabijał, nie widział też, kto zabił jego przyjaciół. – Czy ja jestem taki diabeł, jak sądzi o mnie pan prokurator? – pytał podczas widzenia na oddziale dla niebezpiecznych kryminalu w Wołowie. – A może jest we mnie coś dobrego?

Pokazał list intencyjny od Lucjana Łagiewki, słynnego wynalazcy zderzaków, które minimalizują skutki zderzeń czołowych. Wynalazca napisał, że Jakubek bardzo mu pomagał przy pracach nad zderzakami, dawał pieniądze i uczestniczył w eksperymentach naukowych. – Usłyszałem w telewizji, że w Kowarach jakiś geniusz wymyślił rewelacyjne zderzaki – opowiadał Jakubek. – To niedaleko, pojechałem. I zostałem na dwa tygodnie. Waliłem małym fiatem w mur i sam się przekonałem, że to naprawdę superzderzaki. Dałem temu panu 200 tys. zł. Sam z siebie, z serca.

W Biuletynie Urzędu Patentowego z 1999 r. Jarosław J. wraz z panem Łagiewką figurują na równych prawach jako autorzy patentu.

Nie przyznam się, zostałem wrobiony

Fragment rozmowy z Jarosławem J., ps. Jakubek:

– **Za co się pan znalazł w tym miejscu?**

– Zostałem oskarżony o zastrzelenie dwóch Białorusinów. Zostałem pomówiony przez człowieka z kryminalu. Po dwóch tygodniach od mojego zatrzymania miałem z nim konfrontację. Na konfrontacji odwołał wszystkie zeznania. I nie zostałem przez niego rozpoznany. Na sprawie w sądzie w Jeleniej Górze składał dwa razy zeznania, które wykluczały całkowicie jego pierwsze zeznania.

– **Ten człowiek, o którym pan mówi, to jest Pedro, syn Grubego Janka?**

– Tak.

– **Czy mogło być tak, że on pana rozpoznał, bo miał pana rozpoznać?**

– Prawdopodobnie tak. Z tego, co się orientuję, to miały mu być przedstawione jakieś zeznania, że rzekomo miałem zeznawać przeciwko jego ojcu, co było po prostu nieprawdą. Na sprawie zeznał, że za zeznania mnie obciążające miał wyjść, a jego ojcu mieli pomóc, to się tak odbyło.

– **To zdarzenie i wiele innych w tamtym czasie, jakie miały miejsce w Zgorzelcu i okolicach,**

były związane z osobą Carringtona. Pan był w jakiś sposób związany z tym człowiekiem?

– Ja go tylko znałem z miasta i nic poza tym.

– **Ale był pan też oskarżony o przemyt spirytusu dokonywany przez tzw. grupę Carringtona?**

– Tak. Ale nie z Carringtonem. Byłem z kimś innym, oddzielnie, ale nas złączono.

– **Czyli niezależnie od Carringtona przerzucał pan spirytus przez most w Sękowicach?**

– Tak. Pomagałem. Poddałem się dobrowolnemu ukaraniu. Rok i pięć miesięcy w zawieszeniu dostałem.

– **Czy jest możliwy taki scenariusz, że najpierw był pan związany z Carringtonem, pokłócił się pan, a potem przeszedł pan do obozu jego przeciwników?**

– To zostało wymyślone. To w mojej sprawie zostało praktycznie użyte raz, po to aby tylko potwierdzić jakąś tam wersję pana prokuratora, która się okazała bzdurą.

– **Czy pan był związany z Lelkiem?**

– Tak samo jak z Carringtonem. Znałem go po prostu. Nie uczestniczyłem nigdy w żadnej grupie przestępczej.

– **Siedzi pan na oddziale dla niebezpiecznych. To są oddziały dla członków zorganizowanych grup przestępczych.**

– Ja nie mam zarzutów w związku z przynależnością do jakiegokolwiek grupy przestępczej zorganizowanej.

– **Skazany pan został za udział w zabiciu dwóch Białorusinów, zranienie dwóch innych, ale nigdy się do tego nie przyznał.**

– Nie mogę się przyznać do czegoś, czego nie zrobiłem. Zostałem wrobiony. Po prostu na naszym terenie zdarzyło się dużo różnych zdarzeń. Prokuratura potrzebowała kogoś, żeby mieć jakiś sukces. Padło na mnie.

– **W tej sprawie właściwie tylko jedno jest pewne, że ci ludzie stracili życie.**

– Prokurator wymyślił sobie, oczywiście to było takie założenie: że Białorusini przyjechali zabić mnie i paru kolegów też. Ale to w ich zeznaniach w ogóle się nie pokrywało.

– **To zdarzenie było pierwsze, a później miała miejsce seria podobnych zdarzeń – dużo trupów. W Zgorzelcu i okolicach. W jednym z takich zdarzeń pan miał jakiś udział, był pan na miejscu.**

– Po prostu znalazłem się w miejscu, gdzie strzelali, we wsi Modrzewie, i uciekłem stamtąd. Zawiozłem kolegę na miejsce, a okazało się, że tam jest jakaś rzeź. Byłem na tyle daleko, że mogłem uciec. I wszystko, więcej nic nie wiem w tej sprawie.

– **Którego kolegę?**

– Dariusza P., ps. Płomyk.

– **Co z nim się stało?**

– Nie żyje.

- **Kto atakował?**
- Nie wiem.
- **Widział pan ich?**
- Nie. Widziałem tylko dwóch zamaskowanych ludzi.
- **Jaka była przyczyna tej strzelaniny w Modrzewiu?**
- Nie wiem. Naprawdę nie wiem.
- **Według policji porwano i przetrzymywano w Modrzewiu człowieka o pseudonimie Grzywa, członka grupy Carringtona. Strzelanina, z której pan cudem ocalał, miała na celu uwolnienie Grzywy, ale również ukaranie tych, którzy go porwali. Dlatego zginął pański kolega Płomyk.**
- Może jakaś prawda w tym jest. Z tego, co wiem, Grzywa był rzeczywiście porwany.
- **Przez kogo?**
- Nie wiem. Przez kogoś, kto go nie lubił.
- **Były podstawy, żeby go nie lubić?**
- Nie wiem, ja z tym człowiekiem też nie miałem zbyt dużo kontaktu. To żaden mój kolega nie był. Wiem tyle, co pan mówił, z gazety, z plotek w mieście, nic poza tym.
- **Drugą obok Pedra osobą, która pana obciążała w procesie o zabójstwo Białorusinów, był Tomasz, młodszy brat Dariusza zastrzelonego w Modrzewiu. Czy możliwy jest taki motyw zemsty – Tomasz uznał, że to pan przyczynił się do śmierci jego brata, i szukał odwetu?**
- Z tego, co ja wiem, to podczas zeznań taka teza była przedstawiona Tomkowi przez prokuraturę. Ale z dowodów, które zostały zebrane w sprawie, wyszło, że to jest nieprawda. Tego chłopaka też w to wrobili. Ja tam nie mam do niego żalu zbytniego przecież. Nie wiem, może on się w ten sposób bronił? Na pewno się bronił w ten sposób. Przecież w perspektywie miał być w więzieniu 20 lat, a nawet dożywotnio. Zresztą był pomówiony przez tą samą osobę co ja, czyli przez Pedra. Praktycznie były te same dowody na mnie, co na niego. Tylko że ja zostałem zatrzymany od pierwszego dnia i od prawie 5 lat jestem w zakładzie karnym i w aresztach, a on – z tego, co wiem – nie był nawet aresztowany. Policja wmawiała mu, że ja jestem winny śmierci Darka. Co było nieprawdą, to mój przyjaciel był i do czegoś takiego nigdy w życiu bym ręki nie przyłożył.

Zrobili mnie prezydentem

Nie ma już gangu Carringtona, nie ma grupy Lelka. Lelek siedzi. Carrington zmienił się w człowieka roślinę, mówi swoje „no” i uśmiecha się grzecznie nawet do nieznajomych. Jego ludzie rozpierzchli się po świecie.

Jan M., ps. Gruby Janek, który w spisie Komendy Głównej Policji figurował jako rezydent

„Pruszkowa” na Zgorzelec, miał (kiedy odwiedziliśmy go w więzieniu) już 53 lata i żałował czasu na pobyt za kratkami. – Kim mnie tam zrobili? – pytał chytrze. – Jakimś tam prezydentem Pruszkowa!? Ja się faktycznie w Pruszkowie urodziłem, ale tylko to mnie z tym miastem łączy. No, ale dobrze, chcą mieć prezydenta, to będą mieli. Zakładam tu w Wołowie partię niesłusznie skazanych. Wystartujemy w wyborach. I pewnie wygramy.

W gangu Carringtona uważano go za człowieka nr 2, ale za udział w tej sprawie nie został osądzony. W innym procesie skazano go na osiem lat więzienia za przemyt narkotyków i kierowanie przestępczą grupą zorganizowaną. Twierdził, że to manipulacja prokuratury i policji, która wykreowała go na rezydenta „Pruszkowa”, aby mieć na koncie sukces w postaci „zapuszkowania” groźnego przestępcy.

Siedział w więzieniu w Wołowie pod Wrocławiem. Nie wyglądał na wroga publicznego – osadzono go zresztą na zwykłym oddziale, a nie dla niebezpiecznych. Średniego wzrostu, tęgi, krótko ostrzyżone, siwiejące włosy. Chętnie zgodził się na rozmowę, ale głównie chciał opowiadać o kłamstwach świadka koronnego Dariusza Z. To na podstawie jego zeznań skazano Grubego Janka. Liczył na kasację wyroku, bo miejsce, w którym przebywał, najwyraźniej mu nie pasowało. Twierdził, że zawsze był uczciwym człowiekiem, do tej pory niekaranym. Zarabiał, handlując samochodami sprowadzanymi z Niemiec. Upierał się, że pieniądze z tego interesu były całkowicie czyste, ale przyznaje, że biznes tak do końca legalny nie był, bo zawieranych transakcji nie zgłaszał do opodatkowania. Carringtona poznał przypadkiem, zaprzyjaźnili się. Z powodu tej przyjaźni popadł w tarapaty.

Konflikt z niczego powstaje

Fragmety rozmowy z Janem M., ps. Gruby Janek:

– **Jak pan trafił na Dolny Śląsk?**

– To jest małe miasto ten Zgorzelec. Przez przypadek tu się znalazłem. Zacząłem robić interesy, dobre były pieniądze na handlu samochodami. I w sumie nic się nikomu nie działo, bo to i tak przechodziło, przez Polskę przejeżdżało, a ja mogłem na tym zarobić. I sobie na tym zarabiałem, żeby od państwa nie brać tej jałmużny. Niech dla biednych zostanie. Ja przyjechałem z Pruszkowa. Przyjechałem na ten teren, sobie handlowałem. Okazało się to wygodne dla policji, prokuratury, bo pojawił się człowiek z Pruszkowa. Dobra, zrobimy, że to jest rezydent mafii pruszkowskiej, jeżeli taka w ogóle jest, bo ja nie wiem. Ja, że tak powiem, nie mam żadnego związku z różnymi osobami, które znam z telewizji. Być może przechodziłem w Pruszkowie koło któregoś z nich. Mogłem nawet i przechodzić. Ale nigdy mnie nic nie łączyło z tymi osobami.

– **Może jednak coś się za panem ciągnęło aż z tego Pruszkowa?**

– Ja mam w tej chwili 53 lata i to jest mój pierwszy wyrok. Pierwszy wyrok i poważny wyrok. Gdybym coś działał w tym Pruszkowie, przez 40 lat mieszkając tam, nawet więcej, bo prawie że od urodzenia, no to bym był tam zatrzymywany, aresztowany. Coś by się działo. A tu nic, byłem czysty. Tu się nagle zrobiłem jakimś rezydentem.

– **Czym się pan zajmował w tym Pruszkowie?**

– Pracowałem państwowo, potem miałem swoją działalność prywatną, warsztat samochodowy. Później na początku lat 90. przerzuciłem się na handel spożywczy. Handlowałem na Okęciu, miałem parę takich swoich bud. Był taki moment, że można było sobie dobrze zarobić, było to wszystko po legalu.

– **Stawał się pan kapitalistą?**

– Może nie aż tak, może nie aż tak. Niektórym się udało. Są wysoko. Niektórym się mniej udało. Ja akurat trafiłem do tej grupy, że się mniej udało.

– **Czy ta ksywka Gruby Janek jest rzeczywiście przez pana używana?**

– Każdy mówił do mnie Janek, bo tak mam na imię. Jeżeli ja ważyłem 160 kilo, to trudno wymyślić inną ksywkę jak Gruby Janek. Jeżeli człowiek tyle waży, to policja od razu wpada na pomysł, niech to będzie Gruby Janek, bo gangster musi mieć pseudonim.

– **Był pan blisko Carringtona. Według prokuratury, działał pan w jego grupie przemytniczej.**

– Nie wypieram się, że znałem Zbyszka. Ale ja się wypieram, że działałem w jakiegokolwiek grupie. Bo żeby działać w jakiegokolwiek grupie, to trzeba przyjmować jakieś polecenia, czyjekolwiek polecenia, albo wydawać te polecenia. A ja nic takiego nie robiłem.

– **Akt oskarżenia wyraźnie określił pana rolę w przemyśle spirytusu. Pilotował pan nielegalne transporty.**

– W materiale dowodowym jest tak, że ten słynny Carrington, chcąc wyjść, uwikłał innych. No i ja tam też byłem uwikłany. Jedenaście miesięcy przesiedziałem w areszcie. Prokurator proponował, powiesz, że pilotowałeś te tiry, i wychodzisz do domu. Ja mówię, dobrze, no wszystko jest fajnie, ja mogę tak powiedzieć. On mówi, nikomu się nic nie stanie, tylko powiedz, że nie wiesz, komu je pilotowałeś. Ja mówię, wszystko dobrze, tylko że trzy miesiące po wyjściu pan mnie zawoła, do tego prokuratora mówię, pan mnie zawoła i zapyta, a gdzie ty pilotowałeś? I ja już panu nie będę umiał odpowiedzieć, bo ja tego nie wiem. I pan mnie jeszcze wsadzi za fałszywe zeznania. I dlatego zrezygnowałem z takiej oferty wyjścia, żeby skłamać, i powiedziałem tak, jak było.

– **No to jak było?**

– Fakt, ja jeździłem z Carringtonem w różne miejsca, ale to nie miało związku z żadną działalnością przestępczą. Z akt wynika, że coś tam przemycali. Ale ja o tym nic nie wiem.

– **Nie był pan nigdy w okolicach mostu w Sękowicach?**

– W okolicach mostu nie byłem, natomiast w Gubinie byłem niejednokrotnie, bo jeździłem i

szukałem samochodów na handel. Sam jeździłem, nie pamiętam, czy kiedykolwiek z Carringtonem byłem w Gubinie. Bo być może byłem, być może nie byłem. Tego nie wiem. Ktoś tam ze świadków mówi, że mnie widział na CPN-ie. Czy to jest zbrodnia być na CPN-ie?

– **Jak pan poznał Carringtona?**

– On miał swój transport, on miał też... ten, jak to się nazywa, złotnictwo miał i lombard miał, prawdopodobnie żeśmy się poznali jakoś tak w okolicach tego lombardu, może w tym złotnictwie, nie wiem, bo to w jednym budynku było. I później żeśmy towarzysko utrzymywali znajomość. On był dużo młodszy, on 30 lat, ja 50. Byłem dla niego trochę jak ojciec, jak opiekun. Kiedy jechał gdzieś na dyskotekę, to mu towarzyszyłem trochę jako przyzwoitka, żeby żona się nie czepiała. Jak z nim jechałem, to żona była spokojna, że on tam się za panienkami nie rozgląda. Do jego siłowni jeździłem, a później od Ryśka, jego brata, kupiłem mieszkanie. Mieszkałem w tym mieszkaniu na jednej klatce z Ryśkiem, on mieszkał na górze, a ja na dole. A Zbyszek był zwykłym człowiekiem, robił interesy. Jemu tę gangsterkę tak samo dokleili jak mnie.

– **Ale na zwykłego człowieka takich zamachów jak na niego się nie organizuje. Jakaś przyczyna musiała istnieć?**

– Niby tak. No, coś tam było, ale nie wiem co. Na pewno był jakiś konflikt. Ja się o tym nie będę wypowiadał, bo po prostu mnie o tym konflikcie nie było nic wiadomo. Ja nigdy się nie ukrywałem, chodziłem po tym Zgorzelcu, nie miałem wrogów. Nikt do mnie nie strzelał, ja na nikogo zamachu nie robiłem, tak że trudno mnie powiedzieć. A konflikt? Konflikt z niczego powstanie.

– **I tak z niczego mamy dwa trupy w Zgorzelcu, pięć pod Bożkowicami, cztery pod Wleniem, we wsi Modrzewie. Jakaś straszna wojna, krew się leje. Z niczego?**

– No, niby krew się leje. Tylko że do tej wojny wszystko można dopisać. Jadą chłopaki z dyskoteki, zatrzymali się na drzewie, też przypisane. Jakiś celnik się powiesił i też przypisane.

– **Zamachy na Carringtona nie był przypisane, były faktem. Jakiś powód musiał zaistnieć.**

– Nie wiem, być może sobie w drogę weszli? Ci przemycałi, ten przemycał. Trudno mi powiedzieć. A może to było tak, że Carrington akurat miał za dużo pieniędzy i nie był lubiany. Bo nie każdy każdego lubi. Jedni przećpali swoje pieniądze. Jemu się udało i zarobił. On zarobił, oni nie. Zainwestował w samochody, w lombardy, w mieszkania. I może to jest to, nie wiem. Może ktoś się poczuł jakiś oszukany i mówił, że ktoś go może okradł. Ja nie wiem. Trudno mi powiedzieć. Ja nie dokonałem z nim żadnego przestępstwa ani żadnej jakiejś inwestycji legalnej. On na mnie też nagadał, że ja pilotowałem, a mimo to ja nie mam potrzeby na niego gadać nic złego. Niech on sobie mówi, co on chce, ja wiem swoje. Jeżeli pilotowałem te tiry, jak on zeznaje, czy byłem z nim gdzieś, najwyżej mogło to być za moimi plecami, mogłem to robić nieświadomie. Tak pięknie się to zrobiło. Zrobiło się, że on jest królem. I jakieś wojny króla. A on nie był bandytą, co najwyżej, jeżeli już, to on był przemytnikiem, jak wielu innych. Tylko że jeden może przenosi jedną sztangę papierosów, a on może

przenosił dziesięć. Był bardziej zorganizowany, jemu się to udawało i zarobił. Zarobił i nie okradł państwa polskiego, Niemców okradł co najwyżej.

– Z pana opowieści wynika, że wszystko, co się tu zdarzyło, to jest ciąg jakichś dziwnych przypadków, że w Zgorzelcu było spokojnie, pan się zajmował wyłącznie drobnymi interesami. Czy pan może z ręką na sercu powiedzieć, że pan nigdy nic nie ukradł?

– Nie, nie ukradłem, nikomu. Jedyne, co mogę mieć, to ten handel samochodami. A że państwo nasze z tego nic nie miało? Ale to nie jest moja wina. Ja nie miałem pieniędzy, tak żeby wyłożyć nie wiadomo jakie sumy na rejestracje, legalizacje. To więcej zachodu jak ten samochód wart. Bo dzisiaj on jest, a jutro go nie ma. A są ogromne koszty.

Co robią bohaterowie tamtych dni

Gdyby nie groby kilkunastu ofiar, można by było podejrzewać, że grupy Carringtona i Lelka wymyślono – tak naprawdę nie istniały, a w więzieniach siedzieli sami niewinni, co najwyżej drobni przemytnicy. Jarosław J., ps. Jakubek, 32-letni, energiczny mężczyzna, miotał się w małej, dwuosobowej celi oddziału „N” więzienia w Wołowie jak tygrys w klatce. Przerazała go perspektywa dwudziestopięcioletniej odsiadki. Sąd Najwyższy dał mu odrobinę nadziei. Uznał za zasadną kasację złożoną przez obrońcę Jakubka i zwrócił sprawę do ponownego rozpatrzenia przez niższą instancję. Tam wyrok zmieniono na 15 lat. Trybunał Międzynarodowy przyznał Jakubkowi odszkodowanie za nadmiernie przewlekły areszt – 1 tys. euro. W czasie, kiedy odwiedziliśmy go w celi, poprosił o książkę Sergiusza Piaseckiego *Zapiski oficera Armii Czerwonej*. Pech chciał, że we wrocławskim antykwariacie były trzy inne powieści Piaseckiego (klasyka więzienna), ale nie ta. Kupiliśmy je Jakubkowi, pewnie już jest po ich lekturze.

Gruby Janek swoich ośmiu lat nie odsiedział do końca. W 2007 r. wyszedł na przedterminowe warunkowe zwolnienie – dobiegał sześćdziesiątki, jak tu zaczynać życie od nowa. Rekin przesiadywał w domu, nie miał roboty. Najstarszy syn szykował się do służby w jednostce specjalnej – może była to dla chłopaka szansa na wyrwanie się z Zawidowa. Problem z trójką młodszych dzieci. Owdowiały Rekin musiał sobie z nimi radzić. Na razie jakoś to szło. Co będzie jutro, bał się myśleć.

Sprawca zabójstwa pięciu młodych mężczyzn pod Bożkowicami, Valerian K., pochodzący z Kirgizji obywatel Federacji Rosyjskiej koreańskiego pochodzenia, dostał dożywocie. Zabił przez pomyłkę, bo myślał, że jadąca za jego samochodem piątka chłopaków to ludzie Carringtona, którzy chcą go zastrzelić. Był wyszkolonym do zabijania oficerem rosyjskiego specnazu, zbrodni dokonał fachowo i metodycznie.

Kiedy po latach odwiedziliśmy go w celi więzienia przy ul. Kleczkowskiej we Wrocławiu, nie

chciał wspominać czynu, za popełnienie którego trafił za kraty. Chętniej opowiadał o swoim życiu, poglądach i marzeniu o powrocie do Rosji. Koreańczyk (42 lata) jest obywatelem Federacji Rosyjskiej. Do Polski przyjechał w 1998 r. i od razu zaplątał się w wojnę, jaką prowadzili w okolicy Zgorzelca dwaj mafijni bossowie, Carrington i Lelek. Złą przeszłość wypierał po swojemu. Czy zabił? – Powiem tak: nie zabiłem nikogo, kto nie chciałby zabić mnie. Nie zabiłem niewinnych – mówił niezłą polszczyzną ze wschodnim zaśpiewem. Przywołał wskazówkę, jaką przekazał mu kiedyś ojciec: Noś w sercu Boga, to strażnik twojego sumienia. Nosi więc w sercu prawosławnego Boga i – tego jest pewien – sumienie ma czyste.

Jest typem twardziela, nikt go nie odwiedza, on do nikogo nie telefonuje, nawet listów do rodziny nie pisze. Tak postanowił. – U nas, jeżeli ktoś tonie, to tonie sam. Nie mogę przekładać mojego bólu na ich głowy. Przyjdzie czas, wszystko im wyjaśnię. – Z polskiej tury żywy pewnie nie wyjdzie, ma takie przekonanie. Dlatego stara się, aby przenieśli go do więzienia w Rosji, bliżej swoich. – Nie dają zgody, ot, polski sąd...

W Rosji nauczył się sztuki szybkiego czytania, w polskim więzieniu czyta na potęgę, pochłania lektury. Pasjonuje go historia, a szczególnie przeszłość Skandynawii. Uważa, że przypominają Chińczyków filozofią, że nie ma takiego problemu, którego nie da się rozwiązać. Polską historię dobrze poznał. – Wy żyjecie zawsze dniem wczorajszym, świętujecie porażki – zauważa i poucza: – Trzeba żyć dniem dzisiejszym i świętować zwycięstwa. Rosjanie tak żyją i zawsze zwyciężają.

Zapytany o Katyń, denerwuje się: – Co ja mam z Katyniem? Po co mnie o Katyń pytać? Jestem rosyjskim patriotą. – Jego historycznym idolem jest Leonid Breżniew. Szanuje też Piotra I: – Nagubił więcej ludzi niż Stalin, nigdy nie da się bez ofiar dokonywać skoku cywilizacyjnego. – A Stalin? To mąż stanu, który przeprowadził Rosję ze stanu agrarnego w industrialny, ludzi przy tym nagubił, ale inaczej nie mógł. Najgorzej w historii Rosji zapisali się Mikołaj II i towarzysz Gorbaczow. Doprowadzili do rozpadu państwa. Nie byli dostatecznie mądrzy i dostatecznie silni.

Wypełnia swoje dni lekturami, sportem (na spacerniku uprawia jogging) i religią. Brakuje mu mszy prawosławnych, dlatego chodzi na spotkania świadków Jehowy, czyta tam Biblię, świadkowie nic nie narzucają, jemu to pasuje.

Valerian K. nikogo przepraszać nie będzie. Perspektywa na życie kończy mu się każdego dnia o godzinie 18. Wyrzuca z siebie tęsknoty, marzenia i winę. – Jestem Rosjanin i do tego nie najtwardszy, 80 procent Ruskich to twardzi ludzie. Nas można zabić, ale nie można upokorzyć. Tutaj każdy widzi we mnie ostatnią swołocz. Bo jestem Rosjanin i zabójca.

Pani Ela, żona Carringtona, prowadziła lombard w Zgorzelcu, ale ruch nieduży. Większe nadzieje pokładała w firmie handlującej oknami, w której pracowała.

Matka Carry'ego całymi dniami spacerowała po swojej wsi z dwoma małymi kundelkami. Co pewien czas jeździła na widzenie do młodszego Ryśka. Starła się o odszkodowanie za wypadek

Zbyszka. Walczyła też, żeby odebrać syna spod opieki Elżbiety. W końcu to się powiodło, syn trafił pod jej skrzydła. Ale kiedy zbieraliśmy materiał do pierwszego wydania *Alfabetu mafii*, Carringtonowi wciąż powtarzającym monotonne „no” i „nie” wygodniej było u żony. Mógł do woli oglądać na wideo *Potop* i *Pana Włodyjowskiego*.

XIII. Gang Oczki, czyli ferajna z ulicy Żabiej

Szczecin, przełom lat 80. i 90. Kilkanaście minut jazdy samochodem do granicy polsko-niemieckiej, rzut beretem do Berlina, duży port i wielkie możliwości dla przemytników. Do Polski wlewają się setki tysięcy litrów nielegalnego spirytusu. Transporty kursują przez obstawione bramki, czyli przejścia graniczne w Lubieszynie, Krajniku i Kołbaskowie obsadzone przekupionymi celnikami i strażą graniczną.

Interes pochłonął całą nowobogacką elitę – ci, którzy wtedy zainwestowali, w krótkim czasie dorobili się pensjonatów w Świnoujściu i Międzyzdrojach, ekskluzywnych domów publicznych, salonów samochodowych i sklepów z elektroniką (też zresztą z przemytu), a nawet fabryki lodów. Mądrzy wycofali się już po kilkunastu udanych kontrabandach, ryzykanci brnęli dalej.

Po spirytusie ruszyły narkotyki. Do Polski ściągano trawkę z Europy Zachodniej i kokainę z Ameryki Południowej. Amfetaminę produkowaną w kraju pakowano na promy i wysyłano do Skandynawii. Tak powstały w Szczecinie gangsterskie fortuny i legenda o tych, co z policji kpili sobie w żywe oczy. Na pierwszy plan wybiła się grupa Marka M., ps. Oczko, o której mówiono „chłopcy z Żabiej”. W przestępczym CV taki wpis oznacza *doctor honoris causa*. Owi „chłopcy” wychowali się i zaprzyjaźnili na podwórku w robotniczej dzielnicy Szczecina. Postanowili, że nie będą żyć w biedzie, więc przelewali najtańszy spirytus do butelek z etykietami Royała i pakowali trociny do pudełek Marlboro. Potem przyszli po haracz do powiązanych ze służbami przemytników, którzy właśnie drukowali wizytówki swoich firm. „Podzielisz się albo zaczniesz mieć kłopoty” – mówili każdemu z nich.

Byli jak „chłopcy z ferajny”, sprytni i solidarni. Stworzyli gang, który przeszedł do historii polskiej przestępczości zorganizowanej, a Oczko zajął miejsce w panteonie największych polskich mafiosów lat 90.

Trociny zamiast tytoniu

Marek M. wcześniej był znany jako Marek K. Kiedy pierwsze nazwisko zaczęło mu ciążyć, przybrał

to, które nosiła żona, Chorwatka, z którą poznał się podczas pobytu w Niemczech.

Metoda przybierania nazwisk żon upowszechniła się wśród kolegów Marka M. Andrzej Z., ps. Słowik, który wprowadził Oczkę na salony gangsterów z „Pruszkowa”, w poprzednim wcieleniu nosił nazwisko Banasiak. Właśnie jako Banasiaka ułaskawił go prezydent Wałęsa w 1993 r. Nazwisko Z. Słowik przybrał od żony Moniki. Podobnie jak wspólnik Oczki w Szczecinie, Sylwester O. – ten z kolei od swojej ślubnej o imieniu Ludmiła.

Markowi M. pseudonim nadało samo życie – ma jedno oko nieruchome. Chociaż przylgnęła do niego opinia bezlitosnego brutala, który niepokornych łamał jak zapalki, nie wyglądał szczególnie groźnie. Średniego wzrostu, atletycznie niegdyś zbudowany (obsesyjny kult ciała, nieustanne ćwiczenia na siłowni, właśnie tam został aresztowany), ale w rozmowie spokojny i panujący nad emocjami. Według materiałów zgromadzonych przez prokuraturę i policję, Oczko od początku lat 90. stał na czele gangu napadającego na tiry przemycające do Polski alkohol. Zajęcie było bezpieczne, bo okradani nie zgłaszali swoich strat organom ścigania, cierpieli w ciszy. Później grupa wzięła się też do ściągania haraczy od właścicieli klubów nocnych i agencji towarzyskich.

Marek M. w latach 80. był tzw. bramkarzem w kilku szczecińskich lokalach, m.in. w ekskluzywnej Małej Scenie Rozrywki. To właśnie tam nawiązał pierwsze kontakty z ludźmi, którzy niebawem zdominowali prasowe rubryki kryminalne.

W Szczecinie Oczko zdobył szacunek świata przestępczego po numerze ze sprzedażą hurtownikowi z Gorzowa Wielkopolskiego tira pełnego fałszywych papierosów. Hurtownik był tak zaślepiony perspektywą szybkiego zarobku na tanich fajkach od Oczki, że sprawdził tylko towar z przodu naczepy. Gdyby sięgnął dalej, przekonałby się, że w środku są trociny. Od tamtej pory o Marku M. mówiono, że ma głowę do interesów. I że jest nietykalny. Ze sprawy gorzowskiej, gdzie dowody były bezsporne, wyszedł bowiem bez strat, został uniewinniony. Przy okazji tamtego śledztwa Oczko opuścił mieszkanie na Żabiej i przeniósł się do Warszawy. Przymusowa banicja – unikał wezwań na przesłuchanie i policyjnego zatrzymania – postrzegana była jako awans. Gdy wracał w rodzinne strony, mówiono, że jest rezydentem „Pruszkowa”.

Jarosław S., ps. Masa, dobrze pamięta Marka M. z okresu jego świetności. Mówi, że Oczko był w „Pruszkowie” szanowany, bo był ostry. Ceniono go za umiejętność szybkiego podejmowania decyzji.

– Umiał walczyć o swoje – wyjaśniał Masa. – Ludzie go słuchali, miał poważanie. Człowiekiem, który zapewnił mu chody u pruszkowskich, był Słowik. Przyjaźnili się jeszcze w starych czasach, bo Słowik pochodzi spod Szczecina. Na początku lat 90. Oczko często pojawiał się w Warszawie. Starzy doszli do wniosku, że dobrze byłoby zrobić go rezydentem „Pruszkowa” w Szczecinie. Marek miał tam sporą grupę wiernych żołnierzy i możliwości, żeby dla nas zarabiać.

W 1992 r. Słowik, Oczko i Dziad (uważany wtedy za lidera grupy wołomińskiej, ale jeszcze współpracujący z „Pruszkowem”) wpadli z przemyconym spirytusem. Dziad wyszedł za kaucją, a

Słowika i Oczkę niebawem z aresztu zwolniono. Do dzisiaj w tej sprawie wyroki nie zapadły. Podobno – tak twierdził Dziad – w „załatwieniu” bezkarności pośredniczył ten sam adwokat, który pomagał później Słowikowi uzyskać ułaskawienie od prezydenta Wałęsy.

Silną grupę w Szczecinie pomogli Oczce stworzyć dwaj kumple z ulicy Żabiej: Marek D., znany jako Duduś, za młodu „mięśniak”, ale obdarzony darem negocjacji, co przydawało się podczas rozwiązywania sporów, oraz Jacek P., ps. Ślepak, rozrywkowy facet ze skłonnościami do alkoholu i narkotyków, ale znany także z mocnych pięści.

– Święta trójca z Żabiej – żartuje po latach ich sąsiad. – To były dobre, choć nerwowe czasy. Cała ulica z nich żyła, bo chłopcy ściągali zza granicy niezły towar, a my to wszystko przepakowywaliśmy w garażach za budynkami. Całe noce mieliśmy pełne ręce roboty. Aż furczało! No i kasa z tego była, bo sąsiadom nie żalowali.

Ale trzech to za mało do bandy. Ruszył werbunek ludzi z miasta. W kontaktach z lokalnymi biznesmenami i prawnikami pomocą służył Oczce Roman R., ps. Arizona. Kiedy trzeba było, wykazywał nienaganne maniery i pozyskiwał grupie przychylność w kręgach samorządowych. Wiedział, kogo i jak przekupić, żeby koledzy mogli w spokoju kasę zarabiać. Niekończące się źródło dochodów z handlu amfetaminą szmuglowaną do Skandynawii zapewnił grupie nieżyjący już Janusz G., ps. Gołąb, z Międzyzdrojów. Sławę aż po Szczecin zapewniła Gołębiowi nietykliwość, którą dawały mu „żółte papiery”. Kiedy UOP i policja łapały go na handlu narkotykami – Janusz G. uciekał w chorobę: dostawał drgawek i piany na ustach. W konsekwencji lądował w szpitalu psychiatrycznym w Gorzowie Wielkopolskim. Miał tam na tyle dobre układy, że wypuszczano go na przepustki, podczas gdy w szpitalnej ewidencji wciąż figurował jako pacjent na obserwacji. Przydawało się to Gołębiowi szczególnie wtedy, gdy narozrabiał i policja wiązała go z nowymi przestępstwami. Wówczas Janusz G. wyciągał swojego asa: „O nie, panowie, mnie tam nie było, leżałem wtedy w Gorzowie”.

Do grupy dołączył też Wojtek J., który wprawdzie marzył o wojskowej karierze, ale ponieważ chodził z Dudusiem do podstawówki i był jego najlepszym kumplem, automatycznie awansował w gangu. Poszedł do pracy na przejściu granicznym, aby nie blokowano odpraw celnych jego kolegów. Zarobione pieniądze inwestował w edukację swojej żony, która bardzo chciała zostać prawniczką (potem go zostawiła i wyszła za policjanta).

Nietuzinkową postacią w szczecińskim krajobrazie przestępczym był znany z krewkiego charakteru Adam M., ps. Brygadier. Silny, łysy, z niewyparzoną językiem. Gangster jak z filmu. Chadzał własnymi ścieżkami (nie udowodniono mu przynależności do grupy), ale niewiele mogło się dziać w kryminalnym Szczecinie bez jego wiedzy.

W niczym nie ustępował mu Sylwester O., znany jako Sylwek – mistrz w haraczach i porwaniach. Karierę zaczynał jako ochroniarz pięknej prostytutki z Bajki – Ludmiły O. (zwanej przez przyjaciół

Lilką). Zakochał się w niej po uszy. To właśnie z nią się ożenił i przyjął jej nazwisko. Ludmiła też kochała Sylwka, ale najbardziej na świecie kręciła ją kasa. Wydawała krocie na ciuchy z Berlina i ekskluzywne kosmetyki. Sylwek musiał zarabiać, więc ostro wziął się do gangsterki. Ludmiła też nie stroniła od bandyckiej roboty – negocjowała wysokość okupów i handlowała narkotykami.

Do połowy lat 90. to jednak nie gang zwany grupą Oczki dominował w Szczecinie. Według policjantów z CBS pierwsze skrzypce w portowym mieście odgrywali ludzie Kaszy. Wyróżniali się z tłumu: byli sportowcy, umięśnieni, wyrośnięci i zdecydowani na wszystko, aby tylko dorobić się grosza. Kasza, czyli Leszek K., zorganizował nowoczesną strukturę – w gangu obowiązywał podział hierarchiczny, szczeble dowodzenia przypominały organizację wojskową. Ludzie Kaszy korumpowali oficerów Komendy Wojewódzkiej w Szczecinie, którzy kserowali im tajne akta dotyczące Oczki.

Kasza nigdy nie uważał się za gangstera. Kiedy ktoś go tak nazywał – kierował sprawę do sądu. Jednak – czy tego chce czy nie – pionierskimi machlojkami z podatkiem VAT na trwale wpisał się do historii polskiej mafii. – Uchodził za jednego z najinteligentniejszych przestępców w Polsce, do pieniędzy i pozycji doszedł sprytem, a nie pięścią – charakteryzuje go funkcjonariusz operacyjny CBS. – Pierwsze pieniądze zarobił na przemyśle spirytusu z Francji, zaraz potem założył białe rękawiczki. Był przebiegły, dążył do stworzenia prywatnego archiwum, w którym miałyby teczkę na każdego: konkurencję, policjantów, funkcjonariuszy UOP, urzędników i przedsiębiorców.

Konkurencyjny gang rozważał zlikwidowanie Kaszy. Mokrą robotę miał wykonać Rafał Ch., ps. Czarny – człowiek od narkotyków i tzw. siłowych rozwiązań. – Planowaliśmy odpalenie w centrum Szczecina pocisku przeciwpancernego, skierowanego w jego biuro. O co chodziło? Kasza zarabiał spore pieniądze, a my chcieliśmy, żeby się z nami dzielił. Oczko się wkurzył, bo Kasza odmówił.

Ostatecznie Leszek K. musiał ustąpić pola silniejszemu. Korumpowanie policjantów i gromadzenie kwitów także nie wyszło mu na dobre, ponieważ tajne dokumenty z różnych śledztw i akt personalnych znalezione w jego biurze postawiły na baczność służby mundurowe. Prześwietlono firmę Lechmall. Ustalono, że banki udzielały pożyczek na zwirowisko, które było zwykłym wysypiskiem piasku, a powiązana z Leszkiem K. spółdzielnia inwalidów produkowała mikroprocesory, które miały służyć do okradania skarbu państwa.

Kasza spakował manatki i uciekł za granicę. Prokuratura wystawiła za nim międzynarodowy list gończy, zarzucając kolosalne wyłudzenia VAT i kredytów bankowych. To była jedna z pierwszych afer vatowskich w kraju, media okrzyknęły Leszka K. pionierem przestępczości gospodarczej lat 90. Policja złapała go w Niemczech w grudniu 1995 roku. Podczas procesu Kasza do niczego się nie przyznawał, trafił na sześć lat za kraty. Ma też na koncie wyrok za groźby karalne, kierowane pod adresem szefa związku zawodowego polskich sędziów Iustitia.

W więzieniu narodził się... Kasza-poeta; właśnie za kratami powstał pierwszy tomik jego poezji, zatytułowany *Współczesna obrona Sokratesa, czyli list otwarty do Ministra Sprawiedliwości*

(wydany w 2001 roku). Sporo w tej książce żółci, mocnych epitetów pod adresem sądu i prokuratury, ale też zabawnej autoironii. Na okładce – dwie fotografie autora, jakby żywcem wzięte z czasów Ala Capone i adnotacja: „Certyfikat Uniwersytetu w Chicago (Wydziału Gangsterskiego) dla Leszka K., ukończył celująco”, a także podpis pod zdjęciami: „Leszek K. – zawodowy gangster”.

Ciasna czapka Kaszy

Rozmowa z Leszkiem K., ps. Kasza:

- **To w końcu był pan gangsterem czy nie?**
- Oczywiście, że nie byłem. To cytat z jednej z gazet. Zrobiono ze mnie gangstera, więc żeby to ośmieszyć, za takiego się przebrałem.
- **Wydał pan coś jeszcze?**
- Zbiór wierszy *Bal w ogrodzie*, podpisałem się pseudonimem Julian Mówim.
- **Nawiązanie do *Balu w operze Juliana Tuwima*?**
- Tak to ujęli krytycy.
- **Jak było z tą kokainą? To prawda, że darował pan sobie spory transport?**
- W 1994 roku miałem propozycję wzięcia w komis sporej partii narkotyków. Pół tony kokainy... to jakieś... niech policzę... 10 milionów dolarów było do zarobienia. Zastanawiałem się nad tym interesem dobre dwa tygodnie i ostatecznie zrezygnowałem.
- **Za duże ryzyko?**
- Nie o to chodzi, zawsze ryzykowałem w życiu, ale jestem z pokolenia, które nie znało narkotyków. Sam nie biorę i nie trawię tych, co biorą. Generalnie to ludzie słabi, nawet jeśli są to ludzie z tzw. ekip, ostrzy, to to tylko pozory. Biorą, bo mają gówna w dupie, wypaloną psychikę i nie trzymają na trzeźwo ciśnienia. A potem, nieubłaganie, przychodzi moment, że są już tylko zwykłymi narkomanami. „Dotowarowanie” tego świata – żadna satysfakcja, z faktu, jak i z zarobionych pieniędzy. Ponadto doświadczenie życiowe mnie nauczyło, że z takich pieniędzy ciężko się dalej normalnie biznesowo rozwinąć. Gdybym w to wówczas wszedł, a moje dzieci uszczknęłyby z tamtej kokainy choćby jedną działkę, to nic, tylko sobie pogratulować! Nie wszedłem w to także dlatego, że na pół tonie z pewnością by się nie skończyło. Z takiego interesu naprawdę trudno się wycofać.
- **Strasznie pan sentymentalny.**
- Nie, po prostu mam normalne, ludzkie podejście.
- **Wiedział pan, że konkurencja szykowała na pana zamach?**
- Czułem, że coś się święci. Miałem wtedy obsesyjną potrzebę zamontowania w biurze szyby przeciwpancernej. Wiedziałem, że mam wrogów. Marek [tzn. Oczko] chciał mi nałożyć na głowę

ciasną czapkę, a ja nie lubię ciasnych czapek. Ale to już historia. Nic się nie stało.

– **Czapkę?**

– Chciał mnie opodatkować jak innych, a ja powiedziałem mu „nie”.

– **Posłuchał?**

– Nie wiem, po prostu nie dałem się. Przy czym chcę tu zaznaczyć, że nie byłem żadnym konkurentem Oczki ani gangsterem, jak to sobie prasa wymyśliła, a może ktoś jej podpowiedział, tylko szefem firmy ochroniarskiej Lechmall. Prowadziłem działalność gospodarczą, miałem koncesję MSW. Moi ludzie nie byli bandytami, nikogo nie okradali, nie napadali, nie wywozili do lasu. Byłem normalnym biznesmenem, który swoją karierę zaczynał jak wielu innych – od handlu w Rosji i skupowania waluty.

– **Zbierał pan kwity na konkurencję?**

– Tamte rzekomo tajne dokumenty zostały podrzucone do mojej firmy, nie wiem przez kogo. Leżały na parapecie... To były nieprzydatne kwity, po prostu śmieci informacyjne, ale przez nie stałem się wrogiem publicznym, bo okazało się, że zbierałem papiery także na pułkowników.

– **Dlaczego groził pan sędziemu?**

– Mafijnie, w sposób pozaprawny, trzymał palec nad moim aresztem, żeby nie uchylono. Nasłuchiwałem się o nim w więzieniu, więc zarzuciłem mu łapówkarstwo. „Słuchaj, kundlu – napisałem do sędziego. – Uchylaj mi areszt, bo jestem niewinny, a jak nie uchylisz, to jadę z tobą do prokuratury krajowej”. No więc po dwóch latach, co też o czymś świadczy, sędzia nadał bieg sprawie, ale gdy stanął przed sądem w charakterze świadka, powiedział, że nie przestraszył się groźby. Każdy, kto czytał kodeks karny, wie, że groźba karalna ma miejsce wtedy, gdy u adresata wywołała lęk. Jeśli nie wywołała – zarzut powinien upaść. Ale w mojej sprawie nie upadł, bo... Dostałem osiem miesięcy w zawieszeniu. Po tym mam takie odczucie, że jestem trochę innym obywatelem. Takim, że jak jeden przejdzie na czerwonym świetle, dostanie ustne upomnienie od policjanta, a jak ja przejdę, to dostanę pięć lat.

– **To prawda, że kiedyś był pan mistrzem w kulturystyce?**

– Dawno temu. Kondycję fizyczną stawiam na równi z kondycją umysłu, chociaż intelekt i mięśnie rzadko idą w parze. Ale bywa, że idą.

– **Z czego pan żyje?**

– Powoli wracam do zarabiania pieniędzy. Uczciwych, chociaż człowiekowi z moją przeszłością nie jest łatwo w biznesie. Do niedawna wystarczyło wygoogłować moje nazwisko i wyskakiwała grupa Marka, ze mną na czele. Ale zlikwidowałem to, zagroziłem twórcy owej nieprawdziwej strony sprawą i usunął. Ale dwóch inwestorów mi przez to uciekło.

– **Inwestorów?**

– Chcieli zainwestować w moją grę. Ale się wycofali. Z powyższego powodu. Zatrudniałem byłych

milicjantów i oficerów, bo mieli koncesję na ochronę. Dałem pracę trzydziestu ludziom. Żaden z nich nie miał bandyckiej przeszłości. Zabieraliśmy tamtym rynek ochroniarski, więc chcieli podciąć nam skrzydła przez swoich znajomych w policji. Dowiedzieli się o tym moi pracownicy, którzy też mieli znajomych. No więc zacząłem gromadzić kwity na oficerów, którzy tamtym pomagali. Na wszelki wypadek, żeby mieć zabezpieczenie.

– **Czyli na kogo?**

– A choćby na (*tu nazwisko*) z UOP-u i na (*kolejne nazwisko*) z „pezetów” [Wydział Przystępczości Zorganizowanej w KWP – przyp. aut.]. Pierwszy z nich, przekupny jak cholera, siedział u Gołębia w kieszeni. Drugi nie lepszy. Obaj odeszli na zieloną trawkę i niech mi dziękują, że nie nagłośniłem ich grzechów. Sama pani rozumie, że byłem kandydatem numer jeden do pudła.

– **Co było dalej?**

– Pewien biznesmen z Krakowa namówił mnie na interes z mikroprocesorami, miałem je odbierać, spółdzielnia inwalidów miała być w kooperacji. Wyglądało na normalny interes, a wyszedł zarzut wyłudzenia dwóch milionów VAT i dziewięć lat więzienia. Mogę się zgodzić, że mówi się o mnie „biznesmen zamieszany w sprawę vatowską”, ale nie „gangster”! Za słowa też się odpowiada. Dziennikarz, który to napisał, przegrał ze mną w sądzie.

Jak podbito Szczecin

W połowie lat 90., okresie prosperity Oczki, Szczecin wydawał się bezbronny wobec gangu, który przybrał postać lokalnej mafii. W nocnych lokalach ludzie Oczki balowali za darmo, opodatkowali restauracje i agencje towarzyskie. – Niechby któraś z kelnerek spróbowała podejść do nich z rachunkiem, to szybko nauczyliby ją fruwania – wspominała przed kamerą *Alfabetu mafii* Małgorzata, była barmanka z klubu nocnego Imperium.

Jeśli ktoś nie podporządkował się nowym regułom w mieście, to jego interes szedł z dymem, jak np. dom publiczny Emanuelle przy ul. Dworskiej w Szczecinie. Jerzy Ruliński, właściciel popularnej niegdyś agencji towarzyskiej Las Vegas, dobrze pamięta tamte czasy. – Siali postrach, robili najazdy na agencje. Trzeba im było płacić po 2–3 tysiące dolarów miesięcznie. Nie chciałem się podporządkować, więc pocięli mnie nożem i w garażu przy Las Vegas podłożyli bombę.

W kwietniu 1994 roku, kiedy wszystkie interesy szły jak należy, w grupie nastąpił kryzys. Brygadier, Sylwek i Duduś mieli dość panoszenia się szefa. Podobno zachciało się im niezależności. Poczuli się na tyle silni, by zarabiać na własną rękę i nie dzielić się dłużej z przesiadującym w Berlinie i Warszawie Oczkiem. Wtedy Oczko po raz pierwszy i ostatni poskarżył się pruszkowskim. Do Szczecina ściągnęła silna ekipa z Masą i Słowikiem na czele. – Zrobiliśmy prawdziwy najazd,

takowa jak gdyby „rozkminka” – wspominał po latach Masa. – Trzeba było pokazać chłopakom, kto rządzi Szczecinem. Zapakowaliśmy długą broń i zrobiliśmy spotkanie grupy w hotelu Radisson. Jednego z buntowników wywlekliśmy z hotelu i wywieźliśmy do lasu. Wyłumaczyliśmy mu dosadnie wszystkie problematyczne kwestie. I było po buncie.

To Sylwek został wtedy pobity przez pruszkowskich. Odtąd był wierny Oczce jak pies.

Od czasu zduszenia buntu w zarodku interesy oddanych Oczce żołnierzy szły z większym rozmachem. Kto miał więcej pieniędzy od Marka M., ten musiał się dzielić. Nie oszczędzano nawet znajomych szefa. Na własnej skórze przekonał się o tym biznesmen Dariusz Z. – założyciel i właściciel produkującej lody firmy EKKO. Gang zażyczył sobie prowizji od każdego kilograma lodów eksportowanych do Rosji. W czerwcu 1995 roku do pokoju dziecka Dariusza Z. wrzucono granat gazowy, a samego biznesmena od lodów wplątano w aferę kryminalną. Zwabiono go na spotkanie z dłużnikiem i odegrano scenę, jakoby napuścił na niego gangsterską bojówkę. Granatem rzucił wówczas Rafał Ch., ps. Czarny. Niedługo potem było o nim głośno nie tylko w Szczecinie (rozczarowany nielojalnością szefa doprowadził go do totalnej klęski, ujawniając śledczym więcej niż niejeden świadek koronny; reżyser Andrzej Kostenko i współautorka tej książki zrobili o nim film dokumentalny pt. *Świadek*).

Bez większych problemów przegoniono ze Szczecina panoszących się po mieście Białorusinów, próbujących sił w kradzieżach samochodów, narkotykach i haraczach ściąganych od Rosjan i Polaków handlujących przy granicy. Kiedy białoruski gang skupiony wokół Wiktora F. (byłego podoficera KGB) mógł zagrozić pozycji Oczki, w sylwestrową noc 1996/1997 rywalizujące gangi stoczyły bój przy szatni hotelu Radisson. Doszło do strzelaniny. Kula raniła jednego z Białorusinów. Kilkanaście dni później w centrum Szczecina Wiktor F. zginął od strzałów z broni palnej. Wyrok, o którego zlecenie po latach oskarżono Oczkę, miał wykonać płatny zabójca z gangu Janusza T. Krakowiaka.

Pozycję Oczki w półświatku umacniała przyjaźń z jakimś Marianem K. z Katowic, który wyemigrował na Zachód i szybko zyskał sławę gangstera międzynarodowej klasy. Policjom wielu krajów na świecie był on znany jako Ricardo Fanchini. W połowie lat 90. Oczko i Fanchini zostali partnerami w biznesie. Zarejestrowali w Polsce – obsadzając w zarządzie figurantów – firmę produkującą wódkę Kremłowską. Mieli biznesplan i fundusze na marketing. Reklamowali swój produkt m.in. na Targach Poznańskich, obok stoiska z inną wódką, promowaną przez znanego aktora kabaretowego. Aktor przyciągał spojrzenia tłumów, co chwilę donośnym głosem wykrzykiwał nazwę owego produktu. Zdenerwował tym Ślepaka, któremu zależało na reklamie Kremłowskiej. Podszedł więc do aktora, wycelował dwa palce w jego pokaźny brzuch i syknął mu do ucha: „Facet, morda w kubeł. Wódka obok jest lepsza”. Interwencja Ślepaka okazała się skuteczna.

Wielką promocję gorzałki Oczki i Fanchiniego zorganizowano w warszawskim hotelu Holiday Inn. Zaproszono na nią pierwszych w Polsce milionerów oraz intelektualną elitę stolicy z aktorami i

politykami włącznie. Oczko zapomniał jednak o kumplach z „Pruszkowa”, co bardzo ich rozsierdziło. Słowik zrobił mu podobno na ulicy karczemną awanturę, nazywając zdrajcą. Na nic zdały się argumenty Oczki, że chodziło mu o wizerunek produktu i chciał uniknąć skandalu. W końcu, jeśli sam pełnił honory gospodarza imprezy, to równie dobrze mógł umieścić w łoży honorowej cały zarząd „Pruszkowa”.

Wpływowy przyjaciel Marka M. nie poprzestał na interesach z wódką. Agenci amerykańskiej agencji antynarkotykowej DEA, którzy dziesięć lat później wytropili kokainowe interesy Fanchiniego, szacowali, że wraz z rosyjską mafią, dla której pracował, mógł zarobić ok. 300 mln dolarów. W 2009 roku nowojorski sąd skazał przyjaciela Oczki na 10 lat więzienia, przepadek czterdziestu nieruchomości i 30 milionów dolarów sankcji. Podobno do dziś policje kilkunastu krajów tropią jego powiązania z południowoamerykańskimi kartelami oraz włoską i rosyjską mafią.

Bono i stringi z diamentami

O Ricardzie Fanchinim, a także o kilku innych postaciach szczecińskiego półświatka opowiedziała nam Natalia O., która dorastała w tym środowisku. Wychowała się w domu, gdzie – jak wynika z jej opowieści – krzyżowały się interesy pierwszego w wolnej Polsce biznesu i rodzącej się mafii. Rozpieszczali ją Roman R., ps. Arizona, i Nikołaj Dozorcow, ps. Kola, z Odessy, powiązany ze śmiertelnie niebezpiecznym rosyjskim Słońcem. Jako nastolatka bywała w najdroższych hotelach, nosiła szpilki Louboutina, jeździła najnowszym modelem porsche za ćwierć miliona. U progu dorosłości związała się z uchodzącym za biznesmena przemytnikiem narkotyków. Dziś ma dwadzieścia kilka lat, jest piękną kobietą. Ma dwie córki i skomplikowane życie.

Oto fragment rozmowy z Natalią O.:

– **Skąd pani związki z półświatkiem?**

– W domu mojego ojczyma spotykali się ludzie, którzy coś znaczyli w mieście: prokuratorzy, lekarze, policjanci i biznesmeni. Ci ostatni zbili majątki na szwindlach walutą i fajkami. Ojczym był pierwowzorem postaci Czarnego z *Młodych wilków* [szefa gangu handlującego narkotykami i materiałami radioaktywnymi – przyp. aut.]. Przed laty zorganizował brawurową ucieczkę z pilnie strzeżonego więzienia, uwolnił kilkunastu skazanych i od tamtej pory był postacią powszechnie szanowaną. Założył i prowadził pierwsze w Polsce fast foody, jeździł pierwszym porsche w kraju [uciekał nim kiedyś milicji z Zakopanego, złapano go dopiero w Szczecinie – przyp. aut.]. Wiedział o wszystkim, co działo się w mieście.

– **Na przykład o czym?**

– Komu skradziono samochód. Pomagał ludziom odzyskiwać te auta. Podśluchiwałam rozmowy

dorosłych, ale nie za wiele rozumiałam. Za to od razu wiedziałam, czy do rodziców przychodził ktoś ważny, czy mniej ważny.

– **Po czym to pani poznawała?**

– Ci pierwsi wchodzili jak do siebie, byli witani entuzjastycznie. Rozsiadali się w fotelu albo szli od razu na taras. Serwowano im napoje i posiłek. Osoby mniej ważne zachowywały się jak petenci. O coś prosili ojczyma, a on zwykle odmawiał. „Nie mogę ci pomóc, bo już się tym nie zajmuję. Wiesz, mam żonę i dwoje dzieci” – tłumaczył. Śmieszyło mnie to, bo z tymi ważnymi gośćmi rozmawiał właśnie o tym, czym już rzekomo się nie zajmował.

– **Miała pani dobry kontakt z matką?**

– Mama nie chciała mnie w swoim domu, nie pasowałam do jej modelu rodziny. Miała mi za złe, że urodziłam się z poprzedniego związku, że nie byłam JEGO córką. Moja matka jest młodsza od ojczyma o 25 lat. Uzależniła się od niego emocjonalnie i finansowo. Była w nim obłądnie zakochana. Jej zdanie nigdy się nie liczyło, ale była i wciąż jest piękną kobietą. Wybaczała ojczymowi nocne hulanki, za to mnie obwiniała o wszystkie swoje porażki. Kiedy miałam czternaście lat, sąd umieścił mnie w rodzinie zastępczej. Na krótko trafiłam pod opiekę biologicznego ojca. Nie był to najlepszy okres w moim życiu. Tułałam się z miejsca do miejsca, pomieszkowałam gdzie popadło. Tak naprawdę nie miałam domu. Dlatego wujkowie zaczęli się mną „opiekować”.

– **Kolegów ojczyma nazywała pani wujkami?**

– Tak. Najbardziej lubiłam wujka Arizonę. Często pożyczał od ojca samochód. Jako jedyny oddawał auto z pełnym bakiem. Zostawiał coś jeszcze, specjalnie dla mnie i dla mojej siostry, w tajemnicy przed rodzicami – słodycze, których nie wolno nam było jeść. Wujek Arizona chował je za siedzeniem.

– **Co się z nim stało?**

– Tego nikt nie wie. Bardzo przeżywałam jego zaginięcie. Tym bardziej że poprzedniego dnia uratował mi i mamie skórę. Jechałyśmy bmw i jacyś mężczyźni próbowali staranować nasze auto. Uderzali z tyłu w zderzak. Mama zachowała zimną krew. Robiła dokładnie to, czego uczył ją ojciec: nie zatrzymywała się, nie wysiadała, tylko naciskała pedał gazu. Uciekała. Ale ja się bałam. Arizona przybył nam na ratunek. Stanął na murku, a oni odjechali. Następnego dnia okazało się, że wujek wyszedł z domu i przepadł bez śladu. Ciocia Iwona, jego żona, przysłała do nas i strasznie płakała...

– **A inni?**

– Jednego z przyjaciół rodziców zastrzelono za hotelem Radisson [prawdopodobnie chodzi o Wiktora F. – przyp. aut.]. Lubiałam go. Pamiętam, że nosił taką śmieszoną czapkę w kratkę. Czasami wujkowie byli pobici, cali zakrwawieni. Nigdy z siostrą nie pytałyśmy, co się stało i dlaczego nikt z dorosłych nie wołał lekarza albo nie zawoził ich do szpitala. Brałyśmy kostki lodu i przykładaliśmy, żeby nie puхло.

– **No więc na czym polegała ta opieka ze strony „wujków”?**

– Dawali mi pieniądze. „Natałka, masz tu stówkę albo dwie – idź się pobawić”, wciskali mi kasę, gdy spotykałam ich w knajpie w towarzystwie kochanek. Nie chcieli, aby żony się o tym dowiedziały, więc kupowali moje milczenie. One musiały wiedzieć o zdradach, ale udawały, że nie wiedzą. Nie wychodziły z domów, żeby przypadkiem nie natknąć się w mieście na mężów z kochankami. Wujkowie płacili mi także za to, abym kochankom nie wspominała o żonach. Udawałam, że mogę się wygadać.

– **Spryciara.**

– Dostawałam coś ekstra do kieszeni, kiedy któraś z moich koleżanek dotrzymywała im towarzystwa. One dostawały za to telefony komórkowe, podrabiane perfumy albo jakieś ciuchy. Czasami, jak się któraś przyczepiła i nie chciała odzepić, to – w porozumieniu z wujkami – przywoływałam je do porządku. Jak już wypatrzyłam je w klubie, to mówiłam im na ucho: „Było, minęło. Lepiej spadaj, bo wujek ma żonę i dzieci”.

– **Ostra jazda...**

– Już jako szesnastolatka bywałam w domach publicznych – wujkowie wmawiali żonom, że zawożą mnie na korepetycje z matematyki, a w rzeczywistości jechaliśmy do burdelu na peryferiach miasta. Oni się zabawiali, a ja w tym czasie jadłam obiad albo czekałam z kierowcą. Robiłam, co chciałam. Włóczyłam się po nocnych klubach, balowałam na całego, piłam. Ale nigdy nie brałam narkotyków, strasznie się ich bałam.

– **Ricardo Fanchini to też znajomy ojczyma?**

– Ojczym zawsze dobrze mówił o Ryśku, którego znał z młodzieńczych lat. Rysiek był kiedyś strasznie gruby. Miał kilka żon i dużo dzieci. Wszyscy są ustawieni i żyją w dostatku, ponieważ on robił wielkie interesy. Zawsze fascynował się włoską mafią. Podobno sam działał w mafii, był tam kimś bardzo ważnym i niebezpiecznym. Ale ja nigdy się go nie bałam, znał mnie przecież od dziecka.

– **Była pani na jego urodzinach, prawda?**

– Tak, w hotelu Grand Hyatt w Berlinie. W 2006 roku obchodził pięćdziesiątkę. Odchudził się i wyglądał dobrze. Bawiłam się na tym przyjęciu wśród pięciuset gości. Przyjechały cztery żony Ryśka, Rosjanie z Gazpromu i rosyjska mafia, czyli faceci, których znałam z wyjazdów do Odessy. Wszyscy strasznie brzydcy, ale towarzyszyły im piękne kobiety. Jedna z nich miała na sobie sukienkę z tak głębokim wycięciem na plecach, że widać było jej stringi wysadzone diamentami.

– **Naprawdę?**

– Przyjechała z miliarderem Wiktorem Wekselbergiem, który podarował rosyjskiemu muzeum bezcenne klejnoty – jaja Fabergé [dorobił się na handlu ropą, aluminium i tytanem; jego majątek szacowany jest na 18 mld dolarów – przyp. aut.]. Ja miałam na sobie skromny garnitur.

– **Fajnie było?**

– Super! Nigdy wcześniej ani później nie widziałam równie suto zastawionych stołów. Pamiętam rzekę czekolady! Jedzenie serwowano w kilku salach, to robiło wrażenie. Podczas przyjęcia puszczano filmy o Ryśku, wypowiadał się Bono z U2. Kilka miesięcy później FBI aresztowało Ryśka. Smutno mi się zrobiło, gdy się o tym dowiedziałam.

Koniec złotych czasów

Oczko nie bywał w domu ojczyma Natalii. Panowie podobno za sobą nie przepadali. Postawił na przyjaźń z Ricardem Fanchinim i pewnie dlatego nikt już nie wchodził mu w drogę. Szczeciński boss czuł się tak silny, że zlekceważył nawet aresztowanie Rafała Ch. Czarnego. Był pewny, że wierny żołnierz go nie sypnie. Niczego nie zaoferował za milczenie – nie otoczył opieką jego żony i syna, nie wynajął adwokata, nie wysłał za kraty ani jednej paczki. W lipcu 1997 roku Czarny dostał wyrok 7 lat więzienia. „Tak, handlowałem narkotykami na skalę znacznie większą, niż zarzucił mi prokurator. Tak, byłem w gangu, ale nie ja ten gang stworzyłem i nie ja nim kierowałem” – powiedział Czarny w ostatnim słowie.

Śledztwo przeciwko grupie Marka M., ps. Oczko, zaczęło się w maju 1997 roku. Właśnie wtedy do prokuratury wpłynęło pismo od Czarnego. Rafał Ch. zaproponował, że złoży zeznania obciążające Oczkę i jego ludzi. Według prokurator Barbary Zapaśnik, która zajmowała się sprawą, fakty, jakimi sypał jak z rękawa, zostały w stu procentach potwierdzone. Czarny nie oczekiwał żadnego „handlu” z prokuraturą. Miał swój wyrok, a instytucji świadka koronnego jeszcze w tym czasie nie było.

Rafał Ch. był wcześniej najwierniejszym i budzącym największy strach żołnierzem Oczki. Do grupy przystał jako 22-latek. Co ciekawe, nie wywodził się ze środowiska przestępczego. Jego ojciec był w czasach PRL dyplomatą, prawdopodobnie pracował też dla ówczesnych służb specjalnych. Obecnie mieszka w USA.

Wszyscy w mieście wiedzieli, że z Czarnym nie ma żartów. Kiedy miał 17 lat, w obronie swojej dziewczyny (dziś żony) poharatał nożem lokalnego watażkę. Dostał za to sześć lat, ale w więzieniu odsiedział dwa i pół. Oczko potrzebował właśnie kogoś takiego jak Czarny, a dla młodego przestępcy status osobistego ochroniarza szefa szczecińskiego półświatka był otwarciem drzwi do gangsterskiej kariery.

Oczko powierzył Czarnemu nie tylko własne bezpieczeństwo, ale przede wszystkim handel narkotykami w mieście. To była dobra inwestycja, ale do czasu. Chociaż wcześniej, podczas własnego procesu, Czarny nie dawał nawet cienia szans, że pójdzie na współpracę z organami ścigania, nagle tuż po wyroku otworzył się i pograżył Marka M. – Nie uważam tego, co zrobiłem, za zdradę – wyjaśniał nam, gdy kręciliśmy serial dla TVN. – To była po prostu wojna. Wypowiedziałem

ją ludziom, którzy mnie zostawili, olali, bo uznali, że już nie jestem problemem. Niektórzy faceci zaczęli kapować, to wysyłali im paczki żywnościowe. A ja milczałem, więc nie musieli o mnie zabiegać.

Właśnie ta ignorancja go sprowokowała. Uważał, że zasługuje na szczególną opiekę, bo ma szczególną wiedzę. Ale boss nie wyczuł zagrożenia i to go zgubiło. 22 lutego 1998 r. policja złowiła do sieci pięćdziesięciu mocnych ludzi ze Szczecina i okolic. Oczko był wtedy w siłowni. W nową rzeczywistość wkroczył w sportowych slipkach i adidasach.

„Trzymam tylko z silnymi”

Rozmowa z Rafałem Ch., ps. Czarny:

– **Podczas swojego procesu powiedział pan: „Nie ja stworzyłem gang, nie ja nim kierowałem”, ale nie powiedział pan, kto za tym stał. A zaraz po wyroku zaczął pan „sypać”. Dlaczego?**

– Bo ja byłem przywódcą gangu, który zajmował się rozprowadzaniem narkotyków. I ja jako osoba, a nie mój gang, należałem do gangu Marka M., pseudonim Oczko. Gdy trwał mój proces, ja milczałem. Ci, którzy zeznawali przeciwko mnie, nie mogli zeznawać przeciwko mojemu szefowi. Dbąłem o to, żeby oni nie wiedzieli o nim, żeby nie mieli na jego temat wiedzy procesowej. Ale w zamian oczekiwałem od mojego szefa ochrony. Albo przynajmniej jakiejś takiej reakcji, jakiegoś odwetu, bo on nie był jakimś przypadkowym człowiekiem dla mnie. Był gangsterem, był mafioso, który powinien dysponować pewną władzą. Nie oczekiwałem, że mnie odbije z więzienia, ale spodziewałem się, że weźmie odwet na tych, którzy zeznawali przeciwko mnie. On tego nie zrobił. Okazał słabość. Nie zasługiwał na to, żebym go krył. Jestem silnym człowiekiem i trzymam tylko z silnymi. Tym bardziej w takich relacjach: ja w kryminale, a on wydaje mi rozkazy, rządzi mną. A później się okazuje słaby, głupi i naiwny. I dlatego zeznałem. To był taki najważniejszy punkt, który był motorem mojego postępowania.

– **Ale wsypał pan wszystkich, nie tylko Oczkę.**

– Powiem tak: Nie wsypałem wszystkich, których mógłbym wsypać. Wsypałem wszystkich, którzy kierowali gangiem, ponieważ musiałem zadbać o swoją wiarygodność na procesie. Nie mogłem powiedzieć o jednym facecie, który był – założmy – moim wrogiem, a nie mówić o innych, którzy po pierwsze, trzymali z nim, a po drugie, i tak nie okazaliby mi wdzięczności za milczenie. A więc mówiłem o tych, o których powinienem powiedzieć jako świadek. Przynajmniej żeby być uczciwym wobec tej prokurator, która mnie wysłuchiwała.

– **Na jakich zasadach zorganizowany był gang Oczki?**

– Wbrew pozorom nie był jakoś szczególnie zorganizowany. Trafiłem do aresztu śledczego,

przeciwko mnie policja zdobyła jakieś dowody. A więc miała świadków i gang nie zareagował. Później siedziałem w areszcie śledczym, nie mówiłem, w sumie broniłem wszystkich, a oni mi nie pomagali finansowo. Wręcz mnie okradli. Tu znów okazali naiwność graniczącą z głupotą. Później sypnąłem i oni w sumie też nie zareagowali. Zeznało ponad stu świadków oskarżenia – oni nie zareagowali, a więc fakty świadczą o tym, że poziom zorganizowania naszej grupy był bardzo niski tak naprawdę. Ale faktycznie, jak na polskie warunki, tu w Szczecinie byliśmy najmocniejszą grupą. Wszystkie inne grupy czy podgrupy podlegały pod nas. Przede wszystkim pod Marka. On był osobą, która cementowała to wszystko. On był najważniejszy, najmocniejszy i najsilniejszy. Skąd to się brało? Brało to się stąd, że Marek poprzez Słowika miał duże znajomości w Warszawie. Był postrzegany jako rezydent „Pruszkowa” w Szczecinie. To w pewnym czasie już nie było prawdą, ale my nie wydawaliśmy biuletynów, nikt o tym nie wiedział.

– Jaki był Oczko jako szef?

– Marek to człowiek, który nie chciał być bossem tak naprawdę. Nie chciał być szefem mafii. On chciał się dorobić. Przy okazji chciał być ważny, chciał być gwiazdą. Więc nie miał może zasad – bo to złe słowo w przypadku przestępców – ale nie miał też przepisów BHP. Więc trzymał ze wszystkimi, z którymi mu się chciało trzymać, z którymi opłacało mu się trzymać. Raz to byli ci z „Pruszkowa”, raz to był Dziad. I on uważał, że jest taki sprytny: raz z tym, raz z tamtym, zawsze jest na górze. Było to złudzenie, bo w ogólnym rozrachunku tacy ludzie zawsze przegrywają.

– Ale kiedy wybuchł bunt przeciwko niemu, to „Pruszków” zjechał do Szczecina.

– To było jeszcze wtedy, kiedy „Pruszków” za nim stał. Przyjechali tu w trzydziestu, a szczecińscy gangsterzy byli bardziej takimi gangsterami kawiarnianymi. Więc zobaczyli groźnych gangsterów, uzbrojonych. Wprawdzie ci ze Szczecina też byli uzbrojeni, no, ale fama o mafii pruszkowskiej zrobiła swoje. I tak naprawdę to jest najlepszy dowód, jaka polska zorganizowana przestępczość była słaba. Bo ci ludzie, którzy przyjechali, to byli najwięksi bossowie, chociaż jeszcze wtedy tak o nich nie pisano. Gdyby stworzyli mafię, nie narażaliby siebie, nie przyjechaliby w trzydziestu. Przysłaliby trzech zabójców, żeby zabili tu z kilku szczeciniaków.

– Na czym gang zarabiał?

– W sumie na wszystkim – handel narkotykami, wymuszanie haraczy. I to też najczęściej od innych przestępców. Niekoniecznie od kryminalistów, bo wiadomo, że kryminaliści to ludzie, którzy nie mają pieniędzy. Specjalnie mówię: przestępców, a więc takich ludzi, których nie kojarzy się z jakimś bandyckim procederem; przemytników, a najwięksi przemytnicy to najczęściej biznesmeni. Oni byli jakby zniewoleni swoją sytuacją, bo przychodził ktoś taki jak Oczko, waźniak, siłacz, który miał ze sobą jakąś tam ekipę. Plotka uliczna głosiła, że to mocna ekipa; w gazetach pisano, że to mafia; więc przychodził taki Oczko, mówił: „Płacić, bo to mój teren”. I ten człowiek był bezsilny. Nie mógł wynająć innych bandytów, bo w pobliżu, w promieniu, załóżmy, kilku kilometrów nie było takich. Nie

miał dojść do „Pruszkowa”, a nawet gdyby miał, no to co z tego. Nie mógł pójść na policję, bo był „umoczony”, tak? I na takiej zasadzie – z tego, co ja wiem – wszyscy ci więksi bossowie dorobili się fortun. Okradali przemytników. Napadaliśmy na tiry i to nie były takie napady jak na filmach, że gdzieś ktoś jest uzbrojony, kominiarka, rękawiczki, broń... Nie, nie. To było tak, jak gdybyśmy zebrali się w kilku, pojechali, zrobili napad, zabrali frajerowi tira i go postraszyli jakąś „gazówką”. A on szedł do szefa i mówił: „Byli jacyś gangsterzy. Groźni. Napakowani. Mieli groźne miny i byli łysi”.

– Kto to był Wiktor F. i dlaczego został zastrzelony?

– Miał tutaj swój gang, zajmował się przerzutem ludzi, kradł samochody. W pewnym okresie stał się solą w oku dla Marka. Marek nie mógł przeżyć, że jest ktoś w Szczecinie, kto się przed nim nie kłania, kto nie jest jego klakierem. No i Marek akurat miał dojście do kogoś od Krakowiaka. Tamci byli na fali, gotowi byli za pieniądze zabijać i zabili Wiktora. Wcześniej była bójka między jego i naszymi ludźmi, no i poszła fama, że Polacy przegrali, no i to był dyshonor. To nie było tak naprawdę zabójstwo mafijne. To było zabójstwo dla szpanu.

– Kto to jest Ricardo Fanchini? Poszła fama, że Oczko z nim trzymał i robił jakieś interesy z wódką.

– Ricardo to był facet, który wciągnął Marka na salony międzynarodowe. Gdy w „Pruszkowie” zaczęły się tarcia na poważnie, kiedy trzeba było zabijać albo trzeba było zginąć, wtedy Marek postanowił spakować walizki i zmienić piaskownicę. Drugą piaskownicą był Ricardo – bogaty człowiek, który miał powiązania z tym gangiem, z którym Marek robił później interesy. Przez Fanchiniego Marek poznał Monię Elsona i innych gangsterów z Moskwy. Oni faktycznie robili interesy na tej wódcie Kremłowskiej. Szczegółów nie znam, bo Marek mi o tym nie opowiadał. On grał tam wtedy główne skrzypce, jako nieoficjalny właściciel. I to za tym stał Fanchini. Później słyszałem, że Marek podobno okradł Fanchiniego. Mówię „podobno”, bo nie byłem przy tym i wiem z doświadczenia, że wszystko trzeba brać na dystans. Chodziło o dwa miliony dolarów, które dostał do wyprania, i Fanchini nie dostał nic z tego. I Marek bał się śmierci, to wiem na sto procent. Mówił mojemu koledze w zakładzie karnym, że gdyby nie siedział, toby już nie żył. Ale czy bał się właśnie Fanchiniego, to trudno mi powiedzieć.

– Media pisały, że gang Oczka to chłopcy z ulicy Żabiej, złej dzielnicy Szczecina.

– To jest jakiś mit, bo tak naprawdę gangiem był Marek. Nie Marek i jego ludzie, tylko tak naprawdę Marek. Z jednej strony to był jego atut, a z drugiej – jego słabość. Gang tak naprawdę powstał po tym, gdy Oczko wziął udział w przekręcie papierosowym, gdzie pewnemu człowiekowi w Gorzowie zamiast papierosów sprzedano trociny. To nie był jego biznes, to robili warszawiacy i oni dali mu wszystkie półprodukty. On zorganizował kilku facetów ze swojej ulicy, żeby za jakieś psie pieniądze napakowali trocin do pudełek, nałożyli folię, i on to sprzedał. Tak naprawdę to się wystawił, bo ten, który to kupił, znał go. I Marek miał z tego sprawę w Sądzie Wojewódzkim w

Gorzowie Wielkopolskim.

– **No, ale został uniewinniony z zarzutów, chociaż świadkowie podtrzymali obciążające go zeznania.**

– Według tego, co ja wiem od Marka zastępcy, poszły pieniądze dla ludzi, którzy decydowali w tym procesie: dla prokuratora, dla sędziego. Ale z takimi stwierdzeniami ostrożnie! Bo na przykład słyszałem, że poszły pieniądze i wyrok był w zawieszeniu. Ty mówisz o uniewinnieniu. Ale ostrożnie! W każdym razie po tym biznesie Marek musiał uciekać do Warszawy i tam Słowik już go popilotował. On spał u Słowika w domu i Słowik wciągnął go w te wszystkie struktury związane z gangiem pruszkowskim, z tym odłamek, który zajmował się napadami na tiry i przemytami. To był 1993 rok. W międzyczasie powstała – przynajmniej w mediach w Polsce – mafia: powstał „Pruszków” i „Wołomin”. Marek zarobił wielkie pieniądze razem z pruszkowiakami. No i w Szczecinie też zaczęły się jakieś takie załążki. I faktycznie było jeszcze dwóch ludzi z ulicy Żabiej: Marek D., ps. Duduś, i Jacek P., Ślepek. To oni mieli skupionych wokół siebie kilku przestępców. Sprawa w Gorzowie się wyprostowała. Marek wrócił i automatycznie to zaczęło się zawiązywać, bo każdy chciał zarabiać. A zarabiać w grupie było bezpieczniej. To były czasy, kiedy już się zaczęły strzelaniny i zabójstwa, a wbrew pozorom gangsterzy to nie są ludzie pozbawieni strachu. Też się boją. Wolą trzymać się w grupie, a w grupie – przynajmniej teoretycznie – jest bezpieczniej.

– **A w jaki sposób pan dostał się do grupy?**

– Kiedy odbyłem pierwszy wyrok, wyszedłem na warunkowe zwolnienie. No, po prostu szukałem jakiegoś zarobku i trafiłem na gościa, który handlował narkotykami. Ale że uważałem go za idiotę, to się pozbyłem go tak delikatnie, bez przemocy, przejąłem jego towar i zacząłem handlować. To tak się rozwinęło. Moja ekipa to nie była ekipa siłaczy, kulturystów, to byli ludzie, którzy przynosili dochód. Wiadomo: w tym środowisku ludzie się łączą. Ja też chciałem się przyłączyć do jakiejś mocnej ekipy. Z czasem zaproponowano mi wejście do ekipy Marka. Zgodziłem się, bo dla faceta, który miał wtedy 22 lata, to tak, jakby złapać Pana Boga za nogi.

– **Wciąż podkreśla pan, że Oczko był słabym człowiekiem. Tyle lat pan dla niego pracował, wtedy nie widział pan jego słabości?**

– Nie patrzę na niego jak na człowieka. Bo on jako człowiek nie był ani słaby, ani tchórzliwy. Ale też nie trzymałem z nim jak z człowiekiem. Trzymałem z nim jak z bossem – z kimś, kto swoją siłą, swoją inteligencją, powinien mnie chronić, wspierać. Może nie zawsze, bo wiadomo, są pewne ograniczenia, ale on jest dla mnie słaby jako gangster, jako boss, jako szef. To jest bardzo ważne, nie? Bo ja nie chcę go oceniać jako człowieka, nie chcę być hipokrytą, bo sam niewiele się różnię w sumie od niego.

– **Mówiono, że był pan jego najwierniejszym żołnierzem...**

– Nie, nie, to przesada. Ja nigdy nie byłem jego najwierniejszym żołnierzem, ponieważ on nie miał

najwierniejszych ludzi. On miał ewentualnie klakierów, których obdarowywał łaskami.

– **No dobrze, ale jakby panu powiedział, że ma pan dla niego zabić – wtedy, kiedy był pan w jego grupie...**

– To zależy. Trudno teraz powiedzieć, bo też inaczej się myśli, gdy trzeba zabić innego gangstera, który wybrał taką drogę i wiadomo... No, powinien liczyć się z czymś takim. Inaczej jest strzelać do kogoś, kto, założmy, nie jest żadnym przestępcą, gangsterem, nie jest nikim takim. Jakimś zwykłym facetem, tak? Trudno mi powiedzieć. Myślę, że gdyby była wojna i Marek byłby zagrożony, czy moja ekipa byłaby zagrożona, to w ramach wojny bym zabijał innych gangsterów. Nie miałbym oporów. To dla mnie nie byłby problem. Ale strzelać do ludzi przypadkowych to byłoby mi naprawdę ciężko. Myślę, że byłoby to naprawdę niemożliwe. Bałbym się, że jak to wyjdzie na jaw, to nie będę mógł z tym żyć. Nie chodzi o sumienie, ale chodzi o „podejście do tematu”, „podejście do rzeczy”, nie? Co innego, jak inni gangsterzy mnie atakują. To mówię: wojna. No, facet, mówię sobie, wybrałeś taką drogę, spieprzyłeś sprawę, i kiedy rodzina takiego gangstera przychodzi na proces, to powtarzam sobie, że przecież on też był drapieżnikiem. Ja byłem większym drapieżnikiem. Ale gdy wchodzi w grę zabicie człowieka przypadkowego, to jest inaczej, nie? Przynajmniej ja tak uważam. Nie ma tego usprawiedliwienia.

– **W jaki sposób człowiek zostaje pasowany na szefa? Czy są jakieś wybory, jakiś rytuał?**

– Niestety, nie ma tego. Niestety. To wszystko zależy albo od przypadku, albo od relacji personalnych. To jest kwestia przypadku. Po prostu zbierają się gangsterzy i ustalają. Zawsze w takich grupach jest ktoś, kto jest automatycznie quasi-przywódcą. No i ludzie, którzy to widzą, chcą się do niego podliznąć, mówią: „To dobrze, żebyś ty był, bo ty jesteś najlepszy. Wszyscy cię szanują. Wszyscy cię lubią”. W prawdziwej mafii szefami są ludzie najodważniejsi, najbardziej brutalni. Bo siła mafii bierze się ze strachu. Ze strachu przed śmiercią. To jest fundament wszystkiego.

– **Nie był pan rozżalony, że pan, taki odważny i silny, nie został zastępcą szefa?**

– Nie. Przede wszystkim dlatego, że byłem bardzo młody. Już sam fakt, że byłem w ścisłym tym kierownictwie gangu, był dla mnie wielkim sukcesem. Moi rówieśnicy stali po bramach i pili piwko. A ja zarabiałem pieniądze i jeszcze rozdawałem karty. Poza tym nie miałem wtedy tych ambicji. Chciałem nauczyć się od nich czegoś. Jeszcze wtedy nie wiedziałem, że to są ludzie głupszy ode mnie. Może inaczej – może nie głupszy – bo to pojęcie bardzo względne – ale że mniej wiedzą o tym fachu niż ja, niż mogłem przeczytać w książkach i w gazetach. To śmieszne! Ale tak było.

– **Czym wytłumaczyć fakt, że grupa Oczi tak długo działała bezkarnie?**

– Pojęcie, że działała długo i bezkarnie – to jest pojęcie bardzo względne. Bo to nie było tak, że my w gangu czuliśmy się bezkarni. Zawsze był ten strach przed policją, zawsze była ta obawa, zawsze były stesy. Inna sprawa: my tak naprawdę nie dopuściliśmy się – wbrew pozorom – wielu zbrodni. Nie mogę powiedzieć, że w ramach działalności naszego gangu zginęło pięćdziesiąt osób,

dokonałiśmy trzydziestu napadów rabunkowych... Nie mogę tego powiedzieć! Gdybyśmy zabili pięćdziesiąt osób i nie zostali rozbici, tobym powiedział: „Tak, działaliśmy bezkarnie, i to długo”.

– **Ale ściągałiście haracze, handlowaliście narkotykami, napadaliście na tiry.**

– Tak, robiliśmy to, ale wiedzieliśmy, do kogo uderzyć. Jeżeli wyczuliśmy, że osoba, do której chcemy pójść po pieniądze, może zgłosić się na policję, to tego nie robiliśmy. Mówię „my”, chociaż ja akurat zajmowałem się tylko narkotykami, ale gang tego nie robił. Szukaliśmy jakiegoś przestępcy lub nieuczciwego człowieka, który „wysyłał” sygnały, że nie pójdzie na policję. I taki człowiek był ofiarą. Znałem biznesmenów, którzy byli uczciwi, ale bali się po prostu i dbali o to, żeby znać Marka. Marek ich wyczuwał. Widział, że oni się boją, że oni wiedzą, kim on jest, że mają go za wielkiego mafioso, wielkiego zabójcę. I on po prostu wciągał ich w pułapkę: narzucał kary, haracze, wymuszał pieniądze za byle co.

– **Czy to prawda, że grupie pomagali niektórzy szczecińscy policjanci?**

– To brzmi tak, jakby w grę wchodziły jakieś takie korupcyjne układy. Nie do końca. To były układy, które polegały na „wymianie informacji”. To miało oczywiście swoje granice, bo po pierwsze, policjanci nie działali przeciwko sobie, a po drugie, gangsterzy też nie donosili na siebie.

– **No dobrze, ale człowiek pokrzywdzony przez gang Oczki idzie na spotkanie z policjantem, któremu chce powiedzieć, że dzieje mu się krzywda. Zamiast policjanta – jest Oczko i jego ekipa. Człowiek zostaje uprowadzony. Jest wymiana informacji?**

– Dokładnie ten przypadek jest klasycznym układem korupcyjnym. Tylko gdyby ten poszkodowany był rozsądny, toby poszedł na komisariat, a nie spotykał się ze znajomym policjantem.

– **Jak poza wymianą informacji wyglądała wasza współpraca z policją?**

– Przede wszystkim policjanci oddawali nam takie usługi, drobne usługi. Informowali nas o akcjach; nawet swoich przeciwko nam. To były drobne akcje: przeszukania, próby zatrzymania. Ja na przykład dostawałem informacje od jednego z policjantów, tylko nie bezpośrednio, ale przez jego informatorów, którzy działali w moim gangu. Później sprawa wyszła na jaw: ten policjant zwolnił się. Między innymi Białorusin Wiktor F. był jego informatorem i po śmierci F., po moich zeznaniach na jego temat, ten oficer zwolnił się z policji, no i umarł na serce.

– **Co policjanci dostawali w zamian za swoje informacje?**

– Przede wszystkim też informacje. Słyszałem, ale nie byłem świadkiem, że w grę wchodziły też i pieniądze. Byłem świadkiem, jak w grę wchodziły informacje. Policjanci spotykali się z szefami i mówili: „Wystawcie nam przemytników! Różnych przemytników: od towaru, narkotyków, od spirytusu, od jakiejś »spożywki« nawet. Wystawcie ich, a my wam damy spokój”. To był śmieszny handel, bo ich spokój był nic niewarty; a oni i tak zbierali dowody przeciwko nam. I nie oni decydowali, czy my mamy spokój czy nie, tylko nasze błędy decydowały. Ale szefowie tak na to nie patrzyli. Widzieli policjanta, który jest wielką figurą w PZ-ach, i się układali z nim. Mówili: „Dobra,

załatwimy kilku frajerów”. Były też takie przypadki, że – założmy – inny gang okradł znanego biznesmena na grube pieniądze. Policjanci o tym wiedzieli, ale nie mogli udowodnić tym gangsterom, że zrobili ten napad. Więc nasłali szefów na tych gangsterów. My porywaliśmy tych gangsterów i wymuszaliśmy od nich te pieniądze, które oni z kolei ukradli. A informacje na temat samego przestępstwa poszły do Komendy Wojewódzkiej. Robiłem kiedyś zdjęcia trzem Ukraińcom – zabójcom, którzy chcieli zabić Marka. I Marek te zdjęcia później przekazał policji, żeby policjanci wiedzieli, kogo „zawinąć”. Stąd się brały później „gesty wdzięczności” ze strony policjantów. Oczywiście gdyby Marka zatrzymano na gorącym uczynku z „dymiącym pistoletem”, no toby poszedł siedzieć.

– Przez lata handlowaliście kokainą w hotelu, który położony jest w bezpośrednim sąsiedztwie Komendy Wojewódzkiej Policji w Szczecinie. Czy policja wiedziała o tym?

– No przecież, naturalnie! Człowiek, który to robił, członek mojego gangu, Jacek P. Ślepak, handlował kokainą od kilku lat, siedemset metrów od Komendy Wojewódzkiej. Był informatorem jednego z policjantów z ówczesnego Wydziału do Zwalczania Przystępczości Zorganizowanej. I śmieszne to było, jak czytałem w gazetach, że policjanci mówią, że w Szczecinie nie handluje się kokainą. Przecież wszyscy wiedzieli, że Jacek handluje i że to jest kilkaset metrów od komendy!

– Czy działalność w gangu dała wam bogactwo? Jaki majątek ma Oczko?

– Z tego, co wiem, na siebie nic nie ma. Ale Marek generalnie jest skąpy. Jeżeli skąpy człowiek jeździ ferrari i ma później jeszcze jeepa cherokee, to znaczy, że musiał odłożyć dużo pieniędzy. Ma dom z basenem pod Warszawą, wart teraz, nie wiem, z milion dolarów, jak nie więcej. Założmy, że on wyjdzie za dziesięć lat. Kupi sobie wolność, bo jest kilka takich możliwości w polskim prawie. Będzie ustawiony, ale reszta z gangu nie jest tak ustawiona.

– Czy potrafi pan żyć na wolności, nie wracając do tego, co robił pan wcześniej?

– Pierwszy raz trafiłem do więzienia przez przypadek, więc na to w ogóle nie patrzę, ale później już wszystko, co robiłem, robiłem dla pieniędzy. I gdybym miał dzisiaj full kasy i nie musiałbym pracować, tobym powiedział: „Nie będę przestępcą”. Bo ja nie jestem chory psychicznie i panuję nad sobą. Ale może być tak, że jutro mi zabraknie pieniędzy albo pojawi się jakiś dobry biznes, nie wiem! Nie chcę o tym mówić! Nie chcę tu strugać jakiegoś zresocjalizowanego gościa, bo nie jestem takim facetem. Mam świadomość tego, że jestem zdemoralizowany, ale ja potrafię panować nad swoją demoralizacją.

– A coś takiego jak wyrzuty sumienia? Takie uczucia są panu znane?

– Mam sposób, żeby to zneutralizować. Od czasu do czasu robię dobre uczynki. Ale nie chcę o tym mówić, bo to moja sprawa i moje wyrzuty sumienia, i mój sposób na ich zneutralizowanie. Ale to jest najlepszy sposób. I nie przesadzać z przemocą. Wychodziłem zawsze z takiego założenia, żeby nie mieć strachu przed spojrzeniem mojej ofierze prosto w oczy. Że to był biznes. Nie napadłem cię w

ciemnej ulicy w parku dla zabawy. Wiedziałeś, co robisz, albo przynajmniej wiedziałeś, z kim masz do czynienia, i nie chciałeś się ze mną ułożyć. Ja ci dawałem szansę. Oczywiście ja też mogę być ofiarą. Wiem o tym. Ja sobie zdaję z tego sprawę. To nie jest tak, że ktoś ma monopol na przemoc.

– **Czy to, co zrobił pan przed i podczas procesu, było zdradą?**

– Szczerze? Nie uważam tego za zdradę. Nie uważam tego za układ. To po prostu była wojna. Wypowiedziałem wojnę ludziom, którzy mnie zostawili, olali mnie, bo uznali, że nie jestem problemem. W gangu było tak, że niektórzy faceci z takich „nizin” zaczęli kapować, i to im wysyłano paczki żywnościowe. Banalna sprawa, nie? Paczka żywnościowa. Z punktu człowieka normalnego, to nie wiem: parę czekolad, dwie puszki, jakaś kawa, tak? Ale z punktu widzenia więźnia to dużo. I nagle się okazało, że nie tylko mnie okradli, ale jeszcze kapusiom wysyłają paczki. To było dla mnie takim upokorzeniem, że postanowiłem ich wykończyć, wypowiedzieć im wojnę. Wpierw zaproponowałem pieniądze w zamian za milczenie. Powiedziałem Markowi: „Płać 500 tysięcy marek albo będziesz siedział!”. Marek – co przewidziałem – powiedział: „Pierdol się!”. I otworzył do mnie ogień na swój sposób. Zebrał bandę, przyjechali pod areszt śledczy, nawyzywali mnie, ogłosili, że jestem kapusiem, choć ja jeszcze wtedy nie zeznawałem.

– **Chcieli, żeby to usłyszeli inni osadzeni?**

– Tak. Chcieli mnie złamać psychicznie. A to po prostu był ruch słońca w składzie porcelany. Bo spodziewałem się jakiegoś zagrania, jakiejś może prowokacji, może jakichś lipnych negocjacji. Byłem na to przygotowany! Wiedziałem, że Oczko jest słaby. On nie jest tak skomplikowany jak ja w postrzeganiu rzeczywistości. On myśli: „O, frajer mi tu podskakuje. Zaraz zbiorę bandę i go rozszarpie”. On nie wiedział, że ja nim gardzę. O innych nawet nie wspominał, bo są słabi i głupi. I do tego naiwni. Zgłosiłem się do prokuratury i złożyłem zeznania. Później robiłem różne inne rzeczy, o których nie chcę tu mówić, bo jednymi można by się pochwalić, a innych powinienem się wstydzić. Ale robiłem różne rzeczy, żeby ich zgnoić na kilku frontach.

– **Kłamał pan?**

– Nie do końca byłem szczery. Nie do końca mówiłem prawdę, o tak! Ale nie chcę o tym mówić, ponieważ gdybym powiedział, że kłamałem, to mógłbym urazić kilka osób, a nie chcę, żeby one poczuły się, że jestem nie fair. Po prostu: jeżeli kłamałem, to tak naprawdę w dobrej wierze. Te osoby szły w pewnym kierunku, zwalczały przestępczość. I ja też miałem swój interes, żeby zwalczyć kilku przestępców, więc się do nich dołączyłem. Na pewien czas. Na pewien dystans. No i nie zawsze byłem do końca szczery. I teraz gdybym powiedział, na czym ta nieszczerłość polegała, to oni mogliby poczuć się upokorzeni. Oszukani. A ja nie chcę, żeby się tak poczuli. Dlatego nie będę o tym mówił.

– **Pisał pan listy do swojego szefa?**

– Tak. Kiedy on przebywał w areszcie i kiedy ja już byłem w areszcie, to pisałem do niego widokówki. Drwiłem z niego, bez używania wulgarnych słów. I nawet, tak można powiedzieć,

poniżałem go. Więc jego ludzie chcieli mnie upokorzyć i wymyślili dla mnie przezwisko: Czarna Mamba. W więzieniu jest tak, że jak się używa wobec mężczyzny rzeczownika w rodzaju żeńskim, to jest to niby obelga. Ja jestem inaczej skonstruowany psychicznie i to dla mnie w ogóle jest bełkot. Nie wiedzieli, że czarna mamba to jeden z najbardziej jadowitych węży na świecie. I ja przyjąłem to, podpisywałem wszędzie: Czarna Mamba. Bo ja jestem właśnie jak taki wąż. I oni już o tym wiedzą. Ale wtedy jeszcze nie wiedzieli.

– Wykonał pan robotę świadka koronnego, ale nie dostał tego, co dostają świadkowie koronni. Czego pan oczekiwał?

– Gdyby wtedy funkcjonowała ustawa o świadku koronnym, tobym chciał z niej skorzystać. Tutaj mówię uczciwie. Ale jej wtedy nie było i miałem tego świadomość. W ogóle miałem świadomość prawną swojej sytuacji. Więc zeznawałem sam dla siebie w ramach tej wojny. Ale nie mogę powiedzieć, że mi nic nie dano. Bo po pierwsze, ten wyrok 7 lat, który dostałem, był zmniejszony; on by był wyższy normalnie. I drugi wyrok, który dostałem za wymuszenia, wszedł całkowicie w te siedem lat. Tak że nie mogę powiedzieć, że ktoś mnie oszukał czy nie dotrzymał słowa. To, co mogli dla mnie zrobić, to zrobili. I nawet trochę więcej.

Tuła – komandos i agent

Drugim grabarzem gangu Oczki okazał się człowiek zasiadający podczas procesu tej grupy na ławie oskarżonych – Artur R., ps. Tuła. Zanim trafił za kratki, był jedną z barwniejszych postaci szczecińskiego półświatka. Stały bywalec szczecińskich lokali, zawsze otoczony atrakcyjnymi kobietami. Jeździł po mieście najnowszymi modelami drogich marek, kelnerom dawał sowite napiwki, a z funkcjonariuszami komendy wojewódzkiej, którzy deptali mu po piętach, rozmawiał bez skrępowania, jakby ucinął sobie z nimi przyjacielską pogawędkę.

Tuła, jako nastolatek, był w bandzie rockersów, skąd pod koniec lat 80. trafił na pięć lat do więzienia za rozbój. Kiedy odzyskał wolność, zaciągnął się do Legii Cudzoziemskiej, przynajmniej sam tak potem opowiadał. W Legii zabawił zresztą wyjątkowo krótko. Niebawem wrócił do rodzinnego miasta i stał się najemnikiem, zarabiającym na życie odzyskiwaniem skradzionych aut, negocjowaniem warunków uwolnienia porwanych biznesmenów i handlem narkotykami. „Załatwiałem nietypowe sprawy. Żyłem z własnego sprytu i ryzyka” – mawiał. W sądzie zeznawał chętnie i dużo, bo walczył o złagodzenie wyroku – obciążały go poważne zarzuty: narkotyki, wymuszenia, porwania. Według prokuratury i sądu zeznania Tuły były wiarygodne. Tymczasem w Szczecinie miał opinię mitomana, wymyślającego nieprawdopodobne historie, aby dodać sobie znaczenia. Jedną z legend, jaką posługiwał się, aby zdobyć posłuch, była rzekoma współpraca z

Urzędem Ochrony Państwa. Zeznania, jakie składał na ten temat, były dla prokuratury mocno kłopotliwe.

Artur R. zeznawał przed prokuratorką Barbarą Zapaśnik w obecności porucznika J.W. z UOP w lutym 1998 r. Twierdził, że z grupą Oczki nic go nie łączy poza zwykłą znajomością. Na życie zarabiał, odyskując auta od złodziei i długi od nierzetelnych płatników. Zajmował się też ochroną biznesmenów. Czasem przystępował do odbijania osób porwanych dla wymuszenia okupu. Jedną z takich osób (Wojciecha S.) porwał przestępca o niebudzącym respektu pseudonimie Szczoteczka. Tuła spotkał się ze Szczoteczką w pobliżu Komendy Wojewódzkiej Policji. W grupie mężczyzn stojącej nieopodal rozpoznał wysokiego oficera pionu antynarkotykowego Komendy. Szczoteczka zaczął go straszyć tym oficerem. Wyjawił, że to jego szwagier. Tuła zorientował się, że porywacz prawdopodobnie korzysta z wiedzy posiadanej przez szwagra-policjanta. Cytował bowiem treść przesłuchań dokonywanych na komendzie i powoływał się na swoje stosunki z tym oficerem.

Fascynująca jest druga część zeznań Tuły z tego samego protokołu. Opowiedział mianowicie, jak w 1992 r. za pośrednictwem biznesmena (zajmującego wtedy wysoką pozycję na liście 100 najbogatszych Polaków) i zarazem konsula honorowego pewnego państwa wschodnioeuropejskiego, Witolda S., poznał oficera UOP. Funkcjonariusz zaproponował, aby Tuła informował go o faktach związanych z przemysłem alkoholu. Zgodził się i tak zaczęła się współpraca z UOP. Na polecenie oficera nawiązał kontakty z grupą biznesmenów rosyjskojęzycznych (tu podał ich nazwiska). Spotykał się z nimi w hotelu Radisson. Podczas jednej z takich sesji w 1996 r. do stolika podszedł znajomy jednego z Rosjan. Tuła rozpoznał w nim ówczesnego ministra sprawiedliwości (bądź jednego z wiceministrów, ta kwestia nie jest dość jasno wyłożona, a przesłuchujący nie interesowali się szczegółami). Rosjanin przedstawił Tułę i oświadczył, że w razie kłopotów może do ministra walić jak w dym.

Innym wątkiem opowieści Tuły było dwukrotne przekazywanie przez niego kopert z pieniędzmi pewnemu sędziemu ze Szczecina (podał jego nazwisko). Nadawcami kopert byli ludzie, którym groziły wyroki. Po pewnym czasie Tuła dostał propozycję (też z UOP), aby pojechać do Szwajcarii i tam próbować poznać się z Władysławem K., Polakiem prowadzącym międzynarodowe interesy, także w Polsce. Pan K. był swego czasu właścicielem klubu piłkarskiego Górnik Zabrze.

Plan powiódł się całkowicie. Tuła poznał Władysława K., zaprzyjaźnili się do tego stopnia, że biznesmen zaproponował mu funkcję osobistego ochroniarza. Pobyt Artura R. w Szwajcarii trwał kilka miesięcy. W tym czasie Tuła zaobserwował, że K. był człowiekiem bardzo wysoko ustosunkowanym. Miał kontakty telefoniczne z ministrami RP, a nawet z przyszłym prezydentem Polski. Chwalił się też, że bywał na przyjęciach u ówczesnego prezydenta i finansował kampanie wyborcze „tym z prawa i z lewa”.

Po powrocie do Polski Tuła spotkał się z oficerem UOP. Funkcjonariusza bardzo interesowało, czy

pan K. pije alkohol i w jakich ilościach, kto u niego bywa i z kim ma kontakty. Tuła wszystko mu zrelacjonował. Opowiedział też o jakichś papierach, które „pan Władek ma złożone u adwokata”. Miały to być kwity kompromitujące kilku polskich polityków.

Oczko, czyli Wolf

Proces gangu Marka M. rozpoczął się w Sądzie Okręgowym w Szczecinie w lutym 1999 roku wielką demonstracją policyjnej siły: kontrole pirotechniczne, kamizelki kuloodporne ukryte pod prokuratorskimi togami, eskorta komandosów uzbrojonych w strzelby o dużej sile rażenia, ukryci na dachach snajperzy. Nieoficjalnie mówiono, że policja obawiała się próby odbicia Marka M. przez pozostające na wolności bojówki gangu. Służby operacyjne zaobserwowały kilka dni wcześniej sporą nerwowość w szczecińskim półświatku. Obawiano się także o bezpieczeństwo prokurator Barbary Zapaśnik (po tym, jak w Opolu oblano kwasem prokurator ścigającą Baranię) oraz Rafała Ch. Czarnego – grabarza gangu.

Podczas rozpraw Oczko wyróżniał się z tłumu oskarżonych markowym garniturem i nienagannymi manierami. Wyglądał tak, jakby przyjechał nie z celi, ale salonu kosmetycznego (w rzeczywistości przebierał się w sądowym areszcie).

Jego kompani mieli na sobie przepisowe więzienne mundurki. Pozdrawiali się serdecznie, ostentacyjnie częstowali gumami do żucia. Aktem oskarżenia nie byli specjalnie przejęci – z politowaniem kręcili głowami, wymieniali szydercze uśmiešky, pukali się w czoło. Zeznania występujących przeciwko nim świadków burzyły im krew. „Co to za głupoty jakieś! – wykrzykiwał Adam M., ps. Brygadier. – Napiszę na sędziego do Strasburga, bo mam tam znajomości. Co ja tu robię na tej sali? Mnie to w ogóle nie dotyczy”.

Janusz G., ps. Gołąb, tradycyjnie miał problemy ze zdrowiem (i zrozumieniem postawionych mu zarzutów, dotyczących m.in. uprowadzeń dla okupu i handlu narkotykami).

- Ja w ogóle pojąć nie mogę, czego prokurator ode mnie chce – oświadczył sądowi.
- Czy przeczytał pan akt oskarżenia i postawione mu zarzuty? – dociekał sędzia.
- Nie przeczytałem, bo jestem chory na oko. Jedno jest chore całkiem, a drugie częściowo. Wszystko przez to, że w ciemnicy mnie trzymają i nic nie widzę!

Zarzutów odczytanych na sali sądowej przez prokuratora Gołąb rzekomo też nie słyszał, bo „miał miejsce niewygodne i siedział z tyłu”.

Obserwatorzy procesu spekulowali, że najwięcej emocji wywoła pojawienie się Czarnego. Tymczasem gdy zeznawał – na sali panowała kompletna cisza. Żadnej drwiny, żadnych przejawów agresji. Raz tylko, gdy Czarny odsłonił słabości kompanów, opowiadając, jak to chcieli być groźni,

ale im nie wyszło – jeden z oskarżonych nie wytrzymał i burknął pod nosem: „Psychopata jebany”.

Największe emocje wzbudził za to Tuła (zaraz po aresztowaniu zaskoczył wszystkich nietypowym wyrażeniem chęci współpracy z prokuraturą, gdy podczas spaceru w zakładzie karnym w Stargardzie Szczecińskim wdrapał się na komin i domagał rozmowy z oficerem CBS). Szokiem były jego odczytane w sądzie wyjaśnienia złożone w śledztwie, o współpracy z UOP. Pytany o szczegóły, opowiedział o tajnych dyskietkach przeznaczonych dla tajnych służb niemieckich, które podstępnie wykradł mu przyjaciel Oczki – Roman R., ps. Arizona (piszemy o nim w podrozdziale „Tajemnicze zaginięcia”). „Typ maniaka, mitoman ze skłonnościami do konfabulacji” – skwitował występy Tuły broniący Oczki mecenas Robert Dzieciołowicz. Byli kompani zasiadający na ławie oskarżonych byli nieźle rozbawieni wyjaśnieniami Tuły. Brygadier ostentacyjnie pokazał wyciągnięte spod ławy oskarżonych pornograficzne pismo, wskazując na męskie przyrodzenie i nazywając Tułę „parówką”.

Szczerość opłaciła się Tule. Wyszedł z aresztu jeszcze w trakcie procesu. Na wyrok przyszedł opalony, w eleganckim garniturze. Dostał 2 lata i 9 miesięcy, czyli tyle, ile przesiedział w areszcie.

Szczeciński proces przeszedł do historii jako popis arogancji oskarżonych wobec składu sędziowskiego, dziennikarzy i policjantów. Obecność na rozprawach współautorki tej książki wywoływała oburzenie na ławie oskarżonych. Już podczas pierwszego dnia procesu Jacek P., ps. Ślepek, wnioskował, by sędzia nakazał policji wyprowadzenie jej z sali. „To zła kobieta” – uzasadniał. Wniosek Ślepaka odrzucono, ale przewodniczący składu orzekającego sędzia Andrzej Olszewski nie był już tak przychylny dziennikarce, gdy kolejny wniosek złożył Janusz G., ps. Gołąb. „Proszę przesadzić panią redaktorkę Ornacką gdzie indziej, bo tam gdzie siedzi, ciągle się na mnie patrzy. Rozprasza mnie. Prowokuje do seksu”. Sędzia Olszewski prowokacji się nie dopatrzył, ale widać uznał, że dla świętego spokoju coś trzeba zrobić, i polecił, aby dziennikarka przesiadła się do sektora zajmowanego przez rodziny oskarżonych. „Czarna do piachu”, „Won, kurwo, z sali” – posypały się komentarze żon i kolegów oskarżonych.

Podobne emocje odczuł na własnej skórze jeden z funkcjonariuszy zabezpieczających przebieg rozpraw, z którym zniechęcona dziennikarka kilkakrotnie rozmawiała na sądowym korytarzu. Powiadomieni o tym (przez adwokatów?) oskarżeni jawnie mu grozili. Funkcjonariusz złożył oficjalny wniosek, by sąd wyłączył go z rozpraw. „Mógłbym powiedzieć Markowi, żeby uspokoił chłopaków, ale wtedy wyszłoby na to, że jest szefem grupy” – żartował w kuluarach mecenas Robert Dzieciołowicz, obrońca Marka M. Oczko.

Wyroki, które w 2000 roku zapadły w szczecińskim sądzie, były dwukrotnie wyższe niż w słynnym procesie bossów „Pruszkowa”. Marek M. dostał 13 lat. Jego kompani niewiele mniej. Wybronił się tylko Adam M., Brygadier, który po 2,5 roku więzienia wyszedł na wolność, oczyszczony z zarzutu udziału w zbrojnym gangu (obciążający wszystkich Czarny nawet nie wspominał, że w 1994 roku Brygadier do niego strzelał).

Obrońca Oczki (fragmenty mowy końcowej): „Prokuratura próbowała uczynić z mojego klienta gestapowca z ostatniej części *Stawki większej niż życie*. Przypisując mu różnorakie przestępstwa, wykreowała go na Wolfa. Tymczasem Hans Kloss w swoim geniuszu dowiódł, że Wolf nie istnieje, gdyż pod tym nazwiskiem kryły się cztery różne osoby. Podobnie jest z moim klientem”.

Oczko o sobie (fragment mowy końcowej): „Proszę wysoki sąd o uniewinnienie, gdyż wszystkie przedstawione mi zarzuty są całkowicie wirtualne. Prokurator twierdzi, że się ukrywałem, ale jak to możliwe, skoro jeździłem żółtym ferrari? Spróbujcie się ukryć w takim aucie! Co to znaczy, że byłem szefem? W rękę mnie całowali, czy co? Cała ta sprawa to występy dla prasy!”.

Na drugim procesie – w katowickim Sądzie Okręgowym – zasiadł na ławie oskarżonych z grupą Janusza T. Krakowiaka. Oskarżono go o zlecenie zabójstwa Białorusina Wiktora F. Marek M. konsekwentnie twierdził, że jest niewinny. I tak twierdzi do dziś, bo proces wciąż jest w toku (piszemy o tym w maju 2013 roku).

Wiązał nas tylko sport

Z Markiem M., ps. Oczko, spotkaliśmy się w Areszcie Śledczym w Katowicach. Poniżej fragmenty obszernego wywiadu, jakiego nam udzielił:

– **Czy pan wierzy w istnienie mafii w Polsce?**

– Nie. To wymyślona rzecz, czego dowodem mogę być sam. Przypisywano mi kierowanie grupą, praktycznie nie mafią, ale grupą przestępczą, gdzie faktycznie to mijало się z całą prawdą i rzeczywistością. Zostałem pomówiony dlatego, że nie zapłaciłem okupu. To znaczy: szantaż. Nie uległem szantażowi, gdzie Czarny żądał ode mnie pół miliona marek, bo w innym wypadku będzie mnie pomawiał. Kiedy odmówiłem, właśnie mnie pomówił. I na tej podstawie zostałem zatrzymany i aresztowany. Ale pomawiając mnie, nie podał żadnych konkretnych zdarzeń ani faktów, którymi miałbym kierować.

– **Ale odbył się proces i został pan skazany. Dostał pan trzynaście lat więzienia.**

– Tak, dostałem na podstawie zeznań Czarnego, Tuły i Siekiery. Rzecz się miała tak, że kiedy zatrzymano wszystkich na podstawie zeznań Czarnego, zgłosił się, że chce zeznawać Tuła.

– **Po prostu się zgłosił?**

– Tułę przewieźli do Stargardu. Na terenie aresztu on wskoczył na komin. Nie chciał zejść, powiedział, że chce prokuratora, obiecali mu, zszedł i tam go przekonali i przewieźli od razu do aresztu w Goleniowie. W areszcie w Goleniowie zażądał, żeby był obecny oficer UOP przy przesłuchaniu. Oficer UOP-u nazywał się dokładnie Wiśniewski. I Tuła złożył zeznania. Pierwsze pytanie brzmiało oczywiście, co go ze mną łączy. Ja byłem celem w całym tym zdarzeniu. On mówił,

że nic. Bo tak faktycznie było. Ale dalej on składa wyjaśnienia i opowiada, jak był w Szwajcarii w tym i w tym miejscu, u byłego właściciela Górnika Zabrze, który był listem poszukiwany i uciekł do Szwajcarii. I on mówił, że był tam Aleksander Kwaśniewski, potem Hannę Suchocką widział u niego. Złożył wyjaśnienia, które zostały utajnione. Obciążył tam też oficera policji, który się nazywa Dariusz R., który był inspektorem zwalczania przestępstw z działu narkotykowego. W tych swoich wyjaśnieniach opisał zdarzenie, przy którym był Dariusz R. obecny. Chodziło o to, że Dariusz R. miał kontakty i dawał „parasol” mężczyźnie o pseudonimie Szczoteczka, który się trudnił porywaniem ludzi dla okupu. I w tym zdarzeniu, gdzie był obecny Dariusz R., brały też udział osoby, które zostały porwane przez Szczoteczkę i zapłaciły okup.

– **Jaki to ma związek z pana osobą?**

– Ma to związek z moją osobą, gdyż Dariusz R. nadzorował śledztwo w mojej sprawie. I chodzi o to, że miał możliwości, a nawet manipulował zeznaniami świadków, czego dowodem są zeznania świadków, a także opublikowana w „Nowym Kurierze” wypowiedź Luizy Sz., która była nakłaniana, żeby została świadkiem incognito i pomawiała mnie, pokazano jej zdjęcia i kazano zapisać, że rozpoznała mnie, czemu ona się sprzeciwiła.

– **Odmówiła w końcu zeznań, a potem została oblana kwasem.**

– Tak. Ona odmówiła. Nie zgodziła się zostać świadkiem incognito i obciążać mnie, gdyż powiedziała, że mnie nie zna. I po tym, jak odmówiła, po kilku dniach została oblana kwasem.

– **Panu zarzucano nie tylko kierowanie grupą przestępczą, ale też udział w handlu narkotykowym.**

– Tak, udział w handlu narkotykowym. Jest to takie zdarzenie, które zostało mi przypisane wyłącznie już tylko na pomówieniu Czarnego. Na jednej z rozpraw powiedział: Wysoki Sądzie, przypomniałem sobie, że kiedy był Marek w Szczecinie, rozmawiałem z nim o zakupie 100 gramów kokainy. I tylko na tej podstawie dostałem 6 lat pozbawienia wolności. A jego wiarygodność jest taka, że on mnie szantażował o pół miliona marek i osobiście w sądzie przyznał się, że głównym motorem tego, iż mnie pomawia, jest właśnie zemsta. Przyznał się, że robi to z zemsty.

– **Jaki jest pana stosunek do narkotyków?**

– Bardzo negatywny. Byłem zawsze przeciwny tak samo braniu, jak i handlowaniu. Nigdy ich nie używałem i bardzo to potępiałem. Każdy, kto mnie dobrze znał, wiedział, jakie ja mam zdanie na ten temat.

– **Ten cały aparat śledczy, ten policjant, prokuratorzy, sędziowie... Dlaczego oni wszyscy uparli się, żeby pana zniszczyć?**

– Myślę, że stoi za tym przede wszystkim policjant Dariusz R. Chciał mieć sukces. Chciał mieć sukces tak jak i pani prokurator Zapaśnik, która nie weryfikowała ich zeznań, ich wyjaśnień z jakimiś konkretnymi faktami rzeczywistymi i dowodami.

– Czy istniała grupa Oczki? Czy istniał taki gang?

– Nie. Nie istniało coś takiego, gdyż ja w Szczecinie, a to miało miejsce mieć w Szczecinie, gdyż ja w Szczecinie przebywałem bardzo rzadko: raz na dwa miesiące. I kiedy przyjeżdżałem do Szczecina, to nawet z tymi osobami nie miałem kontaktu. A niektóre osoby, które zasiadały ze mną na ławie oskarżonych, wychowały się ze mną na jednej ulicy. Na ulicy Żabiej.

– Grupa z ulicy Żabiej?

– Tak. Była to bardzo mała ulica, krótka. Tak że tam wszyscy się znali dokładnie od podszewki. Ja byłem starszy, oni byli młodszy.

– A co was wiązało poza miejscem zamieszkania?

– Wspólne zainteresowania. To był sport, po prostu. Oni trenowali, ja trenowałem. Jak przyjeżdżałem do Szczecina, to wspólnie ześmy uczęszczali na treningi. Chodziliśmy na siłownię. Trenowaliśmy też boks. To nas w sumie wiązało.

– Dokąd pan z tego Szczecina tak często wyjeżdżał?

– Mieszkałem w Niemczech i swoje wszystkie interesy miałem na terenie Niemiec. Wraz z takimi przyjaciółmi, byli to Żydzi, zakupywaliśmy ubrania sportowe i wysyłaliśmy do Rosji. Było na tym bardzo duże przebicie i zarobek. Bardzo się opłacało.

– To dlaczego pan wycofał się z tych Niemiec?

– Ja się nie wycofałem z Niemiec. Ja praktycznie byłem cały czas, tylko później zacząłem częściej przyjeżdżać do Polski.

– Jakież interesy w Polsce zaczął pan prowadzić?

– Nie, interesów żadnych w Polsce nie prowadziłem.

– Mówi się o pańskiej przyjaźni z Ricardem Fanchinim.

– Znamy się z Ricardem Fanchinim.

– On między innymi produkował wódkę Kremłowską? Pan też w jakiś sposób był zaangażowany w ten interes?

– Ta firma, która zajmowała się handlem tą wódką, została na terenie Polski założona. Prezesem spółki handlującej Kremłowską została Ilona – kobieta, z którą żyję.

– O Fanchinim mówi się jako o gangsterze międzynarodowym.

– Nie mam informacji, żeby on był gangsterem w ogóle jakimkolwiek. Nie zgadzam się w ogóle z taką opinią. Jest to kompletna bzdura i mit.

– Na jednej z pamiątkowych fotografii występuje pan razem z Sylwestrem Stallone i z Arnoldem Schwarzeneggerem. Uwieczniono was przy okazji promocji Kremłowskiej w Monte Carlo.

– Jest takie zdjęcie. No, po prostu jest to zbieg okoliczności. Były to osoby, które bardzo blisko znały się właśnie z Ricardem. Zresztą on znał bardzo dużo sławnych ludzi.

– **Czy pan znał ludzi związanych z gangiem pruszkowskim?**

– Tak, niektórych znałem.

– **Czy można powiedzieć, że z niektórymi się pan przyjaźnił?**

– Nie, nie można powiedzieć o przyjaźni. Nasze zapoznanie pochodzi z czasów, kiedy pracowałem jako bramkarz w lokalu Mała Scena Rozrywki. Był to bardzo znany klub, latem miał swoją filię w Międzyzdrojach. I osoby te przyjeżdżały właśnie nad morze. I tam zapoznawały się osoby z całej Polski i między innymi bywali tam oni. Przyjeżdżali na wczasy.

– **Kto?**

– Leszek tam przyjeżdżał, brat jego tam przyjeżdżał. Tak zwani w tamtych czasach Wańka i Malizna.

– **Masa?**

– On też przyjeżdżał. Widziałem go w latach 90. w Międzyzdrojach. Pamiętam, kiedy przyjeżdżali na siłownię, na którą ja też uczęszczałem. I przyjeżdżali w pięciu skodą taką nie najnowszą, a był to 92, może 93 rok.

– **Może dla niepoznaki?**

– Ludzie o takich pieniądzach, jak pisała o nich prasa, ani by nie przyjeżdżali takim samochodem, ani by nie chodzili tak, jak wtenczas chodzili ubrani. Ich rzekome bogactwo jest to po prostu mit.

– **Mówi się o pana przyjaźni ze Słowikiem.**

– Znajomości, ale nie przyjaźni. On jest ze Stargardu Szczecińskiego, ale nigdy nie odwiedzał mnie w domu, takich rzeczy nie było. Były te spotkania w takich klubach, w restauracji gdzieś czy w dyskotecie. Nigdy nie byliśmy na żadnych tam jakichś wojażach, jak to gdzieś tam opisują w gazetach, że mieliśmy gdzieś wyjazdy jakieś zagraniczne czy coś. Żadnych takich wojaży nie było.

– **Jak pan skomentuje opinię, że grupa Oczki została podporządkowana przez „Pruszków”?**

– To jest wymyślone po prostu przez tak zwanych skruszonych przestępców. Ja po pierwsze, nie kierowałem żadną grupą; a po drugie, nigdy nie byłem podporządkowany tym osobom z „Pruszkowa”.

– **Zapał wyrok w procesie szczecińskim, ale dla pana sala sądowa nie skończyła się. W tej chwili pan znów siedzi na ławie oskarżonych. W procesie Krakowiaka tym razem.**

– Oskarżony zostałem na podstawie pomówień następnych skruszonych przestępców, którzy są świadkami koronnymi. Jest to Kastor i jeszcze jego kolega. Osoby, których kompletnie nigdy w życiu nie widziałem. Nie tylko ich nie widziałem, ale nie znam osób, z którymi w ogóle zasiadam na ławie oskarżonych. Nigdy nawet nie wiedziałem o istnieniu tych osób, których – rzekomo – miałem być kolegą. Ten Kastor był poszukiwany za zabójstwo w Częstochowie. W tym czasie jeździł z bronią i znalazł się w Koninie w agencji towarzyskiej, gdzie całą noc zażywał narkotyki. Zaczął tam grozić i szantażować pewnego człowieka. A że ten człowiek nie chciał mu się podporządkować, wyjął broń, przykręcił na jego oczach tłumik, przystawił mu do kolana i przestrelił mu nogę. Następnie ten

człowiek poderwał się, odepchnął go, zaczął krzyczeć: „Ratunku!”, uciekać w tej agencji, a on też się podniósł i zaczął za nim strzelać i dwukrotnie go jeszcze ranił. A prokuraturze opowiedział później, że on ratował mu życie, strzelał do niego, bo koledzy, którzy z nim tam byli, mogli go pobić. I on dlatego, jak mówił, do niego strzelał, chciał go postrzelić, żeby oni już zobaczyli, że on jest ranny, żeby go nie bili.

– W tej sprawie występuje jeszcze jeden świadek koronny, który mimo tego, że jest świadkiem, podobno ma własny gang i zastrzelonego policjanta na koncie.

– Jest to Włodzimierz C. Kastor pomawiał tego C. o napad. Opisał, że przyłożył broń człowiekowi do głowy i tak dalej. Kiedy C. stał się świadkiem koronnym, prokuratura zrobiła im spotkanie i Kastor zmienił zeznanie. Powiedział, że mu się pomyliło, że to nie był C., ale był to kto inny, ale już nie pamięta. I prokuratura cofnęła oskarżenie przeciwko temu C., gdyż był im potrzebny jako świadek koronny. No, a jak wiadomo jest, on nadal przez cały czas kierował gangiem, no i doszło do tego, że zastrzelili jeszcze policjanta.

– Po tym wszystkim, co pan tu opowiada, jaka jest pana opinia o instytucji świadka koronnego?

– Są to przestępcy. Zwykli, brutalni przestępcy, którzy kiedy już po prostu zawali im się wszystko i zostają zatrzymani, zaczynają zeznawać. A prokuratura nadaje im tak zwany stempel wiarygodności. I na tym stemplu wiarygodności oni zeznają. To osoby, których cel jest oczywisty, i powinno to być weryfikowane z rzeczywistymi faktami, z rzeczywistymi dowodami, które by potwierdzały ich wiarygodność.

– Zarzut, który pana dotyczy, to jest zlecenie zabójstwa Wiktora E., Białorusina, który przebywał na terenie Szczecina. Czy pan go znał?

– Z widzenia. Z widzenia. Praktycznie to żadnej tam między nami znajomości nie było. Kiedyś pamiętam, że było takie zdarzenie, że ja podjechałem samochodem. On był zainteresowany samochodem, którym podjechałem, i tam zapytał odnośnie tego samochodu, nie? A że był to samochód taki rzucający się w oczy, bo wtenczas przyjechałem ferrari, i on był zainteresowany kupnem tego wozu. Ale między mną a tą osobą nigdy nie było żadnych konfliktów, żadnych układów, żadnych znajomości. Nic kompletnie.

– W świetle aktu oskarżenia, jaki miał być powód, że pan zlecił jego zabójstwo?

– Czarny zeznał, że mogło to być, że tamten się lepiej bije ode mnie. To miał być taki motyw.

– Pan jest bogatym człowiekiem?

– Nie, nie jestem bogatym człowiekiem. Przypisywano mi, że wywoziłem miliony dolarów do banków w Monako i tak dalej, no, ale po prostu to znowu kompletne jakieś wymyślenia osób, które mnie pomawiały.

– Ale posiada pan dom z basenem.

– Nie, nie posiadam żadnego domu z basenem. Jest to wymysł. Jest to dom należący do przyjaciółki mojej żony i ktoś sobie to wymyślił po prostu, że ona użytkuje i korzysta. Nie jest to żadna moja własność i nigdy moją własnością nie była. Ja po prostu pomagałem przy jakichś tam sprawach zakupu i tak dalej. Towarzyszyłem i pomagałem, bo byłem akurat w miejscu w Warszawie. Ale nie ma to żadnego związku. Jest to jej dom.

– **Ten dom jest pod Warszawą w tej okolicy znanej właśnie z tego, że tam mieszkają ludzie związani z tak zwaną grupą pruszkowską.**

– Ja tam nikogo nie znam akurat z tych okolic. Żadnej z tych osób.

– **Pan przy każdej okazji wykrzykuje o niesprawiedliwości i o tym, jak świadkowie koronni pana osaczają i kłamią, ale jest pan bezsilny w tym krzyku.**

– Tak, jestem bezsilny, ta bezsilność jest najgorsza. Zostałem po prostu skazany na fałszywych pomówieniach.

– **Czy jest w panu pragnienie zemsty?**

– Nie mam chęci zemsty. Nie pałam chęcią zemsty. Mam pragnienie sprawiedliwości. Sąd podkreślał, że Czarny, zeznając na mnie, bardzo ryzykuje, że mu grozi jakieś niebezpieczeństwo. Ale jak może tak się zachowywać osoba, której grozi niebezpieczeństwo, która wyszła teraz na wolność i po wyjściu na wolność pisze mi kartkę jeszcze z radością, gdzie mówi: „Witam cię, naiwniaku!”. I przyznaje, że mu nie zapłaciłem – mam tę kartkę, nawet dałem ją sądowi – tego pół miliona marek. Wierzyłem zbyt mocno w sprawiedliwość, zawiodłem się. I jeszcze mi pisze: „Za trzy miesiące, za rok... może znów cię ktoś przehandluje...”. I czy tak zachowuje się osoba, której coś grozi? Która obawia się czegoś? Jest to kompletna bzdura! Kompletna bzdura!

Prokurator Barbara Zapaśnik charakteryzuje Marka M. jako egoistę, który kocha tylko siebie. W tym właśnie upatruje przyczyn jego porażki: „Gdyby zwracał większą uwagę na oczekiwania swoich ludzi, a nie tylko własne, być może dzisiaj nie oglądałby świata zza murów więzienia”.

Tajemnicze zaginięcia

W Warszawie ludzie mafii ginęli w spektakularnych strzelaninach lub wybuchach bombowych. W Szczecinie – wychodzili z domu i przepadali bez śladu. Taki los spotkał Romana R., ps. Arizona – zaufanego współnika Oczki, człowieka o salonowych manierach i silnej pozycji wśród Rosjan. Arizona uchodził za człowieka sukcesu. Lubił pokazywać się w towarzystwie prawników, zaskakująco często widywano go w budynku zajmowanym przez Urząd Ochrony Państwa. Podobno

wiele wiedział o zakulisowych powiązaniach polityków z rodzącym się właśnie biznesem. Wykorzystywał tę wiedzę w sytuacjach, gdy komukolwiek z jego przyjaciół powinęła się noga. Niektórzy twierdzą, że w prywatnym archiwum przechowywał kasetę wideo z pikantnymi scenami zarejestrowanymi w agencji towarzyskiej. Bohaterami filmu miało być kilku prokuratorów i szukający mocnych wrażeń sędziego (wszyscy są dziś adwokatami). Chociaż policja podejrzewała, że żadnego filmu nie było, a plotki o pikantnej taśmie VHS pomagały Arizonie w pertraktacjach z prawnikami, to jego inklinacje do szantażu różnych osób mogły być pretekstem, by go na zawsze uciszyć.

– Arizona pilnował, żebyśmy się nie wpakowali w jakąś kabałę – mówi jeden z członków gangu z Żabiej. – Kiedyś chcieliśmy najechać znaną firmę paliwową, która wydymała na dużą kasę pewnego klienta. Ten klient się nam poskarżył, a my byliśmy gotowi mu pomóc. „Wara od nich, bo was wszystkich pozabijają” – denerwował się Arizona i wytłumaczył nam, jacy politycy stoją za tą firmą. Opuściliśmy.

Po raz ostatni Romana R. widziano 21 listopada 1995 roku. Ktoś zatelefonował do niego i wyraźnie popsuł mu humor. Po rozmowie Arizona nerwowo czegoś szukał w swojej willi przy Strzałowskiej, następnie w pośpiechu wsiadł do peugeota, odjechał i już nie wrócił. – Marek [Oczko – przyp. aut.] płakał, gdy Romek zaginął. Traktował go jak brata, kupowali sobie te same ciuchy. Wynajął z chłopakami helikopter do poszukiwań. Przez lata próbowaliśmy razem ustalić, kto wtedy dzwonił. Dowiedzieliśmy się, że w tym dniu Roman kilkakrotnie rozmawiał z paroma biznesmenami z pierwszych stron gazet – opowiadał nam Waldemar J., nieżyjący już partner w interesach Marka M. Oczki.

Nasz rozmówca widać nie wiedział, jakie były ustalenia służb kryminalnych w tej sprawie: ostatni odebrany przez Arizonę telefon wykonano z numeru należącego do Marka M., a zarejestrowanego na jego życiową partnerkę Lucynę K.-J.

– Arizona nadzorował dla Oczki interesy z wódką Kremłowska – mówi oficer CBS. – Sam zresztą zainwestował w ten interes niemałe pieniądze. Oczko nie był jednak zadowolony, szukał następcy na jego miejsce. Pozycję Arizony podobno mocno nadszarpnęła wpadka na granicy trzech tirów ze szmuglowanym spirytusem.

Do dziś nie wiadomo, gdzie i do kogo spieszył się tamtego dnia Roman R. Jego samochód znaleziono po jakimś czasie na parkingu w Poznaniu. W półświatku do dziś spekuluje się, że za tym tajemniczym zaginięciem stały służby specjalne. W latach 80. na zlecenie SB Roman R. zorganizował spektakularną kradzież dyskietek należących do Stasi. Dyskietki znajdowały się w samochodzie niemieckich tajniaków i miały zawierać tajemnice przemysłowe. Arizona opowiadał po wszystkim, że Służba Bezpieczeństwa zapłaciła za nie pół miliona marek. W ekipie, która zrobiła z nim tamten numer, była m.in. pewna kobieta z Berlina i jakiś komandos. Kiedy Arizona zaginął, jego koledzy dotarli do owego komandosa. Mężczyzna był przerażony, ponieważ kobieta z Berlina też zaginęła.

Wkrótce on sam zmarł na zawał serca.

Jaka jest prawda o losie Arizony – tego nie wie ani policja, ani jego byli kompani.

Jak kamień w wodę przepadł także Lesław H., ps. Siwy – jeden z pionierów na przemytniczych szlakach. Siwy zaczynał karierę w półświatku w latach 70., kiedy (przyszła) mafia pruszkowska biegła w krótkich spodenkach od piaskownicy do piaskownicy. Kiedy u schyłku PRL polska przestępczość zorganizowana dopiero zgarniała pierwsze zyski, Siwy już był piekielnie bogaty. Mówiono o nim „król wajchy”, bo dał się poznać jako mistrz szwindli walutowych. Jeździł do Budapesztu, gdzie handlował dolarami i niemieckimi markami, kantując turystów na potęgę. Krążyły legendy, że obstawiał wszystkie ważne transakcje walutowe w pobliżu polskiej ambasady i uczciwie dzielił się zarobkiem z tymi, którzy napędzali mu klientów. Kapitał pomnażał na pionierskich szlakach przemytniczych. Woził alkohol i papierosy pomiędzy Polską, Holandią i Niemcami. Inwestował w nieruchomości i wina musujące. W latach 90., zamiast odcinać kupony od zysków, organizował przemyt papierosów. Stał się rekinem gospodarczym.

Po raz pierwszy porwano go sprzed domu w połowie lat 90. Wtedy za jego uwolnienie rodzina zapłaciła 100 tysięcy dolarów. Policja oficjalnie nie została poinformowana o żądaniu okupu, ale prowadziła w tej sprawie operacyjne rozpoznanie. Śledziła też taksówkę wiozącą okup do Warszawy. W stolicy obserwację przejęli stołeczni policjanci i wszystko zepsuli, bo w ulicznym korku zgubili śledzony obiekt. Do dziś nie wiadomo, kto przejął okup. Lesław H. wrócił do domu po dwóch tygodniach z poważnymi uszkodzeniami głowy. Nikomu się nie żalił. Jak ognia unikał rozgłosu, śledztwa i aresztowań porywaczy, tłumacząc, że nie chce narażać rodziny. Stał się ostrożny, obwarował dom systemami alarmowymi.

– Na nic to wszystko się zdało – mówi córka Lesława H. – W lipcu 1998 roku porwano go po raz drugi: w biały dzień, na oczach wielu ludzi, w centrum miasta. Trzej mężczyźni wywlekli tatę z mercedesa, obezwładnili go i wrzucili do bagażnika swojego auta. Nikt nie zareagował.

Zdarzenie miało miejsce przed budynkiem TVP na Niedziałkowskiego. Uzbrojony pracownik straży przemysłowej widział, co się dzieje, ale nawet nie drgnął. Samochód porywaczy miał warszawską rejestrację. Coś musiało pójść nie tak, skoro przestępcy nawet nie skontaktowali się z rodziną z żądaniem okupu. W zakładach karnych krąży opowieść, jakoby Siwy zachłysnął się własną krwią. Jego ciało zakopano gdzieś w drodze do Warszawy.

Po kilkunastu latach okazało się, że zleceniodawcą porwania był Jeremiasz B., ps. Baranina (szczegóły tej sprawy – „Prawda po latach”).

Czy karateka był kretem?

Zaginięcie karateki Arkadiusza Szczasiuka ze Szczecina to jedno z najbardziej tajemniczych tego typu zdarzeń w Polsce. Obecnie, gdy opisujemy tę historię, mija właśnie 15 lat od chwili, gdy ślad się po nim urwał. Do dziś w półświatku krążą różne teorie na ten temat. Jedni twierdzą, że sportowiec został zamordowany, bo jako przestępca prowadził ryzykowne życie, inni – że go odstrzelono, ponieważ był policyjną wtyczką w groźnym gangu.

W czerwcu 1998 roku Arkadiusz Szczasiuk miał 30 lat i krótki epizod za kratami w związku z legalizowaniem kradzionych aut, który bezpowrotnie przerwał jego sportową karierę. Brał udział w kilku wymuszeniach, najazdach na agencje towarzyskie, bywał w lokalach, w których bawili się przemytnicy. Coraz częściej widywano go w towarzystwie Oczki, czasami robił za jego kierowcę, obaj wyjeżdżali na egzotyczne wakacje, podczas których eks-sportowiec poznał m.in. legendarnego już wtedy Ricarda Fanchiniego. Mówiono, że były mistrz Polski w karate stał się ulubieńcem znanego gangstera i że przy takim opiece szybko awansuje.

Rafał Ch., ps. Czarny, dobrze pamięta Szczasiuka: – Do grupy wprowadził karatekę Arizona, który też zaginął bez śladu. Któregoś dnia powiedział: „To jest Arek, będzie z nami zarabiał”. Napadaliśmy na przemytników przy granicy, łupiliśmy złodziei samochodowych i jeździliśmy po haracze do burdeli. Tylko raz widziałem, by użył swojej siły fizycznej. Skopał gościa, który był naszym przewodnikiem do granicy i pomylił drogę. Arek pokazał wtedy, że jest nie byle kim. Ale i tak nie był moim faworytem. Nie spodobało mi się, że wyprosił u Oczki akt łaski dla kapusia, który mnie sypnął, a który był jego kolegą. Gang to nie klub sportowy, tu pewnych spraw nie powinno się odpuszczać. To, że jesteś mistrzem karate, nie znaczy, że możesz zmieniać reguły. W mocnej ekipie, gdzie popełnia się poważne przestępstwa, Arkadiusz Szczasiuk nie znalazłby miejsca. Nie nadawał się.

Jeśli nawet eks-karateka miał ambicje, by awansować w gangu, to ich realizację skutecznie pokrzyżowała policja, rozbijając grupę Oczki. Z obławy wymknęło się tylko dwóch pierwszoligowych przestępców: typowany na następcę Oczki Sylwek i specjalista od brawurowych napadów, znany pod pseudonimem Pastor. Wyjechali w świat. Karateka z nimi.

– Arek zadzwonił do mnie, tłumacząc, że też musi się schować przed policją – opowiada Ewa, partnerka karateki. – Był pijany, mówił chaotycznie. Twierdził, że jest daleko i przez dwa tygodnie nie będzie mógł się ze mną kontaktować. Powiedział też, że niedługo Pastor przywiezie mi pieniądze na życie. To była nasza ostatnia rozmowa. Nigdy więcej go nie zobaczyłam, a Pastor nigdy nie przywiózł mi żadnych pieniędzy.

Trudno zrozumieć, dlaczego karateka postanowił wyjechać. Policjanci przekonują, że nikt by po niego nie przyszedł, ponieważ nie wiązano go z grupą. Ewa, szukając Arka, zadzwoniła do ukrywającego się w Niemczech Sylwka. Usłyszała od niego, że Arek jest w Boliwii i dostanie 25 lat za przemyt narkotyków. Nigdy w to nie uwierzyła. Po ucieczce z Polski Sylwek wciąż zajmował się napadami i porwaniami. Stworzył silną grupę, w której znaczącą pozycję zajmował Pastor. Podczas

jednej z imprez alkoholowych Pastor miał się przechwalać, że osobiście strzelił do Arka i że „fajnie było, jego głowa rozpadła się na kawałki”. Z jego opowieści wynikało, że zabójstwo było zaplanowane, a egzekucję wykonano w pomieszczeniu wyłożonym folią, żeby nie pozostawić na podłodze i ścianach śladów krwi. Pierwszy miał strzelać Sylwek, potem bliżej nieznanymi ekskomandos. Pastor strzelał jako trzeci, prawdopodobnie już do trupa. W trakcie egzekucji zemdłał.

Sylwek i Pastor trafili na długie lata do więzienia. Pierwszy z nich – za przestępstwa w gangu Oczki, pranie brudnych pieniędzy i zlecenie zabójstwa Białorusina Wiktora F. Drugi – za napady z bronią w Niemczech. Z lektury protokołu z przesłuchania Pastora w zakładzie karnym w Kolonii, przeprowadzonym zaraz po jego zatrzymaniu przez niemieckie służby kryminalne, wynika, że przestępca chciał się ułożyć z polską policją. Zapytany o zaginięcie karateki odpowiedział, że „na razie nie chce się na ten temat wypowiadać”. Niewykluczone, że liczył na nadzwyczajne złagodzenie kary lub status świadka koronnego. Jednak Niemcy, którzy go aresztowali, zamierzali rozliczyć go za przestępstwa, które popełniał na ich terenie. Pastor spędził w więzieniu 13 lat, tyle samo co Sylwek. Po odbyciu kary obaj wrócili w rodzinne strony. Pastor nie ma dziś żadnego interesu, by opowiadać o dawnych czasach.

Po aresztowaniach Krakowiaka i jego ludzi w 1999 roku świadek koronny o pseudonimie Kastor miał powiedzieć, że w tamtym czasie na Śląsku pojawił się „ktoś ze Szczecina ze zleceniem na blondyna-karatekę”. Egzekutorzy pojechali za granicę i po kilku dniach wrócili z poczuciem dobrze wykonanej roboty. Kastor nie wymienił żadnych nazwisk. Kilka podanych przez niego szczegółów nie pasowało do historii Arkadiusza. Wątek nie wzbudził zainteresowania śledczych. Ten fragment zeznań świadka koronnego uznano za mało wiarygodny.

Adam M., ps. Brygadier: – Ja się zastanawiam, czy ten Szczasiuk w ogóle był przestępcą. No, przecież ja znam kryminalny Szczecin, a jego nazwisko poznałem dopiero podczas procesu grupy Oczki. W naszym środowisku było mnóstwo szpicli i donosicieli, ale o karatece mówi się, że mógł być urzędnikiem państwowym pod przykryciem. Kto wie, może nawet policjantem. Pewnie miał do wykonania jakieś zadanie i kiedy się z niego wywiązał – schowano go na zawsze, pozorując zaginięcie. Może mieszka gdzieś za granicą albo pod Krakowem.

Dariusz Rudy, były zastępca dyrektora CBS: – Ten, kto takie rzeczy opowiada, naoglądał się chyba amerykańskich filmów. Zapewniam, że gdyby Arkadiusz Szczasiuk był naszym agentem, wiedziałbym o tym.

Ewa, była partnerka karateki: – Chciałabym wierzyć, że Arek żyje, ale to niemożliwe. Nigdy nie zostawiłby mnie samej z chorym dzieckiem, nasza córeczka miała wtedy naczyniaka, bardzo się o nią martwiliśmy. Nawet na końcu świata znalazłby sposób, aby się z nami skontaktować. On nie żyje.

Przez 15 lat prokuratura w ogóle nie prowadziła w tej sprawie śledztwa. Może dlatego niektórzy wierzą, że Arkadiusz Szczasiuk miał za zadanie zbliżyć się do szefa gangu, którego latami

rozpracowywano, a to, że dokonywał wymuszeń, miało go po prostu uwiarygadniać w przestępczych kręgach. Jeżeli rzeczywiście, jak twierdzi policja, nie miał powodów, by obawiać się aresztowania, to dlaczego wyjechał z kraju? Czy nie po to, by śledzić dalsze poczynania groźnych zbiegów i pomagać policji w ich zatrzymaniu?

Takie pytania stawia sobie także Henryk Marucha, były reprezentant kadry narodowej w karate. Oto fragment naszej rozmowy.

– **Dobrze pan znał Arka?**

– Przez wiele lat byłem jego trenerem. Arek trafił pod moją opiekę jako trzynastolatek. Traktowałem go jak młodszego brata, chodziłem do szkoły na wywiadówki. Trenowaliśmy w klubie studenckim Pinokio w Szczecinie, potem w Pomorskiej Akademii Medycznej.

– **Miał talent?**

– Nieprzeciętny. Był moim najlepszym uczniem. Arek bez słowa sprzeciwu poddał się ogromnemu reżimowi: wstawał o czwartej–piątej rano, aby przed szóstą być już na treningu. Wracał do klubu po szkole, trenowaliśmy do wieczora. Był duszą towarzystwa. Otwarty i prostolinijny. Nigdy nie dostrzegłem w nim cwaniactwa, żadnych nieuczciwych działań. Zawsze przestrzegał zasad fair play, dlatego trudno mi było uwierzyć, że mógł związać się z przestępcami. To by kompletnie do niego nie pasowało. Ludzie z takim charakterem nie idą w życiu na łatwiznę.

– **Uczeń przerósł mistrza?**

– Spotkaliśmy się na macie w 1987 roku, w Dąbrowie Górniczej, w półfinale mistrzostw Polski – już jako rywale, bo reprezentowaliśmy dwa różne kluby. Byłem w kadrze narodowej, wytrenowany niczym maszynka do zabijania. To właśnie wtedy stoczyłem ostatnią w swojej karierze walkę. Nie oszczędzałem Arka. Sędziowie dali mi punkty karne za ostrą grę. Tamtą walkę przegrałem.

– **Myśli pan, że go zabili?**

– Trudno powiedzieć... Był świetnie wyszkolony, nie dałby się tak po prostu podejść. Miał wprawdzie coś z sercem, zemdlął podczas wyczerpującego treningu w górach, ale nie przekładało się to na jego ogólną kondycję. Musieliby go jakoś odurzyć.

– **Próbował pan jakoś wyjaśnić to zaginięcie?**

– Nigdy nie uwierzyłem, że Arek był gangsterem. Kiedy zaginął, szukałem prawdy o nim w Komendzie Głównej Policji. Nic na niego nie mieli, był „czysty”.

Życiowe metamorfozy

Minęły lata, „chłopcy z Żabiej” zaczęli wychodzić na wolność. Kolejne ich losów to materiał na niezły scenariusz filmowy. Janusz G., ps. Gołąb (ten, który nawet nie przeczytał aktu oskarżenia, bo był

„chory na jedno oko”), spłacił stare długi, dostał kredyt na kilka milionów i rozkręcał w Międzyzdrojach legalny interes turystyczny. Kiedy wszyscy uwierzyli, że zaczyna mu się powodzić, znaleziono go powieszzonego w pokoju hotelowym w Kołobrzegu. Prokuratura uznała, że Gołąb popełnił samobójstwo. Niebezpieczny jak dynamit Brygadier złągodniał jak baranek i wskoczył w domowe bambosze – zakochał się w studentce, ożenił i tuż przed sześćdziesiątką dwukrotnie został ojcem. Wojciech J. (który chciał być komandosem, ale mu nie wyszło i trafił do gangu) przeżył prawdziwy zawód miłosny – żona prawniczka porzuciła go dla policjanta z wydziału antyterrorystycznego, co diametralnie zmieniło jego życie. Zraniony do żywego postanowił zaufać wyłącznie Bogu. Odbывał piesze pielgrzymki do sanktuariów i został redaktorem wydawanego za kratami czasopisma „Dobry Łotr”, podobno wybaczył i żonie, i policjantowi.

Największą metamorfozę przeszedł pyskаты i narwany Jacek P., ps. Ślepek. W hierarchii gangu był zaraz po Oczce. Skazany na karę łączną 15 lat, opuścił więzienie dwa dni przed Wigilią 2010 roku, dwadzieścia miesięcy przed upływem całej kary. Dziś wydaje się wyższy i lepiej zbudowany niż przed laty, zachowuje się inaczej niż kiedyś. Zanim opuścił więzienie, był instruktorem w ruchu AA, podobno jednym z najlepszych w kraju. Jest restrykcyjny, odrzuca półśrodki, bo „skoro wymaga od siebie, ma prawo wymagać od innych”. Przemianę z alkoholika w neofitę przechodził pod okiem Leszka Podoleckiego, wiceprezesa świeckiego stowarzyszenia Bractwo Więzienne, prowadzącego za kratami spotkania Wspólnoty Trzeźwości i Modlitwy „Arka”:

– Spotkaliśmy się w Zakładzie Karnym w Nowogardzie na jednym z cyklicznych spotkań – opowiada szef Bractwa Więziennego. – Na jego widok nogi się pode mną ugięły. Ten facet to ważna postać w kryminale. Patrzyłem na niego z niedowierzaniem, bo tacy rzadko do nas przychodzą. Tymczasem on miał szczere spojrzenie i podał wszystkim rękę na powitanie. Rozmawialiśmy wtedy o życiu w trzeźwości, które nie polega wyłącznie na odstawieniu alkoholu. Mówiłem, że można nie pić, a nie myśleć trzeźwo. Jacek słuchał i krzesło go parzyło, nie zgadzał się widać z moimi tezami. Jednak przyszedł po raz kolejny. Z czasem na stałe włączył się w ruch AA.

– Charakterny z niego facet, ma zasady, jak da słowo, to go dotrzyma – mówi o Ślepeku Artur Bojanowicz, oficer z Zakładu Karnego w Nowogardzie. – Cieszy się szacunkiem więźniów, jest dla nich autorytetem.

Pod koniec kary Jacek P. zaangażował się w pracę w hospicjum. Jeździł do chorych na każdej przepustce. Ktoś na sali powiedział mu, że jest aniołem, że ma wielkie serce i ogromną wrażliwość. Nigdy wcześniej nie słyszał na swój temat choćby jednego dobrego słowa. Ksiądz Eugeniusz Leśniak, dyrektor hospicjum im. Jana Ewangelisty w Szczecinie, bacznie go obserwuje, ale nie z uwagi na przeszłość w kryminale.

– Jacek jest przykładem człowieka, który wpuścił do swego serca Boga, chociaż on sam tego tak nie nazywa. Jeśli ktoś nie ma czystej motywacji, to w takim miejscu jak to długo nie wytrzyma. On nigdy

nie dostawał przepustek „na hospicjum”, lecz dzielił swój krótki czas poza murami pomiędzy domem a chorymi. Zdarzyło się, że nie przyszedł na dyżur, bo miał sporo nauki. Wtedy wszyscy o niego pytali, tak bardzo jest lubiany.

Leszek Podolecki wierzy, że Jackowi P. się uda: – On ma w sobie niewyczerpalne pokłady dobrej energii, „zaraża” nią innych, ludzie mu ufają. Wszystko, co robi, jest autentyczne. On nie udaje kogoś innego. – Policjanci z CBS są zdecydowanie bardziej sceptyczni. Mówią: „Pożyjemy, zobaczymy. Cuda czasami się zdarzają”.

„Gębę mam niewyparzoną”

Rozmowa z Jackiem P. Ślepakiem:

– **Zmienił się pan trochę, panie Jacku...**

– Wreszcie panuję nad sobą, chociaż gębę wciąż mam niewyparzoną. Z natury jestem impulsywny, ale staram się zmieniać na lepsze. Od kilku lat nie piję, ani kropli! Powiedziałem kiedyś mojemu ojcu, którego kocham i szanuję: Tato, póki żyjesz, nie tknę tego gówna, daję ci słowo gita. Ojciec mi uwierzył. Znaleźli się ludzie, którzy pomogli mi stanąć na nogi, dlatego teraz ja pomagam innym.

– **Jak to się stało z tym hospicjum?**

– Trafiłem tam za sprawą mojego adwokata. Ale po kolei... Jak minęło mi jedenaście lat z wyroku, to po raz pierwszy wystąpiłem o przedterminowe warunkowe zwolnienie. „Nie wiem, co musiałby pan zrobić, żebyśmy pana puścili” – powiedział mi na wokandzie prokurator. Wróciłem do celi, wlepiłem wzrok w sufit i dopadła mnie totalna deprecha.

– **O czym pan wtedy myślał?**

– Pomyślałem, że nigdy stąd, kurwa, nie wyjdę. Normalnie żyć mi się odechciało. I wtedy mój adwokat znalazł sposób na skrócenie kary. „Wolontariat w hospicjum, nie wiem tylko, czy dasz radę” – powiedział mi przez telefon. „A dlaczego nie?” – ja mu na to. „Wiesz, jak jest... w hospicjum wszyscy wymiękają...” – przestrzegął. A ja, że spróbuję. Przez dziewięć lat pracowałem w szpitalu dziecięcym, to się napatrzyłem. Byłem ślusarzem w warsztacie ortopedycznym, robiłem aparaty dla pacjentów, lekko nie było.

– **Aparaty ważna rzecz, ale w hospicjum cierpienie i śmierć łamią największych twardzieli..**

– W szpitalu dziecięcym też było cierpienie i śmierć. Pamiętam chłopca z rakiem kości, przygotowywałem dla niego odlew na kikuta. Cieszył się, że z aparatem będzie mu lżej, nie wiedział, że umiera, ale ja wiedziałem. „Jak wtedy dałem radę, to teraz też dam” – powiedziałem mecenasowi. I co? Wyszedłem z więzienia i wciąż tam chodzę.

– **Dlaczego? Już pan nie musi.**

Prawdę mówiąc, sam nie wiem dlaczego... Musiałbym się głęboko nad tym zastanowić. Widać w każdym człowieku jest jakieś dobro. Ja normalnie jestem szczęśliwy, kiedy wracam do domu po dyżurze w hospicjum. Od pierwszego dnia dobrze się tam czuję, czyli od rozmowy kwalifikacyjnej z dyrektorem. Poszedłem wtedy z żoną, zostałem zaakceptowany. Ludzie stamtąd są wobec mnie szczerzy, chyba mnie lubią.

– **Nie przeraża pana śmierć?**

– Wszyscy kiedyś umrzemy, oby tylko nie tak, jak oni umierają.

– ...

– Pod koniec 2010 roku, po długiej nieobecności w domu, pojawił się w Szczecinie Marek [Oczko – przyp. aut.]. Dostał przepustkę z więzienia, przyjechał do mamy. Była śmiertelnie chora. Od wielu tygodni czekała na miejsce w hospicjum. Zadzwoiłem do ojca dyrektora i wolne miejsce się znalazło.

– **Odwiedził ją pan?**

– Tak, ale na moment, nie chciałem przeszkadzać. I chociaż przez większość czasu była nieprzytomna, to wtedy odzyskała świadomość. Po raz pierwszy od dawna miała na twarzy rumieńce. Wyglądała na szczęśliwą. Marek był przy niej... Umarła następnego dnia.

– **Czy karateka Arkadiusz Szczasiuk był w waszej grupie?**

– Gdyby był w naszej grupie, to pewnie coś bym o tym wiedział, a ja ledwie go znałem. Widzieliśmy się może trzy albo pięć razy. Mówił mi, że buduje dom dwieście metrów od mojego bloku, ale nawet nie wiedziałem gdzie.

– **Ale Oczko wyraźnie go faworyzował.**

– Myślę, że karateka i Marek znali się z siłowni i ta znajomość miała wyłącznie sportowy charakter. To, że obaj widnieją na kilku zdjęciach, nic nie znaczy. Marek był sławny, widać karatece to imponowało. Jeżeli Szczasiuk robił w mieście jakieś interesy, to na własną rękę.

– **Usunął pan z twarzy tatuaże?**

– Tak (śmiech). Już mi nie były potrzebne. Kiedyś kropki na powiekach coś znaczyły, a teraz... no, wie pani, spotykam się z różnymi ludźmi... Nie chcę, żeby patrzyli na mnie jak na kryminalistę. Pacjenci też. Po co mają się bać?

– **Co jest w pana życiu najważniejsze?**

– Zrobić maturę i dostać się na studia, na resocjalizację.

– **Po co panu szkoła na stare lata?**

– Uczę się po to, by urzędnicy, od których coś zależy, traktowali mnie poważnie. Na razie jestem dla nich tylko kryminalistą, chociaż już coś mi się udało, bo skończyłem zaocznie szkołę średnią. Kiedy odbierałem świadectwo, to normalnie się popłakałem, takie to były emocje.

– **Co będzie pan robił po maturze?**

– Natychmiast złożę papiery na uniwersytet, za kilka lat będę miał magistra i założę dom dla takich jak ja.

– **Byłych gangsterów?**

– Dla ludzi po wyrokach.

– **Po co im taki dom?**

– Żeby nie pałętali się bez sensu po ulicach. Widziałem kiedyś człowieka, który nie chciał opuścić celi, łudził się, że jeszcze coś mu wyszperają, znajdą stare grzechy, że jeszcze posiedzi. Bał się wolności, bo nie wiedział, co go czeka. U mnie tacy jak on znajdą schronienie na parę nocy, dostaną ciepły obiad, przez pośrednika pomogę im w znalezieniu pracy. Oczywiście pod warunkiem, że nie będą pić i różne tam...

– **A jak będą pana oszukiwać?**

– Trzeba mieć trochę wiary w ludzi.

– **Da pan radę żyć uczciwie?**

– Spróbuję. Wyszedłem z więzienia po raz czwarty w życiu. Przesiedziałem cały AWS, całe SLD, pół rządów PiS i spory kawałek PO. Już dość.

– **Marzenia na przyszłość?**

– Przestańcie już o mnie pisać. Ja nie jestem jakiś celebryta na czerwonym dywanie. To się musi skończyć, te wszystkie wywiady, zdjęcia w gazetach. Jasno się wyraziłem?

XIV. Krakowiak po śląsku

Proces gangu Janusza T., ps. Krakowiak, to jedna z najdłużej trwających i najdroższych, bo liczonych w milionach złotych, spraw karnych w Polsce. Rozpoczął się w lutym 2001 r. w Katowicach, gdyż tam grupa – uważana za najbardziej krwiożerczy gang w Polsce – miała swój matecznik. Akt oskarżenia przeciwko trzydziestu sześciu osobom liczył ponad 300 stron. Wyroki w pierwszej instancji zapadły po siedmiu latach i już wtedy wiadomo było, że do prawomocnego finału droga jeszcze długa.

Rozprawy w Katowicach były prawdziwym wyzwaniem logistycznym: przebiegały w specjalnie przygotowanej sali na terenie policyjnych koszar, zabójcy zostali umieszczeni za pancerną szybą, a dowożono ich do sądu z aresztów z terenu całego Śląska. Każdorazowo w sądzie obecni byli antyterrorysty z bronią gotową do strzału.

Nad sprawą gangu Krakowiaka musiało wisieć jednak jakieś fatum, bo proces dwukrotnie rozpoczynano od początku. Po raz pierwszy – już po dwóch rozprawach, gdyż główny oskarżony zachowywał się jak opętany i nawet ekspertom od zdrowia psychicznego trudno było ocenić, czy szef śląskiej mafii struga wariata, czy naprawdę oszalał. Na sali sądowej Krakowiak śpiewał przebój Ireny Jarockiej *Kawiarenki*, następnie zanosił się płaczem, aby po chwili obrzucić Wysoki Sąd najgorszymi plugastwami. Uspokajał się na moment, po czym znów histeryzował, robił dziwaczne miny i paradował bez butów. Po powrocie do celi aresztu śledczego pił wodę z muszli klozetowej. Rzekomo słyszał głosy zza ściany, mówiące o planowanych zmianach w rządzie. Skierowano go na badania psychiatryczne i chyba tylko o to mu chodziło, gdyż lekarze nie dopatrzyli się u niego choroby. Po pięciu miesiącach proces wznowiono. Krakowiak zachowywał się już całkiem normalnie.

Po trzech latach proces przerwano po raz drugi – tym razem z powodu choroby ławniczki. Okazało się, że zapasowy ławnik, który powinien zająć jej miejsce, jest za granicą i półtora roku wcześniej zrezygnował z uczestniczenia w rozprawach. Procedury nakazywały, by wylosować nowy skład ławników i powtórzyć ponad 130 rozpraw. W tym czasie jeden z oskarżonych zmarł, a sprawy czterech innych wyłączono do odrębnych postępowań.

Wymiar sprawiedliwości stracił cztery lata.

Zabić dla pięciu złotych

Oto najważniejsze postacie na ławie oskarżonych:

Janusz T., Krakowiak (wówczas 41-letni), żonaty, pięcioro dzieci (w wieku od 7 do 21 lat), z zawodu ślusarz, w chwili aresztowania niepracujący, właściciel samochodu BMW 528 i domu jednorodzinnego w Będzinie.

Zdzisław Ł., ps. Zdzych (wtedy lat 43), żonaty, czworo dzieci (od 9 do 16 lat), kierowca-mechanik, zatrudniony w firmie Sprint jako kierownik techniczny, bez majątku.

Marek M., ps. Oczko (wtedy lat 50), rozwiedziony, jedno dziecko (12 lat), ślusarz, niepracujący, bez majątku – jego już znamy, to szef gangu szczecińskiego, odpowiadający w tej sprawie za zlecenie zabójstwa Wiktora F., rezydenta białoruskiej mafii w Polsce.

Reszta to – według prokuratury – średni i niższy personel w „firmie” Krakowiaka, tzw. żołnierze skrzykiwani do poszczególnych zadań. Na przykład Tomasz W. z Przemysła, zdaniem śledczych sam zaplanował napad na właściciela kantoru w tym mieście i o pomoc zwrócił się do bandy. Kantorowiec został zastrzelony. Ryszard W. obmyślił napad na inkasenta firmy Rovita w Krakowie. Obserwował go, a informacje przekazywał ludziom Janusza T. Inkasenta zastrzelono. Jan S., Jan Sz., Stanisław J., Ryszard G., Artur P., Stanisław K. i Marek S. napadli na pracownika firmy Interccom w Katowicach. Pobili go drewnianym kijem i obrabowali. Łup skromny: 2061 zł, zegarek marki Orient i nóż fiński o łącznej wartości 50 zł. Podobnego napadu mieli dokonać już wcześniej. Tam pobitemu zabrali bilet autobusowy i reklamówkę o łącznej wartości 5 zł.

Zastanawia, że ludzie zdolni do każdej zbrodni, obracający wielkimi pieniędzmi, jeżdżący luksusowymi limuzynami, potrafiący puścić w kasynach gry jednej nocy kilkaset tysięcy złotych, popełniali aż tak bezsensowne czyny. Katowali niewinnych ludzi dla pięciu złotych. Strzelali, aby zabić, a potem okazywało się, że ofiara nie ma przy sobie pieniędzy. Dlaczego? – Z tępej bezmyślności – uważa funkcjonariusz CBS, który rozpracowywał tajemnice grupy Krakowiaka. – I z sadystycznej rozkoszy popełniania zła. Im to po prostu sprawiało przyjemność. I z bezkarności.

Początkowo na każdą wokandę pchali się katowiccy dziennikarze, ale szybko proces mediom się opatrzył. Z czasem miejsca dla publiczności zaczęły świecić pustkami. Przychodziły wyłącznie rodziny oskarżonych. Była to dla nich jedyna okazja, aby w przerwach zamienić kilka słów z mężami, ojcami i synami. Matki, żony i dzieci członków bandy nie dopuszczały nawet myśli, że ich bliscy zostaną skazani. – Przecież oni są w to wrobieni – mówiła nam zadbana kobieta, która chwilę wcześniej czule szeptała coś do prowadzonego korytarzem oskarżonego Z. – Są niewinni, to zemsta policji i prokuratora.

Wersja o niewinności obowiązywała wszystkich oskarżonych oraz ich prawników. Na tym zbudowali linię obrony. Chętnie przyznawali się jedynie do tych czynów, które uległy już przedawnieniu.

W niewinność członków gangu od początku nie wierzyła Iza P., córka zastrzelonego w 1991 r. w Stalowej Woli właściciela kantoru wymiany walut. Była wtedy dzieckiem, a kiedy toczył się proces, studiowała polonistykę na uniwersytecie w Lublinie, ale starała się nie opuszczać żadnej z rozpraw. Siadała samotnie na sali sądowej i uważnie śledziła wszystko, co tam się działo. Oficjalnie pełniła rolę oskarżyciela posiłkowego, ale tak naprawdę nie była prokuratorowi potrzebna. Ani nie wtajemniczał jej w akta sprawy, ani nie korzystał z jej pomocy. I on, i sąd, i oskarżeni wiedzieli, że faktycznie Iza P. na tej rozprawie reprezentowała wszystkie ofiary gangu Krakowiaka. W milczeniu czuwała, aby sprawiedliwości stało się zadość. Była to winna pamięci swojego taty.

„Nie wybaczę”

Fragmety rozmowy z Izą P. (przeprowadzonej w czasie trwania procesu w pierwszej instancji):

– **Dlaczego jest pani oskarżycielem posiłkowym w procesie Krakowiaka?**

– Jestem córką mężczyzny, którego Krakowiak zamordował w październiku 1991 roku. Mój tata był właścicielem kantoru i miał sklep. Był uznawany w Stalowej Woli za dosyć majątnego człowieka w tamtych czasach.

– **Tło napadu było rabunkowe?**

– Prawdopodobnie. Chociaż ja mam czasami inne przypuszczenia ze względu na sposób zamordowania mojego taty. To nie był zwykły napad, bardzo okrutnie go potraktowali. Przez jakieś kilka minut kopali, deptali. Ściągnęli z niego buty, przeszukiwali. Sekcja zwłok wykazała, że na twarzy miał odcisk buta męskiego.

– **Walczy pani o prawdę na miarę swoich możliwości. Na czym pani walka polega?**

– Przede wszystkim na tym, że tam jestem, ponieważ praktycznie nikt tam nie przyjeżdża. Nie ma żadnych ofiar, poszkodowanych, rodzin, nikogo. Prawnicy, skład sędziowski, oskarżeni, ich rodziny i ja. Nikt inny nie przychodzi, nie patrzy, i co jakiś czas staram się tam być, aby on i wszyscy inni widzieli, że nie odpuściłam, że mi zależy, i żeby mieli świadomość, że w tym procesie jest rozpatrywana najważniejsza dla mnie sprawa.

– **Pani tata został zamordowany 16 października 1991 roku, przed domem, w którym mieszkaliście. Pani była dzieckiem, miała pani 11 lat.**

– Wyjrzałam przez okno, ponieważ zauważyłam, że pod naszą klatką jest bardzo dużo ludzi. Mieszkamy na czwartym piętrze i mama, która też wyjrzała, z tej wysokości nie poznała taty. Ja

poznałam od razu. I przez dwie minuty wmawiałam sobie: nie, to nie on. Ale sąsiedzi krzyknęli do mamy, że to jednak on. Mama była pewna, że tato miał zawał. Tato chorował na serce i jakiś rok wcześniej miał poważny zawał. Zbiegłyśmy obydwie na dół. Tato leżał na chodniku przed naszym blokiem, zakrwawiony, strasznie poobijany, jego buty były rozrzucone wokół niego, widać było, że był przeszukiwany. Mnóstwo ludzi i pełno krwi. Po 15 minutach przyjechała karetka i policja. Mama pojechała z tatą do szpitala, a ja zostałam sama. I nawet nie pamiętam w jaki sposób, ale chyba na piechotę poszłam do szpitala. Lekarz powiedział, że tata nie żyje, że operacja się nie udała. Że stracił za dużo krwi i zbyt wiele narządów wewnętrznych było uszkodzonych.

– **Przez siedem lat w tej sprawie panowała cisza. Nie znano sprawców, postępowanie umorzono.**

– Tak. Sprawców nie wykryto. Dopiero w 1998 roku dostałyśmy informację z prokuratury w Katowicach, że sprawa została wzięta raz jeszcze na wokandę, znaleziono osobę, która będzie o to oskarżona. Jednego mężczyznę.

– **Ale sprawców było więcej?**

– Tak. Było trzech mężczyzn. Dwóch z nich widzieli wcześniej świadkowie, podobno siedzieli pod naszym blokiem przez cały dzień, widziano ich na placu zabaw. Zostały stworzone dwa portrety pamięciowe.

– **Czy teraz, kiedy pani widzi wszystkich członków grupy Krakowiaka, rozpoznaje pani ludzi z tych portretów?**

– Jednego. Wydaje mi się, że to Janusz T. Przypomina jednego z tych mężczyzn. Drugi był bardzo ciemny, niski i krępy. Chyba żaden z pozostałych oskarżonych go nie przypomina.

– **Czy w tym czasie, kiedy tę sprawę umorzono z braku sprawców, wierzyła pani, że mordercy zostaną schwytani?**

– Przez pierwsze lata nosiłam zawsze ze sobą portrety pamięciowe tych mężczyzn, z taką złudną, dziecięcą nadzieją, że to ja ich zobaczę, ujrzę i rozpoznam. Potem chyba już dałam sobie spokój. Myślałam, że już nie ma szans, tyle lat minęło.

– **Czy jest pani pewna, że sprawcą tej zbrodni jest Krakowiak?**

– Tak podejrzewam, policja taki podała trop i portrety pamięciowe, które zostały zrobione na podstawie zeznań świadków, wydają się potwierdzać ten fakt.

– **Dlaczego na sali sądowej z takim uporem patrzy pani Krakowiakowi prosto w oczy?**

– Zależy mi na tym, aby przez resztę swojego życia, kiedy zamknie oczy, widział mnie. Tak jak ja widzę jego.

– **To jest taka zemsta czy próba zadośćuczynienia sobie krzywd?**

– Raczej zemsta, na miarę moich możliwości.

– **Czy jak pani mu patrzy w oczy, to on odwzajemnia spojrzenie?**

– Nie. Na początku, kiedy nie wiedział, kim jestem, zupełnie obojętnie na mnie patrzył. Dopiero później, kiedy pani sędzia powiedziała, kim jestem, na każdej sprawie oświadczone było moje nazwisko, on już zupełnie inaczej na mnie patrzył, unikał mojego wzroku. Na początku bardzo go drażniłam.

– **Czym się to przejawiało?**

– Nagle wybuchał złością. Mówił, że to nie on, że bym na niego nie patrzyła, że to mu przeszkadza, że bym przestała. Skierował się do sądu, żeby zwrócił mi uwagę.

– **I co zrobił sąd?**

– Nic. Po prostu pani sędzia przemilczała jego żądanie. A ja dalej patrzę.

– **Jaki powinien być finał tej sprawy?**

– Największy wyrok, jaki jest możliwy.

– **Nie ma w pani takiego pragnienia: śmierć za śmierć?**

– Jest. Jestem zdania, że nikt, kto nie doświadczył takiego czegoś, nie ma prawa wypowiadać się na ten temat. Żadna osoba, która nie bierze udziału w takim procesie i nie stała się ofiarą przestępstwa. Ja nigdy nie wybaczam.

Długa lista zbrodni

Akt oskarżenia był dziełem dla ludzi o mocnych nerwach. Następujące po sobie opisy zbrodni, gdzie z detalami podano okoliczności kolejnych zabójstw dokonywanych przez bandę, stanowiły dramatyczną lekturę. Większość czynów popełniono na tle rabunkowym. Pierwsze w 1991 r. w Stalowej Woli – ofiara to właściciel kantoru. Kolejne w lutym 1994 r. w Sosnowcu – zastrzelono małżeństwo właścicieli kantoru. W listopadzie 1996 r. w Krakowie – zakłuty dwudziestoma uderzeniami noża trener kick boxingu. W styczniu 1997 r. w Szczecinie – zabito Wiktora F., gangstera białoruskiego, było to morderstwo na zlecenie. W kwietniu 1997 r. w Przemyślu – ginie kolejny kantorowiec. W czerwcu 1997 r. w Krakowie – inkasent firmy handlowej. W marcu 1998 r. w Opolu – zastrzelono młodą kobietę, zatrudnioną w sklepie należącym do jej rodziców.

Do tej listy trzeba dodać dziesiątki napadów z bronią w rękę, kilkadziesiąt włamań, kradzieże samochodów. Kilkanaście osób – ofiar napadów – odniosło poważne obrażenia. Banda działała bestialsko i dłuższy czas bezkarnie.

W styczniu 1997 r. Janusz T. został aresztowany. Prokurator postawił mu mało poważne w kontekście wyliczonych wyżej czynów zarzuty związane z handlem kradzionymi samochodami, chociaż już wtedy świetnie wiedział, kim naprawdę jest Krakowiak i jakie stwarza zagrożenie, pozostając na wolności. A jednak szef gangu po dwóch tygodniach został z aresztu zwolniony za

kaucją w śmiesznej wysokości – 10 tys. zł. Autor aktu oskarżenia w toczącym się procesie odnotował ten fakt z dezaprobatą. Wspomina, że to zwolnienie z aresztu nastąpiło „w tajemniczych okolicznościach” i jest teraz przedmiotem odrębnego postępowania. Ale skądinąd wiadomo było, że to postępowanie wciąż nie mogło się sfinalizować. Tymczasem już wtedy katowiccy policjanci, bez żmudnej procedury, która tak się ślimaczyła, wiedzieli, kto dał i kto wziął. Opowiadali, jak Krakowiak znalazł się na wolności, a także ile to kosztowało. Ówczesny adwokat Janusza T. już nie żyje, ale sędzia, który wypuścił bandytę na wolność, nadal pracował w zawodzie. Musiał mieć świadomość, że zbrodnie popełnione przez Krakowiaka po wyjściu z aresztu obciążają poniekąd jego konto.

Po odzyskaniu wolności Krakowiak skrzyknął swoją bandę i wspólnie ruszyli w morderczy rajd. Efekt to trzy trupy i kilkanaście groźnych napadów. Rozzuchwaleni już nie mieli żadnych hamulców. – Okrutnicy – tak mówi o nich doświadczony policjant, który w życiu widział już niejedną zbrodnię i mało co jest w stanie go poruszyć. – Janusz T. wręcz się chwalił, że ma superplecy w sądzie, że jest nietykalny.

Po raz kolejny dopadnięto go po dwóch latach. W styczniu 1999 r. Janusz T. został ponownie aresztowany. Tym razem już na dobre. Policjanci z katowickiego Biura do Zwalczania Przystępczości Zorganizowanej (późniejszy CBS) i prokuratorzy z VI wydziału mieli na niego wyjątkowo mocne zeznania. Jeden z członków gangu, przyboczny Krakowiaka, przyznał się do udziału w grupie i zgodził się zeznawać przeciwko szefowi. Tym człowiekiem był Wiesław Cz., ps. Kastor. W nagrodę odpuszczono mu winy – został świadkiem koronnym, który pogrążył bandę Krakowiaka, podobnie jak Masa pogrążył „Pruszków”.

Zeznania Kastora potwierdził drugi członek grupy, Dariusz J., ps. Dziecina. On także uzyskał status świadka koronnego. Niebawem do grona koronnych grabarzy gangu dołączył kolejny gangster z bandy o pseudonimie Prezes.

Oskarżeni (poza dwoma, którzy przyznali się do udziału w szeregu przestępstw) od początku szli w zaparte i podważali zeznania koronnych, którzy rzekomo mieli obciążać innych winą za czyny, które sami popełnili. Podobną taktykę przyjmują oskarżeni we wszystkich procesach z udziałem świadków koronnych. Ale akurat w tej sprawie argumenty oskarżonych miały mocne podstawy. Mówiono, że Kastor i Dziecina wyjątkowo chętnie zgłosili się zeznawać na pozostałych, ponieważ chcieli ratować własną skórę. Otóż w listopadzie 1997 roku w stawie Michalina niedaleko Częstochowy znaleziono zwłoki mężczyzny. Zanim wrzucono go do wody, został pobity na śmierć. W lutym 1998 r. w „Gazecie Wyborczej” ukazał się list gończy za Kastorem i Dzieciną. Obu poszukiwano za udział w tej zbrodni, a już po roku obaj zostali świadkami koronnymi. Sprawę śmiertelnego pobicia człowieka wyłowionego ze stawu odłożono na bok.

Koronny skarży Polskę

Trzeci koronny, Włodzimierz C., już w trakcie procesu utracił wiarygodność, bo wyszło na jaw, że nie zaprzestał działalności przestępczej. Początkowo wydawał się niezwykle cennym nabytkiem dla organów ścigania, ponieważ obciążał zeznaniami samego szefa. Kierowała nim śmiertelna nienawiść do Krakowiaka, który podobno w obecności wielu osób publicznie go poniżył. Zemsta okazała się jedynym motywem współpracy Włodzimierza C. z organami ścigania. Prawda jest taka, że wszystkich wystawił do wiatru: prokuratora prowadzącego śledztwo, sąd, który uczynił go koronnym, i policyjną ochronę. Nosząc koronę, dowodził założonym przez siebie gangiem. W jego grupie działał m.in. zabójca policjanta z Będzina.

Włodzimierza C. aresztowano w marcu 2002 roku za porwanie dla okupu, a w sierpniu 2003 oskarżono o 13 przestępstw popełnionych w zorganizowanej grupie przestępczej. Dziewięciu członkom jego gangu zarzucono łącznie 41 przestępstw. W grudniu 2005 roku Sąd Okręgowy w Częstochowie skazał Włodzimierza C. na 14 lat pozbawienia wolności. Podczas trwania tamtego procesu skompromitowany świadek koronny (bo takim w rzeczywistości okazał się C.) wkurzył się do tego stopnia, że... zaskarżył Polskę do Europejskiego Trybunału Praw Człowieka. Wyliczył sobie bowiem, że tymczasowe aresztowanie zastosowane wobec niego trwało zbyt długo (3 lata, 9 miesięcy i 15 dni), przez co naruszyło jego prawa i Konwencję.

Sprawa w Strasburgu toczyła się pod numerem 17584/04. Wyrok zapadł 4 maja 2006 roku. „Trybunał zauważa, że skarżący poniósł szkodę niematerialną związaną ze stresem powstałym w wyniku przewlekłości tymczasowego aresztowania, która to nie może być w sposób wystarczający zrekompensowana poprzez stwierdzenie naruszenia Konwencji – czytamy w wyroku. – Mając na uwadze okoliczności sprawy oraz dokonując oszacowania na zasadach słuszności, Trybunał przyznaje skarżącemu kwotę 1000 euro”.

W 2009 roku Włodzimierza C. skazano prawomocnie na siedem lat więzienia, pozbawiono statusu świadka koronnego i zezwolono na publikację danych. W uzasadnieniu wyroku napisano, że ofiary były bite, przetrzymywane pod bronią, straszone uruchomioną piłą mechaniczną, a za ich uwolnienie żądano po 100 tys. zł okupu. C. uchodził w półświatku za nietykalnego. Przechwalał się, że jest pod ochroną państwa i „policja może mu naskoczyć”. Pokrzywdzeni długo nie zgłaszali przestępstw, obawiając się jego zemsty.

Długa lista świadków

Po wyeliminowaniu ze sprawy Włodzimierza C. do grupy koronnych dokooptowano Krzysztofa P., ps. Loczek. Jeden ze świadków koronnych na rozprawy dowożony był z więzienia, odbywał bowiem wyrok za czyny popełnione wcześniej. Jego dane i zakład karny, w którym przebywał, otoczone były najściślejszą tajemnicą. Wbrew pozorom bowiem koronny umieszczony za kratami wcale nie jest bezpieczny. Wśród kryminalistów wieści rozchodzą się szybko, łatwo też o chętnego do wykonania wyroku wydanego przez przestępców pogrążonych zeznaniami świadka.

Krakowiak miał już wtedy na koncie dwie próby pozbycia się zagrażających mu osób. Szykowano bowiem zamach na zajmującego się śledztwem szefa wydziału VI Prokuratury Okręgowej w Katowicach oraz na oficera Centralnego Biura Śledczego. Na szczęście te plany w porę udaremniono, podobnie jak próbę zlikwidowania jednego ze świadków koronnych, przebywających w katowickim areszcie śledczym przy ul. Mikołowskiej. W czasie, kiedy owemu świadkowi nadawano status, gang wydał na niego wyrok. Wykonawcą miał być Zdzisław Ł., uważany za killera grupy. To jemu prokurator postawił zarzuty dokonania większości zabójstw z listy gangu Krakowiaka. Zdzisław Ł. miał zastrzelić świadka koronnego z długiej broni wyposażonej w celownik optyczny z okna jednego z budynków nieopodal aresztu. Pocisk trafiłby ofiarę przebywającą na spacerunku. Świadka zdążono jednak ukryć przed gangiem, a niebawem całą grupę aresztowano.

W procesie grupy Krakowiaka składał też zeznania Jarosław S., ps. Masa. Rozprawy z jego udziałem utajniono ze względu na bezpieczeństwo świadka, ale i tak informacje o tym, co mówił, przeciekły na zewnątrz. Wynikało z nich, że fakty podawane przez Kastora kłóciły się z opowieściami Masy. Dlatego zarządzono między koronnymi konfrontację. I wtedy Masa obnażył Kastora jako kłamcę. Wiesław Cz. bowiem upierał się, że znał Masę i nawet bywał u niego w domu, w podwarszawskim Komorowie. Masa zapytał, co świadek Kastor zapamiętał z tego domu, jakie fragmenty wystroju posesji zrobiły na nim wrażenie. Odpowiedź Kastora była wymijająca, właściwie niczego istotnego nie umiał wskazać. Masę to zdenerwowało do tego stopnia, że podniósł głos. – A fontanna? – zapytał. – Nie zapamiętałeś siedmiometrowej fontanny? Powiem ci dlaczego. Bo nigdy mnie nie znałeś i nigdy u mnie nie byłeś!

Policjant z katowickiego oddziału CBS, który często miał do czynienia z koronnymi ze sprawy Krakowiaka, gdyż analizował przekazywane przez nich informacje pod kątem procesowym, nie wierzył w czyste intencje kilku z nich. – Wciąż próbowali grać na dwa fronty – oceniał w rozmowie z nami. – Niby pomagali w śledztwach, ale utrzymywali nieformalne kontakty z przestępcami i ostrzegali ich przed zagrożeniami. Niektórzy budzili moją odrazę, miałem odruchy wymiotne, kiedy relacjonowali swoje przestępstwa: „tu zajebaliśmy, temu wpierdoliliśmy”. Bez żadnej emocji, bez nutki wyrzutów sumienia wyliczali krzywdę zadaną niewinnym ludziom”.

Ale przy wszystkich wątpliwościach, jakie mogli budzić świadkowie koronni, i mimo niejasnych

powodów, dla których zgodzili się świadczyć prokuraturze swoje usługi, dziesiątki, ba, setki faktów i okoliczności, o których opowiadali, znalazły – według oskarżyciela – potwierdzenie w innych dowodach. Zarówno wydział VI (przestępczość zorganizowana) katowickiej prokuratury, jak i śląskie CBS wykonały tytaniczną pracę, aby odtworzyć całą gangsterską karierę Krakowiaka i jego ludzi.

Pocałunki w złoty pierścień

Świadek koronny Wiesław Cz., ps. Kastor, poznał Krakowiaka w Nowej Hucie w 1968 r. Chodzili do jednej szkoły, razem łobuzowali na nowohuckich podwórkach. Kastor tak opowiadał prokuratorowi o początkach ich wspólnej przestępczej działalności:

„Od 1978 r. zaczęliśmy dokonywać wspólnie napadów rabunkowych. W tym czasie ja trenowałem boks, a Janusz dzudo, można powiedzieć, że byliśmy najlepsi, i nawet starsi wynajmowali nas do różnych »prac«. Napady, których dokonywaliśmy na terenie Nowej Huty, polegały na tym, że w restauracjach wyszukiwaliśmy mężczyzn znajdujących się pod wpływem alkoholu i zabieraliśmy im pieniądze, zegarki, obrączki. Wtedy wokół Janusza T. zawiązała się jeszcze bardzo niewielka grupa osób, z którymi później dokonywałem przestępstw. Określano nas mianem »bandy Śledzia«, od pseudonimu jednego z kolegów Krakowiaka.

W związku z działalnością tej grupy w 1981 r. zostałem aresztowany, a później skazany na karę więzienia. Wyszedłem na wolność w 1984 r. Wtedy Janusz, który uniknął odpowiedzialności, handlował już wódką pod dyskoteką Fama w Nowej Hucie oraz walutą pod kantorami i hotelami krakowskimi. Nie zrezygnował jednak z łatwych pieniędzy, jakie przynoszą rozboje. Napadów dokonywały osoby, które dopiero co wyszły z więzienia albo bardzo potrzebowały gotówki. To Janusz T. wskazywał osobę i wyznaczał tych, którzy mieli to zrobić. Za takie organizowanie roboty żądał od sprawców połowę tego, co zabrali ofierze. Scenariusz tych napadów był właściwie taki sam. Na terenie dyskoteki Fama wyszukiwaliśmy osobę chętną do nabycia alkoholu i przedstawialiśmy ją Januszowi. On rozmawiał z klientem na temat nabycia alkoholu, a jednocześnie badał walory finansowe kontrahenta. Gdy rozmowa toczyła się przez dłuższą chwilę, to oznaczało, że będzie właśnie przyszła ofiara. Po sprzedaży alkoholu przez Janusza do klienta podchodzili inni i prowokowali bójkę, w trakcie której klientowi zabierano pieniądze. Janusz czasami włączał się w charakterze obrońcy i udawał, że ratuje pokrzywdzonego. Ten następnie z wdzięczności dla wybawcy zdradzał mu, że nie wszystkie pieniądze zostały skradzione przez chuliganów. Przypominam sobie takie wydarzenie, gdy jednego wieczoru dokonaliśmy dwukrotnie napadu na tego samego człowieka, który powiedział Januszowi, że część pieniędzy ukrył w skarpetkach”.

Janusz T. miał w tamtym czasie przydomek Dusiciel. Był silny i miał zwyczaj obezwładniać swoje

ofiary, zakładając im nelsona albo zwyczajnie dusząc. Krakowiakiem nazwano go później, kiedy pod koniec lat 80. z Nowej Huty przeniósł się do Katowic. Do ewakuacji spod Wawelu zmusiła go sytuacja. Wokół niego zaciskała się pętla, w każdej chwili groziło mu aresztowanie.

Na Śląsku zorganizował początkowo kilkunastoosobową grupę przestępczą, ale wciąż utrzymywał kontakt z krakowskimi bandytami. Wspólnie z gangiem Jacka M., ps. Marchewa, kradł samochody, a po ich zalegalizowaniu sprzedawał przez zaprzyjaźnione autokomisy. W branży złodziei samochodowych rządził w tych latach słynny Nikoś z Gdańska. Krakowiaka poznał z Nikosiem ich wspólny znajomy Sławomir N. Znajomość z legendarnym złodziejem z Wybrzeża zaowocowała rozszerzeniem działalności. Krakowiak uruchomił kanał przerzutowy kradzionych pojazdów na Wschód. Ale potem nie okazał swemu mentorowi wdzięczności.

Kiedy Nikoś wpadł w kłopoty, ukrywał się jakiś czas na terenie Śląska. Pomagał mu w tym Krakowiak, ale kiedy dowiedział się, że ludzie Nikodema S. wchodzą w branżę narkotykową i próbują w Katowicach handlować używkami, wpadł w szal. Nikoś wrócił do Gdańska, a Krakowiak wysłał swoich killerów, aby go zlikwidowali. Podobno Zdzisław Ł., ps. Zdzicho, był już o krok od załatwienia sprawy, ale ubiegli go inni zabójcy. Nikoś poległ nie z ręki wysłannika Krakowiaka, ale tylko dlatego, że ten przegrał wyścig o życie gdańskiego gangstera ze sprytniejszymi od siebie.

Gang Krakowiaka rozrastał się. Jedni zajmowali się samochodami, inni rynkiem narkotykowym, a kolejna grupa bandytów służyła wyłącznie do napadów rabunkowych. Krakowiak miał ambicję stworzenia organizacji na wzór amerykańskich rodzin mafijnych. Imponowały mu obyczaje cosa nostry, fascynował się amerykańskimi filmami gangsterskimi. Wprowadził nawet obyczaj składania przez gangsterów umieszczonych w hierarchii niżej hołdów szefowi, czyli sobie. Niczym mafijny ojciec chrzestny na powitanie wystawiał rękę, a tamci całowali go w złoty pierścień, umieszczony na palcu. Świadek koronny Dariusz J., ps. Dziecina, do grupy przystał w 1997 r., po wyjściu z więzienia. Krakowiakowi przedstawił go Kastor, z którym zaprzyjaźnił się za kratami. Dostał próbne zadanie, od jego wykonania zależało, czy zostanie pasowany na członka gangu – miał odebrać od pewnego mieszkańca Częstochowy pieniądze. Mężczyznę pobił, forszę odebrał. Krakowiak nie ukrywał zadowolenia. „Uścisnął mnie oburącz – zeznawał później Dziecina. – Dowiedziałem się od Kastora, że był to znak, symbol przyjęcia mnie do grupy”.

Ulubionym miejscem gangsterskich spotkań były katowickie kasyna. Krakowiak był bowiem hazardzistą, podczas gry zatraczał się bez reszty. Częściej przegrywał niż odwrotnie. Na ruletkę i blackjacka przeznaczal dużą część dochodów z przestępstw. W kasynach nawiązywał liczne znajomości. To właśnie z kręgu kasynowych ochroniarzy dobierał nowych członków gangu. Ludzie z ochrony dziwnie łatwo godzili się na „pracę” w bandyckim fachu.

Jednym ze skaperowanych ochroniarzy był Antoni R. (w rzeczywistości ma inne imię i inicjał nazwiska, dane zmieniliśmy na jego prośbę). Przez kilka lat działał w gangu. Na procesie grupy

zdecydował się zeznawać, przyznał się do zarzucanych mu czynów i obciążył innych. W zamian złagodzano mu karę, dostał 4 lata, już jest na wolności. Zgodził się opowiedzieć nam o Krakowiaku.

Fajne to jest tylko w kinie

Fragment rozmowy z Antonim R., byłym członkiem gangu Krakowiaka:

– **Jak poznał pan Krakowiaka?**

– W kasynie. Często tam bywał, dużo grał. Zdarzało się, że wpadał codziennie, a bywało, że później i przez miesiąc czy przez dwa miesiące nie był w kasynie, bo jechał na Jasną Górę do Częstochowy, chodził na kolanach dookoła obrazu i prosił Boga, żeby nie dał mu grać.

– **Bóg spełniał prośby? Krakowiak już nie grał?**

– Grał, grał, chociaż przyrzekał na zdrowie dzieci, na Matkę Boską, na wszystko.

– **Wasza znajomość kasynowa przerodziła się w przyjaźń?**

– Nie, nie. W takim świecie ciężko jest mówić o przyjaźni, ale na pewno to była bliższa znajomość. Nie wiem, czy istnieją w ogóle przyjaźnie. Przyjaźnie istnieją, tak! Ale to nie była przyjaźń, bo jeden wykorzystywał drugiego pod przykrywką przyjaźni. To była bliska znajomość ze względu na interesy. A interesy to jest zarabianie pieniędzy.

– **Jak pan ocenia tego człowieka? Trochę więcej niż kolegę, trochę mniej niż przyjaciela.**

Uczciwy? Towarzyski? Wesoły?

– Towarzyski na pewno. Wesoły. No, przyjaciel nie, bo on miał przyjaciela jednego, jak sam wspominał – przyjaciel jest ważniejszy od żony. Bo żon to można mieć kilka.

– **Kto był jego przyjacielem ważniejszym od żony?**

– A jeden tam z kolegów z Krakowa. On tak się o nim wypowiadał.

– **Jakim człowiekiem był ten słynny z bestialstwa Krakowiak dla was, kolegów z grupy?**

– Człowiek ze swoistym poczuciem humoru, bardzo inteligentny, ale przy tym niewykształcony. Ale bardzo dobry psycholog, bo popatrzył na kogoś i go rozgryzał w ciągu ułamka sekundy. Z tym że w jego przypadku to była zaleta: był bardzo bezczelny, potrafił kogoś klepać po ramieniu i mówić do niego, że jest frajer. A ten się śmiał i kiwał głową, że tak. Przy robieniu interesów, a oczywiście nie do każdego, ale do niektórych tak robił i każdy kiwał mu głową. Patrzył na niego, klepał go po ramieniu i mówił: „Ale ty jesteś fajny, ja cię bardzo lubię”, a do nas odwracał lekko głowę i mówił: „Ale frajer, chłopaki, patrzcie na niego”.

– **Czy wobec ludzi ze swojego najbliższego otoczenia był lojalny?**

– Wszystko robił na podobny sposób, z wyjątkiem – co już wspominałem – z wyjątkiem, jeżeli kogoś uważał za przyjaciela, a przyjaciela, wiadomo, miał jednego. Robił to wszystko na podobny

sposób, tu klepał, a tu mówił: „Zobacz, jaki frajer”. Wszystko działa się na tej samej zasadzie. Jeden o drugim wiedział, w jaki sposób się ten o nim wypowiada, a mimo to wszyscy ciągnęli do niego. Ciężko to było zrozumieć.

– **Dlaczego? Bo dawał zarobić? Miał rozmach w działalności?**

– Dawał obietnicę i każdy czekał, dopóki sam nie zarobił. Wystarczy spojrzeć na ławę oskarżonych: ile tam osób, a nikt nie ma pieniędzy, bo wszystko szło na imprezy, po 5, 6 tysięcy, po 10 tysięcy na imprezy, a ludzie byli mamieni tylko: będą zarobki, będzie to, będzie tamto.

– **Jak gang się bawił, na jakich imprezach?**

– Normalnie: wódka, narkotyki. No, wiadomo, że nie jakieś tam tanie narkotyki, bo tanie to są dla plebsu, i również alkohole: nie jakaś wódka wyborowa czy coś takiego. Zawsze koka była. Amfetamina to byłby już wstyd, czy jakieś inne wynalazki. To, co najmniej szkodzi. To, co jest najlepsze. Z pierwszego źródła. Po koce fajnie bierze, szybko puszcza, człowiek wraca do domu i normalnie idzie spać. A po amfie: chodzą, duże oczy wyłupiaste mają, po dyskotekach przez jeden dzień bawią się, a potem cierpią. Na imprezach Krakowiak miał gest. Rozdawał po 100 dolarów. Po wódce, oczywiście, rozdawał wszystkim dookoła. Miał taki gest i rozdawał. Miał kaprys.

– **Jak wyglądały takie imprezy? Tańczono? Śpiewano?**

– To różnie, zależało do imprezy: jak był dobry nastrój, był telefon, przyjeżdżała na przykład orkiestra cygańska. No i wtedy tańczono, grano, śpiewano. A kiedy jego ludzie gdzieś coś dziubli, znaczy pomyślnie ukradli, to nakazywał: Grajcie *Vabank*. Na cześć złodziei.

– **Po prostu taki toast za wszystkich złodziei świata?**

– No, można tak powiedzieć.

– **Z jednej strony prowadził ożywione życie przestępcze, z drugiej strony miał pięcioro dzieci, żonę. Musiał prowadzić życie rodzinne. Czy to się nie kłóciło ze sobą?**

– Dziećmi – tak jak każdy rodzic – na pewno się przejmował. Ale ja słyszałem kiedyś, jak żonie powiedział, że żon to on może mieć sto, a przyjaciela ma jednego. Ale głosem żony – z tego, co wiem – to się przejmował. Być może dla świętego spokoju, bo jak każda kobieta potrafi coś marudzić po sto razy. Dla świętego spokoju wolał pewnych rzeczy nie słyszeć i robił tak, że na przykład żona o pewnych rzeczach nie wiedziała. Na przykład o narkotykach, że jak gdzieś wyjeżdżał i brał narkotyki, robił tak, żeby ona o tym nie wiedziała.

– **Killer Zdzicho też używał narkotyków?**

– Nie.

– **A jaki on był, ten morderca od Krakowiaka?**

– Dla niego coś jest albo czarne, albo białe. Nie ma nic pośrodku.

– **Albo nienawidzi, albo kocha?**

– Tak. Albo jest po tej stronie, albo po tamtej, i koniec. Był Krakowiakowi bezgranicznie oddany.

Janusz mamił go. Zdzisiek jeździł jakimś starym autem rozklekotanym, a wierzył w Krakowiaka jak w Boga. Dał się wrobić w to killerowanie. A potem już było ciężko mu się wycofać.

– **Jak można dać się wciągnąć w zabijanie?**

– To z charakteru się bierze. On zaufał Januszowi i chciał być lojalny. A potem się okazało, że ma z tego guzik z pętelką.

– **Kiedyś grupa korzystała z usług pewnego adwokata, pana K.?**

– Był. Świętej pamięci, jak to się mówi, no był, ale już go nie ma, umarł. W pewnym okresie na pewno mógł dużo załatwić, ale później – jak to się mówi – na pewno był już niemodny.

– **Bo nie mógł czegoś załatwić?**

– Po prostu zbyt dużo rzeczy zdążyło się dziać, w których on uczestniczył, że – jeszcze raz mówię – stał się niemodny, że nie był w stanie, że jeśli gdzieś się pojawił ten mecenas K., to trzeba było na to dmuchać.

– **Ale wtedy, kiedy był na topie, kiedy miał te możliwości, to...**

– ...załatwiał.

– **Jak załatwiał?**

– No jak? No tak jak w Polsce, niestety, to działa: poprzez łapówki. Za kasę mógł nawet kogoś posadzić, jeśli trzeba było, jeśli na kimś ciążyły zarzuty, działał w jedną i drugą stronę. Adwokat pracuje dla pieniędzy. No za pieniądze może wszystko.

– **Zna pan ludzi, którym ten adwokat płacił?**

– Znam.

– **Prokuratorów, sędziów?**

– Oczywiście.

– **Pracują nadal?**

– Tak. W telewizji ostatnio jednego widziałem.

– **Kogo bał się Krakowiak?**

– Bał się bogatszych, mądrzejszych, z większymi możliwościami.

– **Bał się Warszawiaków, tych z „Pruszkowa”?**

– Zdecydowanie.

– **Że co mu mogą zrobić?**

– Mogą go źle potraktować, wiadomo. A może go wezmą na swego rezydenta na Śląsku i z tego, co zarobi, będzie walić działkę.

– **Dlaczego zdecydował się pan odejść z gangu, zeznawać przeciwko kolegom?**

– Bo to fajnie tylko wszystko wygląda w filmach. Jak *Chłopcy z ferajny*, *Ojciec chrzestny*, gdzie dziadzius się fajnie starzeje. A w życiu, w świecie przestępczym, to jest jedno wielkie kurewstwo. To wszystko na tym polega, żeby jeden drugiego wyruchał i na nim się wzbogacił. To jest wszystko, a

ktoś, kto myśli inaczej, to jest głupi i naiwny. Budzi się z ręką w nocniku dosłownie.

– **Ile czasu potrzeba, żeby zrozumieć prawdę?**

– Mniej potrzebowałem, żeby to zrozumieć, ale trochę więcej potrzebowałem, żeby w jakiś sposób odejść, bo to wszystko nie jest takie łatwe. To nie jest tak, jak być kierowcą i mówić: Szefie, jutro nie przychodzę do roboty. On mówi: No to dam ogłoszenie i następni przyjdą. Sam człowiek wie, co robił, więc wie, co może go spotkać.

– **Czy w takiej grupie, gdzie właściwie nie ma kasy, bo ci ludzie są w tej chwili biedni, nie stać ich na adwokatów, jedynym spoiwem jest strach?**

– Nie, jakaś lojalność z poprzednich lat, kwestia jeszcze charakteru. Jak ktoś się uprze, zawezmie, to powie: koniec. Oni są tacy: myślą o przyszłości, że wyjdą za 5 lat, będą mieli dobre imię, bo nie pucowali, do każdej grupy ich przyjmą, coś zarobią. Tylko że takie myślenie, że przyjmą mnie do innej grupy, to jest dla nieudaczników. Bo jeśli ja myślę: wyjdę za 5 lat i będę miał dobre imię, wyjdę i przyjmą mnie do innej grupy, to tylko do nieudaczników. Ktoś, kto myśli, że wyjdzie i go przyjmą, a nie, że sam coś zrobi, coś stworzy, sam będzie zarabiał pieniądze, tylko cały czas liczy na innych. To jest dla nieudaczników i koniec!

Wielka rodzina Krakowiaka

Wprawdzie na gangsterskie salony wprowadził Krakowiaka sam Nikoś, ale potem Janusz T. już radził sobie sam. Współpracował ze wspomnianym Marchewą, ale także z Simonem (bossem mafijnym z Katowic, rezydentem grupy pruszkowskiej na Śląsku), częstochowskim Marcepanem i Sandokanem, liderem gangsterów w Gliwicach. Wszedł w konszachty ze szczecińskim bossem Markiem M., ps. Oczko.

Grupa Krakowiaka była potężna i praktycznie bezkarna. Tę bezkarność zapewniali sobie, korumpując m.in. sędziów, celników i urzędników samorządowych.

Świadek koronny Kastor zeznawał:

„W 1993 r. wyszedłem na przepustkę z Aresztu Śledczego w Częstochowie. Przepustkę załatwił mi Janusz T., który przekupił sędziego Sądu Wojewódzkiego w Częstochowie. Nie powróciłem już do aresztu i wyjechałem do Krakowa. Tam skontaktowałem się z Januszem, który w tym czasie prowadził interesy z Tadeuszem Z., a konkretnie handlowali samochodami. Krakowiak załatwił mi fałszywy dowód tożsamości. Razem z Jerzym Sz. przewoziliśmy na polecenie Janusza samochody na granicę wschodnią, do Medyki, Terespoła i Przemysła. Te samochody były kradzione. W Przemysłu mieliśmy celnika, który załatwiał nam przejazd przez granicę.

W tym czasie Janusz handlował też narkotykami, które otrzymywał od mężczyzny o pseudonimie

Kadafi. Pod koniec października 1993 r. zostałem zatrzymany przez policję i przewieziony do Częstochowy. Z zakładu karnego wyszedłem w czerwcu 1996 r., ale już od marca wychodziłem na przepustki, na których dokonywałem napadów. Krakowiak powiedział mi wtedy, że ma już parę grup, które działają na terenie całej Polski. Jedna grupa nic nie wie o drugiej i jedynie on wie, co robią poszczególne grupy.

Na przełomie września i października 1996 r. Krakowiak powiedział, że puszcza mnie na szerokie wody. Powiedział, że kończy z włamaniami, miały być dokonywane tylko wtedy, gdy będzie wiadomo, że jest szansa na duży zysk. Powiedział, że będziemy nadzorować działalność agencji towarzyskich, zbierać haracze z restauracji, handlować narkotykami i fałszywymi pieniędzmi”.

W południowej Polsce Janusz T., ps. Krakowiak, wyrósł na gangstera nr 1. W styczniu 1997 r. trafił co prawda do aresztu, ale już po dwóch tygodniach wyszedł za kaucją. To dodatkowo wzmocniło jego pozycję, okazał się przecież nietykalny. Podporządkował sobie większość bandyckich i złodziejskich grup nie tylko ze Śląska. Imperium Krakowiaka sięgało od Wrocławia, Kielc, Krakowa aż po Przemyśl. Wzorem kolegów z „Pruszkowa” opodatkował małe gangi złodziei samochodowych, a nawet włamywaczy mieszkaniowych. Umiejętnie tworzył swoją legendę na wzór sycylijskiego mafiosa. Zależało mu na opinii człowieka, który o swoich dba, a wrogów bezwzględnie niszczy. Członkowie grupy trafiający za kraty mogli mieć pewność, że Krakowiak w biedzie ich nie opuści: wynajmie najlepszych adwokatów, przekupi kogo trzeba, a rodzinom aresztowanych pomoże finansowo.

Imponowały mu wyłącznie pieniądze. Tych, którzy potrafili się dorobić, szanował, szczególnie jeżeli, tak jak on, zarabiali na brudnej robocie. Miał dobre kontakty w światku szemranej, śląskiej finansjery. W Gliwicach toczył się swego czasu proces Antoniego L. i Zbigniewa S., dwóch biznesmenów. Zajmowali się kantorami i pożyczkami na wysoki procent. Ich klienci z przerażeniem dowiadywali się, że zaciągnięte długi lawinowo rosną. Do spłacania wyimaginowanych odsetek Don Antonio, jak nazywano Antoniego L., opornych zmuszał zastraszaniem i biciem. Korzystał z ludzi swojego kumpla Sandokana i żołnierzy Krakowiaka.

Don Antonio współtworzył Gliwickie Centrum Handlowe i Gliwickie Centrum Kapitałowe. Przez pewien czas władał radiem Flash. Pomagał fundacji Urba Secura, czyli Bezpieczne Miasto, która sponsorowała miejscową komendę policji. W Gliwicach uchodził za świetnie ustosunkowanego, najbardziej wpływowego obywatela miasta. Jego przyjaciółmi byli eks-komendant lokalnej policji, byli wóldarze miasta i kilku najlepszych w Gliwicach adwokatów. Z tymi ostatnimi prowadził wspólne interesy. Potem ci sami mecenasi-wspólnicy bronili go przed sądem (w lutym 2005 roku Antoni L. dostał 6,5 roku więzienia za ściąganie haraczy).

Podczas studiów Don Antonio wyczynowo trenował dżudo, był znany z wielkiej siły. To właśnie spośród dżudoków dobrał sobie grono pierwszych przyjaciół. Krakowiak też był dżudoką. Świadek

koronny Wiesław Cz., ps. Kastor, zeznał, że Krakowiak traktował Don Antonia jak równego sobie. Kastor zaproponował kiedyś Krakowiakowi, aby porwać Antka i wymusić od niego okup, bo to bogaty człowiek, ale szef się zdenerwował. „Antek jest z rodziny, a w rodzinie się nie porywamy” – wyjaśnił.

Jeżeli zatem Krakowiak zaliczał Antoniego L. do grona rodzinnego, to wraz z nim także jego możliwych przyjaciół z Gliwic: lokalnych polityków i prawników. A taka rodzina to już najprawdziwsza mafia.

Człowiek od czarnej roboty

W gangu Krakowiaka rola drugiego po szefie przypadła Zdzisławowi Ł., ps. Zdzicho. To on miał zabić na zlecenie. Był też szefem wewnętrznej „żandarmerii” w gangu.

Świadek Kastor zeznawał: „W gangu panuje surowa dyscyplina i system bezwzględnie wykonywanych kar za niesubordynację, niewykonanie lub nienależyte wykonanie zadania, nieuczciwe rozliczenie się z szefem, współpracę z organami ścigania. Gradacja kar, od pobicia kijem baseballowym poczynając, poprzez ciągnięcie na lince za samochodem, połamanie rąk i nóg, przestrzelenie kolan, aż po egzekucję w postaci strzału w głowę, skutecznie paraliżowała poszczególnych członków gangu. Tym bardziej że wymierzaniem kar zajmował się Zdzisław Ł. Karateka i miłośnik broni, skryty i małomówny, ale jednocześnie brutalny i bezwzględny dla ofiar, lojalny wobec Krakowiaka, zrobił w jego gangu zawrotną karierę. Został zbrojmistrem grupy, wykonywał wyroki, a także prowadził wewnętrzne śledztwa dla utrzymania harmonii w grupie”.

Inny świadek koronny, Dariusz J., ps. Dziecina, tak zapamiętał rolę Zdzicha: „Miał często pretensje do Krakowiaka, że ten zbyt głośno mówił o jego dokonaniach, zwłaszcza o zabójstwach. Czasami Ł. reagował bardzo gwałtownie i to upewniało mnie, że takie fakty miały miejsce. Te wypowiedzi odbierałem jako gloryfikację Ł. i wyraźną groźbę dla wszystkich. Był to element dyscypliny w grupie.

Pamiętam spotkanie, na którym Ł. mówił, że trzeba zacierać ślady po sobie, a jako przykład podał spalenie zwłok po dokonaniu zabójstwa. Mówił, że policja ma wtedy kłopoty z identyfikacją zwłok i znalezieniem sprawcy czynu, który miał miejsce na trasie Kraków–Katowice. Ł. powiedział, że należy czekać, aż zwłoki zostaną całkowicie spalone. Do spalenia należy używać benzyny lub płynów benzynopochodnych, które bardzo szybko się palą. Było to takie przekazanie nam swojego doświadczenia, taki instruktaż, jak należy unikać pozostawiania śladów na miejscu zdarzenia.

Ł. nigdy nie mówił o rzeczach mało wartościowych, bzdurach. Jego wypowiedzi były zawsze rzeczowe i fachowe, pozbawione przypadkowości”.

Zdzisław Ł. na proces dowożony był z aresztu w Mysłowicach. Zgodził się na rozmowę po pięciu latach pobytu za kratami. Odbyliśmy ją przez telefon w specjalnej salce widzeń dla niebezpiecznych, oddzieleni pancerną szybą.

„Nie popełniłem żadnego przestępstwa”

Fragment rozmowy ze Zdzisławem Ł., ps. Zdzicho:

– **Cztery trupy, kilka napadów z bronią w rękę, jakieś poturbowane osoby, przynależność do grupy zorganizowanej. Czy pan się przyznał do któregoś z czynów wymienionych w akcie oskarżenia?**

– Nie. Trudno się przyznać do czegoś, czego się nie zrobiło. Ustawodawcy tak ustawili prawo w tym kraju, że w tej chwili można skazać, kogo się chce i za co się chce. To jest tylko kwestia tego, kto kogo wskaże. Nie ma problemu żadnego.

– **Muszą być jakieś dowody. Bez nich nie można skazać.**

– No, okazuje się, że można. Ja częściowo zostałem już skazany, pomimo tego, że na rozprawie wykazałem, że osoba, która mnie pomawia – kłamie. Mało tego, wykazałem, kto i w jaki sposób go do tego kłamstwa przygotował. Mimo to zostałem skazany za rzekomy napad i usiłowanie napadu. Siedzę pięć lat, a nie ma żadnych dowodów.

– **A zabójstwo Wiktora F. w Szczecinie? Tam były takie dowody jak ślad zapachowy i włosy, które znaleziono na kominiarce na miejscu przestępstwa.**

– Z akt sprawy wynika jednoznacznie, że zabójstwo było wykonane 22 stycznia. Poszukanie czapek w promieniu trzystu metrów zajęło policji dziesięć dni. Następnie te czapki zostały przewiezione do Katowic. Ślady zapachowe były w niewłaściwy sposób przechowywane.

– **Sugeruje pan, że ten zapach i te włosy mogły być tam dołożone?**

– Oczywiście, że tak. Ja nie sugeruję, tylko jestem pewien. Policja katowicka dysponowała dwiema czapkami: ze Szczecina i moją. Miała możliwość manipulacji.

– **Świadkowie zdarzenia nie rozpoznali twarzy strzelającego, bo było ciemno. Natomiast wskazali, że pana sylwetka jest podobna.**

– Zostałem postawiony między trzema osobami, z których każda miała przynajmniej 180 cm wzrostu. Ja mam 170. I pytanie prokuratora było takie: Która z tych czterech osób jest najbardziej wyglądem zbliżona do sprawcy? Z akt sprawy było wiadomo, że osoba ta była mniej więcej podobna wzrostem do mnie.

– **Podobnej wagi dowody są zgromadzone w sprawach pozostałych zabójstw?**

– To jest mało powiedziane! Co do drugiego zabójstwa, w Przemyślu z kwietnia 1997 roku, to tym

rzekomym zabójstwem miałem się chwalić pewnej osobie już rok wcześniej! We wszystkich zarzucanych mi przestępstwach występują świadkowie zdarzeń, którzy opisują osobę sprawcy. Więc odnośnie mojej osoby: mam od 160 do 185 cm wzrostu, włosy rude, blond, czarne, sylwetkę przeróżną. Wszystkie te opisy, kiedy włącza się prokuratura, pasują właśnie do mnie.

– **Człowiek, który przeżył napad w Białej Podlaskiej w kwietniu 1997 roku, rozpoznał jednak strzelającego.**

– Jego zeznania w trakcie śledztwa i przed sądem są inne. Przed sądem wskazuje, że mogłem to być ja. Więc zadałem tej kobiecie świadkowi bardzo proste pytanie w trakcie rozprawy: Czy zeznania, które składała pani w dniu zdarzenia są bardziej prawdziwe niż te w dniu dzisiejszym? Po kilku latach? Ona mówi, że tak. Więc ja przedstawiłem sądowi, jaki rysopis przedstawiła wtedy ta kobieta. Nie miał on nic wspólnego z moją osobą. I tak jest praktycznie we wszystkich przypadkach.

– **Najbardziej pograżają pana zeznania świadków koronnych. Czy te dowody są też zbyt nikłe?**

– Oprócz pomówień świadków koronnych nie ma żadnych dowodów. W Makowie Podhalańskim zostały znalezione samochody, które służyły do napadu, więc gdybym ja tam był, to jakieś ślady moje w tych samochodach powinny były zostać. Ślady zapachowe, odciski. Nie ma nic. Tak samo było w przypadku Cieszyna. Więc dowodów nie ma żadnych. Jedynymi, jakimi podpira się prokuratura, są zeznania świadków koronnych.

– **Jak pan ocenia wiarygodność zeznań tych świadków?**

– Świadców koronni to osoby, które w Częstochowie zabiły człowieka – w roku 1997 bądź 1998. Prokuratura dała im ultimatum: albo będziecie z nami współpracować i robić to, co chcemy, albo będziecie skazani na dożywocie za zabójstwo. A więc wiarygodność tych świadków jest żadna.

– **Czy pan zgadza się, że istniała grupa przestępcza o charakterze zbrojnym, dowodzona przez Janusza T. Krakowiaka?**

– Ta grupa przestępcza miała zajmować się wymuszeniami haraczy, handlem bronią, produkcją narkotyków, zabójstwami. Więc ja pytam: Gdzie są te magazyny broni, te tony narkotyków, te fałszywe pieniądze. Gdzie to wszystko jest?

– **Przyjaźnił się pan z Krakowiakiem?**

– Nie „przyjaźnił się”, tylko nadal przyjaźnię.

– **Nie stracił pan do niego zaufania?**

– Trudno, żebym stracił zaufanie. Tak samo jest załatwiony jak ja. W sensie takim, że wyprawia się tutaj niesamowite cyrki.

– **Mieliście wspólne interesy?**

– Nie. Była to znajomość towarzyska. W kasynie się poznaliśmy, byłem ochroniarzem.

– **Czy to jakiś straszny spisek doprowadził was za kratki?**

- Ja nie popełniłem w swoim życiu żadnego przestępstwa, i Janusz też. Tego jestem pewien.
- **Dlaczego w takim razie jeden ze świadków koronnych zeznał, że był pan killerem i prowadził nieformalne szkolenia, jak ukrywać po zabójstwie zwłoki, żeby policja śladów nie znalazła?**
- Ja myślę, że mamy tutaj do czynienia z kilkoma rzeczami, z opowieściami Kastora odnośnie przestępstw, których sam dokonał. Prokuratorzy polecieli wmanewrować w to inne osoby: „Trzeba sobie poprawić wykrywalność, więc powiesz: ta i ta, i ta osoba to zrobiła”.
- **Czyli kolej rzeczy była taka: najpierw były zwłoki i szukano gwałtownie sprawcy?**
- No więc taka sama sytuacja była w Szczecinie i w tych miejscach, gdzie ja mam zarzuty za popełnienie zabójstwa.
- **Czy według pana istnieje w Polsce zjawisko zorganizowanej przestępczości?**
- Jedyna przestępczość zorganizowana, z jaką ja się spotkałem, jest to grupa osób wysoko postawionych: policjantów, prokuratorów i sędziów.
- **Nie wierzy pan w istnienie mafii gangsterskiej?**
- Ciężko mi jest wypowiadać się na ten temat, ponieważ nie znam takich osób, nie obracam się w takich kręgach. Być może jacyś dawni pracownicy UB jakieś tam swoje interesiki sobie kręcą.
- **Ktoś jednak stoi za tymi wszystkimi sprawami: zabójstwami, bombami, które wybuchają, strzelaninami ulicznymi.**
- Tak. Bardzo wiele rzeczy, które są na powierzchni tego kraju, są niezrozumiałe.
- **Co zrobić, żeby dokopać się do tej prawdy, która jest pod spodem?**
- Na razie wygląda to w ten sposób, że ja, będąc podatnikiem w tym kraju, jestem zatrzymany przez tych, na których idą podatki. I oni moim kosztem dorabiają się. Ci wszyscy, którzy prowadzą moją sprawę, awansowali.
- **No, ale proces jeszcze się nie skończył. Może będzie tak, jak pan mówi, może uznają, że to pan ma rację?**
- Tak... Ale chodzi mi o to, że w ogóle doszło do tego procesu na podstawie takich kłamstw, gdzie one są tak oczywiste, że wystarczyło zagłębić się w to, przeczytać to dokładnie i po prostu powiedzieć do prokuratora: „Panie, co to jest?”.
- **Jeżeli jednak sąd uzna, że było tak, jak mówi prokurator, to sytuacja pana będzie nie do pozazdroszczenia.**
- Ja nie mam zamiaru służyć za kozła ofiarnego ani osobę, na której plecach paru prokuratorów zrobiło sobie karierę. Najpierw wykorzystamy wszystkie możliwości w kraju, a później trybunał w Strasburgu.
- **Czy pan żałuje, że pana losy zetknęły się kiedyś z losami Janusza T.? Gdyby nie ta znajomość, nie siedziałby pan tutaj.**

- Dlaczego mam tego żałować? Nie mogę w taki sposób... Ja nie mam do niego żadnych pretensji!
- **Bo obydwa jesteście ofiarami?**
- Nie tylko my. To jest kilkadziesiąt osób.

Janusz T., ps. Krakowiak, nie zgodził się z nami rozmawiać. Na procesie konsekwentnie trzymał się, podobnie jak większość członków bandy, wersji, że wszystkie zarzuty są wyssane z palca.

Temida nierychliwa (czy sprawiedliwa?)

Po siedmiu latach procesu akta sprawy liczyły już ponad 200 tomów. Wyrok w pierwszej instancji zapadł w lutym 2008 roku. Zdzisław Ł. dostał dożywocie, a Krakowiaka skazano na 25 lat więzienia. Pogrzyżyło go przyjęcie od Oczki zlecenia zabójstwa rezydenta białoruskiej mafii i zorganizowanie tej egzekucji. Uniewinniono go natomiast od zarzutu zabójstwa właściciela kantoru ze Stalowej Woli, dzięki czemu uniknął dożywocia. Pozostali oskarżeni (28 osób) otrzymali wyroki od 3,5 roku do 10 lat więzienia.

Dokładnie dwa lata później, w lutym 2010 roku, sąd wyższej instancji nakazał ponowne zbadanie wątków dotyczących zabójstw. Prawomocne wyroki dla Krakowiaka i Zdzicha, jakie wówczas zapadły, to 4 i 6 lat.

Przeciwko członkom tej grupy do sądów trafiło blisko 20 różnych spraw. Jedna z nich zakończyła się w kwietniu 2009 roku prawomocnym wyrokiem 12 lat dla Janusza T. za kradzież i rozboje. Z czasem jednak nawet najwytrwalsi obserwatorzy zaczęli gubić się w szczegółach procesowych związanych z gangiem Krakowiaka.

Oto fragment rozmowy z Rafałem Ch., ps. Czarny, świadkiem w sprawie gangu Krakowiaka:

- **Ile razy stawał się pan w katowickim sądzie?**
- Co najmniej dziewięć, z czego sześć na rozprawie głównej. Dwa razy jechałem ponad osiem godzin pociągiem ze Szczecina do Katowic, aby się dowiedzieć, że sprawa spadła z wokandy. Ale nie skarzę się, ja mam czas i nie ja płacę za bilety. Idę do sekretariatu sądu po zwrot kosztów podróży drugą klasą i wracam do domu.
- **Co miał pan do powiedzenia jako świadek?**
- Zeznawałem przeciwko Oczce, w sprawie spisku na życie Wiktora F. Dostarczyłem sądowi zdjęcia zrobione F. z ukrycia, w ramach rozpracowania, przed zabójstwem. Najpierw byłem świadkiem oskarżenia, ale po latach stałem się świadkiem obrony.
- **Jak to możliwe?**

– Moje zeznania stały w sprzeczności z niektórymi zeznaniami świadków koronnych, zatem o kolejne przesłuchania wnioskowali adwokaci. Stawiałem się więc na wezwanie sądu, ale nic z tego nie wynikało.

– **Dlaczego?**

– Ponieważ mecenas reprezentującego Oczkę, rzekomo zainteresowanego wyjaśnieniem nieścisłości, nie było na sali, a jak już się pojawił, to zrezygnował z zadawania mi pytań. Potem wzywano mnie na poboczną sprawę i zacząłem odnosić wrażenie, że katowicki wymiar sprawiedliwości zaczyna się kompromitować.

– **Co takiego się wydarzyło?**

– Ostatnio pani sędzia w ogóle nie wiedziała, w jakim charakterze występuję przed sądem i po co mnie właściwie wezwano. Najpierw spytała, w jakiej sprawie zostałem świadkiem koronnym. Kiedy wyjaśniłem, że w żadnej, dociekała, dlaczego zmieniłem nazwisko. Nie wiem, jakie to miało znaczenie dla sprawy, ale odpowiedziałem, że tamto było po ojczymie, a teraz wróciłem do nazwiska po ojcu i że zmiana nazwiska to żadna sztuczka z mojej strony, ponieważ przed nikim się nie ukrywam. Następnie pani sędzia chciała się dowiedzieć, w jakiej sprawie byłem ustanowiony świadkiem niejawnym lub incognito. Jakby w ogóle była jakaś różnica między świadkiem niejawnym i incognito...

– **Mówi pan poważnie?**

– Niestety, tak. Gdyby groziło mi jakieś niebezpieczeństwo, to za sprawą tak prowadzonego przesłuchania zostałem zdekonspirowany i wystawiony. Nie będę tego oceniał, bo pani sędzia była bardzo miła i moje życie od niej nie zależy.

– **Właściwie po co pana wezwano?**

– Nie wiem. Pani sędzia chyba też nie wiedziała. Była zaskoczona, że jestem kryminalistą i mam za sobą wyrok za handel narkotykami. Potem wprowadzono na salę świadka koronnego, spytano, czy go znam, a ja odpowiedziałem, że nie. Tamto przesłuchanie było jak rozmowa na bazarze o pomidorach.

Oczko choruje, Zdzicho triumfuje

Sprawiedliwość odwlekana latami do tego stopnia zirytowała oskarżonych, że zagrożeni dożywociem Zdzicho i Oczko wystąpili o warunkowe zwolnienie. Prośbę Zdzicha odrzucono, ale Oczko warunkowe dostał (chodzi o wyrok, który zapadł w 2000 roku w Szczecinie – 13 lat za kierowanie gangiem). I chociaż prokurator zażalił się na to postanowienie Sądu Okręgowego w Katowicach, a tamtejszy Sąd Apelacyjny podzielił jego zdanie, cofając przedterminowe zwolnienie, to zainteresowany i tak znalazł się na wolności. W lutym 2011 roku udzielono mu przerwy w odbywaniu

kary ze względu na szwankujące zdrowie, którego w warunkach więziennych podobno nie mógł podreperować. Ci, którzy go wtedy widzieli, twierdzą, że nie wyglądał dobrze: miał braki w uzębieniu, bardzo schudł, cały jakby się skurczył. Ale po kilku tygodniach wyraźnie odzyskał formę.

Oczko zmieniał adresy jak rękawiczki – raz mieszkał w Katowicach, innym razem w Szczecinie, potem osiedlał się w Chorzowie. Widywano go w hotelowych restauracjach i w położonym nad malowniczym jeziorem pałacu w Maciejewie, należącym do Artura R., ps. Rozi. Pod koniec kwietnia 2013 roku karnie stawił się w sądzie, gdzie rozpatrywano jego prośbę o dalszą przerwę w karze.

„W dniu 26.04.2013 r. w sprawie sygn. akt VIII Kow 1580/13/pr Sąd Okręgowy w Katowicach, po uprzednim dopuszczeniu dowodu z opinii biegłego lekarza sądowego wydał postanowienie, gdzie na zasadzie art. 153 par. 1 kkw i art. 624 par. 1 kkw w zw. z art. 1 par. 2 kkw udzielił skazanemu Markowi M. dalszej przerwy w odbywaniu kary do dnia 15.07.2013 roku. Postanowienie nie jest prawomocne” – poinformował nas rzecznik prasowy do spraw karnych Sądu Okręgowego w Katowicach, sędzia Jacek Krawczyk.

Prokuratura nie zażaliła się na to postanowienie. Nie wiemy, co dolega zagrożonemu dożywociem Markowi M., ale w jego rodzinnym Szczecinie usłyszeliśmy, że „wygląda niezłe”.

W styczniu 2013 roku Krakowiak, oczyszczony prawomocnie, po jedenastu latach, od zarzutu zabójstwa właściciela kantoru w Stalowej Woli, skierował do katowickiego sądu pozew za „przewlekłość postępowania i niesłuszny areszt”. Domaga się miliona złotych odszkodowania. Wyrok za nakłanianie do zabójstwa prokuratora i oficera Centralnego Biura Śledczego, a także zorganizowanie napadu, w którym zamordowano małżeństwo z Sosnowca, usłyszał dopiero w kwietniu 2013 roku. Dostał 15 lat więzienia, tyle samo co zleceniodawca napadu, Sławomir C., ps. Żyd. W tym samym czasie Zdzicha uniewinniono od zabójstwa właścicielki kantoru w Opolu, zastrzelonej w 1998 roku. Triumfował, bo przecież zawsze mówił, że „oprócz pomówień świadków koronnych nie ma żadnych dowodów”.

XV. Kulawy ojciec chrzestny

Kiedy przed laty ukazywała się pierwsza edycja naszej książki, nie przypuszczaliśmy, że nad mazurskimi jeziorami funkcjonowała świetnie zorganizowana grupa przestępcza, której siłę rażenia śmiało można by równać z pruszkowskimi bojówkami. Organizacja ta, skutecznie unikająca rozgłosu w mediach, po rozbiciu przez policję „Pruszkowa”, „Wołomina” oraz gangów z Pomorza i Wybrzeża, zaledwie w ciągu pięciu lat zmonopolizowała przemyty, handel narkotykami i ładunkami wybuchowymi w północnej części kraju. Swoją siłę zbudowała na skorumpowanej policji, zastraszonych urzędnikach i – przede wszystkim – autorytecie przywódcy, sprytnego i bezwzględnego Jana R. z Kisielic, ps. Kulawy. Podobnie jak wcześniej Pershing, Dziad czy Słowik, właśnie Jan R. na trwałe wpisał się do historii polskiej mafii.

Jan R. połowę życia spędził na wózku inwalidzkim. Po wypadku samochodowym nie może chodzić. Niegdyś współrządził gminą, z własnej kieszeni wspierał lokalną parafię. Był największym pracodawcą w okolicy, a diety radnego przeznaczał na świąteczne paczki dla biednych dzieci (jak niegdyś Al Capone, który w czasach wielkiego kryzysu otwierał jadłodajnie dla biednych i bezdomnych). W malowniczych Kisielicach koło Iławy żył jak król: miał swoją posiadłość, masarnię, ziemię na Mazurach oraz służbę spełniającą wszystkie jego zachcianki. Stamtąd słał transporty do Niemiec i Skandynawii – z pigułkami gwałtu, narkotykami i materiałami wybuchowymi.

Kulawy był władcą absolutnym. Nie potrzebował ani doradców, ani wspólników. Ufał tylko jednej osobie – swojej żonie. Młodsza od niego o kilka lat Elżbieta R., z zawodu pielęgniarka, lepiej spełniała się w roli jego prawej ręki niż niejeden mężczyzna. Ta drobna blondynka ze srebrnym krzyżem na piersiach była przygotowana na wszelkie ewentualności, na przykład, by mdleć, gdyby ktokolwiek z organów państwowych wypytywał ją o interesy męża. Upadki trenowała pod okiem Kulawego – w domu, na materacu.

Jan R. wiernych sownie nagradzał, niepokornych łamał psychicznie i fizycznie. Znał się na sztuce torturowania, kazał swoim żołnierzom przewiercać ludziom stawy i kości. Przyglądał się temu bacznie, czerpał radość z cierpienia innych. Kuzyna swojej żony, Karola, postanowił wychować na prawdziwego mężczyznę. Aby uodpornić chłopaka na stres i strach, kazał strzelać swoim ludziom tuż przy jego uchu. Karol wykopał sobie w lesie grób, do którego miał trafić, gdyby okazał się

mięczakiem.

„Wyrachowany i okrutny. Upokarzanie ludzi, zadawanie bólu i zabijanie leży w jego naturze” – scharakteryzował swojego szefa Roman W., jego kierowca (po złożeniu w sądzie obszernych wyjaśnień zmarł na serce). Kiedyś Kulawy kazał dla żartu poderznąć mu gardło. Na wpół żywy Roman W. owinął rękami szyję, po czymłożył na dłoni Kulawego pocałunek należny ojcu chrzestnemu i wznosił toast za jego zdrowie. Zdał test na lojalność – w szpitalu powiedział, że miał wypadek na budowie.

„Jan mawiał, że on wie, jak sprzątnąć człowieka, żeby nie było śladów” – mówił o Janie R. jeden z przesłuchanych w śledztwie członków gangu. – Chwalił się, że ma takie swoje dobre miejsca w bunkrach, pod dębami, do których nikt nie dojdzie”.

Kulawy powierzał mokrą robotę zaufanym ludziom z Elbląga. W półświatku nazywano ich Kacprami od pseudonimu ich szefa Marcina K., ps. Kacper. Jak na szefa bojówki przystało, Marcin K. górował nad wszystkimi posturą. Podczas procesu okazało się, że wyróżniał się także... dobrymi manierami – był bowiem jedyną osobą, która wchodząc na salę rozpraw, zawsze mówiła „dzień dobry”. Ale na wolności nie był tak uprzejmy. Ludzie Kacpra nie pytali, kogo trzeba bić lub zawinąć. Jeden z nich tłukł ofiarę tak długo, aż złamał rękę, ale to go nie powstrzymało od dalszego bicia. Niepokornych eliminowano (w śledztwie mowa była o co najmniej trzech tajemniczych zaginięciach) lub „przesłuchiowano”. A to oznaczało tortury.

„Były cztery metody przesłuchania: bicie po piętach, ściskanie palców kombinerkami, wbijanie pod paznokcie ostrych przedmiotów i wreszcie przebijanie stawów wiertłami, które zostawiano na pamiątkę” – zeznał jeden ze świadków.

O przestępczych interesach Kulawego wiedziała niemal cała okolica. Wiedziała także miejscowa policja. Ale nie reagowała. Wzorem mafijnych bossów z Corleone Jan R. z Kisielic stworzył wokół siebie układ, który pozwalał mu na bezkarność i zabijanie. Kto wszedł mu w drogę – przepadał bez śladu.

„Komendant jeździł z przemytem”

Fragment rozmowy z Czesławem R., bratem Kulawego:

– **Jak się zaczęła przestępcza kariera pana brata?**

– Prokurator prowadzący śledztwo ustalił, że gang działał od 1998 roku, ale to kompletna bzdura. Zaczęło się znacznie wcześniej, od przemytów, jeszcze w latach 80., podobnie jak to było z „Pruszkowem”.

– **O „Pruszkowie” było głośno, a o Kulawym przez lata nikt nie słyszał. Lepiej się**

kamuflował?

– Grupa brata powstała dzięki pomocy policji, dlatego przez długie lata nikt go nie niepokoił. Gdyby nie policja, nie byłoby żadnego gangu. Proszę pomyśleć: to przecież niemożliwe, żeby w takiej dziurze jak Kisielice, takiej pipidówie, policja nie wiedziała, co się dzieje.

– A co się działo?

– Dużo się działo. Przy powstawaniu grupy, na samym jej początku, komendant policji z Kisielic, brat stryjeczny Kulawego, osobiście jeździł z przemytem papierosów. Był kiedyś taki przypadek, że kierowca naczepy z kontrabandą spowodował wypadek. Komendant siedział obok, ale nie udzielił mu pomocy. Uciekł z miejsca zdarzenia, żeby nie było śladu, że on tam był.

– Co z kierowcą?

– Do dziś jest kaleką.

– A podwładni komendanta? Też pracowali dla pana brata?

– Oczywiście nie wszyscy, ale było ich wielu. To się opłacało, więc tuszowali grzechy brata: przemyty, wymuszenia, wyłudzenia odszkodowań, zastraszanie biegłych z PZU, pobicie rzeczoznawcy... Dużo tego było.

– Jak im się odwdzięczał?

– Policjanci mieli u mojego brata ekstra pensje, wybudowali sobie za nie okazałe domy. Inni dostawali samochody albo laptopy. Każdego roku, na święto policji, Kulawy organizował funkcjonariuszom zakrapiane alkoholem imprezy.

– Co na to ludzie?

– Ci, którzy dostawali pracę u Jana, byli mu wdzięczni, ale generalnie wszyscy się panicznie bali, bo kto się sprzeciwił, to był katowany. Na komisariat nie można było z tym pójść, bo przecież policja siedziała u Kulawego w kieszeni.

Pod parasolem

Zmowa milczenia i korupcja funkcjonariuszy gwarantowała gangsterom bezkarność. Strach przed gniewem i zemstą Kulawego nie minął nawet po jego aresztowaniu jesienią 2003 roku, ponieważ policjanci wciąż byli na wolności. Skruszony kierowca Kulawego ujawnił w śledztwie kulisy tego układu. „Policjanci po prostu bali się Jana R. – zeznał. – Pamiętam, jak były operator koparki w Goryniu, który pracował dla Jana, po pijanemu jeździł samochodem i policja go złapała. Zabrali mu wtedy prawo jazdy. Jan, gdy mu o tym powiedziałem, po prostu się wściekł, że policja wjechała na jego teren. Zadzwoił do któregoś z policjantów i krzyczał, żeby sprawę odkręcili. Okazało się jednak, że jest już na to za późno. Wtedy Jan zebrał wszystkie moje mandaty, które mu wcześniej

przekazałem, i kazał się wieźć na posterunek. Było tam trzech policjantów. Stali przed nim na baczność. Na ich oczach Jan podarł wszystkie mandaty i rzucił im pod nogi. »To ja was, kurwa, karmię, a wy mi się tak odwdzięczacie?! Beze mnie pozdychalibyście z głodu!« – krzyczał».

„Policjanci z Kisielic nigdy nas nie kontrolowali, a jak któryś z nas jechał z przyczepką z papierosami, to odwracali na nasz widok głowy i udawali, że nas nie widzą – oto kolejne zeznania w tym wątku. – W 2002 roku, kiedy jeden z naszych wpadł na włamaniu do samochodu i kradzieży auta, co zarejestrowały kamery, Jan telefonicznie instruował policjanta, że ma sprawię ukreślić łeb. Tamten gwarantował, że zrobią tak, że sprawca niby był pijany i trzeba mu było zabrać prawo jazdy. Potem Jan podziękował policjantom, że tak pokierowali sprawą”.

Specjalnością Kulawego były odszkodowania za fikcyjne kolizje drogowe. Policja mu w tym pomagała, fałszując dokumentację z rzekomych zdarzeń. Wymiernym tego efektem były 83 mln zł wyłudzone od Skarbu Państwa i towarzystw ubezpieczeniowych. „Organizowanie fikcyjnych kolizji, czyli miejsce oraz daty, było z góry zaplanowane – wyjaśniał jeden ze skruszonych. – Czas ich rzekomego zaistnienia nie był przypadkowy, lecz dopasowany do grafiku służb poszczególnych policjantów, skorumpowanych przez Jana R. Funkcjonariusze ci przyjeżdżali na miejsce, robili tylko zdjęcia i nigdy nie rozmawiali z uczestnikami kolizji”.

Skruszeni przestępcy z grupy Kulawego przekonywali prowadzącego śledztwo prokuratora Andrzeja Litwińczuka z Prokuratury Apelacyjnej w Białymstoku, że mafioso z Mazur miał na usługach także sędziów i lekarzy, którzy przez lata chronili go przed odpowiedzialnością karną. Mówili np., że gdy przed laty boss z Kisielic trafił do aresztu za zlecenie pobicia i porwania, to szybko z niego wyszedł za łapówkę. „Dwaj sędziowie z Poznania wzięli za to 180 tysięcy złotych – powiedział w śledztwie jeden z nich. – Wolność załatwili Janowi ludzie na wysokich stanowiskach, w tym pułkownik Wojska Polskiego z Warszawy o pseudonimie Generał. Jeden z sędziów od razu wziął pieniądze, a drugi się wahał, ale też w końcu wziął. Wszystkie zaświadczenia lekarskie potrzebne do opuszczenia aresztu wystawił pracujący dla Jana R. lekarz z Gdańska. Innym razem, kiedy Romanowi W. poderżnięto gardło, Jan R. kazał mi odwieźć rannego do konkretnego lekarza. Telefonicznie poinstruował go, jak ma załatwić sprawę. Potem dał mu za to pieniądze”. Za wieloletnią ochronę przed prokuraturą i aresztem Kulawy miał odwdzięczyć się lekarzowi kilkoma samochodami.

O kolejnym skorumpowanym przez Jana R. lekarzu opowiedział przemytnik z Mazur, który wpadł w Szwecji, gdzie odsiadywał wyrok: „Szef polecił czterem ludziom pobicie rzeczoznawcy w Grudziądzu. Policja ich zatrzymała, ale nie dostali aresztu. Z jednym z tych chłopaków, w towarzystwie Jana, pojechaliśmy do Gdańska do profesora B. po obdukcję. Chodziło o to, żeby oskarżyć policjantów, że pobili chłopaka podczas zatrzymania, co przecież nie miało miejsca. Profesor B. jest stałym lekarzem Jana. Kulawy mówił mi, że kupi mu porządnego laptopa”.

Doniesień o rzekomej korupcji sędziów i lekarzy nie udało się prokuraturze potwierdzić, natomiast

dziesięciu skorumpowanych policjantów miało swoje odrębne procesy (w maju 2008 roku białostocka prokuratura skierowała do sądu w Iławie akt oskarżenia przeciwko nim). Ośmiu z nich pracowało w komisariacie w Kisielicach, pozostali dwaj w Kwidzynie i Świeciu. Zapadły wyroki skazujące, w tym ponad 3 lat pozbawienia wolności.

Gdzie diabeł nie może

Kres bezkarności Jana R. położyły w 2003 roku trzy kobiety: Lucyna Biej i Henryka Ornowska ze Szczecina, wdowy po zamordowanych przemytnikach papierosów, oraz Dorota Macoch, wówczas policjantka CBS w Olsztynie. Szczecinianki poszukujące zaginionych mężów przekonały w końcu policję, że obaj mężczyźni nie żyją i że to Kulawy stoi za podwójną zbrodnią. Śledczy ustalili, że Jan R. wolał zabić niezrzeszonych w żadnym gangu przemytników niż oddać 100 tys. euro, które był im winien. Potem nakazał Kacprom tak ukryć zwłoki, aby nigdy ich nie odnaleziono. Niewykluczone, że ciała zmielono w masarni Kulawego. Taka hipoteza pojawiła się w śledztwie, ale nie została poparta dowodami. Inna zakładała, że to, co zostało z ciał, zasypano na grobli pomiędzy stawami w Goryniu. Torf wciągał szczątki przez całe lata. Na taką głębokość, że prawdopodobnie nikt ich już nie odnajdzie.

Śladów po obu zaginionych szukano aż do października 2011 roku. Bezskutecznie.

Obie wdowy ryzykowały własne życie, by naprowadzić CBS na trop gangu. Uwierzono im dopiero wtedy, gdy pod Gdańskiem wyłowiono z Wisły spalony wrak audi, którym podróżowali ich mężowie. Niebawem zdarzenie losu sprawiło, że obie kobiety ustaliły, kto puścił je z dymem. Stało się to już po miesiącu, gdy obaj mężczyźni zaginęli bez śladu. Otóż na stacji benzynowej w Malborku, gdzie Lucyna Biej i Henia Ornowska zatrzymały się w swojej podróży po Polsce (rozwieszały plakaty z prośbą o pomoc w poszukiwaniu zaginionych), towarzyszący im synowie zobaczyli samochód z felgami pochodzącymi z audi Jerzego Ornowskiego. Były one do tego stopnia charakterystyczne, że chłopcy nie mieli wątpliwości. Kobiety zadzwoniły wtedy do słynnego detektywa, którego sownie opłaciły za pomoc w poszukiwaniach. Pytały go, co mają robić. Detektyw odpowiedział na to, żeby odpuścić, bo „takich felg na polskich drogach są tysiące”. Ale one pojechały za tamtym samochodem. Rozmawiały z kierowcą, pytały, skąd ma takie felgi. Dowiedziały się wówczas, że to nowy nabytek, kupiony w warsztacie samochodowym w Malborku. Właściciel warsztatu odkupił je od pasera z miejscowości Cedry pod Gdańskiem. Paser przyniósł mu także reflektory od audi. Od TAMTEGO audi.

Policja z Iławy dorwała pasera, został zatrzymany i zeznał, że to Jan R. z Kisielic wydał polecenie, aby auto zniknęło z powierzchni ziemi. Był przerażony. Po opuszczeniu aresztu popełnił

samobójstwo.

W Dorocie Macoch z CBS z Olsztyna szczecinianki znalazły sojuszniczkę w starciu z Kulawym. Dziś wiadomo, że policjantce mogło grozić realne niebezpieczeństwo. Jeden ze skorumpowanych funkcjonariuszy miał bowiem ostrzec Jana R. o prowadzonych przeciwko niemu działaniach Centralnego Biura Śledczego i wyjawic nazwisko zaangażowanej w sprawę funkcjonariuszki. Osiem lat po zatrzymaniu Kulawy w listach kierowanych z celi m.in. do rodziny Olewników (Dorota Macoch przyczyniła się do odnalezienia zwłok Krzysztofa Olewnika i schwytania jego zabójców) opluwał znienawidzoną policjantkę. „Ten obrzydliwy babsztyl jest wyjątkowo wyrafinowanym i bezwzględny mordercą – napisał. – Z pewnością jest to sam Lucyfer w babskiej skórze, który morduje nie tylko na zlecenie, ale również dla potrzeby żądy mordu”.

Jesienią 2003 roku funkcjonariusze wkroczyli na teren posesji inwalidy, sfilmowali jego zatrzymanie. „Wsadź se w dupę tę kamerę” – cedził przez zęby Kulawy do policjantki. Do końca nie wierzył, że ktokolwiek będzie śmiał wynieść go z domu na noszach i osadzić w areszcie. A już na pewno się nie spodziewał, że do jego upadku przyczynią się kobiety.

Zachować zimną krew

Rozmowa z Dorotą Macoch, policjantką, która rozpracowała Jana R.:

- **„Wstrętny babsztyl”. Ruszają panią takie epitety z ust przestępcy?**
- (śmiech) Trzeba teraz dyplomatycznie wybrnąć z tego pytania... Zatem powiem tak: każdy ordynarny epitet, niezależnie z czyich ust pada, miły raczej nie jest. Moja praca w jakimś sensie uodporniła mnie na takie „komplementy”. Kiedy padają – a dzieje się tak zazwyczaj podczas akcji, kiedy wydarzenia toczą się błyskawicznie – nawet o tym nie myślę. Nie ma na to czasu – adrenalina, człowiek robi swoje, aby nie popełnić błędu, nie myśli o sobie. Ale po pewnym czasie, kiedy napięcie opada, obraźliwe słowa wracają. I wtedy do mnie docierają.
- **Obelgi odbiera pani osobiście czy ma pani do nich zawodowy dystans?**
- Mogłabym też rzucić „wiązanek”, naprawdę to potrafię, ale w pracy nie pozwalam sobie na takie zachowania. Nawet jeżeli w środku kipię od emocji, to twarz mam kamienną. Nie pokażę przestępcom, że coś mnie rusza, że cokolwiek może mnie obrazić. To byłby dla nich młyn na wodę, obelgi sypałyby się bez końca, byłyby coraz gorsze. Trzeba do tego podchodzić profesjonalnie.
- **Czyli jak?**
- Zachować zimną krew. Ale to też ma swoje granice. Nie pozwolę sobie na to, by ktokolwiek rzucił pod moim adresem fałszywe oskarżenia: że coś podrobiłam, spreparowałam dowody, wymusiłam zeznania. W sprawie Kulawego w pewnym momencie granice zostały przekroczone.

Skierowałam sprawę do sądu w Elblągu o pomówienie.

– **Kto przekroczył granice? Kulawy?**

– Nie on, ale pewien przestępca, który postanowił przeciwko niemu zeznawać. Przesłał list do prokuratury. Napisał, że Jan R. oszukał jego matkę, i zadeklarował się jako świadek, więc oboje z kolegą z CBS pojechaliśmy do niego do zakładu karnego w Sztumie. Spytaliśmy, dlaczego wcześniej nie chciał zeznawać. Odpowiedział, że czekał na właściwy moment i teraz, kiedy Jan R. jest za kratami, podjął taką decyzję. Spisaliśmy protokół, on go podpisał, a potem wszystko odwołał. Stwierdził, że podrobiliśmy jego podpis. Byliśmy z kolegą przesłuchiwani, musieliśmy się tłumaczyć. Wtedy oboje uznaliśmy, że człowiek, który fałszywie nas oskarżył, po prostu przeholował. Miarka się przebrała.

– **Czym różnił się Kulawy od innych przestępców, z którymi miała pani do czynienia?**

– Oprócz tego, że jest inwalidą, przebija wszystkich bezczelnością, zadufaniem, bezgranicznym zapatrzeniem w siebie. Jest do tego stopnia fałszywy, że chyba ostatecznie uwierzył we wszystkie swoje kłamstwa.

– **Życzyła mu pani, za te wszystkie obelgi pod swoim adresem, tak po ludzku, wszystkiego najgorszego?**

– Nie mogę tak. Gdy emocje biorą górę – cierpi na tym materiał dowodowy, popełnia się błędy. A błędy śledczych to bezkarność sprawców. Jan R. to przebiegły człowiek, trudny przeciwnik. Ale właśnie to mnie mobilizowało. On jest cwany, a ja uparta, aby wszystko wyjaśnić. Musiałam nabrać do niego dystansu.

– **Podobno Jan R. zapowiedział, że wybije panią do dziesiątego pokolenia.**

– Bezpośrednio tego nie słyszałam, ale taka groźba padła w jednym z listów, których Jan R. napisał pewnie ze sto tysięcy, po trzydzieści kartek każdy. Było to w czasie toczącego się w Elblągu procesu, kiedy pełniłam w tamtym mieście funkcję zastępcy komendanta miejskiego do spraw kryminalnych.

– **Przecież to była ewidentna groźba karalna!**

– No właśnie. Jan R. nie groził Dorocie Macoch, ale funkcjonariuszowi publicznemu. W takich sytuacjach ściganie następuje z urzędu. Jednak ani sąd, ani prokuratura nie zareagowały.

– **A pani?**

– Odpuściłam. Uznałam, że to jest jego ryk bezsilności, ryk człowieka pokonanego. Jestem od niego silniejsza. I nie muszę tego udowadniać.

– **Jak to w ogóle możliwe, że inwalida na wózku bezwzględnie podporządkował sobie tylu silnych, sprawnych chłopów, jak Kacprzy?**

– Fizycznie Jan R. jest słaby, ale charakter ma silny, zatem kierując grupą, działał z pozycji siły. Obrósł legendą, którą budowały między innymi tajemnicze zaginięcia, nie tylko tych dwóch mężczyzn ze Szczecina. Był radnym, miał układy, a do tego jest po prostu cwany. Wykorzystywał swoje

kalectwo, na przykład na granicy – nikt go nie kontrolował, nie chcąc być pomówionym, że przez działania celników coś złego stało się inwalidzie na wózku. Podobnie w sklepach – Kulawy kradł na potęgę, wiedząc, że nikt mu nie będzie zaglądał pod koc. A nawet jak ktoś zajrzał, to dostawał od niego po rękach.

– **Kradzieże w sklepach? Małostkowe jak na szefa mafii.**

– Też tak uważam.

– **Jaka jest jego żona? W jaki sposób kierowała gangiem?**

– Krzykiem i atakiem. On wydawał dyspozycje, ona je realizowała. Ci, którzy zdecydowali się zeznawać przeciwko Janowi R., powiedzieli kiedyś, że gdyby Wisła płynęła przez Kisielice, to oni wszyscy już by w niej pływali. Tak właśnie rządziła. To kobieta bezwzględna dla ludzi, ale dla zwierząt podobno ma złote serce.

– **Dlaczego do dziś nie odnaleziono ciała Stanisława Bieja i Jerzego Ornowskiego? Spryt zabójców czy nieudolność policji?**

– Zastanawiam się nad tym do dziś. Może szukaliśmy nie tam, gdzie trzeba, a może w ogóle zaczęliśmy szukać zbyt późno... co mogliśmy i czego nie zrobiliśmy jeszcze, aby wyjaśnić losy zaginionych. Zaginięcia to generalnie niejednoznaczne sprawy. Nie zawsze od razu wiadomo, co jest na rzeczy, i tak było w tym przypadku. Ta sprawa trafiła do nas, do Olsztyna, po trzech czy czterech miesiącach od zaginięcia Bieja i Ornowskiego. Wśród mieszkańców Kisielic panowała zмова milczenia, ludzie na początku bali się mówić. Poszukiwaniami zajmowała się lokalna policja, a ta być może nie miała takiej siły przebicia jak my, aby sprawę wyjaśnić.

– **Bo była zblatowana z Kulawym.**

– W Kisielicach wszyscy o wszystkim wiedzieli. Kulawy uchodził za nietykalnego. Właśnie dlatego nasza realizacja – w tym zatrzymanie Jana R. – przebiegała w ścisłej konspiracji. Szczegóły realizacji znało zaledwie kilku funkcjonariuszy CBŚ i oczywiście prokurator. Istniała obawa, że ktoś może dotrzeć do Kulawego z ostrzeżeniem.

– **Myśli pani, że któregoś dnia poznamy prawdę o tamtych zabójstwach? Ktoś się wyłamie, zacznie mówić?**

– Jeśli zabójcy milczą od tylu lat, to pewnie tak już zostanie. Może kiedyś któryś z nich wygada się gdzieś przy wódce albo jeszcze w celi. Czasami tak się zdarza. Czuję niedosyt w tej sprawie, ona wciąż jest otwarta, mam ją w swojej głowie... Jestem pewna, że tamci ludzie nie żyją. Niewykluczone, że któregoś dnia znów zaczniemy ich szukać. Dlatego nie usuwam ze swojej komórki telefonów osób, które będą mogły nam w tym pomóc, na przykład ekspertów od georadarów. Może jeszcze się przydadzą.

Buta przed sądem

W historii polskiego sądownictwa żaden mafijny boss nie kpił tak jawnie z wymiaru sprawiedliwości, jak właśnie Jan R. Sprawa karna z jego udziałem toczyła się w Sądzie Okręgowym w Elblągu przez pięć lat. Zakończyła się – w pierwszej instancji – pod koniec 2011 roku dożywociem dla Kulawego. Kacprzy dostały po 15 lat.

Jan R. ani razu nie okazał skruchy, przed nikim nie schylił karku. Na sali sądowej obrzucał epitetami nie tylko prokuratora, świadków i biegłych, ale także sędziów, chociaż to w ich rękach spoczywał jego los. O kulisach elbląskiego procesu studenci prawa będą zapewne czytać w podręcznikach akademickich. Nigdy bowiem szefem grupy przestępczej nie był sparaliżowany, schorowany człowiek, przywożony na salę rozpraw na szpitalnym łóżku. Nigdy też nie uchylano aresztu zabójcom gangu, którzy na wyrok czekali w nocnych klubach, a nie najbardziej strzeżonych celach.

Oto fragment mowy oskarżycielskiej: „Filozofią życiową Jana R. było poczucie całkowitej bezkarności, wynikające z faktycznych, ale też symulowanych – podpartych w razie czego stosownymi zaświadczeniami lekarskimi – objawów choroby. Porządek prawny był dla niego zawsze pojęciem czysto abstrakcyjnym, które go w ogóle nie obowiązywało. To poczucie bezkarności było faktyczne. Przynajmniej na terenie Kisielic i okolic, a co najgorsze – ugruntowało się w świadomości tamtejszej społeczności”.

Gdyby nazwę „Kisielice” zamienić na „Corleone”, można by pomyśleć, że prokurator nie mówił o Janie R., ale o bohaterze powieści Maria Puzo *Ojciec chrzestny*. Takie porównanie na pewno by mu schlebiało – za czasów gangsterskiej świetności Kulawy świadomie wzorował się na Vito Corleone.

Proces w Elblągu pochłonął wymiarowi sprawiedliwości nie tylko ponad pięć lat, ale też co najmniej cztery miliony złotych. Przez ostatnie półtora roku, na żądanie Kulawego i jego żony Elżbiety, odczytywano ponad dwieście tomów akt sprawy. W tym czasie Jan R. zazwyczaj spał, a jak się obudził – rzucał obelgi na wszystkich i za wszystko. „Pod tym względem nie zmienił się przez blisko osiem lat odosobnienia w areszcie śledczym i nie ma podstaw, by sądzić, że zmieni się w przyszłości” – podkreślał w mowie końcowej prokurator.

Przewlekłość procedur sprawiła, że oskarżeni o zabójstwa gangsterzy zaczęli wychodzić na wolność. Marcin K., ps. Kacper, szef bojówki z Elbląga, opuścił areszt w kwietniu 2011 roku po wpłaceniu 800 tys. zł kaucji. – Bez trudu znalazł na to pieniądze, chociaż dotąd nie było go stać na adwokata, dlatego na koszt podatników przydzielono mu obrońcę z urzędu – podkreślała rozczarowana decyzją Sądu Apelacyjnego w Gdańsku wdowa po zamordowanym Jerzym Ornowskim. Na wolności Kacper używał życia, odwiedzał solaria, królował na dyskotekach, aż w jednej z nich wdał się w bójkę. Ochroniarz, działając w obronie własnej, przestrzelił mu kolano. W szpitalu wstawiono mu nowe, tytanowe, na koszt podatników.

Celę opuścił także kolejny członek śmiertelnej bojówki, Marcin G. Oskarżycielki posiłkowe skarżyły się nam, że przed salą rozpraw Marcin G. patrzył na nie z nienawiścią i pogardą. Demonstrował zażyłość z adwokatami, którzy poklepywali go po ramieniu, familiarnie nazywając Grzywkiem.

Proces potwierdził tezę, że Kulawy był jedynym w Polsce bossem dzielącym władzę z kobietą. „Towarzyszyła mężowi w jego działalności przestępczej wiernie i bezkrytycznie, wypełniając jego polecenia i realizując przestępcze przedsięwzięcia podczas jego nieobecności. Ukształtowało ją to samo, co męża, poczucie bezkarności, któremu wciąż ufa” – mówił w mowie końcowej prokurator, żądając dla Elżbiety 15 lat więzienia.

Kiedy na jednej z rozpraw ujawniono materiały z podsłuchów, świadczące o tym, że żona nie była jedyną kobietą w życiu Jana R., Elżbieta ukradkiem ocierała łzy, ale wciąż jak lwica walczyła w obronie męża. Po opuszczeniu aresztu nie spuszczała z tonu. Oto fragment maila, jaki od niej otrzymaliśmy: „W oparciu o wyznania brata mojego męża – alkoholika od przeszło trzydziestu lat i fantazje detektywa Rutkowskiego, a w szczególności policjantki [tu nazwisko znienawidzonej funkcjonariuszki CBS], oraz wyselekcjonowany i udostępniony dziennikarzom przez Sędziego »materiał dowodowy« w sprawie, wykreowano mojego męża na herszta mafii, i to na skalę międzynarodową. Mnie przy tej okazji mianowano na... szefa tej wirtualnej mafii. Właśnie tylko o ten wieloletni szum medialny wokół tej sprawy sędzieza Władysław Kizyk mógł usprawiedliwić swój wyrok wobec opinii społecznej. Czy sędzieza ten złożył wam – dziennikarzom podziękowania za cierpliwą i wieloletnią współpracę? Gratuluję wytrwałości w tej owocnej »pracy dziennikarskiej«”.

– **Co się stało ze Stanisławem Biejem i Jerzym Ornowskim?** – spytaliśmy przed laty Czesława R., brata Kulawego.

– Jak to co? Nie żyją. Święci nie byli.

– **Skąd pan wie, że nie żyją?**

– Brat mi o tym powiedział. Nie raz zresztą, między innymi wtedy, jak byliśmy na rybach.

– **Co panu powiedział?**

– Że zrobił porządek z tymi chujami.

– **Porządek?**

– No tak. Nie wiecie, co to znaczy zrobić z kimś porządek?

– **Nie.**

– To znaczy zabić. Po prostu zabić. Jak byliśmy na rybach, to tak mi powiedział.

– **Jak ich zabito? Gdzie są ciała?**

– A tego to ja nie wiem. Brat mi aż tak nie ufał, żeby takie rzeczy zdradzać. Jak zaginał mój kolega,

ten L., to obwinałem brata, kłóciłem się z nim, że zabił mi kumpla. Wtedy przestał traktować mnie poważnie, bo za dużo mówiłem.

- **W sądzie też pan to wszystko powie?**
- Jeśli sąd mnie o to spyta, to powiem.

Kilka miesięcy później na jednej z rozpraw Czesław R. złożył wyjaśnienia tej samej treści.

Prawo do zabijania

Rozmowa z Lucyną Biej, oskarżycielką posiłkową:

– **W mowie oskarżycielskiej powiedziała pani, że nie byłoby was, żon, na sali sądowej, gdyby wasi zamordowani mężowie byli łajdakami.**

– Cokolwiek by o nich powiedziano na tej czy na innej sali sądowej, nie uwierzyliśmy, że tamtego dnia zostawili swoje rodziny, porzucili nas dla innych kobiet czy innego życia. A przecież i takie argumenty padały ze strony niektórych adwokatów w głośnych komentarzach przed salą rozpraw czy w rozmowach z dziennikarzami. Taka podłość nie leżałaby w naturze naszych mężów. Ani przez chwilę w nich nie zwątpiliśmy. Gdyby nasi mężowie byli łajdakami, dawno ułożyłybyśmy sobie życie, nie zawracałybyśmy sobie głowy tymi wyjazdami do Elbląga. Każda rozprawa to 860 kilometrów do pokonania w obie strony. Wcześniej, gdy proces toczył się kilka razy w tygodniu, kursowałyśmy pomiędzy Szczecinem a Elblągiem z dnia na dzień, robiąc ponad 2,5 tysiąca kilometrów tygodniowo. Na własny koszt, bo przecież oskarżycielom posiłkowym nie przysługuje zwrot kosztów podróży.

– **Ani przez chwilę nie łudziłyście się panie, że wasi mężowie żyją gdzieś w ukryciu?**

– Nie raz się zastanawiałyśmy, co obaj musieliby zrobić, żeby uciekać za granicę, zrywając wszelkie więzi z bliskimi, bez słowa opuścić i nas, i dzieci, poza którymi obaj świata nie widzieli. Jakie miliony musieliby ukraść, żeby tak zrobić? Ilu ludzi pozabijać? Jeżeli rzeczywiście mieliby uciec, to dlaczego adwokaci nie ustalili miejsca ich pobytu, aby obalić zarzuty prokuratora? Jesteśmy przekonane, że wszyscy obecni na sali sądowej od początku nie mieli złudzeń i wiedzieli, jaka jest prawda.

– **Patrzyłyście panie zabójcom prosto w oczy.**

– Nie było nam łatwo zachować spokój. Wymagano od nas, aby zabójców Staszka i Jurka nazywać oskarżonymi, by szanować ich godność i prawa. To było dla nas najtrudniejsze zadanie w życiu. Żadna z nas nie oczekiwała, że usłyszymy słowo przepraszam, zobaczymy na ich twarzach skruchę.

Ale nie spodziewaliśmy się, że zamiast tego demonstrować będą butę, kpiące spojrzenia i pogardę – nie tylko w stosunku do nas, ale całego wymiaru sprawiedliwości. Rozumialiśmy znowę milczenia oskarżonych, jest ona silniejsza niż niejedne więzy krwi. Ale tej pogardy, szczególnie w wydaniu Jana R., nigdy nie zaakceptujemy. Kulawy przez lata żył jak szef mafii, gdyż takim właśnie stworzyli go skorumpowani policjanci, nieuczciwi lekarze i sędziowie, dla których zaświadczenia o stanie zdrowia Jana R. były ważniejsze niż los jego ofiar. Dając Kulawemu ochronę, dali mu też siłę do zabijania.

– Jak zmieniło się wasze życie od chwili tamtej zbrodni?

– Przestały się dla nas liczyć święta Bożego Narodzenia, Wielkanoc i długie weekendy zarezerwowane na rodzinne wyjazdy. Każda okoliczność, która kojarzy się z radosnym świętowaniem w gronie najbliższych, jest dla nas przekleństwem. Teraz liczy się tylko data ich ostatniego wyjazdu z domu i Święto Zmarłych. Tamtego dnia telefonowałyśmy do mężów wielokrotnie. Za każdym razem słyszałyśmy suchy komunikat: „Abonent czasowo wyłączony”. Do dziś, kiedy w jakiegokolwiek komórce słyszymy takie słowa, powracają wszystkie wspomnienia. Jeśli komunikat włącza się w telefonach naszych dzieci, ogarnia nas paniczny strach, że przytrafiło im się to samo co Staszкови i Jurkowi. Dlatego nasze dzieci nigdy nie wyłączają komórek, nie przebywają bez naszej wiedzy poza zasięgiem. To tylko ułamek tego, co teraz czujemy.

– W sądzie odczytała pani fragment z pamiętnika Gabrysi Ornowskiej z 2003 roku. Stał się on częścią mowy oskarżycielskiej.

– Córka Jerzego i Heni miała wtedy piętnaście lat. Napisała, czym jest dla dziecka strata ojca. To jest ten fragment: „Moje życie legło w gruzach, kiedy zamordowano mojego tatę. Rozpacz rozdzierająca serce jest tak mocna, że miejscami doprowadza mnie do obłądzenia. Czy ktoś może sobie wyobrazić, co ja czuję i przeżywałam? Na pewno nikt. Jedyne Bóg widzi, jak wielkie jest moje cierpienie. Odebrano mi tatę. Z jego serca wydarto życie”. Do dziś Gabrysia pisze wiersze – ale tylko takie, w których opowiada o rozpaczach, pustce i snach, w których twarz ojca przesłania mgła. Mój starszy syn Daniel nie pisał pamiętników ani wierszy, miał wówczas 22 lata. Właśnie układał sobie życie, znalazł kobietę, którą pokochał, zaręczyli się. Niedługo miało przyjść na świat ich dziecko. Śmierć ojca zniweczyła wszystko. Zrozpaczony i skłócony ze światem, oburzony, że sam nie może wymierzyć sprawiedliwości zabójcom ojca, wsiadł na motor, szukając śmierci. Był wściekły, gdy lekarze go odratowali. Jego świat się rozsypał i do dziś go nie odbudował. Mój młodszy syn Rafał, rówieśnik Gabrysi, nie odzywał się po śmierci ojca przez dwa lata.

– Zrobiliście to panie dla dzieci?

– Dla nich też, bo były wtedy jedyną siłą, która trzyma nas przy życiu. Walczymy w sądzie o przywrócenie godności ich ojcom, którą oskarżeni – podobnie jak życie – próbowali im odebrać. Obiecałyśmy naszym dzieciom, że winni śmierci ich ojców poniosą zasłużoną karę. O tym, jak

naprawdę wyglądało przez lata życie naszych rodzin po 30 maja 2003 roku, wiedzą tylko cztery ściany naszych mieszkań, w których się wszyscy pozamykaliśmy. Każde z nas oddzielnie, szczelnie zamykając drzwi swojego pokoju, ukrywając przed sobą łzy. Dla naszych dzieci śmierć ojców jest traumą, z której nigdy się nie otrząsną. Dla nas, żon, ich śmierć jest utratą bezpieczeństwa, oparcia i miłości. Strata kogoś, z kim chciało się być na zawsze, jest pustką nie do zapełnienia. Nazwanie tego, co naprawdę czujemy, jest ponad nasze siły.

– **Czas goi rany?**

– Chciałybyśmy, aby tak było... Każdego dnia Staszek i Jurek są w naszych myślach. Ale to dręczące myśli, o tym, jak umierali. Każda z nas tysiące razy zadaje sobie te same pytania: Co wtedy czuli? Jak było naprawdę? Czy jeden patrzył na śmierć drugiego, kto pierwszy umierał? I jak długo? Jeśli przyjąć, że ich telefony zamilkły o godz. 18.15, a mordercy biegali za łopatami i wapnem około 21, to nasi mężowie byli w rękach oprawców przez niemal trzy godziny. Koszmar, który przeżywali przed śmiercią, będzie do końca życia także naszym koszmarem.

– **Widuje pani męża w snach?**

– Często śni mi się, że go szukam.

– **Znajduje go pani?**

– Kiedy Staszek żył, żartował sobie, że nie może się urwać z kolegami na wódeczkę, bo zaraz go wytropię. Nawet gdy nie było komórek i GPS-ów, zawsze potrafiłam go zlokalizować. I którejś nocy, już po jego śmierci, przeproszałam męża we śnie, że tym razem nie daję rady, że wciąż szukam go bezskutecznie. Uśmiechnął się wtedy do mnie i powiedział: „Nie zamartwiaj się, Luśka. Kiedyś na pewno mnie znajdziesz. Przecież zawsze mnie znajdowałaś”. Niedawno znów miałam sen. Scenariusz niczym z mowy sądowej mecenasa, który bronił zabójców: że niby Staszek i Jurek wyjechali za granicę i zwiążali się z innymi kobietami. W tym śnie wpadłyśmy na ich trop. Następnego dnia zadzwoniła do mnie Henia. „Śniło mi się, że ich znaleźli” – powiedziała.

– **Gdzie zapalacie panie znicze?**

– Chciałyśmy niedawno postawić naszym mężom pomnik, jednak urzędnicy nie wyrazili zgody, bo nie ma zwłok. Znicze palimy na Goryniu, na Mazurach, koło tej grobli, gdzie banda Kulawego ukryła zwłoki Staszka i Jurka pod kilkoma tonami ziemi zwożonej ciężarówkami.

– **Przecież policja wielokrotnie przeszukiwała groblę. Bezskutecznie.**

– Torf wciągnął ciała wiele metrów w głąb. Żaden georadar ich nie wykryje. Ale oni tam są. Obie to czujemy.

W maju 2013 roku Sąd Apelacyjny w Gdańsku uchylił Kulawemu i Kacprom wyroki za podwójne zabójstwo i skierował sprawę do ponownego rozpoznania. „Było wiele domniemań i hipotez, ale nie

wszystkie zajął się oraz nie zostały poparte dowodami. Sąd niższej instancji nie dokonał szczegółowej analizy wszystkich faktów ubocznych. W takim przypadku o uznaniu słuszności zarzutu można mówić tylko wtedy, gdy wszystkie poszlaki łączą się i zajął się i żadna z nich nie dopuszcza innej wersji” – krytykowała wyrok z Elbląga sędzia Beata Fenska-Paciorek. Prawomocne wyroki dla małżeńskiej pary kierującej gangiem, jakie zapadły w Gdańsku, to 15 lat dla Jana R. i 7 lat dla Elżbiety R.

Sprawa o podwójne zabójstwo przeciwko Kulawemu i Kacprom toczyć się będzie od nowa. Ma zatem szansę przejść do historii sądownictwa – obok sprawy gangu Krakowiaka – jako najdroższy proces karny w Polsce.

XVI. Nikoś, Rympałek i (prawie) cała reszta

W naszej książce opowiedzieliśmy o losach ludzi z najgroźniejszych przestępczych grup zorganizowanych działających w Polsce w latach 90. Mamy pełną świadomość, że pominęliśmy wiele postaci i gangów, chociaż swoimi „dokonaniami” zasłużyły na uwiecznienie. Musieliśmy jednak z przyczyn obiektywnych (objętość) dokonać jakiejś selekcji.

Nie sposób jednak pominąć słynnego Nikosia, który przewijał się w sprawie zabójstwa generała Papały. Niegdyś Nikoś błyszczał wśród pierwszoplanowych postaci świata przestępczego niczym gwiazda, a potem zgasł nagle i niespodziewanie podczas śniadania spożywanego w pewnej agencji towarzyskiej.

Przygody Nikodema S.

Nikodema S., ps. Nikoś, z Gdańska do dziś nazywa się ojcem chrzestnym polskiej mafii. To on, a nie słynny Pershing czy Dziad, już w drugiej połowie lat 70. stworzył pierwszą zorganizowaną grupę przestępców, złożoną z około dwustu waluciarzy, szulerów i złodziei z Trójmiasta. Kontrabanda Nikosia, czyli kradzione w Niemczech i Austrii samochody, przekraczała polskie granice wiele lat wcześniej niż papierosy, spirytus i elektronika szmuglowana przez „Pruszków” i „Wołomin”.

– To właśnie Wybrzeże, a nie podwarszawskie miejscowości, jest miejscem narodzin polskiej mafii, a Nikoś rzeczywiście był niekwestionowanym bossem ówczesnego podziemia – przyznaje Marek Biernacki, szef MSWiA w rządzie Jerzego Buzka i minister sprawiedliwości w rządzie Donalda Tuska.

Nikoś zasłynął najpierw jako „król bramek” – ale nie tych na granicy, lecz w pierwszych w Polsce ekskluzywnych klubach nocnych na Wybrzeżu. Pracował jako wykidajło m.in. w Maximie w gdyńskim Orłowie i w Lucynce w Gdańsku. Zjednywał ludzi humorem, hojnym gestem (wpuszczał czasami za darmo, dokładał do rachunków, umarzał długi) oraz hucznymi imprezami, organizowanymi nad ranem, już po zamknięciu lokali. Uwielbiał zmrozonego szampana, widok morza z orłowskiego mola i kuchnię w pobliskim Skorpionie (knajpa położona na skarpie przy plaży).

Miał słabość do hazardu, ale jego największą miłością był trzecioligowy wówczas klub piłkarski Lechia Gdańsk. Nie opuścił żadnego meczu swoich ulubieńców, najlepszym zawodnikom fundował atrakcyjne wczasy, dawał na boku sowite nagrody. W końcu został oficjalnym sponsorem drużyny i zyskał nawet od władz miasta tytuł „Zasłużonego dla Gdańska”.

Już wtedy, kiedy kojarzono go głównie ze sportem i klubami nocnymi, Nikoś miał w kieszeni polsko-niemieckie przejścia graniczne. Kradzione na Zachodzie i przewożone do Polski auta liczone w tysiącach sztuk – nieoficjalnie, gdyż policja i służby celne słyszały o procederze, ale nikogo nie łapały. Nic dziwnego, skoro poza złodziejami i przemytnikami, w samochodowym interesie pomagali Nikosiovi urzędnicy miejscy (w wyrabianiu nowych tablic rejestracyjnych i dowodów rejestracyjnych), skorumpowani celnicy i właściciele warsztatów samochodowych, przechowujący kradzione samochody. Nikodem S. miał też przyjaciół w wyższych sferach, m.in. prokuratorów, wojewódzkich notabli i syna ówczesnego premiera – Andrzeja Jaroszewicza. Podejmował ich w Skorpionie, sopockim Grand Hotelu oraz w stadninie koni pod Jabłonną, której był właścicielem.

– Wezwałem go niegdyś na przesłuchanie w sprawie kradzieży samochodów i gdy się pojawił, sprawiał wrażenie gwiazdy, która zawitała w naszych skromnych progach na gościnnych występach – wspomina go emerytowany prokurator ze Szczecina. – Elegancki, wypachniony, z nienagannymi manierami. I oczywiście w asyście ochroniarzy. Oczywiście na temat tamtych samochodów nie miał nic do powiedzenia.

Po dziesięciu latach prosperity w interesach Nikoś zdecydował się na wyjazd z Gdańska. Najpierw, razem z żoną, przeprowadził się do Hamburga, gdzie wspólnie ze znanym przemytnikiem narkotyków Zbigniewem Nawrotem prowadził sklep z elektroniką. Zajął się też przemytem amfetaminy i handlem bronią. Po kilkunastu miesiącach, w listopadzie 1986 roku, wyjechał na stałe do Berlina, ponieważ stamtąd – jak mawiał – lepiej kontrolował interesy samochodowe. Już wtedy miał pierwsze problemy z milicją – w 1985 roku aresztowano w Polsce 15 osób z jego gangu, a policja niemiecka wyłapała ponad stu jego współpracowników. Nikt nie sypnął bossa, chociaż zapadały wysokie wyroki.

Pierwszy wpis Nikosia do policyjnej kartoteki nastąpił w 1989 roku, kiedy niemieckie służby kryminalne przyłapały go na kradzieży luksusowego audi. Z wyrokiem 1 roku i 9 miesięcy pozbawienia wolności trafił do berlińskiego więzienia Moabit. Czekał go jeszcze nowy proces, tym razem za kierowanie związkiem przestępczym, ale po trzech miesiącach odsiadki zniknął jak kamfora. Wyszedł za mur w ubraniu młodszego brata Marka, który, wcale nie przez przypadek, akurat zjawił się u niego na widzenie. Służba więzienna odkryła prawdę po kolejnych trzech miesiącach, ale już wtedy Nikoś był w Polsce.

Cieszył się wolnością trzy lata – z małymi przerwami, bo polska policja dwukrotnie go łapała, ale traciła podczas przejazdu konwoju, a on z niewyjaśnionych do dzisiaj powodów nadzwyczaj łatwo pryskał policjantom sprzed nosa. Na dobre schwytano go dopiero w lutym 1993 r. – na warszawskim

Żoliborzu. Prokuratura postawiła mu zarzuty usiłowania sprzedaży kradzionego mercedesa, posługiwania się fałszywym paszportem oraz ucieczki z policyjnego konwoju. Skazano go za ledwie na dwa lata, ponieważ sąd uwierzył oskarżonemu, że kluczyki od mercedesa dał mu „znajomy, który był zbyt pijany, żeby odprowadzić auto do Katowic”. Znajomego nigdy nie odnaleziono, za to Nikoś krótko po procesie wyszedł na wolność za dobre sprawowanie. Podobno próbował wtedy przykleić się do starego „Pruszkowa”, ale go pogoniono. „Twoje akta wożono od Niemiec do Polski, tyle tego było, a ty po chwili wychodzisz na wolność?” – miał usłyszeć na spotkaniu z szefami, kiedy złożył propozycję współpracy. „Wara stąd, konfituro” – powiedzieli mu młodzi pruszkowscy. Rozeszło się po Polsce, że Nikoś sprzedaje kolegów. Mówiono, że film z jego wesela służy jako materiał poglądowy dla policji z pionu do walki z przestępczością zorganizowaną. Nikoś miał im tłumaczyć, who is who w „Pruszkowie”. Nie wiemy, czy tak rzeczywiście było, ale środowiskowy ostracyzm skazał Nikosia na pobyt w Gdańsku.

Na Wybrzeżu był legendą. Cały trójmiejski półświatek pracował dla niego, a on brylował w kasynach i najdroższych hotelach. Widywano go w towarzystwie aktorów, artystów rockowych i samorządowców, których przyjaźń cenił sobie najbardziej, gdyż pomagali mu inwestować „ciężko” zarobione za granicą pieniądze w nieruchomości. Miał nawet ambicje artystyczne, przy jego pomocy zrealizowano film fabularny *Sztos* o trójmiejskim półświatku. Zagrał tam krótki epizod, ale głównie służył konsultacjami, a ponoć nawet w jakiejś części sponsorował to dzieło. Przy okazji chętnie pozował do fotografii razem z czołówką polskich aktorów. Jedna z aktorek zawile tłumaczyła potem dziennikarzom, że wcale nie wiedziała, że facet obok niej na zdjęciu to czołowy polski mafioso.

Kobiety, wille i stypa

Nikodem S. miał trzy żony. Pierwsza, która była podobno miłością jego życia, wcześniej umarła. Dwie kolejne mieszkały w sąsiadujących ze sobą domach przy tej samej ulicy w Gdańsku-Jelitkowie, niedaleko hotelu Marina, jakieś kilkaset metrów od morza. Do pierwszego domu Nikoś wprowadził się po ślubie z Haliną – energiczną bizneswoman. Willa należała do niej, więc po rozwodzie Nikoś spakował walizki. Przeniósł je parę metrów dalej do domu odkupionego od współnika w interesach i przyjaciela Wojciecha K., założyciela znanego towarzystwa ubezpieczeniowego (podczas zamachu, w którym zginął Nikoś, dostał kulę w nogę; próbę rozmowy o tamtych czasach ucina wyjątkowo stanowczym „dziękuję bardzo”).

Nikoś w ogóle nie chciał słyszeć o przeprowadzce do innej dzielnicy. Miał wyraźną słabość do tego miejsca. Znajomi namawiali go na zakup rezydencji w Kamiennej Górze, ekskluzywnej dzielnicy Gdyni, ale on był sentymentalny. Mówił: „Wolę sąsiedztwo rybaków niż nuworyszy”. Jakiś czas

później do Nikosia wprowadziła się Edyta, jego trzecia żona. – Wiedziałam, że obok mieszka była żona Nikodema, i nie widziałam w tym problemu. Od ich rozvodu minęło kilka lat, a ja nie byłam powodem rozstania – tłumaczy nam wdowa po Nikodemie S.

Jednak to pierwsza willa, w której mieszkał z Haliną i córką Natalią, kojarzy się z nim do dziś. Dom wygląda jak każdy inny „kwadraciak” wybudowany w czasach PRL-u, chociaż wyraźnie nad nimi góruje. Dawni bywalcy twierdzą, że wnętrza urządzone ze smakiem, bez nowobogackiego przepychu: włoskie meble, skórzany wypoczynek, ciepłe oświetlenie. Gospodyni dbała o porządek, często robiła remont. Dół willi zajmowała restauracja Caravelle, nazywana przez taksówkarzy knajpą U Nikosia. Przyszły boss trójmiejskiego półświatka osobiście pilnował, by żaden z gości po opuszczeniu lokalu nie zakłócał ciszy nocnej. Zaparkowane pod domem ciemnogramatowe porsche gospodarza (podobno pierwsze w Polsce) budziło większy respekt niż obecność radiowozów. Zresztą milicja rzadko tam zajeżdżała. – Nie jest tajemnicą, że już w latach 70. Nikoś był agentem, więc mundurowi dawali mu spokój. Czasami tylko wpadali, żeby z nim pograć w ping-ponga – opowiada były policjant KWP w Gdańsku.

Drugi dom, ten odkupiony od przyjaciela, kojarzy się głównie ze stypą po szefie trójmiejskiej mafii. 24 kwietnia 1998 roku w gdyńskiej agencji towarzyskiej Las Vegas dwaj nieznani dotąd sprawcy oddali do niego śmiertelne strzały. Mówiono, że była to zemsta „Pruszkowa” za przyjaźń ze znieawidzonym Wariatem, bossem z Wołomina.

Zaraz po uroczystościach pogrzebowych na jelitkowskim cmentarzu zajechał tu sznur czarnych bmw. Kilkunastu żałobników w ciemnych okularach i garniturach od Armaniego przekroczyło próg domu. Był wśród nich Ryszard Bogucki, pozostali to elita półświatka z Trójmiasta i Wrocławia. Nikt nie płakał po Nikosiu.

– Już tam nie mieszkam – mówi Edyta. – Tamte czasy to dla mnie rozdział zamknięty. Od jego śmierci trzymam się z dala od wszystkiego, co miało związek z tą historyczną znajomością.

W willi poprzedniej żony Nikosia wciąż jest jasno i gwarno. Są tu pokoje do wynajęcia, letnicy chwala sobie miłą atmosferę i porządek. Kilka lat temu mieli się tam wprowadzić oficerowie łącznikowi z Niemiec. Przyjechali do Polski służbowo, ale pod przykryciem, nie afiszując się legitymacjami. Właśnie finalizowali formalności, gdy ktoś im doniósł, że mieszkał tu Nikoś. Tamtejsza policja dobrze go znała: w Niemczech kradł na potęgę, a gdy wreszcie został schwytany, brawurowo uciekł z więzienia. Tajniacy w popłochu przenieśli się ulicę dalej. Woleli wynająć dom od pasera niż przespać się w pokoju Nikosia.

Warszawska stypa po Nikosiu odbyła się w hotelu Marriott. Masa wierzy do dziś, że tamtego dnia miał zginąć. – Miałem zostać zastrzelony na hotelowym parkingu, w drodze do samochodu. Ostrzegł mnie ktoś zaufany, którego nie mogę ujawnić. W połowie imprezy powiedziałem żonie, żeby wyszła do toalety. Zaraz ją stamtąd wyciągnąłem i pobiegliśmy do auta. Na nasze szczęście wynajętego przez

starych pruszkowskich killera jeszcze nie było. Miałem zginąć za to, że ostrzegałem Nikosia przed grożącym mu niebezpieczeństwem – twierdzi Masa.

Postać Nikosia stała się wzorem do naśladowania dla całych pokoleń młodszych bandytów. Nawet prymitywny osobnik z Wyszkowa, znany jako Uchal, zapatrzył się na Nikosia i jak on zapragnął ulokować kapitał w stadninie. Zresztą udało mu się, założył swoją hodowlę koni. Chociaż sam trafił w końcu do więzienia, to konie wciąż miał.

Uchal, król Wyszkowa

Przez wiele lat nadbużański Wyszków bezkarnie i bezczelnie terroryzowała banda oprychów dowodzonych przez Sławomira O., ps. Uchal. Prokuratora, który próbował z nimi walczyć, zatłuczono niemal na śmierć, policjantów zblatowano, ludność zastraszano.

Uchal – ksywka od dużych, odstających uszu – potężne chłopisko, mięśnie mozolnie wyrzeźbione na siłowni. Do Wyszkowa przeprowadził się wraz z rodzicami przed laty, ze wsi. Matka dostała tu pracę. Ojciec chorował, prawie nie wychodził z domu, przeważnie leżał w łóżku. Ponoć do końca życia nie mógł się pogodzić z faktem, że Polska Ludowa odebrała jego rodzinie poważny majątek – kamienice w Łomży. Uchal w przypiływie nostalgii opowiadał czasem kolegom o tych kamienicach. Nie wiedział, że z tego powodu kumple nazywali go między sobą Żydkiem.

W oczy nikt by go tak nie nazwał, bo Uchal miał potężne pięści. Już na przełomie lat 70. i 80. stał się w Wyszkanie znaną postacią. Trochę złodziej, trochę bandzior, prowadził barwne jak na tamte czasy życie. Alkoholowe imprezy, panienki i bójki z kolesiami – tak zaczynał król wyszkowskiego półświatka.

Na dobrą sprawę nikt nie wie, jak to się stało, że Uchalowi pozwolono aż tak się wybić. Z drobnego rzezimieszka nagle przeistoczył się w bossa potężnego, liczącego ponad stu żołnierzy gangu. Podporządkował sobie bandy z całego północnego Mazowsza, z Kurpiowszczyzny, jego wpływy sięgały aż do Suwałk. Współpracował na równych prawach z mafią wołomińską. Uchal to był ktoś.

Prokurator Robert Strzeмиński, wówczas szef Prokuratury Rejonowej w Wyszkanie: – Trochę ich zlekceważono. – Nadkomisarz Andrzej Sz., komendant powiatowej policji w Wyszkanie, mówił nam w 2004 r.: – Drobnii złodzieje, którzy wyrosli ponad miarę i stworzyli strukturę przestępczą.

Nikt nie potrafi sprecyzować, jaka jest miara, ponad którą nie wolno wyrosnąć drobnym złodziejom. Nie wiadomo też, przynajmniej oficjalnie, dlaczego Uchala i jego ludzi zlekceważono. A może diagnoza powinna brzmieć inaczej – to nie lekceważenie, ale zblatowanie umożliwiło rozwój choroby. Banda wczepiła się w miasto niczym rak, który atakuje przerzutami, niszczy zdrowe tkanki i powoli zabija.

Pierwszy przerzut – prokuratorski. Przez lata adwokatem Uchala był P., kiedyś prokurator z Wyszkowa. Gdy prokurator przemienił się w adwokata, Uchal zyskał cennego obrońcę z odpowiednimi znajomościami i wpływami w środowisku prawniczym. Adwokat Uchala sam odpowiadał przed sądem pod zarzutem przedstawienia zaświadczenia lekarskiego potwierdzającego nieprawdę. Zaświadczenie wystawił na prośbę mecenasa pewien znany ginekolog z Instytutu Matki i Dziecka w Warszawie, wcześniej zatrudniony w ZOZ w Wyszkowie (mecenas P. był tam radcą prawnym). Pismo potwierdzało, że na oddział szpitalny została przyjęta Marzena O., druga żona Uchala. To wystarczyło, aby sąd zwolnił go w 1997 r. z aresztu za kaucją zaledwie 5 tys. zł. Tymczasem kobieta Uchala wcale nie leżała wtedy w klinice, wszystko było blefem, dzięki któremu bandyta wyszedł z krat i zniknął. Listem gończym poszukiwano go aż do lutego 2001 r.

Drugi przerzut raka – policyjny. Na początku lat 90. oficer policji z wojewódzkiej Ostrołęki podczas pobytu służbowego w komendzie wyszkowskiej ze zdziwieniem zauważył (i odnotował w raporcie), że miejscowi policjanci są z Uchalem po imieniu, mówią do niego Sławeczku. W mieście obserwowano radiowozy, które grzecznie odjeżdżały, kiedy tylko pojawiały się auta bandytów. Podczas nagrania telewizyjnego programu *Pod napięciem* (TVN) z jednej strony stali policjanci, z drugiej bandyci. Niejaki Cipa przed kamerą chełpił się, że ma w policji wtyki, płaci im za informacje.

Trzeci przerzut – sądowy. Niespotykana łagodność, z jaką wyszkowskie i warszawskie sądy przez lata traktowały wyczyny Uchala i jego ludzi. Wspomniane wyżej wyjście za drobną kaucją, list żelazny wystawiony pod koniec lat 90. przez warszawski Sąd Okręgowy, gwarantujący Uchalowi, że nie zostanie aresztowany (sąd uwierzył, że poszukiwany listem gończym przebywał wtedy za granicą, tymczasem była to nieprawda). W sprawie o brutalny gwałt dokonany przez Uchala i jego trzech kompanów SO w Warszawie uniewinnił oskarżonych i dopiero po wyroku Sądu Apelacyjnego (w którego uzasadnieniu znalazły się bardzo krytyczne oceny werdyktu pierwszej instancji) uznał ich za winnych i skazał na więzienie. Wyroki jednak okazały się wyjątkowo łaskawe – po 2,5 roku pozbawienia wolności. Sąd uznał, że chociaż gwałcili we czterech, to do pomieszczenia, w którym przetrzymywali ofiarę, wchodzili pojedynczo, więc nie doszło do gwałtu zbiorowego. Prokuratura ponownie odwołała się od kuriozalnego wyroku.

Czwarty przerzut – skarbowy. Członkowie bandy nie kryli swego bogactwa. Jeździli drogimi wozami, budowali wystawne domy. Osiadali głównie w podwyszkovskim Rybienku, gdzie z ich willami sąsiadowały posesje miejscowych notabli. Szczególnie upodobali sobie część Rybienka zwaną Latoszkim. Uchal zbudował nawet dwie siedziby, jedną zarejestrował na matkę, drugą na siostrę. Założył też stadninę koni wierzchowych. Urząd Skarbowy nigdy nie zainteresował się, skąd pochodzą pieniądze na te inwestycje. Prokuratorowi, który zwrócił się z prośbą o finansowe sprawdzenie Uchala i jego gangsterów, odpowiedziano, że to niemożliwe, bo ci osobnicy nie składają

PIT-ów. W prywatnej rozmowie jeden z szefów skarbówki wyjawiał prokuratorowi, że jego podwładni najzwyczajniej w świecie boją się kontrolować bandytów.

Piąty przerzut raka – lekarski. Prasa donosiła o epidemii, jaka wybuchła w Wyszkanie. Gangsterzy unikali aresztowań, przedstawiając zaświadczenia o chorobach psychicznych. Chorował słynny Buhaj, o złote papiery starał się też sam Uchal. W 2001 r. aresztowano go w anińskim szpitalu kardiologicznym, gdzie szukał azylu, pozorując chorobę serca.

Być może najgroźniejszy jest szósty przerzut gangsterskiego raka – porażenie strachem wyszkowskiej społeczności. Uczciwi mieszkańcy miasta zostali przez bandytów obłożeni szczególnymi podatkami. Wystarczyło przejść po tutejszych knajpkach, lodziarniach, piekarniach, drobnych firmach usługowych, małych hurtowniach i powołując się na Uchala, zażądać comiesięcznej daniny za tzw. bezpieczeństwo. Ludzie płacili bez szemrania. Nawet niebudzący grozy, zniszczony alkoholem złodziejasek z czasów PRL o kswyce Kolczyk potrafił wymusić kasę od haraczowanych. Mówił, że przybywa w imieniu Uchala, i wszystkim trzęsły się łydki.

Potem zaczęły się masowe kradzieże samochodów i propozycje ich zwrotu w zamian za okup. Zdarzały się miesiące, kiedy w 27-tysięcznym Wyszkanie ginęło po 20 aut. Policja bezradna, złodzieje bezkarni.

Wojciech Chodkowski, restaurator i właściciel hurtowni drobiu, później przewodniczący Rady Miejskiej, postanowił namówić lokalnych biznesmenów do przeciwstawienia się bandziorem. – Była bezradność i lęk. Kiedy każdy broni się osobno, musi znaleźć się jakiś pies przewodnik – opowiadał. – Ja spełniłem tę rolę.

Chodkowski, któremu podpalono hurtownię i wybijano szyby w domu, tłumaczył przedsiębiorcom, że tylko działając wspólnie, mogą dać Uchalowcom radę. W 2000 r. wybuchła wojna. Ruch oporu biznesmenów stanął do walki. Przed domem Chodkowskiego wybuchła bomba, ale to go nie przstraszyło. Stanął na czele Zrzeszenia Kupców, które z organizacji środowiskowej zmieniło się w bastion samoobrony społecznej. Przy pomocy lokalnych gazet wyszkowscy kupcy nagłośnili swoje problemy. To spowodowało, że ożywiła się policja i prokuratura. Miasto nabrało odwagi.

Szefem Prokuratury Rejonowej był wtedy Waldemar Osowiecki, wcześniej prokurator rozpracowujący przestępczość zorganizowaną w prokuraturze warszawskiej. W Wyszkanie zastąpił Zbigniewa Siejbika, którego w 1998 r. napadnięto i pobito kijami baseballowymi. Siejbik trafił do szpitala, jego oprawców schwytano, ale nigdy nie ujawnili, kto zlecił im napad. Podejrzewano o to samego Uchala. Sąd Okręgowy w Warszawie skazał ich na 3 lata więzienia. Siejbik po półrocznej rekonwalescencji już do Wyszkania nie wrócił. Osowiecki, mieszkaniec Pułtuska, dostał przydział do Wyszkania, aby zaprowadzić tu porządek. – Kiedy codziennie rano wyruszałem z Pułtuska – opowiadał – prześladowała mnie myśl, że ruszam na małą wojenkę.

Ze zdziwieniem spostrzegł, że Uchal był w Wyszkanie traktowany jak wzór do naśladowania.

Prosty chłopak, z zawodu ślusarz, a proszę, do czego doszedł: dwa domy, kilka samochodów, duże pieniądze. Osowiecki szybko zrozumiał, że to z Uchalem i jego fałszywą legendą toczy swoją wojnę.

W 2001 r. prokurator poczuł smak sukcesu, dopadł Uchala i ulokował go w areszcie. W sprawie bossa wyszkowskiego gangu zapadło kilka wyroków: 2,5 roku za wspomniany wyżej gwałt, tyle samo za żądanie haraczu za zwrot ukradzonej ciężarówki, dwa lata za paserstwo i kolejne dwa lata za sfałszowanie dowodu osobistego. Problem polega na tym, że te wyroki wcale się nie sumują. Wyszaków obawiał się, że Uchal niebawem powróci. Prokurator Osowiecki wierzył jednak, że to nie nastąpi tak szybko, bo gangstera czekał jeszcze główny proces – o zorganizowanie i kierowanie zbrojną grupą przestępczą.

W maju 2002 r. nowym szefem prokuratury wyszkowskiej mianowano Roberta Strzeмиńskiego. To za jego kadencji nastąpiło ostateczne uderzenie w gang. Ale planowanie akcji i jej wykonanie odbyło się trochę poza plecami miejscowych prokuratorów. Nie wtajemniczono też policjantów z tamtejszej komendy. Wszystkim zajęli się funkcjonariusze warszawskiego oddziału CBS, współpracujący z Prokuraturą Okręgową w Ostrołęce. W lipcu 2002 r. doszło do strzelaniny na plaży nad Bugiem. Na oczach setek świadków zastrzelono dwóch mężczyzn siedzących w luksusowym bmw, dwóch innych odniosło poważne rany. Jednym z rannych był szef konkurencyjnej dla Uchala grupy Buhaja (wcześniej działali razem). W śledztwie przyjęto wersję, że doszło do wojny gangów. Zabójców, dwóch ludzi Uchala, policja dopadła dopiero w październiku, ukrywali się w domu swojego bossa, czasowo zajmowanym przez jego byłą żonę. Obu aresztowano, a kobiecie postawiono zarzut utrudniania śledztwa.

Największa akcja CBS odbyła się jesienią 2003 roku. Dwustu antyterrorystów uderzyło jednocześnie na mieszkania kilkudziesięciu bandytów, aresztowano dwudziestu czterech. W grudniu tamtego roku w ręce policji wpadło kolejnych pięciu żołnierzy Uchala. W sumie do aresztów trafiło wtedy około czterdziestu bandytów z Wyszkowa i okolic.

Potem trwało przełamywanie strachu osób, których zeznania mogły przyczynić się do ujawnienia wszystkich przestępstw dokonanych przez bandytów spod znaku Uchala. Policja i prokuratura namawiały potencjalnych świadków do obciążania gangsterów. Na procesy czekała już cała śmietanka tutejszych mafiosów: Uchal, Wacek, Leon, Koczis, Baca, Kulas, Rudy, Buhaj, Chałapa. Ale obywatele Wyszkowa wciąż nie mogli otrząsnąć się z koszmaru, jaki towarzyszył im przez wiele lat. Pamiętali, że w porwanie 17-letniego Kamila (syna miejscowego biznesmena) w 2000 r. zamieszani byli dwaj policjanci z lokalnej komendy. Porwania dokonała słynna banda Mutantów (potem napadli w Nadarzynie na policjantów i zdetonowali w Magdalence bombę, powodując śmierć dwóch funkcjonariuszy). Mutanci współpracowali z bandytami od Uchala i korzystali z informacji wnoszonych z komendy przez sprzedajnych gliniarzy.

Po Wyszkowie krążyła też opowieść o wyprawie pod koniec lat 90. tutejszych bandziorów do

Suwałk. Leżał tam w szpitalu ranny w czasie zamachu bombowego przywódca suwalskiego gangu, niejaki Anucha. Wyszaków pojechał, aby okazać mu solidarność. Przez Suwałki wolniutko jak na defiladzie przemieściło się kilkadziesiąt gangsterskich limuzyn. Wozy zatrzymały się przed szpitalem, mafiosi wyszli i wznieśli okrzyk: „Anucha, jesteśmy z tobą!”. Miejscową policję w tym czasie gdzieś wywiało, nikt nie zareagował.

Była żona Sławomira O., ps. Uchal, mogłaby być dla prokuratorów wyjątkowo cennym świadkiem. Bitą i maltretowaną psychicznie, upokarzana przy ludziach, wytrzymała u boku Sławka, jak go nazywa, do 1993 r. Kiedy Uchal trafił na krótko do więzienia, wystąpiła o rozwód. Niedawno wydała za własne pieniądze tomik wierszy pt. *Na scenie życia*, co wywołało w Wyszkanie prawdziwą sensację. Jeden z utworów zatytułowany *Życie to teatr* stanowi rozliczenie ze Sławkiem: „Jesteś tragedią mojego życia, moim oprawcą i esesmanem, miałeś być tym, który da mi szczęście, podłym zaś stałeś się tyranem. Jesteś tragedią mojego życia, moim lekarstwem jest zaś i wiarą, że po to cierpię przez wszystkie akty, żebyś w ostatnim ty padł ofiarą”.

Marzenna O. poznała przyszłego męża w 1982 r. w szpitalu w Tworkach. Miała wtedy 16 lat, odwiedzała mamę leczącą się w szpitalu dla psychicznie chorych. W tym samym szpitalu leżał też Uchal, potrzebował zaświadczenia zapewniającego bezkarność w sprawie, jaka toczyła się wtedy przeciwko niemu. – Najpierw wcale mi się nie podobał – wyznaje pani Marzenna. – Wydawał mi się obleśny.

Wpadła mu jednak w oko, a Uchal znany był z tego, że nie odpuszczał dziewczynom, które mu się podobały. – Potrafił uwodzić, być takim czarusem – wspomina. – Dałam się na to złapać.

Kilka lat po rozwodzie Sławek zatelefonował i oświadczył, że są walentynki i ma dla niej prezent. Tym prezentem był dom w Rybieniu. Pomyślała, że może były mąż nagle się zmienił, postanowił odkupić stare winy. Zamieszkała wraz z córką w tym domu. Dopiero potem zrozumiała, że Sławek specjalnie tak to zorganizował, aby mieć ją stale na widoku, sam z drugą żoną, też zresztą Marzeną, mieszkał w pobliżu. Po strzelaninie na wyszkowskiej plaży do drzwi zastukało dwóch kolegów byłego męża. Domyślała się, że pewnie mają jakiś związek z podwójnym morderstwem, ale bała się zaprotestować, kiedy oświadczyli, że zostaną tu przez jakiś czas. Odetchnęła, kiedy do willi wpadła policja. Zaraz potem Uchal – siedzący już w więzieniu – wydał dyspozycję, aby wraz z córką opuściła ten dom. Okazało się, że prezent był umowny, hipoteka opiewała bowiem na siostrę Sławka, a o Marzennie O. w papierach własnościowych nie było mowy.

– To dziwny człowiek – charakteryzuje byłego męża. – Dla ludzi okrutny, dla mnie jak kat, a potrafił uzalić się nad losem bezdomnego psa. Lubił zwierzęta, psy, konie. To chyba świadczy, że nie był taki całkiem zły?

Wojciech Chodkowski tak kilka lat temu wspominał: – Był przez wielu traktowany jak Janosik. Krążyły opowieści o jego dobrych uczynkach, temu pomógł w nieszczęściu, tamtemu dał pieniądze.

Kiedyś zastanawiałem się, kim byłby ten Uchal, gdyby żył w czasie wojny. Może bohaterem?

Ale Uchal urodził się za późno, bohaterem nie został. Stworzył jeden z najgroźniejszych w Polsce gangów. Sterroryzował miasto. Kiedy trafił za kraty, Wyszków głęboko odetchnął. Ale nie na długo.

Proces ciągnął się przed sądem w Ostrołęce. Jednym z asów w rękawie prokuratury były zeznania pozyskanego świadka koronnego, członka gangu o pseudonimie Koczis. Ale wiarygodność Koczisa pozostawiała wiele do życzenia. Biegli psychiatrzy ocenili, że jest opóźniony w rozwoju intelektualnym. To było widać na pierwszy rzut oka, kiedy próbował odgrzebywać z pamięci fakty i zdarzenia. Obciążył między innymi komendanta powiatowego policji z Wyszkowa, Andrzeja Sz. Dla prokuratora wiarygodne były twierdzenia Koczisa, że komendant sprzedaje gangsterom informacje. Policjanta aresztowano. Po latach zmagani sądowych został całkowicie oczyszczony, ale do policji już nie wrócił.

Uchal w pierwszej instancji został skazany na 12 lat więzienia. Sprawa wracała wielokrotnie do sądu, kolejne orzeczenia zaskarżała albo obrona, albo prokuratura. Przez lata trwały zmagania, a kiedy opadł kurz bitewny, przed Uchalem uchylono więzienną bramę. Wyszedł na wolność i wrócił do Wyszkowa. Miasto czeka, co nastąpi dalej.

Rympałka napad stulecia

Koniec lat 90., sala Sądu Okręgowego w Warszawie. Składowi przewodniczy sędzia Barbara Piwnik. Ma rozstrzygnąć o winie i karze dla Marka Cz., ps. Rympałek, i przyszłości jego dwudziestu dwóch kompanów. Po wielomiesięcznym przewodzie sądowym zapadają surowe wyroki. Marek Cz. dostaje 13 lat, a dwóch jego ludzi, w tym Jacek S., ps. Falconetti, ten sam, który po latach objawił się jako mały świadek koronny obciążający w zamian za uzyskany status m.in. Zygmunta R. z tzw. zarządu „Pruszkowa” o handel narkotykami – po 15. To były jedne z najwyższych wyroków w procesach mafijnych końca lat 90.

Gang Rympałka zasłynął z wyjątkowej zuchwałości, z jaką dokonywał napadów. Wszystkie szczegóły swoich akcji Rympałek planował z niesłychaną precyzją, jak w szwajcarskim zegarku. Rozpracował go Piotr W., wówczas oficer wydziału ds. przestępczości zorganizowanej Komendy Stołecznej w Warszawie. Było to możliwe głównie dlatego, że Piotr W. miał w sferach gangsterskich swojego agenta. Był nim – o czym już pisaliśmy – Jarosław S., ps. Masa, członek grupy pruszkowskiej, dzisiaj świadek koronny. Masa działał wtedy w bandzie Rympałka. Wiedział o niej wszystko.

Najważniejszy skok tamtej grupy prasa nazwała napadem stulecia – 28 listopada 1995 r. na ulicy Zamiany na warszawskim Ursynowie bandyci zaatakowali konwój przewożący pieniądze na wypłaty

dla pracowników ZOZ. Zrabowali 12 mld starych zł, postrzelili konwojenta.

Półtora roku wcześniej, w marcu 1994 r., ludzie Rympałka napadli na autokar wiozący turystów do Turcji. Sterroryzowali kierowcę, kazali mu wjechać do lasu i tam obrabowali uczestników wycieczki na łączną sumę 1 mld 650 mln starych zł. Trzecim spektakularnym wyczynem grupy był – dokonany 17 lipca 1995 r. – napad na klienta Banku Depozytowo-Kredytowego przy ul. Puławskiej w Warszawie. Bandyci obserwowali go od kilku dni, wiedzieli, kiedy wypłaci w banku pieniądze, i znali wysokość sumy – prawie 2,5 mld starych zł. W bocznej uliczce przed bankiem jeden z gangsterów czekał w specjalnie na tę okazję ukradzionym seacie, z włączonym silnikiem. Krzysztof B., ps. Ziomał, udawał młodego tatusia spacerującego z dzieckiem w wózku. Tyle że zamiast niemowlaka w beciku ukrywał karabin maszynowy. Kiedy obserwowany klient wyszedł z banku i próbował otworzyć drzwi od swojego wozu, Ziomał wyciągnął z wózka broń i zażądał pieniędzy. Napadnięty żądanie spełnił, forszę przejął Jacek S., ps. Falconetti. Bandyci szybko się oddalili, wsiedli do seata i zniknęli.

Warszawa była przerażona serią napadów. Krytykowano beczynność policji, więc ta wzięła się w końcu do roboty. Penetrowano środowiska przestępcze. Stołeczni gangsterzy mieli z tego powodu kłopoty, za co winą obarczali, poniekąd słusznie, Rympałka i jego ludzi. – Wańka, ten od „Pruszkowa”, nazwał ich wtedy tyfusami – wspomina Piotr W. – W świecie przestępczym tak nazywa się osobników, którzy szkodzą środowisku, bo idą na każde ryzyko, kradną bezczelnie, przez co narażają innych. Tak zwany młody „Pruszków”, te wszystkie Bryndziaki i Mięśniaki, też zwano tyfusami.

Według Piotra W. szczytowym osiągnięciem Rympałka i jego ludzi był napad na ul. Zamiany. – To było perfekcyjne – ocenia po latach. – A dlaczego? Bo plany przygotowywało dwóch byłych antyterrorystów. Tyle że później popełnili błędy. Nawoływali się przez telefony, a myśmy mieli ich już na podsłuchu. I zanotowaliśmy takie dialogi: „Biały, to się, kurwa, zgubił”, „Gdzie jest Pinokio?”, „Pinokio wraca autobusem, bo mu się auto zepsuło”. I tak dalej. Mieli tam na współpracy pewnego policjanta, Edek miał na imię. Ten ich nieźle na kasę robił.

Edwardowi Sz., bo o nim mowa, prokurator postawił zarzut przyjęcia od bandytów 16 tys. dolarów łapówki w zamian za pomoc w ukryciu łupów pochodzących z napadu i broni. Piotr W. tak relacjonuje stosunki między gliniarzem a bandą: „Oficjalnie on pozyskał do współpracy z policją jednego z członków grupy, ale w rzeczywistości to grupa pozyskała jego. Do tego stopnia, że informował ich o ruchach policji, o zagrożeniach. I przy okazji ciął ich, jak tylko umiał. Na przykład spotykał się z Falconettem i tak mówił: Kurwa, ale mam niefart. Co się stało? No, zobacz, pensję mi zajebali, nie mam z czego żyć. Falconetti pyta: Dobra, to ile ty zarabiasz? No, dwadzieścia baniek, bo wtedy w milionach się liczyło. Dobra, to masz te 20 baniek. Za miesiąc ta sama gadka, znów mu ktoś pensję ukradł. No to masz 20 milionów. Ale, ale, ja awansowałem, mówi ten Edek, teraz zarabiam 25 baniek. Przed sądem jednak Edward Sz. z większości zarzutów się wybronił, skazano go na 2,5 roku

więzienia.

Na jednej z rozpraw podczas procesu gangu Rympałka odtworzono kasetę przedstawiającą bitego i przypalanego miotaczem ognia młodego mężczyznę (sceny te zostały wykorzystane w serialu *Alfabet mafii*). Eksperci z Centralnego Laboratorium Kryminalistyki KGP nie mieli wątpliwości, że są to zdjęcia autentyczne. Zidentyfikowano twarze sprawców i ofiary – Grzegorza W. Wezwano go na świadka. Ale Grzegorz W. nie chciał patrzeć na film. Odwrócił się tyłem do monitora i nerwowo syczał. Po chwili dał prawdziwy popis arogancji, lekceważył sąd i ubliżał prokuratorowi. Jego zachowanie zaskoczyło nie tylko sędzię Barbarę Piwnik, ale nawet oskarżonych.

Grzegorz W. po prostu się bał. Wolał trafić do aresztu za obrazę sądu niż przyznać się, że to on występuje w bandyckim filmie w roli ofiary. – Wiedział, że zlikwidowano dwóch świadków, którzy mieli zeznawać w tym procesie. Zastrzelono ich w centrum Warszawy. Nie chciał być następny w kolejce. Grzegorz wrócił do domu dopiero siedem dni po tym pobiciu. Próbował ukryć prawdę, ale jego wygląd mówił sam za siebie. Namawiałam go, aby poszedł na policję, ale on stanowczo odmawiał. „Po co?! Żeby tobie i mnie łeb urwali?” – opowiadała nam w rozmowie telefonicznej matka przypalanego mężczyzny.

Jeden ze skazanych w procesie Rympałka to Remigiusz P., ps. Remek. Swoją karę odsiedział. Dopiero potem powiadomił prokuratora, że podczas rozprawy sądowej nie ujawnił swojej wiedzy o świecie przestępczym. Powiedział, że może to zrobić teraz, w zamian za status świadka koronnego. – Ta wiedza była moim kapitałem – mówił nam Remek. – Poza tym nie miałem nic, kompletny golas. I tak zostałem koronnym pogrążającym warszawski świat przestępczy.

Cały warszawski półświatek stawiał zakłady, że po wyroku Rympałek wróci do gry. Nie pomylili się.

„Pruszków” – reaktywacja

Na przełomie 2007 i 2008 roku do policji dotarły niepokojące sygnały o reaktywacji zarządu grupy pruszkowskiej. Po latach bezkrólewia spowodowanych masowymi aresztowaniami po zeznaniach Masy i świadka koronnego Marka S., ps. Sikor, organizacja spod znaku „Pruszków” znów stała się silna. Siedmioosobowe szefostwo, tym razem wzbogacone o trzech obcokrajowców, stworzyli ludzie owiani prawdziwą gangsterską sławą. Media najczęściej wymieniały 33-letniego wówczas Rafała S., ps. Szkatuła, bezskutecznie ściganego od kilku lat listem gończym, ale postacią numer jeden w rzeczywistości miał być Marek Cz., ps. Rympałek.

Po odbyciu kary, wiosną 2007 roku, Marek Cz. natychmiast dołączył do żołnierzy Szkatuły, którzy szykowali się właśnie do ostatecznego starcia z konkurencją spod „Wołomina”. W nagrodę za wierną

służbę mafii (nie poszedł na układ z prokuraturą, nie sypał kumpli) wprowadzono go do zarządu „Pruszkowa”. Poza Rafałem S. w zarządzie byli już – jak nieoficjalnie twierdziła policja – Wojciech S., ps. Wojtas, i Artur N., który zyskał rozgłos i uznanie tym, że za łapówki załatwił sobie w Komendzie Stołecznej Policji pozwolenie na broń. To polska część szefostwa, resztę miejsc obsadzili obcokrajowcy: Vladimir S., ps. Vadim (prywatnie partner eks-żony Słowika), Piotr D., ps. Pietia (w rządzeniu nie przeszkadzało mu nawet to, że trafił do celi), oraz Emil K., rzekomo powiązany z ceczeńskimi grupami mafijnymi w Polsce. Funkcjonariusze Komendy Głównej Policji mówili nam wówczas, że obcokrajowcy w zarządzie „Pruszkowa” mają „dziwne znajomości wśród handlarzy ropą, a to może wskazywać, że stoją za nimi służby specjalne”.

Na warszawskie gangi padł wtedy blady strach. Podobno cała konkurencja „pochowała się po norach”. Dziwiono się, że w ogóle doszło do takiej międzynarodowej komitywy. Owszem, związki z rosyjską mafią mieli już starzy pruszkowscy, ale chodziło wyłącznie o interesy, nigdy o wspólne rządy.

„Siedmiu wspaniałych”, jak ich czasami nazywano, zbudowało swój autorytet na eliminowaniu niepokornych, którzy nie chcieli uznać zwierzchnictwa lub dzielić się pieniędzmi, także na pozbywaniu się potencjalnych świadków koronnych, mogących brać przykład z Masy. Mówiono, że to właśnie nowe szefostwo wydało wyrok m.in. na Mrówę, syna Dziada (Pawła N., ps. Mrówa, z grupy wołomińskiej zastrzelono w sierpniu 2007 roku). Wcześniej, jeszcze przed przyjściem Rympała, pozbyto się nietykalnego – jak się dotąd zdawało – Zbigniewa K., ps. Balbin, wiernego przyjaciela starego zarządu „Pruszkowa”. Oba zabójstwa przypominały mafijne egzekucje rodem z Sycylii: celne strzały oddali killerzy w kombinezonach i w kaskach na głowach.

Rympałek nie nacieszył się nowymi rządami. W październiku 2010 ponownie trafił do celi. Kilka miesięcy później przeżył załamanie nerwowe. Masa twierdzi, że powodem musiała być zdrada najwierniejszego kompana, z którym Rympałek trzymał się przez całe swoje bandyckie życie – Jacek S. został świadkiem koronnym.

Smutny koniec Żaby

Jerzy W., ps. Żaba, kojarzony z gangiem pruszkowskim, to jeden z nielicznych w tym gronie, których śmierć zastała we śnie. Jego historia zaczęła się od bazaru Różyckiego, a skończyła na szlaku bałkańskim, którym szmuglowano heroinę. Za życia koronowano go na władcę narkobiznesu, a żyć potrafił z rozmachem, otoczony orszakiem wiernych druhów. Ale kiedy umarł we własnym łóżku, po cichu i jakby wstydliwie, nikt łzy nie uronił. Dawni przyjaciele mówili, że nie ma po kim płakać, bo Żaba zdradził.

Pseudonim Jerzego W. brzmiał w świecie przestępczym jak najlepsza marka towarowa. Żab w tej branży kręciło się co niemiara, ale i tak każdy wiedział, że to TEN Żaba. Ksywa wzięła się zapewne z pewnego defektu, jakim obdarzyła go natura: miał lekko wylupiane oczy. Ale generalnie robił korzystne wrażenie: postawny, dobrze ubrany, lekko siwiejący. Kiedy trzeba, wyglądał na bandytę, kiedy indziej na biznesmena. Podobną umiejętność zmieniania skóry posiadli niektórzy jego przyjaciele z gangu.

Opowieści o Żabie krążą w półświatku do dziś, jak choćby ta z knajpy, kiedy Wojtek K. Kielbasa dwoił się i troił, żeby oczarować pewną atrakcyjną panią siedzącą samotnie przy stoliku. Towarzyszący Kielbasie Jerzy W. nie zwracał uwagi na kobiece wdzięki, spoglądał jedynie na kluczyki samochodowe leżące na stoliku obok damskiej torebki. „Piwo pani pije – zauważył z wyraźną dezaprobatą. – Prawo jazdy pani zabieram” – postraszył policję, skutecznie niwecząc romantyczne plany Kielbasy. W interesach wykazywał się podobno większą dyplomacją.

– Żaba miał charyzmę i umiejętność zjednywania sobie ludzi – wspomina Jarosław M., ps. Chińczyk. – Pogadał, po plecach poklepał, uśmiechnął się. Taki czaruś, ale skuteczny. Ufano mu, ja też mu ufałem.

Jarosław S., ps. Masa, pamięta czołowy numer z repertuaru Żaby jeszcze z lat 80. Najpierw pijaństwo, a potem wyprawa na koński targ. Żaba podchodził do konia, zaglądał mu głęboko w oczy, a potem uderzał zwierzę kantem dłoni w szyję. Koń padał jak ścięty. – Wiedział, w które miejsce walnąć, aby koń stracił równowagę – wspomina Masa. – Chłopakom to imponowało, Żaba uchodził za siłacza, który konie przewraca.

Jerzy W. był ulubieńcem ruskiej mafii w Polsce. Znał się z Rosjanami jeszcze z końca lat 80., z bazaru na Rembertowie, gdzie jego żona handlowała odzieżą. Ujmował ich prostolinijnością, staroświeckim sposobem bycia i mocną głową. Postanowili ubić z nim interes. W kwietniu 1992 r. w hotelu Marriott doszło do oficjalnego podziału wpływów w Polsce pomiędzy „Pruszkowem” a mafią zza Buga. Pierwszym wspólnym przedsięwzięciem był przerzut poroży do Stanów Zjednoczonych – w ten sposób chciano przetestować kanały, którymi w przyszłości można by szmugłować narkotyki. Interes zakończył się sukcesem. Przykrywką była należąca do Jerzego W. warszawska spółka Komaton, przekształcona później w firmę Serwis Testa – jedno z najważniejszych ogniw w interesach „Pruszkowa”.

Latem 2000 r. Żaba z żoną poleciał na wspólne wczasy do Hiszpanii. Tam na lotnisku dobiegła ich wiadomość, że Masa został świadkiem koronnym, część grupy pruszkowskiej trafiła za kraty, a za pozostałymi trwają poszukiwania. Oboje zdecydowali, że nie wrócą do kraju. Kierunek był jeden, Bułgaria.

Państwo W. zamieszkali w Sofii. Stamtąd Żaba kierował przemytem heroiny do Warszawy. Dla zabawy w pobliżu polskiej ambasady prowadził restaurację z kuchnią polską. Wszystko skończyło się

w marcu 2001 r. Namierzony przez CBS, trafił do aresztu ekstradycyjnego, a potem w eskorcie polskich policjantów został odesłany samolotem do kraju. Za udział w zorganizowanej zbrojnej grupie przestępczej usłyszał wyrok: 3 lata i 8 miesięcy więzienia (kara stosunkowo niska, gdyż Jerzy W. dobrowolnie poddał się karze, dzięki czemu uniknął procesu).

W połowie 2004 roku był już na wolności, próbował się odkuć. Przystąpił do odbudowywania gangu narkotykowego, tym razem na Śląsku. To było naiwne przedsięwzięcie. Przez cały czas bowiem uważnie go obserwowano. Każdy jego krok był pod kontrolą CBS. Półtora roku od opuszczenia zakładu karnego Jerzy W. wpadł w obławie na siatkę przemytników heroiny kursującej z Azji przez Bułgarię do Polski i dalej na Zachód. Dla policji człowiekiem numer 1 w tej sprawie był właśnie Żaba. Rozpoczął się proces, na ławie oskarżonych zasiadło 29 osób. Żaba otwierał listę podsądnych, numer drugi przypadł jego żonie Lucynie, zwanej Baśką. Prokurator obsadził ich w głównych rolach, bo uznał, że Żaba i Baśka kierowali procederem. Oficjalnie szefem był Żaba, ale – jak to w małżeństwach bywa – rządziła nim Baśka. Trzymała go twardą ręką. Tak naprawdę to ona miała handlowy łeb, wymyślała strategię, lokowała pieniądze. Już na początku procesu Żaba zrozumiał, że albo czeka go 15-letni wyrok, co w jego wieku – był po sześćdziesiątce – oznaczało dożywocie, albo musi podjąć współpracę z prokuratorem, dzięki której może liczyć na nadzwyczajne złagodzenie kary. Zdecydował się na drugie rozwiązanie, obciążał innych.

Szef gangu, który sypie? W mentalności przestępców z pruszkowskim rodowodem to wstyd i hańba.

Wiosną 2009 roku Żaba dostarczył sądowi zaświadczenie lekarskie. Miał raka płuc z przerzutami. Koledzy podejrzewali, że to jakaś ściema i Żaba kupuje sobie wolność. Sąd zwolnił go z aresztu, miał odpowiadać z wolnej stopy, ale niedługo potem (w połowie kwietnia) Żaba zmarł. Na ławie oskarżonych odetchnięto z ulgą. Jak na gangstera miał łagodną śmierć. Odszedł, a z nim kolejna legenda mafijnego świata.

Baraniny życie i śmierć

Wydarzeniem, które ściągnęło powszechne zainteresowanie na Jeremiasza B. – bliżej nieznanego dotąd biznesmena mieszkającego od lat za granicą i honorowego konsula Liberii w Bratysławie – stało się zabójstwo Jacka Dębskiego. Były minister sportu zginął od kuli w kwietniu 2001 roku przed warszawską restauracją Cosa Nostra, z której – wprost na spotkanie z zabójcą – wywabiła go Halina G., zwana Inką. Strzelał gangster ze Śląska Tadeusz M., ps. Sasza (przez niektórych nazywany Miszą). W czerwcu 2002 roku, gdy postawiono mu zarzut zabójstwa, Sasza powiesił się w celi aresztu na Mokotowie. Miesiąc później aresztowano domniemanego zleceniodawcę tej zbrodni, Jeremiasza B., ps. Baranina, podającego się za polskiego przedsiębiorcę z kilkoma paszportami, w rzeczywistości

przemysłowca-konfidenta z czasów PRL. Z dnia na dzień okrzyknięto go mafijnym rezydentem w Wiedniu. Pisano o jego współpracy z polskimi i austriackimi służbami specjalnymi. Spekulowano, że mógł stać za wieloma niewyjaśnionymi egzekucjami mafijnymi w Warszawie. I o tym, że w jego domu pod Wiedniem przy jednym stole spotykali się gangsterzy, dyplomaci i niektórzy politycy.

Jeremiasz B. uchodził za bezkompromisowego i apodyktycznego. Kazał oblać kwasem panią prokurator z Opola, która próbowała rozliczyć go z przemysłowej przeszłości. Zarabiał krocie i potrafił się dzielić. W Warszawie w latach 90. z jego inicjatywy powstała silna, chociaż zaledwie kilkuosobowa grupa specjalizująca się w porwaniach. Baranina sterował wszystkim z Wiednia: wskazywał palcem, kogo trzeba „zawinąć” i jakiego zażądać okupu. Tworzył listę szemranych biznesmenów, którzy dorobili się na przemyśle, kokainie i oszustwach podatkowych. Wiedział, że mają grube konta i żaden z nich nie poskarży się policji. Był też pewien swoich ludzi. Wybierał młodych i karnych. Część z nich przetestował na szmuglerskich szlakach, przeszłość pozostałych prześwieślał w najdrobniejszych szczegółach. Ich pseudonimy raczej nie pojawiały się w artykułach prasowych, a twarze na listach gończych. Działali skutecznie i bez rozgłosu. Każdy z nich był mu wierny jak pies.

Szefem bojówki był Andrzej G., ps. Junior, przemysłowiec, zaufany kompan Jeremiasza B. (zginął od kul w styczniu 1998 roku). Do grupy tej należeli m.in. Adam Sz. (zastrzelony w grudniu 1998 roku), narzeczony Haliny G. Inki, która wyprowadziła Jacka Dębskiego prosto pod lufę zabójcy, oraz Tadeusz M., ps. Sasza, Misza, człowiek, który wtedy strzelał. Pozostali to Seweryn P., ps. Sewer (zastrzelony w październiku 2000 roku), i Rafał K., ps. Kenig lub Gruby, który już też nie żyje (pisaliśmy o nim w rozdziale o zabójstwie generała Papały). Kenig miał wybujałe ambicje, był narwany i najbrutalniejszy z całego grona. Po śmierci Juniora został szefem. Strasznie chciał się wykazać, biegał po mieście i demonstrował, jaki jest silny. Jego ludzie siali postrach.

W lipcu 2002 roku Baraninę aresztowano pod zarzutem zlecenia zabójstwa Jacka Dębskiego. Wiedeński mafioso kategorycznie zaprzeczał, że żyje z przestępczości. Jego proces toczył się przed austriackim sądem. Zanim zapadł wyrok, w maju 2003 roku Baraninę znaleziono martwego w celi wiedeńskiego aresztu. Uznano, że popełnił samobójstwo, wieszając się na pasku przymocowanym do kraty na oknie.

Fragment rozmowy z Henrykiem N., ps. Dziad:

– **Podobno znał pan człowieka o pseudonimie Baranina, tego, co się powiesił w wiedeńskim areszcie?**

– Dostarczał mi spirytus, ale nie wiem, czy to jego był spirytus. Ja nie znałem go tak dokładnie, ale znałem go, widziałem go, kilka razy był u mnie, dostarczał turem spirytus. Brałem, ja się nie wypieram, że spirytusem handlowałem. Politycy handlowali, wszyscy handlowali, tak że ze

wszystkimi handlowałem. Jak cena pasowała, to, czy Baranina był, czy to był jakiś polityk, to brałem od każdego, gdzie było taniej po prostu. Z tego, co wiem, to on później w Austrii miał chłopaków, których wybierał w Polsce, takich najlepszych chłopaków. Założył po prostu odbieranie długów, zarabiali u niego naprawdę eleganckie pieniądze. Znam takich, co i 500 tysięcy dolarów w ciągu pół roku, tylko nazwisk nie ujawnię, oczywiście. Ale to jest wszystko prawda, co mówię – na 100 procent. Zarobili przy Baraninie okropne pieniądze. Nie wszyscy wprawdzie, bo niektórzy się dorobili więzień, niektórych musiał sprzedać dla policji, żeby jakoś prosperować.

– **Wierzy pan, że jego śmierć to było samobójstwo w celi?**

– Ciężko mi naprawdę powiedzieć, ale ja wierzę, wierzę w to po prostu. Tak sobie myślę, że mając tyle lat, co teraz ja, jakbym miał taką sprawę jak on, to też bym to samo zrobił. Też bym to samo zrobił! Po co się męczyć w więzieniu? Minuta strachu, czy tam może nawet i minuty nie ma, i nie ma kłopotu po prostu. Rodzinie pieniądze zostawił, nikt się nie będzie czepiał do majątku, że nakradł, że tego. Spokój, cisza. I prawidłowo zrobił według mnie.

Prawda po latach

Kluczem do przeszłości Jeremiasza B. i zdemaskowania jego bandyckich interesów okazały się wydarzenia z lipca 1998 r., związane z uprowadzeniem Lesława H., ps. Siwy (wspomnieliśmy o nim w rozdziale o grupie ze Szczecina).

Siwy i Baranina znali się z tamtych czasów. Robili te same przemytnicze interesy. Nie wchodzili sobie w drogę. Spotykali się czasami w Warszawie, przy wódce, kartach i ruletce. Nie mieli zatargów, można powiedzieć, że byli kumplami. Kiedy w kwietniu 1995 roku po raz pierwszy uprowadzono Siwego, nikomu nie przyszłoby do głowy, że stał za tym Baranina. Kiedy w lipcu 1998 roku Siwego porwano po raz drugi, najbliższe mu osoby już domyślały się, że to jego sprawka. Czekwały na żądania porywaczy, ale telefony milczały. Prawdę o losie Siwego wyjawiał po latach jeden z byłych bojówkarzy Baraniny.

Wysłannicy Jeremiasza B. po raz pierwszy zaskoczyli Siwego przed jego garażem w Szczecinie. Było ich trzech, mieli broń. Doszło do szarpaniny, któryś uderzył go kolbą w skroń. Lesław H. stracił przytomność. Ocknął się w samochodzie, gdzieś jechali. Miał na twarzy kominiarkę, nic nie widział. Kiedy tamci zorientowali się, że Siwy odzyskał przytomność – zatrzymali się, wywlekli go z auta i pobili, znów do nieprzytomności.

Otworzył oczy, ale bał się poruszyć. Po jakimś czasie przerwali go do innego auta. Jechali kilka godzin. Potem znów zmienili samochód. Siwy był ranny. Krew mu kapała. Wcierał ją dyskretnie w tapicerkę, żeby zostawić swoje DNA.

Dojechali wreszcie do jakiegoś budynku. Wtedy na krótko odsłonił mu oczy, ale nie zobaczył ich twarzy, byli zamaskowani. „Jesteśmy tylko żołnierzami. Wykonujemy polecenia” – powiedział jeden z nich. Podali mu telefon. Zadzwoił do konkubiny, powiedział, że wyjechał w sprawach służbowych, że wróci za dwa, trzy dni. Okup w wysokości dwóch milionów marek miał przygotować kumpel z Warszawy. Okazał się niezłym negocjatorem, zbił cenę za wolność Siwego do stu tysięcy dolarów. Pieniądze przekazał w Marriocie.

Po ośmiu dniach od uprowadzenia Lesław H. wrócił do domu. Długo milczał o tym, co się stało. Ufał tylko siostrze, ale dla jej bezpieczeństwa nie zdradzał szczegółów. Wiedział, że mózgiem całej operacji był Baranina. „To bezwzględny bandyta. Im mniej wiesz, tym dłużej pożyjesz” – ucinał wszelkie próby dyskusji. Baranina dzwonił do niego dzień przed porwaniem. „Jestem w Austrii. Mam do ciebie sprawę, ale pogadamy jedynie na bezpiecznej linii. Idź do knajpy X, zadzwonię o 21” – zaproponował Jeremiasz B. Knajpa należała do ich znajomego, przemytnika restauratora. Poszedł. Gadka była o niczym. Baraninie chodziło o to, by ci trzej od porwania zobaczyli Siwego.

Lesław H. zmienił się. Mniej bywał, mniej hulał, jakby zapadł się pod ziemię. Któregoś dnia przyjechali do niego policjanci z Katowic, prowadzący sprawę jakiegoś gangu porywaczy. Chcieli go wziąć do komendy, na okazanie podejrzanych, ale on nie był tym zainteresowany. W rzeczywistości bał się o życie. Ze starym kumpem z Warszawy, znanym w przemytniczej branży pod pseudonimem Czapla, Lesław H. spotkał się pod koniec lipca 1998 roku w hotelu Solny w Kołobrzegu. Czapla był kłębkiem nerwów. Opowiadał, że przed miesiącem, w centrum stolicy pod McDonalodem, dopadło go kilku rzezimieszków od Baraniny. W jakimś mieszkaniu pod Pruszkowem trzymali go blisko tydzień. Bili do nieprzytomności, dręczyli na różne sposoby. „Miałem wielu takich pacjentów jak ty” – przechwalał się jeden z oprawców. – Zanim zrobisz jakieś głupstwo, pomyśl o swoim przyjacielu ze Szczecina, który nie chciał nam płacić, i ja to sobie zapamiętałem”. Czapla domyślił się, że facet mówił o Siwym. Domyślił się też, że za wszystkim kryje się Baranina. Jeremiasz B. sam się zresztą zdemaskował. Przyjechał do kryjówki, w której przetrzymywano Czapłę, aby się upewnić, że porwano właściwego człowieka. Czapla widział go przez moment, gdy opaska zsunęła mu się z oczu. Dzień przed porwaniem Baranina wyciągnął go na przyjacielską pogawędkę przy piwku. Rzecz jasna po to, by wskazać go porywaczom. Rodzina zapłaciła za uwolnienie Czapli sto tysięcy dolarów. Kiedy go wypuszczali, oddali mu zarekwirowany wcześniej zegarek i pięć tysięcy dolarów, które miał w kieszeni w chwili uprowadzenia. „Nie jesteśmy złodziejami, tylko bandytami” – usłyszał od jednego z tych, którzy go katowali.

Przy hotelowym barze w Kołobrzegu Lesław H. opowiedział przyjacielowi swoją historię. Tłumaczył, dlaczego przeprowadził się ze Szczecina na wyspę, do Świnoujścia. Był przekonany, że ludzie Baraniny znów po niego przyjdą, a na wyspie czuł się bezpieczny. Tam – mówił – od razu wieści się rozchodzą, na przykład o tym, że na promie są jacyś obcy i płyną do miasta. Siwy radził

Czapli, aby ten już nigdy więcej nie płacił haraczu ludziom Baraniny. „Ja już przestałem płacić. Zwijam manatki i wyjeżdżam na stałe za granicę”.

Nie zdążył. Trzy dni później, w sercu Szczecina, tuż przed budynkiem lokalnej TVP, zaatakowano go, gdy zbliżał się do swojego mercedesa. Czas płynął, a on nie wracał. W zakładach karnych do dziś krąży opowieść, że znów chodziło o okup, ale coś poszło nie tak i Siwy zadławił się w bagażniku własną krwią.

Notes z krzyżkami

Skruszony Marcin P. jest pewien, że Siwego zamordowano, chociaż on sam nie był świadkiem zbrodni. Nakreślił śledczym jej scenariusz. Opowiedział, jak tuż przed porwaniem Kenig zameldował się w hotelu w Międzyzdrojach i telefonicznie konsultował z Baraniną przebieg akcji. Cel, czyli Lesław H., widniał w wykazie dłużników. Marcin P. nie poznał szczegółów, ponieważ musiał wracać znad morza do stolicy.

Kilka dni później, już w Warszawie, Kenig pilnie potrzebował kierowcy. Był środek nocy, a on stał gdzieś przy trasie z Warszawy do Katowic. Pojechał po niego właśnie Marcin P. Zatrzymał się w umówionym miejscu przy leśnej drodze. Kenig wyszedł zza drzew. Za nim Sasza i ktoś jeszcze, kogo kierowca nie znał. Wszyscy mieli na sobie ubrudzone ziemią kombinezony. Sasza i obcy usiedli z tyłu. Całą drogę milczeli.

Kenig zajął miejsce obok Marcina P. Trzymał w rękach czarną, plastikową torbę. W pewnej chwili rozchylił jej brzegi. „Tu jest głowa tego gościa” – powiedział, przesuwając reklamówkę w stronę kierowcy. Marcin P. nie zajrzał do środka, ale i tak omal nie zwymiotował. „Ręce też musieliśmy obciąć, żeby utrudnić identyfikację” – dodał Kenig. I opowiedział historię gościa znad morza, którego już raz porwano, ale to nie nauczyło go rozumu.

Po kilkunastu kilometrach jazdy kazał zatrzymać auto. Zniknął w szuwarach. Wrócił bez torby. Wyrzucił głowę Siwego na trzęsawisko w Kuranowie. Plótł coś potem o lojalności i posłuszeństwie. I że Marcin P. – jeśli nie będzie milczał – też „może skończyć jak ten gość ze Szczecina”.

Baranina spotkał się w Wiedniu z dobrym znajomym Siwego. Kiedy tamten spytał go o los kolegi, Jeremiasz B. śmiał się do rozpuku, że króla wajchy zwinęło trzech ludzi, którzy pojechali na akcję zwykłym polonezem.

Śledztwo po latach zakończyło się umorzeniem. Ciało nie odnaleziono. Trzęsawisko w Kuranowie, gdzie Kenig miał wyrzucić czarną reklamówkę, zostało wykarczowane przez właściciela. Na podmokły teren nawieziono 300 wywrotek ziemi, każda po 15 ton. Głowy Siwego tam nie było. Prokuraturze nie udało się postawić zarzutów żadnemu z podejrzanych. Wszyscy już nie żyją.

Z dawnych pamiątek po Jeremiaszu B. najcenniejszy dla śledczych okazał się jego notes. Było w nim wiele nazwisk, telefonów i krzyżyków. Stawiał je tylko przy osobach, które już nie żyły. Kilka z tych osób uważano jeszcze za zaginione, m.in. Siwego. Notatnik wiedeńskiego rezydenta polskiej mafii nie pozostawiał złudzeń, jaki los ich spotkał.

XVII. Marzenia o mafii

Wśród maili, jakie nadchodziły po emisji w TVN cyklu *Alfabet mafii*, powtarzało się na pozór żartobliwe pytanie od młodych ludzi: Jak dostać się do mafii, kto przyjmuje zapisy? Tak naprawdę wielu nastolatków marzy o przystąpieniu do gangów. Udział w działalności grupy przestępczej wciąż jest w wielu środowiskach, głównie w małych, ogarniętych bezrobociem i stagnacją miastach, szczytem aspiracji i jedynym wyobrażeniem życiowej kariery.

Z badań przeprowadzonych wśród wychowanków zakładów poprawczych przez kryminologa dr. Zbigniewa Raua wynika, że młodzi przestępcy idealizują stosunki panujące w polskich grupach mafijnych. Ci, którzy deklarują chęć przystąpienia do grup zorganizowanych, wierzą, że to organizacja, w której panuje wzorowy porządek, wzajemna lojalność i odpowiedzialność starszych za młodszych. Postrzegają grupę jako namiastkę rodziny. Wielu z nich wyobraża sobie, że chcąc dostąpić zaszczytu dostania się do takiej rodziny, trzeba się mocno zasłużyć, złożyć przysięgę krwi i wtedy człowiek zostaje pasowany na człowieka mafii.

W Polsce nie ma ani takich tradycji, ani nawet niepisanego kodeksu regulującego zasady naboru, ale selekcja nowych do grupy też bywa ostra. Rzadko komu udaje się wejść do gangu, ot tak, prosto z ulicy. W warszawskich grupach zorganizowanych dokonał tego bodajże jeden człowiek, opisywany wcześniej Jacek S., ps. Falconetti. Przystąpił do gangu Rympałka i chociaż nie wywodził się ze środowiska przestępczego, szybko został w pełni zaakceptowany. Uczestniczył we wszystkich ważniejszych akcjach grupy – m.in. w napadzie na konwój z pieniędzmi na wypłaty dla ZOZ.

Falconetti w latach 80. wyjechał do Norwegii i tam na dyskotecę śmiertelnie poranił nożem dwóch Pakistańczyków. Tłem tego wydarzenia była jego nieszczęśliwa miłość do pewnej studentki. Falconetti po dokonaniu krwawej dintojry uciekł, powrócił do Polski i zgłosił się do prokuratury. Został skazany, ale objęła go amnestia (1989 r.) i wyszedł już po czterech latach. Policjant z grupy rozpracowującej gang Rympałka podejrzewał, że Falconetti współpracował z SB, a potem z UOP. – Może miał takie zadanie, żeby w kryminale zdobyć zaufanie ludzi z gangów – mówi. Twierdzi, że do grupy Rympałka Jacek S. dostał się właśnie na zlecenie UOP, ale potem urwał się ze smyczy, całkowicie przeszedł na stronę bandytów. Niewykluczone, że podobną rolę odgrywał w szczecińskim gangu opisany przez nas mistrz karate.

Nowi ludzie werbowani do polskich struktur mafijnych, podobnie jak we Włoszech, muszą mieć patronów, którzy polecą ich komu trzeba i wezmą odpowiedzialność za ich dalsze poczynania. Najczęściej są to po prostu starsi koledzy z ulicy, osiedla czy bloku. Ostatnio coraz częściej z trybun stadionów piłkarskich.

Po trwających od 2000 r. masowych aresztowaniach gangsterów szeregi grup przestępczych przetrzebiono i niezbędny okazał się dopływ świeżego narybku. Dla policji to nowe kłopoty, bo miejsce starych, dobrze znanych mafiosów zajmują ludzie z cienia, całkowicie nierozpoznani. Rozwijają się nowe kariery, kreowani są nowi bossowie.

Młodzi, gniewni, chorowici

– Jeszcze zatęsknicie za starymi pruszkowiakami: za Parasolem, Wańką, za Słowikiem. W ich czasach panował porządek – powiedział nam kiedyś jeden z byłych żołnierzy „Pruszkowa”. Wraz z nimi bowiem czas grypserskich zasad skończył się nieodwracalnie. Teraz obowiązuje prawo siły, czyli zwykły bandytyzm.

Dokładnie dekadę po aresztowaniach w szeregach „Pruszkowa” pokusiliśmy się – z pomocą policjantów, kryminologów i biegłych psychiatrów – o sporządzenie portretu współczesnego przestępcy. To czas, gdy dawni przemytnicy, którzy zbudowali pierwsze w wolnej Polsce przestępcze fortuny, mieli już ugruntowaną pozycję w biznesie albo odsiadali wyroki za działalność w zorganizowanych grupach przestępczych. Półświatkiem rządili już młodzi, którzy mieli w głębokim poważaniu dawne autorytety. Uważali, że wszystko jest do wzięcia, a jeśli nie – to do usunięcia. – Nie schylisz przed nimi głowy, to masz poważny problem – wyjaśniał nam nowe reguły oficer CBŚ. Zmiany widać było zresztą gołym okiem – przestępcy nie paradowali w dresach i białych skarpetkach, jak ich poprzednicy, znali się na niezłych garniturach, nierzadko mieli wyższe wykształcenie. Zamiast zakrapianych weekendów w hotelu Amber w Międzyzdrojach i Gołębiewski w Mikołajkach wybierali egzotyczne plaże, uczyli się języków. Lubili mieć „swoich” prawników; zwłaszcza adwokatów z doświadczeniem w zawodzie sędziego.

– Niektórzy polscy przestępcy są profesjonalistami, na przykład w kradzieżach samochodów. Mają kontakty międzynarodowe, kształcą się, działają jak sycylijscy zawodowcy w myśl zasady: maksimum zysków, minimum ofiar. Słyszałem o kilku przypadkach, gdy podczas przeszukania znaleziono u przestępców *Kryminalistykę* mojego autorstwa, z zaznaczonymi fragmentami o niszczeniu śladów – opowiadał nam profesor Brunon Hołyst, wybitny prawnik, autor podręczników akademickich.

Prosty „żołnierz” gangu, a takich jest na pęczki, po książkę sięga jednak dopiero w celi i jest nią zazwyczaj kodeks karny z komentarzem. – O DNA czy śladach zapachowych pozostawianych na

miejscu przestępstwa bandyci nie mają zielonego pojęcia. Nie rozumieją określenia „techniki kryminalistyczne”. Są amatorami, którzy sami pchają się w ręce policji, dlatego ich kariera trwa krótko – naśmiewa się z nich Rafał Ch. Czarny, ten sam, który pogrążył Oczkę i jego kumpli z Żabiej (po odbyciu wyroku Czarny konsekwentnie trzyma się z dala od półświatka, bo „teraz to frajerstwo i nie ma już z kim gadać”).

Biegli psychiatrzy opiniujący w wielu sprawach karnych podkreślali, że wspólnym mianownikiem łączącym gangsterskie pokolenia jest zadziwiająca podatność na choroby: nadciśnienie, schorzenia kręgosłupa, depresje i zaburzenia psychiczne. – Wszystkie te przypadłości ujawniają się z chwilą aresztowania i ustępują po odzyskaniu przez delikwenta wolności. Nasilenie objawów chorobowych jest wprost proporcjonalne do wysokości grożącej kary – powiedział nam dr Jerzy Pobocho, ekspert od demaskowania „chorób” polskiego półświatka. Na „poważne schorzenia” zapadają nawet szefowie gangów, cieszący się na wolności niezłym zdrowiem, jak choćby opisany przez nas Janusz T. Krakowiak oraz chorujący ostatnio Marek M. Oczko.

Kiedyś przestępcy podcinali sobie żyły albo robili „połyki” uszkadzające przewód pokarmowy i żołądek, ponieważ gwarantowało to pobyt w szpitalu, np. na przełomie lat 70. i 80. powszechne były samookaleczenia gałek ocznych – kiedy jeden z więźniów po celowym uszkodzeniu swojego oka został wypuszczony na wolność, dwudziestu osadzonych natychmiast zrobiło to samo. Trzy–cztery dekady później przestępcy za kratami skarżą się na myśli samobójcze, bezsenność, głosy dochodzące z brzucha lub głowy. Dobrze wiedzą, że żaden lekarz nie będzie ryzykował odmowy przyjęcia takiego „chorego” na oddział psychiatryczny. Jeśli symulant ma zdolności aktorskie i wcześniej przygotował się do odgrywania nowej roli, może nawet uzyskać zwolnienie z aresztu śledczego. Kiedy nikt nie daje się nabrać na jego sztuczki, potrafi stracić cierpliwość i straszyć biegłych, że „będą mieć Komisję Kontroli Zawodowej, ponieważ nie rozpoznają depresji”.

W opinii psychiatrów, z którymi rozmawialiśmy, „choroby psychiczne” członków zorganizowanej przestępczości są wyłącznie polską przypadłością – włoski mafioso woli dostać dożywocie niż udawać wariata.

Niepokój śledczych budzi narastająca obecnie w przestępcach bezwzględność, spowodowana m.in. działaniem narkotyków, oraz zabójstwa popełniane ze szczególnym okrucieństwem. Policjanci mówią, że życie ludzkie przestało być wartością. Chociaż każdy człowiek ma wyrzuty sumienia, to dziś nie wypada ich okazywać, szczególnie przed kumplami. Kiedy próbowaliśmy nakreślić portret współczesnego przestępcy, biegli psychiatrzy diagnozowali właśnie poczytalność młodego zabójcy, który wylał dwa kanistry benzyny na samochód swojego wroga. Mężczyzna spłonął żywcem. Morderca twierdził, że tego nie przewidział: „Na filmach tak się nie dzieje. Auto Schwarzeneggera płonęło, a on wyszedł z tego cało” – tłumaczył. Inny zabójca wielokrotnie puszczał sobie film sensacyjny, z którego nauczył się, jak zabić człowieka, upuścić krew, a następnie rozczłonkować

ciało. Potem wypróbował to wszystko na swojej ofierze, a po wszystkim stwierdził, że w „realu” było nawet fajniej niż w filmie.

„Nie przechodzę na czerwonym świetle”

Rozmowa z Jarosławem S., ps. Masa (przeprowadzona wiosną 2012 roku, jeszcze przed wyrokami uniewinniającymi w tzw. drugim procesie „Pruszkowa”):

– **Czy w takim świecie, gdzie życie ludzkie przestało mieć jakiegokolwiek znaczenie, pan, nasz przewodnik po *Alfabcie mafii*, widziałby dla siebie miejsce?**

– W ogóle nie wchodziłbym w takie gówno. To świat dla zepsutych recydywistów i patologicznej młodzieży. Nie ma tam miejsca na honor i godność ludzi wychowanych na ulicy.

– **Jak pan ocenia wpadki świadków koronnych powracających do przestępstw?**

– Każdy taki przypadek osłabia całą instytucję świadka koronnego. Wściekam się więc nie tylko na tych frajerów, ale także na prokuratorów.

– **Prokuratorów?**

– Tak, mówię o tych, którzy o nich lekką ręką wnioskowali. Pewnie mieli nadzieję, że z pomocą koronnego zrobią sobie windę do kariery. Nabrali tego tałatajstwa bez sprawdzenia, czy w ogóle warto im zaufać i budować na ich zeznaniach akt oskarżenia. Powołanie koronnego miało, w ich mniemaniu, podnieść rangę sprawy. Zaspokojenie własnych ambicji zawodowych było ważniejsze niż dobro śledztwa.

– **Pana zdaniem zawsze tak było?**

– Za „moich” czasów, czyli około 2000 roku, bardzo trudno było zostać świadkiem koronnym. Stawiano wysokie wymagania i prowadzono szczegółową weryfikację kandydatów. Z czasem namnożyło się tałatajstwa, bo koronę bez trudu dostawał pierwszy lepszy z ulicy. Prawda jest taka, że w pewnym momencie państwo straciło nad tym kontrolę. Statystyki tak naprawdę zepsuli sami prokuratorzy, a nie koronni.

– **A pana nie korciło, żeby dorobić sobie po staremu?**

– W 2003 roku, kiedy Korek był jeszcze na wolności, dostałem kuszącą propozycję... Ale nie skorzystałem, bo idę w życiu raz obraną drogą. Przeszedłem gruntowną transformację. Jestem zresocjalizowany do szpiku kości, nawet nie przechodzę przez ulicę na czerwonym świetle (śmiech).

– **I nigdy nie miał pan ochoty przywalić komuś jak za starych, dobrych czasów?**

– Miałem.

– **Komu?**

– Kilku wrednym funkcjonariuszom CBS na Okrzei, którzy próbowali – z zemsty za zeznania, jakie

złożyłem na ich kolegę – wmontować mnie i mojego syna w pewną sprawę. Prokuratura postawiła nam zarzuty, ale ostatecznie je umorzyła.

– **Jaka to sprawa?**

– Nie chcę do tego wracać.

– **Zrobił pan dobry interes z wymiarem sprawiedliwości?**

– Oni ze mną zrobili lepszy. Wszystko, o czym opowiedziałem policjantom z „Enigmy”, specjalnej grupy do walki z mafią, czego nauczyłem ich o mechanizmach i sposobach, w jaki świat przestępczy zdobywa pieniądze, pchnęło polską policję o 10 lat do przodu. I to nie ja tak twierdzę, ale sami policjanci, wiele razy to od nich słyszałem. Po moich zeznaniach policja zaczęła wygrywać z mafią. Odzyskała dla Skarbu Państwa miliardy złotych i piała z zachwytem, jak bardzo im w tym pomogłem. Ale ze mną targowano się o każdą złotówkę z mojego uposażenia...

– **...z funduszu pomocy dla świadka koronnego.**

– Tak. Do dziś wyrzucam sobie, że wchodząc do programu świadka koronnego, dałem się skołować policji i prokuratorowi, przez co nie podpisałem sensownego kontraktu gwarantującego mi i mojej rodzinie bezpieczeństwo socjalne. Dziś dostajemy od państwa te same pieniądze co dwanaście lat temu. Co to oznacza? Kiedyś spory wózek zakupów w Tesco kosztował 280 zł. Dzisiaj za te same zakupy trzeba zapłacić 800–1000 zł.

– **Co robią dzisiaj najważniejsi ludzie „Pruszkowa”, których posłał pan za kraty, a którzy odsiedzieli już swoje wyroki?**

– Generalnie klepią biedę i nie mają pomysłu na życie. Parasol prowadzi knajpę, ale kokosów z tego nie ma. Jeździ rozklekotanym passatem, knajpę raczej będzie musiał zamknąć, a jego stary majątek się „rozjechał”. Słyszałem, że w spółdzielni mieszkaniowej ma 30 tysięcy długu. Zygmunt R. Bolo prowadził lombard, ale nie nacieszył się wolnością. Poszedł siedzieć za narkotyki, podobnie zresztą jak Ryszard Sz. z zarządu „Pruszkowa”. Tym razem pogrzyżyły ich zeznania świadka koronnego Jacka S. Przez lata S. był prawą ręką Marka Cz. Rympałka. Na wieść o tym, że człowiek, któremu zawsze ufał, zaczął zeznawać, Rympałek dwa razy próbował powiesić się w celi.

– **Marnie kończą pana śmiertelni wrogowie.**

– Ja już nie mam śmiertelnych wrogów. Nie jestem pamiętliwy...

– **...ale oni mogą być.**

– Czasy się pozmieniały, emocje przez lata opadły. Po mnie przyszli kolejni koronni, którzy też powiedzieli swoje: Sikor, Sankul i wielu innych. Któregoś dnia Parasol przyjechał tym rozklekotanym passatem do warsztatu samochodowego i usłyszał, że bywam w tych okolicach, więc może się na mnie natknąć. I jak to skomentował? „Jarek? Nie... Do niego nie mam pretensji. Sankul – ten, to dopiero nagadał”. Z kolei Bolo powiedział kiedyś mojemu kumplowi, że dobrze zrobiłem, idąc na koronnego, bo „teraz wreszcie jest normalnie: dzieciaki z bogatych domów mogą chodzić do szkoły i

nikt ich już nie porywa dla okupu”.

– **Podobno całkiem nieźle działa pan w biznesie.**

– W szeroko pojętym. I legalnym – rzecz jasna. Zawsze miałem do tego żyłkę. Inni pili, ćpali i hulali po hotelach, a ja inwestowałem. Nie chcę żyć wyłącznie na garnuszku państwa, to by mi uwłaczało. Dziś jestem na takim etapie w życiu, że sprawy zawodowe mam już właściwie poukładane.

– **Co dziś w przestępczej branży jest najbardziej dochodowe?**

– Narkotyki. Ale ryzyko jest niewspółmierne z zarobkiem. Nie ma o czym mówić... Lata 90. były latami pełnej swobody. Każdy robił, co chciał. Dzisiaj jest inaczej, bo policja jest silna i ma taką technikę, że ciężko cokolwiek zrobić. Poza tym jest wielu donosicieli... Kiedyś się krępowali, ale ja otworzyłem im furtkę. Okazało się, że po mnie było tylu chętnych do zeznawania, że nie tylko furtka ich nie pomieści, ale nawet brama.

– **Miał pan kiedyś chwile wątplenia? Myślał sobie, że źle zrobił?**

– Ani razu... Gdybym nie został świadkiem koronnym, musiałbym zabić swoich wrogów. Oni grozili śmiercią mojemu synowi i chcieli uprowadzić mi żonę. Musiałbym odpowiedzieć siłą, a to całkowicie zmieniłoby moje życie. Dziś widzę, że wybór był dobry: nikogo nie zabiłem, rodzina jest bezpieczna, dzieci studiują. Ale wkurwiony byłem wiele razy. Szczególnie na samym początku, kiedy musiałem pokonywać wiele kilometrów, żeby zadzwonić do żony. Byłem bez telefonu, bez samochodu. Dzisiaj koronni mają łatwiejsze życie, ponieważ wiele spraw wywalczyłem dla nich swoją bezczelnością. Miałem kontakty z dziennikarzami i otwarcie mówiłem, co jest nie tak.

– **Policja i prokuratura nie miały o to pretensji?**

– Miały i wciąż mają. Ale ja się nie bałem. Wiedziałem, że jestem ważny i mogę sobie pozwolić na więcej niż inni. Miałem przy tym siłę przebicia. Stałem się, można powiedzieć, konsultantem dziennikarzy w sprawach przestępczości, ale też nagłaśniałem nieprawidłowości w funkcjonowaniu programu ochrony świadków koronnych. A jest tego trochę, choćby to, że zostawia się ich na łaskę losu. Kiedy zapadają prawomocne wyroki i ochrona się kończy, mówią ci: „Radź sobie, człowieku, sam”. Nie każdy to potrafi.

– **A z czym pan nie mógł sobie poradzić?**

– Z przenoszeniem nas z miejsca na miejsce, przez co moja żona dostała psychozy strachu i wpadła w depresję. Zresztą cała rodzina miała tego dość. Jak się mieszka w jakiejś miejscowości, to wiadomo, że trzeba się jej nauczyć: gdzie pójść po świeże bułeczki, a gdzie po świeże mięso. Trochę to trwa, zanim człowiek okrzepnie w nowym miejscu. A tu po roku każą mi się pakować, bo gdzieś podczas rutynowej kontroli policja mnie wylegitymowała pod prawdziwym nazwiskiem i doszło do dekonspiracji. Już panika, już pakowanie... Za którymś razem powiedziałem: Dość. Ja mam dzieci, ja mam rodzinę, potrzebujemy normalności. Nie może być tak, że całe życie żyjemy na walizkach, że jesteśmy jak wolne elektrony – dzisiaj tu, jutro tam. Dzieciaki chodzą do szkół, a przy takim trybie

życia nic nie będzie z nauki. No i zabrali mi dofinansowanie do miejsca pobytu, bo stanowczo nie zgodziłem się na kolejną z rzędu przeprowadzkę.

– **Intencje były dobre – chodziło o wasze bezpieczeństwo.**

– Oni sobie wymyślili, że tak będzie po każdej kontroli drogowej! Dzisiaj wszyscy się z tego śmieją, ale wtedy to było istne szaleństwo. Do mojej dekonspiracji przyczyniali się sami urzędnicy państwowi. Już jako świadek koronny chodziłem niegdyś do pewnej siłowni w dużym mieście wojewódzkim. Przychodził tam również bardzo ważny prokurator z tamtejszej prokuratury okręgowej. Któregoś dnia podszedł do trenera i zadał mu pytanie: „Czy pan wie, kto u pana ćwiczy?”. „Owszem – odpowiedział trener. – Wszyscy wypełniają kwestionariusze osobowe”. Bardzo ważny prokurator zrobił poważną minę i oznajmił: „Widać pan nie wie. Tamten z ciężarami to słynny gangster Masa”.

– **Pan żartuje.**

– Ani trochę. Pełen profesjonalizm, prawda? No to jeszcze jeden przykład. W kwietniu 2006 roku pojechałem wraz z synem do restauracji Fantazja w Kole. Umówiłem się tam ze znajomym. W pewnym momencie jakiś lokalny watażka zaczął wygrażać mojemu koledze, no więc wykręciłem 997 i poprosiłem policję o interwencję. Za chwilę pod lokal zajęła banda z kijami baseballowymi, zaatakowali znajomego i poląła się krew. Niedługo potem na miejsce przyjechał radiowóz. Napastnicy, niektórzy jeszcze z kijami w rękach, ucieli sobie z funkcjonariuszami krótką pogawędkę i poklepali się po plecach. Potem na ich oczach policjanci wylegitymowali mnie, ujawniając moją tożsamość.

– **Ci z kijami dowiedzieli się, że napadli Masę?**

– Tak, bo przez sześć lat pobytu w programie ochrony świadków koronnych nie wyrobiono mi dokumentów na inne nazwisko! Przewieziono nas na komisariat. Spędziliśmy tam blisko sześć godzin. Traktowano nas jak przestępców i uniemożliwiono mi złożenie zawiadomienia o przestępstwie. Powtarzałem, że jestem osobą chronioną, że mam prawo do kontaktu z oficerem dyżurnym najbliższej komendy wojewódzkiej, ale lokalni policjanci ostrzegali mnie, bym „nie utrudniał czynności”. Byłem kompletnie bezsilny. Naprawdę obawiałem się o bezpieczeństwo syna i własny tyłek.

– **Całe szczęście, że o wszystkim dowiedział się generał Rapacki.**

– Tak, dlatego przyjechali kompetentni ludzie i wreszcie zapewniono nam ochronę. Właśnie po tego typu „epizodach”, w których nie ja przyczyniłem się do dekonspiracji, wmawiano mi, że dla bezpieczeństwa rodziny znów się muszę przenieść w inne miejsce. Ale wypiąłem się na te instrukcje. I dobrze zrobiłem, bo tylko dzięki temu moje małżeństwo się nie rozpadło. Mieszkamy w tym samym miejscu od dziesięciu lat i jesteśmy bezpieczni, bo to miejsce jest bezpieczne.

– **Nie lepiej było wyjechać za granicę?**

– Miałem taką propozycję, ale dostałbym mieszkanie socjalne i 300 euro miesięcznie. Przyzwyczaiałem rodzinę do innych warunków. Kiedy przystępowałem do programu świadków

koronnych, prokuratorzy i policjanci sami podkreślali, że za swoje zasługi w walce z mafią i korzyści z tego płynące dla budżetu należy mi się od państwa godziwa zapomoga. Zapewnienie mojej rodzinie godziwych warunków życia jest dla mnie tak samo ważne, jak poczucie bezpieczeństwa.

– **Policja nie ma z panem łatwego życia.**

– Bogu dzięki, trafiłem na profesjonalistów, którzy potrafią utemperować mój parszywy charakter (śmiej). Najskuteczniejszą „temperówką” jest prokurator Jerzy Mierzewski, który zwerbował mnie na koronnego. Ufam mu bezgranicznie. To świetny fachowiec i uczciwy człowiek. Naprawdę jestem szczęściarzem. Moje życie zależy od ludzi, którzy błyskawicznie uczą się na błędach i wciąż doskonałą system ochrony. Głupio mi trochę, że się podlizuję, ale to prawdziwe asy. Ludzie z ulicy nie mają pojęcia, że w Polsce mamy takich fachowców.

– **Jak pan się czuł, gdy pruszkowscy zaczęli opuszczać więzienie?**

– Wiedziałem, że ten dzień kiedyś nastąpi. Byłem na to przygotowany. Nigdy nie przestałem czuć się zagrożony. Muszę wynajmować sobie ochroniarzy, bo przecież moja twarz jest rozpoznawana. Niewykluczone, że kiedy uprawomocnią się wszystkie wyroki na szefów „Pruszkowa”, to mi też zdejmą policyjną ochronę i będę musiał mieć oczy z tyłu głowy. Całe szczęście, że już minęły te czasy, gdy bandyci jeździli po Polsce z kałasznikowami w bagażniku. Dzisiaj boją się policji, bo to policja jest silniejsza. Nawet jak pewnego dnia natknę się na nich, to co mi zrobią? Pobią mnie? Przecież jak podejdą, to ich poduszę.

– **Czy to prawda, że jest pan najsilniejszym pięćdziesięciolatkiem na świecie?**

– Tak wyszło, w pewnym sensie przez przypadek (śmiej). Zawsze byłem silny, nawet jako dziecko. W podstawówce trafiłem do klasy sportowej i potrafiłem dać sobie radę z całą klasą, która chciała mnie łać na przerwach, bo byłem z biednej rodziny. Brali mnie w kółeczko i „dawaj na Jarka”. Źle na tym wychodzili... I tak mi zostało w dorosłym życiu. Ale mam schorowany kręgosłup i muszę wykonywać ćwiczenia rehabilitacyjne, wzmacniające mięśnie wokół niego. Jedno z ćwiczeń to wyciskanie ciężarów, leżąc. Tak się rozpędziłem w tym wyciskaniu, że pobiłem rekord świata w kategorii weteranów, powyżej pięćdziesięciu lat, wynoszący 237,5 kilograma.

– **Ile pan wyciska?**

– Podchodzę już pod trzy paczki.

– **Może warto gdzieś to zarejestrować?**

– Musiałbym pojechać na mistrzostwa świata, a w programie ochrony świadków koronnych nie jest to przewidziane. Poza tym ja naprawdę nie potrzebuję rozgłosu.

XVIII. „Nigdy nikogo nie sprzedałem”

Postanowiliśmy zamknąć tę książkę rozmową z Leszkiem Danielakiem, ps. Waniek, czołową i najbardziej tajemniczą postacią legendy o polskiej mafii. Na początku maja 2013 r. wyszedł na wolność po kilkunastu latach więzienia. Nigdy wcześniej nie udzielał wywiadów, dziennikarze nie mieli do niego dostępu.

Spotkaliśmy go na sali sądowej, obserwował proces swojego przyjaciela Andrzeja Z., Słowika, w sprawie o zabójstwo Marka Papały. Lata spędzone w kryminale nie odcisnęły na nim piętna, nie zmienił się z wyglądu. Nobliwy, elegancki, w okularach – trudno było domyśleć się, że to słynny, jak go przez lata przedstawiano, gangster. Raczej spokojny 62-letni biznesmen szykujący się do emerytury.

Na udzielenie wywiadu zgodził się po krótkim, kilkudniowym namyśle. Podkreślał, że powodem nie jest nagła chęć ekspiacji, ale potrzeba obrony dobrego imienia. W kilku publikacjach różnych autorów przedstawiono go jako konfidenta służb PRL, chociaż nie podano żadnych dowodów, poza zeznaniami Jarosława S., ps. Masa, i wypowiedziami anonimowych informatorów. Dla Wańki to były kalumnie pozbawiające go honoru, który – co podkreśla – ceni nade wszystko. Wielokrotnie powtarzał, że nigdy nikogo nie zakapował, ani przyjaciela, ani wroga. Taki był, jest i taki będzie już zawsze.

Rozmowa z honorowym panem Leszkiem to dobra puenta tej książki – opowieść o półświatku z czasów PRL, narodzinach spirytusowego biznesu, który był spoiwem łączącym wiele znanych postaci, i mechanizmach, które stworzyły życie podziemne w III RP, nazwane przez publicystów polską mafią.

Wańka wyraził życzenie, aby nie ukrywać jego nazwiska pod inicjałem. Powiedział, że nie ma powodu do wstydu, a na nazwisku mu zależy, bo chce, żeby było krystalicznie czyste.

Rozmowa z Leszkiem Danielakiem, ps. Waniek (dwa tygodnie po tym, jak w maju 2013 r. wyszedł na wolność po odbyciu wyroku).

– **Ile lat pana nie było?**

– Siedziałem ciurkiem 15 lat z kilku wyroków. Blisko 11 lat siedziałem na „enkach” [oddziały dla tzw. niebezpiecznych], w tym około 6 lat na pojedynkach.

– **To ma dobre i złe strony. Ma się ciszę, ale nadmiar samotności też doskwiera.**

– Umiałem sobie zająć czas, mnóstwo dobrych rzeczy przeczytałem, mnóstwo książek dostawałem z

zewnątrz i z biblioteki więziennej.

– **Kryminały?**

– Kryminałów nie lubię. Na ile mi pozwalali, ściągałem wszystkie książki związane z kosmosem, astrofizyką, przyrodą, podróżnicze, o nurkowaniu, żeglarstwie.

– **Sprawia pan wrażenie twardego człowieka, czy są chwile w więzieniu, że nawet najtwardszy się załamuje?**

– Nie ma ludzi tak twardych, że wszystko zniosą. Są tylko ludzie wytrwali, umiejętnie funkcjonujący zgodnie z rytmem, jaki sobie narzucają. Praca psychiczna, psychologia jest jeszcze moim dodatkowym konikiem. Żeby umiejętnie sobie z tym wszystkim radzić, musiałem się wkraść w tajniki szeroko pojętej psychologii, dzięki mojej żonie, bo ona jest po psychologii.

– **Jak po tak długiej nieobecności wygląda Polska, zmieniła się?**

– Podoba mi się. Narzekają, że Warszawa rozkopana, ale po to jest rozkopana, żeby potem było łatwiej żyć. Narzekają na tę panią prezydent, ale nie mają racji. Miasto zmienia się na lepsze. Mam pewne kłopoty techniczne, zmieniły się telefony komórkowe, uczyć się obsługiwać nowy aparat, to nie jest łatwe.

– **Pan jest warszawiakiem z urodzenia?**

– Tak, urodziłem się na Woli. Rodzice mieszkali na Działdowskiej. Ojciec pracował w fabryce, mama w handlu. Normalna rodzina. Tata należał do PZPR, nigdy nie był na bakier z prawem. Rodzina najporządniejsza na świecie, normalna, nie biedna, ale nie żyjąca w dostatku. Mieszkaliśmy na 60 metrach kwadratowych. Ojciec ma 87 lat, a mama 81, dbamy o nich wszyscy, kochamy i tu nie ma innej opcji.

– **Martwili się, że stał się pan legendą świata przestępczego?**

– Martwili się, że zrobiono ze mnie taką legendę. Przecież dobrze wiedzieli, kim jestem. Nie żadnym mafiosem, ale dobrym synem i człowiekiem, który nade wszystko ceni lojalność.

– **Nawet osoby panu nieprzychylnie podkreślają, że miał pan zawsze autorytet, cieszył się pan szacunkiem.**

– Na to trzeba pracować latami, od dzieciństwa. Na moim podwórku mieszkali różni chłopcy, ale ja do każdego podchodziłem tak samo, z wielką empatią, z wielką życzliwością, uczciwością i zasadami. Lojalność dla mnie jest bardzo ważną cechą. Bo nawet w uczciwych czy nieuczciwych interesach trzeba być lojalnym i uczciwym. Lojalność polega na tym, że człowiek nigdy nikogo nie zdradził, nawet myśleć nie można o zdradzie.

– **W zeznaniach Jarosława S., ps. Masa, pojawia się wątek pana rzekomej zdrady. Masie ktoś opowiedział, że w latach 80. pan zakapował współników, w tym Jacka H. Oni poszli siedzieć, a pan się wykręcił z tej sprawy. Chodziło o przemyt amfetaminy do Niemiec.**

– Absolutnie nie miałem z tym nic wspólnego, nie uczestniczyłem w tym interesie. Jacek faktycznie

wpadł w Niemczech, ale ja z tym nie miałem nic wspólnego. Nigdy nikogo nie zakapowałem, tyle mogę powiedzieć [Jacek H. powiedział nam, że Leszek Danielak nie miał nic wspólnego z tamtą sprawą, nie składał żadnych zeznań i nie donosił. Sąd niemiecki skazał Jacka H. na osiem lat więzienia, ale w śledztwie dogadał się z prokuratorem, przyznał do winy i wyszedł po czterech latach – przyp. aut.].

– **Dlaczego to dla pana takie ważne, że z taką mocą oświadcza pan, że nigdy nikogo nie sprzedał?**

– Bo taka jest prawda, jestem człowiekiem honoru, jestem człowiekiem czystym, nie mam nic wspólnego z łajdactwem, z łobuzerstwem i z tego rodzaju insynuacjami. Na życie dzieci mogę przysięgać, że w tych sprawach jestem czystszy od kryształu. Mnie można ważyć czy mierzyć według moich czynów, a nie tego całego skurwysyństwa, jakie ktoś próbuje wylać mi na łeb. Żyłem i żyję według jasnych zasad.

– **Świat się zmienił, już nie liczą się zasady.**

– Ja nie będę się zmieniał pod kątem tego świata, ja jestem taki sam, jak byłem 20 czy 40 lat temu. Gdyby pan dzisiaj spotkał moich przyjaciół z podwórka, z boiska, toby panu powiedzieli to samo, to jest ten sam człowiek, ma te same zasady. Byłem kapitanem naszej drużyny piłkarskiej. Wybrali mnie, bo miałem zasady.

– **Na Działdowskiej uczył się pan życia?**

– Tam się uczyłem też tego knajackiego życia, bo przecież wzorem dla mnie była ulica Działdowska. Nieprawdopodobna ulica. Tam działała słynna wtedy banda Rogala. Rogal tworzył gangi, które napadały na konwoje, na sklepy, na ludzi, terroryzowali miasto. Ich dzieci to byli moi koledzy z podwórka. Ich ojcowie siedzieli, wychodzili i wracali do więzienia, a my temu wszystkiemu przyglądaliśmy się. Napatrzyłem się na patologię toczącą wiele rodzin, z których wywodzili się moi koledzy, a nawet przyjaciele. Uczyłem się przy nich charakteru, sztuki milczenia, bycia odważnym, bycia twardym. A potem proza życia, ta patologia, wycięła ich w pień, nawet pięćdziesiątki nie dożyli, mogę na palcach policzyć chłopaków, którzy stanęli na nogi, którzy wylansowali się. Generalnie zapijali się na śmierć, nie mieli sposobu na życie, nie mieli odwagi.

– **Żonę poznał pan na Woli?**

– Z żoną znamy się od 18 roku życia, mieszkaliśmy na sąsiednich podwórkach. Potem ona się wyprowadziła na Pragę, bo rodzice powiększyli sobie mieszkanie. Jesteśmy małżeństwem od 43 lat. To wykształcona kobieta, skończyła psychologię. Nie pracowała w zawodzie, ale cały czas dokształca się, ma nieprawdopodobną wiedzę. Zaszczepiła mnie tym.

– **15 lat bez pana wytrzymała?**

– To jest wielka rzecz, w którą komuś trudno by uwierzyć. Ale prawda jest taka, że to jest kobieta o najwyższym stopniu kultury osobistej, nieprawdopodobnie dobra matka i żona.

– Kolegów z podwórka wycięła patologia, a pan się wybił z tamtego świata. Czym się pan zajmował w czasach PRL?

– Chodziłem do szkół, skończyłem technikum. Pasjonowałem się sportem, uprawiałem boks na Gwardii, chciałem być jak Walasek, pamiętacie takiego boksera? Trenowałem lekkoatletykę i piłkę nożną. Graliśmy w turniejach o Złotą Piłkę na Stadionie Dziesięciolecia. Zdobyłem dwie Złote Piłki, miałem mnóstwo trofeów, zapisali naszą podwórkową drużynę do klubu Sarmata. Wtedy poznałem słynnych później piłkarzy, Gadocha czy Stachurski to wszystko moi koledzy. Znałem całą elitę z tego świata sportowego.

– Ale sport nie był chyba panu pisany, szybko zajął się pan interesami.

– Mój brat pierwszy raz do więzienia się dostał, jak miał 17 lat, i to środowisko, które on poznał, ja też poznałem. Zająłem się handlem i wyjazdami na saksy. Nie martwiłem się o przyszłość, miałem pieniądze w każdej kieszeni i zarabiałem na wszystkim, od handlu po kontrabandę. Jeździłem do Niemiec, na Węgry, do Czechosłowacji, Rosji. Wszelkiego rodzaju dobra sprowadzało się hurtem. Ja miałem swoją siedzibę na bazarze Różyckiego. To była działalność legalna, płaciliśmy podatki za te budy, gdzie sprzedawaliśmy spodnie, szampony w hurcie, całą chemię. Handel był legalny, ale towar przemywany. W jedną stronę woziło się inne rzeczy, a z powrotem inne, na tamte czasy z Polski srebro, a stamtąd złoto i waluta. To nie była struktura bandycka, to były normalne struktury działające na pół legalnie.

– Mówi się, że dla grupy pruszkowskiej wzorem z tamtych lat był niejaki Barabas.

– Barabasa nigdy na oczy nie widziałem. Pojawiał się na bazarze, gdzieś tam przy benklach. Te benkle i zarobki cwaniackie były mi dobrze znane, ale ja w tym nie brałem udziału.

– Określenie „człowiek z miasta” pasowało do pana osoby?

– Ta nazwa jest nadinterpretowana, ludźmi z miasta można by nazwać w swoim czasie chłopaków handlujących walutą czy zajmujących się kontrabandą. Oni sobie tam działali na pół legalnie, niektórzy musieli się dzielić z milicją. Byli też inni ludzie z miasta, różni watażkowie więksi i mniejsi, złodziejaszki i bandyci – z nimi proszę mnie nie utożsamiać.

– Był pan w tamtych czasach karany?

– Nie. Byłem czysty jak łąza. Nie ma co wspominać o zdarzeniu z początku lat 70., kiedy dostałem zawiasy za chuligankę, bo to były czasy rozrywkowe, młody chłopak, porywczy, nie dający sobie w kaszę dmuchać. Wziąłem udział w jakiejś bójce i tyle.

– Działal pan, jak to się wtedy mówiło, jako prywatna inicjatywa. Prywaciarz po prostu.

– Moje kontakty wystarczały, żeby zarabiać pieniądze godziwie jak na tamte czasy, a nie tyrać w warsztacie samochodowym za bezcen i być wyzyskiwanym, i co więcej, żeby kraść na państwowym po to, żeby żyć. Miałem jeszcze w szkole praktyki w FSO na Żeraniu. Tam codziennie jeden nowiutki fiat wyjeżdżał na lewo. Byłem tego świadkiem. Nie chciałem pracować na państwowej posiadzie,

żeby kraść jak inni.

– **Przyszły lata 90., kapitalizm. Ogłoszono narodziny mafii i gangu pruszkowskiego.**

– To media wylansowały grupę pruszkowską, lansując głównie siebie. Pruszków był normalnym, zwykłym miastem, z którego wywodziło się kilka osób. Różni ludzie.

– **W procesie tzw. zarządu „Pruszkowa” w 2003 r. sąd uznał was za przestępczą grupę zorganizowaną i zbrojną, uznał, że pan i inne osoby byliście założycielami i szefami tej grupy.**

– To jest ewidentna nieprawda, bo nikt nie był żadnym założycielem i szefem. Byliśmy kolegami, a niektórzy niezbyt dobrze znali się nawzajem. Nie byłem tym, za kogo mnie przedstawiano.

– **Więc kim pan był?**

– Funkcjonowałem w swojej firmie rodzinnej niezależnej od nikogo. Firma nazywała się DAK, mieściła się w Ożarowie. To była hurtownia, w swoim statucie miała bardzo wiele możliwości handlowych. Brat u mnie pracował, był jednym z ważnych ludzi, którzy pracowali dla mojej firmy. Kiedy zostałem aresztowany w 1996 roku, firma upadła. Była wcześniej kontrolowana wielokrotnie przez urzędy państwowe, przez policję, z racji tzw. mojej przynależności czy kontaktów, to ja miałem w tej firmie wiele problemów. Ale nigdy niczego nie znaleziono, podatki płaciłem uczciwie.

– **Za co pana wtedy aresztowano?**

– Miałem zarzut banalny, nakłanianie pod groźbą do zmiany zeznań. Pewien gość z Ożarowa, z zawodu strażak, oszukał mojego syna, a potem fałszywie oskarżył go o groźby karalne i wymuszenie. A ja miałem go nakłaniać do zmiany zeznań. Zwykły oszust! Sprawa była drobna, ale pani prokurator chciała trzymać mnie w areszcie. Dopiero po interwencji prokuratora Zbigniewa Goszczyńskiego została zasądzona grzywna, zapłaciłem i sprawa się skończyła.

– **Czy zgodzi się pan, że spoiwem, które stworzyło grupę pruszkowską i inne grupy, była kontynuacja PRL, czyli przemyt? W tym przypadku przemyt spirytusu na wielką skalę?**

– Tak było. W 1989 roku otrzymałem od grupy, nazwijmy ich, byłych urzędników państwowych, propozycję, że jest taka możliwość z tym spirytusem, tylko że oni tego nie zrobią, czy ja bym się tym nie zajął.

– **To byli ludzie służb specjalnych z czasów PRL?**

– Z tzw. służb, które sobie wyliczyły odpowiedni procent. Dostaniesz kierunek, bierz towar z tego i z tego miejsca, nas nie interesuje, jak ty sobie to sprzedasz.

– **Obniżono do minimum cło na alkohol przywożony na własne potrzeby, ale nie określono, ile każdy obywatel ma własnych potrzeb. Wybuchła afera sznaps-gate.**

– Potem zmieniono przepisy, wprowadzono inne, określające, że tani spirytus kupowany w Polsce i sprzedawany na własnym rynku podlegał wysokiej akcyzie, więc trzeba go było gdziekolwiek wysłać, aby z Polski. Czyli zakup po minimum, teoretycznie wywozisz alkohol z Polski, a tak naprawdę na granicy stemplujesz papiery i wracasz do domu. Kontrola jest żadna, bo wyjeżdżam sobie z fabryki z

cysterną jedną czy dziesiątą i handlujemy sobie na polskim rynku, a celnicy brali swoje i chwała im za to, że byli tacy łaskawi.

– **Wniosek z tego, że to służby nadały bieg ekspansji alkoholowej?**

– Można powiedzieć, że służby, bo nikt inny nie miał dojścia do dyrektorów zakładów spirytusowych. Oni do nich docierali. Ja byłem pierwszy na tym rynku, Heniek, znany jako Dziad, to był numer drugi.

– **Korzystaliście wy, byli funkcjonariusze służb, ale mówi się też, że i politycy z różnych opcji byli beneficjentami szarej strefy?**

– Nie wymienię nazwisk, ale powiem ogólnie, że się nie mylicie. Byli wśród nich posłowie. Niektórzy zostali ministrami. Robili wysokie kariery, bardzo wysokie. Niektórzy do dzisiaj je robią. Ale nazwisk nie ujawnię.

– **Przy takim poparciu mogliście mieć wszystko, wejść do polityki albo założyć spółkę giełdową.**

– Bez przesady, to nie były te półki. Było kiedyś rozważane wejście na giełdę, ale dostaliśmy jasny komunikat: nie, bo to nie jest wasz rynek. Ale nie chciałbym więcej poruszać tematów związanych z polityką.

– **Boi się pan?**

– Nie boję się, ale to są cały czas ludzie jeszcze aktywni. Prokuratorów to nie interesowało, że ja byłem człowiekiem, który dostał propozycję od ludzi, którzy siedzą wysoko w partii jednej czy drugiej. Sąd też to olał. Propozycje były bardzo jasne, biznesowe. W zamian za pieniądze dostaniecie to, co chcecie, po pewnym czasie, jak będziemy przy władzy. To było na porządku dziennym, obiecywano interesy, w które będziemy mogli wejść.

– **Jakie interesy?**

– Na przykład zakup odpowiednich gruntów, zakup odpowiednich kamienic, dojścia do prywatyzowanych firm, setki propozycji. Mówili: Na początek pan wyłoży sto tysięcy dolarów. On, człowiek mający na względzie dobro państwa, składa taką propozycję.

– **I to człowiekowi z gangu?**

– Ale to nie był żaden gang, chociaż tak to przedstawiał świadek koronny Masa. Byliśmy grupą kolegów. Znałem na stopie towarzyskiej wielu ludzi z różnych środowisk: biznesmenów, artystów, sportowców, prawników czy polityków. Czy to był gang? Moje najbliższe grono to ludzie znający się nawzajem, każdy z nas wiedział, że jeśli ktoś ma kłopoty, to sobie pomagamy nawzajem. Odpędzamy tych, którzy nam grożą albo oczerniają, bo my mamy swoje interesy. Nie pozwolimy ich popsuć.

– **Rysuje pan swój obraz jako człowieka niesłusznie przedstawianego jako bossa, jako przestępcę.**

– Nie byłem bossem, już to tłumaczyłem. Przestępca to za mocne słowo, nie wstydę się swojej

działalności. Do końca lat 80. ja i moi koledzy prowadziliśmy gry, które nie były do końca legalne. Potem zalegalizowałem to wszystko, zebrałem jakiś kapitał i mogłem funkcjonować w sposób bardzo naturalny. Masa wrzucił mi na głowę odpowiedzialność za jego przestępstwa. Mówił: Wańka był jednym z moich bossów, którzy decydowali o tym, co ja mam robić. Jak mu inni kazali, kazał coś robić, to uważał, że to kazał Wańka. W jego zeznaniach stałem się numerem jeden.

– **Skąd wziął się wśród was Masa, młodszy o 20 lat?**

– Przytulił go Wojtek Kiełbasa, który był bardzo oddany Alemu [Ali – na początku lat 90. uważany za jedną z najważniejszych postaci w grupie, potem usunął się w cień – przyp. aut.]. Ali był odważnym strategiem i nie tylko strategiem, swego czasu był znany i lubiany przez wielu. Potrafił skupić wokół siebie fajnych chłopaków, zarabiał pieniądze w taki sposób, w jaki potrafił, ja nie wnikałem, z nim nie robiłem interesów. Potem szeroko poszedł w legalizację, miał sklepy monopolowe, hurtownie, był myślącym człowiekiem. Wojtek przyciągnął Masę pod skrzydła Alego, a potem wynajął ich do swojej ochrony biznesmen Wojtek P. Oni, obaj młode chłopaki, już się wozili, mieli skodę, mieli jakieś polonezy, zaczęli działać jakby oficjalnie, po kasynach chodzić, poznawać ludzi i między innymi ja ich poznałem w ten sposób.

– **Bywał pan w kasynach?**

– Kiedyś mieliśmy własne cztery kasyna wspólnie z Pershingiem, Grubym, Siwym i Belfegorem. Jedyne w Polsce kasyno z bakaratem było na Pradze. To było piękne miejsce. Żeby ktoś tam przyjechał z śródmiejskich graczy, to musiał mieć jakąś ochronę. Grali prywatnie, ludzie z szemranego świata, ludzie prascy, cała Polska się zjeżdżała. Grali trzy, cztery dni non stop, a myśmy brali z tego 10 procent i to się tak fajnie żyło bez bólu. Milicjanci to byli nasi ludzie, bo im płaciliśmy, i był spokój.

– **Dlaczego zaczął pan wojować najpierw z Wieśkiem – Wariatem, a potem z Pershingiem?**

– Wiesiek to prowadził wojnę chyba sam z sobą, bo w pewnym momencie zgłupiał do tego stopnia, że nie wiedział gdzie, kto, co i jak. Pretensja była o wszystko, a najważniejsze było zarabianie pieniędzy, w bezwzględny sposób, każdy. Zwykły praski chłopak, którego znałem od 17 roku życia. I nigdy wcześniej nie był moim wrogiem, dopiero jak wrócił z Ameryki, coś mu się odmieniło.

– **A Pershing?**

– Pershing pojawił się na horyzoncie od lat 80. Potem w latach 90. powstawały jakieś grupki, podgrupki, wyrastały jak grzyby po deszczu i tworzyły wokół siebie mit gangsterski. Pershing się w to wkomponował ze swoją, jak ich nazywaliśmy, parszywą dwunastką, bo miał grupę dwunastu chłopaków. Szalał z nimi, rozrabiał do woli. Jeśli ktoś chciał się przyjaźnić z Pershingiem, to się przyjaźnił. Ja miałem do niego wielki dystans.

– **Dystans czy nienawiść?**

– Kiedyś szemrany biznesmen, nazywaliśmy go Śkulwysynek, bo to było jego ulubione słowo, a

miał wadę wymowy, dał Pershingowi zlecenie na Staśka, bardzo wspaniałego chłopaka. On tego chłopaka tak pobił, że ledwo go odratowali. Zrobił to za jakieś nędzne 40 tys. dolarów, które niby ten chłopak był winny Śkulwysynkowi. Od tego się zaczęła nienawiść do Pershinga. Moja i kolegów tego Staśka z Pragi.

– **Pershinga zastrzelono, a wyrok za zlecenie tego zabójstwa dostał pana brat.**

– Zgadza się, ale to też jest tak, że ta legenda, że to niby „Pruszków” miał do niego taki straszny żal, za to go ganiał i za to go zabijał, to jest absolutna bzdura. To nie mój brat dał na niego zlecenie. To wyszło ze Śląska, tam trzeba szukać zleceniodawcy i pogmerać w interesach, które Pershing zaczął tam prowadzić. Szedł swoją drogą przez życie i doszedł do mety. Jego brat Rysiu mógłby opowiedzieć wiele historii na ten temat, to bardzo dobry mój kolega. Wiedział, że gdybym ja był w tym czasie, kiedy Pershing miał swoje porachunki na Śląsku, toby pewnie do tego nie doszło. Ale mnie nie było, bo już siedziałem.

– **Pan może i nie wojował, ale wojna trwała, podkładano bomby, strzelali do siebie koledzy. Wymknęło się spod kontroli?**

– Zginął Kielbacha, Nikoś, Wariat, Pershing, to fakty. Ale to nie była wojna, to były beznadziejne rozgrywki ludzi, którzy nie umieli z sobą rozmawiać. Jakby umieli, toby nie strzelali i bomb by sobie nie podkładali. Taki typ ludzi tchórzliwych, którzy nie podejną za blisko, wolą bombę podłożyć albo strzelić w plecy.

– **Dlaczego zginął Kielbasa?**

– Trzeba by pójść w głąb wewnętrznych spraw związanych z Kielbasą, by dojść do prawdy. Ja po części tę prawdę znam z opowiadań, więc nie znam jej tak naprawdę, bo Kielbasa na tym etapie swojego życia nie był ze mną tak blisko. Ja byłem odizolowany zupełnie, zajmowałem się swoimi interesami. A Kielbasa sobie fruwał po mieście, tańczył, śpiewał, hulał i robił swoje, napracował sobie być może na wielu wrogów.

– **Ma pan dwóch synów. Nie boi się pan o ich drogę, że wybiorą niewłaściwą?**

– Mój starszy syn jest przefantastycznym facetem, który umie zachowywać się biznesowo i menadżersko, ma zdolności komunikowania się z ludźmi, jest szlachetny i nie uznaje łajdactwa, podkradania sobie nawzajem interesów, jest lojalny. Warto wiedzieć, że Adam jest cudownym ojcem, a ja dzięki niemu jestem już dziadkiem.

– **Za co był karany?**

– Na ten temat nie będziemy rozmawiać.

– **A młodszy syn?**

– To przepięknie ułożony młody człowiek, jest szefem kuchni po szkole gastronomicznej, ma firmę cateringową, wygrywał różne konkursy, zwrócili na niego uwagę ważni w tej dziedzinie, zatrudniali go u siebie jako praktykanta.

– Wróćmy do „Pruszkowa”, chociaż pan twierdzi, że takiej organizacji nie było. Wasze pokolenie powoli odchodzi w cień, pokiereszowane przez wyroki, zdziesiątkowane przez wojenki. Ale natura nie znosi próżni, jeżeli nie ma was, to będą inni. Co chciałby pan powiedzieć potencjalnym następcom? Że taka droga jest zła, niebezpieczna?

– Niech każdy idzie swoją drogą, stare motto mędrców od zarania świata: życie nauczy ich wszystkiego po kolei. Od pewnego czasu działałem w fundacji „Sławek” przy Centralnym Zarządzie Służby Więziennej i miałem do czynienia z różnego rodzaju młodymi ludźmi funkcjonującymi w sposób dramatyczny, często paskudny, bez przyszłości, i myślę, że mi się parę rzeczy udało im powiedzieć. Miałem możliwość spotkania z nimi i ich problemami. Wychodzą z więzienia i nie wiedzą, gdzie iść. Będę wspierał tę fundację, będę z nią współpracował, bo to są chłopcy, którzy są pogubieni, nie potrafią się odnaleźć. Ja im chcę pomóc. Nie wiem, czy mnie posłuchają. Młodzi przeważnie nie chcą słuchać mądrych rad, słuchają własnej skóry, a jak już ta własna skóra poczuje, że to boli, to wtedy będą wiedzieli, co w życiu zrobić. Nie wszystkich naprawimy, świata nie wyleczymy.

Epilog. Ludzie mafii

„PRUSZKÓW”

Leszek D., ps. Wańka (ur. 1951) – pochodzi z Ożarowa. Jeden z jego synów (Adam) zarządzał klubem Dekadent, gdzie w czerwcu 1996 balowała ekipa *Teleexpressu*. Mechanik samochodowy, na przełomie lat 80. i 90. miał hurtownię cytrusów w Ożarowie. Od 1994 roku uważany za członka ścisłego kierownictwa gangu pruszkowskiego. W sierpniu 2002 roku uniewinniony w procesie gangu kokainowego, współpracującego z kartelami w Ameryce Południowej, którego – zdaniem oskarżyciela – miał być szefem. W procesie pruszkowskim (maj 2003) uniewinniony od zarzutu produkcji amfetaminy, ale skazany na 6,5 roku za kratkami za kierowanie gangiem. Rok później skazany na 6 lat za siłowe przejęcie – w 1996 roku – klubu Dekadent. Najwyższy wyrok, 11 lat, dostał za zorganizowanie transportu z Wenezueli do Polski blisko 1200 kg kokainy. Narkotyki przechwycono w 1993 roku na płynącym do portu w Gdyni statku *Jurata*. Wańka nigdy nie przyznał się do zarzucanych mu czynów. Wyszedł na wolność w kwietniu 2013 roku, po 13 latach od zatrzymania.

Mirosław D., ps. Malizna (ur. 1950) – starszy brat Wańki. Wykształcenie średnie techniczne, bez majątku. Przed aresztowaniem (w kwietniu 2001 roku) oficjalnie był zastępcą dyrektora warszawskiej firmy budowlanej Gredbud. Nieoficjalnie – od 1994 roku – członkiem zarządu „Pruszkowa”. Za kierowanie gangiem skazany w maju 2003 roku na 7 lat i 3 miesiące więzienia. W tym samym roku skazany na 10 lat za zlecenie zabójstwa Pershinga. Bronił go mecenas Jan Widacki, Malizna konsekwentnie twierdził, że jest niewinny. W kolejnej sprawie karnej „Pruszkowa” – jeden z oskarżonych o usiłowanie zabójstwa (w grudniu 1996 r. w miejscowości Zakręt) oraz zabójstwo Wariata, brata Dziada; historia zamachów na Wariata do dziś pozostaje niewyjaśniona. W grudniu 2011 roku Prokuratura Apelacyjna w Katowicach oskarżyła go o udział w kilkunastoosobowej grupie dokonującej uprowadzeń dla okupu, rozbojów, wymuszeń oraz rewindykacji należności poprzez tworzenie lewych dokumentów związanych z długami, których w rzeczywistości nie było. Według ustaleń śledczych Malizna miał kontrolować sytuację w gangu także po aresztowaniu, grozi mu do 10 lat więzienia.

Andrzej Z., ps. Słowik (ur. 1960) – nazwisko przyjął po żonie. Recydywista skazywany w latach 70. i 80. za pospolite kradzieże. Ułaskawiony przez prezydenta Lecha Wałęsę. W latach 90. – przemytnik, od czasu aresztowania Andrzeja K. Pershinga w 1994 – jeden z liderów mafii pruszkowskiej, członek ścisłego kierownictwa, tzw. zarządu. Od 2000 roku ścigany po świecie listem gończym. W październiku 2001 złapany w Hiszpanii. Skazany w maju 2004 roku na 6 lat za udział w gangu pruszkowskim. Podczas tego procesu dobrowolnie poddał się karze. Podejrzewany – na podstawie zeznań Masy – o zlecenie zabójstw i udział w kilku zamachach (m.in. na Wariata). Uniewinniony w 2012 roku od wszystkich zarzutów w tzw. drugim procesie „Pruszkowa”. W 2010 r. w Warszawie zaczął się jego proces o udział w zabójstwie gen. Papyły (miał uczestniczyć w nakłanianiu innych do podjęcia się tego zadania). W lipcu 2013 r. został nieprawomocnie uniewinniony.

Andrzej K., ps. Pershing (1954–1999) – do połowy lat 90. człowiek nr 1 w hierarchii „Pruszkowa”, niekwestionowany lider gangu, wsławiony skutecznym „odzyskiwaniem długów” i umiejętnym praniem mafijnych pieniędzy (w pierwszym w Warszawie, otwartym w 1980 roku nielegalnym kasynie). W marcu 1995 roku oskarżono go o sprzedaż pochodzącego z kradzieży samochodu, posługiwanie się fałszywymi dokumentami i wymuszenie spłaty długu od współwłaściciela myjni samochodowej na Żoliborzu. Krótco potem stanął przed lubelskim sądem za torturowanie ze szczególnym okrucieństwem ludzi z tzw. gangu Karateków. W procesie przeciwko Pershingowi zeznawał jako pierwszy w Polsce świadek incognito. 10 sierpnia 1998 roku opuścił mury więzienia w Białołęce (jako jedyny więzień miał w celi dywan). 5 grudnia 1999 roku zginął od kul zamachowców w Zakopanem.

Ryszard P., ps. Krzyś (1953–2004) – pochodził z Pruszkowa, przyjaźnił się z Jerzym Wieczorkiem, ps. Żaba, i Andrzejem Z. – Słowikiem. W grupie pruszkowskiej był odpowiedzialny za haracze i wymuszenia. Szkolił do bandyckiej roboty młode pokolenie. W sierpniu 2000 roku, podczas policyjnej obławy na mafię pruszkowską, był z rodziną na wakacjach. Ukrywał się przez dwa lata, aż do 4 października 2002, kiedy sam zgłosił się do warszawskiej prokuratury. Postawiono mu zarzut udziału w zorganizowanej grupie przestępczej o charakterze zbrojnym i kierowania 28-osobowym gangiem (tzw. młody „Pruszków”). Zwolniony z aresztu we wrześniu 2003 roku z powodu nieuleczalnej choroby. Zmarł w szpitalu kolejowym w Pruszkowie na raka przełyku.

Zygmunt R., ps. Bolo (ur. 1952) – oficjalnie biznesmen na stanowisku pełnomocnika zarządu warszawskiej firmy Oldstar, w której pracował m.in. Słowik. Nieoficjalnie zatrudniony w innym zarządzie – gangu pruszkowskiego. Przeżył dwa zamachy: strzelaninę i wybuch bomby. W

pruszkowskim procesie uniewinniony z zarzutu nielegalnego posiadania broni i udziału – w grudniu 1991 r. – w strzelaninie pod warszawskim klubem studenckim Park. Skazany na 7 lat za kierowanie gangiem. W grudniu 2011 roku, po czterech latach pobytu na wolności, został zatrzymany przez CBS za handel heroiną i kokainą (sprawa dotyczyła lat 2009–2010 i miała związek z działalnością przestępczą Rympałka). Występował jako jeden z oskarżonych w kolejnej sprawie „Pruszkowa”, zainicjowanej aktem oskarżenia w 2005 roku. W 2012 roku uniewinniony.

Janusz P., ps. Parasol (ur. 1955) – pochodzi z Pruszkowa. Oficjalnie zarabiał miesięcznie 3 tys. zł w drukarni, jako zaopatrzeniowiec. W latach 70. i 80. karany za włamania i kradzieże. Ranny w strzelaninie w motelu George (lipiec 1990), ale oczyszczony z zarzutu o sprowokowanie tej strzelaniny. Dziewięć lat później – ranny podczas zamachu na jego życie. W procesie pruszkowskim skazany na 7 lat więzienia za kierowanie gangiem. W październiku 2005 roku prokuratura skierowała do sądu nowy akt oskarżenia, Parasol odpowiadał w tej sprawie za handel bronią i zorganizowanie w 1996 roku nieudanego zamachu na Wiesława N. Wariata. Świadek koronny Jacek R., ps. Sankul, zeznał, że Janusz P. miał też podzegać do zabójstwa Pershinga oraz Masy, w którym wyczuwał konfidenta. W czerwcu 2008 roku sąd zwolnił Parasola z aresztu. W drugim procesie „Pruszkowa”, zakończonym we wrześniu 2012 roku, odpowiadał m.in. za rozboje i podzeganie do zabójstwa. Skazano go wyłącznie za handel bronią, dostał półtora roku więzienia. Do celi już nie wrócił, ponieważ na poczet kary zaliczono mu to, co już przesiedział.

Ryszard Sz., ps. Kajtek (ur. 1948) – jedyny rencista w zarządzie „Pruszkowa”, z miesięcznymi dochodami 326 zł. Do czasu zatrzymania przez CBS w grudniu 2000 roku, miał czystą kartotekę, ale za to pełną teczkę zaświadczeń lekarskich o złym stanie zdrowia. Biegli nie uwierzyli, że jest obłożnie chory. Skazano go na 7 lat za kierowanie gangiem pruszkowskim. W grudniu 2011 roku, po kilku latach na wolności, zatrzymany wraz z Bolem przez CBS za hurtowy handel heroiną i kokainą. Nie przyznał się do zarzutu.

Wojciech K., ps. Kielbasa (1961–1996) – przyjaciel Masy, jako dzieciaki obaj pracowali dla Barabasza, okradając sklepy i mieszkania. Pochodził z tzw. dobrego domu z Pruszkowa. Zasłynął z brawurowych napadów na tiry z wysyłaną z Hamburga kontrabandą. Za zlikwidowanie Masy i Kielbasy pieniądze od pokrzywdzonych przemytników z Niemiec rzekomo wziął „Wołomin”. Zginął 19 lutego 1996 r. w Pruszkowie od kul z broni automatycznej. Początkowo o udział w zbrodni podejrzewano Masę, taką wersję wciąż podają członkowie zarządu „Pruszkowa”, m.in. Malizna. Prokuratura przyjęła, że Kielbasa zginął z rąk ludzi Rympałka. Po latach prokuratura zyskała nowego świadka w tej sprawie – Jacka S., ps. Falconetti. Masa jest spokojny o jego zeznania.

Jarosław S., ps. Masa (ur. 1962) – pochodzi z Pruszkowa. Bandycką karierę zaczynał w Hamburgu jako złodziej. Na początku lat 90. napadał na tiry z niemiecką kontrabandą. Przyjaciół Kiełbasy i Pershinga. W październiku 1993 r. trafił do aresztu, podejrzany o gwałt na kelnerce w restauracji w Komorowie. Kobieta wycofała swoje zeznania i w lipcu 1995 r. Masa odzyskał wolność. Na polecenie zarządu „Pruszkowa” przejął bojówki Rympałka. Na samych tylko haraczach zarabiał dla starych pruszkowskich ok. 50 tys. dolarów miesięcznie. Już wtedy współpracował z policją. W sierpniu 2000 roku został świadkiem koronnym.

Jerzy W., ps. Żaba (1947–2009) – pochodził z Anina, był inicjatorem interesów „Pruszkowa” z mafią rosyjską. Jej szefów poznał na rembertowskim bazarze, gdzie jego żona handlowała odzieżą. Rosyjscy mafiosi mianowali go prezesem swojej firmy handlowej Komatom w Warszawie i urządzili reprezentacyjne biuro przy Mokotowskiej. Prał brudne pieniądze „Pruszkowa”. Od sierpnia 2000 roku ukrywał się w Bułgarii. Zatrzymany 9 marca 2001. Sądzony razem ze Słowikiem, skazany w maju 2004 na 3 lata i 8 miesięcy za udział w grupie pruszkowskiej i kłamstwo w śledztwie (twierdził, że nie znał Słowika). W 2004 roku był już na wolności, ale wkrótce znów trafił za kraty. Tym razem oskarżono go o hurtowy przemyt heroiny i handel narkotykami. Wyszedł z aresztu z powodu złego stanu zdrowia. W kwietniu 2009 roku zmarł na raka płuc.

Zbigniew W., ps. Zbynek – na początku lat 90. wymuszał razem z „Wołominem” haracze od restauratorów z warszawskiej Starówki. Słynął z przekrętów walutowych na bazarze Różyckiego. Przeszedł na stronę „Pruszkowa”, do Masy i Kiełbasy. Dowodził własną grupą zajmującą się przemytem i dystrybucją narkotyków. Od połowy 1998 roku poszukiwany międzynarodowym listem gończym. Aresztowany w Wiedniu w maju 2001 roku pod zarzutem kierowania zabójstwem Wariata. Dostał 12 lat w pierwszej instancji, ale sąd apelacyjny uchylił wyrok ze względów proceduralnych i na początku 2006 roku Zbynek był już na wolności (sprawa zabójstwa Wariata do dziś nie została wyjaśniona).

Marek Cz., ps. Rympalek (ur. 1963) – pochodzi z Warszawy, szkolił się na jubilera. W pierwszej połowie lat 90. przywódca najsilniejszej w stolicy bojówki w gangu pruszkowskim, zajmującej się głównie napadami. Aresztowany w 1996 r. po tzw. napadzie stulecia na konwój ZOZ wiozący 1,2 mln zł. Skazany we wrześniu 1998 r. na 10 lat za kierowanie gangiem. Podejrzewany o zabójstwo Wojciecha K., ps. Kiełbasa. Po odbyciu kary ponownie trafił do gangu i wszedł w skład nowego zarządu „Pruszkowa”. W październiku 2010 roku ponownie trafił do celi.

Paweł M., ps. Małolat – w fundacjach i firmach na Mazurach miał prac pieniądze „Pruszkowa” pochodzące z narkotyków i agencji towarzyskich. W październiku 1994 r. w jego mieszkaniu znaleziono arsenał broni, m.in. z wyrzutnią granatów przeciwpancernych typu bazooka, granatami zaczepnymi i łzawiącymi. Skazany za nielegalne posiadanie broni, wyszedł z więzienia w 1996 r. Pracował dla Pershinga – był jego sekretarzem, kierowcą i ochroniarzem. Zatrzymany przez CBS w marcu 2001 r. Skazany na 12 lat. Po apelacji wyszedł na wolność.

Adam D., ps. Młody Wańka (ur. 1970) – według śledczych, członek tzw. młodego „Pruszkowa” i gangu ożarowskiego, syn Wańki. Po aresztowaniach starych pruszkowskich miał stać się naturalnym liderem grupy, podobno to on stworzył fundusz pomocy uwięzionym mafiosom, zwany kociołkiem. Zatrzymany przez CBS w październiku 2005 roku pod zarzutem kierowania zbrojną grupą przestępczą. Jego proces rozpoczął się w maju 2008 roku w sądzie w Częstochowie. Poza wyłudzeniami na 10 mln zł prokurator zarzucił jego ludziom m.in. handel narkotykami, wymuszenia rozbójnicze i porwania.

Robert B., ps. Bedzio lub Bedek (ur. 1966) – członek tzw. młodego „Pruszkowa”, jeden z szefów autonomicznej grupy ożarowskiej. Przez lata ochroniarz, potem przyjaciel i powiernik Andrzeja K. Pershinga, związany w tamtym okresie z jego córką. Po śmierci Pershinga czuwał w kostnicy przy jego zwłokach. Interesami związany z Młodym Wańką. Obaj wyłudzali towary z hurtowni i kredyty z banków. Sądzony w tym samym procesie co Słowik i Żaba, jak oni dobrowolnie poddał się karze, dostał dwa lata. W 2007 roku, podczas procesu jednego z zabójców Andrzeja K., zapytany – jako świadek – czy był związany z grupą pruszkowską, Robert B. odpowiedział: „Byłem, bo za to wyrok dostałem”, ale słowem nie wspomniał o związkach i roli w gangu Boguckiego i Ryszarda N.

Marcin B., ps. Bryndziak – według zeznań świadków, odpowiedzialny w „Pruszkowie” za rozwiązania siłowe, służył wiernie staremu zarządowi. Wprawiony w napadach na konwoje z pieniędzmi, porwaniach, wymuszeniach i haraczach. Od lata 2000 do grudnia 2003 roku ukrywał się przed policją. Oskarżony o ponad trzydzieści przestępstw, po czterech latach w areszcie wyszedł na wolność. We wrześniu 2012 roku skazany nieprawomocnie na 8 lat w tzw. drugim procesie „Pruszkowa”. Był to najwyższy wyrok w tamtej sprawie.

„WOŁOMIN”

Henryk N., ps. Dziad (1948–2007) – domniemany boss „Wołomina”. Zaczynał od gigantycznych

przemytów spirytusu. We wrześniu 1992 wpadł – razem ze Słowikiem i Oczkiem – na rabunku tira z kontrabandą, ale nie poniósł za to kary. Uszedł z życiem z kilku zamachów bombowych. W 1997 r. skazany na 3 lata za czynną napaść na policjanta i na 2 lata za nieumyślne spowodowanie śmierci dwóch robotników na swojej budowie w Ząbkach. W maju 1999 r. oskarżono go o kierowanie gangiem. Skazany w styczniu 2001 za podżeganie do zabójstwa Wańki i zlecenie napadu. Nie udowodniono mu, że był szefem „Wołomina”. W sierpniu 2007 zastrzelono na Targówku jego syna Pawła. Dziad zmarł dwa miesiące później, w radomskim areszcie, z powodu wylewu krwi do mózgu.

Wiesław N., ps. Wariat – zastrzelony 6 lutego 1998 r. starszy brat Dziada. Przez lata skonfliktowany z Henrykiem. Do niego należała wytwórnia amfetaminy w Woli Karczewskiej, zlikwidowana przez policję we wrześniu 1995 r. Zaprzyjaźniony z Nikosiem, którego wciągnął do krwawej wojny z „Pruszkowem”. Sprawca zamachów bombowych na kilku członków zarządu gangu pruszkowskiego. W grudniu 1996 r. wyszedł cało (w miejscowości Zakręt ostrzelano jego samochód). Zabito go na parkingu obok sklepu nocnego na Płowieckiej w Warszawie.

Cezary D., ps. Czarek – niegdyś w gangu pruszkowskim, potem osobisty ochroniarz szefa konkurencyjnego gangu – Henryka N., ps. Dziad. Zabito mu ojca, którego szczerze nienawidził – Jacka D., znanego żołnierza „Pruszkowa”. Jedna z wersji krążących w „mieście” sugerowała, że to Czarek był ojcobójcą. Miał być świadkiem w procesie Andrzeja K. Pershinga, ale 30 października 1995 r. zastrzelono go z broni automatycznej.

Ludwik A., ps. Lutek – zginął 31 marca 1999 r. w strzelaninie w barze Gama w wieku 48 lat. Jeden z liderów gangu wołomińskiego. Miał pralnię oraz hurtownię przy moście Grota-Roweckiego w Warszawie. Spec od wymuszeń i uprowadzeń dla okupu. Właściciel ponad 23 tys. litrów spirytusu Royal, wartego – w 1991 roku – blisko 4 mld zł, który wyparował pod nosem mającej go pilnować policji. Aresztowany w 1997 r. pod zarzutem zlecenia zabójstwa rosyjskiego mafiosa Andrieja Isajewa, ps. Malowany. Po opuszczeniu aresztu cieszył się życiem niespełna rok.

Marian K. ps. Maniek, Klepak lub Maniek Klepak (1947–1999), urodzony w Wołominie, z zawodu tokarz, właściciel lombardu i kantoru w Warszawie. Niegdyś powiązany interesami z Dziadem, potem działał na własny rachunek. Zyskami z bandyckiej roboty dzielił się jedynie z Ludwikiem Adamskim (Lutkiem). Zasłynął z haraczy na warszawskiej Starówce, bezwzględnych porwań (nie oszczędzał nawet rodzin swoich kumpli) i... nienagannyh manier podczas policyjnych przesłuchań. Zginął 31 marca 1999 r. w strzelaninie w restauracji Gama.

Jacek K., ps. Klepak lub Młody Klepak (1970–2002) – syn Mańka K. Klepaka, po śmierci ojca próbował odbudować potęgę „Wołomina” i przejąć stery nad rynkiem narkotykowym. W gangsterskim interesie nie uznawał spółek i kompromisów. W 2002 roku poszukiwany listem gończym za kierowanie zorganizowaną grupą przestępczą, wyłudzenie 6 mln zł i próbę zorganizowania napadu na warszawski bank w Domu pod Orłami na Jasnej. 17 sierpnia 2002 r. zastrzelono go w tawernie w Mikołajkach. Jednym z zamachowców był Artur S., spokrewniony z Karolem S., który polował na jego ojca.

Czesław K., ps. Ceber – niegdyś przyjaciel i wspólnik Dziada (prowadzili razem kantor i lombard w Ząbkach). Potem łączyły ich raczej chłodne stosunki, ponieważ Henryk N. odmówił udzielenia pożyczki na uwolnienie jego porwanego syna Darka (lipiec 1994 r.). Kiedy odkrył, że za uprowadzeniem stoją Maniek i Lutek, pod jego domem na Targówku eksplodował naszpikowany trotylem samochód pułapka. Ceber przeżył, ale w marcu 1995 r., czekając na spotkanie z synem Mańka, Jackiem, zginął w wybuchu bombowym w willi w Markach pod Warszawą.

Janusz K., ps. Malarz – jeden z pierwszych cinkciarzy w Polsce, oddany przyjaciel Mańka i Lutka, przemytnik spirytusu i papierosów. Oskarżony w 1995 r. o porwanie i torturowanie dłużnika ze Świnoujścia, który oszukał go na 100 tys. dolarów. Miał kantory przy akademiku Riviera i przy Dworcu Centralnym w Warszawie. Zastrzelony w grudniu 1997 r. przed swoim domem w Międzyzlesiu. Miał 45 lat.

Apoloniusz D., ps. Poldek – ochroniarz Dziada. Brawurowo ścigał zabójców Wariata. Widział wtedy samochód należący do Malizny. Jego zamarznięte zwłoki znaleziono w bagażniku samochodu audi 100 w styczniu 1997 r.

Andrzej G., ps. Junior lub Nerwowy – pracownik agencji ochrony zabezpieczającej mecze Legii. Żołnierz „Wołomina”, kolejny ochroniarz Dziada, którego zamordowano. Zastrzelony 28 stycznia 1998 r. w przejściu podziemnym niedaleko hotelu Marriott. Miał być świadkiem w procesie Rympałka.

Andrzej Cz., ps. Kikir – szef silnej „bojówki” z podwarszawskich Marek. Specjalizował się w napadach na hurtownie, porwaniach dla okupu, kradzieżach samochodów i haraczach. Recydywista z 10-letnim wyrokiem za napad na dwoje starszuchów, których przypalał żelazkiem (odsiedział połowę). W styczniu 1997 r. zatrzymany przez policję na gorącym uczynku podczas odbierania „wykupki” za skradzione auto. Był na przepustce, gdy pod Emilianowem ostrzelano samochód, którym jechał ze

swoją żoną. Przeżył. Przeszedł operację ręki. Miesiąc później, tzn. w październiku 2000 roku, w szpitalu wojskowym na Szaserów w Warszawie Kikir zginął z rąk wynajętego zabójcy z Ukrainy, niejakiego Alik (krótco potem on sam zginął z rąk nieznanych sprawców). Po dziewięciu latach śledczy ustalili skład grupy, która stała za zabójstwem Andrzeja C. Byli to ludzie z jego grupy, z Jerzym B., ps. Jurij, Mutant (ur. 1971) na czele.

Andrzej T., ps. Tybur lub Tyburek (ur. 1972) – seryjny zabójca, cyngiel „Wołomina”, weteran gangu. W 1994 roku wymuszał haracze na warszawskiej Starówce, potem kradł limuzyny. Rozpisano za nim list gończy, ale on skutecznie ukrywał się przez dziesięć lat, m.in. w Niemczech. W listopadzie 2009 roku zatrzymany przez policję na trasie pod Poznaniem. W opinii policjantów z CBS to jeden z najskuteczniejszych w Polsce zabójców na zlecenie. Wiąza go z dziesięcioma egzekucjami, m.in. w Gamie (miał strzelać do starego Klepaka i żołnierzy „Wołomina”). Także z podwójnym zabójstwem w Mikołajkach w 2002 roku: Młodego Klepaka i policjanta z Olsztyna, Marka Cekały. Tymczasem w sierpniu 2010 roku prokuratura umorzyła przeciwko niemu śledztwo w tej sprawie.

Karol S., ps. Karol – szef silnej bojówki z Anina, pracujący niegdyś dla Klepaka i Mańka, ale odsunięty przez nich od udziału w przemyśle alkoholu i narkotyków. Specjalista od porwań dla okupów i „mokrej roboty” w wewnętrznej wojnie „Wołomina”. Zatrzymany w lipcu 1999 r. w kryjówce pod łóżkiem w domu przy ul. Wesołej. W maju 2001 r. stanął przed sądem za dwa zabójstwa i zlecenie egzekucji byłego kompana Piotra W., ps. Kajtek (20 marca 1999 r. przed restauracją T.G.I. Friday’s w Warszawie zginął także przypadkowy przechodzień). W czerwcu 2010 roku skazany na dożywocie. Sąd uznał, że S. nakłaniał ludzi ze swojej grupy do wyeliminowania gangsterów Klepaka.

SZCZECIN

Marek M., ps. Oczko (ur. 1954) – nazwisko przyjął po żonie. Szef gangu z Pomorza Zachodniego, rezydent „Pruszkowa” w Szczecinie. Jeden z największych polskich przemytników, stworzył świetnie zorganizowaną grupę, której trzonem byli kumple z jednej ulicy. W grudniu 2000 roku skazany na 13 lat za kierowanie grupą przestępczą. Sądzony za zlecenie zabójstwa białoruskiego mafiosa Wiktora F. Przyjaciół i współnik Ricarda Fanchiniego – międzynarodowego gangstera polskiego pochodzenia. Wyszedł na wolność na początku 2011 roku, w ramach przerwy w karze – ze względów zdrowotnych.

Jacek P., ps. Ślepek (ur. 1963) – grypsujący recydywista odpowiedzialny w gangu Oczki za

porwania, przemyt i handel kokainą, niegdyś uzależniony od alkoholu i narkotyków. Przyjaciół Słowika. Skazany w 2000 roku na 12 lat więzienia. Za kratami przeszedł odtrucie i terapię w AA. Został instruktorem. W Szczecinie jest legendą. Wyszedł na wolność w grudniu 2010 roku, definitywnie zerwał z nałogami, poszedł do szkoły i został wolontariuszem w hospicjum.

Janusz G., ps. Gołąb (1956–2007) – pochodził z Międzyzdrojów, skąd kierował międzynarodowym przetrzudem amfetaminy do Skandynawii. Był mistrzem w gromadzeniu dokumentacji medycznej o swoich rzekomych schorzeniach psychicznych. Wielokrotnie zatrzymywany i wypuszczany przez UOP i policję z powodu „żółtych papierów”. Przesłuchiwany w śledztwie i przed sądem na okoliczność kontaktów w półświatku, odpowiadał, że „ma depresję i mówienie o tym tylko pogarsza stan jego zdrowia”. Skazany w 1999 r. na 7 lat za przemyt narkotyków, a w 2000 r. – na 8 lat więzienia za przestępstwa popełniane w gangu Oczki. W kwietniu 2007 roku znaleziono go powieszony w pokoju hotelowym w Kołobrzegu. Oficjalnie przyjęto, że popełnił samobójstwo.

Rafał Ch., ps. Czarny (ur. 1972) – pochodzi ze Szczecina. Pierwszy raz karany w wieku 17 lat za usiłowanie zabójstwa. Dostał 6 lat, odsiedział 2,5 roku (jako małoletni). Członek gangu z Pomorza Zachodniego, żołnierz Oczki. W 1997 r. skazany na 7 lat za hurtowy handel narkotykami. Karę odbył w całości. Jego obszerne zawiadomienie o przestępstwie, które wpłynęło do szczecińskiej prokuratury w 1997 r., stało się początkiem końca gangu Oczki. Nie został świadkiem koronnym, ponieważ instytucji tej nie było jeszcze wtedy w polskim prawie. Po odbyciu wyroku nigdy już nie wszedł w konflikt z prawem, znalazł legalną pracę w Skandynawii. Bohater filmu dokumentalnego pt. *Świadek* (reż. Andrzej Kostenko).

Sylwester O., ps. Sylwek (ur. w 1962 r.) – nazwisko przyjął po żonie. Palacz z wykształceniem podstawowym, jeden z najniebezpieczniejszych bandytów w gangu Oczki. Podejrzewany m.in. o związek z tajemniczym zaginięciem Arkadiusza Szczasiuka, byłego mistrza Polski w karate. W 1998 r. uciekł z policyjnej obławy, ukrywał się w Niemczech i Hiszpanii, skąd kierował silną grupą przestępczą zajmującą się napadami, porwaniami i przemytem. W 2001 r. skazany na 11,5 roku więzienia za udział w gangu, następnie na 13 lat za zlecenie zabójstwa Białorusina Wiktora F. i pranie brudnych pieniędzy. Uniewinniony od zlecenia obłania kwasem Luizy Sz. – księgowej mafii. Wolnością cieszył się zaledwie kilka miesięcy. Ponownie aresztowany latem 2013 r. pod zarzutem gwałtu i szantażu.

Zbigniew T., ps. Pastor – uciekł z Polski przed policyjną obławą na ludzi Oczki, rabował i kradł na terenie Niemiec. Wiernie służył Sylwskowi, prawdopodobnie jak on maczał palce w zaginięciu

mistrza karate. Nieoficjalnie wiązany z planowaniem zabójstwa uciekiniera z gangu Piotra R., który schronił się w Szwecji. Podczas egzekucji R. został ranny, zginęła jego dziewczyna Monika H. Pastora aresztowali Niemcy. Odsiedział 13 lat za napady i rozboje. Po powrocie do kraju sądzony w Polsce za kilka przestępstw w grupie Oczuki. Dostał symboliczny wyrok 3,5 roku więzienia, bo – jak stwierdził sędzia – Pastor jest dzisiaj „innym człowiekiem”.

Artur R., ps. Tuła (ur. 1966) – za cenę złagodzenia kary wsypał swoich kompanów. Wcześniej odsiedział 5 lat za rozbój. Był – jak sam twierdzi – najemnikiem, zarabiającym na życie odzyskiwaniem skradzionych aut i negocjowaniem warunków uwolnienia porwanych biznesmenów. Za przestępstwa w gangu Oczuki w 2000 roku skazany na 2 lata i 9 miesięcy (czyli tyle, ile odsiedział w areszcie).

...ORAZ INNI

Marian K. vel Ricardo Fanchini (ur. 1956) – gangster międzynarodowej sławy, przyjaciel Marka M., ps. Oczeko. Wyemigrował z Katowic na Zachód i szybko awansował w przestępczych strukturach. Powiązany z południowoamerykańskimi kartelami oraz włoską mafią i rosyjskim Sołncewem. Agenci amerykańskiej agencji antynarkotykowej DEA, którzy dziesięć lat później wytropili kokainowe interesy Fanchiniego, szacowali, że wraz z rosyjską mafią, dla której pracował, mógł zarobić ok. 300 mln dolarów. W 2009 roku nowojorski sąd skazał przyjaciela Oczuki na 10 lat więzienia, przepadek czterdziestu nieruchomości i 30 milionów dolarów sankcji.

Jeremiasz B., ps. Baranina (1945–2003) – uchodził za przedsiębiorcę z kilkoma paszportami, był honorowym konsulem Liberii w Bratysławie. W PRL-u dorobił się na przemytach. Po zabójstwie byłego ministra sportu Jacka Dębskiego z dnia na dzień okrzyknięto go mafijnym rezydentem w Wiedniu. Pisano o jego współpracy z polskimi i austriackimi służbami specjalnymi. Spekulowano, że mógł stać za wieloma niewyjaśnionymi egzekucjami mafijnymi w Warszawie, i o tym, że w jego domu pod Wiedniem przy jednym stole spotykali się gangsterzy, dyplomaci i niektórzy politycy. Nie wiadomo, ile w tym prawdy. Jego proces o zlecenie zabójstwa Dębskiego toczył się przed austriackim sądem. Zanim zapadł wyrok, w maju 2003 roku, Baraninę znaleziono martwego w celi wiedeńskiego aresztu. Uznano, że popełnił samobójstwo, wieszając się na pasku przymocowanym do kraty na oknie.

Nikodem S., ps. Nikoś (1954–1998) – pochodził z Gdańska. Pionier polskiej przestępczości

zorganizowanej. Już w latach 70. miał swoją grupę kradnącą auta w Niemczech. W latach 80. mieszkał w Hamburgu i Berlinie. Uciekł z niemieckiego więzienia, gdzie odsiadywał wyrok za kradzież luksusowego audi. W 1992 r. – już w Polsce – zaliczył dwie brawurowe ucieczki: z policyjnej obławy i strzeżonego konwoju. Skazany za to na dwa lata. Wmieszał się w wojnę „Wołomina” z „Pruszkowem” (poparł Wariata) i prawdopodobnie z tego powodu zginął – w kwietniu 1998 r. został zastrzelony w gdyńskiej agencji towarzyskiej Las Vegas.

Artur Z., ps. Iwan (1972–2010) – członek tzw. klubu płatnych zabójców z Gdańska, skazany w 2007 roku na 15 lat za porwanie i zabójstwo biznesmena z Trójmiasta. Zapisał się w historii polskiej mafii jako jeden z najcenniejszych świadków w sprawie śmierci generała Marka Papy. Opowiedział śledczym o kluczowym spotkaniu w hotelu, na którym był obecny – z udziałem Słowika, Nikosia i Edwarda M. Rozmawiano wtedy o planowanym zabójstwie byłego szefa policji. Iwan zmarł z przyczyn naturalnych w gdańskim areszcie śledczym, chociaż głośna była wersja, jakoby popełnił samobójstwo po otrzymaniu tajemniczego grypsu.

Janusz T., ps. Krakowiak (ur. 1963) – ślusarz po zawodówce, były cinkciarz. Szef działającego na Śląsku gangu, oskarżonego m.in. o szereg brutalnych napadów i zabójstw, w tym na zlecenie. Aresztowany w styczniu 1999 roku, sądzony w Katowicach (proces trwa od lutego 2001 r.). Wcześniej zajmował się m.in. handlem kradzionymi samochodami. W 1997 r. trafił za to do aresztu, ale odzyskał wolność po wpłaceniu kaucji. Przed sądem odgrywał chorobę psychiczną, ale biegli uznali go za poczytalnego. Dostał 25 lat za kierowanie gangiem i przyjęcie zlecenia zabójstwa Wiktora F. z Białorusi, ale w apelacji utrzymał się wyrok czterech lat, ponieważ wątki dotyczące zabójstw poszły do ponownego rozpoznania. W kwietniu 2013 roku skazany na 15 lat więzienia za zorganizowanie napadu, w którym zamordowano małżeństwo z Sosnowca, oraz nakłanianie do zabójstwa prokuratora i oficera Centralnego Biura Śledczego. W styczniu 2013 roku Krakowiak, oczyszczony prawomocnie – po jedenastu latach – od zarzutu zabójstwa właściciela kantoru w Stalowej Woli, skierował do katowickiego sądu pozew za „przewlekłość postępowania i niesłuszny areszt”. Domagał się miliona złotych odszkodowania.

Włodzimierz C. – czarna owca wśród świadków koronnych, powołano go w katowickiej prokuraturze do sprawy gangu Krakowiaka. Korzystając z dobrodziejstw programu ochrony świadka koronnego, C. stanął na czele własnej grupy przestępczej. Aresztowano go w marcu 2002 roku za porwanie dla okupu, a w sierpniu 2003 oskarżono o 13 przestępstw. W grudniu 2005 roku Sąd Okręgowy w Częstochowie skazał go na 14 lat pozbawienia wolności. Prawomocny wyrok był o połowę mniejszy, zapadł w 2009 roku. Włodzimierza C. pozbawiono statusu świadka koronnego i

zezwolono na publikację danych. W uzasadnieniu wyroku napisano, że ofiary były bite, przetrzymywane pod bronią, straszone uruchomioną piłą mechaniczną, a za ich uwolnienie żądano po 100 tys. zł okupu. Skompromitowany koronny zaskarżył Polskę do Europejskiego Trybunału Praw Człowieka z powodu przewlekłego tymczasowego aresztowania. Trybunał przyznał mu rację i 1000 euro.

Andrzej H., ps. Korek – wychowanek Pershinga, spawacz z warszawskiej Pragi, który po rozbitciu przez policję gangu pruszkowskiego zrobił błyskawiczną (choć krótkotrwałą) karierę w półświatku. Stał na czele słynnej z brutalności grupy mokotowskiej, zajmującej się głównie porwaniami dla okupu i przemytem narkotyków z Ameryki Południowej. Aresztowany w 2004 roku za przemyt 325 kg kokainy z Wenezueli o wartości ok. 80 mln zł. Narkotyki odbyły podróż w zbiorniku do odsiarczania ropy holenderskiego statku *Tanja*, który w styczniu 2003 roku zawinął do portu w Gdyni. W 2010 roku Korek został skazany za to prawomocnym wyrokiem na 12 lat więzienia.

Jacek N., ps. Kato (ur. 1967) – warszawiak nazywany pruszkowskim killerem, skazany w maju 2005 roku przez szczeciński sąd na dożywocie za zabójstwo Moniki H., dziewczyny Piotra R., uciekiniera z gangu Oczki. Głównym celem miał być właśnie Piotr R. (zraniony kulą udawał martwego, dlatego przeżył). Mafijna egzekucja została wykonana w miejscowości Malmö na południu Szwecji, w mieszkaniu Moniki. Dziewczyna знаła zabójcę, traktowała go jak przyjaciela domu. W ramach śledztwa przesłuchano w Niemczech przebywającego w areszcie niejakiego Mirosława L. który miał być świadkiem rozmowy o planach zabicia Kato za spartaczoną egzekucję. Mieli w niej uczestniczyć Sylwek i Pastor z gangu Oczki. Według tego świadka, właśnie Sylwek i Pastor planowali egzekucję Piotra R., w której ostatecznie zginęła jego dziewczyna. Ale odpowiedzialność poniósł tylko Kato. „Państwo polskie, w imieniu którego orzekam, nie życzy sobie, aby na wolności byli tacy ludzie jak Jacek N., pseudonim Kato” – uzasadniał surowy wyrok przewodniczący składu sędziowskiego.

Zbigniew Sz., ps. Simon – numer 1 śląskiego półświatka. Jego pozycję w tej części Polski porównywano do roli, jaką w „Pruszkowie” odgrywał tzw. zarząd. W nocy z 4 na 5 marca 1999 r. ciężko postrzelony przed własną restauracją w Katowicach (tą samą, gdzie mafia wytypowała Jacka Dębskiego na ministra sportu). Zmarł trzy dni później w szpitalu. Miał odpowiadać przed sądem za kierowanie gangiem, haracze i usiłowanie zabójstwa (opuścił areszt 29 października 1998 r.).

Sławomir O., ps. Uchal – boss grupy wyszkowskiej. Zasłynął z podpalania hurtowni, podkładania bomb pod pojazdami firm przewozowych oraz kilku egzekucji, zleconych prawdopodobnie już z za krat. Zatrzymany w maju 1997 r. za udział w wymuszeniu, ale zwolniony z powodu – rzekomo –

fatalnego stanu zdrowia. Ścigany listem gończym do lutego 2001 do co najmniej czterech spraw karnych. Zatrzymano go w anińskim szpitalu, skazano na 12 lat więzienia, ale po sprawach odwoławczych jest już na wolności.

Władysław Ch., ps. Al Capone (ur. 1969) – ogrodnik z Gabonia na Sądecczyźnie, szef „szwadronu śmierci” z okolic Tarnowa i Nowego Sącza. Zaczynał od kradzieży z włamaniem, puszczał z dymem lokale konkurencji, potem porywał dla okupu, wreszcie – już z za krat – zlecał zabójstwa co najmniej kilku liderów konkurencyjnych grup (miał w celi telefon komórkowy). Aresztowany w marcu 1998 r. Skazany na 8 lat za wymuszenia i kierowanie gangiem. W listopadzie 2003 roku po raz pierwszy skazany na dożywocie (dwukrotnie usłyszał taki wyrok), z możliwością ubiegania się o przedterminowe warunkowe zwolnienie nie wcześniej niż po czterdziestu latach. Wyrok dożywocia zapadł także dla jego młodszego o trzy lata brata Ryszarda, który kierował zabójstwami zlecanymi przez przebywającego w więzieniu Władysława.

Ryszard N., ps. Rzeźnik (ur. 1974) – egzekutor ścigany listem gończym od 29 października 2000 (uciekł wtedy z więzienia w Wadowicach). W kwietniu 2005 roku złapany przez niemiecką policję, w drodze ekstradycji przekazany do Polski. Jeden z zabójców Andrzeja K. Pershinga, podczas egzekucji strzelał w powietrze, aby odwrócić uwagę ewentualnych świadków. Skazany za to prawomocnie w 2008 roku na karę 25 lat więzienia. Ryszard N. to absolwent ogólniaka, pochodzący z dobrze sytuowanej rodziny rzemieślniczej z Bielska-Białej. Zanim zaczął zabijać, kradł samochody, podkładał bomby, napadał na konwoje bankowe, prowadził agencje towarzyskie, porywał biznesmenów na Podbeskidziu.

Ryszard Bogucki – skazany za zabójstwo Pershinga (nigdy się do tego nie przyznał). Karierę zaczynał na początku lat 90. w Katowicach jako dobrze rokujący biznesmen. W grudniu 1993 trafił do aresztu pod zarzutem wyłudzeń, ale zwolniono go po wpłaceniu kaucji 500 mln starych zł. Ukrywał się przez kilka lat w Polsce, potem we Włoszech i Meksyku. W 1998 r., zdaniem śledczych, związał się z Ryszardem N. Rzeźnikiem. Zatrzymany w styczniu 2001 r. w Cancún. Skazany za zabójstwo Andrzeja K. Pershinga na 25 lat więzienia. Oskarżony przez warszawską prokuraturę m.in. o nakłanianie do zabójstwa gen. Marka Papały, w lipcu 2013 r. został uniewinniony. Prokuratura zapowiedziała apelację.

Jan R., ps. Kulawy (ur. 1953) – niekwestionowany przywódca zbrojnego gangu z Mazur, człowiek o dwóch twarzach: znany społecznik, lokalny patriota, opiekun dzieci z biednych rodzin, ale też okrutny i apodyktyczny *capo di tutti capi*. W młodości miał wypadek, stracił czucie w nogach, jeździ na

wózku inwalidzkim. W miejscowości Kisielice pod Ławą stworzył silną organizację przestępczą. Jego ludzie przemycali m.in. pigułki gwałtu, wozili kontrabandę z papierosami bez akcyzy, wyłudzali gigantyczne odszkodowania komunikacyjne. Wrogowie Jana R. ginęli bez śladu. W 2003 roku Kulawy trafił do aresztu m.in. pod zarzutem kierowania gangiem i podwójnego zabójstwa. W listopadzie 2011 roku Sąd Okręgowy w Elblągu skazał go na dożywocie. Pod koniec maja 2013 roku Sąd Apelacyjny w Gdańsku wymierzył Kulawemu prawomocny wyrok 15 lat za kierowanie gangiem, a sprawę zabójstw skierował do ponownego rozpoznania.

Elżbieta R. – żona Kulawego, jego opiekunka (z zawodu jest pielęgniarką) i współniczka w interesach. Sąd w Elblągu uznał, że wraz z mężem kierowała zorganizowaną grupą o charakterze zbrojnym, i skazał ją na 9 lat więzienia. Gdańska apelacja zmniejszyła wyrok do 7 lat.

Marcin K., ps. Kacper – przywódca silnej bojówki z Elbląga, wykonującej brudną robotę dla Kulawego. Wysoki, muskularny, bezwzględny. Oskarżony o podwójne zabójstwo w procesie gangu Jana R. z Kisielic. Na podstawie poszlak skazany na 15 lat więzienia – ciało jego ofiar nie odnaleziono. Przewlekłość procedur sądowych sprawiła, że w kwietniu 2011 roku, kilka miesięcy przed ogłoszeniem wyroku, Kacper opuścił areszt po wpłaceniu 800 tys. zł kaucji. W dyskotecce wdał się w burdę, postrzelono go w kolano, przeszedł operację wymiany stawu. Po wyroku trafił do celi, aby znów ją opuścić. W kwietniu 2013 roku z przyczyn zdrowotnych uchylono mu areszt. Miesiąc później gdańska apelacja skierowała sprawę zabójstw do ponownego rozpoznania.

Fotografie

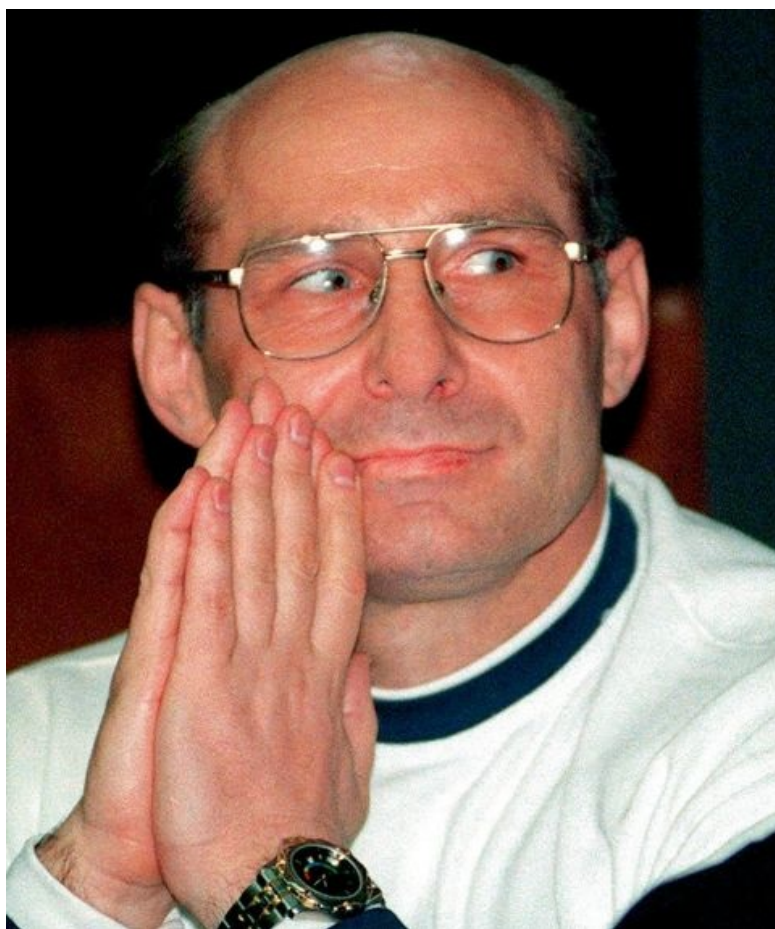
Monika Z., była żona Andrzeja Z., ps. Słowik: „Ja zawsze będę wierzyć w jego niewinność”.

© Marek Zieliński/Newspix.pl



Andrzej K., ps. Pershing

© Adam Urbanek/PAP



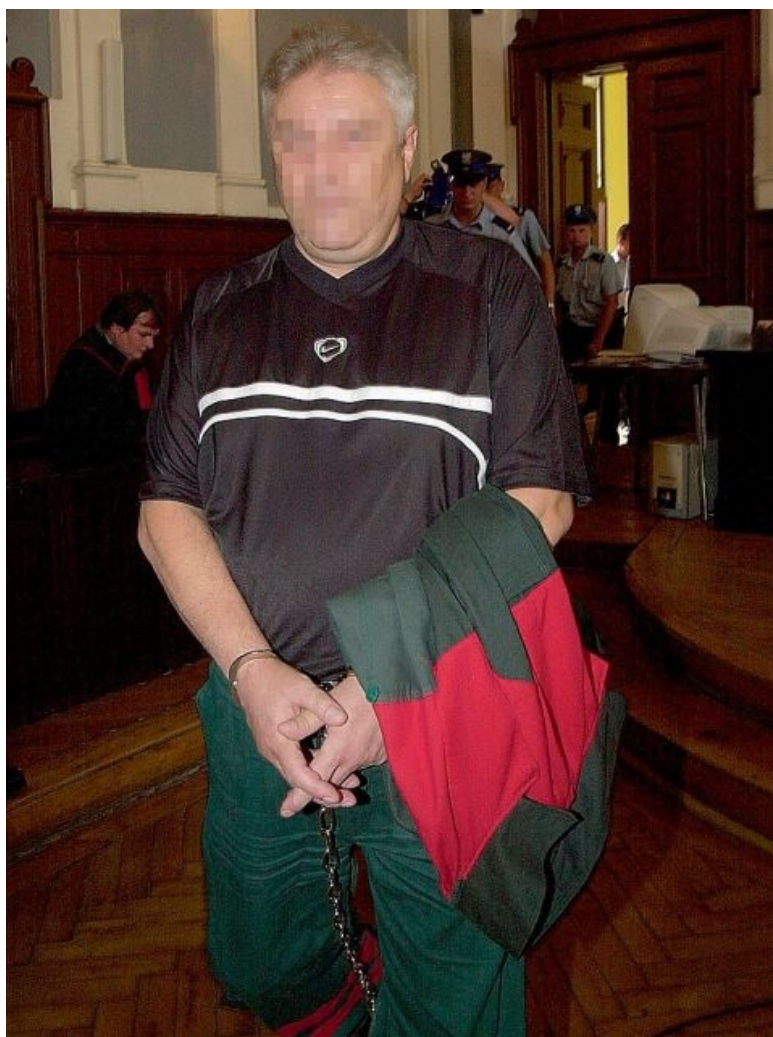
Zakopane, 5 grudnia 1999 r. Miejsce śmierci Pershinga

© Grzegorz Momot /PAP



Nowy Sącz, 18 sierpnia 2003 r. Mirosław D., ps. Malizna, otrzymał karę 10 lat więzienia za zlecenie zabójstwa Pershinga.

© Grzegorz Momot/PAP



Ryszard N., ps. Rzeźnik, skazany na 25 lat więzienia za udział w zabójstwie Pershinga

© Andrzej Grygieł/PAP



Ryszard Bogucki, skazany na 25 lat więzienia za zabójstwo Pershinga (choć nigdy się do tego nie przyznał) i oskarżony przez warszawską prokuraturę o nakłanianie do zabójstwa gen. Marka Papały, latem 2013 roku nieprawomocnie uniewinniony

© Tomasz Gzell/PAP



Warszawa, 22 lipca 2013 r. Andrzej Z., ps. Słowik, nieprawomocnie uniewinniony w procesie o udział w zabójstwie gen. Papały

© Radek Pietruszka /PAP



Jarosław S., ps. Masa: „Byłem szefem bojówki pruszkowskiej – zresztą najsilniejszej w Polsce. Bojówka to grupa ludzi, która siłowo załatwia wszystkie problemy”.

© East News



Zygmunt R., ps. Bolo

© Stanisław Ciok, ze zbiorów Piotra Pytlakowskiego



Po zamachu bombowym w willi w Markach, w którym zginęli Czesław K., ps. Ceber, i Jerzy Maliszewski.

© Piotr Molecki/Agencja Gazeta



Skazany na 25 lat więzienia Adam Dudała z żoną Patrycją

Fot. ze zbiorów Ewy Ormackiej



24 stycznia 2003 r. Henryk N., ps. Dziad, na procesie w Sądzie Rejonowym w Białymstoku

© Zdzisław Lenkiewicz/PAP



Leszek K., ps. Kasza: „Zrobiono ze mnie gangstera, więc żeby to ośmieszyć, za takiego się przebrałem”.

Fot. ze zbiorów Ewy Ormackiej



Rafał Ch. podczas procesu grupy Marka M., ps. Oczko

© Włodzimierz Piątek/Agencja Gazeta



Arkadiusz Szczasiuk (w ciemnej koszuli) i Marek M., ps. Oczko, na Cyprze w 1997 r.

Fot. ze zbiorów Ewy Ormackiej



Fot. ze zbiorów Ewy Ormackiej



Jacek P., ps. Ślepek. „Przesiedziałem cały AWS, całe SLD, pół rządów PiS i spory kawałek PO. Już dość!”

Fot. ze zbiorów Ewy Ormackiej



Janusz T., ps. Krakowiak, podczas jednego z licznych procesów

© Andrzej Grygieł/PAP



Zamordowany na Mazurach Stanisław Biej ze Szczecina z żoną Lucyną

Fot. z archiwum rodzinnego Lucyny Biej



Wyłowiony z Wisły, spalony wrak audi Jerzego Ornowskiego

Fot. materiały operacyjne policji, ze zbiorów Ewy Ormackiej



Jan R. (na łóżku), ps. Kulawy, podczas procesu w Sądzie Okręgowym w Elblągu

© Adam Warżawa/PAP



Nikodem S., ps. Nikoś, na bankiecie po Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych w Gdyni w 1996 roku

© Jacek Balk /Agencja Gazeta



Jeremiasz B., ps. Baranina, przed sądem w Wiedniu

© Herbert Pfarrhofer/EPA



Leszek D., ps. Wańka, podczas procesu w Sądzie Rejonowym w Warszawie w 2000 r.

© Adam Urbanek/PAP



Proces współpracującego z południowoamerykańskimi kartelami gangu kokainowego w Sądzie Okręgowym w Warszawie w 2002 r., podczas którego Leszek D., ps. Wańka, został uniewinniony

© Tomasz Gzell/PAP



Text © copyright by Ewa Ornacka and Piotr Pytlakowski, 2013
All rights reserved

Copyright © for the Polish e-book edition by REBIS Publishing House Ltd., Poznań 2013

Informacja o zabezpieczeniach

W celu ochrony autorskich praw majątkowych przed prawnie niedozwolonym utrwalaniem, zwielokrotnianiem i rozpowszechnianiem każdy egzemplarz książki został cyfrowo zabezpieczony. Usuwanie lub zmiana zabezpieczeń stanowi naruszenie prawa.

Redaktor: Krzysztof Tropilo

Projekt i opracowanie graficzne okładki: Michał Pawłowski / www.kreskaikropka.pl

Fotografia na okładce: ©AAR Studio/Getty Images/Flash Press Media

Wydawca podjął wszelkie starania w celu ustalenia właścicieli praw autorskich reprodukcji zamieszczonych w książce.
W wypadku jakichkolwiek uwag czy niedopatrzeń prosimy o kontakt z wydawnictwem.

Wydanie I e-book

(opracowane na podstawie wydania książkowego:
Nowy alfabet mafii, wyd. I, Poznań 2013)

(Rozszerzone i uaktualnione wydanie książki *Alfabet mafii*, która ukazała się w roku 2004 nakładem wydawnictwa Prószyński i S-ka)

ISBN 978-83-7818-212-2

Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o.
ul. Żmigrodzka 41/49, 60-171 Poznań
tel. 61-867-47-08, 61-867-81-40; fax 61-867-37-74
e-mail: rebis@rebis.com.pl
www.rebis.com.pl